

JULIE
木月山月



CK
I
T
S
U
N
E

きつねの影



fabryka słów
wydawnictwo

Spis treści

Karta tytułowa

CZĘŚĆ PIERWSZA

1. Początki i zakończenia
2. Lis w świątyni
3. Wojownik cienia
4. Herbatka u tanuki
5. Demony w bambusowym gaju
6. Płomienie rozpaczy
7. Niespodziewana propozycja
8. Dwoje na drodze

CZĘŚĆ DRUGA

9. Nieukożona dusza
10. Droga do stolicy
11. Wiatr i łasice
12. Niedźwiedź z Suimin Mori
13. Pieśń *kami*
14. Strzeż się bezpańskich psów
15. Co potrafią okruszki
16. *Yokai* w blasku księżyca
17. Gościnność
18. Klątwy i *gaki*
19. Rozmowa z *yurei*

CZĘŚĆ TRZECIA

20. Magia krwi

21. Legenda o Oni no Mikoto
22. Spojrzenie martwej wrony
23. Demon na moście
24. Wielka *omukade*
25. Propozycja dla Księcia Demonów
26. Stolica
27. Na wezwanie cienia
28. Bankiet pod księżycem
29. Cesarska wróżba
30. Żmija w jedwabiach
31. Lustro, które nie odbija
32. Lisia magia w praktyce
33. Szaleństwo Yaburamy
34. Niszczyciel
35. Demon miecza

Epilog

Mapa Iwagoto

Słowniczek

Karta redakcyjna

Okładka



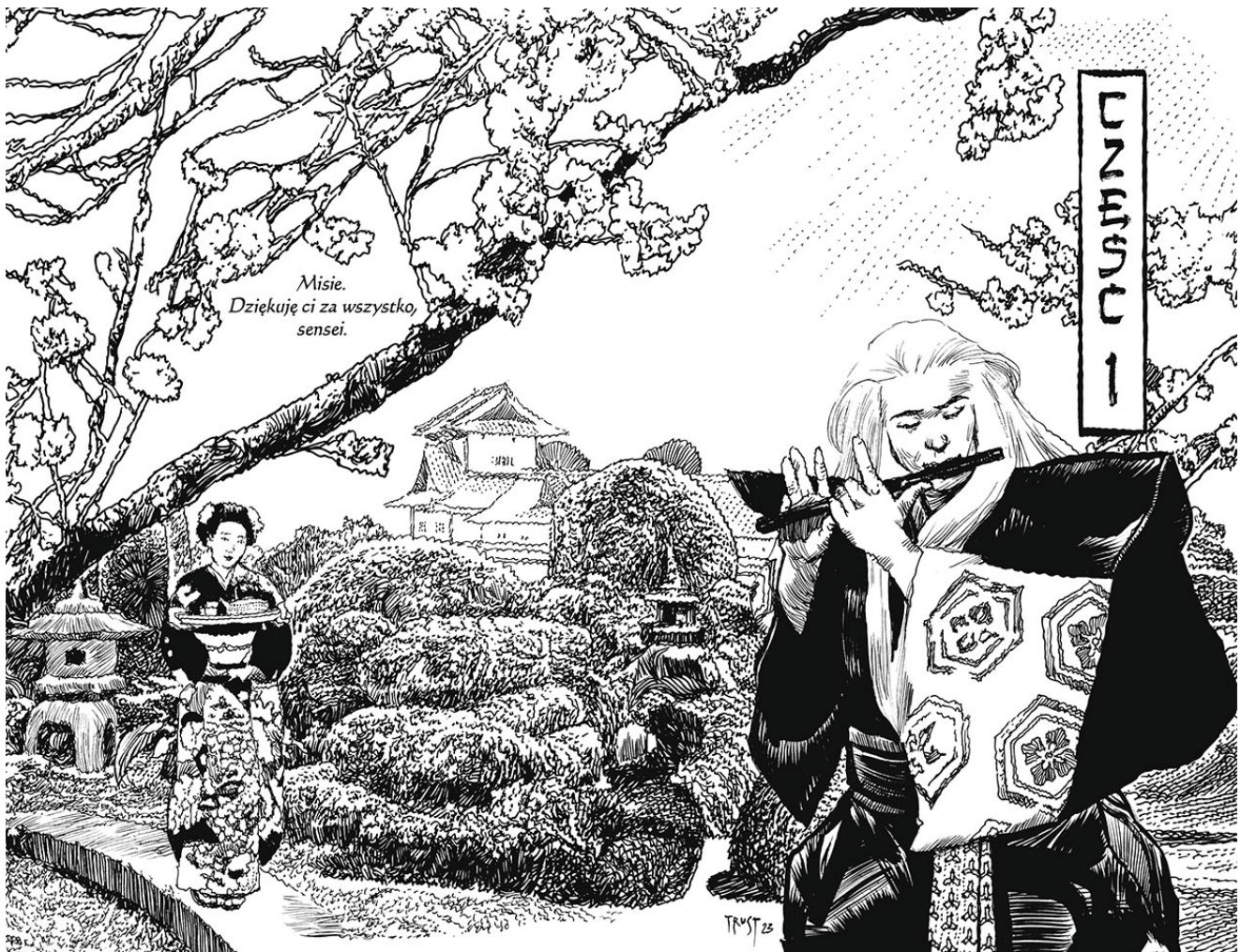
CIEN' KITSUNE

PRZEŁOZYŁ
GRZEGORZ KOMERSKI

ILUSTRACJE
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI



fabryka słów®
LUBLIN - WARSZAWA



Misie.
Dziękuję ci za wszystko,
sensei.

UNESUJI

TRUST 23



POCZĄTKI I ZAKOŃCZENIA

W dniu, kiedy Suki przybyła do Pałacu Słońca, padało. W noc jej śmierci lało jak z cebra.

– Jesteś nową służką, tak? – spytała ostro kobieta o wąskiej, kościstej twarzy, mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów.

Suki zadrżała, wciąż czując na plecach zimne strugi deszczówki. Woda kapała z jej włosów i plamiła piękną, drewnianą podłogę.

– Cóż. – Ochmistrzyni pociągnęła nosem. – Urodziwa to ty nie jesteś, co to to nie. Ale nie to się liczy. Ostatnia pokojówka lady Satomi była co prawda śliczna jak motyl, lecz rozumu też miała tyle co on. Powiedz no, dziewczyno. – Nachyliła się i zmrużyła oczy. – Podobno zanim zgłosiłaś się do nas, prowadziłaś warsztat ojca. Czyżbyś miała w głowie trochę oleju, czy jednak samo powietrze, jak ta ostatnia?

Suki przygryzła wargę i wbiła wzrok w parkiet. Przez większą część roku rzeczywiście mieszkała w mieście i pomagała ojcu prowadzić interes. Jako jedyne dziecko znanego wytwórcy fletów często zajmowała się klientami, kiedy ojciec siedział w warsztacie, zbyt pochłonięty pracą, by przed ukończeniem kolejnego dzieła cokolwiek zjeść lub z kimkolwiek porozmawiać. Suki czytała i rachowała równie dobrze jak każdy chłopak w jej wieku, ale ponieważ była dziewczyną, nie mogła odziedziczyć majątku ojca ani nauczyć się jego rzemiosła. Mura Akihito wciąż był silnym mężczyzną, lecz od pewnego czasu wyraźnie się starzał. Zręczne niegdyś palce sztywniały z wiekiem i trudno było nimi operować. Nie chcąc wydawać córki za mąż, wykorzystał nieliczne znajomości i znalazł dla niej posadę w cesarskim pałacu z nadzieją, że po jego śmierci Suki będzie tam dobrze traktowana. Dziewczyna już teraz tęskniła za domem i zadręczała się myślami o tym, jak potoczą się losy osamotnionego ojca, wiedziała jednak, że taka właśnie jest jego wola.

– Nie wiem, proszę pani – wyszeptała.

– Hmm. No dobrze, wkrótce i tak się przekonamy. Ale na twoim miejscu przed rozmową z lady Satomi przygotowałabym lepsze odpowiedzi. Bo inaczej zabawisz tu jeszcze krócej niż tamta z pustą głową. A teraz – ciągnęła ochmistrzyni – idź się obmyj. Potem marsz do kuchni i zabierz herbatę dla lady Satomi. Ktoś tam ci powie, jak do niej trafić.

Kilka minut później Suki szła już kruzgankiem, niosąc tacę z czarkami oraz imbrykiem, i usiłowała sobie przypomnieć usłyszane od kuchcika wskazówki. Cesarski Pałac Słońca stanowił miasto w miniaturze; nad całością górował pałac właściwy, w którym mieszkał cesarz wraz z rodziną, lecz pomiędzy twierdzą i wewnętrznym murem rozciągał się istny labirynt murów, budynków i fortyfikacji, zaprojektowanych tak, by jak najskuteczniej chronić władcę i powstrzymywać ewentualnych najeźdźców. Alejkami i chodnikami paradowali arystokraci, dworzanie i samurajowie, wszyscy odziani w wytwornego kroju, wielobarwne

szaty: białe jedwabie pokryte delikatnym deseniem płatków kwiatu wiśni lub jedwabie intensywnie czerwone, zdobione wyszywanymi złotą nicią chryzantemami. Żaden z mijanych możliwych nie poświęcił dziewczynie nawet jednego spojrzenia. Tak niedaleko cesarza swoje siedziby miały jedynie najbardziej wpływowe rody. Im bliżej głównej twierdzy, tym ważniejsze.

Suki maszerowała przez płataninę krużganków i w miarę jak przedłużały się poszukiwania, czuła coraz silniejsze skurcze żołądka. Wszystko tu wyglądało identycznie. Budynki o szarych dachach, ścianach z bambusa i papieru, połączone drewnianymi galeriami, dzięki którym arystokraci nie brudzili strojów kurzem i rosą. Wysoko w górze migotały niebieskie dachówki wieżyczek strażniczych, a w koronach kształtnie przyszyżonych drzew świergotały dziesiątki ptaków rozmaitych gatunków. Narastający w piersi i trzewiach ucisk nie pozwalał jednak dziewczynie upajać się pięknem otoczenia.

W powietrzu ponad pałacowymi zabudowaniami poniósł się czysty, wysoki dźwięk. Suki przystanąła w pół kroku. Nie był to ptak, choć siedzący na gałęzi pobliskiego krzewu drozd odpowiedział głośnym trelem. Dziewczyna rozpoznała ton błyskawicznie, od dawna nosiła go w sercu. Ileż to razy słyszała podobne brzmienia wypływające z ojcowskiego warsztatu? Słodka, rzewna melodia fletu.

Jak zahipnotyzowana poszła jej śladem, natychmiast zapominając o obowiązkach i o tym, że nowa pani niemal na pewno wpadnie w wielką złość, jeśli otrzyma herbatę zbyt późno. Piosenka fletu prowadziła ją naprzód, tęskna, żałosna, budząca myśli o pożegnaniu bądź gasnącej jesieni. Suki nie miała wątpliwości, że muzyk jest wielce utalentowany; w pauzach pomiędzy dźwiękami kryło się tak wiele emocji, jakby słuchała obnażonej duszy.

Melodia pochłonięła dziewczynę tak bardzo, że ta zapomniała o ostrożności. Wyszła z za kolejnego zakrętu i aż pisnęła z przestachu, gdy na jej drodze wyrósł młody arystokrata w błękitnej jak niebo szacie, z przytkniętym do warg fletem. Suki

spróbowała młodzieńca wyminąć i jednocześnie nie rozlać przy tym herbaty. Czajniczek zagrzechotał, czarki niebezpiecznie zadrżały. Melodia zgasła, a młodzieniec, ku wielkiemu zdumieniu dziewczyny, odwrócił się i przytrzymał zastawę dłonią, zapobiegając katastrofie.

– Uważaj. – Głos miał jasny i wysoki. – Lepiej niczego nie upuścić. Po co komu bałagan? Nic ci się nie stało?

Suki patrzyła jak oniemiała. Nigdy w życiu nie widziała bardziej przystojnego mężczyzny. Nie, stwierdziła po namyśle, nie przystojnego. Pięknego. Szatę wypełniały szerokie, mocne ramiona, ale rysy miał wdzięczne i delikatne niczym wiosenna wierzba. Zamiast wiązać włosy w samurajski koczek, nosił je rozpuszczone. Sięgały daleko poniżej ramion i były białe, białe jak górski śnieg. A najbardziej niesamowity był uśmiech nieznanego – nie ten chłodny, protekcyjny uśmieszek typowy dla większości możnych i wojowników, lecz uśmiech prawdziwy, rozświetlający radosne półksiężycy jego oczu.

– Wybacz, proszę – podjął. Pospiesznie oderwał dłoń od tacy i cofnął się o krok. Na jego twarzy wciąż malował się spokój, nie było w niej nawet cienia irytacji. – Moja wina, zatarasowałem przejście i nie przyszło mi nawet do głowy, że ktoś może wyskoczyć zza rogu, niosąc tacę z herbatą. Mam nadzieję, że nie przestraszyłaś się zanadto, panno...?

Zanim z ust Suki dobył się choć jeden dźwięk, musiała je otworzyć dwukrotnie.

– Daruj, panie – odezwała się wreszcie słabym szeptem. Arystokraci nie rozmawiali w ten sposób z prostymi dziewczętami; nawet ona o tym wiedziała. – Na imię mi Suki i jestem zwykłą służką. Proszę, nie kłopot się kimś takim jak ja.

– Żaden to kłopot, Suki-san – zachichotał młodzieniec. – Kiedy zaczynam grać, często zapominam o całym świecie. – Podniósł flet, przez co serce zabiło jej żywiej. – Proszę, nie myśl już o tym. Możesz wracać do swoich obowiązków.

Ustąpił, pozwalając jej przejść, lecz dziewczyna nawet nie drgnęła. Nie mogła oderwać wzroku od instrumentu w smukłej

dłoni chłopaka. Flet wykonano z gładkiego, ciemnego drewna, prostszy był niż strzała, a jego korpus ozdobiony został charakterystycznym złotym paskiem. Wiedziała, że nie powinna zagadywać arystokraty, zdawała sobie sprawę, że za taką śmiałość mógł kazać ją wybatożyć, uwięzić, a gdyby zechciał, to nawet stracić, ale tym razem słowa popłynęły z jej ust jakby same.

– Wspaniale grasz, mój panie – szepnęła. – Wybacz. Wiem, że nie wolno mi z tobą rozmawiać, lecz mój ojciec byłby dumny.

– Twój ojciec? – Młodzieniec pochylił głowę w bok, a przez piękną twarz przemknął wyraz zaskoczenia. – Jesteś córką Mury Akihito? – W jego głosie dało się słyszeć rosnące zrozumienie.

– *Hai.*

Arystokrata uśmiechnął się i niemal niedostrzegalnie skłonił głowę.

– Pieśń może być jedynie na tyle piękna, na ile pozwala instrument – powiedział. – Kiedy zobaczysz się z ojcem, przekaż mu, że to zaszczyt grać na takim arcydziele.

Suki poczuła, że coś chwyta ją za gardło, a jej oczy przesłoniła gorąca mgła. Młodzieniec uprzejmie odwrócił wzrok, udając nagle zainteresowanie kwitnącą wiśnią.

– Ach, może trzeba wskazać ci drogę? – zapytał, bacznie oglądając uczepioną jednej z gałązek poczwarkę owada.

Po chwili spojrzał ponownie na dziewczynę i uniósł cienkie brwi. Suki wciąż nie wyczuwała pogardy w jego postawie ani tonie. Znajdowała jedynie rozbawienie, podobne wesołości człowieka rozmawiającego ze zbłąkanym kotem.

– Niewtajemniczonym cesarski pałac rzeczywiście może się wydać onieśmielający. Czyich pokoi szukasz, Suki-san? Może zdołam pokierować cię we właściwą stronę.

– L-lady Satomi, mój panie – wydukała dziewczyna, głęboko oszołomiona jego życzliwością. Wiedziała, że powinna się uklonić, lecz przeraźliwie bała się rozlać herbatę. – Proszę o wybaczenie, to mój pierwszy dzień tutaj i ciągle się gubię.

Czoło arystokraty przecięła delikatna zmarszczka, przez co serce dziewczyny niemal zamarło. Naprawdę nie chciała go urazić.

– Rozumiem – mruknął bardziej do siebie niż do niej. – Jeszcze jedna służąca, Satomi-san? Ilu pokojówek może potrzebować cesarska konkubina?

Zanim Suki zdążyła przemyśleć znaczenie tych słów, młodzieniec otrząsnął się, a na jego usta powrócił uśmiech.

– Cóż, los ci sprzyja, Suki-san. Rezydencję lady Satomi znajdziesz nieopodal. – Luźny, szeroki rękaw arystokraty uniósł się, a smukły palec wskazał wzdłuż galerii. – Za tym budynkiem skręć w lewo, a potem już prosto do samego końca. Ostatnie drzwi po prawej stronie.

– Daisuke-san! – Kobięcy głos uprzedził szeptane podziękowanie Suki.

Młody mężczyzna odwrócił od niej swą cudną twarz. Po chwili podeszły do niego wdzięcznym krokiem trzy arystokratki w eleganckich, zielono-złoty kimonach. Obrzuciły go żartobliwie karcącymi spojrzeniami.

– Tu się ukrywasz, Daisuke-san – prychnęła jedna z nich. – Gdzie się podziewałeś? Spóźnimy się na recytację poezji Hano-san. Och, a to kto? – zachnęła się, kiedy spostrzegła Suki. – Daisuke-san, nie powiesz mi chyba, że zmitrężyłeś tyle czasu, gawędząc ze służką?

– Dlaczegoż by nie? – odparł cierpko Daisuke. – Rozmowa z pokojówką może być równie zajmująca jak konwersacja z dobrze urodzoną kobietą.

Wszystkie trzy zachichotały, jakby nigdy w życiu nie uraczono ich lepszym dowcipem. Suki zupełnie nie rozumiała, co je tak bawi.

– Och, Taiyo Daisuke, jak ty coś powiesz... – rzuciła inna, kryjąc usta za białym wachlarzem pomalowanym w kwiaty wiśni. – Chodźmy już. Naprawdę jest późno. A ty – zwróciła się do Suki – wracaj prędko do pracy! No? Co się tak gapisz? Sio!

Suki odeszła tak szybko, jak tylko mogła, nie rozlewając przy tym herbaty. Jej serce wciąż głośno kołatało, z jakiegoś dziwnego

powodu nie mogła uspokoić oddechu. Taiyo. Nazwisko Taiyo było nazwiskiem cesarskiego rodu. Daisuke-sama pochodził z Klanu Słońca, jednej z najpotężniejszych rodzin w Iwagoto, dzielił krew z samym cesarzem. Niepokojące doznanie w żołądku dodatkowo się wzmogło, a myśli dziewczyny przeobraziły się w rój ciem, trzepoczących skrzydełkami wokół wspomnienia oszałamiającego uśmiechu młodzieńca i melodii płynącej z wykonanego przez jej ojca fletu.

W końcu znalazła właściwe drzwi, na samym końcu galerii, z której roztaczał się wspaniały widok na pałacowe ogrody. Ścianka *shoji* była akurat odsunięta i Suki poczuła wonny dym kadzidełka, wypływający z cienistego wnętrza. Weszła ostrożnie do środka i rozejrzała się w poszukiwaniu nowej pani, lecz nie zobaczyła nikogo. Na przekór wspólnemu dla większości arystokratów upodobaniu do prostoty tutaj panował wystawny nieład. Dekoracyjne parawany tworzyły w pomieszczeniu niewielki labirynt, a podłoga wyścielona była grubymi, miękko ustępującymi pod naciskiem stóp matami *tatami*. Wszędzie był też papier; w niemal każdym zakątku czekały pliki kart do składania origami, arkusze wszelkich możliwych stylów i faktur. Papierowe ptaki, stanowiące dominujący element wystroju, przyglądały się dziewczynie ze wszystkich powierzchni. Suki strąciła ze stołu stadko żurawi, by zrobić miejsce na tacę.

– Mai-chan? – Jedwabisty głos doleciał ją z sąsiedniego pokoju, delikatna tkanina zaszeleściła o maty. – To ty? Gdzie byłaś? Zaczynałam się martwić, że... Och!

W drzwiach pojawiła się kobieta i przez chwilę obie mierzyły się wzrokiem. Oszołomionej Suki opadła szczęka.

W Taiyo Daisuke znalazła najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego w życiu widziała. Teraz z kolei miała przed sobą zdecydowanie najbardziej elegancką i urodziwą mieszkankę pałacu. Jej czerwoną, zwiewną szatę pokrywały z przodu haftowane srebrną, złotą i zieloną nicią motyle. Lśniące czarne włosy miała finezyjnie upięte na czubku głowy, a podtrzymywały je czerwono-

złote pałeczki i grzebienie z kości słoniowej. Błyszczące w nieskazitelnej, porcelanowej twarzy ciemne oczy wpatrywały się w Suki ciekawie.

– Dzień dobry – przywitała się i dziewczyna czym prędzej zamknęła usta. – Czy wolno zapytać, kim jesteś?

– Jes... Nazywam się Suki – wyjąkała. – Jestem pani nową pokojówką.

– Rozumiem. – Wargi kobiety złożyły się w nieznaczny uśmiech. Suki była święcie przekonana, że gdyby arystokratka pokazała zęby, ich blask niechybnie rozświetliłyby cały pokój. – Podejź tu, proszę, mała Suki-chan. Tylko uważaj, żeby niczego nie zdeptać.

Dziewczyna wykonała polecenie. Podeszła, starannie omijając po drodze wszelkie papierowe stworzenia, i zatrzymała się tuż przed lady Satomi.

Kobieta uderzyła ją otwartą dłonią w policzek.

Ból eksplodował tuż za okiem. Suki padła na podłogę, zbyt zaskoczona, by choć pisnąć. Przełykając łzy, przycisnęła rękę do twarzy i podniosła zdziwione spojrzenie na przyglądającą się jej z uśmiechem lady Satomi.

– Czy wiesz, dlaczego to zrobiłam, mała Suki-chan? – spytała arystokratka i tym razem jej wargi odsłoniły zęby. Skojarzyła się dziewczynie z wyszczerzoną trupią czaszką.

– N-nie, moja pani – szepnęła, czując w policzku coraz silniejsze pieczenie.

– Dlatego że wzywałam Mai-chan, nie ciebie – odpowiedziała Satomi bezlitośnie promiennym tonem. – Domyślam się, że jesteś tylko głupią dziewczuchą ze wsi, Suki-chan, lecz tak bezdennej ignorancji nic nie tłumaczy. Wolno ci tu przychodzić tylko, kiedy zostaniesz wyraźnie wezwana. Czy rozumiałaś, co powiedziałam?

– Tak, moja pani.

– Uśmiechnij się, Suki-chan – zasugerowała Satomi. – Jeśli się uśmiechniesz, być może przebaczę ci akcent spoconych barbarzyńców z prowincji i godne wołu oblicze. Niesłuchanie trudno będzie nie znieubić cię od razu, ale postaram się jak mogę.

To chyba i tak wspaniałomyślne rozwiązanie, zgodzisz się, Suki-chan?

Dziewczyna, nie wiedząc, jak zareagować, uttrzymała język za zębami i pomyślała o Daisuke-sama.

– Suki-chan? To chyba z mojej strony wspaniałomyślne rozwiązanie? – powtórzyła Satomi z nutą groźby w głosie.

Suki głośno przełknęła ślinę.

– *Hai*, lady Satomi.

– Zniszczyłaś moje dzieła – zauważyła z westchnieniem kobieta i wyduła usta. Suki spojrzała w dół na zmiażdżone przy upadku origami. Arystokratka pociągnęła nosem i odwróciła się. – Jeśli ich czymś nie zastąpisz, bardzo się rozgniewam. W Dzielnicy Wiatru jest taki uroczy sklepik, w którym można kupić najdelikatniejszy papier lawendowy. Jeśli pobiegiesz, powinnaś zdążyć przed zamknięciem.

Suki wyjrzała przez otwartą ściankę na zewnątrz i zobaczyła kłębiące się nad pałacem, burzowe chmurzyska. Zagrzmiało, a po niebie przemknęły srebrno-niebieskie nitki błyskawic.

– Tak, lady Satomi.



Kolejne dni sprawiły, że Suki zatęskniła za ojcowskim warszatem, za spokojną wygodą zamiatania podłogi, cerowania dziurawej bielizny i przyrządzania trzech posiłków dziennie. Tęskniła za krzepiącym zapachem trocin i drewnianych ścinków, za klientami, którzy ledwie na nią spoglądali, pochłonięci ojcem i jego wytworami. Do niedawna sądziła, że praca pokojówki wielkiej pani będzie zajęciem prostym, że będzie pomagać wdziewać szaty, załatwiać sprawunki i dbać o wszelkie sprawy zbyt przyziemne, by trudzili się nimi arystokraci. Niewykluczone zresztą, że tak właśnie być powinno – zdążyła już przecież zauważyć, że inne służki w pałacu nie cierpią podobnego losu jak ona. Co więcej, odniosła też

wrażenie, że starają się jej unikać, jakby bratanie się z pokojówką lady Satomi mogło ściągnąć im na głowy gniew jej pani. Suki wcale się im nie dziwiła.

Lady Satomi okazała się koszmarem – przepięknym koszmarem utkanym z jedwabiu, pomad i uderzających do głowy pachnideł. Nie pasowało jej nic, cokolwiek Suki robiła. Bez względu na to, jak mocno dziewczyna szorowała i wyżywała, pranie nigdy nie zadowalało pani. Mieszkanie nigdy nie było w satysfakcjonującym stopniu wysprzątane – zawsze dało się znaleźć jakiś pyłek, delikatnie przesuniętą *tatami*, origami ustawione nie tam, gdzie trzeba. A każde niedociągnięcie pociągało za sobą nieznaczny uśmiech i szokująco dotkliwy policzek.

Oczywiście nikt się tym nie przejmował. Służące odwracały od sińców Suki wzrok, a strażnicy nie spoglądali na nią wcale. Sama Suki z kolei nie ważyła się skarżyć; lady Satomi nie była po prostu wielką i wpływową damą, była ulubioną konkubiną samego cesarza. Powiedzieć o niej coś złego znaczyłoby obrazić majestat Taiyo no Genjiro, wielkiego Syna Niebios, a za to czekała chłosta, publiczne upokorzenie lub coś nawet gorszego.

Przed popadnięciem w bezdenną rozpacz chroniła dziewczynę jedynie myśl o ponownym przypadkowym spotkaniu z Daisuke-sama. On, rzecz jasna, był możliwym arystokratą, dalece przerastał ją pozycją i nie zwróciłby uwagi na niedolę prostej służki. Jej jednak wystarczyłoby nawet przelotne spojrzenie. Wypatrywała go na krużgankach i galeriach wiodących do pokoi lady Satomi. Niestety, piękny młodzieniec zapadł się jak kamień w wodę. Później dowiedziała się z plotek, że Taiyo Daisuke opuścił Pałac Słońca niedługo po jej przyjeździe i wyruszył w jedną ze swoich tajemniczych pielgrzymek po kraju. Być może, pocieszała się Suki, zobaczy go, kiedy wreszcie powróci. Może znowu usłyszy melodię ojcowskiego fletu i idąc jej śladem, ujrzy powiewające na wietrze, długie śnieżnobiałe włosy.

Z rozmarzenia wyrwało dziewczynę silne uderzenie w twarz. Zadzwonilo jej w uszach i padła na podłogę.

– Och, jej. Taka z ciebie niezdara. – Lady Satomi stanęła nad nią w jednej ze swych cudownych szat. – Podnoś się, Suki-chan. Mam dla ciebie zadanie.

Arystokratka trzymała zwój cienkiego, jedwabnego sznura krwistoczerwonej barwy. Ledwie Suki dźwignęła się na równe nogi, powróż trafił w jej ręce.

– Słabego umysłu z ciebie stworzonko, prawda? Doprawdy nie jestem pewna, czy kiedykolwiek zdołam zrobić z ciebie dobrą służącą. Ale tę drobnostkę mogę chyba powierzyć nawet tobie. Zanieś ten sznur do magazynu we wschodnim ogrodzie, tym po drugiej stronie jeziora. Poradzisz sobie, prawda? I przestań się mazać, dziewczyno. Co o mnie ludzie pomyślą, jeśli moja służka będzie bez przerwy zalewać się łzami?



Suki ocknęła się w ciemności z pulsującym bólem pod czaszką. Widziała bardzo niewyraźnie, a w gardle miała dziwny, miedziany posmak. Gdzieś wysoko rozległ się grzmot i twarz dziewczyny omiótł ostry powiew naznaczonego wonią ozonu powietrza. Podłoże było zimne i twarde. Krawędzie kamieni nieprzyjemnie uciskały brzuch i twarz. Zamrugła i chciała podeprzeć się rękoma, lecz ramiona jej nie posłuchały. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ktoś skrępował jej dłonie na plecach.

W żyłach dziewczyny popłynął czysty lód. Przetoczyła się na bok i spróbowała wstać, ale okazało się, że ma również związane kolana i kostki. Usta wypełniała jej jakaś szmata, przewiązana dla pewności kawałkiem płótna. Suki wydała z siebie stłumiony wrzask i zaczęła się wściekle wić i szamotać. Natychmiast poczuła ból w drapiących o ostre kamienie ramionach. Kaleczyła się, zdierała kawałeczki skóry, lecz sznur trzymał solidnie. Zasapana,

wyczerpana, skapitulowała i znieruchomiała. Moment później uniosła głowę i rozejrzała się.

Leżała pośrodku dziedzińca, nie był to jednak nieskazitelny, elegancki dziedziniec Pałacu Słońca, wyłożony starannie zamiecionymi, białymi kamieniami i obsadzony regularnie strzyżonymi krzewami. Ten plac był mroczny, zasypany żwirem, zniszczony. Otaczający go zamek również był ciemny i opuszczony, majaczył nad nią niczym wielka, ponura bestia. Poszarpane chorągwie i proporce trzepotały pod murami. Zeschłe liście i okruchy gruzu walały się wszędzie dokoła. Kilka stóp od Suki leżał pusty, rdzewiejący hełm samurajski. W migocącym świetle błyskawic ujrzała na murach jaśniejące ślepia i mierzwione porywami wiatru pióra – wpatrywały się w nią dziesiątki wron.

– Witaj, Suki-chan – doleciał ją zza pleców dziwnie promienny głos. – Czyżbyś się wreszcie zbudziła?

Dziewczyna wykręciła głowę do tyłu. Lady Satomi stała kilka stóp od niej. Wiatr tarł jej rozpuszczone włosy. Rękawy czerwono-czarnego kimona furkotały niczym okrętowe żagle. Wpatrywała się w dziewczynę ołowianym spojrzeniem sponad wygiętych w nikły uśmiezek ust. Suki jęknęła, szarpnęła się i usiadła. Chciała zawołać o pomoc, zapytać, co się dzieje. Czy spotkała ją właśnie jakaś straszliwa kara za niespełnienie oczekiwań pani? Za to, że nie sprzątała, nie zamiatała i nie usługiwała w odpowiedni sposób? Spróbowała błagać o litość samym spojrzeniem, gorące łzy spłynęły jej po policzkach, lecz arystokratka jedynie zmarszczyła nos.

– Leniwa dziewczucha. Leniwa, a przy tym wielce delikatna. Nie mogłam ścierpieć twojego bezustannego pochlipywania. – Lady Satomi pociągnęła nosem i oddaliła się o parę kroków. Teraz już nawet nie patrzyła na dziewczynę. – Cóż, powinnaś być szczęśliwa, Suki-chan. Ciesz się, gdyż dzisiaj twoja niedola dobiegnie końca. Choć niestety oznacza to, iż będę musiała znaleźć sobie kolejną służkę. Co z wami jest, że uciekacie przede mną jak polne myszki? Niewdzięczne dziewczuszka. Nawet odrobiny poczucia obowiązku. –

Urwała z cierpiętniczym westchnieniem, po czym podniosła spojrzenie ku chmurom, gnanym coraz silniejszym wiatrem, rozświetlanym co chwila błyskawicami. – Gdzie ten *oni*? – mruknęła pod nosem. – Zdobycie stosownej opłaty kosztowało mnie wiele trudu. Rozgniewam się, jeśli nie zdąży przed burzą.

Oni? Suki była pewna, że się przesłyszała. *Oni* były wielkimi, straszliwymi demonami, pochodzącymi z Jigoku, krainy zła. Po świecie krążyły niezliczone opowieści o dzielnych samurajach zabijających te stwory, pokonujących niekiedy nawet całe armie *oni*, ale były to wszystko mity i legendy. Tymi demonami rodzice straszili niegrzeczne dzieciaki – nie chodź za blisko lasu, bo porwie cię *oni*. Słuchaj się starszych, bo *oni* wyciągnie łąpska spod podłogi i wciągnie cię pod ziemię aż do Jigoku. Strachy dla maluchów, potworni przeciwnicy dla legendarnych wojowników, lecz przecież nie rzeczywiste stworzenia, naprawdę krążące po Ningen-kai, krainie śmiertelników.

Coś oślepiająco błysnęło, rozległ się ogłuszający grzmot i na skraju dziedzińca pojawiła się wielka, rogata istota.

Suki wrzasnęła. Knebel przytłumił okrzyk, mimo to dziewczyna wydierała się do utraty tchu, dopóki zdyszana nie zadławiła się szmatą. Spróbowała zerwać się do ucieczki, ale padła ciężko na kamienne płyty. Wyrznęła podbródkiem o kamień, lecz prawie nie zarejestrowała bólu. Lady Satomi obrzuciła ją pełnym przygany spojrzeniem, poruszając przy tym ustami. Prawdopodobnie łajęła ją za hałas, jednak umysł Suki nie przyswajał w tej chwili niczego poza widokiem olbrzymiego demona – bo mógł to być jedynie mieszkaniec świata koszmarów – wchodzącego z wolna w krąg światła pochodni. Monstrum, które nie miało prawa istnieć.

Był naprawdę wielki, mierzył przynajmniej piętnaście stóp i wyglądał dokładnie tak groźnie i przerażająco, jak głosiły legendy. Skórę miał barwy ciemnego szkarłatu, w odcieniu krwi, a ramiona i plecy przesłaniała mu gęsta, zmierzwiona czarna grzywa. Po bokach pyska sterczały ostre, pożółkłe kły, zaś ślepie jarzyły się niczym gorące węgielki. Przy każdym stągnięciu demona trzęsła się

ziemia. Małeńka część umysłu Suki, ostatnia wolna jeszcze od grozy, zdołała sobie przypomnieć, że według podań *oni* przywdziewają niekiedy przepaski biodrowe, wykonane z ciał wielkich pasiastych zwierząt, lecz ten stwór nosił lakowaną zbroję płytkową, czerwone naramienniki, a także samurajskie osłony na uda i przedramiona. Zgodnie z mitami natomiast dzierżył potężną *tetsubo* – wysadzaną żelaznymi ćwiekami maczugę. Trzymał ją w jednej ręce i zarzucił sobie na ramię tak lekko, jakby ważyła nie więcej niż pałeczka atramentu.

– Nareszcie jesteś, Yaburamo. – Lady Satomi zadarła głowę i spojrzała zbliżającemu się *oni* prosto w oczy. – W pełni rozumiem, że w Jigoku czas nie istnieje i że niektórzy powiadają, iż jeden dzień tam przypomina osiemset lat w naszym świecie, lecz punktualność jest cudowną zaletą, którą winniśmy wykazywać się wszyscy.

Oni burknął. Gardłowy dźwięk wypływający pomiędzy kłami.

– Nie pouczaj mnie, śmiertelniczko. – Straszliwy głos wprawił w wibracje samo powietrze. – Wezwanie pomocy z Jigoku wymaga czasu, zwłaszcza jeśli ktoś chce przywołać całą armię.

Za plecami bestii pojawiła się, rozpostarta na podobieństwo wachlarza maszerujących mrówek, horda mniejszych demonów. Dorosłemu człowiekowi sięgałyby najwyżej kilka cali ponad kolana, a ich skóra mieniła się rozmaitymi odcieniami błękitu, czerwieni i zieleni. Wyglądały jak pomniejszone kopie *oni*, lecz od wielkiego demona różniły się szerokimi, falującymi uszami i maniakałnymi uśmiechami. Spostrzegły Suki i ruszyły naprzód szybciej, co chwila gardłowo rechocąc i oblizując trójkątne zęby. Dziewczyna ponownie wrzasnęła w knebel i zaczęła się szamotać, ale jej usiłowania przypominały walkę wyrzuconej na brzeg ryby.

Oni wydał z siebie ostrzeżenie, warknięcie dudniące niczym odległa burza, i horda czmychnęła z powrotem.

– To dla mnie? – zapytał demon. Jarzące się szkarłatem spojrzenie padło na Suki. – Wygląda smakowicie. – Zbliżył się do dziewczyny o krok, przez co niemal zemdląca.

– Cierpliwości, Yaburamo. – Lady Satomi powstrzymała olbrzymia wyciągniętą dłonią. Potwór zmrużył ślepią i nieznacznie wyszczerzył zęby, lecz kobieta zupełnie się tym nie przejęła. – Otrzymasz zapłatę już wkrótce – podjęła. – Chcę się jedynie upewnić, że wiesz, po co zostałeś wezwany. Że rozumiesz, co musisz zrobić.

– Jak mógłbym nie wiedzieć? – W głosie demona zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. – Smok powstaje. Nadciąga Zwiastun Zmiany. W tej dziedzinie straszliwego światła i słońca upłynął kolejny tysiąc lat i niebawem nastanie noc życzeń. Śmiertelnik mógł mnie przyzwać do Ningen-kai w takiej porze z jednego tylko powodu. – Na szkaradnym pysku demona odmalował się wyraz rozbawionej pogardy. – Zdobędę dla ciebie ten zwój. Cały bądź jego fragment, gdyż rozniosły go cztery wiatry. – Ognieście czerwone oczy ponownie skupiły się na Suki. Stwór rozciągnął wargi w leniwym uśmiechu, pokazał zęby. – Zrobię to wszystko, gdy odbiorę już swoją nagrodę.

– Dobrze więc. – Lady Satomi cofnęła się o krok. Z nieba spadły pierwsze krople deszczu. – Liczę na ciebie, Yaburamo. Jestem przekonana, że są też inni, którym zależy na odnalezieniu wszystkich fragmentów smoczego zwoju. Wiesz, jak postąpić, jeśli ich spotkasz na swej drodze. Cóż... – Rozłożyła różową parasolkę i osłoniła nią głowę. – Zostawiam ci zapłatę. Korzystaj.

Niebo zalało dziedziniec rześistym deszczem. Kobieta odwróciła się i ruszyła przed siebie. Suki krzyknęła w knebel i zaczęła pełznąć za swą panią, płacząc, błagając, modląc się do *kami* i wszystkich innych sił, jakie mogły ją usłyszeć. Błagam, myślała z rozpaczą. Proszę, nie mogę tak umrzeć. Nie tak.

Arystokratka przystanęła i obejrzała się z uśmiechem.

– Och, nie smuć się, Suki-chan – powiedziała. – To twoja chwila chwały. Dzięki tobie nastanie nowa epoka. Za sprawą twego poświęcenia zmieni się całe cesarstwo, a wraz z nim cały świat. I widzisz? – Lady Satomi przechyliła głowę na bok, przyglądając się dziewczynie jak skomlącemu szczeniaczekowi. – Nareszcie się do czegoś przydałaś. Komuś takiemu jak ty powinno to wystarczyć.

Pod Suki zatrzęsła się ziemia. Potężna łapa zacisnęła się na nogach dziewczyny, haczykowane szpony zanurzyły się w jej ciele. Suki wyła i szarpała się, prężyła w więzach, próbowała wywinąć się z uścisku demona, lecz ucieczka była wykluczona. Lady Satomi pociągnęła nosem, odwróciła się i odeszła, kołysząc parasolką. Ciągniętą przez *oni* dziewczynę otoczyły skrzeczące, tańczące mniejsze demony.

Pomocy. Błagam, niech mi ktoś pomoże! Daisuke-sama... Myśli dziewczyny uleciały nagle do arystokraty, ku jego przystojnej twarzy i łagodnemu uśmiechowi. Oczywiście wiedziała, że on nie przybędzie jej z pomocą. Wiedziała, że nie pomoże jej nikt, ponieważ nikt nie mógł się przejąć śmiercią zwykłej służącej. Ojciec, pomyślała zobojętniała z przerażenia Suki, przepraszam. Nie chciałam zostawić cię samego.

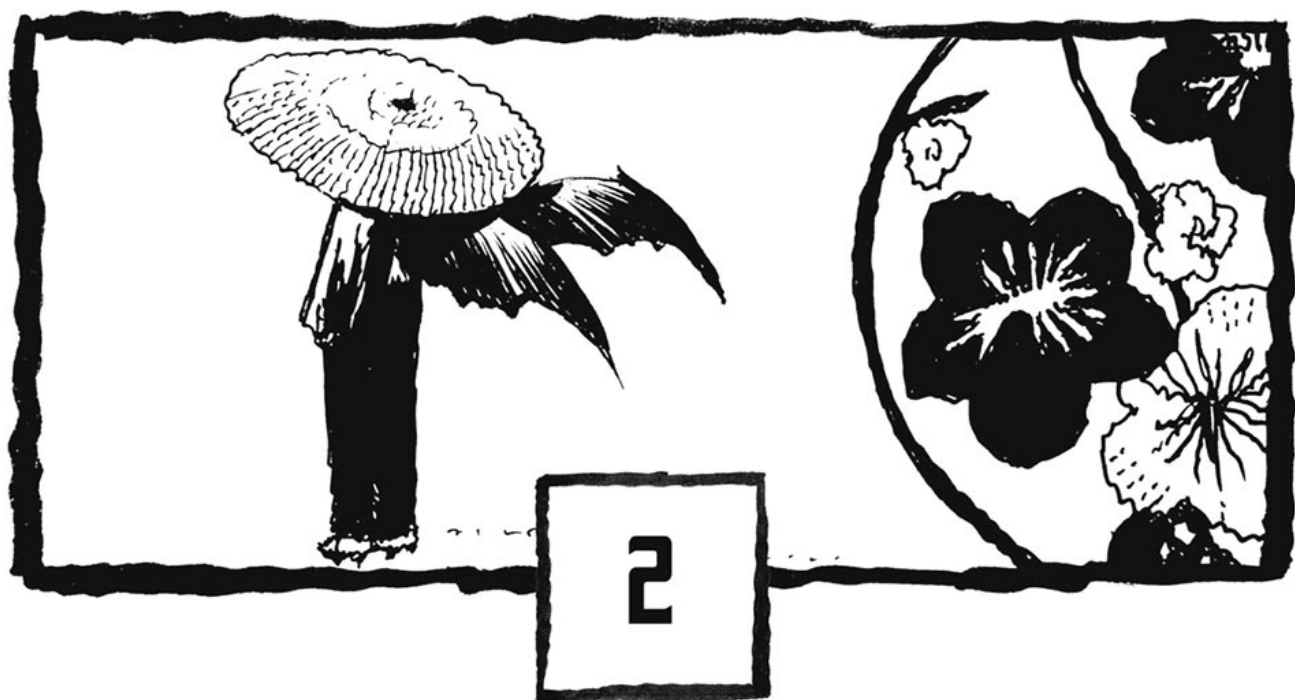
Gdzieś w głębi jej duszy przebudził się gniew i na moment zagasił strach. To okrutnie nieuczciwe, że zginie zabita przez demona, nie zdążywszy niczego w życiu dokonać. Była wprawdzie zaledwie służką, lecz miała nadzieję poślubić dobrego człowieka, wychować dzieci, zostawić po sobie coś ważnego. Nie jestem gotowa, myślała zrozpaczona. Nie mogę jeszcze odejść. Proszę, jeszcze nie.

Pazury zamknęły się wokół jej szyi i uniosła się ku straszliwemu, głodnemu uśmiechowi demona. *Oni* rozwarł paszczę i w twarz Suki uderzył gorący oddech, cuchnący dymem i przegniłym mięsem. Na szczęście w tej właśnie chwili postanowili interweniować litościwi bogowie i zdjeta strachem dziewczyna nareszcie zemdlą. Zmysły opuściły ciało na mgnienie, zanim szkarłatne łapy rozerwały je na pół.

W powietrzu rozeszła się czerwona, pachnąca krwią mgielka. Uszczęśliwione demony zawyły. Ze zmasakrowanych zwłok Suki uniosła się powoli, niezauważona przez horde, niewidzialna dla zwykłych oczu, niewielka kula światła. Zawisła nad makabryczną sceną, zupełnie jakby chciała przyjrzeć się jeszcze małym potworom, walczącym między sobą o ochłapy. Yaburama wydał z siebie donośny ryk i przegnał swoje sługi. Jaśniejąca kulka zdawała

się wahać pomiędzy wzbiciem się między chmury a pozostaniem na miejscu. Szybując leniwie ku górze, zatrzymała się, gdy w oddali błysnął w strugach deszczu wyrazisty kolor. Różowa parasolka zmierzająca ku zamkowej bramie. Kula straciła dotychczasową biel i zapłonęła wściekłą czerwienią.

Opadła gwałtownie spod nieba, przefrunęła bezszelestnie ponad głową demona, zniżyła się tuż nad ziemię i przemknęła przez zamykającą się ze zgrzytem bramę zamku, zostawiając za sobą demony i rozszarpane zwłoki zamordowanej służki.



LIS W ŚWIĄTYNI

Yumeko!

Wołanie poniosło się nad ogrodem, głośnie i gniewne. Aż się skrzywiłam. Siedziałam sobie cicho nad stawem i karmiłam właśnie okruszkami tłuste, czerwono-białe ryby rojące się tuż pod powierzchnią, kiedy od strony świątyni doleciało znajome brzmienie mojego imienia. Prędko ukryłam się za stojącą tuż nad wodą, dużą kamienną latarnią. Moment później na przeciwległym brzegu pojawił się Denga. Jego oblicze przypominało burzową chmurę.

– Yumeko! – zawołał ponownie mnich, więc tym mocniej przywarłam do szorstkiego, omszałego kamienia.

Byłam sobie w stanie wyobrazić, jak jego zwykle surowa, lecz spokojna twarz oblewa się czerwienią świątynnych kolumn. Widziałam, jak rumieniec zakrada się aż na łyse czoło. Oglądałam to zjawisko niezliczoną ilość razy. Bez wątpienia kołysał się teraz

warkoczyk z tyłu jego głowy, falowała mnisia szata. Z pewnością obracał się tam i z powrotem, obserwując brzegi stawu i okalające ogród kępy bambusa.

– Wiem, że gdzieś tutaj jesteś! – zagrział. – Sól w czajniczku... znowu! Myślisz, że Nitoru lubi, kiedy ktoś pluje mu w twarz herbatą? – Przygryzłam wargę, by nie parsknąć śmiechem, i wcisnęłam się w latarnię. – Przeklęty demon! – syczał Denga, a odgłos jego kroków oddalił się od stawu i rozbrzmiewał w głębi ogrodu. – Wiem, że zaśmiewasz się teraz jak głupia! Niech no cię znajdę. Będiesz zamiatać aż do godziny szczura!

Gderanie mnicha ucichło. Wyjrzałam zza kamienia i zobaczyłam go. Denga wszedł ścieżką między bambusy i po chwili straciłam go z oczu.

Uwolniłam oddech i z poczuciem triumfu usiadłam pod nadgryzioną zębem czasu latarnią. Śmiesznie było. Denga-san zawsze jest taki srogi i poważny; naprawdę powinien czasami popróbować innych min, bo jeszcze mu twarz popęka z napięcia. Uśmiechnęłam się szeroko, wyobrażając sobie spojrzenie Nitoru, kiedy odkrył, co trafiło do jego czajniczka. Niestety, Nitoru dzielił typ poczucia humoru z Dengą. Czyli nie posiadał go wcale. Zdecydowanie pora się ulotnić. Może zwinę jakąś książkę z biblioteki i ukryję się pod stołem. A, nie. Denga odkrył już to miejsce. Zły pomysł. Skrzywiłam się na myśl o wszystkich galeriach i korytarzach, które musiałabym porządnie zamieść, gdyby mnie złapali. Może to odpowiedni dzień, by zniknąć z klasztoru na dobre. Przynajmniej do wieczora. Ciekawe, co porabia dziś ta małpia rodzina?

W moim sercu wezbrały roztrzepotane emocje. W konarach prastarego cedru, wyrastającego daleko powyżej innych drzew w lesie, mieszkało kilkanaście żółtych małp. W pogodne dni, jeśli człowiek wspiął się na samą górę, można było stamtąd oglądać cały świat: od maleńkiej, leżącej u stóp gór wioski aż po odległy horyzont. Zawsze gdy wdrapywałam się na wierzchołek tego cedru i kołysałam się wraz z małpami i gałęziami, patrzyłam na wielobarwny,

rozciągający się pode mną kobierzec i zastanawiałam, czy to właśnie dziś jest ten dzień, kiedy wystarczy mi odwagi, by sprawdzić, co kryje się za widnokrzem.

Nigdy nie wystarczyło i czułam, że dzisiaj nic się nie zmieni. Ale przynajmniej nie będzie mnie tutaj. Nie miałam zamiaru czekać, aż Denga-san wciśnie mi miotłę do rąk, tłumacząc oschle, że muszę zamieść całą świątynię. Nie wyłączając dziedzińca.

Oderwałam się od latarni, odwróciłam... i stanęłam twarzą w twarz z mistrzem Isao.

Pisnęłam cicho, odskoczyłam odruchowo w tył i zderzyłam się z latarnią, większą ode mnie i cięższą, a zatem uparcie nieustępliwą. Sędziwy, białobrody mnich uśmiechnął się błogo w cieniu szerokoskrzydłego, słomianego kapelusza.

– Wybierasz się dokądś, Yumeko-chan?

– No... – zająknęłam się i podrapałam w tył głowy.

Mistrz Isao nie był roslym mężczyzną; chudy i patykowaty ustępował mi wzrostem o głowę, nawet kiedy miał na nogach drewniane chodaki *geta*. Niemniej nikt inny w całej świątyni nie cieszył się większym poważaniem i nikt też nie panował nad energią *ki* równie sprawnie jak właśnie mistrz Isao. Na własne oczy widziałam kiedyś, jak jednym ruchem ręki przełamał na pół drzewo, a innego dnia zgrabnym uderzeniem zmienił spory głaz w stertę żwiru. Był niekwestionowanym mistrzem Świątyni Milczącego Wiatru, człowiekiem zdolnym uciszyć salę wypełnioną posiadającymi silne charaktery adeptami *ki*, po prostu do niej wchodząc. Nigdy nie podnosił głosu, nie rzucał zagniewanych spojrzeń. A najsroższą miną, jaką oglądałam na jego twarzy, było łagodnie zmarszczone czoło. I budził wtedy najszczerze przerażenie.

– *Ano...* – wydukałam, a krzaczaste brwi mnicha powędrowały ku górze w cierpliwym rozbawieniu. Kłamstwem nie mogłam nic wskórać. Mistrz Isao zawsze wiedział wszystko o wszystkim. – Byłam... chciałam odwiedzić w lesie małą rodzinę, mistrzu Isao – wyznałam, wychodząc z założenia, że to najmniejsza z moich

zbrodni. Nikt nigdy nie zabronił mi wprost opuszczania terenu świątyni, lecz mnichom nie podobało się, gdy wychodziłam. Ilość ciężących na mnie w każdej minucie dnia pracy, treningów i innych obowiązków jasno wskazywała, że chcieli, bym była bez przerwy zajęta. Wolne chwile musiałam zazwyczaj dla siebie wykradać. Właśnie tak jak dzisiaj.

Mistrz Isao po prostu się uśmiechnął.

– Ach, mały. Cóż, obawiam się, że twoi przyjaciele będą musieli zaczekać, Yumeko-chan. – W jego głosie nie było nawet sugestii gniewu czy zaskoczenia. – Muszę pożyczyć chwilę twego czasu. Chodź ze mną, proszę.

Odwrócił się i ruszył brzegiem stawu w kierunku świątyni. Otrzeptałam rękawy i poszłam za mistrzem. Szliśmy bambusowym szlakiem, oznaczonym plamami słońca i skrawkami zielonego cienia, minęliśmy śpiewające kamienie, w których otworach nucił wesoło wiatr, pokonaliśmy czerwony, łukowato sklepiony mostek nad strumieniem. Szarobrązowy ptak przysiadł na gałęzi jałowca, nadał pierś i wypełnił powietrze przepiękną, rzewną pieśnią słowika. Zagwizdałam, by mu odpowiedzieć, na co zareagował pełnym oburzenia spojrzeniem i czmychnął między liście.

Wreszcie drzewa się cofnęły, zarośla rozstały, a my przeszliśmy obok małego ogrodu kamieni, wysypanego pieczołowicie zagrabionym piaskiem, i wspięliśmy się po świątynnych schodach. Po wejściu do tonącej w półmroku, chłodnej sali zauważyłam pod przeciwległą ścianą przyglądającego mi się niezbyt życzliwie Nitoru. Świadoma, że nie odważy się podejść w obecności mistrza Isao, pozdrowiłam go zawadiackim machaniem. Cóż, pewnie za karę będę zamiatać schody aż do zimy, ale ta mina... Warto było.

Mistrz Isao powiódł mnie kilkoma wąskimi korytarzami, minęliśmy otwierające się po bokach pokoje, aż wreszcie otworzył jedne drzwi i zaprosił mnie gestem do środka. Znalazłam się w znajomym pomieszczeniu, niewielkim, schludnym i pustym z wyjątkiem stojącego pod dalszą ścianą zwierciadła oraz wiszącego

obok zwoju. Na pergaminie widniała sylwetka wielkiego smoka szybującego ponad wzburzonym morzem i zagubioną wśród spienionych fal łódką.

Ukryłam westchnienie. Odwiedzałam ten pokój już kilka razy i zawsze kończyło się to identycznym rytuałem. Wiedząc, czego oczekuje mistrz Isao, przeszłam lekkim krokiem po matach *tatami* i uklęknęłam przed lustrem, jedynym w całej świątyni. Mistrz Isao zbliżył się i usiadł obok zwierciadła, twarzą do mnie. Dłonie złożył na kolanach. Przez chwilę po prostu siedział ze spokojnym wyrazem twarzy, choć miałam wrażenie, że jego spojrzenie przenika mnie na wylot.

– Co widzisz? – zapytał jak zwykle.

Spojrzałam w zwierciadło, z którego popatrzyło na mnie moje własne odbicie. Drobną, liczącą sobie szesnaście zim dziewczyną. Proste czarne włosy, rozpuszczone, sięgające połowy pleców. Miała na sobie słomiane sandały i krótkie szkarłatne kimono – przepasane białą szarfą – podarte w kilku miejscach, zwłaszcza na długich, luźnych rękawach. Dłonie miała brudne wskutek podpierania się nad stawem, kiedy rozmawiała z rybami, ciemne ślady znaczyły też jej kolana i twarz. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie obszarpanej, lecz najzupełniej zwyczajnej chłopki, być może córki rybaka lub rolnika.

Wrażenie to zniknęło w chwili, gdy zauważyła się wystający spod kimona puszysty, rudy ogon. A także duże, spiczaste, obdarzone czarnymi końcówkami uszy. Oraz jaśniejsze złote oczy, wyraźnie wskazujące, że nie była ani zwyczajną dziewczyną, ani w ogóle człowiekiem.

– Widzę siebie, mistrzu Isao – odparłam, ciekawa, czy tym razem uda mi się udzielić właściwej odpowiedzi. – Pod swoją właściwą postacią. Bez iluzji i barier. Widzę *kitsune*.

Kitsune. Lis. Czy też, bardziej precyzyjnie, pół-*kitsune*. Dzikie *kitsune*, żyjące w ukrytych zakamarkach Iwagoto, były prawdziwymi mistrzami iluzji i zmiany postaci. Choć niektóre decydowały się wieść życie zwyczajnych dzikich zwierząt,

magicznymi zdolnościami dysponowały wszystkie. *Kitsune* były *yokai*, istotami nadprzyrodzonymi. Jedną z ich ulubionych sztuczek stanowiło przybieranie ludzkiej postaci – najczęściej pięknej kobiety – i zwodzenie mężczyzn na manowce. Oglądana w normalny sposób, byłam zwyczajną dziewczyną. Bez kity, trójkątnych uszu czy żółtych oczu. Moją prawdziwą naturę odsłaniały jedynie zwierciadła i inne lustrzane powierzchnie. Lakowane stoły, nieruchoma tafla wody, a nawet ostrze miecza. Dlatego też zawsze musiałam bardzo uważać, gdzie stoję. W przeciwnym wypadku bystrzejsi obserwatorzy mogliby dopatrzeć się niezgodności między dziewczyną a jej odbiciem.

Przed tym w każdym razie przestrzegali mnie mnisi. Wszyscy wiedzieli, kim jestem, i często mi o tym przypominali. Mieszaniec, dziecko demona, lisica – tego typu określenia stanowiły nieodłączny element mojego codziennego życia. Naturalnie mnisi nie byli okrutni, byli po prostu praktyczni. Byłam *kitsune*, istotą nie w pełni ludzką, i nie widzieli powodu, dla którego mieliby udawać, że jest inaczej.

Zerknęłam ukradkiem na mistrza Isao, ciekawa, czy dzisiaj usłyszę coś innego, choćby mglistą wskazówkę dotyczącą tego, co chciałby usłyszeć ode mnie. Graliśmy w „co widzisz?” już wiele razy i żadna z moich dotychczasowych odpowiedzi – czy to „człowieka”, „demonia”, „lisa”, czy „rybę” – nie zdołała zaspokoić jego oczekiwań. Wiem o tym, ponieważ zawsze w końcu wracam do tego pokoju i znowu gapię się w odbicie *kitsune*.

– Jak postępy w nauce? – podjął mistrz Isao, nie zdradzając, czy w ogóle usłyszał odpowiedź ani czy była poprawna. W co swoją drogą bardzo mocno wątpiłam.

– Dobrze, mistrzu Isao.

– Pokaż mi.

Zawahałam się i rozejrzałam w poszukiwaniu odpowiedniego celu. Wielkiego wyboru nie miałam. Może lustro. Albo ten zwój na ścianie. Oba przedmioty jednak wykorzystywałam już wcześniej,

a mistrz Isao nie przepadał za oglądaniem w kółko tych samych sztuczek. To kolejna z gier, w które lubił ze mną grać.

Zauważyłam uczepiony do mojego rękawa żółty liść klonu i szeroko się uśmiechnęłam.

Sięgnęłam po listek, obróciłam go w palcach, po czym starannie ułożyłam go sobie na głowie. Magia *kitsune* potrzebuje kotwicy, należącego do naturalnego świata punktu zaczepienia, wokół którego powstaje iluzja. Słyszałam liczne opowieści o bardzo starych i bardzo potężnych *kitsune*, które potrafiły wyczarować uludę wprost z powietrza, ja jednak zawsze potrzebowałam rekwizytu. Kiedy skupiający magię listek spoczął na miejscu, przymknęłam nieznacznie oczy i przywołałam swą moc.

Odkąd pamiętam, magia nigdy nie sprawiała mi najmniejszych problemów. Powiedziano mi kiedyś, że to dar, spadek, który otrzymałam od swoich przodków *yokai*. Wykazywałam w tej dziedzinie niepośledni talent, zanim jeszcze nauczyłam się porządnie chodzić. Z upodobaniem wypuszczałam wtedy w świątynnych korytarzach fruujące *kitsune-bi* – niewielkie kulki zimnego, niebiesko-białego ognia. Magia dorastała wraz ze mną i niektórzy mnisi zaczęli namawiać mistrza Isao, by obłożył mnie zaklęciem ochronnym, które spętałoby mą moc i nie pozwoliło mi skrzywdzić żadnego z duchownych lub siebie samej. Dzikie *kitsune* notorycznie powodowały nieliczne kłopoty. Nie kierowała nimi złośliwość, lecz ich „dowcipy” bywały w najlepszym razie irytujące – na przykład kradzież jedzenia lub ukrywanie drobiazgów – a w najgorszym naprawdę niebezpieczne: płoszenie koni na wąskich, górskich ścieżkach albo wabienie nieostrożnych podróżnych w głęboki las czy na bagna, skąd nikt już nie wracał. Lepiej więc, żeby nic podobnego mnie nie korciło – tak przynajmniej twierdził Denga i kilku innych. Jednak mistrz Świątyni Milczącego Wiatru odmówił i okazał się w tym postanowieniu niewzruszony. Magia stanowi niebywale ważny element życia *kitsune*, oświadczył. Jest równie naturalna jak sen czy oddychanie. Wszelkie próby zmiany tego stanu rzeczy przyniosłyby więcej szkody niż pożytku.

Zamiast poddawać się zaklęciom, zaczęłam codziennie wprawiać się w korzystaniu z magii pod okiem mnicha imieniem Satoshi. Chodziło o to, bym nauczyła się panować nad lisim talentem i nie pozwoliła mu opanować siebie. Z początku większość mieszkańców świątyni podchodziła do pomysłu mistrza sceptycznie, lecz ja wiedziałam, że Isao ufa, iż nie wykorzystam swej mocy do płatania figli, więc starałam się opierać pokusie. Choć, przyznaję, niekiedy było mi trudno. Zabawnie byłoby przecież ukryć kota pod pozorem czarki na herbatę lub sprawić, by zamknięte drzwi wydawały się otwarte. Albo ułożyć pod schodami niewidzialny pniak. Lisia magia to nic więcej jak ułuda i mamienie niewinnych, zżymał się niejeden raz Denga-san. Żadnego z niej pożytku.

Być może to rzeczywiście prawda, myślałam, czując wzbierający w sobie żar magicznej mocy, ale za to ile zabawy.

Poczułam rozchodzącą się we mnie falę, zupełnie jakby moje ciało było wodą, do której ktoś wrzucił mały kamyczek. Spowił mnie kłęb podnoszącego się z podłoża białego dymu. Kiedy się rozproszył, uniosłam powieki i uśmiechnęłam się do lustra. Ze szklanej tafli spoglądał na mnie mistrz Isao, doskonała replika siedzącego obok starca. Jeśli nie liczyć rozświetlającego sędziwe oblicze, tchnącego dumą uśmiechu. I spoczywającego za nim białego ogona.

Prawdziwy mistrz Isao zachichotał i pokręcił głową.

– Czy nad tym właśnie pracujecie z Satoshim? – spytał. – Zaczynam się lękać, że niebawem nastanie dzień, kiedy drugi „ja” poleci Dendze-sanowi schwytać małą gołymi rękoma.

– Och, myśli mistrz, że byłby w stanie? Ależ byłoby prześmiesznie! Hm, znaczy w życiu bym się czegoś takiego nie dopuściła, rzecz jasna. – Zdjęłam z głowy liść i złudzenie prysło. Lisia magia rozviała się i ponownie stałam się sobą. Znów obróciłam listek między palcami i zastanowiłam się w duchu, jaka spotkałaby mnie kara, gdybym pod postacią mistrza Isao kazała Dendze wskoczyć do stawu. Był tak fanatycznie oddany przełożonemu, że nawet nie pomyślałby o sprzeciwie. A potem by mnie zapewne zamordował.

– Szesnaście lat – przypomniał miękkim głosem mistrz Isao. Obrzuciłam go lekko zdziwionym spojrzeniem. To coś nowego. Na tym etapie rozmowy odsyłał mnie zwykle z powrotem do obowiązków. – Dziś mija szesnaście lat, co do dnia, odkąd z nami zamieszkałaś – podjął niemal rzewnym głosem. – Szesnaście lat, odkąd znaleźliśmy cię w porzuconym pod bramą koszu na ryby, owiniętą w podarte szmaty, do których przypięty był liścik. „Proszę o zmiłowanie, lecz muszę zostawić to dziecko pod waszą opieką”. Tak brzmiała treść. „Nie osądzajcie jej zbyt surowo. Nie jej wina, kim się urodziła, a droga, po której kroczę ja, nie jest ścieżką dla niewiniątek. Na imię ma Yumeko, dziecię snów. Wychowajcie ją porządnie. Niech Wielki Smok prowadzi was i ją”.

Uprzejmie pokiwałam głową. Słyszałam tę opowieść dziesiątki razy. Nie znałam matki ani ojca i, szczerze mówiąc, niezbyt często o nich myślałam. Rodzice nie odgrywali w moim życiu żadnej roli i nie widziałam sensu w zamartwianiu się sprawami, na które nie mam wpływu.

Aczkolwiek zachowałam z wczesnego dzieciństwa jedno, bardzo mgliste wspomnienie. Niekiedy nawiedzało mnie we śnie. Spacerowałam wtedy po rosnącym pod świątynią lesie – chowałam się przed mnichami albo ganiałam wiewiórki – gdy w pewnym momencie poczułam na plecach czyjś wzrok. Odwróciłam się i ujrzałam białego lisa. Wpatrywał się we mnie, stojąc na powalonym pniu. Żółte ślepia jarzyły się w cieniu. Przyglądaliśmy się sobie przez długą chwilę, małe dziecko i *kitsune*, i choć byłam jeszcze bardzo mała, poczułam z tym stworzeniem powinowactwo, niezrozumiałą tęsknotę. Kiedy jednak spróbowałam się zbliżyć, lis natychmiast zniknął i nigdy go już potem nie zobaczyłam.

– Szesnaście lat – mówił w najlepsze mistrz Isao, nieświadomych myśli. – W tym czasie nauczyliśmy cię swojego sposobu życia, skierowaliśmy cię na dobrą, mam nadzieję, drogę, pokazaliśmy, jak szukać równowagi między tym, co ludzkie i lisie. Od początku wiedziałaś, kim jesteś. Nigdy nie skrywaliśmy przed tobą prawdy. Obserwując cię, widziałem zarówno spryt oraz przebiegłość *kitsune*,

jak i człowiecze współczucie. Widziałem w równej mierze bezduszość i dobro. Zdaję sobie sprawę, że stąpasz po cienkiej linii między światami ludzi i *yokai*. Cokolwiek wybierzesz, jakkolwiek ścieżką podążysz w dalszą drogę, nawet jeśli spróbujesz ich obu, decyzję musisz podjąć już wkrótce. Czas prawie nastał.

Nie wyjaśnił, co takiego ma na myśli. Nie zapytał, czy rozumiem. Może wiedział, że w połowie podobnych sytuacji i tak nie potrafiłam rozwikłać jego enigmatycznych słów, a w drugiej połowie po prostu go nie słuchałam. Niemniej uśmiechnęłam się i potaknęłam skinieniem, jakbym świetnie wiedziała, o co mu chodzi.

– Tak, mistrzu Isao. Rozumiem – powiedziałam.

– Dziecko, przecież ty nie masz pojęcia, co ja tu wygaduję – westchnął i pokręcił głową. – Ale to nic nie szkodzi. Nie z tego powodu cię tu dzisiaj sprowadziłem. – Odwrócił wzrok i zapatrzył się w nieokreśloną dal, a jego oczy ponownie zasnuł cień. – Jesteś już niemal dorosła, a w świecie zewnętrznym zachodzą wielkie zmiany. Pora, byś poznała prawdę, byś się dowiedziała, czego tak naprawdę strzeże Świątynia Milczącego Wiatru.

– Czego strzeże? – Potrząsnęłam głową i zobaczyłam w zwierciadle, jak lisie uszy pochylają się nieznacznie naprzód. – Nie wiedziałam, że w ogóle czegoś strzeżemy...

– Oczywiście, że nie wiedziałaś – stwierdził mistrz Isao. – Nikt ci przecież o tym nie mówił. To nasza największa tajemnica. Niemniej teraz i ty musisz ją poznać. Smok rośnie w siłę, kolejna epoka dobiega kresu.



Dawno, dawno temu – starzec zaczął mówić melodyjnym tonem doświadczonego bazarza – żył sobie pewien człowiek. Młody arystokrata, który dowodził wielką armią, a sług miał więcej, niż jest

ziaren ryżu na polu. Jego imię pochłonął czas, lecz mówi się, że był to mężczyzna arogancki i głupi i pewnego dnia zapragnął stać się nieśmiertelnym *kami*, bogiem. Zwołał w tym celu swych najlepszych wojowników i rozkazał, by przynieśli mu Fushi no Tama, klejnot obdarzający właściciela wiecznym życiem. Niestety, ów klejnot znajdował się w czole mieszkającego na dnie morza Wielkiego Smoka. Arystokrata łaknął jednak nieśmiertelności i przykazał wojownikom, by zdobyli Fushi no Tama bez względu na wszystko.

Samurajowie, ludzie nieco bardziej rozsądni niż ich pan, udali, że wyruszają na poszukiwania klejnotu, a arystokrata był tak pewien sukcesu, że przystroił swoje komnaty złotem i srebrem, a dach swego domu, jak przystoi bóstwu, nakrył jedwabiem.

Minęło kilka miesięcy, a wojownicy nie dawali znaku życia. Młody pan, zniecierpliwiony, wyprawił się na święte urwiska Ryugake, pod którymi według podań mieszkał w morskich odmętach Smok. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że ani jeden z samurajów nie wsiadł na łódź i żaden nawet nie zaczął szukać klejnotu. Wszyscy przy pierwszej sposobności opuścili rodzinną prowincję. Rozgniewany arystokrata zapomniał o rozwadze, wynajął statek ze sternikiem i osobiście wyprawił się w morze.

Ledwie nieszczęsny statek znalazł się na głębinie, rozpętała się gwałtowna burza, a morze rzuciło się na arystokratę i jego załogę niczym wściekły zwierz. Co gorsza, młodego pana zdjęła okrutna choroba i gdy wokół szalały fale i wył wicher, on leżał bliski śmierci. Kiedy sztorm przybrał na sile tak bardzo, że zagroził zatopieniem statku, sternik zawołał, że to z pewnością oznaka boskiego gniewu i że arystokrata powinien przebłagać potężnego *kami* z głębin modłami.

Młody pan nareszcie zrozumiał, że popełnił błąd. Ze wstydem i grozą pomyślał o tym, na co się porwał. Padł na twarz i tysiąc razy odmówił modlitwę, w której wyznawał skrucę i prosił o wybaczenie szaleńczego zamiaru. Zapewniał, że nie chce śmierci Wielkiego Smoka, i przysięgał, że nigdy już nawet nie spróbuje rzucać wyzwania Władcy Przyływów.

Większość utrzymuje, że arystokrata wrócił potem na rodzinne ziemie i że nie spotkało go nic gorszego od wron, które rozszarpały pokrywający dach jedwab, by ze strzępków tkaniny uwić sobie gniazda. Niemniej jedna legenda głosi, że kiedy młody pan skończył odmawiać tysięczną modlitwę, morze zawrzało i z głębin wynurzył się potężny Smok. Był trzy razy dłuższy od statku, jego ślepia płonęły niczym żagwie wśród nocy, a pośrodku czoła połyskiwała mu samotna perła.

Arystokrata wielce się przeraził, i słusznie, gdyż Smok sprawiał wrażenie ogromnie niezadowolonego. Młody pan padł na twarz i jął błagać wielkiego gada o litość. Smok postawił go przed wyborem. Zapowiedział, że spełni jego jedno, dowolne życzenie. Oferował bogactwa, wieczne życie, władzę nad samą śmiercią. To jednak miało kosztować człowieka duszę. Drugą możliwością było pozostawienie arystokracji duszy. Młody pan wybrał zachowanie duszy i wrócił do domu znacznie mądrzejszy.

Od tamtej pory, dokładnie co tysiąc lat, po roku na każdą modlitwę arystokraty, Smok wyłania się z morza na wezwanie śmiertelnika. Jeśli dusza przywołującego jest czysta, intencje sprawiedliwe, a serce szlachetne, Smok spełni jego życzenie. Jeśli jednak dusza śmiałka okaże się zbrukana, Smok wydrze ją z ciała i zabierze w ramach kary za arogancję śmiertelnika, który dawno, dawno temu postanowił stać się bogiem.



Opowieść mistrza dobiegła końca i w pokoju zapanowała cisza. Siedziałam zbita z tropu, myśląc, że historia jest w istocie ciekawa, lecz nie ma żadnego związku z naszą świątynią ani tym, czego tu rzekomo strzeżemy. Starzec przyglądał mi się przez chwilę bez słowa, po czym pokręcił głową.

– Nie rozumiesz, po co opowiedziałem ci tę legendę, prawda?

– Rozumiem! – zaprotestowałam zapalczywie, na co mistrz Isao uniósł krzaczaste brwi. – Opowiedziałeś ją po to, bym... tego... no. Nie, zupełnie nie rozumiem.

Nie skomentował nawet słowem. Po prostu czekał cierpliwie, niemo nalegając, jak to miał w zwyczaju, bym domyśliła się sama. Wyteńczyłam umysł, starając się pojąć. Mistrz wspomniał o smoku już wcześniej, potem smok pojawił się w opowieści, więc musiał być w jakiś sposób istotny. Jak to szło dokładnie?

– Smok rośnie w siłę – powtórzyłam po mistrzu, co spotkało się z pochwałą w postaci skinienia. – Według legendy można go przywołać raz na tysiąc lat. A śmiertelnik, który go wezwie, może liczyć na spełnienie dowolnego życzenia. – Lekko zmarszczyłam czoło. – Ale... dlaczego właściwie Smok spełnia te życzenia? Jest przecież bogiem, prawda? Z pewnością ma na głowie ważniejsze rzeczy, niż zaglądać do naszego świata choćby i co tysiąc lat. Chyba że po prostu lubi uszczęśliwiać ludzi?

– Ten Smok nie jest spełniającą ludzkie kaprysy marionetką, Yumeko-chan – powiedział mistrz Isao. – To wielki *kami*, bóg przyprawów i zwiastun zmiany. Za każdym razem gdy się pojawia, świat się zmienia, na lepsze lub gorsze, i toczy się w nowym kierunku.

– To by znaczyło, że... Czyżby zbliżał się czas, kiedy pojawi się Smok?

– Znakomicie, Yumeko-chan. – Starzec ponownie skinął głową. Na jego twarzy malowała się głęboka powaga. – Masz rację. Czas Smoka już niemal nastał. A wielu jest takich, którzy już teraz poszukują sposobu, by go przywołać. Smok jednak ukaże się wyłącznie temu, kto przywoła go właściwie. A właściwie przywołać go można jedynie, recytując dokładnie modlitwy młodego arystokraty, należy je powtórzyć słowo w słowo. Okrągły tysiąc modlitw.

– Tysiąc modlitw? – Pochyliłam głowę w bok. Zazwyczaj miałam kłopot ze spamiętaniem, jaki jest akurat dzień tygodnia. Nie potrafiłam sobie wyobrazić powtórzenia z pamięci całego tysiąca

modlitw. – To chyba strasznie trudne – zauważyłam. – Bo on raczej nie powtarzał w kółko jednej i tej samej. Ktoś powinien był je spisać...

Ach.

Elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsca. Tajemnica świątyni, uświęcony obowiązek mnichów. Spojrzałam na wiszący na ścianie zwój, na wizerunek Smoka i skazanego na zagładę statku. Dopiero teraz zrozumiałam, jak ważny jest to dokument.

– Tego właśnie strzeżemy – domyśliłam się. – Modlitwa, dzięki której można przywołać Smoka. Mamy ją... tutaj.

– To tylko fragment – rzekł ponuro mistrz Isao. – Widzisz, Yumeko-chan, dawno temu ktoś wykorzystał potęgę Smoka w bardzo złym celu. Zapanowały wówczas ciemność i chaos, szeszła niemal cała nasza kraina. Postanowiono wtedy, że tak wielkiej mocy nie wolno użyć już nigdy. Dlatego właśnie podzielono modlitwę na trzy części, które ukryto w odległych rejonach Iwagoto. Po to, by mrok nie powrócił.

– Ale... wydawało mi się, że Smok spełnia życzenia jedynie ludzi o prawym sercu – zauważyłam. – Czy życzenie kogoś takiego może sprowadzić na świat zło?

– Droga do Jigoku wyłożona jest szlachetnymi intencjami – odparł sentencjonalnie mistrz Isao. – A władza absolutna może skazić nawet najczystsze serca. Na tym polega obłęd człowieka. Niemniej teraz, kiedy wiesz już, co chronimy w naszej świątyni, musimy zachować wielką ostrożność. Właśnie dlatego żyjemy odcięci od świata, dlatego nie przyjmujemy tu gości. Kiedy przybędzie Smok, zmieni się układ sił. Poza naszymi murami panuje chaos. Ludzie walczą między sobą o władzę, nienaturalne istoty budzą się i krzepną, wyczuwając krew i przemoc. Świat okrywa ciemny całun strachu. Naszym obowiązkiem jest zadbać, by smocza modlitwa nigdy nie wydostała się na zewnątrz. Musimy strzec tej części zwoju przed każdym, kto chciałby użyć jego mocy. To nasze święte zadanie, a od dzisiaj także i twoje. Czy mnie rozumiesz, moje dziecko?

– Tak sędzę, mistrzu Isao. – Skinęłam głową, czując na plecach coś do złudzenia przypominającego lodowate pajęczne nóżki.

– Zbliży się do nas cień, mała lisico – podjął starzec cichym, odległym głosem. Nie patrzył już na mnie, utkwiał spojrzenie w ścianie za moimi plecami. – Jest z każdą chwilą bliżej. Być może nie wszyscy przeżyjemy. Na ciebie jednak nie padnie, jeżeli tylko zdołasz odnaleźć ścieżkę pomiędzy i wytrwasz przy świetle. – Zamrugął, po czym ponownie skupił wzrok na mnie. – Ach – uśmiechnął się – znów paplam bez ładu i składu, prawda? – spytał promiennie. – A ty chyba masz dzisiaj coś do zrobienia, prawda, Yumeko-chan? I jeszcze jedno... Gdybym chciał po południu uniknąć spotkania z Dengą i Nitoru, wymknąłbym się przez zachodni mur. – Mrugnął porozumiewawczo i wstał. – Do zobaczenia przy kolacji. Przekaż małpom moje wyrazy uszanowania.

Mistrz wyszedł, szurając nogami, i zasunął za sobą drzwi. Ja jednak jeszcze przez kilka minut siedziałam w bezruchu. Opowieść o Smoku i życzeniu krążyła mi w myślach, złowieszcza i kusząca. Nie podejrzewałam nawet, że w naszej świątyni może się kryć coś tak ważnego, nigdy w życiu nie przyszło mi do głowy, że Isao i pozostali nie są zwyczajnymi mnichami, lecz strażnikami potężnego skarbu. Modlitwy zdolnej sprowadzić na świat boga.

Smok rośnie w siłę.

Przebiegł mnie dreszcz. Czy właśnie dlatego znalazłam się tutaj, w tym pokoju? Od dawna podejrzewałam, że mistrz Isao sprawdza w trakcie tych spotkań, czy nadaję się do jakiegoś konkretnego celu. Nie miałam jednak pojęcia, cóż to może być. Własna przyszłość od zawsze była dla mnie obszarem mglistym i rzadko o niej myślałam, zbyt pochłonięta teraźniejszością, tym, co mogłam zrobić danego dnia. W głębi ducha zakładałam po prostu, że kiedy będę odpowiednio duża lub dostatecznie odważna, opuszczę Świątynię Milczącego Wiatru. Czyżby mistrz Isao chciał, bym stała się strażniczką smoczego zwoju? Żebym tutaj została i chroniła modlitwę przed zakusami ludzi pragnących skorzystać z mocy Smoka? Mam tu zostać na zawsze?

Otrząsnęłam się. Zostać w tej świątyni i siedzieć jak kwoka na zakurzonym kawałku starego papieru? Niemożliwe, by tego chciał. Wróciłam myślami do lekcji z Jinem, na których uczyłam się o świecie zewnętrznym i życiu poza murami naszego przybytku. Nigdy nie widziałam prawdziwego samuraja, lecz sporo o nich czytałam. Znałam klanowe nazwiska, ich tradycje oraz trzysta ostatnich lat historii Iwagoto. Po co uczyliby mnie tego wszystkiego, gdybym miała tu tkwić i pilnować starego zwoju? Dlaczego mistrz Isao kazałby wpajać mi wiedzę o świecie, którego miałabym nigdy nie zobaczyć?

Nie zrobiłby tego. Aż tak okrutny nie jest. Zmarszczyłam nos, wstałam i otrzepałam kolana, przekonana, że nic podobnego mnie nie czeka. Nie jestem silna, pomyślałam. Nie jestem wojowniczką ani mistrzynią *ki*. Jestem *kitsune*, która potrafi nakłonić czarękę z herbatą do szalonego tańca. Poza tym mistrz Isao ma przecież Denge, Jina, Satoshię i wszystkich innych, którzy z powodzeniem mogą chronić smoczą modlitwę. Moja pomoc nie jest im potrzebna.

Podeszłam do drzwi, starając się pozbyć nieprzyjemnego ciężaru, jaki rozgościł się w moim brzuchu. Poczucia, że oto właśnie zmienił się świat. Że coś się zbliża, nadchodzi, a ja nie mogę tego powstrzymać.

Przestań, Yumeko. To, że poznałaś prawdę o zwoju, wcale nie znaczy, że ktoś już za moment wedrze się do świątyni i spróbuje go skraść. Ułożyłam uszy na płasko, próbując przekonać samą siebie, że to głupie, że za ten zimny dreszcz na plecach odpowiada jedynie po mistrzowsku opowiedziana przez Isao historia. Że to nie jest żaden zły znak. Mam po prostu paranoję. Nigdy przecież nie przepadałam za strasznymi opowieściami. Może spacer po lesie pozwoli mi ochłonąć.

W ten sposób pokrzepiona uchyliłam lekko drzwi... i spojrzałam prosto w surowe, niewesołe oczy. Bez słowa przyjęłam miotłę, którą wręczył mi Denga-san, i powłócząc nogami, wyszłam z pokoju. Kiedy zamiotłam już wszystkie podłogi, galerie, schody, ścieżki, sale

i wszystkie inne płaskie powierzchnie w świątyni, legenda o zwoju i smoczym życzeniu zupełnie wyparowała mi z głowy.



WOJOWNIK CIENIA

Noc miała zapach śmierci. Tej bardzo bliskiej i tej czekającej w przyszłości.

Przycupnięty w gałęziach sękatej wisterii, obserwowałem uważnie posiadłość lorda Hinotaki. Odnotowywałem wszystkich strzegących okolicy gwardzistów, strażników i każdy patrol. Spędziłem w ten sposób już bez mała godzinę, ucząc się na pamięć rozkładu rezydencji i mierząc co do sekundy odstęp, w jakich wartownicy pokazywali się w danych punktach ogrodu. Teraz gdy księżyc wzeszedł na dobre, a godzina wołu osiągnęła pełnię, światło w najwyższym oknie zamku nareszcie zgasło.

Ciepły wiatr zaszeleścił w liściach chroniącego mnie drzewa, szarpnął za moje włosy i szarfę, którą przewiązałem twarz. Nikła woń krwi musnęła moje zmysły.

Coś ożyło w głębi mojego umysłu; iskra zniecierpliwienia, które nie było moim zniecierpliwieniem. Kamigoroshi, czy raczej

uwięziony w Kamigoroshi demon, był tego wieczoru szczególnie niespokojny. Przeczował zbliżającą się erupcję przemocy. Miecz, którego imię oznaczało Zabójcę Bogów, był stałym lokatorem mojego umysłu, odkąd sięgam pamięcią. Od dnia, kiedy zostałem wybrany na jego powiernika. Opanowanie kapryśnej broni zabrało ponad połowę mojego siedemnastoletniego życia. Bez treningu i porad mego *sensei* bez wątpienia padłbym ofiarą gniewu i nienasyconej żądz krwi uwięzionego w ostrzu demona. Nawet w tej chwili nie dawał mi spokoju, namawiając, bym dobył miecza, zeskoczył ze swojej grzędy i pomalował trawniki posiadłości czerwienią.

Cierpliwości, Hakaimono, przykazałem, zwracając się do demona jego imieniem, i poczułem, że się uspokoił, choć bardzo nieznacznie. Nie bój się, spełnię twoje życzenie już niedługo.

Ostrożnie przekradłem się po gałęzi, zeskoczyłem na zewnętrzny mur, po czym pobiegłem naprzód, ciągnąc za sobą wystrzępioną końcówkę szkarłatnej szarfy. W końcu dotarłem do miejsca, gdzie narożnik wyłożonego błękitną dachówką dachu wisiał nisko nad murem. Nisko oznaczało w tym wypadku porządne piętnaście stóp, lecz byłem przygotowany. Odpiąłem od pasa linę z hakiem. Zakręciłem nim dwukrotnie w powietrzu i rzuciłem. Stalowe zęby zabrzcęczały cicho i zaczepiły się o jedną z rzeźbionych ryb. Wspiąłem się na górę i po chwili przyczałem na dachu.

Ledwie wciągnąłem za sobą linę, zza zakrętu wyszedł samotny samuraj i przeszedł tuż pode mną. Strażnik patrolujący wewnętrzny mur. Zamarłem, nasłuchując cichnących kroków, i wyrównałem oddech, by opanować emocje. Nie mogłem dopuścić do siebie strachu, zwątpienia, gniewu ani żalu. Żadnego uczucia, które natychmiast wykorzystałby Hakaimono, aby wtargnąć do mego umysłu. Gdybym poczuł cokolwiek, demon przejąłby nade mną kontrolę i stałbym się więźniem jego krwiożerczej furii. Teraz jednak byłem wyłącznie pustym naczyniem, mieczem Klanu Cienia, a mój jedyny cel stanowiło wypełnienie misji.

Samuraj odszedł. Nieruchomy niczym jeden z kładących się na dachu cieni, odprowadzałem go wzrokiem, dopóki nie zniknął za

wyłomem. Zaraz potem, cicho stąpając po dachówkach, ruszyłem w kierunku twierdzy.

Gdy podkradłem się do otwartego okna, z wewnątrz wypłynęły głosy. Spiąłem się, przyspieszył mi puls, a Hakaimono skorzystał z tej chwili słabości, podpowiadając, żebym ich zabił, że muszę tych ludzi uciszyć, zanim mnie zobaczą. Zignorowałem namowy demona i przywarłem do ściany, za którą przeszło dwóch rozmawiających szeptem mężczyzn – samurajów, sądząc po marszowym kroku.

– To jakiś oblęd – tłumaczył jeden. – Yoji zaginął, a teraz i Kentaro przepadł bez wieści. Można pomyśleć, że połykają nas ściany. A lord Hinotaka w dodatku zabrania wstępu na ostatnie piętra. – Obniżył głos jeszcze bardziej. – Może to duch lady? Słyszałem plotkę, że została otruta...

– Zamknij głupi dziób – syknął drugi samuraj. – Lady Hinotaka zmarła tragicznie wskutek ciężkiej choroby i tyle. Lepiej trzymaj swój niecny jęzor za zębami, bo któregoś dnia narobi ci prawdziwych kłopotów.

– Mów, co chcesz – odparł pierwszy wojownik. – Ten zamek z dnia na dzień staje się coraz bardziej mroczny. Cieszę się, że jutro wyruszamy, choć to wariacka wyprawa. Zupełnie nie pojmuję, po co naszemu panu aż tuzin ludzi, by sprowadzić z gór na terytorium Klanu Ziemi jakiś starożytny artefakt.

Głosy z wolna ucichły, w zamku ponownie zapadła cisza. Wszedłem przez okno i znalazłem się w długim, wąskim korytarzu, którego ściany i podłogę wyłożono ciemnym drewnem. Było bardzo ciemno; drogę oświetlała mi jedynie wpadająca z zewnątrz poświata księżyca. Otoczyły mnie lepkie cienie. Ruszyłem w głąb gmachu, wyęzając słuch, by wychwycić ewentualny odgłos kroków. Jednak poza tamtymi dwoma strażnikami na piętrze nie było chyba nikogo. Nie zauważyłem krążących po korytarzu służących, w żadnym z pokoiów samuraje nie grali w *go* ani nie raczyli się sake. W powietrzu wisiała ciężka, kalająca wszystko atmosfera strachu. Wyczuł ją również demon z Kamigoroshi i poruszył się

podekscytowany w moim umyśle – żywy cień, wijący się niczym wąż, czekający w napięciu na rozwój sytuacji.

Schody wiodące na ostatnie piętro twierdzy znalazłem w ciemnym zakątku, u końca długiego, wąskiego korytarza. Nikt ich nie strzegł. Wszechobecna aura zła była w tym miejscu bardzo intensywna, a po stopniach spływały wstęgi czarno-fioletowych miazmatów, niewidocznych dla oczu zwykłego człowieka. Zarówno balustrada, jak i drewniane schody zaczynały butwieć, zaś parkiet sprawiał wrażenie przeżartego wiekiem. Przez kratkę w najbliższym oknie wpadła biała ćma. Ledwie znalazła się w korytarzu, spadła na ziemię, kreśląc wdzięczną spiralę. Zdechła.

Zacisnąłem zęby i ruszyłem na górę, starając się nie zwracać uwagi na wirujące dokoła nieczyste opary. Wreszcie otworzyło się przede mną najwyższe piętro. Grube drewniane ściany i zakratowane okna, za którymi majaczyło nocne niebo. Podłogę pokrywała warstwa ciemnej, przelewającej się mgły, dobywającej się ze szpary pod solidnymi drzwiami.

Podszedłem do nich i przytknąłem dłoń do drewnianej powierzchni. Wyraźnie wyczułem toczącą je, wyżerającą od środka chorobę. Otworzyłem je pchnięciem.

Tuman czarno-fioletowego zepsucia buchnął z wnętrza pokoju i wzbił się w powietrze. Przystanąłem w progu i zajrzałem w ciemność. Ściany i podłoga przestronnego, kwadratowego pomieszczenia pokryte były gęstymi splotami pajęczyny, które zwisały z sufitu i kleiły się do parkietu. Przędza oplatała też podtrzymujące powalę słupy, kołysała się na belkach. Wyglądało to jak falujące na wietrze, podarte kotary. Gdzieniedzie tkwiły w nich zbiegające kości, pobrzękujące sucho niczym makabryczne dzwonki wietrzne. Pod ścianami wypatrzyłem kilka dużych, wysokich jak dorosły człowiek kokonów, przymocowanych do drewna pasmami pajęczyny.

Wszedłem do środka i usłyszałem za sobą skrzyknięcie zamykających się drzwi. Pokrywające podłogę sieci oblepiały moje buty *tabi*, lecz nie zdołały spowolnić mych kroków. Przędza

szeleściła, pasemka wibrowały, grały kościanymi grzechotkami. Nie starałem się zachować ciszy. Mój cel znajdował się tutaj, tajemnica nie była już potrzebna.

Z mroku doleciał mnie cichy chichot, miękki i kobiecy, od którego zjeżyły się włoski na moich przedramionach.

– Słyszę stąpanie drobnych, męskich stóp. – Aksamitny głos dobiegał echem ze wszystkich stron. Pasma pajęczyny nie pozwalały mi dostrzec jego źródła. – Czyżby lord Hinotaka przysłał mi kolejną zabawkę? Istotę młodą i przystojną, złąknioną miłości? Pójdź no do mnie, najśłodszy – wabił nieziemski szept.

Zacisnąłem dłoń na rękojeści Kamigoroshi, czując dziką niecierpliwość demona.

– Pójdź, pokocham cię. Oplotę cię swoją miłością i nigdy nie wypuszczę.

Ostatnie słowa rozbrzmiały dokładnie nade mną, w tym samym momencie, w którym Hakaimono wypełnił mój umysł ostrzegawczym impulsem. Instynktownie rzuciłem się szczupakiem naprzód i padając, poczułem, że coś chwyta mój rękaw. Przetoczyłem się, poderwałem z podłogi i odwróciłem. W miejscu, w którym przed chwilą stałem, kołysała się zwisająca z sufitu wielka, pękata istota. Osiem pokrytych chityną odnóży drapało o parkiet.

– Podstępny, nędzny samiec.

Potwór rozstawił kończyny i opadł na podłogę. Z suchym szczękiem pancerza zwrócił się przodem w moją stronę, ukazując głowę i tułów pięknej kobiety osadzone na potężnym, pajęczym odwłoku. Ludzka połowa odziana była w eleganckie, czarno-czerwone kimono, lecz w porównaniu z rozmiarami części pajęczej zdawała się wręcz żałośnie mała. Kołysząca się nade mną *jorogumo* pochyliła głowę i uśmiechnęła się. Spoza wydatnych, czerwonych warg błysnęły drobne, czarne kły.

– Cóż to ma być? – szepnęła, gdy mocniej chwytając miecz, ugiąłem lekko nogi w kolanach.

Hakaimono szalał w moim umyśle. Głodny, wściekły demon wyostrzał mi zmysły, sprawiał, że samo powietrze smakowało jak krew.

– Chłopiec? Przyszedłeś do mnie? Szukałeś mnie? – Pochyliła głowę w drugą stronę. – Nie przypominasz innych. Nie jesteś jak mężczyźni, których Hinotaka przysyła do mojego leża. Najpierw tak pełni dumy, a potem tak przerażeni. Na początku wymachują rękoma i nogami jak wystraszone świerszcze. Ale ty... ty się nie boisz. Jakież to cudowne.

Nie odpowiedziałem. Strach był pierwszą emocją, z której oczyszczono moje ciało. Strach, najbardziej niebezpieczne z uczuć. Mój *sensei* nauczał, że jest to po prostu niechętna reakcja ludzkiego ciała na ból i cierpienie. Samuraj napotykalący w lesie głodnego niedźwiedzia nie boi się samego zwierzęcia, lecz tego, co ono może mu zrobić. Boi się pazurów, które mogą rozszarpać jego ciało, zębów, które mogą zmiażdżyć mu kości i wycisnąć z nich życie. Zostałem wyszkolony do tego, by znosić to, czego nie przetrzymałoby wielu innych. Słabość została pokonana, wypalona, wycięta i wydarta z mojego ciała. To, co pozostało, było jedynie bronią. Nie obawiałem się bólu, nie lękałem się śmierci, ponieważ moje życie wcale nie należało do mnie. Olbrzymi, ludożerczy potwór, kobieta-pająk, nie napawał mnie większą obawą niż wygłodniały niedźwiedź. Tak, mogła mnie zabić, ale nic gorszego zrobić mi nie była w stanie.

– No chodź już, mały zuczku – zachichotała *jorogumo*, wyciągając ku mnie smukłe, białe ramiona. Aksamitny głos obniżył się jeszcze bardziej, hipnotyzował. Jego miękkie brzmienie wypełniło mi głowę, oplotło mą wolę i zaczęło tkać w mym umyśle pajęczyny. – Czuję, jak samotny jesteś w głębi serca. Pozwól się pokochać. Pozwól, że uśmierzę cały żal i wszystkie ciężące twej duszy utrapienia. Posmakujesz słodczy mego pocałunku, zaznasz miękkości mego objęcia, a potem łagodnie przyprawię cię o ekstazę.

Jorogumo podeszła z niegasnącym uśmiechem. Jej twarz wypełniła mi pole widzenia, zniknęło wszystko poza nią.

– Masz takie piękne oczy – zamruczała jedwabście. – Przypominają płatki kwiatu wilczej jagody. Chętnie bym je zerwała i zawiesiła sobie w salonie. – Nachyliła się, zakrzywione czarne paznokcie przejechały po moim policzku. – Śliczny mały człowieczek... Nie powinniśmy rozmawiać jak nieznajomi. Jak się nazywasz, zuczku? Zdradź mi swe imię, a będę mogła je szeptać, pożerając twe ciało.

Poczułem, że demon uśmiecha się szeroko. Usłyszałem własny głos, zwracający się do kobiety-pajaka. Głos był mój, słowa już nie.

– Przecież wiesz, jak się nazywam.

Dobyłem miecza i Kamigoroshi ożył, zalewając pomieszczenie złowrogą, fioletową poświatą. *Jorogumo* wrzasnęła i odskoczyła do tyłu. Łagodne i spokojne dotąd oblicze wykrzywił nienawistny grymas.

– Kamigoroshi! – wyszczała, obnażając kły. Czarne oczy zwęziły się, omiotły mnie uważnie, szacowały. – Ty musisz być zabójcą demonów z klanu Kage.

Uśmiechnąłem się lodowato i ruszyłem naprzód, czując, jak moc miecza wypełnia me żyły furją i żądzą krwi. *Jorogumo* zaczęła się cofać, odnóża stukwały o posadzkę, blada twarz lśniła w fioletowej poświacie Kamigoroshi.

– Dlaczego? – podjęła z pretensją, zginając długie palce niczym drapieżne szpony. – Wszystko, czego mi trzeba, dostaję tutaj. Zabieram jedynie mężczyzn, którzy nie dochowują lojalności Hinotace. Tych, których on sam uznaje za niegodnych dalszej służby. Czymże jest dla ciebie życie garstki samurajów, zabójco demonów?

Nie odpowiedziałem. Po prostu posuwałem się naprzód, czując w dłoni pulsowanie ostrza. Nie do mnie należało kwestionowanie rozkazów klanu, nie musiałem wiedzieć, dlaczego zapragnęli śmierci tej *yokai*. Aczkolwiek gdybym miał zgadywać, wystarczającym powodem było samo pojawienie się *jorogumo* na terytorium Klanu Cienia. My, rodzina Kage, byliśmy ekspertami w dziedzinie ciemności; lepiej niż którykolwiek inny klan cesarstwa

znaliśmy tajemnice cieni i zamieszkujących je istot. Byłem zabójcą demonów z klanu Kage. Na tym polegała moja praca.

Jorogumo nabrzmiała nienawiścią i gniewem.

– Nędzny człowieku – syknęła i rozwarła usta, ponownie demonstrując ostre, czarne kły. – Nie zabijesz mnie, jak zabiłeś Yaku Stuokiego lub plemię *nezumi* w wiosce Hana. Odgryzę ci głowę, a połykając cię, będę się rozkoszować smakiem twojej krwi.

Skoczyła naprzód. Pomknęła przez parkiet niczym czarno-żółty obłok, wstrząsając szybko jak na istotę jej rozmiarów. Ostrzegły mnie zmysły. Uskoczyłem w bok, a jedno z cienkich odnóży uderzyło o podłogę tak mocno, że pękła deska. Zawirowałem w miejscu i zadałem cios mieczem. Kamigoroshi rozciął pajęczą nogę, rozbryzgując wokół mgiełkę czarnej mazi. Raniona *jorogumo* wydała z siebie gniewny skrzek.

Hakaimono nagroził mnie zajadłym wyciem, napawał się przemocą, namawiał, bym wyzwolił pełnię jego mocy. Unikając gwałtownej riposty *jorogumo*, odzyskałem panowanie nad sobą. Długie kończyny szarżującego potwora cięły niczym sierpy. Zapędzony w róg pokoju, wyszeptalem pospiesznie krótką inkantację w języku cienia i oddzielił się ode mnie drugi Tatsumi. Obaj pognaliśmy w przeciwnych kierunkach.

Jorogumo zawahała się, skonsternowana pojawieniem się mojego lustrzanego odbicia, dając nam dość czasu, byśmy ją obiegli. Syknęła i zwróciła się ku Tatsumiemu po lewej. Walnęła nogą. Pokryta chityną kończyna przeszła gładko przez mojego sobowtóra i zderzyła się ze słupem. Odbicie rozwiało się niczym czarna mgła i zniknęło. Stojąc w tej chwili za masywnym odwłokiem *yokai*, poderwałem Kamigoroshi i uderzyłem.

Bryznęło żółtym śluzem, którego krople padły z sykiem na podłogę. Krzyk *jorogumo* zatrzęsł wiszącymi dokoła pajęczynami.

– Zły człowiek! – zaskrzeczała, obracając się ku mnie przodem. Z rany ciekł strumień gęstej cieczy. – Jak śmiesz kaleczyć moje piękne ciało? – Zachwiała się, odnóża straciły przyczepność. Skoczyłem i pchnąłem, mierząc w miejsce, w którym kobieta

spotykała się z pająkiem, chciałem rozdzielić obie połowy raz na zawsze.

Jorogumo wyszczerzyła zęby.

– Przeklinam twe oczy! – wycedziła i strzeliła z ust zielonym płynem, który rozszedł się obłoczkiem w powietrzu. Wygiąłem się, by go uniknąć, lecz mimo to poczułem osiadającą mi na twarzy jedwabistą mgiełkę. Mgnienie później zapiekły mnie oczy. Gwałtownie mrugając, cofnąłem się i, nie opuszczając miecza, otarłem się rękawem. Spojrzałem przez łyzy, ujrzałem niewyraźny, czarno-żółty kształt i zamasyście ciąłem. Ostrze trafiło w coś sporego. W tej samej chwili pajęcze odnóże grzmotnęło mnie niczym młot i odrzuciło na bok. Poczułem, że coś wyrywa mi Kamigoroshi z ręki. Potoczyłem się po podłodze, płacząc w kleistych sieciach, aż wreszcie zatrzymałem się pod ścianą.

Oszołomiony, wciąż na pół ślepy, słysząc w głowie zirytowany warkot Hakaimono, podniosłem się i zacząłem rozpaczliwie szukać broni, ale nagle coś podcięło mi nogi. Runąłem na brzuch, obejrzałem się i zobaczyłem, że kostki oplecione mam grubymi pasmami pajęczyny. Ich sznury ciągnęły się aż do podbrzusza *jorogumo*. Wielka *yokai* uśmiechnęła się, obnażyła czarne kły i zaczęła przyciągać mnie do siebie niczym złapaną na haczyk rybę.

– Chodź, smakowity robaczku – mruknęła przymilnie.

Odwróciłem się, wygiąłem ciało i spróbowałem zerwać przędzę z nóg, lecz sploty były mocne jak najprawdziwszy jedwab. Ogarnięty rozpaczą zacząłem się rozglądać za czymkolwiek, co pozwoliłoby mi się uwolnić. Byłem na siebie wściekły. Popełniłem błąd i mogłem sobie wyobrazić, co powie Ichiro, jeśli pozwolę się pożreć *jorogumo*. Obmacywałem podłogę w nadziei, że znajdę ostrą kość lub upuszczony miecz. Daremnie. Poza kurzem i kilkoma kostkami palców w pobliżu nie było nic.

– Obmyśliłam dla ciebie wyjątkową atrakcję, człowieczku – zapowiedziała *yokai*, patrząc, jak bezradnie ślizgam się po podłodze. – Możesz zostać żywicielem następnego miotu mych dzieci. Złożę w twoim żołądku setkę jaj i zachowam cię przy życiu do dnia, kiedy

się wyklują i pożąra cię od środka. – Między czarnymi kłami popłynął chichot. Korzystając z nadnaturalnej siły, przyciągała mnie ku sobie. – Ciekawe, może ten miot okaże się silniejszy od poprzedniego? – spytała jakby w zadumie. – Może mięso zabójcy demonów doda im krzepy?

Od wielkiej *yokai* dzieliło mnie już bardzo niewiele, wyraźnie widziałem połyskujące w jej oczach iskry triumfu. Z uśmiechniętych ust kapał jad. Mój żołądek zareagował na ten widok gwałtownymi mdłościami. Pozostało mi tylko jedno. Opadłem miękko na plecy, rozluźniłem się i otworzyłem umysł na zamkniętego w mieczu demona.

Odpowiedział w okamgnieniu, jasny rozbłysk w ciemności, przepełniający me serce furją. Poczulem na dłoni ukąszenie rękojeści. Zacisnąłem palce i otworzyłem oczy.

Twarz *jorogumo* wisiała tuż nade mną, sterczące w rozchylonych szczękach czarne kły zbliżały się do mojego gardła. Ujrzałem w jej oczach własne odbicie – swoje płonące szkarłatem spojrzenie – a także strach, który pojawił się w chwili, gdy poniewczasie uświadomiła sobie, kogo tak naprawdę zловиła. Błysnęła klinga Kamigoroshi, ostrze rozorało jej twarz i cofnęła się, podrywając dłonie do oczu.

Rozciąłem krępującą mnie pajęczynę, skoczyłem na równe nogi i wbiłem miecz głęboko w pękate podbrzusze *yokai*. Stał weszła po rękojeść. Zanim *jorogumo* zdążyła się ruszyć, przebiegłem pod nią, ciągnąc za sobą tkwiący w jej wnętrzu miecz, aż wreszcie znalazłem się po drugiej stronie.

Ciężko dysząc, opuściłem z wolna Kamigoroshi i strzepnąłem z niego żółty śluz. Za moimi plecami rozległ się wrzask i głucho stuknięcie padającego potwora. Cienkie odnóża biły z chrzęstem chityny o podłogę, *jorogumo* krzyczała i wiła się. Z jej ust płynęły wilgotne odgłosy krztuszenia, aż w końcu nogi zbiegły się nad rozplatanym brzuchem i ostatecznie znieruchomiała.

To za mało. Hakaimono wciąż szalał w mym umyśle, domagał się więcej. Więcej krwi, więcej śmierci. Jego furia nie została

zaspokojona, jej nigdy nie można było zaspokoić. Mimo że złożyłem w ofierze jedynie drobną część duszy, demon wbił swe szpony bardzo głęboko i trzymał zaciekłe. Zaczepiłem spory oddech, zablokowałem umysł i uczucia, stałem się pustym naczyniem, pozbawionym słabości, których mógł się uczepić. Hakaimono walczył, rozpaczliwie starał się zachować kontrolę, nie chciał wracać w mrok, lecz skoncentrowałem się na nicości, na byciu nicością i intruz po chwili odpłynął.

– Coś ty zrobił?

Przerażony głos rozległ się za moimi plecami. Ścisnąłem mocniej miecz i odwróciłem się. W drzwiach stał przysadzisty mężczyzna w średnim wieku. Miał gąbczastą cerę, nosił znakomicie skrojone szaro-niebieskie kimono i rozłączał aurę człowieka, który bardzo dobrze jada, przesiadując na najmiększych poduszkach. Pobladył powiódł po pokoju wstrząśniętym wzrokiem.

– Zabiłeś ją – jęknął, kiedy jego czarne spojrzenie padło na skreconą, martwą *jorogumo*. – Zabiłeś! Dlaczego? Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś?

Nie odpowiedziałem. Oczywiście, że zdawałem sobie sprawę – zabiłem *yokai* na rozkaz klanu. Po to mnie tu przysłano. Powody nie miały znaczenia. Byłem po prostu bronią, mieczem. A broń nie pyta o intencje tych, którzy po nią sięgają.

– Jak mogłeś – ciągnął nieznajomy płaczliwie. Wszedł do środka. – Tylko ta jedna istota troszczyła się o mnie. Jedna jedyna na całym świecie. Jedyne żywe stworzenie, które obdarzyło mnie miłością. Żona, niech szeptem, wyłącznie mną gardziła i wiecznie krytykowała. Nawet moi ludzie drwią ze mnie i knują za moimi plecami. A ta istota... – z rozpaczą spojrzał na leżące na parkiecie cielsko – wyzwoliła mnie. Obiecała pomóc osiągnąć wszystko, czego naprawdę pragnę, spełnić moje największe życzenie. – Jego spojrzenie stwardniało, zacisnął mocno zęby, przez co zafalowały mu obwisłe policzki. – Z wdzięczności za to, czym mnie darzyła, z radością poświęciłbym jej apetytowi choćby i tysiąc ludzi.

Pod lordem Hinotaką ugięły się nogi i osunął się na kolana, nawet na moment nie odrywając wzroku od leżącej za mną *jorogumo*.

– Kimkolwiek jesteś – podjął drżącym głosem – opuść tę twierdzę, zanim zaalarmuję strażę. Domyślam się, iż zlecono ci zgładzić potwora z zamku Usugurai. Wypełniłeś swój obowiązek. Odejdź więc i niech przez resztę dni towarzyszy ci klątwa tysiąca mściwych duchów. Zabiłeś, kogo miałeś zabić, a teraz zostaw mnie samego z mą niedolą.

– Jeszcze nie – odpowiedziałem szeptem, po raz kolejny unosząc Kamigoroshi. – Zanim uznam misję za wykonaną, muszę zgładzić jeszcze jednego potwora.

Zdziwiony Hinotaka zmarszczył czoło, lecz zaraz potem otworzył szeroko oczy i sięgnął po wsunięty za pas *obi* miecz – za późno. Kamigoroshi gładko rozciął mu szyję. Głowa spadła z karku, odbiła się od drewnianej podłogi i potoczyła, by znieruchomieć tuż przy trupie *jorogumo*. Bezgłowy korpus stuknął głucho o parkiet, a pokrywający wszystko kobierzec pajęczyny zabarwił się szkarłatem.

Otrząsnąłem krwawe krople z miecza i przez chwilę przyglądałem się broczącemu posoką ciału arystokraty. Zabicie Hinotaki nie sprawiło mi przyjemności. To klan zażądał jego śmierci; ja byłem po prostu wykonującym tę wolę narzędziem. By zaspokoić żądze *jorogumo*, pan zamku Usugurai zamordował własną żonę i poświęcał swych ludzi. On sam jednak był zaledwie marionetką. *Jorogumo* była w istocie dwustuletnim *yokai* i brukała swoim istnieniem Iwagoto od długiego już czasu. Kiedy wyszukała odpowiedni zamek, urządziła sobie legowisko w jego opuszczonej części, zwodziła miejscowego lorda obietnicami miłości i władzy, a następnie stopniowo pożerała wszystkich jego ludzi. Z czasem nieuchronnie zwracała się przeciwko samemu omamionemu arystokracie, paraliżowała go i ukrywała w swym schronieniu, a następnie uciekała i rozpływała się gdzieś w mrokach nocy. Jej ostatnią ofiarę znajdowano zwykle dopiero po wielu dniach,

wiszącą w pajęczej sieci i wypatroszoną od wewnątrz przez setki wydostających się z ciała maleńkich pajaków. O *jorogumo* tymczasem ginął wszelki słuch, lecz po mniej więcej dwudziestu latach wynurzała się z odmętów plotek i legend, a cykl rozpoczynał się na nowo.

Ale teraz nastał koniec. Potworny *yokai* nie żył, a jego głód nie pochłonie już ani jednego ludzkiego istnienia. Hinotaka był ostatnią ofiarą. Skąd Kage wiedzieli, kiedy i gdzie pojawi się *jorogumo*? Dlaczego zostałem wysłany, by ją zabić akurat teraz? Nie miałem pojęcia. Nie do mnie jednak należało stawianie podobnych pytań; liczyło się jedynie wypełnienie misji.

Spoglądając na ciało arystokraty, poczułem nikły cień żalu. Był ostatnią z długiego szeregu ofiar *yokai*, lecz co mogło powodować człowiekiem goszczącym we własnym zamku tak straszliwe monstrum? Co sprawiało, że obdarzył ją uczuciem? Nie pojmowałem tego, ale ta sprawa również nie miała znaczenia. Hinotaka nie żył i spotkał go los znacznie bardziej litościwy, niż gdyby *jorogumo* doprowadziła swój zamiar do końca.

Wsunąłem miecz do pochwy, wyszedłem z pokoju, wymknąłem się przez okno na dach twierdzy i zniknąłem wśród nocy.



Gdy dotarłem na skraj miasta, mniej więcej pół mili od zamku Usugurai, świat przesłaniały strugi ulewnego deszczu. Przemknąłem po dachu wyznaczonego na miejsce spotkania piętrowego budynku, zeskoczyłem na nawis i wśliznąłem się przez okno do środka.

Wiedziony instynktem, uchyliłem się i przeturlałem po podłodze. *Shuriken* wbił się w parapet. Czteroramienna stalowa gwiazdka utkwiała głęboko w desce. Błyskawicznie poderwałem się i przykucnąłem w pozycji obronnej, z dłonią na rękojeści miecza.

Z ciemności popłynął drwiący śmiech, a w rogu oderwał się od ściany jakiś cień.

– Ach, przepraszam cię, Tatsumi-kun – doleciał mnie rozbawiony damski szept.

Mgnienie potem ukazała mi się uśmiechnięta szeroko Ayame. Podobnie jak ja, odziana była w czerń. Na nogach miała buty *tabi*, na przedramionach ochraniacze. Długie, związane włosy kołysały się jej na plecach. Sponad ramienia dziewczyny wystawała rękojeść krótkiego miecza, a do pasa miała przytroczony bojowy sierp na łańcuchu, *kusarigama*.

– Myślałam, że to wielki, przemoczony szczur wlaź mi przez okno.

– Ayame. – Wyprostowałem się, czujnie obserwując, jak podchodzi do okna i wyrywa z parapetu *shuriken*.

Wychowywaliśmy się wspólnie już od wczesnej młodości i razem przeszliśmy też podstawowe szkolenie *shinobi*. W tej chwili nie pamiętałem tego zbyt dobrze, lecz niewykluczone, iż była moją najlepszą przyjaciółką. To wszystko działo się jednak, zanim krąg *majutsushi*, magów Klanu Cienia, wybrał mnie na nowego powiernika Kamigoroshi i zostałem wysłany na trening indywidualny. Ayame ujrzałem ponownie dopiero wiele lat później, kiedy oboje byliśmy już zupełnie innymi ludźmi. Niemniej było logiczne, że tutaj pojawiła się właśnie ona, że to ona obserwowała i chroniła mnie z cienia.

– Gdzie mistrz Ichiro?

– Tu jestem.

Odsunęły się drzwi i do pokoju wszedł bezszelestnie mężczyzna. Niejeden zapewne uznałby mistrza Ichiro za człowieka najzupełniej przeciętnego. Niski, w średnim wieku, o twarzy, którą zapomina się w ciągu kilku minut. Wszystko to było zamierzone. Poruszał się z płynnym wdziękiem, mocno kontrastującym z niepozornym wyglądem, a jego czarne oczy obserwowały świat równie przenikliwie jak ślepia jastrzębia.

Ayame cofnęła się i ponownie wtopiła w mrok. Padłem na kolana, ukloniłem się i pozostałem ze wzrokiem utkwionym w podłodze, pozwalając mistrzowi podejść. Po chwili wyczułem jego spojrzenie na karku.

– Dokonało się? – spytał półgłosem.

– Tak, *sensei* – odpowiedziałem, nie podnosząc oczu.

– Hinotaka też?

– Wszystkie cele zostały wyeliminowane, *sensei*.

– Świetnie. – Poczulem, że mistrz kiwa głową. – Klan będzie zadowolony. Odniosłeś jakieś obrażenia?

– *Jorogumo* splunęła mi jadem w oczy – odparłem. – Ale teraz widzę już dobrze.

– To znaczy, że nie słuchałeś mnie uważnie – burknął. – Tłumaczyłem ci przecież, że pająki, kiedy odetnie się im drogę ucieczki, często plują. Czy w związku z tym musiałeś przyzwać Hakaimono?

– Tak.

– *Bakamono!* – Poczulem ostre, dotkliwe uderzenie w głowę, od którego lekko się zachwiałem. Spodziewałem się tego i nie zareagowałem. – To już drugi raz w ciągu dwóch miesięcy, Tatsumi – podjął z niesmakiem w głosie Ichiro. – Stajesz się lekkomyślny.

– Wybacz, *sensei*. – Złożyłem dłonie na podłodze i pochyliłem czoło jeszcze niżej, aż dotknąłem nim *tatami*. – Następnym razem postaram się bardziej.

– Popełniaj tyle błędów co dzisiaj, a żadnego następnego razu nie będzie – warknął Ichiro. – Korzystaj dalej z mocy demona, a pewnego dnia utracisz nad nim kontrolę. Wystarczy, że raz powinie ci się noga, że umrze ktoś, czyjej śmierci klan sobie nie życzył, a zostaniesz zabity, Tatsumi. A ja nie będę mieć innego wyboru, jak popełnić *seppuku* za to, że nie zdołałem nauczyć cię samokontroli.

– Ależ, Ichiro-san – rozległ się nowy głos, wysoki i lekko chropawy. W pokoju zaszeleściły spodnie *hakama*. – Nie traktuj chłopaka tak ostro. Przykazaliśmy mu zabić niebezpiecznego,

dwustuletniego *yokai*, który od wieków karmił się ludzkim mięsem, a także zdradzieckiego lorda, który knuł przeciwko Kage. Chłopak wypełnił swój obowiązek i klan jest zadowolony.

Podniosłem głowę i zamrugałem w jasnym świetle lampy, w którym ujrzałem nowo przybyłego. Patykowaty i chudy jak trzcina. Miał na sobie czarną szatę, pokrytą wzorem kwiatów wiśni. W długich palcach trzymał wachlarz z białego jedwabiu. Delikatnie ukształtowaną szczękę zdobiła ledwie dostrzegalna bródka, a kiedy na mnie spojrzał, uczynił to takim wzrokiem, jakim ogląda się pełznącego po ziemi, niecodziennie ubarwionego robaka. Lekko zdziwiony uniósł brew, cienką niczym ślad zamoczonego w atramencie pędzelka.

– Czyli to jest nasz mały zabójca demonów, tak? – Nieznajomy pochylił głowę i zasłonił nos wachlarzem. Wyczułem, że pod jedwabną zasłoną kryje się uśmiezek. – Bardzo to... intrygujące. Ależ, Ichiro-san, niegrzeczny jesteś. Nie zamierzasz mnie przedstawić?

Mistrz westchnął.

– Tatsumi, poznaj Kage Masao – zaprezentował szorstko. – Jego obecność stanowi dla nas zaszczyt, gdyż pełni funkcję pierwszego doradcy samej lady Hanshou.

Lady Hanshou? *Daimyo* rodziny Kage? Przeszył mnie dreszcz zaskoczenia. Lady Hanshou była nieuchwytną przywódczynią Klanu Cienia, kobietą tajemniczą, spowitą w mgłę pogłosek i legend, rzadko widywaną i nieczęsto stanowiącą przedmiot rozmów – z obawy, by takiej konwersacji nie podsłuchał i nie zareagował w gwałtowny sposób jeden z jej osobistych szpiegów. Niemal nigdy nie opuszczała swych komnat w zamku Hakumei, którego wnętrze oglądała najwyżej garstka ludzi. Powiadano też, że Hanshou otaczają najbardziej niebezpieczni *shinobi* w całej krainie, oddział wojowników tak lojalnych, że każdy z nich własnoręcznie obcinał sobie język, by mieć pewność, że nigdy nie zdradzi sekretów swej pani. Co do samej *daimyo*, wedle najbardziej ponurych plotek cieszyła się nieśmiertelnością, aczkolwiek na jej temat niewiele

wiedzieli nawet członkowie klanu. Trudno było powiedzieć, kim Hanshou jest i jak właściwie wygląda. A naprawdę niewielu chciało te tajemnice rozwikłać.

– Skąd to zdumienie, Tatsumi-san? – Masao z głośnym trzaskiem zamknął wachlarz i złożył długie palce w piramidkę. – Lady Hanshou już od pewnego czasu śledzi twoje dokonania. Zwróciłeś jej uwagę pasmem nieprzerwanych sukcesów. I tak się składa, że przybywam tu z tego właśnie powodu. Lady życzy sobie poznać cię osobiście, młody zabójco demonów. Mam cię do niej zaprowadzić jeszcze tej nocy.

– Więc przestań się gapić jak ryba na piachu! – syknął Ichiro, zanim zdążyłem powiedzieć cokolwiek. – Idź, doprowadź się do porządku. Nie możesz udać się na spotkanie z *daimyo* Klanu Cienia, wyglądając jak wyłowiony ze studni szczur.

Ukloniłem się im obu i wykonałem polecenie. Wymknąłem się z pokoju i zbiegłem po schodach na parter.

Miałem poznać *daimyo* Kage, przywódczynię Klanu Cienia. Poczułem w dołku mrowienie, być może był to lęk. Natychmiast ocknął się zaintrygowany płomykiem emocji Hakaimono, więc czym prędzej tę iskrę zmroziłem, przykazując sobie nie odczuwać niczego. Na poziomie racjonalnym wiedziałem, że spotkał mnie olbrzymi zaszczyt; niewielu ludzi przebywało w obecności lady Hanshou, jeszcze mniejsza grupa rozmawiała z nią twarzą w twarz. Misje przekazywano mi zwykle poprzez Ichiro lub innych mistrzów; nie istniał żaden powód, by przywódczyni Kage zlecała mi je osobiście. Słyszałem o samurajach, którzy dzięki wielkim dokonaniom i honorowym uczynkom doczekali się nagród, szacunku i tytułów, lecz takich jak ja nie spotykało to nigdy. Zabijałem demony, potwory i *yokai*, gdyż do tego sprowadzał się sens mojego istnienia. Broń nie potrzebuje pochwał ani wyrazów uznania.

A więc dlaczego lady Hanshou chciała mnie widzieć?

U stóp schodów czekał na mnie sługa, za którym przeszedłem do niewielkiej łazienki, gdzie jak zwykle zastałem dwóch klanowych

uzdrowicieli. Odziani w popielate szaty, powitali mnie z identyczną obojętnością, z jaką badali mnie po każdej ukończonej misji.

– Odłóż broń i rozbierz się, a potem siadaj – polecił jeden znudzonym tonem, wskazując stołek na środku pomieszczenia. – Miejmy to jak najszybciej za sobą.

Posłuchałem go. Rozbroiłem się – pozbyłem się gwiazdek *shuriken*, haka na linie i ukrytych w ochraniaczach *kunai*, noży do rzucania – po czym ustawiłem w kącie łazienki Kamigoroshi. Zarówno sługa, jak i uzdrowiciele trzymali się od miecza na dystans, zupełnie jakby mieli do czynienia ze straszliwą bestią, czyhającą tylko, by przy pierwszej sposobności rozszarpać im gardła. Wiedziałem, że mnie postrzegają w podobny sposób. Wszyscy Kage byli świadomi ciężącej na Kamigoroshi klątwy i w miarę możliwości ograniczali kontakty ze mną, aby nie prowokować demona. W dzieciństwie czułem się bardzo samotny. Wszyscy wzdrygali się przed moim towarzystwem, jakbym roznosił zarazę. Teraz izolacja nie miała dla mnie żadnego znaczenia.

Ściągnąłem przemoknięty, czarny strój, zasiadłem na stołku, a medycy rozpoczęli badanie. Jeden odchylił mi głowę do tyłu i zajrzał do oczu, drugi trącił mnie w bok, wywołując ostre ukłucie bólu.

– Hmm... – mruknął, dźgając me ciało palcami. Opukiwał i szczypał. Zacisnąłem zęby, nie wydałem z siebie nawet jednego dźwięku. – Pęknięte żebro i kilka wyraźnych sińców na boku. Żadnych złamań.

Drugi uzdrowiciel pociągnął mnie za powiekę i wykręcił mi głowę do światła.

– W oczach są ślady jadu. Na szczęście dawka była za mała, by go oślepić. Czy *jorogumo* cię ugryzła?

– Nie.

– Dobrze to słyszeć, w przeciwnym wypadku twoje wnętrzności zmieniałyby się w tej chwili w zupę. Tym razem zdołałeś też utrzymać w sobie większość krwi. Należy ci się pochwała. To bywa męczące, kiedy wracasz do nas półżywy w środku nocy. – Uwolnił

mój podbródek i skinął na sługę. – Skończone. Wykąp go, opatrz stłuczenia i rany, a po wszystkim odeślij do mistrza Ichiro.

Służący uklonił się wychodzącym medykom w milczeniu, po czym sięgnął po stojący przy stołku cebrzyk i wylał zawartość prosto na moją głowę. Zimna woda zmoczyła mi włosy i przejechała po skórze niczym lodowate pazury. Nie drgnąłem jednak, pozwalając mu spłukać z mojego ciała brud i oczyścić obrażenia. Wyszorował mnie tak energicznie, że ciało wokół siniaków przybrało jasnoróżowy odcień. Kiedy byłem już czysty, wylał na mnie jeszcze jedno wiadro wody, założył opatrunki i wyszedł bez słowa.

Wstałem, rozejrzałem się i zauważyłem, że ktoś zostawił na brzegu wanny ubrania na zmianę: spodnie *hakama*, szary niczym gołąb pas *obi* i bluzę *haori*, opatrzoną na plecach symbolem białego półksiężyca przesłoniętego przez czarny księżyc – herbem Klanu Cienia.

Ichiro i Masao czekali na mnie w sąsiednim pokoju, prowadząc cichą rozmowę nad dwiema czarkami sake. Ayame nie widziałem, lecz byłem pewien, że jest gdzieś w pobliżu. Kiedy klęknąłem na macie *tatami* i ukloniłem się do podłogi, mój *sensei* jedynie niezrozumiale burknął coś pod nosem, ale zaraz potem wyczułem, że Kage Masao patrzy na mnie z uśmiechem drapieżcy.

– Jesteś – zauważył Ichiro, gdy oderwałem czoło od maty. – Cóż, wyglądasz jak psu z gardła wyjęty, ale przynajmniej nie przypominasz już szczurzego truchła. Masao-san ma przed domem dwie *kago* gotowe przewieźć was przez miasto. Gotowy?

– Tak, *sensei*.

– Doskonale! – Masao-san wstał, furkocąc wachlarzem i połami szaty. – Chodź więc, mały zabójco demonów. Nie byłoby dobrze, gdyby Hanshou-sama musiała na nas zbyt długo czekać.

Wymaszerował zamaszystym krokiem z pokoju. Podniosłem się, by za nim wyjść, lecz Ichiro chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie, wbijając palce głęboko w me ciało.

– Posłuchaj mnie, chłopcze – warknął, gdy znieruchomiałem. – Niedługo poznasz najważniejszą osobę spośród wszystkich Kage,

przywódczynię Klanu Cienia. Nie przynieś mi wstydu. Jeśli uczynisz mi w obecności lady dyshonor, zapewniam, że dotychczasowe bicie wyda ci się delikatnym masażem. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, mistrzu Ichiro.

– Pamiętaj, czego cię nauczyliśmy. Powtórz. Teraz.

– Jestem niczym – wyrecytowałem odruchowo. – Jestem bronią w dłoniach Kage. Celem mojego życia jest rola powiernika Kamigoroshi i posłuszne wykonywanie rozkazów Klanu Cienia.

– Dobrze. – Ichiro skinął głową i uwolnił moją rękę. – Nie zapomnij o tym w czasie rozmowy z lady. A teraz idź już.

Kage Masao stał na krytej daszkiem werandzie i z niesmakiem wpatrywał się w deszcz. W dłoni trzymał kolorowy parasol. U podnóża schodów rzeczywiście czekały dwie *kago* – jednoosobowe lektyki z lakowanego drewna. Jeszcze nigdy nie podróżowałem takim pojazdem. Zazwyczaj zarezerwowane były dla arystokratów i innych znamienitych osobistości, nie dla nisko urodzonych zabójców. Kiedy jednak zerknąłem na Kage Masao i jego zwiewne szaty, dotarło do mnie, że nie przybył tu konno, a już z całą pewnością nie piechotą.

– Paskudna pogoda. – Westchnął, unosząc wachlarz do twarzy, jakby istnienie deszczu stanowiło dla niego osobistą zniewagę. – Pasuje do tej zapyziałej dziury. Będę przeszczęśliwy, kiedy stąd wreszcie wyjadę. – Rzucił na mnie okiem, uśmiechnął się promiennie i wskazał na *kago*. – No cóż, Tatsumi-san, chyba czas ruszać?

Droga nie zabrała nam wiele czasu – miasteczko było niewielkie – i wkrótce służący odsunęli drzwi lektyki, za którymi zobaczyłem stojący przy błotnistej drodze duży, piętrowy *ryokan* – zajazd. Weszliśmy do środka. Masao poprowadził mnie na górę, do pokoju na końcu korytarza, po czym zniknął wewnątrz, zostawiając mnie samego. Chwilę później służący odsunął drzwi, zza których wypłynęło kilka smużek siwego dymu, i przywołał mnie skinieniem. Znalazłem się w pomieszczeniu pełnym cieni, wypełnionym wonią

kadzidła i tytoniu. Kiedy drzwi z powrotem się zamknęły, padłem na kolana i złożyłem głowę na *tatami*.

– Kage Tatsumi – doleciał mnie pomruk Masao. – Zabójca demonów.

– Zbliź się, chłopcze – rozległ się ochrypły, zaskakująco surowy głos. – Stań w świetle. Niech wreszcie zobaczę powiernika legendarnego Kamigoroshi.

Zamrugalem wśród pasm dymu, podniosłem głowę i podsunąłem się naprzód na kolanach, próbując wypatrzeć, kto znajduje się za lampą płonąca na skraju niskiego stołu. Na połyskliwym blacie, niczym szeregi żołnierzy chroniących swego generała, stały butelki sake. Woń kadzidła snuła się wszędzie, gęsta, dymna, sandałowa.

Wyteżając wzrok, spojrzałem poza butelki i mgiełkę i przelotnie ujrzałem osobę, która mnie wezwała. Odruchowo zacisnąłem zęby, by się nie zachłysnąć. Jedynie lata treningu i zbierania doświadczeń pozwoliły mi zapanować nad wyrazem twarzy. Oblicze lady Hanshou wyglądało jak obdarte ze skóry, obite drewnianymi kijami, wysuszone na słońcu i dopiero potem na powrót osadzone na krótkiej szyi. Z patykowatych ramion zwisały fałdy skóry; dłonie przypominały zeschnięte ptasie łapki. W jednej ścisnęła fajkę z długim ustnikiem, trzymała ją tak, jakby jedynie ten drobiazg utrzymywał ją w świecie żywych. Z czaszki spływało kilka ostatnich, białych kosmyków, kołyszących się w powietrzu niczym pajęcza nić. Jedno oko było mleczne i do połowy zamknięte, drugie płonęło niemal tak intensywnie, jak u szaleńców.

Widząc, że nie zamierzam się odezwać, lady Hanshou posłała mi szeroki, bezzębny uśmiech.

– Nie tego się spodziewałaś, co, zabójco demonów? – zarechotała. – Możesz się gapić do woli, ale ta twarz od patrzenia ładniejsza nie będzie – dodała.

Natychmiast uderzyłem czołem w *tatami*.

– Och, podnieś się, chłopcze – warknęła niecierpliwie arystokratka. – Niech no spojrzę ci w oczy. O *kami* litościwe, młody

jesteś! – zawołała, gdy się wyprostowałem. – Ile ty masz lat, dziecko? Czternaście? – Nie czekając na odpowiedź, pacnęła grzbietem dłoni kolano Kage Masao. – Masao-san. Ileż on ma lat?

– Siedemnaście, moja pani.

– Doprawdy? – Na twarzy Hanshou pojawił się grymas mogący świadczyć o zdziwieniu. – A młodziej wygląda. Ach, ale dla mnie wszyscy jesteście jak dzieci.

Sięgnęła po butelkę sake, którą wyłowiła spomiędzy wielu opróżnionych. Masao przejął ją i nalał ryżowe wino do czarki, którą kobieta osuszyła jednym haustem, po czym podsunęła naczynko po dolewkę.

– Świetnie kryjesz obrzydzenie. – Drgnąłem, gdyż uświadomiłem sobie, że zwraca się do mnie. Wolne od bielma oko zmierzyło mnie jasnym, intensywnym spojrzeniem. – Lepiej niż Ichiro-san z tą swoją rozedrganą źrenicą, czy nawet Masao-san. Wiesz, nie zawsze wyglądałam jak teraz. – Pociągnęła nosem i wypuściła z ust obłok dymu, który spowił mnie niczym chwytnie macki. – Niegdyś byłam tak piękna, że sam cesarz Taiyo no Gintaro chciał mnie uczynić swą żoną, a kiedy odmówiłam, usychał z żalu.

Nie słyszałem o tym cesarzu. Obecnie w Złocistym Pałacu zasiadał Taiyo no Genjiro, a jeszcze przed nim panował Taiyo no Eiichi. Nie wiedząc, co powiedzieć, milczałem. Hanshou znów dokładnie mnie obejrzała, po czym jej wargi uformowały się w chytry uśmieszek.

– Był taki czas, że mogłabym zdobyć nawet twoje względy, zabójco demonów – rzuciła przebiegłym tonem. – Pożądałbyś mnie tak gorąco, jak twój demon pragnie przemocy. Nie byłbyś zdolny się oprzeć. Co ty na to?

– Moja pani – odchrząknął Masao – czas płynie. Nie wytrzymasz zbyt długo przy tej pogodzie. Jeszcze dzisiejszej nocy musimy wracać do Hakumei.

– Och, cóż. Dobrze – westchnęła Hanshou, wydymając usta. – Chyba nie powinnam dłużej dręczyć tego chłopca. Ale trzeba przyznać, że ty, Masao-san, potrafisz mi zepsuć zabawę jak nikt inny.

– Wyprostowała się nieco, wcisnęła fajkę między zęby i spojrzała na mnie wzdłuż nosa. – Zabójco demonów, zażądałam twego osobistego stawiennictwa, by zlecić ci niezwykle ważne zadanie. Jeszcze tej nocy wyślę cię na misję, dla której wypełnienia przyszedłeś na świat.

Skinęła dłonią. Na ten znak Masao podszedł i złożył na stoliku przede mną kilka arkuszy. Sięgnąłem po nie. Dokumenty podróżne, opatrzone pieczęcią *daimyo* Kage – papiery pozwalające przemieszczać się po terytoriach innych klanów. Byłem zaskoczony, ale tylko przez chwilę. Formalnie w całej krainie panował pokój. Poprzedni cesarz zabronił otwartych konfliktów między klanami i wszyscy cieszyli się rzadkim okresem wytchnienia po stuleciach wojen i rozlewu krwi. Ostatnimi czasy jednak rodowe spory zaczęły się ponownie zaostrzać, co właściwie nie zdziwiło nikogo. Zbyt wiele wrogości narosło między Wielkimi Klanami, za dużo było uraz, waśni i osobistych zniewag domagających się pomsty. Wystarczyłby jeden akt agresji, niemożliwa do zignorowania obraza, a *daimyo* ponownie skoczyliby sobie do gardeł. Za wystarczający pretekst mogło posłużyć nawet przyłapanie mnie na przekradaniu się przez ziemie innego klanu bez zezwolenia. I choć byłem pewien, że byłbym w stanie uniknąć schwytania, doskonale rozumiałem, dlaczego lady Hanshou postanowiła działać ostrożnie.

Drugim z dokumentów był zwój, który po rozłożeniu okazał się mapą gór zagubionych w jakimś zakątku terytorium Klanu Ziemi. Na karcie wiła się rzeka, przecinająca w kierunku północnym lasy i równiny. Wydało mi się, że rozpoznaję Hotaru Kawa, rzekę trafiającą ostatecznie do Kin Heigen Toshi, wielkiego stołecznego miasta, położonego w sercu włości Klanu Słońca. Mój cel znajdował się jednak gdzie indziej. Znakiem X oznaczono wierzchołek najwyższej z gór i uznałem, że to tam będę musiał się udać.

– Świątynia Milczącego Wiatru znajduje się wysoko w Górach Niwaki, na wschodnich rubieżach ziem Tsuchi – podjęła lady Hanshou, potwierdzając me przypuszczenia. – Zapukasz do jej bram, udając pielgrzyma, i poprosisz, by pozwolono ci spędzić tam noc. Jeżeli cię wpuszczą, tym lepiej. Jeśli nie, dostaniesz się do środka

innym sposobem. Nieważne jakim, istotne jest tylko, byś odnalazł to, po co tam przybędziesz.

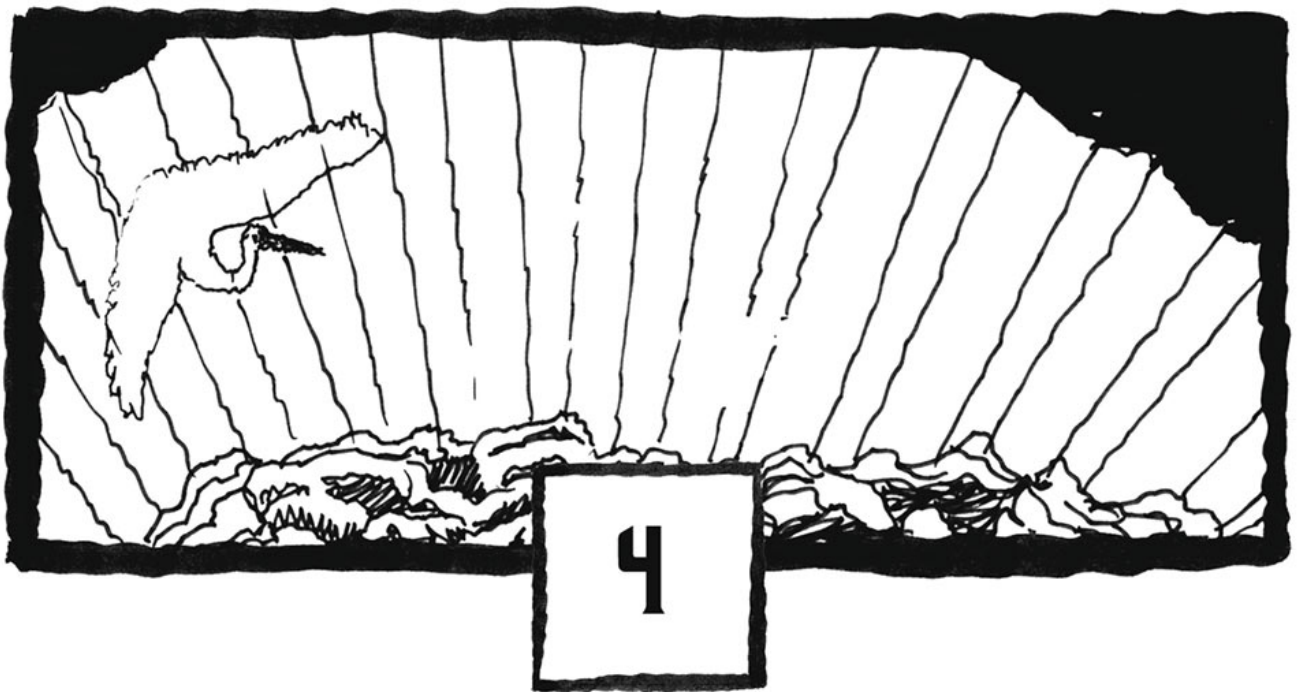
– Rozumiem – odpowiedziałem. Świątynia pełna mnichów. Dość nietypowe zlecenie. Większość zakonów była zgromadzeniami pokojowymi, kontemplacyjnymi, trzymającymi się z dala od klanowej polityki i zatargów. Jednak nie było moją rolą kwestionowanie wyroków *daimyo*. – Kto jest celem?

– Nie chodzi o zabójstwo – odrzekła lady Hanshou ku mojemu najgłębszemu zdziwieniu. – Wysyłam cię tam, byś zdobył dla mnie pewien przedmiot. Wolałabym, aby obyło się bez rzezi, lecz wyobrażam sobie, że w pewnych sytuacjach twój talent może się okazać przydatny. Posyłam cię, Tatsumi, ponieważ Ichiro jest przekonany, że spośród wszystkich *shinobi* jesteś najlepszy, ale zdobycie tego przedmiotu może się okazać wyzwaniem nawet dla kogoś takiego jak ty – oświadczyła, po czym przymrużyła zdrowe oko i podjęła bardziej surowym tonem. – Wykonanie tej misji jest najważniejsze. Nie dbam o to, co będziesz musiał zrobić i kogo będziesz musiał zgładzić. Nie waz się wracać z pustymi rękoma, tak brzmi rozkaz twojej *daimyo*. – W jej głosie zagościła jeszcze ostrzejsza nuta. W tej chwili z ust arystokratki płynął ochrypły warkot, od którego cierpła skóra. – Zabójco demonów, wiedz, że jeśli mnie zawiedziesz, poniesiesz bardzo srogie konsekwencje. Będziemy cię obserwować, a Klan Cienia nie zwykł tolerować nieposłuszeństwa. Czy rozumiesz mnie dobrze?

– Pani, moje życie należy do Kage. – Pokłoniłem się ponownie, wypowiadając słowa, których się po mnie spodziewała. Nie miało znaczenia, czy mówię szczerze; wszystko, co mówiłem, było prawdą tak czy inaczej. – Do Kage i do ciebie. Nie zawiodę. Powiedz jedynie, co mam znaleźć, a przyniosę ci to. Cóż to takiego?

Oczy lady Hanshou zajaśniały gorączkowo w półmroku. Usta kobiety wygięły się w nikłym uśmiechu.

– Przyniesiesz mi zwój, który niegdyś zgubiłam – szepnęła. – Coś, co utraciłam wiele, wiele lat temu.



HERBATKA U TANUKI

Nie cierpiałam rozpalać świeczek w głównej sali. Dwieście siedemdziesiąt siedem. Musiałam zapalić dokładnie dwieście siedemdziesiąt siedem świec, rozsianych po całym pomieszczeniu. Każdą z osobna. Co wieczór przed zachodem słońca. Po to, by mnisi mogli odbyć swe wieczorne medytacje. Nie pamiętam, kiedy dokładnie rozpalanie świeczek stało się moim obowiązkiem. Podejrzywałam, że to Denga bądź Nitoru podsunęli tę myśl mistrzowi Jinowi, staremu mnichowi odpowiedzialnemu za stan sali, jako znakomitą metodę na „wpojenie mi cnót cierpliwości i poświęcenia”. Bo rzeczywiście, zadanie to wymagało ich obu. Główna sala świątyni była olbrzymia, podtrzymujące sufit kolumny i podłoga z ciemnego drewna wypolerowane zostały tak doskonale, iż obserwując migocące na nich odbicia, można było precyzyjnie policzyć wszystkie świeczki. Naprzeciwko wejścia stał wielki posąg Nefrytowego Proroka, wedle

którego nauk starali się żyć wszyscy mnisi. Okien nie było, a dzienne światło wpadało jedynie przez potężne wrota, wskutek czego pomieszczenie bez przerwy tonęło w mroku i ciszy. Gdy płonęły wszystkie świece, salę wypełniała pomarańczowa mgiełka, przeobrażająca ją w nieziemską dziedzinę cieni i tańczących światelek.

Lecz rozpalenie ich wszystkich trwało całą wieczność.

Westchnęłam, odstawiłam kolejną świecę i ponuro rozejrzałam się dokoła. Zostało jeszcze tak wiele. Tej trzydziestki z ołtarza nawet nie tknęłam. Gdyby tylko istniał sposób na zapalenie wszystkich naraz...

Zamarłam i moją twarz rozświetlił uśmiech. Tak, to jest myśl. Mogłam przecież zapalić świece jednocześnie. Byłam wszak *kitsune*. A *kitsune-bi* są rodzajem ognia, czyż nie? Jest to wprawdzie ogień zimny, magiczny, lecz znacznie łatwiejszy do opanowania niż zwyczajne płomienie. Mnisi by tego, rzecz jasna, nie pochwalili. Mój plan zdecydowanie nie spodobałby się Nitoru i Dendze, ale im przecież nie podobało się nic, co robiłam.

Zdmuchnęłam trzymaną w dłoni świeczkę i ustawiłam ją na podłodze. Wyprostowałam się, przymknęłam lekko powieki, uniosłam do oczu otwartą dłoń i przywołałam magię.

Między palcami zapłonął mi widmowy, niebiesko-biały płomyk. Nieszkodliwie lizał skórę, rzucając na ściany i kolumny niesamowite cienie. Rozrósł się powoli, aż wreszcie miałam w dłoni jarzącą się kulę lisiego ognia. Przez krótką chwilę widziałam na świątynnej ścianie własny cień: ludzką sylwetkę obdarzoną dodatkowo długimi, spiczastymi uszami i falującym z tyłu puszystym ogonem.

Uniosłam głowę i zakreśliłam wyciągniętym ramieniem szeroki łuk. *Kitsune-bi* rozpierzchły się na wszystkie strony. Maleńkie płomyki szybowwały ponad podłogą sali niczym spadające gwiazdy. Opuściłam rękę i z zadowoleniem przyjrzałam się własnemu dziełu. Pomieszczenie zalała niebieskawa poświata lisiego ognia, którego płomyki tańczyły na wszystkich świecach. Moim zdaniem wyglądało

to znacznie ładniej, niż gdyby paliły się czerwono, choć przyznaję, że atmosfera zrobiła się trochę bardziej upiorna.

Co jednak najważniejsze, naprawdę płonęły wszystkie świece bez wyjątku. A do pory wieczornych medytacji została jeszcze dobra godzina. Cała godzina dla mnie. Otrzeptałam dłonie i ruszyłam do wyjścia.

Z zewnątrz doleciały mnie głosy i zamarłam. Podbiegłam do ściany, przemknęłam wzdłuż niej do drzwi i ostrożnie wyjrzałam zza framugi. Po schodach zbliżał się do sali Jin, a co gorsza, towarzyszył mu Denga.

O nie! Poważnie zaniepokojona położyłam uszy po sobie i błyskawicznie się wycofałam. Gdyby mnie tu zastali, prawdopodobnie skończyłoby się kolejnym kazaniem. Na przykład o wadze cnót cierpliwości i poświęcenia obowiązkom. A może znów zabronią mi korzystać z magii? W najlepszym razie zmuszą, żebym zaczęła od początku, i będę musiała rozpaść te wszystkie świece własnoręcznie, tym razem pod nadzorem.

Kryjówka, potrzebowałam kryjówki. I to natychmiast.

Przebiegłam do najdalszej ściany i szepcząc przeprosiny, kucnęłam za masywnym posągami Nefrytowego Proroka. Praktycznie w tej samej chwili doleciał mnie od wejścia wściekły okrzyk.

– Lisi ogień! – W sali zadudniły kroki Dengi. Wyjrzałam zza wysokiej figury. *Kitsune-bi* malowały rozgniewane oblicze mnicha białą poświatą. – Ta mała demonica rozpaściła świece lisim ogniem! – dyszał, obracając się na wszystkie strony i wymachując rękoma. – Niech no ją znajdę...

– Spokojnie, Denga-san – popłynął zza pleców Dengi głos Jina, łagodny i rozbawiony. – To jeszcze małe dziecko. W dodatku *kitsune*. Nie rozumie.

– Nie. – Denga zawirował raz jeszcze, tocząc dokoła ognistym wzrokiem, po czym pomaszerował z powrotem do wyjścia. – Sprawy zaszły za daleko. Jest oczywiste, że ta dziewczyna jest bardziej lisem niż śmiertelnikiem. Natura *yokai* przyćmiewa w niej

człowieczeństwo. Z tym trzeba coś zrobić. Nie zniosę już ani jednego jej wybryku.

– Co zamierzasz zrobić, Denga-san? – Jin spojrzał za odchodzącym.

– Rozmówię się z mistrzem Isao i przekonam go, żeby wreszcie obłożył ją zaklęciem ochronnym – odpowiedział Denga, na co mój żołądek zareagował ostrym skurczem. – Trzeba jej odebrać tę piekielną lisią magię na dobre. – Głos mnicha dolatywał przez drzwi. – Bo jeśli nie, pewnego dnia obudzimy się w mocy prawdziwego demona.

Moje serce zaczęło bić jak oszalałe. Jin jeszcze przez moment patrzył za Dengą, po czym westchnął i zaczął zdmuchiwać pełgające na świeczkach *kitsune-bi*. Gasił jedną po drugiej, niespiesznie, z namysłem, w pełni skupiony na zajęciu. Wiedziałam, że potrwa to tylko kilka minut, lecz nie chciałam zostawać w sali ani minuty dłużej. Lada chwila Denga mógł sprowadzić mistrza Isao i spełnić swą groźbę. Próbując się wymknąć teraz, w obecności Jina, zapewne bym wpadła, ale miałam w zanadrzu jeszcze jedną sztuczkę. Surowo wzbronioną sztuczkę.

Klęknęłam przy posągu, chwyciłam palcami krawędź jednej z podłogowych desek i uniosłam ją, odsłaniając wąską szczelinę. Dla człowieka, nawet bardzo drobnego, otwór był zdecydowanie za ciasny. Ja jednak nie byłam tylko człowiekiem. Byłam też *kitsune*.

Zamknęłam oczy i ponownie przyzwałam swoją moc, na co serce odpowiedziało pełnym wyczekiwania kołataniami. Tak jak powiadał Denga, większa część lisiej magii sprowadzała się do iluzji i mamienia. Potrafiłam ukrywać rzeczywistość za zasłoną ułudy, sprawiać, że ludzie widzieli i słyszeli nieistniejące obrazy i dźwięki. Umiałam tworzyć idealne kopie, nie bardziej materialne niż zwierciadlane odbicie. Istniał jednak pewien kształt, który byłam w stanie przybrać naprawdę, choć nie pozwalano mi tego robić bez specjalnej zgody.

Dzisiejszy dzień sprzyjał łamaniu zasad.

Zrobiło mi się ciepło i doznałam przedziwnego wrażenia kurczenia się. Otoczył mnie znajomy obłoczek białego dymu. Kiedy otworzyłam oczy, podłoga znajdowała się znacznie bliżej niż przed chwilą. Wszystkie odgłosy stały się bardziej wyraźne, cienie zniknęły właściwie bez śladu, a w powietrzu ożyło mnóstwo nowych woni: lekka stęchlizna ziemi, ostry, drażniący zapach metalu i ostatnie pasemka dymu ze świeczek. Niewyraźne odbicie w podstawie posągu ukazało długi pyszczek i złociste ślepia. Za tylnymi łapami kołysała się miękka, białą zakończona kita.

Mistrz Isao nie lubił, kiedy przemieniałam się w lisa. „Jesteś człowiekiem” – tłumaczył niejednemu raz. „Owszem, jesteś *kitsune*, ale być Yumeko jest znacznie trudniej, niż być lisem. Spędzając w lisim ciele zbyt wiele czasu, możesz pewnego dnia zapomnieć, co znaczy być śmiertelnikiem”.

Nie byłam do końca pewna, co chciał przez to powiedzieć, lecz w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Pochyliłam łeb i bez trudu wcisnęłam się w otwór w podłodze. Bezszelestnie przemknęłam pod parkietem i wyszłam na zewnątrz obok zadaszonej galerii. Upewniłam się, że w pobliżu nie ma żadnych mnichów, zwłaszcza mistrza Isao, po czym potruchtałam do ogrodu, ku staremu klonowi, opierającemu się o świątynny mur. Lisie łapki stąpały szybko i zwinnie, a kora drzewa była bardzo nierówna. Wbiegłam zwinnie po poskręcany pniu, zeskoczyłam po drugiej stronie i umknęłam w chłodny bezruch lasu.



Wieczorem tego samego dnia siedziałam na płaskim kamieniu, na brzegu swojego ulubionego stawu, i rozmyślając, co dalej, taplałam bosymi stopami w wodzie. Ponad lustrzaną taflą śmigają klejnociki ważek, a poniżej przepływały niewielkie wąsate rybki, ciekawie zerkając ku moim ponownie ludzkim palcom. Z kamienia

promieniowało zebrane przez cały dzień ciepło słońca, zaś w bambusowym gaju, który okalał jeziorko, szeptał cichy wiatr. W tym miejscu można było zapomnieć o wszelkich troskach i często przychodziłam tu, gdy zaczynała mi doskwierać nuda świątynnego życia lub kiedy chciałam się ukryć przed Dengą. Woda, wiatr i ryby zazwyczaj przeganiały moje zmartwienia błyskawicznie. Dzisiaj jednak nie potrafiłam zapomnieć o tym, co usłyszałam w świątyni.

Chcieli odebrać mi magię? Tak po prostu? Uniemożliwić mi tkanie iluzji, zmianę postaci, rozpalanie lisiego ognia? To przesadna kara. Swoimi psikusami nigdy przecież nie wyrządziłam nikomu prawdziwej krzywdy. Cierpiała na nich jedynie urażona duma Dengi. No, może jeszcze jedna bądź dwie papierowe ścianki.

Zerknęłam na swoje odbicie. Ze stawu odpowiedziało mi spojrzenie dziewczyny o spiczastych uszach, żółtych oczach i kołyszącym się za plecami, puszystym ogonie. „Jest bardziej lisem niż śmiertelnikiem” – powiedział Denga, wychodząc z sali. „Natura *yokai* przyćmiewa w niej człowieczeństwo”.

– Nieprawda – rzuciłam w twarz patrzącej na mnie *kitsune*. – Nadal jestem przede wszystkim człowiekiem. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Zaczęłaś już gadać sama ze sobą, lisie szczenię?

Podniosłam wzrok. Brzegiem stawu szła ku mnie powoli przysadzista staruszka. Miała na sobie poszarpaną szatę, szerokoskrzydły kapelusz ze słomy i wysokie drewniane sandały, które nurzały się w przybrzeżnej trawie. Jedną sękatą dłońią ścisnęła zarzuconą na ramię bambusową tyczkę, w drugiej niosła pęk małych, nanizanych na sznurek rybek. Spod kapelusza błysnęło ku mnie spojrzenie żółtych oczu.

– Dobry wieczór, Tanuki-baba – przywitałam się z uprzejmym uśmiechem. – Co tu robisz?

Staruszka prychnęła pod nosem i zakołysała rybami.

– Kwiatki sobie sadzę, a co myślałaś?

– Ale... to przecież ryby. – Skonsternowana ściągnęłam brwi. – Po co ci kwiatki, Tanuki-baba? Kwiatków się nie je.

– Otóż właśnie. Niektórzy z nas muszą na jedzenie ciężko zapracować. W przeciwieństwie do rozwydrzonych, naiwnych póllisic, których imion z grzeczności nie wymienię. – Raz jeszcze zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem spod kapelusza, unosząc wysoko cienką, siwą brew. – Ale co ty tu robisz, szczeniaczku? Późno już. Twoi ludzie nie lubią, kiedy pałaszujesz się po lesie. – Zachichotała, błyskając pożółkłymi zębami. – Czyżby Denga-san znowu wypowiedział ci wojnę? Możeś znów przemieniła mu kota w imbryczek?

– Nie, już od dawna nie. Zwierzak zmądrzał i strasznie drapie, kiedy próbuję mu ułożyć na łbie listek. Ale... – Zadrżałam i objęłam się ramionami. Rozgrzany na słońcu kamień wydał mi się nagle bardzo zimny. – Denga-san bardzo się rozgniewał – przyznałam. – Tak złego jeszcze go nie widziałam. Powiedział, że więcej we mnie *yokai* niż człowieka i że mistrz Isao powinien odebrać mi magię. Co, jeśli Isao pójdzie za jego radą? Jeśli naprawdę obłoży mnie zaklęciem? Nie... – Głos odmówił mi posłuszeństwa, na samą myśl o utracie magii skręcały mi się kiszki. – Nie wyobrażam sobie tego. To byłoby gorsze, niż gdyby obcięli mi palce i wyłupili oczy. Co będzie, jeśli mi to zrobią?

Tanuki-baba prychnęła pod nosem.

– Chodź. – Wskazała wędką ścieżkę. – Zaparzę ci herbaty.

Zeskoczyłam z kamienia i w ślad za zgarbioną staruszką weszłam na wąską ścieżynę, wijącą się przez bambusowy gąszcz. Przede mną kołysał się koniec wędki i wystający spod szaty Tanuki brązowy, puszysty ogon. Udawałam, że go nie widzę, podobnie jak ona udawała, że nie dostrzega mojej kity i uszu. Była to niepisana zasada etykiety *yokai*. Nie należało wspominać o... yokajskości innych, pod groźbą nękania, nawiedzania lub krańcowego pecha. Naturalnie nie spodziewałam się, że Tanuki-baba byłaby zdolna mnie ukarać. Stara *yokai* traktowała mnie zawsze jak rodzoną wnuczkę, a opowieści o figlach, jakie za młodu płatała ludziom, niezmiennie mnie bawiły. Choć, przyznaję, momentami bywały dość przerażające.

Zostawiłyśmy bambusowy zagajnik za sobą i zagłębiłyśmy się w bardziej mroczną część lasu. Tutaj wiekowe drzewa niemal tuliły się jedno do drugiego, a ich splecione konary przesłaniały słońce. Tylko gdzieniegdzie pomiędzy listowiem przedzierały się wąskie, słabe snopy światła, kładąc się cętkami na podłożu, co w połączeniu z nieruchomym powietrzem składało się na prawie świątynną atmosferę. Ciekawskie *kodama*, leśne duszki, wyglądały spomiędzy zarośli i truchtały za nami po ścieżce. Ich eteryczne, zielone ciała nie były większe od mojego palca.

Tanuki-baba poprowadziła mnie wzdłuż znajomego, pluskającego cicho strumienia i na drugą stronę krótkiego, porośniętego muchomorami i innymi grzybami mostka. Wreszcie dotarłyśmy do drewnianej chatki, niemal w całości pokrytej mchem. Dawno, dawno temu – opowiedziała mi kiedyś staruszka – mieszkał tu *yamabushi*, wędrowny mnich, poszukujący równowagi i harmonii z naturą, który nie tylko widział *kami*, ale i potrafił się z nimi porozumiewać. Śmiertelnik ów jednak przeniósł się gdzie indziej lub umarł, a domek przypadł mojej znajomej. Fragment strzechy zapadł się do środka, a wokół gęsto wyrosły drzewa i krzewy. Ktoś, kto nie wiedział, że powinien wypatrywać tu chatynki, bez trudu mógł ją przeoczyć. Wewnątrz, zgodnie z tradycją, panował bałagan. Śmiecie walały się pod każdą ścianą i we wszystkich kątach.

– Siadaj – burknęła Tanuki-baba, wskazując niski, drewniany stół, jedyną w miarę czystą przestrzeń w chatce. – Zaraz przygotuję herbatę. O ile uda mi się znaleźć naczynia.

Wypatrzyłam wśród rupieci ze dwie lub trzy czarki, lecz nie wspomniałam o tym słowem, ponieważ wszelkie moje sugestie spotykały się zawsze z gwałtownymi protestami – ta czarka jest pęknięta, ten czajniczek brudny albo służy akurat ptasiej rodzinie za gniazdo. Nie, zaraz znajdzie, co trzeba, tylko musi się rozejrzeć. Klęczałam więc przy stole, aż wreszcie Tanuki-baba odkryła prawdziwy skarb – sędziwy, poobijany czajniczek, zagubiony pod stertą szmat.

– Pusty – odetchnęła, zaglądając do środka. – To raczej dobrze. Ani jednej myszy. Z drugiej strony trzeba go napełnić. Zaraz wracam – obiecała i zniknęła na zewnątrz. – Tylko niczego nie dotykaj.

Czekałam cierpliwie, zabawiając się turlaniem po blacie małych *kitsune-bi*. Tanuki-baba napełniła czajnik, ustawiła na palenisku i rozpałała węgle. Potem znowu zaczęła się krzątać po całej chatce, wynajdywała coraz to kolejne przedmioty i mamrotała pod nosem. Wreszcie wróciła do stołu z imbryczkiem, dwiema wyszczerbionymi czarkami i tacą, na której leżały złowione wcześniej ryby. Surowe i nieoskrobane.

– Ach – westchnęła z lubością, siadając naprzeciwko mnie na przetartej poduszce. Po kilku chwilach poświęconych próbom znalezienia wygodnej pozycji ściągnęła z głowy kapelusz i cisnęła go w kąt, gdzie natychmiast zniknął w morzu innych szpargałów. Uprzejmie spuściłam wzrok, starając się nie patrzeć na okrągłe, porośnięte futerkiem uszy sterczące wśród jej siwych włosów. – No dalej, szczeniaczku, nalej herbatę – poleciła Tanuki-baba, wskazując gestem imbryk i czarki. – Wreszcie do czegoś się przydasz.

Ostrożnie rozlałam zielonkawy płyn do naczynek i podałam jedno gospodyni. Przyjęła czarkę z krzywym uśmiechem i odstawiła na blat.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli na czas jedzenia zmienię postać, prawda? – spytała, zerkając łakomie na leżące pośrodku stołu ryby. – To ciało sprawdza się przy parzeniu herbaty, ale we własnym domu lubię się czuć swobodnie.

Pokręciłam głową.

– Ani trochę. Proszę bardzo.

Staruszka prychnęła, zadarła głowę i otrząsnęła się. Z jej ciała podniosła się skłębiona chmura kurzu i wypełniła całą izbę. Kichnęłam i odwróciłam się, a kiedy spojrzałam ponownie przed siebie, miejsce kobiety zajęło puchate brązowe zwierzę, z gęstym ogonem i wąskim pyskiem pokrytym ciemnym, przypominającym maskę wzorem. Ustawiłam przed nią czarkę herbaty, którą ujęła ciemnobrązowymi łapkami i upiła niewielki łycelek.

– Ach, od razu mi lepiej. – Odstawiła czarkę z cichym stuknięciem i sięgnęła po rybę, którą wcisnęła do pyszcza w całości i rozgryzła ostrymi, żółtymi zębami. – No dobrze – podjęła, kiedy zaczęłam pić. Napar był znacznie bardziej gorzki niż te, do których nawykłam, lecz wspominać o tym nie byłoby w najlepszym tonie. – Powiedz, szczeniaczku. Jakiego rodzaju kłopot masz z tymi swoimi ludźmi?

Opowiedziałam pokrótce o swoim pomysłe na przyspieszone rozpalenie świeczek i o tym, jak rozzłościłam w ten sposób mnichów, szczególnie Dengę-sana. Kiedy dotarłam do momentu, w którym Denga obwieścił, że poprosi mistrza Isao o odebranie mi magii, Tanuki-baba gwałtownie prychnęła, niemal wywracając przy tym swoją czarkę.

– Toż to jawna niedorzeczność! – warknęła, po czym zgarnęła z talerza ostatnią rybę i wgryzła się w delikatne mięso. Trzasnęły pękające ości. – Tego rodzaju zaklęcia to magia *yokai*! Ha! Sam pomysł jest już bluźnierstwem. Ja bym na coś takiego nie pozwoliła.

– Co powinnam zrobić, Tanuki-baba?

– Cóż, wiem, co w takiej sytuacji zrobiłabym ja. – Przez pysk Tanuki-baby przemknęła złowieszcza mina. – Ale ty chyba jesteś za młoda na taką dawkę chaosu. Niemniej rozwiązanie jest oczywiste, czyż nie? Musisz odejść.

– Mnichom się to nie spodoba – zauważyłam. – Zawsze bardzo się gniewają, kiedy uciekam. Zresztą dziś wieczorem pewnie też się nasłucham.

– Nie – zawarczała Tanuki-baba. – Musisz odejść... i już nigdy nie wracać.

– Chcesz, żebym... opuściła świątynię na zawsze?

– Naturalnie. – Stara *yokai* wskazała na drzwi. – Myślisz, że twoja świątynia to jedyne miejsce na świecie? Że nie można mieszkać gdzie indziej? I że bycie mnichem to jedyne, czym można się w życiu zajmować? – spytała, marszcząc pyszczek. – Poza murami świątyni czeka cały wielki świat, szczeniaczku. Szeroki świat pełen cudów, bogactw, chaosu i innych rzeczy, których nawet

sobie nie wyobrażasz. Pozostając tutaj i słuchając ludzkich kazań o moralności, trwonisz swoje życie i talent. *Kitsune* nie są stworzone do życia w klatce. Nie masz ochoty zobaczyć czegoś nowego i przekonać się, co tracisz?

Poczułam, że coś się we mnie budzi – tęsknota, ciekawość świata zewnętrznego ponownie wydostały się na powierzchnię. Tak, chciałam zobaczyć świat. Chciałam ujrzeć miejsca, o których opowiadał niekiedy mistrz Isao – rozległe miasta i leśne gąszcze, których nie tknęła ludzka stopa. Marzyłam o odwiedzeniu Kin Heigen Toshi, wspaniałej, złotej stolicy. Chciałam wspiąć się na wierzchołek Góry Boskiego Palca, najwyższego szczytu w całym Iwagoto, o którym mówiono, że sięga samego nieba. Chciałam zobaczyć samurajów i kupców, arystokratów i wieśniaków, gejsze i bandytów, rolników i rybaków. Chciałam zobaczyć wszystko.

Poza tym z tyłu głowy dręczyła mnie myśl, do której bałam się przyznać nawet przed sobą. Miałam dość wiecznego stawiania granic mojej mocy. Dość miałam tego, że mogę lisią magię stosować jedynie pod nadzorem. Dość uprzykrzonych kar za psikusy, niewinne dowcipy i unikanie pracy. Gdybym była prawdziwie wolna, nie ograniczałoby mnie nic; wtedy mogłabym korzystać ze swojej mocy do woli.

Lecz aby zostać w pełni wolną, musiałabym porzucić mnichów i świątynię, a wraz z nimi jedyne znane mi życie. A choć Świątynia Milczącego Wiatru była miejscem niewielkim, dusznym i przytłaczającym, była też miejscem bezpiecznym. A ja byłam zaledwie samotną *kitsune*, nawet nie pełnokrwistym *yokai*. Nie czułam się jeszcze gotowa, by podjąć tak śmiały krok.

– Nie mogę odejść, Tanuki-baba – powiedziałam, patrząc na przygarbioną postać po drugiej stronie stołu. – Dokąd miałabym się udać? Jak miałabym żyć?

– Cóż to za pytanie, jak miałabyś żyć? – Tanuki-baba aż potrząsnęła łbem. – Jesteś przecież *kitsune*, dziewucho! Udałabyś się tam, dokąd chcesz. I żyłabyś, jak chcesz.

– *Kitsune* jestem tylko w połowie – przypomniałam. – A wśród mnichów żyję prawie od urodzenia. Nie potrafię być lisem.

– Nie potrafisz być lisem? – Tanuki-baba odrzuciła łeb do tyłu i zarechotała, cała się trzęsąc. Z wąskiego pyska trysnęły kropelki śliny. – Biedna, mała *kitsune* – podjęła kpiącym tonem. – Stanowczo zbyt długo mieszkałaś u ludzi. Skaziła cię ich śmiertelność. – Ponownie zachichotała i spojrzała na mnie z politowaniem. – Jesteś lisem. Nie musisz się uczyć, jak być *kitsune*. Już jesteś.

– Ale...

– Nie chcę słyszeć żadnych wymówek o „ludzkiej” stronie. – Tanuki-baba uniosła górną wargę, ukazując ostre, żółte zęby. – Jak ktoś naprawdę tego pragnie, to nawet jedna kropla krwi *yokai* wystarczy, by stłumić wszelkie przejawy człowieczeństwa. Wystarczy, że postanowisz być bardziej *kitsune* niż człowiekiem.

Postanović być bardziej *kitsune*? W jaki sposób, ciekawe? Poprzez jakiś rytuał? Przypomniałam sobie, co Denga-san powiedział wcześniej o naturze *yokai*, przyćmiewającej moją ludzką stronę. Czy tego właśnie obawiali się mnisi? Czyżby lękali się, że zamienię się w *nogitsune*, lisa złego i dzikiego, rozkoszującego się strachem, chaosem i przy każdej możliwej okazji polującego na ludzi?

Głośno przełknęłam ślinę.

– A co, jeśli ja nie chcę stać się bardziej *kitsune*? – zapytałam, na co Tanuki-baba wyraźnie się zafrasowała. – Co, jeśli jestem szczęśliwa jako człowiek i jako lis?

– To by znaczyło, żeś durna – odparła zwięźle, pociągając nosem. – A także, że toczysz bitwę z góry skazaną na porażkę. Być człowiekiem jest niesłychanie trudno, mała lisiczko. Nawet samym ludziom nie wychodzi to najlepiej. Świat śmiertelnych pełen jest nienawiści, zdrady, smutku i śmierci. Większość *yokai* i *kami* stwierdza, że to dla nich zbyt wiele. Ludziom wydaje się, że cenią rzeczy takie jak miłość, honor, współczucie, empatia. My niczego podobnego nie potrzebujemy, tym bardziej że wszystko to bardzo często i tak prowadzi do cierpień i rozpacz. O wiele łatwiej jest

wziąć rozbrat ze wszystkim, co ludzkie, i pozostać wyłącznie *kitsune*. Świat duchów i *yokai* jest znacznie mniej skomplikowany niż świat ludzi.

– Nie rozumiem, Tanuki-baba.

– Pewnie, że nie rozumiesz. – Potrząsnęła kudłatym łbem, lecz nie wyjaśniła. – Jesteś tylko nieobeznany ze światem szczenięciami. Ale zrozumiesz. Jeżeli nadal będziesz próbować zachować równowagę między obiema naturami, zrozumiesz niewątpliwie. A z czasem, kiedy nareszcie poznasz prawdę o świecie człowieka, dojdiesz do wniosku, że życie lisa jest o wiele prostsze. – Zerknęła na stół i zagrały jej nozdrza. – Na razie jednak skończyła się nam herbata i ryby. A to znaczy, że czas do łóżka.

Wstałam i skłoniłam się grzecznie. Nie należało dyskutować ani podważać obyczajów i nawyków *yokai* tak starych jak ona.

– Powinnam wracać do domu – stwierdziłam, cofając się o krok. – Mnisi na pewno przygotowali już dla mnie kazanie. Dziękuję za herbatę i rozmowę, Tanuki-baba.

– Lisiczko – zawołała stara *yokai*, kiedy stanęłam na progu. Obejrzałam się i zobaczyłam kudłate zwierzątko na środku zabałaganionej chaty, obserwujące mnie żółtymi, świecącymi w ciemności ślepiami. – Stąpasz po kruchym lodzie, mała *kitsune* – powiedziała tonem przestrogi, choć nie rozumiałam, przed czym właściwie ostrzega. – Pogranicze świata duchów i ludzkiego jest niebezpiecznym miejscem. Pamiętaj, jeśli będzie ci zbyt trudno, zawsze możesz zrezygnować z człowieczeństwa. *Kitsune*, nawet pół-*kitsune*, może to uczynić znacznie łatwiej niż śmiertelnik.

Nadal nie rozumiejąc, o czym ona mówi, skinęłam głową bez słowa i wyszłam, zanurzając się w cienistą ciszę lasu.

Natychmiast poczułam, że coś jest nie tak.

W czasie, który spędziłam z wizytą w chatce staruszki, zapadła noc i las milczał jak martwy. Zamiast ptasiego śpiewu i szelestu czynionego przez przemykające w zaroślach stworzenia w powietrzu wisiała złowieszcza cisza. Leśne *kami* zniknęły bez śladu. Została jedynie pusta, wyzuta z życia knieja. A między

drzewami płynął nowy zapach, woń, od której włoski na karku stanęły mi dęba. Ostry, kwaskowaty swąd dymu.

Pomknęłam przez las co sił, krocząc po własnych śladach. Minęłam strugę, bambusowy zagajnik i dotarłam nad staw. Zielono-srebrna ściana rozstała się, ukazując nocne niebo i spłowiwały półksiężyc. Na zachodzie zniknęły ostatnie plamki szkarłatu.

Coś chwyciło mnie za serce. Ponad linią drzew unosiła się czarna smuga, wijąca się i złowróźbna niczym straszny, czarny smok. Wzbijała się w powietrze, gasząc gwiazdy. Wzbijała się stamtąd, gdzie był mój...

– Dom.



DEMONY W BAMBUSOWYM GAJU

Byłem już blisko.

Mimo że podróżowałem wierzchem, dotarcie na terytorium Klanu Ziemi i Gór Niwaki, wśród których znajdowała się podobno Świątynia Milczącego Wiatru, zajęło mi kilka dni. Kiedy prowadziłem konia po tarasowych polach i między krytymi strzechą domkami, mieszkańcy maleńkiej wioski w dolinie zagubionej u podnóża zadrzewionych szczytów witali mnie zadziwionymi spojrzeniami. Za moim rumakiem ruszyła dwójka małych dzieci. Wyraźnie zaintrygowani malcy zbliżali się coraz bardziej, aż wreszcie zabrali ich z drogi mocno zaniepokojeni rodzice. Wędrowni samuraje zapewne stanowili w tej dolinie rzadki widok, jeszcze rzadziej musieli tu bywać członkowie Klanu Cienia, a chłopcy w naturalny sposób obchodzili wojowników wszelkiej maści szerokim łukiem. Na tę misję wybrałem strój samuraja Kage. Założyłem spodnie *hakama* i czarną bluzę *haori*, na której plecach

widniał herb Klanu Cienia. Broń i narzędzia *shinobi* spoczywały w jukach, na wypadek gdyby okazały się potrzebne. Postanowiłem, że jeśli mnisi odmówią mi wstępu, przekradnę się przez mur i wśliznę do świątyni cicho niczym duch *yurei*. Na razie jednak wciąż byłem pielgrzymującym samurajem, poszukującym mądrości w świątyniach całego Iwagoto.

W pewnym momencie stojący na poboczu chudy wieśniak w obszarpanej koszuli, z czołem przewiązanym przepaską, uklonił się i spuścił wzrok. Zatrzymałem konia i przyjrzałem mu się z góry, a raczej przyjrzałem się czubkowi jego łysej czaszki.

– Czy Świątynia Milczącego Wiatru jest blisko? – spytałem cicho.

Chłop nie podniósł spojrzenia, zakołysał się tylko w pasie i odpowiedział, wpatrzony we własne sandały:

– *H-hai*, mój panie! Świątynię znajdziesz, jadąc dalej tą drogą. Na szczycie góry.

– Dziękuję.

Popędziłem wierzchowca naprzód i pojechałem dalej, pozostawiając wieśniaków i ich osadę własnemu losowi. Droga już wkrótce przeszła w wąski i kręty szlak, w miarę zagłębiania się w las coraz bardziej zdradliwy. Doszedłem do wniosku, że mnisi prawdopodobnie bardzo rzadko przyjmują gości i nikogo do odwiedzin nie zachęcają. Być może chcieli medytować i studiować święte teksty w spokoju i oderwaniu od chaosu świata. Możliwe też, że coś ukrywali, czegoś strzegli.

Gdy zapadł zmierzch i cienie się wydłużyły, ścieżka niemal zniknęła, na dobre zlewając się z gęstym podszyciem, jakby sam las poczuł się urażony obecnością intruza. Mnie jednak szkolono w wypatrywaniu wszystkiego, co ukryte i niewidzialne, a ciemność nie mogła mnie zatrzymać. Jechałem przed siebie, mijając bambusowe gaje i wielkie drzewa, na których gałęziach kołysały się święte sznury, oznaczające domy *kami*.

W pewnym momencie poczułem w głowie poruszenie Hakaimono. Ściągnąłem cugle i siedząc w bezruchu, starałem się usłyszeć cokolwiek poza sapaniem zdrożonego zwierzęcia.

Otoczająca nas knieja milczała, zastygłe wieczorne cienie spowijały wszystko, na niebie zostało już tylko kilka ostatnich smużek czerwonego światła zachodu.

Otworzyłem się, bardzo nieznacznie, na miecz i poczułem tętniącą w lesie grozę, przyspieszone bicie serc mnóstwa żywych stworzeń. Czyżby któreś zbliżało się do nas? Coś zaszeleściło w krzewach. Mój wierzchowiec zamarł, prężąc wszystkie mięśnie.

Wtem, wśród eksplozji liści i gałęzi, stado cętkowanych jeleni wyskoczyło spomiędzy drzew i wielkimi susami ruszyło prosto na mnie. Odruchowo spiąłem konia, który wierzgnął i z głośnym rzeniem poderwał się na tylne nogi. Utrzymałem się w siodle, ścisnąłem spłoszone zwierzę kolanami i zdołałem je opanować. Koń parsknął i trząsnął się. Położył uszy po sobie i odczekał w miejscu do chwili, gdy jelenie zniknęły wśród lasu. Hakaimono zapłonął, więc czym prędzej go ujarzmiłem.

Kiedy wierzchowiec nareszcie uspokoił się na dobre, wciągnąłem z wolna powietrze i wyczułem niesioną przez wiatr woń dymu. Spojrzałem pomiędzy koronami drzew i ujrzałem wznoszące się czarne smugi. Popędziłem konia i pomknąłem naprzód. Hakaimono niecierpliwie pulsował mi w głowie, świadom, że przemoc jest bliska, a po niej nieuchronnie pojawi się śmierć.

Powietrze zgęstniało w mgiełkę, wypełnił je ostry zapach płonącego drewna. Poczułem skurcz żołądka. Na niebie pojawiła się nikła, szkarłatna luna. Najmniejsi mieszkańcy lasu, króliki, wiewiórki i tym podobne, czmychali w zaroślach w przeciwną stronę, a mój koń zaczął się opierać, nie chcąc słuchać moich poleceń. Z posępną miną kopnąłem go piętami i ruszył dalej. Wiedziałem, że zwierzak nie boi się dymu. W tym lesie kryło się coś jeszcze. Lecz czymkolwiek ta tajemnicza istota była, nie mogłem przez nią zaniedbać misji. Musiałem zdobyć zwój.

Gdy dotarliśmy do wąskich, na pół zwietrzałych stopni, wiodących przez bambusowy zagajnik, z krzewów wyfrunął sierp *kama*. Zawirował w powietrzu i ugodził mojego konia w szyję. Zwierzę zarżało boleśnie i runęło ciężko na schody. Zeskoczyłem

z siodła i przeturlałem się, mocno uderzając się przy tym w ramię. Kilka metrów dalej poderwałem się na równe nogi.

Z bambusowego lasku wypłynęła istna powódź małych, groteskowych stworzeń. Z rechotem wymachiwały włóczniami i prymitywnymi mieczami. W jednej chwili opadły próbującego wstać wierzchowca, wrzeszcząc i dżgając. Zdjęte paniką, śmiertelnie ranne zwierzę umknęło, dziko wierzgając i strącając trzymających się go demonicznych pasażerów. Reszta hordy zwróciła się ku mnie.

Amanjaku? Poczulem dreszcz zaskoczenia i niepokoju. Jednocześnie zapłonął Hakaimono, uradowany tak wieloma istotami, które można było pozbawić życia. Miałem już z tymi demonami do czynienia, lecz nigdy w takiej liczbie. Skąd się ich wzięło aż tyle?

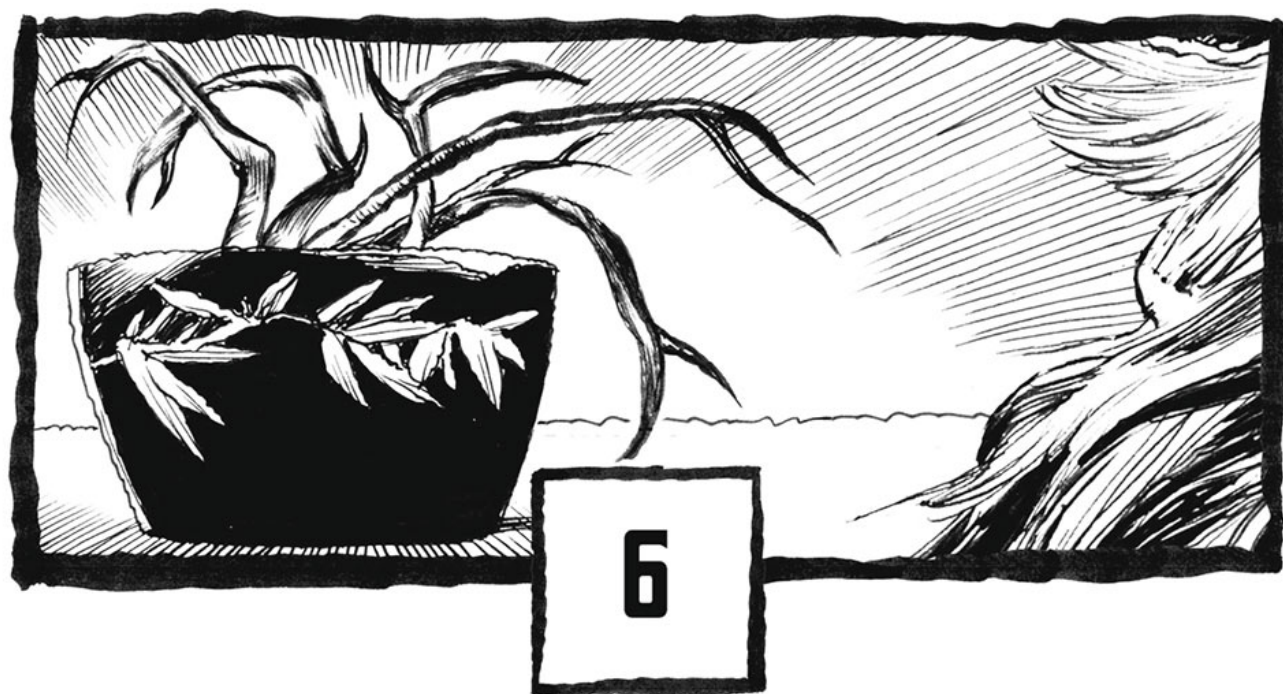
Dobylem Kamigoroshi i zaatakowałem pokrzykujące, szczerzące się stwory. Pierwsze, gładkie cięcie rozcięło najbliższą falę, strącając głowy i kończyny. Powracające do Jigoku *amanjaku* zawyły. Skoczyłem naprzód, uniknąłem ostrza włóczni, dźgnąłem jednego demona prosto w oko, a cofając klingę, pozbawiłem czerepu innego. Moment później otoczyły mnie ze wszystkich stron i świat wypełniły zęby, pazury oraz błyskające ostrza. Zatraciłem się w tańcu śmierci, a w moich żyłach popłynęła nieskrępowana radość Hakaimono.

Pozostałe przy życiu *amanjaku* zaczęły ostrzegawczo skrzeczeć i czmychnęły w głąb bambusowego gąszczu. Ich drobne sylwetki błyskawicznie zniknęły mi z oczu. Zdyszany opuściłem Kamigoroshi i powiodłem wzrokiem dokoła, zastanawiając się, skąd przybyły i kto je tu sprowadził. *Amanjaku* należały do pomniejszych mieszkańców Jigoku; nie mogły pojawić się znikąd, a niezbędna do ich przywołania magia krwi była mocą niebezpieczną i zakazaną w całym cesarstwie. Kluczowym składnikiem potrzebnym do ich przyzwania była, rzecz jasna, krew. Czasami wymagane były też inne rekwizyty: dusze, narządy wewnętrzne, kończyny, choć najczęściej wystarczała w tym celu płynna energia życiowa, krążąca

w żyłach śmiertelników. Im czar był większy, bardziej potężny, tym więcej krwi kosztował.

Groźny haczyk tkwił natomiast w fakcie, że krew nie musiała pochodzić z ciała maga. Jigoku nie interesowało, czyja krew została przelana – czy był to mężczyzna, kobieta, czy dziecko – liczyło się, by krew była ludzka i w odpowiedniej ilości. Z tym zastrzeżeniem, typowym dla przewrotnej natury dziedziny zła i zepsucia, że im bardziej droga sercu czarownika była osoba, której krew przelał, tym silniejsze uzyskiwał efekty. Kochanka, brat lub dziecko pozwoliliby rzucić zaklęcie dalece silniejsze niż śmierć bezimiennego obcego. Z tego właśnie powodu władza zakazała magii krwi i dlatego praktykowanie czarnoksięstwa równało się natychmiastowemu wyrokowi śmierci. Nawet pojedynczy *amanjaku* wymagał krwawej ofiary. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jaką cenę musiało pochłonąć sprowadzenie tak licznej hordy.

Nie miałem pojęcia, kto wezwał demony, lecz umiałem sobie wyobrazić, po co to zrobił. Wsunąłem Kamigoroshi do pochwy i popędziłem szlakiem w kierunku świątyni. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie jest za późno.



PŁOMIENIE ROZPACZY

Świątynia stała w ogniu.

Zdyszana wyskoczyłam z lasu i zdjęta grozą spojrzałam na jasnopomarańczowe płomienie furkocące na tle nocnego nieba. Pełen wdzięku, czterokondygnacyjny dach pagody płonął. Wszystko niknęło w huczącym, dzikim piekle, w odorze dymu, popiołach i konturach zwęglonych belek. Nie zwracając uwagi na parzące fale żaru, podeszłam do tylnego muru, niezgrabnie wspierałam się na szczyt i z głuchym stuknięciem spadłam po stronie ogrodu.

Co wywołało ten pożar? Kto śmiał? Słyszałam opowieści ze świata poza świątynnymi murami, historie o zwaśnionych klanach i wojowniczych, dumnych samurajach. Legendy o rywalizacji potężnych *daimyo*, o ich niegasnących sporach, o tym, że potrafili wypowiedać wojny i posyłać jeden na drugiego całe armie z powodu najdrobniejszej ujmy na honorze. Jednak wedle mistrza Isao nawet

najbardziej zapalczywi i porywczy *daimyo* darzyli mnichów należyтым szacunkiem, a w każdym razie nie mieli ochoty ściągać na siebie zemsty *kami*, rozgniewanych atakiem na spokojną świątynię.

Chyba że dowiedzieli się o zwoju.

Doleciał mnie mrozący krew w żyłach wrzask. Czym prędzej wskoczyłam za krzew jałowca. Zaraz potem, starając się nie wdychać dymu i popiołów, wpiłam paznokcie w pień, by nie krzyknąć ze strachu, i ostrożnie wyjrzałam.

Wokół stawu tańczyła niewielka grupka rozjazgotanych, groteskowych... stworzeń. Drobne sylwetki odcinały się wyraźnie od jasnych, piekielnych płomieni. Początkowo wzięłam je za zdeformowane dzieci; odziane były w podarte koszuliny, miały wielkie, cebulaste głowy i ledwie sięgały mi do kolan. Wkrótce jednak dostrzegłam rogi, rzędy wypełniających usta spiczastych zębów, postrzępione uszy i sterczące kły. Cętkowana skóra potworków była niebieskawa lub czerwona, a w pazurzastych dłoniach ścisnęły prymitywną broń: sierpy *kama*, włócznie i krótkie noże.

Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Demony? Na litość Jinkei, skąd tu demony? Oglądałam przedstawiające demoniczne istoty ryciny w świątynnej bibliotece. Widziałam straszliwe, czerwono- lub niebieskoskóre *oni* z rogami, kłami i wielkimi maczugami, które dręczyły dusze zesłanych do Jigoku nikczemników. Stwory, które w tej chwili dźgały nieszczęsne, panicznie szukające ucieczki ze stawu karpie, nie były wprawdzie tak duże jak te z ksiąg, lecz co do ich demonicznej natury nie było najmniejszej wątpliwości.

Przycisnęłam pięść do pnia jałowca i poczułam, jak szorstka kora kaleczy mi skórę. Co tu robią demony? Dlaczego zaatakowały świątynię? Z powodu zwoju? Zawsze dotąd sądziłam, że mieszkańcy Jigoku karmią się wyłącznie rozlewem krwi i chaosem. Taki zwój demonom nie przydałby się na nic. Chyba że dowodził nimi ktoś inny...

To nie ma sensu. Muszę znaleźć mistrza Isao, stwierdziłam w duchu. Najpierw jednak trzeba jakoś obejść demony.

Zerwałam z krzewu gałązkę i położyłam ją sobie na głowie, budząc jednocześnie lisią magię. Wydało mi się okrutną ironią, że jeszcze tego popołudnia żałowałam, iż w moim życiu brakuje okazji do korzystania z mocy. Serce biło mi jak oszalałe, lecz utrzymałam w umyśle pożądany obraz, po czym skierowałam magię na swoje ciało. Bezgłośnie buchnął kłęb dymu, a kiedy otworzyłam oczy, miałam już czerwoną, plamiastą skórę, zaś z palców moich łap wystawały zakrzywione, żółte pazury.

Odetchnęłam głęboko i wyszłam spod krzewu. Dokładnie w tym samym momencie jeden z rechocących nad stawem demonów podniósł wzrok i spojrział prosto na mnie.

Przez chwilę na przemian mrugał i wybałuszał ślepią. Wstrzymałam oddech z nadzieją, że stwór zobaczył to, co chciałam: swojego pobratymca, obrzydliwego, czerwonoskórego demona. Zaryzykowałam uśmiech i obnażyłam przypominające haki kły. Demon prychnął i powrócił do zabawy w polowanie na karpie. Do niedawna kryształowo przejrzysta woda w stawie była teraz czerwona od krwi. Pozostawiłam pechowe ryby własnemu losowi i pospieszyłam przed siebie.

Ledwie opuściłam ogród, powitał mnie donośny ryk płomieni. Na skórze osiadały mi roje parzących iskierek. Minęłam spowitą ogniem pagodę i pobiegłam ku głównej sali, starając się trzymać krzewów i cieni. Przed wejściem zastałam jeszcze większy tłum demonów. Bestie wymachiwały pochodniami i brykały u stóp schodów. Kiedy wyjrzałam spomiędzy liści, poczułam bolesny skurcz trzewi. Kilka kroków ode mnie leżało na płytach dziedzińca ludzkie ciało. Z nieruchomej piersi sterczały dwie włócznie, puste oczy wpatrywały się w nicość.

Jin. Stłumiłam okrzyk, przyciskając dłonie do ust. Pod powiekami zapiekły mnie łzy. Jin był dla mnie dobry, zawsze okazywał mi cierpliwość i zrozumienie, nigdy się nie irytował, nie podnosił głosu. A teraz już go nie było. Za jego zwłokami

zauważyłam dwa inne ciała, spoczywające w kałużach krwi. Mnisi leżeli odwrócenii tyłem, więc nie rozpoznałam ich od razu. Wiedziałam jednak, że w końcu i ich zidentyfikuję. Wystarczy, że zobaczę obu wyraźniej.

Roztrzęsiona opuściłam ręce i z wysiłkiem oderwałam wzrok od zabitych. Nie mogę ich opłakiwać w tej chwili, powiedziałam sobie, próbując mimo łez zobaczyć świat wyraźniej. Muszę iść dalej. Zaciekawilo mnie, dlaczego demony nie wchodzą do środka; główne wejście stało otworem przez nikogo niepilnowane, zresztą sala nigdy nie doczekała się drzwi z prawdziwego zdarzenia. Kiedy się nad tym zastanawiałam, jeden z większych demonów, niebieskoskóra bestia, wydał z siebie ochrypły skrzek, poderwał nad łeb drewniany młot bojowy i rzucił się w kierunku schodów. Ledwie jednak dobiegł do pierwszego stopnia, coś rozbłysło niczym piorun i demon odbił się jakby od kamiennej ściany. Jego towarzysze zareagowali na tę scenę chóralnym, drażniącym uszy rechotem.

Otworzyłam szeroko oczy. Bariera *ki*? Widziałam już coś podobnego. Mistrz Isao demonstrował niekiedy moc energii *ki* na użytek innych duchownych. Wznosił niemożliwe do pokonania zapory bądź otaczał jakiś przedmiot niewidzialną czaszą, która nie pozwalała go dotknąć. Ale żeby tak... cały wielki budynek? Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, jakiego skupienia musiała wymagać ta sztuka.

I jak ja właściwie mam teraz dostać się do środka? Zapora z pewnością otaczała całą salę. Chyba że...

Serce zabiło mi żywiej. Najpotężniejsi mistrzowie *ki* panowali nad energią tak doskonale, że mogli ustalić, komu wolno było przekroczyć zaporę, a komu nie. Jeśli mistrz Isao usłyszał nadchodzące demony w porę i zdał sobie sprawę, że nie ma mnie w świątyni, z pewnością pozwolilby mi ukryć się wewnątrz. Prawda?

Zacisnęłam zęby, wyszłam spomiędzy krzewów i w tym samym momencie zadrżała mi pod stopami ziemia. Ponownie spojrzałam ku sali i zobaczyłam olbrzymi, rogaty cień. Serce niemal przestało

mi bić. Skąpane w blasku pożogi monstrum obeszło róg budynku, z każdą chwilą większe, straszniejsze.

O...oni? Przerażona potknęłam się i zatoczyłam do tyłu. Ogromna, czerwona istota kroczyła ociężale ku wejściu, roztrącając kręcące się na drodze, mniejsze demony. Gdy ujrzałam potwora wyraźnie, poczułam na plecach strużkę zimnego potu – w świetle pochodni połyskiwały kły, rogi i wielka, zjeżona kolcami maczuga. Patrzyłam na demona wyjętego wprost z kart starych ksiąg. Ci najstraszliwsi mieszkańcy Jigoku byli wprost legendarnymi koszmarami, przed których siłą ustępowali ostatecznie niemal wszyscy przeciwnicy. Co... co tu robi *oni*? Po co przybył?

Oba pytania były jednak bardzo głupie. Znałam przecież odpowiedź: *oni* chciał zdobyć zwój.

Och, dlaczego nie posłuchałam mistrza Isao? Dlaczego nie słuchałam, kiedy opowiadał mi o tym pergaminie i o tym, z jakiego powodu jest tak ważny?

Demon przystanął u szczytu schodów. Zapatrzył się w głąb sali. Zdjął z ramienia ciężką, kolczastą *tetsubo* i trzymając ją swobodnie jedną ręką, trącił końcem magiczną barierę. Raz, drugi. Zapora przy każdym zetknięciu ze szpikulcami migotała pulsującym światłem. Drobniejsze demony zbiegły się u stóp olbrzyma i niecierpliwie czekały na rozwój wypadków, ich czerwone ślepia jarzyły się niczym sam ogień. *Oni* fuknął, poruszył muskularnymi ramionami i ujął maczugę oburącz.

Potężny zamach i *tetsubo* spadła na barierę. Fala uderzeniowa, jaka powstała w efekcie, szarpnęła gałęziami najbliższych drzew i odrzuciła demoniczną horde od budynku. Na chwilę ukazała się cała niewidoczna kopuła, zafalowała niczym pustynny miraż, po czym znów zgasła. Skrzywiłam się, w pełni świadoma, że każdy taki cios nadweręża skupienie mnichów, podtrzymujących zaporę *ki* wyłącznie mocą umysłów. Tarcza wytrzymała, lecz *oni* natychmiast poderwał broń do kolejnego ciosu, a małe demony zaskrzeczały z uciechy.

Zrozumiałam, że jak najszybciej muszę znaleźć się w środku.

Kami, miejcie mnie w swej opiece! Zaczerpnęłam głęboko powietrza, wyszłam na dziedziniec i ruszyłam przed siebie tak spokojnie jak potrafiłam, modląc się, by moja magia nie zawiodła. Kilka demonów zwróciło ku mnie zaintrygowane spojrzenia, lecz powszechną uwagę przykuwał głównie potężny *oni*, który znowu grzmotnął maczugą w zaporę. W piekielnym świetle pożaru niematerialny klosz zafalował i ujrzałam rozbiegającą się po jego powierzchni siateczkę pęknięć. Nagle zrobiło mi się bardzo zimno. Zapora nie mogła wytrzymać zbyt długo.

Aby uniknąć spotkania z potężnym *oni*, postanowiłam okrążyć budynek i kiedy z ulgą zakręciłam za róg... natychmiast zderzyłam się z nadbiegającym z przeciwka demonem. Pękata, niebieska głowa uderzyła mnie w brzuch, pozbawiając na moment tchu. Zatoczyłam się i upadłam, próbując złapać oddech. Poczułam też, jak moja iluzja rozwiewa się w obłoczku białego dymu.

Demon, który również padł jak ścięty, podrapał się w czoło pazurem, skrzywił i podniósł na mnie gniewne spojrzenie. Gdy zobaczył nie innego potwora, lecz siedzącą w pyłe dziewczynę z porośniętymi sierścią uszami i kitą, otworzył szeroko ślepia, poderwał się z wyciem i skoczył. Szarpnęłam się i uchyliłam, w ostatniej chwili unikając ciosu miecza, który wrył się w ziemię tam, gdzie przed momentem siedziałam.

Z cienia wychynęły dwa kolejne demony: jeden ścisnął włócznię, drugi wywijał trzymanymi w obu dłoniach sierpami *kama*. Na mój widok zachichotały i od razu ruszyły do ataku, podczas gdy niebieski demon wciąż próbował skosić mnie mieczem. Widząc zbliżających się przeciwników, warknęłam z irytacją i strzeliłam w niebieskiego kulą *kitsune-bi*. Prosto w pysk.

Zasyczał i odskoczył w tył, podrywając szpony do oczu, jakby w obawie przed poparzeniem. Niebiesko-białe płomienie świeciły jeszcze przez jakiś czas, po czym – nie czyniąc żadnej szkody – zgasły. Zyskałam jednak dość czasu, by wyminąć demona, przeobrazić się w lisa i czmychnąć pod podłogę okalającej salę galerii. Przebijając barierę *ki*, poczułam ostre ukłucie, jakby

elektryczne wyładowanie, a potem otuliła mnie kojąca ciemność. Byłam bezpieczna.

Na drżących łapkach, trąc brzuchem o zimną ziemię i przedzierając się przez zasłony pajęczyn, czołgałam się pod deskami. Bez przerwy wypatrywałam tej jednej obluzowanej deszczułki, która miała mnie wyprowadzić za posąg Proroka. Z góry raz po raz dolatywały głuchoe odgłosy uderzeń maczugi demona. Budynek trząsał się w posadach. Sypały się na mnie kłęby kurzu i umykające, przerażone pająki.

Wreszcie w ciemności przede mną zajaśniało pasemko pomarańczowego blasku. Podbiegłam, precyzyjnie się między deskami i drapiąc pazurkami, wygramoliłam się na podłogę wielkiej sali tuż pod rzeźbą przedstawiającą Nefrytowego Proroka. Podniosłam się chwiejnie na równe łapy i rozejrzałam w poszukiwaniu mistrza Isao.

Żołądek zmienił mi się w ciasny węzeł. Mnich siedział przed posągiem. Splecione na kolanach dłonie, zamknięte oczy, błogi wyraz twarzy. Otaczali go pozostali duchowni, również pogrążeni w medytacji, choć ich oblicza były mocno ściągnięte i zroszone kroplami potu. Za każdym razem kiedy maczuga *oni* biła o wzbraniającą wstępu barierę, któryś z nich podrygiwał, zaciskał mocniej zęby bądź ściągał wargi. Tuż za plecami mistrza Isao siedział Denga. Z nosa mnicha wypływała struga szkarłatu. Co chwila drgały mu brwi, reagując na kolejne ciosy demona, krew kapiała z podbródka na złożone dłonie.

Gdy z pewną niechęcią przybrałam z powrotem ludzką postać, mistrz Isao otworzył oczy i spojrzał prosto na mnie. Uśmiechnął się – zupełnie jakbyśmy spotkali się przy kolacji, na którą właśnie się spóźniłam – podniósł dłoń i przywołał mnie skinieniem.

– Ach, jesteś, Yumeko-chan. Czekałem na ciebie.

– Mistrzu Isao! – Przypadłam do jego boku. – Co robić? *Oni* już się niemal przebił. Jak mamy uciec?

– Stąd nie ma ucieczki – odparł spokojnie duchowny i natychmiast spochmurniałam. – Nie dla nas. My swój obowiązek

wypełniliśmy. Ale ty, Yumeko-chan, ty musisz kontynuować naszą misję.

– Nie... nie rozumiem, mistrzu Isao. – Utkwiłam w nim przerażone spojrzenie. – Jak to: kontynuować? W jaki sposób? – dokończyłam szeptem.

Pomarszczony starzec sięgnął do rękawa szaty i wydobył na światło jakiś przedmiot. Prosty cylinder z ciemnego, pociągniętego laską drewna, obwiązany wstążką z czerwonego jedwabiu. Kiedy uniósł pojemnik, prawie się zachłysnęłam.

– Czy to...?

– Weź to, Yumeko-chan – polecił mistrz Isao i wręczył mi pudełko. – To nie może wpaść w łapy demonów. Za wszelką cenę musisz to ochronić.

Znów grzmotnęła maczuga i zakołysał się strop sali. Jeden z mnichów gwałtownie wciągnął powietrze przez zęby. Mistrz Isao nawet na mgnienie nie oderwał wzroku od moich oczu.

– Weź zwój – podjął. – Zabierz go i zniknij stąd. Uciekaj i nie oglądaj się za siebie.

Gwałtownie pokręciłam głową.

– Nie mogę – wyszeptałam, czując wzbierające w kącikach oczu gorące łzy. – Nie mogę was zostawić. Dokąd miałabym pójść? Nie znam świata poza świątynią. Jakże zdołam ochronić zwój?

– Lisie dziecko. – W głosie mistrza Isao zabrzmiało tak silne przekonanie, że wstrząśnięta aż drgnęłam. Mimo że inni mnisi często nazywali mnie w ten sposób, Isao nigdy nie odnosił się do mojej prawdziwej natury wprost. – Posłuchaj mnie. Jest coś, o czym nigdy ci nie powiedziałem. Fragment twojej przeszłości, który muszę teraz wyjawić. Kiedy do nas trafiłaś, w koszu na ryby, w kocyku, do którego przypięta była wiadomość... – Duchowny urwał, a przez twarz przemknął mu cień żalu, który zniknął tak błyskawicznie, iż nie byłam wcale pewna, czy cokolwiek zobaczyłam. – Treść tego listu przekazałem ci niemal w pełni – kontynuował mistrz Isao. – Niemal. Nie słyszałaś jeszcze tego fragmentu...

Słowa mnicha rozległy się bezpośrednio w mojej głowie, jakby dolatywały echem z wielkiej oddali.

„Pokorni mnisi, błagam was o cierpliwość i wstrzemięźliwość w ferowaniu wyroków, gdyż ukazała mi się wizja przyszłości. W wizji tej pojawiły się krew, ogień i śmierć. Widziałam rozwrzeszczane demony i rzeki pełne ludzkich kości. Świat ciemniał pod całunem strachu. Lecz ponad wszystkim stała samotna lisica, nietknięta, której cień zakrył wielkiego Smoka. Jej imię brzmi Yumeko, dziecię snów, i to ona jest naszą nadzieją przeciwko zbliżającej się ciemności”.

Wszystkie moje wnętrzości zmieniły się w sople lodu. Mistrz Isao rozciągnął usta w łagodnym uśmiechu i ponownie podsunął mi zwój.

– Jak sama widzisz, Yumeko-chan – powiedział – nasz los został przepowiedziany już dawno temu. Ktokolwiek zostawił cię pod naszą bramą, wiedział, co nastąpi, i wiedział, że odegrasz ważną rolę w tej historii. W opowieści o czwartym przybyciu Smoka.

Otępiąłem wpatrywałem się w duchownego, nie do końca pojmując, co właśnie usłyszałem. Salę wypełnił huk. Jeden z mnichów chwycił się za głowę i padł na parkiet. Na czoło mistrza Isao wystąpił pierwszy koralik potu i stoczył się po jego policzku. Otrząsnęłam się z odrętwienia i chwyciłam go za rękaw.

– Dlaczego? – spytałam szeptem. – Nie jestem gotowa. Dlaczego to ja muszę się tym zająć?

Sędziwa dłoń zacisnęła się na mojej.

– Dlatego że tylko tobie może się udać. Posłuchaj uważnie, Yumeko-chan. – Palce mistrza Isao uściśnęły mnie jeszcze mocniej, co z jakiegoś powodu dodało mi otuchy. – To zadanie nie należy wyłącznie do nas, nie jesteśmy jedynymi strażnikami. Jest jeszcze jedna świątynia, inny zakon, który pilnuje fragmentu tego zwoju. Musisz się do nich udać. Ostrzec, powiedziec, co stało się tutaj. Oni ochronią i ciebie, i smoczą modlitwę. Tak dyktuje święty obowiązek.

– Gdzie mam szukać tej świątyni?

– Tego ci powiedzieć nie mogę – przyznał mistrz Isao. – Nie mogę, bo sam nie wiem. To miejsce z legendy, zrodzone z mitu i plotki, a stulecia zatarły do niego drogę. Znam jedynie nazwę, Świątynia Stalowego Pióra. Wiem też, że znajduje się bardzo, bardzo daleko stąd. Ale... – dodał, zanim zdążyłam zaprotestować w rozpacz – jest ktoś, kto wie, gdzie wznosi się ta świątynia. Musisz wyprawić się do Kin Heigen Toshi, stolicy położonej w sercu Krainy Słońca. W mieście tym znajdziesz kaplicę Hayate. Udaj się tam i poszukaj głównego kapłana, mistrza Jiro. On zdradzi ci położenie Świątyni Stalowego Pióra.

– Mistrzu... – Łzy spływały mi po policzkach całymi strumieniami; żołądek, zdjęty grozą i bólem, kurczył się z każdą chwilą coraz bardziej. – Nie mogę. Nie poradzę sobie sama.

– Poradzisz – zapewnił mistrz Isao z przekonaniem i po raz trzeci podsunął mi zwój. – Musisz. To moja ostatnia prośba. Zanieś ten zwój do Świątyni Stalowego Pióra. Uprzedź ich o tym, co zaszło tutaj. Niech wiedzą, że ktoś próbuje zebrać wszystkie fragmenty smoczego zwoju. Nie pozwól, by nasza śmierć okazała się daremna. – Od wejścia doleciał kolejny rumor. Mnich zamknął oczy. – Obiecuj mi, Yumeko-chan. Obiecuj, że ochronisz zwój. Od tego zależy los całej naszej krainy.

Wyciągnęłam drżące dłonie i odebrałam pudełko z pergaminem. Okazało się zdumiewająco lekkie.

– Obiecuję – szepnęłam. – Przysięgam, że znajdę Świątynię Stalowego Pióra, że ostrzegę mnichów i ochronię zwój. Nie zawiodę cię.

– To również weź. – Uśmiechnął się i wsunął mi w dłoń *tanto*, krótki sztylet o prostym ostrzu. – Przyda ci się, kiedy nie wystarczą już słowa i przebiegłość. I jeszcze to. – Zarzucił mi na ramiona prostą chustę *furoshiki*, stosowaną do przenoszenia ubrań, podarków i innych niewielkich przedmiotów. – Pomoże ci ukryć brzemień przed wzrokiem świata. A teraz idź już. – Skinął głową na posąg. – Nie martw się o nas i nie płacz. Jeszcze się spotkamy, Yumeko-chan, w Czystej Krainie lub w kolejnym wcieleniu.

Rozległ się ogłuszający trzask, sala zadrżała w posadach i bariera dała za wygraną. Mnisi z cichymi okrzykami, pojękując, chwycili się za głowy. Moment później podłoga zafalowała i do wnętrza wtargnął potężny *oni*, wiodąc za sobą hordę demonów.

– Uciekaj, Yumeko-chan – polecił lodowatym głosem mistrz Isao. Z kamiennym obliczem podniósł się z klęczek i ruszył ku przesłaniającej wyjście masywnej postaci. Czując się jak ostatni tchórz, czmychnęłam za Nefrytowego Proroka. Wiedziałam, że muszę stąd zniknąć, lecz nie potrafiłam oderwać wzroku. Mistrz Isao wraz z pozostałymi czekali spokojnie, a cień demona rósł i rósł. Jego oczy jaśniały w mroku niczym rozpalone do czerwoności węgle.

Oni pochylił ciężki łeb i przekroczył próg, po czym wyprostował się na pełną wysokość. Był tak wielki, że niemal drapał rogami powałę.

– Mnisi Świątyni Milczącego Wiatru – zagrzmiał przeraźliwym głosem, od którego zafalowało powietrze. – Na imię mi Yaburama, jestem czwartym generałem demonicznej armii Jigoku i przybywam tu odebrać wam smoczy zwoj. – Podniósł swoją *tetsubo* i klepnął się nią w dłoń. Rozległo się mięsiste plaśnięcie, a drobne demony zarechotały z radości, wyraźnie czekając na sygnał do ataku. – Oddajcie, po co przyszedłem, a być może nagrodzę was bezbolesną śmiercią.

– Bluźniercza istoto! – Głos Dengi wzbił się ponad rechot i powarkiwanie demonicznej hordy. Nieustraszony mnich wystąpił naprzód i przystanął zaledwie kilka stóp przed potężnym niczym góra *oni*. – Nigdy nie wydamy zwoju stworzeniu tak złemu jak ty! Nie jesteś tu mile widzianym gościem. Idź precz, na Nefrytowego Proroka! Zniknij i zabierz ze sobą swoje plugawe sługi!

Oni przechylił łeb na bok. Zaraz potem, bez uprzedzenia, uderzył maczugą, która trafiła Dengę w bok i odrzuciła go z impetem na jedną z kolumn. Coś obrzydliwie chrupnęło i zwłoki osunęły się po słupie na parkiet. Z nosa i ust popłynęła krew, niewidzące oczy zapatrzyły się w dal.

Przygryzłam wargę, by stłumić okrzyk. *Oni* pogardliwie wydał usta.

– Wasz Nefrytowy Prorok jest dla mnie niczym – rzucił, a jego demony zanosły się skrzekliwym śmiechem i wlały szeroką ławą do sali.

Pokrzykując z gniewu i oburzenia, mnisi ruszyli intruzom na spotkanie, do którego doszło na środku pomieszczenia. Ludzie mieli jedynie gołe ręce, a ich przeciwnicy dysponowali nie tylko mieczami i włóczniami, lecz także pazurami i zębami. Duchowni jednak wcale nie byli bezbronni. Wprost przeciwnie. Wszędzie dokoła zapulsowała energia *ki*, przeobrażając pięści w najprawdziwsze młoty, a stopy w narzędzia zniszczenia. Nitoru kopnął najbliższego potworka w głowę. Czaszka dosłownie implodowała, demoniczna krew bryznęła na wszystkie strony, a martwy stwór zniknął w tumanie szkarłatno-czarnego dymu. Trójka demonów opadła Satoshiego, który zręcznie chwycił sunącą ku niemu włócznię, wyrwał ją przeciwnikowi i przebił grotem rozdziawioną paszczę. Nie zauważył jednak zagrożenia, jakie pojawiło się za jego plecami, i drugi z demonów ciął go głęboko w łydkę sierpem *kama*. Satoshi zachwiał się i osunął na kolana, a monstra skoczyły na niego tłumnie, powalając na parkiet.

„Yumeko!” – zagrział mi w głowie głos mistrza Isao, choć sam przełożony Świątyni Milczącego Wiatru szedł właśnie na środek sali, otoczony trzaskającymi wyładowaniami *ki*, prosto ku czekającemu nań straszliwemu *oni*. „Uciekaj natychmiast!”

Odwróciłam się do dziury w podłodze i przygotowałam do zmiany postaci. Moment później jednak między deskami pokazała się okrągła, niebieska głowa i z otworu wygramolił się demon, prowadząc za sobą dwa inne. Na mój widok zasyczały i uniosły ostre włócznie. Wycofałam się pospiesznie.

Jinkei, dopomóż! Wpadłam w pułapkę. Nie mogłam ruszyć naprzód – drogę blokowała mi trójka demonów – nie mogłam się też wycofać, gdyż w sali wciąż trwała bitwa między mnichami i potworami. Hałas był ogłuszający, wycia i skrzeki mieszały się

z rozbłyskami *ki*, wszędzie fruwały ciała i tryskała krew. Spojrzałam na trzy wyszczerzone złowrogo demony, wyciągnęłam rękę i na dłoni ożyła mi kula błękitno-białego lisiego ognia. Niebieski stwór zerknął na nieziemskie płomyki i zaśmiał się tylko, na co natychmiast spochmurniałam; najwyraźniej tym razem nic nie mogłam w ten sposób wskórać.

Rozległ się ryk i potężne cielsko *oni* wpadło z impetem plecami na posąg Nefrytowego Proroka. Rzeźba zakołysała się niepewnie, dzięki czemu zdążyłam czmychnąć, po czym przewróciła się i z ogłuszającym hukiem pękającego drewna i kamieni spadła z cokołu. Trzy *amanjaku* zniknęły pod rumowiskiem, a ze świeżo powstałej w podłodze dziury doleciał mnie ciepły, pachnący dymem powiew.

Skrzywiłam się i ukryłam za pobliską kolumną. *Oni* tymczasem potrząsnął łbem i popatrzył na stojącego nadal pośrodku sali mistrza Isao. Mnich ciężko dyszał, krew spod kapelusza spływała mu na twarz, ręce trzymał wzniesione przed sobą.

Wielki demon usiadł pod powalonym posągiem i wydał z siebie głuchy warkot.

– Mocno bijesz jak na śmiertelnika – zadudnił potwór, dźwigając się na równe nogi. – Godne to pochwały, lecz ratunku ci nie przyniesie. *Amanjaku* rozszarpują już ostatnich twych braci. Nie został ci nikt. – *Oni* z wolna zakołysał głową na boki, rozluźnił ramiona i poderwał maczugę. – Czas skończyć tę zabawę. Przekonajmy się, czy zostało ci dość *ki*, by powtórzyć ten wyczyn!

Demon ryknął i zaatakował. Pędząc przed siebie, podrzucił broń nad głowę. W tej samej chwili spokojne spojrzenie mistrza Isao padło na mnie. Kiedy nasze oczy się spotkały, duchowny się uśmiechnął.

„Uciekaj, Yumeko-chan” – usłyszałam w głowie jego łagodny, błogi szept. „Uciekaj”.

Tym razem nie czekałam na rozwój wypadków, nie chciałam zobaczyć, czy przerażające uderzenie maczugi demona sięgnie celu, czy nie. Odwróciłam się na pięcie i wskoczyłam w dziurę

pozostawioną przez zniszczony posąg. Szepcząc przeprosiny pod adresem powalonego Proroka, przeszłam ponad spękanymi belkami i okruchami nefrytu. Moment później byłam już na zewnątrz, gdzie owiało mnie gorące, duszące powietrze. Oślepiąca przez łzy, potknęłam się o deskę, upadłam i zdarłam sobie skórę z dłoni. Lakowany futerał ze zwojem potoczył się po ziemi i zabłysnął w blasku pożaru.

Krew zastygła mi w żyłach. Poderwałam zgubę i na poły biegnąc, na poły kuśtykając, ruszyłam przez ogród i dalej, poza staw wypełniony martwymi, unoszącymi się bezwolnie karpiami, aż do starego, opartego o mur klonu. Pospiesznie wcisnęłam zwój w chustę, wsunęłam *tanto* za pas i podciągnęłam się na sękatych gałęziach. Co ciekawe, ta znajoma przecież czynność wydała mi się dzisiaj dziwna i nierzeczywista. Być może dlatego, że wiedziałam, iż wspinałam się na to drzewo po raz ostatni w życiu.

Na szczycie muru rzuciłam pożegnalne spojrzenie na swój dom, na świątynię, w której spędziłam całe życie, i poczułam niecodzienny ucisk w gardle. Z pagody został już tylko spowity w płomienie szkielet, a ogień rozprzestrzenił się też na inne zabudowania, w tym główną salę. Ponad koronami drzew widziałam jedynie jej dach, lecz w jednym jego rogu drobny węgielek przerodził się już w płomyk, który lada moment miał się rozrosnąć i ze szczerem pochłonąć cały drewniany budynek. Nie miałam odwagi myśleć o tym, co się dzieje w środku; o straconych życiach, o mnichach, którzy tak mężnie stawiali czoła hordzie demonów. Odeszli wszyscy ludzie, których znałam – Jin, Satoshi, Nitoru, Denga, mistrz Isao i inni. Wiedzieli, że czeka ich śmierć, ale za wszelką cenę starali się ochronić zwój.

Z płonącego dachu sali podniosła się maleńka, świetlista kulka, jasna na tle dymów i nocy. Zaraz potem dołączyła do niej następna i jeszcze jedna, aż wreszcie pod niebo frunęło kilkanaście kul, ciągnąc za sobą w powietrzu błyszczące smugi. Coś chwyciło mnie za gardło, a po policzkach spłynęły mi świeże łzy. Ani jedna z kul nie zwolniła, nie pozostała w pobliżu świątyni, wszystkie miarowo

i pewnie sunęły ku gwiazdom. Niczego nie żałowały, nie niosły w sobie smutku ani myśli o zemście; z tym światem nie wiązało ich już nic. Były wolne.

Głęboko w mojej piersi zapłonął biało-niebieski płomień gniewu. Kiedy wypalił już rozpacz do cna, głęboko odetchnęłam, by przegnać łzy.

– Nie zawiodę – przyrzekłam odlatującym z wolna światelkom, sunącym ku Meido, Czystej Krainie, czy gdziekolwiek indziej. – Skoro... skoro to naprawdę moje przeznaczenie, dam z siebie wszystko. Nie martw się, mistrzu Isao, nie martwcie się wszyscy. Znajdę Świątynię Stalowego Pióra i ochronię zwój. Obiecuję.

Świecące kule nie zwróciły na moje słowa najmniejszej uwagi. Wciąż leciały pod niebo, aż wreszcie stały się równie maleńkie jak gwiazdy, a potem zniknęły zupełnie.

– Bezpiecznej podróży. – Zatrzepotałam powiekami. – Obyśmy się znowu spotkali. W tym życiu lub w następnym.

W ogrodzie rozległ się syk. Spojrzałam w dół, prosto w szkarłatne ślepie demona, który w tej samej chwili drgnął i popatrzył ku górze. Gdy zamachał bronią i ostrzegawczo zawył, zeskoczyłam z muru i co sił w nogach pognałam do lasu.



NIESPODZIEWANA PROPOZYCJA

Ścieżka zniknęła.

Przystanąłem z wahaniem w leśnym cieniu, zamknąłem dłoń na rękojeści miecza i zacząłem nasłuchiwać. Pędząc pod górę, musiałem w pewnym momencie zgubić szlak, lub też ścieżka złała się na dobre z poszyciem. Tak czy inaczej, w tej chwili otaczała mnie nieprzerwana ściana lasu, czarna i gęsta. Nie był to przesadny problem; nadal słyszałem huk pożaru, a wiejący pomiędzy gałęziami wiatr niósł woń krwi i dymu. Szedłem we właściwym kierunku.

Obawiałem się za to tego, co zastanę u celu.

Coś przede mną zaszeleściło w krzewach i Kamigoroshi ostrzegawczo zapulsował. W tej samej sekundzie jakieś stworzenie wystrzeliło z ciemności i rzuciło się prosto na mnie. Ostrze mojego miecza w okamgnieniu wysunęło się z pochwy i uniosło na wysokość twarzy napastnika, który – która? – zakrzyknął i gwałtownie wyhamował. Mój umysł dogonił odruchy. Hakaimono

ryknął, namawiając, bym nie wstrzymywał ręki, bym czym prędzej skąpał stal we krwi. Otrząsnąłem się z dojmującej żądz mordy i zmusiłem dłonie, aby znieruchomiały.

Ostrze zamarło dosłownie cal od jej szyi. Oddychając płytko, popatrzyłem ponad jaśniejącym w mroku mieczem prosto w jej twarz – w dziewczęcą twarz i wielkie, czarne, przepełnione szokiem oczy.

Była w moim wieku, może odrobinę młodsza. Drobna i chuda, odziana w krótką, szkarłatną szatę upstrzoną białymi wzorami. Czarne włosy swobodnie spływały jej na ramiona i plecy.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, zalani nikłą, fioletową poświatą Kamigoroshi. Dziewczyna miała brudne policzki, umazane popiołem i ziemią. Stała zziębnięta, jakby umykała przed ogniem wraz z pozostałymi mieszkańcami lasu.

Tymczasem za jej plecami trzasnęła pękająca gałązka i zrozumiałem, przed czym uciekała.

– Odsuń się – rzuciłem i odepchnąłem nieznajomą za siebie.

Zaraz potem z krzewów wyskoczył wyjący wniebogłosy *amanjaku* z uniesionym nad głowę sierpem. Odrąciłem zakrzywione ostrze i ciąłem demona przez twarz. Zaskowyczał i padł na bok. Z zarośli wysypały się kolejne potworki i przypuściły gwałtowny atak, tnąc i rąbiąc. Jeden po drugim umierały na klindze Kamigoroshi, którym odrąbywałem kończyny i głowy, znacząc powietrze łukami czarnej krwi. Hakaimono pławił się w śmierci demonów, lecz ja ostrożnie unikałem jego wściekłości. Byłem ręką władającą mieczem, niczym więcej. Odsyłając monstra do Jigoku, nie czułem żadnej emocji.

Kiedy padł już ostatni demon, otrzepałem z ostrza parującą krew i ignorując rozlegające się w mej głowie protesty, wsunąłem Kamigoroshi do pochwy. Rozejrzałem się.

Dziewczyna wyglądała zza pnia i wpatrywała się we mnie wielkimi, czarnymi oczyma. Zaskoczony zwróciłem się przodem do niej. Podświadomie spodziewałem się, że zniknie, że wykorzysta okazję i rozplynie się w lesie. Moment później w jej dłoni błysnęła

stal i zauważyłem rękojeść *tanto*. Nie byłem pewien, czy sięgnęła po broń z myślą o mnie, czy *amanjaku*.

– Na łaskę Jinkei – szepnęła, zdyszana. Rozejrzała się z błyskiem w oku, popatrzyła na rozpływające się na wietrze ostatnie ciemne smugi. – Coś ty... To było... – Zamrugła i spojrzała mi prosto w oczy, rozdarta między lękiem a podziwem. – Kim jesteś?

Nikim i niczym. Cieniem na murze, pustym i nieistotnym. Odwróciłem się w stronę szalejących w oddali płomieni.

– Uciekaj – podpowiedziałem nieznajomej, nie patrząc na nią. – Zniknij stąd. Zejdź do wioski u podnóża góry. Tam powinnaś być bezpieczna.

– Zaczekaj! – zawołała, kiedy ruszyłem przed siebie. Przystanąłem, lecz nie odwróciłem się. – Nie możesz tam iść – podjęła i usłyszałem, że wychodzi zza drzewa. – To zbyt niebezpieczne. Tam grasuje cała horda demonów. I jest nawet *oni*!

Oni. Zmrużyłem oczy, a Hakaimono natchnął mnie najsilniejszą falą ekscytacji, jaką kiedykolwiek od niego poczułem. Zabijałem w imieniu Klanu Cienia niebezpieczne *yokai*, odkąd skończyłem trzynasty rok życia, byłem najmłodszym z długiej linii zabójców demonów, którym powierzano Kamigoroshi, ale nigdy jeszcze nie zmierzyłem się z prawdziwym *oni*. Z tego, co opowiadał *sensei*, te największe demony Jigoku nie przypominały żadnych potworów, z jakimi się dotąd potykałem. Twarde, dzikie, niemal niemożliwe do zatrzymania. Cechowała je zdolność błyskawicznego gojenia ran, leczenia złamań, a nawet regeneracji uciętych kończyn. Nawet tak potężną bronią jak moja niełatwo było je pokonać. W przeszłości niejedyn zabójca demonów oddał życie, ścierając się z *oni*.

Na szczęście spotkania z tymi demonami były stosunkowo rzadkie, gdyż przyzwanie *oni* z Jigoku i poddanie tak kapryśnego demona własnej woli wymagało niewiarygodnej mocy. Niestety, oznaczało to również, że ten, kto przysłał potwora do tego lasu, poszukiwał prawdopodobnie tego samego co ja. Lady Hanshou nie wyjawiała, dlaczego ten zwój jest dla niej ważny, a ja nie zapytałem, bo to nie moja sprawa. Moje zadanie polegało na zdobyciu

pergaminy, bez względu na to, jakie przeciwności staną mi na drodze.

– Ten *oni* – zwróciłem się do dziewczyny, której spojrzenie wciąż czułem na plecach. – Gdzie jest?

– W świątyni – odpowiedziała lekko zduszonym głosem. – Na szczycie góry. Zabił wszystkich i podpalił budynki. Nic nie zostało.

Spochmurniałem. Skoro demony zaatakowały i spaliły świątynię, zwój był już zapewne gdzie indziej. Został zniszczony bądź dostał się w ręce *oni*. Zacisnąłem zęby i wszedłem między drzewa. Musiałem sprawdzić, czy zwój mimo wszystko nie został w świątyni i czy mogę go jeszcze ocalić. A jeżeli rzeczywiście przejął go demon, musiałem go pokonać lub zginąć w walce.

– *Baka!* – Coś uczepiło się rąbka mojej bluzy. Zatrzymałem się i odwróciłem, z trudem powstrzymując ręce przed dobytciem Kamigoroshi i rozplataniem natręta na pół. – Nie słyszałeś, co powiedziałam? – Twarz nieznajomej była w tej chwili pełna strachu. – Tam znajdziesz tylko *oni* i armię demonów. Jeśli pójdziesz do świątyni, zginiesz. Zabiją cię, tak jak zabiły wszystkich innych.

Miała wilgotne oczy, mokra smuga znaczyła jej policzek. Nagle zrozumiałem.

– Ty tam byłaś – stwierdziłem półgłosem. – Widziałaś atak na własne oczy.

Pokiwała głową i przeciągnęła brudnym rękawem po twarzy.

– Wszyscy zginęli – szepnęła. – Sama ledwie uszłam z życiem. Mój mistrz poświęcił się, bym mogła uciec. Rzucił się na *oni* w pojedynkę, choć wiedział, że czeka go śmierć.

– Czego szukały u was demony? – spytałem, bacznie się jej przyglądając. Może, skoro mieszkała w tej świątyni, wiedziała o zwoju albo miała pojęcie, gdzie go szukać. – Dlaczego was napadły? – nacisnąłem. – Zabrały cokolwiek?

Nieznajoma nie odpowiedziała od razu. Pobladła i ponownie zmierzyła mnie spojrzeniem ogromnych, czarnych oczu. Z jakiegoś powodu przebiegł mnie dreszcz i musiałem się powstrzymać, by nie odwrócić wzroku.

– Nie wiem – przyznała. – Nie wiem, czego szukały ani dlaczego nas zaatakowały. Wiem tylko, że moja świątynia została zniszczona, a demony zamordowały wszystkich ludzi, których miałam na świecie. Wiem też, że jeśli tam pójdziesz, zginiesz i ty. – Znów na mgnienie zamarła, po czym spojrzała tak, jakby podjęła jakąś decyzję, i podała mi rękę. – Chodź ze mną – powiedziała ku memu zdumieniu. – Chodźmy stąd, zanim znajdą nas demony. Nie mogę... nie chcę być teraz sama. Razem możemy zejść do wioski i tam zastanowić się, co dalej.

– Nie. – Cofnąłem się o krok. – Ty uciekaj. Wyjdź z tego lasu. Ja mam w świątyni coś do załatwienia, muszę coś potwierdzić – dodałem i ruszyłem w dalszą drogę.

– Co? – Obrzuciła mnie pełnym niedowierzania spojrzeniem. – Nie mówisz chyba poważnie? Co może być tak ważne, że gotów jesteś zaryzykować śmierć z rąk *oni*? Ten olbrzym zgniecie ci głowę jak orzeszek! Zaczekaj!

Usłyszałem za plecami przyspieszone kroki. Odwróciłem się raz jeszcze i podniosłem Kamigoroshi, czym udało mi się ją zatrzymać.

– Nie idź za mną – przestrzegłem zapatrzoną w ostrze dziewczynę. – Uciekaj do wsi. Ostrzeż ich, opowiedz o ataku. I zapomnij o tym, co zobaczyłaś tutaj. – Wsunąłem miecz do pochwy i poszedłem ku ciemności, ku świątyni i czekającej mnie na szczycie góry walce. – To, co się teraz wydarzy, nie jest sprawą dla ciebie.

– Zwoju już tam nie ma.

Zatrzymałem się. I odwróciłem. Bardzo powoli. Nieznajoma stała tam, gdzie poprzednio, patrząc na mnie z nieufną, nieomal wyzywającą miną.

– Zwój – podjęła, rozwiewając wszelkie wątpliwości. – Nie znajdziesz go tam. Nie ma go już w świątyni.

– Więc gdzie jest?

Zawahała się. Dobyłem miecza i ruszyłem na nią. Zbladła i cofnęła się, lecz po kilku krokach wpadła na drzewo.

– Nie wiem – zaczęła i zastygła w bezruchu, gdy Kamigoroshi dotknął jej szyi. – Czeka! Proszę! Nic nie rozumiesz!

– Gdzie jest zwój? – spytałem ponownie, podchodząc jeszcze bliżej. – Mów albo cię zabiję.

– Nie ma go! – wypaliła dziewczyna. – Już go tam nie ma. Mistrz Isao... przeczuł nadejście demonów. Wiedział, że szukają zwoju, więc odesłał go... kilka dni temu.

– Dokąd?

– Nie wiem.

Poruszyłem ostrzem tak, że nacisnęło lekko na skórę jej podbródka.

– Nie wiem! – powtórzyła, zadzierając głowę, by uciec przed zimnym mieczem. – Mistrz Isao nie powiedział dokąd... Ale... wiem, kto wie.

– Kto?

Czarne oczy ponownie omiotły Kamigoroshi. A ja ponownie, jakby w reakcji na jej bliskość, poczułem na skórze przedziwne mrowienie.

– Skąd mam wiedzieć, że mnie nie zabijesz, kiedy ci powiem?

– Masz moje słowo – zapewniłem. – Słowo honoru. Jeśli zdradzisz, co chcę wiedzieć, nie zabiję cię.

– Potrzebuję czegoś więcej, samuraju. – Nieznajoma ostrożnie pokręciła głowę. Zmarszczyłem czoło. Przysięga wojownika stanowiła wartość absolutną, honor wykluczał wszelką możliwość zdrady, a sugerować cokolwiek innego równało się obrazie. Samuraj, który złamał przyrzeczenie, okrywał się wstydem tak wielkim, że jedynym wyjściem było dla niego *seppuku* – rytualne samobójstwo.

Ja, oczywiście, byłem *shinobi*, wojownikiem cienia, i działałem w myśl innego kodeksu niż samuraje. My trzymaliśmy się cieni, wypełnialiśmy zadania, które honorowego wojownika przepełniłyby grozą i odrazą. Dziewczyna jednak nie miała o tym wszystkim pojęcia.

Wciąż mnie obserwowała, stała oparta głową i plecami o pień, z brodą uniesioną ponad zabójczym ostrzem mojego miecza. Ostrze trzymałem zdecydowanym chwytem, musiałem je kontrolować

zarówno ręką, jak i umysłem, gdyż Hakaimono nieustannie podburzał, bym nie zwlekając, zamordował tę nieposłuszną chłopkę.

– Możesz mnie zabić – powiedziała nieznajoma – lecz wtedy nigdy nie znajdziesz tego, czego szukasz.

Przymrużyłem oczy i poczułem, że drży. Odniosłem wrażenie, że powoli wyczerpuje się jej odwaga. Wtem jednak zaczerpnęła głęboki oddech i ponownie zajrzała mi w oczy.

– Mam dla ciebie... propozycję – oznajmiła. – Posłuchaj, proszę, zanim obetniesz mi głowę. Demony będą mnie ścigać. Kiedy zorientują się, że zwoju tam nie ma, ruszą moim śladem. A zwój w tej chwili znajduje się w drodze do innej świątyni. Ukrytej i bardzo odległej. Muszę do tej świątyni dotrzeć i ostrzec mnichów przed atakiem demonów. Przyrzekłam to swojemu mentorowi.

– Ale nie wiesz nawet, gdzie tej świątyni szukać.

– No... nie wiem – przyznała. – Ale mistrz Isao powiedział mi, kto wie. Pewien kapłan mieszkający w Kin Heigen Toshi. On wie, gdzie znajduje się ukryta świątynia, i może wskazać mi drogę. Obawiam się jednak, że w pojedynkę tam nie dotrę. Sama nie pokonam przecież całej hordy demonów. – Omiotła mnie spojrzeniem i nagle uświadomiłem sobie, ku czemu to wszystko zmierza. – Ty natomiast... Coś mi mówi, że zabijanie demonów masz we krwi. Jeśli... wyruszysz ze mną, jeśli ochronisz mnie w czasie podróży, to... – Umilkła, lecz niewypowiedziana sugestia zawisła w powietrzu, niemożliwa do przeoczenia.

Jeśli ją ochronię, zaprowadzi mnie do zwoju.

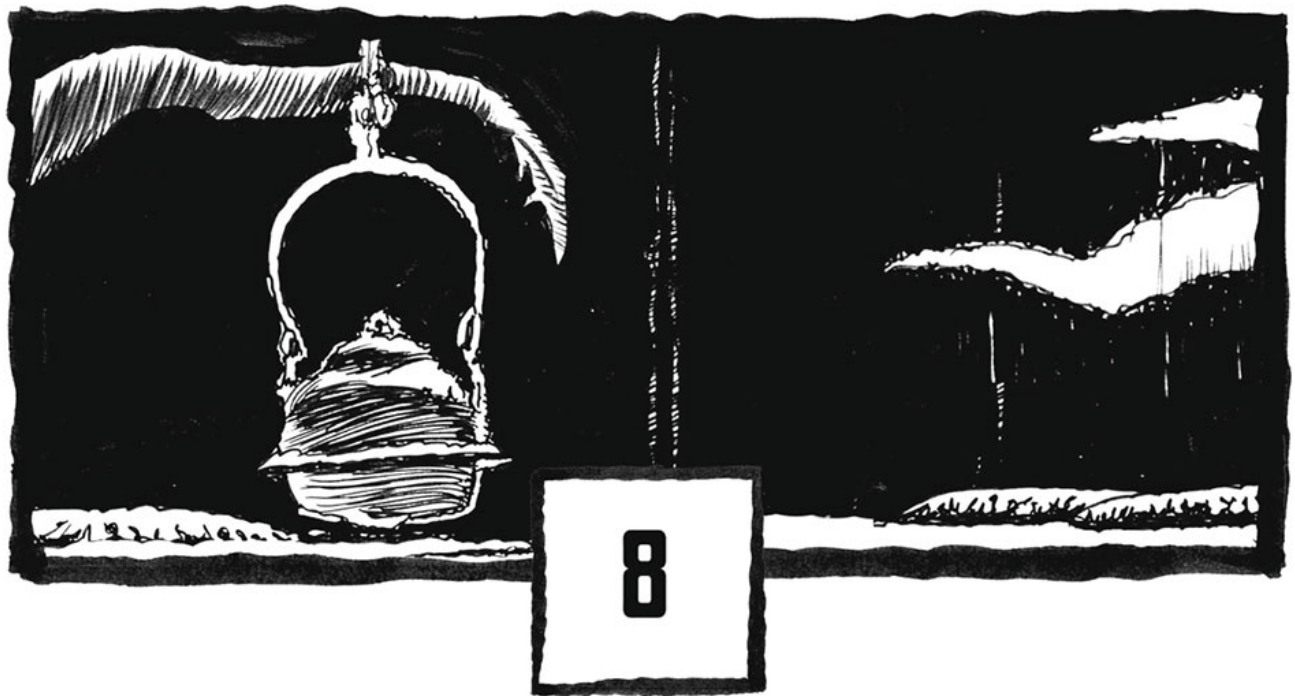
Zastanowiłem się. Klan nie byłby zachwycony. Jako zabójca demonów i powiernik Kamigoroshi, nie powinienem wiązać się długofalowymi umowami z nikim spoza Kage. Istniały ku temu dwojakie powody. Mójród lubował się w tajemnicach. Nasi *shinobi* należeli do najlepszych w całej krainie i posiadali talenty nieznane reszcie świata. Żyliśmy w bliskim sąsiedztwie cienia, czego dowodzili ci spośród nas, których dotknęły *kami* i którzy mówili językiem tego, co mroczne i nieznane. Klan Cienia pilnie strzegł swoich sekretów i bez wahania, a nawet z przyjemnością zabijał

wszystkich obcych, którzy dowiadywali się zbyt wiele. Prosta chłopka wędrująca w towarzystwie zabójcy demonów z pewnością wzbudziłaby niepokój przynajmniej kilku osób.

Drugi natomiast, znacznie poważniejszy problem stanowiłem ja sam. Byłem bardzo niechętny zadawaniu się z ludźmi z zewnątrz, ponieważ groziło mi nieustanne niebezpieczeństwo ze strony zakłętego w mieczu demona. Szczególnie groźne były dla mnie wszelkie uczucia, które Hakaimono wykorzystywał jako bramę do ludzkiej duszy. Wściekłość, strach, niepewność; im bardziej intensywna emocja, tym łatwiej demon mógł przejąć władzę nad związanym z nim człowiekiem. Ostrzegano mnie, nie raz i nie dwa, że gdyby Hakaimono zdołał mnie w pełni opanować, o ratunku nie byłoby mowy. Stałbym się potworem, a moi pobratymcy nie mieliby wyboru, musieliby mnie zgładzić.

Lecz przecież miałem do wykonania misję. Zadanie, które wyznaczyła mi sama lady Hanshou. Przysiągłem zdobyć zwój i spodziewano się, że zlecenie wypełnię, nawet jeśli ceną za to miałyby być życie moje i wszystkich wokół. Porażka była wykluczona.

– No to jak? – ponagliła dziewczyna. – Umawiamy się czy nie?



DWOJE NA DRODZE

Nieznajomy milczał, zastanawiał się. Staliśmy bardzo blisko siebie i widziałam wszystkie detale jego twarzy – wyraziste kości policzkowe, pełne usta, bliznę biegnącą z czoła przez nos. Ale jego oczy... Oczy lśniły fioletem, przepyszny głębokim odcieniem irysów, choć kiedy zagłądałam w nie głębiej, dreszcz przeszywał mnie od karku po krzyż. Te oczy były puste, nie zdradzały żadnej emocji; brakowało w nich współczucia, empatii i zrozumienia. Nie ukazywały nawet śladu kryjącej się za nimi duszy. Aż do tego momentu nigdy w życiu nie czułam prawdziwego strachu przed innym człowiekiem; mimo że Denga-san groził, wpadał w szal i często mnie karmił, byłam w duchu pewna, że żaden mnich ze Świątyni Milczącego Wiatru nie wyrządziłby mi krzywdy. Ale ten chłopiec... Tak, był jeszcze młody i miał oblicze anioła, lecz jego oczy nie zostawiały cienia wątpliwości. Był zabójcą.

Niemniej ów bezduszny zabójca był prawdopodobnie moją jedyną szansą na odnalezienie Świątyni Stalowego Pióra. Na tę myśl serce zaczęło mi gwałtownie kołatać, widziałam przecież, jak rozprawił się z *amanjaku*, z jaką swobodą je zabił, i przyszedł mi do głowy pewien pomysł – myśl dzika, ryzykowna i prawdopodobnie wielce niebezpieczna. Kiedy demony zrozumieją, że zwój zniknął ze świątyni, ruszą za mną w pogoń. Ścigałby mnie sam *oni* i choć bardzo chciałam pomścić mistrza Isao i pozostałych, tak potężnemu potworowi sprostać nie mogłam.

Zadrżałam, a moje trzewia zmieniły się w jeden wielki, obolały supeł. Wciąż nie wydawało się możliwe, że oni wszyscy odeszli naprawdę. Że jeszcze dziś po południu rozpalałam świece i żałowałam, że muszę tkwić w świątyni. Nigdy nie wyszłam nawet poza ten las. Nie miałam pojęcia, dokąd się udać ani jak rozmawiać z ludźmi. Przez całe życie rozmawiałam tylko z mnichami, *kami* i pałętającymi się od czasu do czasu po okolicy *yokai*. Musiałam zanieść zwój do Świątyni Stalowego Pióra; obiecałam to mistrzowi Isao, lecz nie byłam pewna, jak do niej trafić ani co zrobić, jeżeli po drodze natknę się na demony.

A ten... ten człowiek potrafił zabijać demony. I to, trzeba przyznać, bez większego trudu. Bardzo możliwe, że był równie niebezpieczny jak one. Gdyby zgodził się mnie chronić, każdy demon, *yokai* czy niegodziwy człowiek, któremu zamarzyłaby się smocza modlitwa, musiałby najpierw zmierzyć się z nim.

Pozostawał tylko jeden drobny problem.

On również poszukiwał zwoju. I nieważne przy tym, czy podobnie jak demony został po niego wysłany przez kogoś trzeciego, czy pojawił się tu z własnej woli. Wyraźniej poczułam dotyk wąskiej, pociągniętej laską tuby, którą niosłam w zawiązanej na ramieniu *furoshiki*, i ponownie zabiło mi serce. Jeśli ten chłopak odkryje, że to ja mam modlitwę, będę martwa jak te rozpływające się na wietrze potworki. Zrozumiałam, że muszę być bardzo ostrożna i podejmować same mądre decyzje. W przeciwnym wypadku mój obrońca bez wahania zwróci się przeciwko mnie.

Przemknęło mi przez myśl, że mistrz Isao zapewne nie pochwaliby mojego podstępu, nie spodobałoby mu się, że kłamię temu chłopcu po to, by zaprowadził mnie do Świątyni Stalowego Pióra. Denga z pewnością dostrzegłby w tym kolejny przejaw lisiej skłonności do mamienia i zwodzenia. Nie byłam jednak wojowniczką; nie potrafiłam rąbać mieczem, a o świecie zewnętrznym wiedziałam tylko tyle, ile nauczyli mnie mnisi. Moja świątynia spłonęła, moją rodzinę wymordowały demony, a ja zostałam sama z niemal niewykonalną misją. Nie wspominając o tym, że być może zostałam podrzucona pod bramę Świątyni Milczącego Wiatru właśnie z myślą o tej chwili. Po to, bym w jakiś sposób ochroniła zwój przed wszystkimi, którzy chcą go zdobyć dla siebie. Nie byłam pewna, co myśleć o tej całej historii z wizją, ale wiedziałam, że jeśli zacznę zastanawiać się nad nią teraz, zapadnę się w otchłań tak głęboką, że nigdy się z niej nie wydostanę. Sama nie miałam szansy, a nie mogłam też zwrócić się do nikogo innego. Jak to zauważyła wieczorem stara Tanuki-baba: byłam *kitsune*, nie człowiekiem. I w tym byłam dobra.

Spoglądając w oczy rozważającego propozycję nieznajomego, wyczułam toczącą się w nim rozpaczliwą walkę. Ostatecznie skinął głową, oderwał przerażający miecz od mojej szyi i cofnął się o krok.

– Zgoda – powiedział. – Skoro tylko w ten sposób można zdobyć zwój, zaprowadzę cię do stolicy, a potem do Świątyni Stalowego Pióra. Ale... – Zmrużył oczy, rzucił mi zimne, lodowate spojrzenie i uniósł ostrze tak, że światło księżyca spłynęło po całej jego długości. – Jeżeli mnie zwiedzisz lub spróbujesz uciec, zabiję cię. Rozumiesz?

Skinęłam głową, starając się zignorować ukłucie strachu, które pojawiło się wraz z falą ulgi. Nie żebym miała zamiar się ulotnić, lecz nie miałam wątpliwości, że nieznajomy mówi śmiertelnie poważnie. Chłopak westchnął, wsunął broń do pochwy i nikły blask klingi zniknął, pogrążając nas w ciemności.

– Do stolicy mamy kilka tygodni pieszej wędrówki – oświadczył spokojnie i rzeczowo, robiąc krok do tyłu. – Mój koń uciekł, więc

będziemy musieli iść, przynajmniej dopóki nie znajdę nowego wierzchowca. Starczy ci sił na tak daleką podróż? Jesteś przygotowana? Niczego ci nie trzeba?

– Nie – odparłam. Jako wychowanka wiodących ascetyczny żywot mnichów, nigdy nie posiadałam wiele, a cały mój niewielki dobytek zmienił się już zapewne w kupkę popiołu. Miałam sandały, okryty grzbiet, nóż i schowany w chuście fragment zwoju, którego potęgą pozwalała spełnić dowolne życzenie. Te kilka drobiazgów musiało mi wystarczyć.

– Domyślam się, że nie masz żadnych dokumentów podróźnych? – zapytał chłopak.

Zamrugalam zdezorientowana.

– Nie. A co to takiego?

– To... – Potrząsnął głową. – Nieważne. – Zbył kwestię machnięciem ręki. – Teraz i tak nic nie poradzimy. Będziemy się martwić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– *Ano* – rzuciłam, kiedy człowiek stanął do mnie plecami. – Jak się nazywasz?

– Kage Tatsumi – odpowiedział po chwili wahania niskim, pustym głosem.

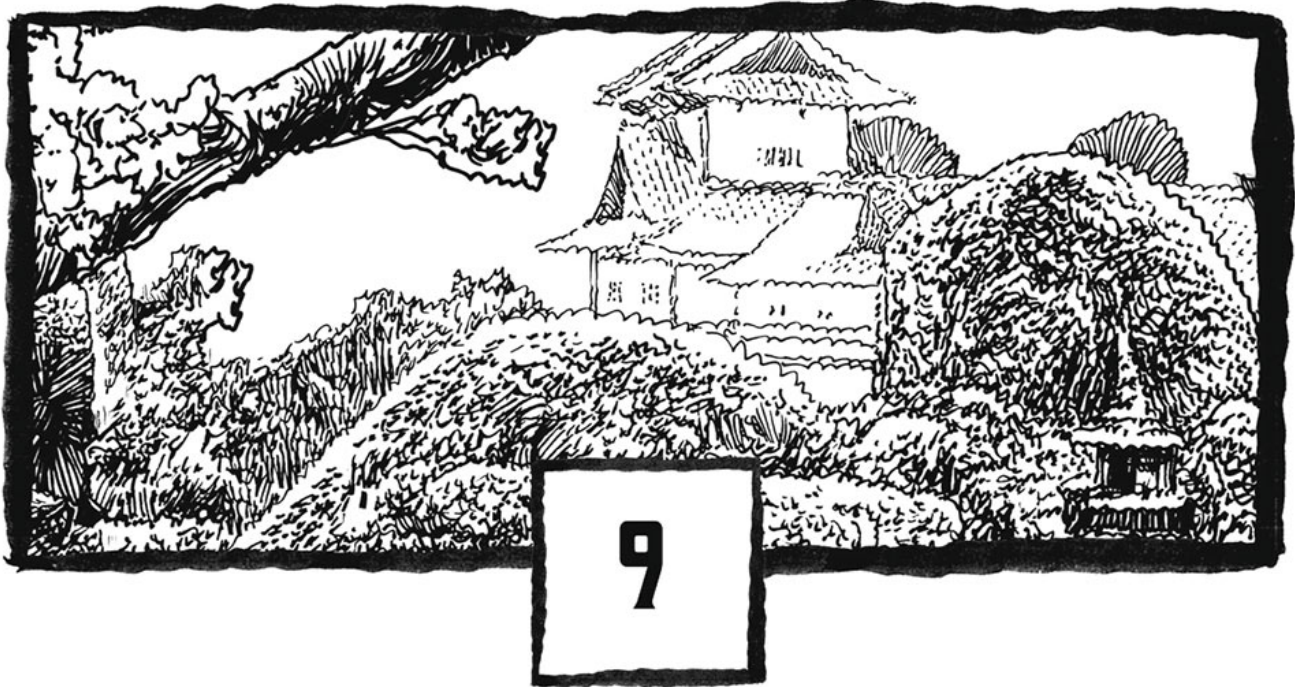
Kage. Członek Klanu Cienia, rodu słynącego z miłości do sekretów i tajemnej wiedzy. Tak przynajmniej wskazywała moja dotychczasowa nauka. Wszystko to pasowało do postaci stojącego przede mną mrocznego chłopca o zimnych oczach.

– Ja jestem Yumeko. – Spróbowałam się uśmiechnąć, choć stojąc tyłem, i tak nie mógł tego dostrzec. – Dziękuję, że zgodziłeś się zabrać mnie do stolicy, Tatsumi-san. I jeszcze... no wiesz, za ocalenie z łap demonów.

Niczym nie dał poznać po sobie, że usłyszał choć słowo. Rzucił jedynie ciche „idziemy”, po czym ruszył przed siebie i rozpląnął się w cieniu, jakby sam był nocą. Raz jeszcze zerknęłam na niebo, na wciąż snujące się ponad drzewami dymy i iskierki, symbolizujące koniec pewnego etapu mojego życia.

Zamknęłam oczy i zmówiłam pospiesznie modlitwę do Jinkei, *kami* miłosierdzia, i Doroshin, *kami* szlaków, prosząc o pomyślność i doprowadzenie do celu. Moment później odwróciłam się i poszłam za Kage Tatsumim prosto w mrok.





NIEUKOJONA DUSZA

Zycie pod postacią ducha wymagało olbrzymiej cierpliwości. Kiedy Suki była jeszcze małą dziewczynką, historie o duchach opowiadała jej matka. Pod koniec dnia, gdy Mura Akihito siedział jeszcze w warsztacie, trudząc się nad najnowszym arcydziełem, Suki zasiadała na stołku, patrzyła w chybotliwym blasku świec na zamiatającą lub gotującą mamę i słuchała bają o zdradzonych bądź porzuconych przez kochanków pięknych kobietach, które usychały z tęsknoty do momentu, aż ich ciała obumierały, lecz uczucie żyło nadal. Suki zauważyła, że w matczynych opowieściach to zawsze kobiety umierały ze złamanym sercem. Niekiedy też, targane żalem, odbierały sobie życie własnymi rękoma. Ewentualnie ginęły brutalnie zamordowane, po czym powracały z zaświatów, kierowane pragnieniem zemsty. Czasami, jeśli kobieta wiodła życie niemoralne, przeradzała się w istotę straszliwą i nienaturalną. Chciwym

kobietom wyrastały dodatkowe usta z tyłu głowy i usta te pożerały całe jedzenie, jakie udawało się jej znaleźć. Kobiety niewierne odkrywały, że we śnie ich szyje rozciągają się na niewiarygodną długość, a ich głowy chłepczą przeznaczony do lamp olej lub atakują drobne zwierzęta. W większości wypadków odczuwane przez kobiety żal, zazdrość czy furia czyniły je *oni*, *hannya* albo nawet okropnymi, wielkimi wężami. I wszystkie te demony koniec końców ginęły pod ciosami miecza wspaniałego samuraja.

Taki straszliwy los, dumiała dusza, która nosiła niegdyś imię Suki, szybując bezszelestnie wąskim, zamkowym korytarzem. Kobiety przemieniające się w monstra były istotami groteskowymi i godnymi współczucia. W tej chwili jednak zdecydowanie wolałaby być demonem niż sobą.

Kilka kroków przed nią kroczyła spacerowym krokiem lady Satomi, zupełnie nieświadoma sunącej za nią duszy. Po swej straszliwej śmierci Suki próbowała śledzić arystokratkę, lecz zgubiła ją w krętych tunelach porzuconego zamku. Dryfowała więc bez celu pomiędzy komnatami, przejściami i dziedzińcami, oszołomiona i niepewna. Miała niezbitą pewność, że zanim stała się duchem, była jedną ze służek zatrudnionych w cesarskim pałacu. Zagadką pozostawało, w jaki sposób trafiła do tego mrocznego, bezludnego zamczyska. Ostatnie, co pamiętała, to moment, kiedy przyniosła zwój liny do magazynku w jednym z ogrodów. Ten zamek jednak żadną miarą nie był złotym Pałacem Słońca. Wszystko tutaj było zimne, martwe, zapomniane. Nawet demony odeszły. Yaburama i jego pomniejsi słudzy pożarli jej ciało i zniknęli. Mając za towarzystwo wyłącznie pająki i szczury, Suki odniosła wrażenie, że czas rozpływa się w tchnącą samotnością, ponurą mgłą.

Tego wieczoru jednak lady Satomi powróciła i ruszyła przez płataninę korytarzy krokiem tak pewnym, jakby odwiedzała je co noc. Oszołomiona Suki poszybowała śladem arystokratki i unikając jej spojrzeń, zastanawiała się, co dalej.

Jako pierwsza oczywiście przyszła jej na myśl zemsta. Miała ochotę nawiedzać Satomi i dręczyć, dopóki wyrzuty sumienia nie

doprowadzą kobiety do obłądu. Ale w odróżnieniu od bohaterki opowieści matki, istot zdolnych rzucać klątwy, a nawet fizycznie krzywdzić swe ofiary, Suki dysponowała bardzo ograniczoną możliwością wpływania na świat. Nie posiadała ciała; jej niematerialna dusza przenikała wszystko, czego się tknęła. Kiedy się skupiała, stawała się widmową podobizną dawnej siebie, lecz wystarczało się na moment rozkojarzyć, a ponownie zmieniała się w kulę światła. Mówienie przychodziło jej z trudem i wymagało wysiłku, a gdy nawet przypominała sobie, jak to się robi, jej słowa były ciche niczym westchnienie. W podaniach niektóre *yurei* były potężnymi *onryo*, duchami zemsty, których nienawiść i wściekłość manifestowały się pod postacią destrukcyjnych, niekiedy wręcz zabójczych klątw. Suki jednak nie miała pojęcia, jak się za coś takiego zabrać. Zresztą nawet gdyby ukazała się swej morderczyni, lady Satomi nie sprawiała wrażenia osoby, która przejęłaby się widokiem ducha byłej służącej.

Tak więc Suki leciała bezszelestnie przez puste korytarze, aż wreszcie arystokratka otworzyła frontowe wrota i ponownie wyszła na zewnątrz.

Dziedziniec roił się od demonów. Suki zastygła w powietrzu, zadygotała, po czym przefrunęła błyskawicznie za suchy krzew i wyjrzała ostrożnie między gałkami. *Amanjaku* skakały po kamiennych płytach, powarkując i wygrażając sobie nawzajem prymitywną bronią. Pośrodku górowała nad wszystkim przerażająca, rzucająca rozległy cień postać Yaburamy.

Lady Satomi weszła prosto w potworną ciżbę, całkowicie ignorując syczące i śliniące się stwory. Kroczyła ku *oni* z wyrazem błęgiego spokoju na twarzy. Z punktu widzenia ukrytej za ukruszonym murem Suki wydawało się, że Yaburama jest w niezbyt dobrym nastroju. Za każdym razem, gdy któryś *amanjaku* zanadto się zbliżał, olbrzym agresywnie szczyrzył zęby. Kiedy spod stóp podchodzącej Satomi wyskoczył nieostrożny zielony demon, *oni* kopnął go tak mocno, że nieszczęśnik przeleciał ponad zamkowym

murem. Arystokratka odprowadziła frunącego potworka rozbawionym spojrzeniem, a następnie zwróciła się ku Yaburamie.

– Cóż, mogłabym skomentować twoją ewidentną nerwowość, lecz dzisiaj przynajmniej przybyłeś o umówionej godzinie. – Kobieta pociągnęła nosem i rzuciła ostrzegawcze spojrzenie człapiącemu zbyt blisko niej *amanjaku*. – Niestety, jednak czas płynie, a ja jestem ogromnie zajęta. Gdybyś był tak uprzejmy i wręczył mi zwój, Yaburamo, moglibyśmy zakończyć tę nieprzyjemną znajomość, a ty wróciłbyś do... do tego, czym się zajmujecie, kiedy nikt was nie przyzywa. Więc... – Wyciągnęła smukłą, białą dłoń. – Smoczy zwój, jeśliś łaskaw?

– Nie mam go – zawarczał *oni*.

– Co!?! – Lady Satomi opuściła rękę i zmrużyła oczy. – Wybacz, Yaburamo, ale to był jedyny powód, dla którego zostałeś przywołany z Jigoku, tak? Posłałam cię do tej świątyni fanatyków *ki* wyłącznie dlatego, że pomyślałam sobie: „Och, taki *oni* jak Yaburama bez kłopotu rozprawi się z bandą starych łysoli”. Co właściwie znaczy, że nie masz zwoju?

– Nie było go w świątyni, ludzka *samico*. – Wielki demon spojrzał na arystokratkę z góry. – Szukając pergaminu, zabiłem mieszkających tam mnichów, w tym ich mistrza, po czym rozniosłem wszystkie budynki w puch. Zwoju tam nie było.

– Czy jesteś absolutnie pewien, że zgładziłeś ich wszystkich? Co do jednego? – Głos Satomi pozostawał zupełnie spokojny. Równie dobrze mogła tym tonem pytać służącą, czy widziała gdzieś jej ulubioną czarękę. Z pewnością nie mówiła jak ktoś rozprawiający na temat rzezi kilkudziesięciu duchownych. – Nie wymknął ci się przypadkiem żaden nowicjusz? Żaden mnich nie wykorzystał *ki*, by przeobrazić się w trójkę wróbli i wyfrunąć ponad murem?

– Nie – warknął *oni*. – Zabiłem wszystkich. Nie przeżył nikt.

Po tych słowach dwa mniejsze demony, stojące dotąd pod nogami Yaburamy, zaczęły gwałtownie podskakiwać i trajkotać ochryplymi, piskliwymi głosami. Suki nie zrozumiała, co mówią, lecz *oni* obrócił się z żądzą mordy w oczach i wyciągnął rękę. Jeden

z *amanjaku* przeraźliwie wrzasnął i czmychnął między pobratymców. Drugi nie był równie szybki i zamknęły się na nim mocarne pazury. *Oni* poderwał wyjącego, wymachującego ramionami, bełkocącego stwora i uniósł go sobie do twarzy. Rzucił coś gardłowo, złowieszczo i mały demon zakwilił w odpowiedzi, nadal bezradnie szamocąc się w uścisku.

Yaburama zawarczał, błysnął zębiskami i zacisnął pięść, miażdżąc ofiarę. Z nosa i pyska ginącego potworka trysnęła krew. Szkarłat buchnął też z uszu, ale po chwili ciało zabitego przemieniło się w kilka smug czerwono-czarnego dymu, które uniósł ze sobą powiew wiatru.

Gdyby Suki miała twarz i mogła się krzywić, widząc tak obrzydliwy i krwawy spektakl, z pewnością by to zrobiła. Lady Satomi natomiast sprawiała wrażenie setnie rozbawionej.

– Och, pozwól, że zgadnę – odezwała się, kiedy *oni* rozwarł palce, uwalniając spomiędzy nich ostatnie pasemka dymu. Na pazurach i koniuszkach palców zostały mu ślady krwi, lecz nie wydawał się tym przejęty. – Byłeś tak zajęty mordowaniem i niszczeniem, że ktoś mimo wszystko prześliznął ci się między tymi grubymi, głupimi paluchami. I ten ktoś zabrał ze sobą zwój.

– Była taka... dziewczyna. – Demon opuścił ramię. W jego głosie niechęć mieszała się z irytacją. – *Amanjaku* ruszyły za nią w pościg, ale zgubiły ją w lesie. – Zawiesił głos, a jego twarz pociemniała. – Uciekła z pomocą zabójcy demonów z rodu Kage – dodał głosem, który przeszedł w głuchy, przerażający warkot.

Zabójca demonów? Ród Kage? Suki nigdy o nikim takim nie słyszała, lecz czereda mniejszych demonów natychmiast ucichła i znieruchomiała, jakby w obawie przed samym brzmieniem tych słów. Dziewczyna zastanowiła się, jakim trzeba być człowiekiem, by przestraszyć całą horde potworów z piekła rodem, i czy chciałaby kogoś takiego spotkać na swej drodze.

– Cóż – podjęła lady Satomi po chwili milczenia. Jej głos był tak lodowaty, że mógłby zmrozić staw w cesarskim ogrodzie, tak ostry, że jednym cięciem zdolny był rozplatać wszystkie mieszkające

w tym stawie ryby. – To znaczy, że mamy kłopot, czyż nie? Powiedz mi, Yaburamo, skoro owej dziewczynie towarzyszy zabójca demonów, człowiek, którego, jak sędzę, posłała po zwój Hanshou, to jak mamy odzyskać zgubę, nie tracąc przy tym całych stad twoich sług?

Oni wyszczerzył kły.

– Zajmę się nim.

– Nie, ty zrobiłeś już dosyć.

Demon warknął i zakołysał się groźnie nad arystokratką. Kobieta jednak po prostu odwróciła się do niego plecami i popatrzyła na wrony, licznie zebrane na zamkowych murach i sterczących w pobliżu, zeschniętych drzewach.

– Usłyszcie mnie, moje *karasu*! – zawołała, unosząc jedną rękę ku niebu, na co skrzydlate stworzenia drgnęły, nastroszyły pióra i zadarły dzioby, kierując na nią spojrzenia paciorkowatych oczu. – Znajdźcie zbiegów! – dodała rozkazująco Satomi. – Odszukajcie dziewczynę i zabójcę demonów. Bądźcie moimi oczyma, dostrzeżcie to, czego nie mogę zobaczyć sama, i pokażcie mi, z czym przyjdzie nam walczyć. Lećcie!

Rozległa się istna kakofonia krakania. Wrony wystrzeliły krętym lotem pod niebo i zniknęły w mroku. Lady Satomi odprowadziła je wzrokiem. Dopiero gdy rój czarnych punkcików rozmył się wśród skłębionych chmur, odwróciła się z powrotem ku oddychającemu płytko, powarkującemu *oni*.

– Histeryczne demonstracje wściekłości ci nie przystoją, Yaburamo – zauważyła arystokratka i rozłożyła parasol, chroniąc się przed pierwszymi kroplami deszczu. – Otrzymałeś szansę i zawiodłeś. Jeżeli zabójca demonów i dziewczyna będą się trzymać miast, podążający ich śladem *oni* z hordą *amanjaku* wzbudziliby zbędną uwagę, a dopóki nie położę ręki na zwoju, wolę sobie nie przysparzać dodatkowych zmartwień. Do tego zadania mogę przywołać kogoś innego. – Popadła na moment w zadumę, obracając w dłoni parasolkę. – Kazekira i jej odrażający słudzy wciąż są mi

winni przysługę – podjęła z namysłem. – W dodatku nie będą zanadto rzucać się w oczy. Tak, to chyba najlepsze rozwiązanie.

Przeniosła spojrzenie na olbrzyma i dodała słodkim szczebiotem:

– Widzisz, Yaburamo? Już po kłopotcie. Ty tu po prostu zostań jak grzeczny kundelek i zaczekaj. Może jeszcze kiedyś do czegoś mi się przydasz.

W pierwszej chwili Suki była pewna, że *oni* rzuci się na arystokratkę i oderwie jej głowę od smukłej, białej szyi. Demon jednak parsknął tylko i cofnął się o krok.

– Głupia śmiertelniczko. Lekceważysz zabójcę demonów, a tymczasem, choć wygląda na człowieka, jest bardziej potworny ode mnie. Przypomnisz sobie o tym, kiedy zrozumiesz, że tylko ja mogę cię uchronić przed jego mieczem.

– Zachowam te słowa we wdzięcznej pamięci – odparła lady Satomi, unosząc doskonale wyrównaną brew.

Odwróciła się i odeszła ku zamkowym wrotom, łagodnie kołysząc parasolką. Kiedy dotarła do schodów, przystanęła i spojrzała prosto na kryjówkę Suki. Na ustach kobiety zamajaczył uśmiech. Zmrożona strachem dusza, która kiedyś była Suki, zamigotała i zgasła, stała się niewidoczna, a gdy zebrała dość odwagi, by zerknąć ponownie, po Satomi nie został nawet ślad.



DROGA DO STOLICY

Ktoś nas śledził.

– Tatsumi-san? – spytała Yumeko, kiedy przystanęłam pośrodku szlaku i zapatrzyłem się w drzewa, które minęliśmy chwilę temu. – Czego tam szukasz? Widzisz coś?

Nie odpowiedziałem. Otaczały nas potężne, wiekowe sosny. Rosły blisko siebie, a ich gałęzie wyciągały się ponad ścieżkę, rzucając na nią plamy cienia. Wśród drzew niosła się monotonnie pulsująca piosenka cykad, zaś pod niebem przemknął samotny jastrząb. Chłodne powietrze pachniało żywicą i zielonymi igiełkami. Z wyjątkiem brzęczenia owadów świat pogrążony był w ciszy. Niemniej wyraźnie czułem, że coś jest nie tak, miałem wrażenie, że bez przerwy widzę kątem oka czarną plamę.

Odkąd wraz z dziewczyną umknęliśmy w góry, byle dalej od spalonej Świątyni Milczącego Wiatru i rojących się w lesie *amanjaku*, minęły już trzy dni. W czasie wędrówki nie padło między

nami zbyt wiele słów; Yumeko okazała się spokojna i wycofana, a ja nie czułem potrzeby nawiązywania rozmowy.

Lato powoli dobiegało końca, dni wstawały gorące i wilgotne, a niebo nieustannie groziło nagłym deszczem. Mijaliśmy wioski pełne krytych strzechą chat i tarasowe pola, na których stojący po łądki w wodzie chłopcy sadzili zielone sadzonki ryżu. Po zmroku układaliśmy się do snu pod drzewami lub w opuszczonych kapliczkach. Noce były na tyle ciepłe, że obywaliliśmy się bez koców, co stanowiło pomyślny zbieg okoliczności, gdyż wszystko, co miałem, straciłem w chwili ucieczki konia. Przepadły między innymi moje dokumenty podróżne, większość sprzętu i spakowany na drogę prowiant. Szczęśliwie jednak kres lata w Iwagoto oznaczał, że jedzenia było w bród. Wystarczyło wiedzieć, gdzie szukać. Grzyby, jagody i wszelkiej maści *sansai* – dzikie rośliny – rosły dosłownie wszędzie, a rzeki i strumienie oferowały wielką obfitość ryb, z której mógł korzystać każdy, kto potrafił łowić bez wędki. Zostałem wyszkolony, by umieć przetrwać w dziczy, więc śmierć głodowa nam nie groziła, aczkolwiek ze zdziwieniem stwierdziłem, że także moja towarzyszka całkiem nieźle zna się na leśnej diecie. Pewnego wieczoru, kiedy patroszyłem akurat złowione w pobliskiej strudze ryby, przyniosła całe naręcz persymon. Nigdy nie byłem wielbicielem słodczy, lecz dojrzałe, pomarańczowe owoce przyjemnie kontrastowały z mdławą rybą i skutecznie wypełniły nam brzuchy przed snem.

Od początku podróży ani razu nie wyczułem bliskości demonów, choć Hakaimono pozostawał niezwykle pobudzony. Albo wyczuwał śledzące nas niewidoczne oczy, albo reagował w ten sposób na obecność Yumeko. Od tak dawna żyłem samotnie, że bez przerwy mając u boku dziewczynę, czułem się rozkojarzony, podobnie jak mój miecz. Ignorowałem ją tak, jak tylko się dało, i starałem się nie dostrzegać łez, które czasem spływały z jej oczu. Nie słuchałem też pochlipywania, z jakim niekiedy układała się do snu.

Tego ranka jednak powitała mnie uśmiechem i wesołym: „*Ohayou gozaimasu, Tatsumi-san*”, co wskazywało, że ponury nastrój prysł. Przez cały dzień wędrowaliśmy jak zwykle bez przeszkód, lecz po południu nie potrafiłem już pozbyć się wrażenia, że ktoś nas obserwuje. Odczucie to dręczyło mnie i nie dawało też spokoju Hakaimono. Ostatecznie zatrzymałem się i spojrzałem na drzewa, by wypatrzeć wreszcie nieznanego prześladowcę. Zdradziłem w ten sposób, że wiem, iż ktoś za nami podąża, ale w tej chwili zdecydowanie wolałem zmierzyć się z przeciwnikiem, którego mogłem zabić, niż przejmować się dłużej niewidocznym, bezimiennym zagrożeniem.

Wreszcie dostrzegłem źródło targającego mną niepokoju i znieruchomiałem. W wyciągających się ponad szlak gałęziach sosny siedziała obserwująca nas niemrugającymi oczyma, przygarbiona istota.

Znów te wrony. Zmrużyłem powieki i zgromiłem ptaszysko spojrzeniem. Wrona zamachała skrzydłami, lecz ani myślała opuścić konaru. Ptaki te można było spotkać we wszystkich zakątkach Iwagoto, od granicy do granicy. Całymi stadami rozsiadały się na dachach i w koronach drzew, walcząc między sobą o przestrzeń i strasząc przechodniów gardłowym krakaniem. Niektórzy uważali spotkanie z nimi za zły omen, zapowiedź nieszczęścia, ale w rzeczywistości stanowiły po prostu element codziennego życia i większość ludzi nie poświęcała im zbyt wiele uwagi.

Od czasu do czasu jednak, zwłaszcza gdy podróżowałem, samotna wrona przyłączała się do mnie i nie odstępowała na krok. Śledziła mnie. Zabicie ptaszyska nie dawało nic; wkrótce pojawiała się kolejna, jakby po to, by ze mnie zakpić. Bywało też gorzej, czasami natrętna wrona nie pokazywała się, irytując Hakaimono do tego stopnia, że miał ochotę rąbać i ciąć wszystko, co się ruszało. Teraz przynajmniej znałem już przyczynę swego niepokoju i byłem gotów, na wypadek gdyby nieznaną prześladowca postanowił zaatakować.

– Tatsumi-san?

Odwróciłem się i spojrzałem w czujne, zaintrygowane oczy dziewczyny. Nie zauważyła ukrytego w gałęziach ptaka, a ja nie miałem ochoty niczego wyjaśniać. Tym bardziej że żadne z nas nie mogło zaradzić problemowi.

– Nic takiego – zapewniłem i ruszyłem dalej przed siebie. – Chodźmy.

Skinęła głową i zrównała się ze mną. Widziałem ją kątem oka – ciemne, falujące na wietrze włosy, wzrok omiatający otaczający nas las. Naprawdę zachowywała się inaczej. Przez ostatnie dwa dni wlokła się za mną bez słowa, tępo gapiąc w ziemię. Na ramieniu niosła chustę *furoshiki*, z którą nie rozstawała się we dnie i w nocy, i raz po raz sprawdzała, czy węzeł trzyma odpowiednio mocno. Wyobraziłem sobie, że przechowuje w niej wszystko, co zostało z jej nędznego dobytku, i prawdopodobnie obawia się, że ją okradnę, choć przecież nie interesowało mnie nic, co mogła posiadać prosta chłopka.

– *Ne*, Tatsumi-san – zagadnęła Yumeko, odrywając wzrok od siedzącej na drzewie jaskółki. Zauważyłem, że niezwykle fascynują ją najmniejsze stworzenia i błahe zjawiska. Zachowywała się niczym kot, bez przerwy wodzący wzrokiem za ruchomymi cieniami. – Nie znaleźliśmy jeszcze nic do jedzenia. Czym zaspokoimy głód?

– Do Chochin Machi zostało tylko kilka mil – odpowiedziałem. – Tam będziemy mogli uzupełnić zapasy.

– Przyjemnie będzie zjeść wreszcie coś porządnego – zauważyła, kiwając głową. – Nie żebym miała coś przeciwko świeżym rybom i persymonom, ale zaczyna mi się marzyć miska gorącego ryżu. I prawdziwe łóżko. Posłanie, w którym nie oblażyłyby mnie pająki. Nie żebym miała coś przeciwko pająkom, ale nie chcę ich zgniatać za każdym razem, kiedy odwracam się na drugi bok. A ty, Tatsumi-san? – Zerknęła na mnie z ukosa.

Wzruszyłem ramionami. Całymi dniami potrafiłem obywać się bez snu i pożywienia, czy to w czasie akcji, czy podczas treningów z moim *sensei*. Czasami była to kara, lecz zazwyczaj testowano w ten sposób moją wytrzymałość, sprawdzano, ile upłynie, zanim

zemdleję. Zostałem wyszkolony tak, by wystarczało mi bardzo niewiele; strawa, sen i wygody nie były tak ważne jak wypełnienie zadania.

Dziewczyna przeciągle westchnęła i spojrzała w niebo, na słońce zachodzące powoli za linię drzew.

– W świątyni o tej porze zbieraliśmy się właśnie na wieczorny posiłek – podjęła półgłosem. – Nie mieliśmy wiele, ale jadaliśmy zawsze wspólnie, trzy razy dziennie. Satoshi uprawiał niewielki ogródek warzywny. Nikt nie potrafił wyhodować tak wielkich białych rzodkwi jak on. – Zmarszczyła nos. – Nie cierpię rzodkwi, a jadaliśmy ją tak często, że zdarzało mi się wrzucać plastry pod podłogę, a potem śniło mi się nocami, że zrodzone z kiszonej rzodkwi potwory wychodzą spod łóżka i przemocą wciskają mi się do ust. – Urwała i po chwili kontynuowała jeszcze ciszej: – Teraz gdybym tylko mogła z nimi wszystkimi zasiąść do kolacji, zjadłabym nawet tuzin rzodkwi. W całości.

Nie znalazłem na te słowa odpowiedzi, więc zmilczałem. Dziewczyna na pewien czas ucichła, lecz ostatecznie znów poczułem na sobie jej wzrok.

– Tatsumi, masz może rodzinę?

– Nie.

– Ale... jesteś przecież samurajem. – Z zaciekawieniem pochyliła głowę. – Nosisz miecz, a na plecach masz herb rodu Kage. To znaczy, że należysz do Klanu Cienia, prawda?

Zmrużyłem oczy. Wszystkie wielkie rody miały własne herby, wskazujące na przynależność i pochodzenie, lecz z mojego dotychczasowego doświadczenia wynikało, że chłopci ich nie rozróżniają. Z perspektywy wieśniaka wszyscy samuraje byli jednakowi.

– Skąd o tym wiesz? – spytałem.

– Mistrz Isao uczył mnie o różnych klanach i rodach – wyjaśniła Yumeko. – Chciał, bym co nieco wiedziała o świecie, na wypadek gdyby przyszło mi kiedyś porzucić świątynię. Zobaczmy, co jeszcze pamiętam – rzuciła i zmarszczyła czoło. – Hino, Mizu, Tsuchi i Kaze

to cztery wielkie rody Ognia, Wody, Ziemi i Wiatru – wyliczyła. – A Kage, Sora i Tsuki to klany pomniejsze, Cienia, Nieba i Księżyca. Dobrze mówię?

– O jednym zapomniałaś.

– Ach tak – pokiwała głową dziewczyna. – Taiyo, klan Słońca, rodzina cesarza. Ale większość z nich mieszka w stolicy. Prawie nigdy nie wypuszczają się poza granice własnych terytoriów. Chyba że składają okolicznościowe wizyty *daimyo* innych klanów. Tak przynajmniej mówił mistrz Isao.

– Co wiesz na temat Kage? – spytałem, mierząc Yumeko poważnym spojrzeniem.

– Tyle, że to najmniej liczna z pomniejszych rodzin. Ich ziemie sąsiadują z włościami Klanu Ognia. A w ciągu ostatnich dziesięciu lat przegrali kilka bitew z Hino, którzy zagarniają powoli ich tereny.

Wszystko się zgadzało. Klan Ognia był odwiecznym wrogiem Kage, nawet w okresach pokoju, gdy cesarz zarządzał w całej krainie zawieszenie broni. Hino i Kage bez wytchnienia skakały sobie do gardeł. Klan Ognia był liczny i wpływowy, a jego przywódcy uważali, że jeśli jakiś ród nie potrafi obronić swych ziem, to powinien oddać je innym. Kage, rzecz jasna, mieli w tej kwestii odmienne zdanie.

To była jednak wiedza powszechna. Klanowe właśnie terytorialne były zjawiskiem równie pospolitym jak ulewy w porze deszczowej. Granice rodowych ziem zmieniały kształt tak często, że nawet urzędnicy nie zawsze za nimi nadążali.

– Coś jeszcze? – dopytałem cicho.

– Cóż, mówi się, że samurajowie Kage nie przypominają wojowników innych rodów. Że korzystają z ciemności i wątpliwych moralnie technik, zwłaszcza w walce z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Że potrafią wtopić się w cień lub zniknąć w kłębach dymu. I że ich *daimyo* jest tajemnicza dama, podobno nieśmiertelna.

Rozluźniłem się. Potoczne plotki, niektóre zresztą prawdziwe, lecz w większości rozmyślnie podsycane przez członków Klanu Cienia, by utrzymywać naszych wrogów w niepewności. Dziewczyna nie słyszała niczego, co mogłoby wzbudzić niepokój Kage, i dobrze,

gdyż sekrety Klanu Cienia powinny pozostać z dala od uszu postronnych. Tych, którzy wiedzieli zbyt wiele, zazwyczaj uciszano, szybko i na wieki.

Ostatnia myśl przypadła do gustu Hakaimono, który zaczął namawiać, bym sięgnął po miecz i zabił Yumeko na miejscu. „Nie jest ci potrzebna” – szeptał w moim umyśle demon. „Jeden cios i będzie po wszystkim. Bez bólu. Mała nawet nie zorientuje się, co zaszło. Po prostu nagle ocknie się wśród przodków”.

Odepchnąłem te myśli od siebie. Nie otrzymałem rozkazu zabicia dziewczyny i nie uważałem, by zagrażała mojemu klanowi. Poza tym przyrzekłem zaprowadzić ją do Świątyni Stalowego Pióra i potrzebowałem jej pomocy, aby odnaleźć zwój. I o ile klan nie zmieni decyzji, na tym właśnie polegało moje najważniejsze i wyłączone zadanie.

Cienie zaczęły się wydłużać. Wciąż czułem na sobie wzrok wrony, lecz nie widziałem jej na żadnym z najbliższych drzew. Kiedy słońce zniknęło za lasem, w zaroślach zamrugwały maleńkie iskierki, fruujące między krzewami świetliki.

– *Ne*, Tatsumi? – odezwała się Yumeko i uniosła rękę. Świecący owad przysiadł jej na palcu, mieniąc się w zmierzchu złotem i zielenią. Przysunęła go sobie do oczu i uważnie obejrzała. – Słońce zachodzi – dodała, nieświadoma, że przystanąłem i patrzę na jej zalaną nieziemskim blaskiem twarz. – Czy jesteśmy już blisko Chochin Machi?

– Tak.

Dziewczyna uniosła rękę i świetlik pomknął do lasu.

– Miasto Latarni, skąd ta nazwa?

Wyszliśmy spomiędzy drzew. Droga wiodła w dół łagodnego zbocza, prowadząc ku rzece i majacącemu na przeciwległym brzegu portowi.

– Sama zobacz.

Dziewczyna spojrzała w dół i powoli wciągnęła powietrze.

Chochin Machi, miasteczko położone na brzegach rzeki Hotaru, jaśniało na tle nocy niczym pochodnia. Nie było wielką metropolią

jak stołeczne Kin Heigen Toshi; składało się z niedużego zamku, kilku zajazdów, sklepików i restauracji. Mieszkańcy utrzymywali się głównie – i z powodzeniem – z połowu ryb. Aczkolwiek to nie z tego Chochin Machi słynęło i nie dlatego ściągali tu wędrowcy oraz pielgrzymi z całego Iwagoto.

Niemal na każdej ulicy, na wszystkich skrzyżowaniach, sklepach i świątyniach wisiały setki czerwonych, papierowych latarni i lampionów, oświetlających miasto miękką poświatą. Kołysały się na dachach i gałęziach drzew, zwieszały się z nadproży, markiz i ruf każdego statku na rzece. Bijącą od miasta łunę widać było wiele mil dalej, a podróżni lgnęli do niej niczym ćmy do ognia.

– *Sugoi* – wyszeptała Yumeko. „Niesamowite”. Oczy dziewczyny stały się czarnymi jeziorami, w których zamigotały miejskie latarnie. – Jakie to piękne. Mnisi nie mówili, że poza świątynią można znaleźć takie cuda. – Urwała, a następnie pochyliła głowę, jakby wyłowiła jakiś niesiony wiatrem dźwięk.

Stłumiłem cisnący mi się na usta jęk. Późne lato w Iwagoto było tradycyjnie czasem świąt i festiwali, a z tego wynikało, że dzisiejszej nocy uliczki Chochin Machi będą wyjątkowo zatłoczone.

– Trzymaj się blisko – poleciłem dziewczynie. – Miasteczko nie jest duże, ale nie powinniśmy się rozdzielać.

Odwróciłem się i ruszyłem w dół zbocza. Za moimi plecami rozległo się truchtanie Yumeko. Pokonaliśmy łukowato sklepiony most nad rzeką, oświetlony przez rozstawione co kilka stóp latarnie na tyczkach, po czym ogarnęła nas eteryczna poświata Chochin Machi.

Dziewczyna z wielkimi jak spodki oczyma stąpała po szerokiej, pylistej ulicy przecinającej dzielnicę targową. W odróżnieniu od licznych miejscowości, w których po zmroku wszystko się zamykało, interesy w Chochin Machi dopiero po zachodzie słońca ożywały na dobre. Nad naszymi głowami kołysały się całe sznury latarni, niekiedy całkowicie przesłaniając niebo, a pojedyncze *chochin* migotały w drzwiach sklepików, zajazdów i restauracji, wskazując, że klienci nadal mogą skorzystać z ich usług. Na ulicznych

straganach sprzedawano dosłownie wszystko, od jedzenia i sandałów po miniaturowe latarenki z papieru, bardzo popularne pamiątki.

Kiedy zbliżyliśmy się do serca miasteczka, noc wypełniło bicie bębnow, odgłos głęboki i dudniący. Podążając za tłumem, dotarliśmy na spory plac, pośrodku którego niczym latarnia morska wznosiła się biało-czerwona, zbita z desek platforma. Na scenie dwóch mężczyzn z obnażonymi torsami i czerwonymi opaskami na czołach tłukło kijami w dwa wielkie, drewniane bębny, których rozedrgany hurgot rozchodził się wśród słuchaczy wibrującą falą. Nad podwyższeniem zbiegały się sznury latarni, oświetlając całą okolicę i tańczących do wybijanego rytmu, klaszczących i przytupujących ludzi.

Zjeżyłem się i poczułem w głowie niespokojne poruszenie podrażnionego gwarem Hakaimono. Nie przepadałem za tłumami. W tłumie mogło się wydarzyć zbyt wiele: emocje mogły wymknąć się spod kontroli, mogło dojść do bójki lub do wybuchu paniki. A gdyby zamieszanie stało się zbyt żywiołowe i Hakaimono przejąłby kontrolę, festiwal błyskawicznie skończyłby się krwawą łaźnią.

Przyspieszyłem nieco kroku, mając nadzieję jak najprędzej zostawić za sobą światło i muzykę i ponownie zanurzyć się w kojącej ciemności. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma przy mnie Yumeko. Rozejrzałem się i wypatrzyłem ją na skraju placu. Dziewczyna stała i oglądała krąg płasających tancerzy, miarowo kołysząc przy tym głową.

Skrzywiłem się, zawróciłem i podszedłem do niej.

– Yumeko, co robisz? – rzuciłem, nachylając się, by bębny nie zagłuszyły pytania.

– Tatsumi-san! – Podniosła na mnie spojrzenie rozświetlonych oczu. Wydawało się, że nie jest w stanie zapanować nad rozedrganym ciałem. – Zatańcz ze mną – poprosiła błagalnie, wskazując dłonią na rozspiewaną, falującą ciźbę. – Naucz mnie.

Drgnąłem i odsunąłem się raptownie. Mój trening nie obejmował tej umiejętności, *sensei* uważał taniec za czynność frywolną i niepraktyczną. Potrafiłem docenić biegłość i artyzm muzyków grających na instrumentach, lecz o sztuce tanecznej nie wiedziałem zupełnie nic i nie miałem ochoty się dowiadywać.

– Nie.

– Tatsumi-san, proszę! – Yumeko podeszła krok bliżej do tańczących. Wybijany przez bębniarzy rytm niósł się w powietrze, podkreślany klaskaniem rozbawionych ludzi. – Tylko chwileczkę. To będzie świetna zabawa. – Uśmiechnęła się.

Zabawa. Powstrzymałem kolejny grymas niesmaku. Słowo „zabawa” kojarzyło się mojemu *sensei* bardzo przewrotnie. „Dobrze się bawisz, Tatsumi?” – pytał nierzadko słodkim głosem Ichiro-san, zwykle kiedy nie radziłem sobie z wykonaniem powierzonego zadania. „Skoro tak dobrze się bawisz, jutro spróbujemy ponownie” – dodawał i wymierzał mi karę.

– Nie mamy na to czasu – odparłem.

Dziewczyna zmarszczyła nos, a potem westchnęła.

– Tatsumi-san, znasz może przypowieść o Nefrytowym Proroku i wydrze? Otóż – podjęła, nim zdążyłem odpowiedzieć – była sobie pewna *kawauso*, która niczego nie traktowała poważnie. Wszystko było dla niej zabawą i gdzie się nie pojawiała, przynosiła ze sobą radość i promienny nastrój. Ludzie, których napotykała na swojej drodze, śmiali się, tańczyli, śpiewali i zapominali o troskach. Pewnego dnia jednak *kawauso* spotkała Nefrytowego Proroka, który powiedział jej: „Życie jest cierpieniem. Zabawa to ulotna strata czasu. Musisz skończyć z tymi głupimi rozrywkami i oddać się ciężkiej pracy. Prawdziwe szczęście odnajdziesz tylko poprzez cierpienie, nudę i monotonię”. *Kawauso* wzięła sobie radę Proroka do serca. Przestała się bawić, zaharowała się na śmierć i umarła jako stara, zgorzkniała *yokai*, bez przyjaciół, rodziny i uśmiechu.

– W życiu nie słyszałem tej przypowieści – rzuciłem z powątpiewaniem.

– No pewnie, że nie! – rozpromieniła się Yumeko. – Bo właśnie ją wymyśliłam – dodała, po czym, nie dając mi szansy na reakcję, cofnęła się o kilka kroków i wtopiła w roztańczoną ciżbę.

Stałem z zaciśniętymi u boków pięściami i patrzyłem na dziewczynę. Bębny huczały, falujący tłum śpiewał, a Yumeko tańczyła, kołysała się i klaskała do dźwięków muzyki. Nagle zauważyłem, że wstrzymuję oddech i nie mogę oderwać od niej oczu. Na krótką chwilę, z rozwianymi czarnymi włosami i lśniąca w blasku latarni skórą, po prostu mnie zahipnotyzowała.

Otrząsnąłem się i ruszyłem obrzeżem placu, wciąż bacznie obserwując Yumeko i otaczających ją ludzi. Głupota, podpowiadał mój instynkt. Jedna wielka głupota i strata czasu. Wiedziałem, że festiwal nie ma nic wspólnego z moim zadaniem, a udział w nim nie przybliży nas do celu. Nie pozwól sobie nawet na chwilę rozkojarzenia, tłumaczył instynkt. Ona jest ważna dla powodzenia misji i nic więcej.

W pewnym momencie wychyciłem kątem oka sunący w powietrzu kształt, jakby gigantyczną ćmę lub nietoperza. Poderwałem dłoń i chwyciłem to w powietrzu, nim uderzyło mnie w skroń. Moje palce zmiażdżyły delikatne skrzydła. Otworzyłem dłoń i zobaczyłem złożonego z papieru żurawia. Origami. Papier był pozbawiony wzorów i czarny jak smoła.

Rozpalił się we mnie płomyk lęku. Spotkanie? Teraz? Ostrożnie rozejrzałem się dokoła, wypatrując ukrytych zagrożeń, znajomych twarzy lub zbyt długo spoczywających na mnie spojrzeń. Nie zauważyłem nic niezwykłego, lecz dreszcz niepokoju i tak przebiegł mi po plecach. Nie bałem się o siebie, tylko o tańczącą dziewczynę.

Co powinienem zrobić? Nie mogę zabrać jej ze sobą, pomyślałem. Zabiją ją. Potoczyłem oczyma po placu, zastanawiając się, czy gdybym odszedł po kryjomu i zostawił rozbawioną Yumeko samą, zastałbym ją jeszcze po powrocie. To byłoby ryzykowne; tylko ona mogła mnie zaprowadzić do Świątyni Stalowego Pióra, a poza tym sprawiała wrażenie kogoś, kto zacząłby mnie szukać na własną

rękę. I gdyby przypadkiem wplątała się w sprawy Klanu Cienia, nie byłoby dla niej litości.

Wtem zauważyłem duży, kwadratowy budynek na rogu ulicy. Drzwi przesłonięte były niebieską zasłoną. *Ryokan*.

Lepszego pomysłu nie miałem.

Ponownie obszedłem krąg tańczących, odnalazłem Yumeko i chwyciłem ją za rękę. Podskoczyła i kiedy przeszły mnie jej wielkie, czarne oczy, poczułem w żołądku dziwne ssanie.

– Och, Tatsumi-san. – Zamrugła i rozciągnęła usta w zawadiackim uśmieszku. – Czyżbyś zmienił zdanie? Czy przypowieść o *kawauso* i Nefrytowym Proroku tak silnie na ciebie podziałała, że zdecydowałeś się posmakować zabawy?

Zgromiłem dziewczynę wzrokiem.

– To nie była nawet prawdziwa przypowieść.

– Może i nie, ale i tak mógłbyś z niej wyciągnąć cenną lekcję. Nie chcesz chyba zmienić się w starą, zgorzkniałą wydrę, co?

Zacisnąłem zęby i pociągnąłem ją za sobą na skraj placu.

– Widzisz ten budynek na rogu? – spytałem półgłosem. – Ten z największą latarnią i niebieską zasłoną w drzwiach?

– *Ryokan*? – spytała, spoglądając ponad głowami tłumu.

A więc wiedziała, czym są zajazdy. Dobra nasza.

– Weź to – podjąłem i wcisnąłem jej do ręki trzy srebrne *tora*. Monety cicho zabrzęczały, srebrne krążki z wybitą pośrodku podobizną ryczącego tygrysa. – Idź tam. Wynajmij dla nas pokój na jedną noc. Ta suma powinna wystarczyć.

Yumeko popatrzyła na pieniądze, po czym podniosła wzrok na mnie.

– A ty dokąd idziesz?

– Ja... mam coś do załatwienia. Niedługo wrócę.

– Coś do załatwienia? – Dziewczyna zmarszczyła czoło. – O tej porze? – Kiedy nie odpowiedziałem, jej brwi zbiegły się jeszcze bliżej siebie. – Dlaczego nie możemy pójść razem?

– To nie jest możliwe.

– Dlaczego?

Zapłonęła we mnie irytacja z pewną domieszką strachu.

– Zadajesz masę pytań – rzuciłem zimnym głosem. Pytania oznaczały niebezpieczeństwo. Pytania mogły ją zabić szybciej niż cokolwiek innego. – Może jednak nie o wszystkim musisz wiedzieć.

Opadły jej ramiona. Westchnęła i mocno zacisnęła palce na monetach.

– Tylko... obiecaj, że wrócisz – poprosiła szeptem. – Że nie rozpląniesz się w nocy i nie znikniesz na zawsze. Przysięgnij, że wrócisz.

– Nie mam zamiaru cię zostawiać.

– Przyrzekasz?

– Tak.

Skinęła głową i odwróciła się, lecz chwyciłem ją za rękaw i obróciłem w pół kroku.

– Chcę, byś obiecała mi to samo – powiedziałem, na co przez jej twarz przemknął cień zaskoczenia. – Że zostaniesz w zajazdzie. Że nie wyjdiesz z pokoju ani nie spróbujesz mnie śledzić. Zostań i czekaj, aż wrócę, Yumeko. Obiecaj mi.

– Obiecuję. – Ponownie skinęła.

– No to idź. – Uwolniłem ją i odeszła w kierunku zajazdu, ściskając w garści pieniądze. Odprowadzałem ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za niebieską zasłoną, po czym ruszyłem w przeciwną stronę.

Wtem coś zaszeleściło mi w dłoni. Kiedy rozwarłem palce, papierowy żuraw drgnął i rozłożył wymięte, czarne skrzydła. Zamachał nimi kilka razy, a następnie wzbił się w powietrze niczym umierający motyl i pofrunął.

Ruszyłem za nim. Żuraw wyprowadził mnie z placu. Wciąż słysząc dudniący rytm bębnów, stanąłem u wylotu wąskiej alejki pomiędzy herbaciarnią a sklepem z tkaninami. Origami, sunąc tuż nad ziemią, wciąż leciało naprzód. Ja jednak zatrzymałem się i zapatrzyłem w mrok. Nade mną ciągnął się pojedynczy sznur *chochin*, długi na dobre pięćdziesiąt stóp, oświetlając drewniane ściany po obu stronach uliczki, kończącej się skrzyżowaniem.

Czuźnie wypatrując ukrytych w półcieniu niebezpieczeństw, wszedłem w głąb alejki.

Wisząca tuż nade mną latarnia zamigotała i zgasła. Zaraz potem zgasł płomień w kolejnej i jeszcze w następnej. Aż wreszcie pociemniały wszystkie, a ciasną przestrzeń między budynkami objęła we władanie nieprzenikniona czerń.

Szedłem dalej. Ciemność nie była dla mnie powodem do niepokoju, w mroku czułem się znacznie lepiej niż w świetle. W końcu dotarłem do skrzyżowania, przystanąłem i rozejrzałem się w obie strony. Ścieżki ciągnęły się pomiędzy sklepikami i magazynami, puste i ciemne.

– Dobry wieczór, Tatsumi.

Cichy, wysoki głos rozległ się za moimi plecami. I mimo że rozpoznałem jego brzmienie, musiałem z wysiłkiem powstrzymać pragnienie zdobycia broni. Opanowałem się i odwróciłem spokojnie. W tylnych drzwiach jednego z magazynów siedział spowity w cień człowiek. Jestem pewien, że jeszcze przed momentem nie było tam nikogo. Jego ubranie, czarne i pozbawione wszelkich oznaczeń, łagodnie falowało, a długie włosy luźno spływały z ramion na plecy. Twarz miał pomalowaną na biało, tylko wokół oczu i na podbródku ciągnęły się czarne pasma. Przy pasie nosił krótki miecz, lecz to nie broń biała była jego główną specjalnością. Był mistrzem innej, acz równie zabójczej sztuki. Był człowiekiem dotkniętym przez *kami*, kimś, kogo zwykli ludzie nazywają *majutsushi*, magiem. Wszystkie klany zatrudniały specyficznymi utalentowanych osobników, których umiejętności odzwierciedlały naturalny dla danego rodu żywioł, ale *majutsushi* byli zdecydowanie najsilniejszymi i najpotężniejszymi. Będąc *shinobi* Kage, potrafiłem posługiwać się pomniejszych zaklęciami Cienia – umiałem stać się niewidzialny, stworzyć widmowego sobowtóra. W Iwagoto działali jednak *majutsushi*, którzy umieli skierować na wrogów gniew samej ziemi, przyzwać ogień lub pioruny bądź też w kilka chwil zaleczyć śmiertelną ranę. Magowie Kage nie potrafili siać zniszczenia na taką skalę jak ci z Klanu Ognia, nie byli też cudotwórcami jak ci z Klanu Wody. Ich

władza nad siłami nocy i wszystkim, co z nią związane, umożliwiała im działania znacznie bardziej subtelne, lecz równie groźne.

– Jomei-san. – Ukłoniłem się, czując, że mag śledzi każdy mój ruch. – A więc to tobie przypadło dzisiaj sprawdzenie moich postępów.

– Niezbyt uprzejme powitanie, Tatsumi-san – odparł Jomei swym wysokim szeptem. – Człowiek innego charakteru mógłby się na moim miejscu obrazić. Wiesz przecież, dlaczego musimy to robić.

– Wiem.

– Kamigoroshi nie jest czymś, co należy lekceważyć – podjął Jomei, jakby w ogóle mnie nie usłyszał. – My, członkowie Klanu Cienia, znamy ciemność lepiej niż większość. Codziennie wirujemy z nią w tańcu i codziennie stąpamy po bardzo cienkiej granicy między cieniem a otchłanią. Znamy zło czyhające w kryjówkach w całym Iwagoto oraz to, które kryje się w ludzkich duszach. I wiemy, znacznie lepiej niż inne rody, jak łatwo jest upaść. Jesteś powiernikiem Przeklętego Miecza – ciągnął mag. – Kamigoroshi, Hakaimono, jakkolwiek go nazwiesz, to ostrze psuło już serca lepszych od ciebie, Kage Tatsumi. Nauczylismy cię, jak stawiać opór jego wpływowi, wyszkoliliśmy cię w sztuce *shinobi*. A jednak wiemy też, że ponieważ nosisz tak straszne zło, pewnego dnia możesz ulec ciemności. – Jomei zmrużył oczy. – Dlatego właśnie cię śledzimy, dlatego takie spotkania jak to są ważne. Jeżeli pojawi się choć jedna poszlaka wskazująca, że przegrywasz walkę z Hakaimono, będziemy musieli zająć się tym natychmiast, zanim zatracisz sam siebie, a prawdziwy demon odzyska wolność.

Skłoniłem się. Miał oczywiście rację. Co mnie naszło? Jeszcze nigdy nie odzywałem się do *majutsushi* w podobny sposób. Być może to prostacki, wiejski sposób bycia Yumeko zaburzył mój osąd.

– Wybacz, proszę, mój wybryk, mistrzu Jomei – rzuciłem. – To się więcej nie powtórzy.

– To dobrze. A teraz... – Jomei usiadł wygodniej i oparł podbródek na splecionych dłoniach. – Skoro, jak widzę, nadal panujesz nad Kamigoroshi, powiedz, jak postępy w misji? – spytał,

patrzac na mnie uwaznie. – Czy dotarles do Swiatoryni Milczacego Wiatru? Zdobyles zwój?

– Nie. – Stanalem prosto, tlumiac wszelkie emocje. Bylem bronia. Nie czulem niczego. – Kiedy znalazlem sie na miejscu, zwoju juz tam nie bylo.

– Nie bylo? – Spojrzenie maga nagle sie wyostrzylo. – Co to znaczy? Chcesz powiedziec, ze nie wykonales zadania?

– Swiatorynie zaatakowala armia *amanjaku*. Armia, na ktorej czele stal *oni*.

W tym momencie Jomei uniosl brwi. Wszyscy czlonkowie Klanu Cienia traktowali demony bardzo powaznie.

– Przelezony swiatoryni przeczul ich przybycie – ciagnalem – i zawczasu odeslal zwój.

– *Oni* – powtorzyl grobowym tonem Jomei. – Litościwe *kami*, kto sprowadza takie istoty na swiat? Zabiles go?

– Nie.

Mag zacisnal wargi.

– Tatsumi-san, rozumiem, ze uczono cie, by mowic jedynie w odpowiedzi na pytania, lecz potrzebuję w tej chwili nieco wiecej informacji. Proszę, zloz mi pelen raport. Nie pomin najdrobniejszego szczegolu.

– Jak sobie zyczysz – odparlem i opowiedzialem o wszystkich wydarzeniach tamtej nocy. Od walki z *amanjaku* po spotkanie z Yumeko i zawarcie umowy, w mysl ktorej mialem ja zaprowadzic do Kin Heigen Toshi. Powiedzialem o planie odszukania mistrza Jiro w kaplicy Hayate z nadzieja, ze czlowiek ten wskaze nam droge do Swiatoryni Stalowego Piora i nieuchwytnego jak dotad zwoju.

– Rozumiem – mruknal Jomei, kiedy umilklem. Zlozyl dwa palce i postukal sie nimi po wargach. – Swiatorynia Stalowego Piora to miejsce okryte mrokiem legend. Podania glosza, ze jest chroniona przez nadnaturalne sily, lecz nikt nie ma pewnosci, gdzie sie znajduje i czy w ogole istnieje. – Podniosl na mnie wzrok. Surowe, ocenajace spojrzenie. – Czy jestes pewien, ze tylko w towarzystwie tej dziewczyny zdołasz odnalezc mistrza Jiro?

– Wiem, jak się nazywa jego kaplica – odrzekłem. – Mógłbym ją odszukać w pojedynkę. Ale kapłan nie będzie mieć powodu, by wyjawić mi, co wie. Yumeko mieszkała w Świątyni Milczącego Wiatru, należała do zakonu strażników zwoju. Z nią będzie rozmawiać chętnie. A skoro ona może mi wskazać drogę do celu, powinienem iść z nią.

– Dobrze zatem – westchnął Jomei i pokiwał głową. – Podróżujcie więc razem. Jeżeli mistrz Jiro rzeczywiście zna położenie Świątyni Stalowego Pióra, musisz ją znaleźć za wszelką cenę. Bądź jednak ostrożny. Dziewczyna nie może się dowiedzieć na temat Klanu Cienia niczego, czego nie wiedziała do tej pory. I gdy tylko wejdiesz w posiadanie zwoju, wracaj do lady Hanshou.

– Rozumiem. – Ponownie skłoniłem głowę.

– Rzecz jasna, Hanshou-sama musi się o tym wszystkim dowiedzieć – mruknął Jomei. – Demonom ten zwój nie przydałby się na nic. Muszą komuś służyć. – Mag podniósł się wdzięcznie ze stopnia, powiewając połami miękkiej szaty. – Będziemy cię obserwować, Tatsumi-san – dodał z nikłym uśmiechem. – Nie zawieź nas.

Ukloniłem się po raz kolejny, a kiedy stanąłem prosto, maga już nie było.

Latarnie zamigotały, po czym jedna po drugiej ożyły, oświetlając opustoszałą alejkę. Wróciłem na plac i skierowałem się do zajazdu, do którego posłałem Yumeko.

Przeszedłem pod zasłoną i rozejrzałem się. Kilka stóp ode mnie zaczynała się uniesiona, drewniana podłoga, na której oczekiwały podróżnych dwie ustawione pod ścianą ławki. Pod przeciwległą ścianą zauważyłem schody prowadzące, jak założyłem, na piętro z pokojami gościnnymi. Kobieta, zapewne gospodyni przybytku, podbiegła do mnie z uśmiechem i ukloniła się na skraju podwyższenia.

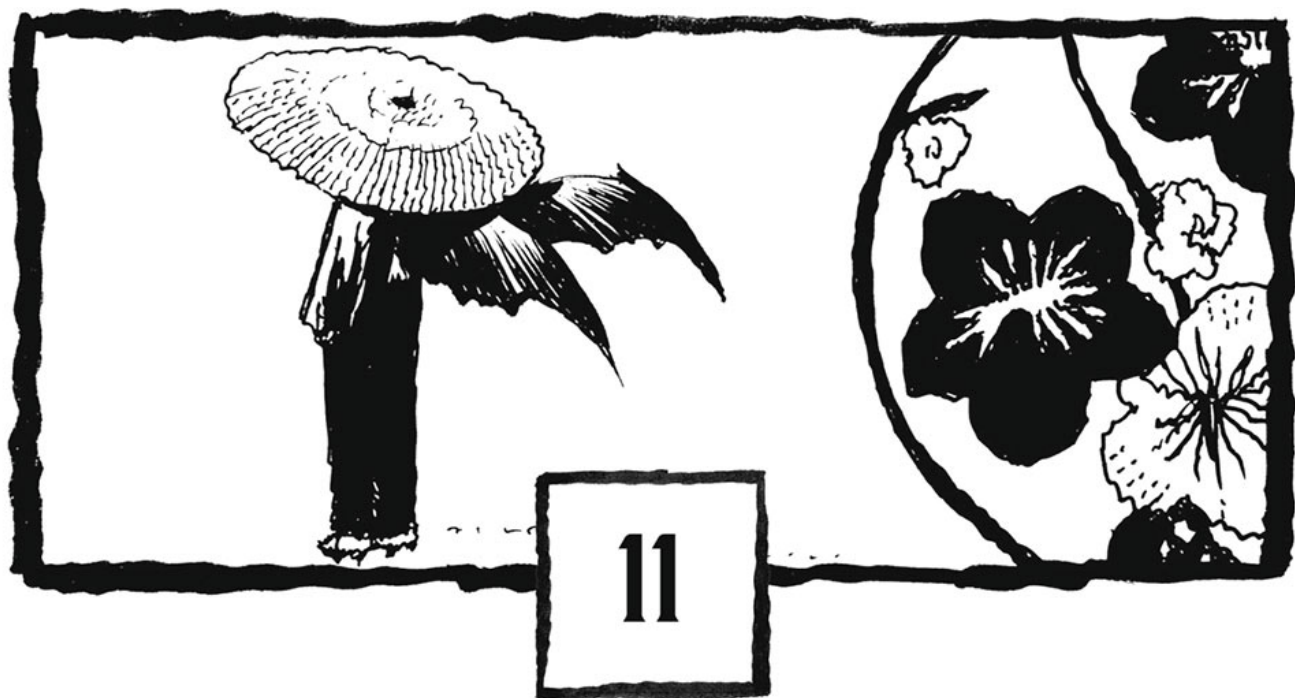
– Witaj, panie – powiedziała. – Wejdz, proszę. Czy potrzebujesz może noclegu?

– Tak – odparłem. – Ale przysłałem tu wcześniej dziewczynę. Nosi czerwone kimono z białym pasem. Miała wynająć dla nas pokój.

– Ach... – Kobieta zmarszczyła czoło i zerknęła na drzwi. – To była twoja towarzyszka? Cóż, już jej tu nie ma.

– Co się stało? – Zmrużyłem oczy. – Gdzie jest?

– Rzeczywiście zaszła tu taka dziewczyna. – W głosie gospodyni zabrzmiała nerwowość. – Prawdę mówiąc, kilka minut temu. Uroczą taką, w czerwonym kimonie. Ale potem zupełnie znikąd zerwał się wiatr. Wiało tak, że prawie się przewróciłam. A kiedy doszłam do siebie, małej już nie było.



WIATR I ŁASICE

Zaczęło się od dziwnego wiatru. Chciałam wynająć pokój. Naprawdę. I coś zjeść. No i może jeszcze wziąć kąpiel. Ale przede wszystkim coś zjeść. Padałam z głodu na twarz i myśl o tym, że zamiast przeżuwać jakieś zielsko pod chmurką, mogłabym siedzieć sobie w czystym wnętrzu i pałaszować ciepły posiłek, kusila niesamowicie. Mimo iż ciekawość nie dawała mi spokoju i naprawdę bardzo pragnęłam się dowiedzieć, co takiego może mieć do załatwienia Tatsumi, śledzenie go wydawało się nie najlepszym pomysłem, zwłaszcza że wciąż miałam przy sobie smoczy zwój.

Poza tym chłopak obiecał przecież, że wróci. Musiałam mu zaufać, że dotrzyma słowa i nie zostawi mnie samej.

Ledwie jednak przekroczyłam próg zajazdu, potężny podmuch wiatru zmierzwił mi włosy i popchnął naprzód. Wicher wdarł się do

środku, targając zasłonami i gasząc wszystkie latarnie, na zewnątrz i w środku, przez co sala pogrążyła się w mroku.

Kiedy się wyprostowałam, na podłogę niespodziewanie spłynął kosmyk moich włosów. Ucięty równiutko, jakby bardzo ostrym nożem.

Otworzyłam szeroko oczy i rozejrzałam się, czując nagły dreszcz niepokoju. Gdy podniosłam wzrok, zauważyłam parę czerwonych oczu obserwujących mnie z jednej z wiszących pod sufitem lamp. Ślepia należały do porośniętego brązową sierścią stworzenia o spiczastym pyszczku, drobnych zaokrąglonych uszach i długim, smukłym ciele.

Łasica? Zmarszczyłam brwi. Najnormalniejsza w świecie łasica z wyjątkiem...

Opadła mi szczęka. Wspomnianym wyjątkiem w wyglądzie zwierzęcia były długie ostrza wyrastające wprost z przednich łap. Wygięte w sierp, niewątpliwie śmiertelnie niebezpieczne, wychodziły ze stawów łokciowych i połyskiwały groźnie w ciemnym pomieszczeniu. Czyli jednak nie jest to normalna łasica, uświadomiłam sobie. Ta istota potrafiła posługiwać się magią lub posiadała inne nadnaturalne zdolności. *Yokai*.

Stworzenie takie jak ja.

Łasica zasyczała, pokazała mi długie, żółte kły, zeskoczyła z lampy i zniknęła.

Do zajazdu wpadł kolejny powiew. Zasłony zafurkotały, a ja skrzywiłam się i zatoczyłam w tył. Kiedy odzyskałam równowagę, poczułam pieczenie na policzku i przetałam go dłonią.

Na palcach została mi krew.

Z rozkołatanym nagle sercem wyjrzałam przez drzwi na zewnątrz. Łasica przycupnęła na drewnianym daszku straganu po drugiej stronie ulicy i świdrowała mnie gorejącymi w ciemności jak węgle ślepiami. Oderwałam rękę od płytkiej ranki na twarzy.

Łasica chce, żebym za nią poszła, dotarło do mnie.

Poza mną nikt w zajęzdzie w ogóle intruza nie zauważył. Ludzie na sali wciąż zbierali się z ziemi, otrzepywali, oszołomieni

dwukrotnym smagnięciem tajemniczego wiatru. Zrozumiałam, że jeśli nie wyjdę, łasica będzie wracać raz po raz i ranić wszystkich tymi paskudnie wyglądającymi ostrzami. A poza tym byłam po prostu ciekawa. Zaintrygowała mnie obecność innego *yokai*, w dodatku pełnokrwistego. W górach lub leśnych gęstwinach takie spotkania były stosunkowo częste, lecz co innego w większych miastach i wszelkich miejscach, gdzie kręci się wielu ludzi. Tych *yokai* unikały. Skoro więc łasica zdecydowała się mi pokazać, musiała mieć ku temu bardzo dobry powód.

Otarłam policzek rękawem, wyszłam z zajazdu i ponownie zagłębiłam się w uliczki Chochin Machi.

Łasica płynęła na wietrze, przemykała z miejsca na miejsce, niewidzialna w ruchu, pojawiająca się ponownie, kiedy przystawała. Szłam za *yokai* główną arterią miasteczka, obserwując, jak sunie z dachu na dach, pozostawiając po sobie rozkołysane wściekle latarnie. Ludzie, których łasica mijała, potykali się, chwyтали za poły szat i przytrzymywali szamocące się na wietrze parasole.

– Przedziwna pogoda – mruknął ktoś. – Nie miałem pojęcia, że w Chochin Machi tak strasznie wieje.

Idąc za magicznym przewodnikiem, weszłam w wąską alejkę, a gdy zmierzając śladem kołyszących się lampionów, skręciłam, znalazłam się w ślepych zaułku. Zawiało, łasica zaś skręciła się wdzięcznie w powietrzu i zniknęła. Czekałam, lecz ani wicher, ani *yokai* nie wracały. Powietrze znieruchomiało, zrobiło się zupełnie cicho. W uliczce nie było żywej duszy.

Zmarszczyłam czoło. Czyli łasica chciała mnie po prostu wystrychnąć na dudka, a teraz w dodatku zabłądziłam, przemknęło mi przez myśl. Rozglądałam się wokół, próbując rozstrzygnąć, czy zdołam odnaleźć *ryokan*. Niestety, nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Denga-san śmiałyby się do rozpuku.

Wtem za moimi plecami rozległ się chichot, cichy i drwiący.

– Witaj, mała lisiczko. Często spacerujesz samotnie po podejrzanych alejkach?

Odwróciłam się na pięcie. Na dachu stała obramowana księżycową poświatą kobieta. Wysoka i smukła, odziana w eleganckie kimono przyozdobione deseniem białych obłoków na błękitnym jak niebo tle. Jej długie, rozpuszczone włosy falowały na wietrze niczym atramentowa rzeka. Z jej ramion spływały szerokie i długie, sięgające niemal kostek rękawy. Przyglądała mi się bladoniebieskimi, zimnymi oczyma.

– O... dobry wieczór – przywitałam się nieufnie. – Czy to twój zakątek?

Nieznajoma nawet nie drgnęła, więc ostrożnie cofnęłam się o krok. Skoro wiedziała, że jestem *kitsune*, zapewne nie była zbyt przyjaźnie nastawiona do obcego *yokai* na swoim terytorium.

– Zbłądziłam, więc gdybyś mogła po prostu wskazać mi drogę...

Pełne wargi kobiety złożyły się w pogardliwy grymas.

– Szkodnik – mruknęła, na co zmarszczyłam brwi. – Brudny, odrażający szkodnik. Zupełnie jak moje *kamaitachi*. – Uniosła ramię, na którym pojawiła się łasica, wraz z podmuchem wiatru, który szarpnął moim ubraniem i włosami. – Ale one są przynajmniej pełnokrwistymi *yokai*, w dodatku niekiedy stosunkowo przydatnymi. A ty jesteś jedynie żalosnym półlisem, czyż nie?

Położyłam uszy po sobie.

– To nie było miłe – stwierdziłam, czując rozpalające się na koniuszkach palców *kitsune-bi*. – Dopiero co się poznałyśmy. Poza tym lisy wcale nie są szkodnikami... Miałaś chyba na myśli szczury lub karaluchy. – Cofnęłam się o kilka kolejnych kroków. – Widzę jednak, że spotykamy się w nie najlepszym momencie, więc pójdę już sobie...

– Och, nigdzie nie pójdziesz, szkodniku.

Nieznajoma wyciągnęła rękę i ostry podmuch zakołysał całym moim ciałem. Jednocześnie poczułam w nodze oślepiający ból, jakby ktoś ranił mnie sztyletem. Niczego jednak nie zobaczyłam. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie miałam nawet czasu krzyknąć. Ot, po prostu noga odmówiła mi posłuszeństwa i padłam na ziemię.

Jęknęłam i zauważyłam, że na drugim ramieniu kobiety pojawiła się druga łasica. Paciorkowate ślepia zmierzyły mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. Wyrastający z jej łapy sierp spływał krwią.

– Nazywam się pani Kazekira – przedstawiła się kobieta. – Należę do tych, których dotknęły *kami*. Prości ludzie zwą mnie wiedźmą wiatru, a *kamaitachi* są moimi sługami. Niech ci się nie wydaje, że możesz po prostu dać stąd drapaką, mały szkodniku. – Mówiąc, pogładziła po łebku jedną ze swych łasic, lecz nie był to wyraz czułości, a gest posiadacza. Spostrzegłam, że stworzenie wyraźnie się wzdrygnęło. Czarownica albo tego nie zauważyła, albo zupełnie się nie przejęła. – Widzę, że jesteś nie tylko pospolita, ale i niezbyt mądra – dodała, wycierając dłoń, jakby czymś ją ubrudziła. – Nie zwabiłam cię tu na pogawędkę. Sprowadziłam cię, żeby cię zabić.

Mój żołądek zmienił się w sopel lodu.

– Dlaczego? – Podniosłam się powoli z ziemi. Noga pulsowała mi takim bólem, jakby trawił ją żar. Mało brakowało, a ponownie padłabym na ziemię. Mój lisi ogień zgasł. Podniosłam rękę, przywołałam go na powrót i w dłoni zajaśniała mi biało-niebieska kula. Nie mogłam tym światełkiem nikomu zaszkodzić, lecz przecież Kazekira nie musiała o tym wiedzieć. – Nie zrobiłam nic złego ani tobie, ani twoim łasicom. Dlaczego chcesz mnie zabić?

Wiedźma zaniósła się serdecznym śmiechem. Włosy obłąkańczo zatańczyły wokół jej głowy.

– Och, mały szkodniku. – Wyciągnęła dłoń przed siebie. *Kamaitachi* przysiadły na jej barkach, kierując w moją stronę połyskujące ostrza. – Skoro nie domyślasz się nawet tego, to zaiste jesteś zbyt głupia, by żyć.

– Strasznie hałasujesz – westchnął ktoś za moimi plecami – Trzeba ją było zabić od razu. Niektórzy próbują tu spać.

Wyraźnie zaskoczona czarownica opuściła ramię, a ja się odwróciłam. Ktoś siedział na stojącej pod ścianą beczce, ukryty

w rzucanym przez dach cieniu. Podniósł powoli głowę, wstał i wyszedł na środek alejki.

Moje serce z miejsca zagrało żywiej, choć nie jestem pewna, czy ze strachu, czy raczej z podziwu. Stał przede mną wysoki i smukły mężczyzna, księżyc oblewał jego sylwetkę srebrzystą aureolą. Falujący strój nieznajomego jaśniał najczystsza bielą i obrębiony był czarnymi i czerwonymi taśmami. Nie zauważyłam na nim żadnych deseni, symboli ani rodowego herbu. Włosy miał zachwycające, dłuższe jeszcze niż pukle czarownicy, a przy tym oszłamiająco srebrne, barwy wypolerowanej stali. Na plecach nosił długi, zakrzywiony miecz. Sądząc po pochwie, dłuższy od typowej katany o przynajmniej kilka cali. Uniósł ciężkie powieki, obrzucił mnie leniwym spojrzeniem złotych oczu, po czym przeniósł wzrok na czekającą na dachu wiedźmę.

– Naprawdę okropnie hałasujesz – podjął nieznajomy cichym, leciutko rozbawionym głosem, choć nie wiem, co go tak bawiło. – Masz szczęście, że ludzie są co do jednego głusi, bo myślę, że słyszać cię z kilku mil. Czy zabicie młodej półlisicy w pustej alejce wymaga aż takich ceregieli?

– Seigetsu-sama. – Policzki czarownicy pobladły, a wicher osłabł do poziomu lekkiej bryzy. – Co ty tu robisz? – szepnęła. – Znasz tego szkodnika?

– Pytasz o półlisicę? – Mężczyzna drwiąco wydał usta. – Nie, bawiłem po prostu w okolicy, a ponieważ morzył mnie sen, stwierdziłem, że się zdrzemnę. Nie przeszkadzaj sobie, rób, co masz zrobić. – Wskazał mnie lekceważącym machnięciem i ruszył w swoją stronę.

Spochmurniałam. Przez chwilę miałam nadzieję, że nieznajomy przyjdzie mi z pomocą. Z tymi oczyma barwy płynnego złota i ogromnym mieczem wydawał się potężnym wojownikiem; odniosłam wrażenie, że nawet wiatr czuje przed nim respekt. Kazekira uśmiechnęła się triumfalnie i ponownie wyciągnęła ku mnie rękę. Jej szata i włosy znów zatańczyły w silnych powiewach.

– Chociaż... – Srebrnowłosey przystanął, podrapał się w policzek i raz jeszcze zerknął na wiedźmę. – Powiadają, że *kamaitachi* poruszają się tak szybko, że nie nadążają za nimi oczy. Od dawna byłem ciekaw, czy to prawda.

Sięgnął do tyłu i zdjął z pleców miecz wraz z lakowaną pochwą. Trzymając broń lewą ręką, cofnął stopę i przyjął pozycję, która musiała być z jakiegoś powodu bardzo istotna. Wolna dłoń zawisła kilka cali od rękojeści.

– Zabawmy się – podjął, spoglądając na czarownicę z przelotnym, okrutnym uśmieszkiem. – Poślesz swe sługi, by zabiły półlisicę, a ja spróbuję posiekać je w powietrzu, zanim wykonają zadanie. Jeżeli *kamaitachi* istotnie są tak szybkie, jak mówią, nic im nie grozi. Jeśli nie, cóż... – Wzruszył smukłymi ramionami. – Zawsze możesz znaleźć nowe, prawda?

Wiedźma wiatru zamarła. Siedzące na jej ramionach łasice skuliły się trwożnie. W przedłużającej się ciszy wyraźnie słyszałam kolejne uderzenia swojego serca. Piękny nieznajomy stał w bezruchu, jego dłoń wciąż kołysała się nieznacznie nad rękojeścią, gotowa do błyskawicznej reakcji.

Wreszcie Kazekira zadarła głowę i pociągnęła nosem.

– Z przyjemnością wzięłabym udział w tej grze, Seigetsu-sama – stwierdziła wyniosłym tonem – lecz nie sądzę, bym przekonała do tego swoje tchórzliwe *kamaitachi*. Tym razem musisz nam wybaczyć – powiedziała, po czym zwróciła się z szyderczym uśmiechem do mnie. – Dzisiejszej nocy uśmiechnęło się do ciebie szczęście, szkodniku. Ale Seigetsu-sama nie zawsze będzie mógł cię ocalić. Wkrótce znów się spotkamy.

W uliczkę wdarł się silny powiew. Tumany kurzu poderwały się z ziemi, zakołysały się latarnie. Otoczona furkocącymi fałdami szaty czarownica wzbiła się w powietrze i odfrunęła ponad dachami. Moment później straciłam ją z oczu na dobre.

Kiedy wicher ucichł, spojrzałam na srebrnowłosego, który wyprostował się i ponownie zawiesił sobie wielki miecz na plecach. Seigetsu-sama, tak nazywała go wiedźma. Przyrostek „sama”

zarezerwowany był dla ludzi najbardziej szacownych i możnych. Czyżby był jakimś wielkim panem? Może nawet *daimyo* jednego z potężnych klanów? Nie wydawało mi się, by tej rangi osobistości kręciły się po ciemnych zaułkach Chochin Machi, lecz przecież świat zewnętrzny wciąż pozostawał dla mnie zagadką. Być może urządził sobie wieczorną przechadzkę... Może uciekł chroniącym go samurajom? Mało prawdopodobne, ale wiedziałam jedno – lepszej pory nie mógł sobie wybrać.

– *Ano...* – wydukałam, gdy srebrnowłose przyspilił mnie spojrzeniem leniwych złotych oczu. Przez chwilę czułam się zupełnie naga, jakby sięgnął wzrokiem moich najskrytszych tajemnic. Otrząsnęłam się i uśmiechnęłam. – Dziękuję.

– Proszę bardzo – odpowiedział zwięźle i zauważyłam nieznaczne drgnienie kącika jego ust. – Naprawdę powinnaś uważać się za szczęściarę. Nieczęsto ratuję naiwne póllisice przed wściekłymi *kamaitachi*, lecz dzisiaj postanowiłem uczynić wyjątek. – Popatrzył na mnie z chłodnym rozbawieniem. – Wiesz, z jakiego powodu Kazekira chciała cię zabić, prawda?

Skąd wiedział o zwoju? Co więcej, skąd wiedziała o nim wiedźma wiatru? Przełknęłam z wysiłkiem ślinę, coraz wyraźniej czując kształt ukrytego w chuście futerału.

– Nie, nie mam pojęcia.

Srebrna brew Seigetsu uniosła się na czoło.

– Jeżeli chcesz przeżyć, musisz nauczyć się lepiej kłamać, póllisico – rzekł. – Tego zwoju szuka wiele osób, gotowych zrobić dosłownie wszystko, by go zdobyć. – Spięłam się, a on, widząc to, zachichotał i pokręcił głową. – Spokojnie. Nie interesujesz mnie ani ty, ani smocze życzenie. Pozwól natomiast, że coś ci poradzę. Nie wspominaj o Kazekirze zabójcy demonów.

Zastrzygłam uszami. Czyli wiedział też o Tatsumim? Kim on jest?

– Dlaczego?

Oczy mężczyzny, złote i hipnotyzujące, spojrzały głęboko w moje.

– Dlatego, mała lisiczko, że potężne czarownice nigdy nie atakują zwykłych prostaczków bez powodu. I z pewnością nie na terenie ludzkich siedlisk. Zabójca demonów o tym wie. Jeżeli dowie się, że zaatakowała cię wiedźma wiatru i jej łasice, zechce się dowiedzieć, czego od ciebie chciała. I co mu wtedy powiesz?

– Ach... – Przygryzłam wargę. – Słusznie.

Srebrnowłosa raz jeszcze pokręcił głową i ruszył w głąb uliczki, lecz po kilku krokach przystanął i spojrzał na mnie kątem oka.

– Bardzo możliwe, że to nie było twoje ostatnie spotkanie z Kazekirą – przestrzegł. – Jeśli znowu się spotkacie, a zabójca demonów będzie mieć kłopot, pamiętaj o tym. – Uniósł dłoń i pokazał mi trzy długie, zgrabne palce. – *Kamaitachi* zawsze pojawiają się trójkami. Łasice łączy niezłomna lojalność, a jeśli którejś zagrozi niebezpieczeństwo, pozostałe zrobią wszystko, by ją ocalić. Zapamiętaj to i zadaj sobie pytanie, dlaczego Kazekirze służą tylko dwie. *Sayonara*.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, mój wybawca odszedł i rozpułynał się w ciemności.



Chodzenie okazało się bolesną czynnością. Zacisnąwszy zęby, ruszyłam przed siebie, podpierając się o ścianę budynku. Ranna noga przy każdym kroku pulsowała bólem. Ostrożnie podciągnęłam rąbek szaty, spodziewając się ujrzeć mnóstwo krwi ściekającej z obrzydliwej rany na ziemię. Pamiętkę po ostrzu łasicy znalazłam bez trudu – cienkie, wąskie rozcięcie tuż nad kolanem. Co ciekawe, mimo że wyglądało na dość głębokie, krwi nie było wcale.

Kiedy tak kuśtykałam w kierunku głównej ulicy, tuż przede mną zawirował cień i nagle drogę zablokowało mi błyszczące ostrze. Zastygłam, podniosłam wzrok i spojrzałam prosto w zimną, poważną twarz Tatsumiego.

Ruszył naprzód, a ja zaczęłam się cofać. Straszliwy miecz oświetlał oblicze chłopaka nikłą poświatą. Wpadłam plecami na ścianę i skrzywiłam się, gdyż nogę przeszył mi płomień bólu.

– *Ite* – zakwiliłam. „Au”.

Groźące mojej krtani ostrze natychmiast opadło o kilka cali.

– Jesteś ranna. – Tatsumi ściągnął brwi. – Co się stało?

– Zostałam... hm... napadnięta – wykrztusiłam. Pamiętając słowa Seigetsu, skleciłam naprędce bajeczkę. – Chciałam wynająć dla nas pokój, ale kiedy weszłam do zajazdu, zerwał się taki dziwaczny wiatr i... coś mnie uderzyło. Uciekłam, a to goniło mnie aż tutaj.

– Gdzie ta istota jest teraz?

– Nie wiem, była niewidzialna – ciągnęłam, przez co brwi chłopaka praktycznie zetknęły się nad nosem. – Albo po prostu zbyt szybka. Gdy mnie raniła, nie zauważyłam zupełnie nic. Ale potem spojrzałam w górę i zobaczyłam na dachu taką... taką łasicę z nożami zamiast przednich łap.

– *Kamaitachi*? Tutaj? – Tatsumi cofnął się o krok i czujnie rozejrzał po alejce, omiatając wzrokiem okoliczne dachy. Jego miecz, jakby podekscytowany, zapłonął jaśniejszym blaskiem, lecz w cieniach nie kryło się nic.

– *Kama...itachi*? – powtórzyłam, jakbym usłyszała to słowo po raz pierwszy w życiu. – A co to takiego?

– Łasice z sierpami – odpowiedział chłopak, bez przerwy lustrując uliczkę. – *Yokai* zdolne podróżować na wietrze. Legendy mówią, że zawsze pojawiają się trójkami i że broniąc swego terytorium, walczą w szczególny sposób. Jedna przewraca ofiarę na ziemię, druga ją rani, a trzecia traktuje ranę specjalnym medykamentem, dzięki któremu ofiara nie wykrwawia się na śmierć. Wszystko to odbywa się praktycznie jednocześnie, więc intruz orientuje się, że został ranny, dopiero kiedy pojawia się krwotok. – Tatsumi oderwał wreszcie oczy od dachów i przyjrzał się mnie. – W rzeczywistości *kamaitachi* wytwarzają specjalną wydzielinę, którą pokrywają swoje pazury. To za jej sprawą rana nie zaczyna krwawić od razu. Najczęściej jednak spotyka się te *yokai*

znacznie dalej na północ. Nie słyszałem też jeszcze, by zaatakowały człowieka w środku miasta. Jesteś pewna, że widziałaś właśnie łasice?

– Czy jestem pewna, że widziałam łasice z wielkimi kosami zamiast łap? Tak, jestem bardzo pewna. – Z radością stwierdziłam w duchu, że chłopak chyba mi uwierzył. Nie śmiałam opowiedzieć mu o Kazekirze. Historyjka o dziwnym, lecz zupełnie przypadkowym ataku *yokai* i nieświadomej dziewczynie, która znalazła się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie, była znacznie lepsza. – Te łasice nie są chyba zbyt sympatyczne – mruknełam, krzywiąc się z bólu. – Czy zawsze są takie drażliwe, czy miałam po prostu pecha?

Tatsumi westchnął i wsunął miecz do pochwy.

– Dasz radę iść? – spytał, nie patrząc na moją ranną nogę.

Potaknełam skinieniem i odepchnęłam się od ściany. Szarpnął mną ból i niemal ugięło się pode mną kolano, ale zacisnęłam zęby i utykając, poszłam za towarzyszem.

Wyczulona na *yokai* i nagle podmuchy wiatru, kuśtykałam za Tatsumim. Wojownik szedł powoli, tak bym mogła mu swobodnie dorównać tempem, lecz jego ręka ani na chwilę nie oddalała się zbyt od miecza. Obserwowałam dachy, ciemne zakątki i tłumy, spodziewając się lada moment zobaczyć fruującą kobietę o długich, rozwianych włosach. Jeśli jednak Kazekira i jej łasice wciąż były blisko, pozostawały w ukryciu.

Kiedy dotarliśmy wreszcie do zajazdu, zgodnie z obyczajem zostawiliśmy buty przy wejściu i odszukaliśmy swoją kwaterę. Ciekawa, jak wygląda *ryokan* od środka, niemal przebiegłam przez próg, lecz pokój okazał się zupełnie normalny. Elegancki w swej prostocie – pomalowane ciepłą, beżową farbą ściany, grube maty *tatami* i niewielka nisza, w której stał wazon z kwiatem *ayame*. Łóżek nie było, gdyż pora była zbyt wczesna, by wyciągać futony ze schowka, więc środek pomieszczenia zajmował niski stolik. Na blacie czekał parujący łagodnie imbryk i czarki.

Tatsumi zasunął drzwi, zrzucił z nóg słomiane sandały rozdawane wszystkim gościom zajazdu i ustawił je przy wejściu. Poszłam za jego przykładem, a kiedy stanęłam boso, wskazał mi jedną z leżących przy stole poduszek.

– Siadaj – polecił, słowem nawet nie tłumacząc, po co mam usiąść ani co zamierza. Posłuchałam go. Ostrożnie przycupnęłam na niebieskiej poduszce i mocno zacisnęłam przy tym zęby, bo ranna noga bolała przy każdym ruchu.

Chłopak uklęknął obok, sięgnął za swój *obi* i wyciągnął zawiniętą w kolorowy papier paczuszkę, która swobodnie zmieściłaby mi się w dłoni. Ustawił ją na stole i z najwyższą ostrożnością otworzył. W środku zobaczyłam niewielką ilość jakiegoś zielonego pyłu. Zaraz potem Tatsumi nalał do czarki wrzątku z czajnika, po czym ostrożnie zwilżył proszek kilkoma kroplami wody.

– Co... co to jest? – spytałam, obserwując procedurę z niekłamaną fascynacją.

Wojownik puścił pytanie mimo uszu. Zmieszał zielony pył z gorącą wodą, tworząc coś w rodzaju pasty. Wreszcie podniósł łagodnym ruchem cały papierek i zwrócił się ku mnie. Błyszczące, fiołkowe oczy chłopaka pochwyciły moje spojrzenie i żołądek podskoczył mi do gardła.

– Gdzie raniła cię *kamaitachi*?

Zawahałam się. Serce zabiło mi bardzo mocno. Chłopak był tak blisko. Zwój wciąż spoczywał bezpiecznie w zawiązanej na moim ramieniu chuście, ale... Czy mógł zobaczyć futerał? Czy zbliży się na tyle, by go wyczuć dotykiem?

Tatsumi trwał w bezruchu, wyrazem twarzy i spojrzeniem nie zdradzał niczego. Odczekałam jeszcze chwilę, po czym z wolna podciągnęłam rąbek szaty, demonstrując długie, proste rozcięcie na udzie. Było czerwone, wyglądało naprawdę wstrętnie, a w dodatku rwało jak ukąszenie tuzina szerszeni. Nadal jednak nie krwawiło. Z jakiegoś zagadkowego powodu teraz, kiedy zobaczyłam je wyraźnie, ból wzmógł się.

Chłopak nawet nie mrugnął. Jednym płynnym ruchem zebrał dwoma palcami pastę z papierka i rozsmarował ją zdecydowanie po ranie.

– *Ite!* – pisnęłam i poderwałam nogę, zaskoczona zarówno nagłym, otępiającym bólem, jak i poufałą formą kuracji. Klęczący przede mną wojownik spojrzał z głębokim zdumieniem, jakby zupełnie nie rozumiał mojej reakcji.

– To balsam leczniczy – wyjaśnił. – Uśmierzy ból i zapobiegnie zakażeniu. – Raz jeszcze sięgnął do mojej nogi, a kiedy ją cofnęłam, zmarszczył brwi. – Nie chcesz, bym ci pomógł? Jeśli nie opatrzymy cię teraz, wkrótce zaczniesz krwawić. Pozwól, że cię obejrzę.

– Piecze – wycedziłam przez zęby i ponownie podciągnęłam szatę. – Nie wiem, Tatsumi, czy kiedykolwiek raniła cię taka łośnica, ale dla mnie to dopiero pierwszy raz i naprawdę boli. Bądź bardziej delikatny, proszę.

– Delikatny... – powtórzył i rzucił mi kolejne pełne konsternacji spojrzenie, jakby pojęcie to było mu całkowicie obce.

– Tak. Delikatny. No wiesz... Łagodny? Czuły? Rób tak, żebym nie miała wrażeń, że zaraz odpadnie mi noga? – Na twarzy chłopaka wciąż malowało się zadziwienie. – Czy ktoś cię kiedyś opatrywał? Byłeś ranny? – spytałam, marszcząc czoło.

– Oczywiście. Ale celem zawsze było jak najszybsze i najskuteczniejsze zajęcie się raną. Okazywanie bólu jest poważnym błędem. Ujawniasz w ten sposób swój stan i dajesz przeciwnikowi znać, że zdołał cię osłabić.

– Ach... – Stwierdziłam w duchu, że powoli zaczynam swojego zimnego, niebezpiecznego towarzysza podróży rozumieć. – Wydaje mi się, że odebraliśmy bardzo odmienne wychowanie.

Pochylił głowę i zmierzył mnie spojrzeniem tych swoich fiołkowych oczu.

– Ciebie nie karano, kiedy ranna okazywałaś słabość?

– Nie. Denga-san powiedział kiedyś, że nie trzeba mnie karać, gdy przy jakimś wybryku zrobię sobie krzywdę, ponieważ samo obrażenie stanowi dostateczną naukę.

– Nie rozumiem. – Na czole Tatsumiego pojawiła się głęboka zmarszczka.

– No cóż, nauczyłam się w ten sposób, że niemądrze jest wspinać się na dach świątyni w burzową noc. I że jeśli ktoś chce przestraszyć mistrza sztuk walki, wyskakując znienacka z szafy, powinien być gotów do uniku. I jeszcze że jeżeli ktoś ucieknie przed rozjuszonym niedźwiedziem na drzewo, powinien najpierw sprawdzić, czy w gałęziach nie kryje się gniazdo szerszeni.

Tatsumi odpowiedział milczącym, lekko zadziwionym spojrzeniem. Westchnęłam.

– Mistrz Isao uczył, by dobro i cierpliwość praktykować we wszelkich sytuacjach, zwłaszcza w odniesieniu do rannych i chorych. Tłumaczył, że o ducha należy dbać równie troskliwie jak o ciało. – Spoglądając w pustą, wyzutą z emocji twarz chłopaka, doznałam nagłego, boleśnie chwytającego za serce olśnienia. – Ciebie nikt w życiu nie potraktował życzliwie, prawda?

– Twoja rana krwawi – oznajmił Tatsumi, przez co drgnęłam i zerknęłam w dół. Po udzie ciekła mi powoli czerwona strużka. Zanim pierwsza kropla skapnęła na podłogę, chłopak przycisnął do rozcięcia szmatkę. Zgrzytnęłam zębami i rozmowa ustała, a wojownik zajął się czyszczeniem i bandażowaniem mojej nogi. Mógłby to zrobić łagodniej, lecz muszę przyznać, że nie był już niedelikatny.

Na szczęście wkrótce potem pojawiło się jedzenie: miseczki z ryżem, tacki marynowanej kapusty i głęboki, czarny garnek wypełniony parującą mieszanką warzyw, mięsa i bulgocącego wywaru, na której widok mój żołądek wykonał radosne salto. Tatsumi nazwał tę potrawę *nabe* – „ognistym kociołkiem” – i zaczęłam się opychać do momentu, w którym nie byłam już w stanie wcisnąć do ust nawet jednego grzybka. Okazało się przy tym, że ani na chwilę nie wolno mi tracić czujności. Kiedy ostatecznie rozprawiłam się z posiłkiem i naczynia zostały zabrane, ujrzałam w gładkim blacie stołu swoje odbicie: żółte ślepia i spiczaste uszy. Uratował mnie fakt, że w tym akurat momencie

Tatsumi odprowadzał wzrokiem służącą i nie zauważył przebłysku *kitsune*. Tłumacząc, że znów odezwała się rana, usunęłam się w kąt pokoju, byle dalej od stołu i jego zdradziecko wypolerowanej powierzchni.

Niedługo później służka powróciła, wyciągnęła ze schowka futony i rozłożyła je na podłodze. Tatsumi zgasił światło, a ja wpełzłam pod koc. Upewniłam się po kryjomu, że futerał wciąż bezpiecznie spoczywa w chuście, po czym przez długi czas leżałam w ciemności, myśląc o *kamaitachi*, wiedźmach wiatru i rozmaitych innych demonach pragnących dostać w swe łapy smoczy zwój.

Myślałam też o Tatsumim. O Kage Tatsumim, zabójcy demonów z Klanu Cienia. O chłopcu, który w życiu nie zaznał dobroci, współczucia i miłosierdzia. O wojowniku bezwzględnym, groźnym i gotowym zabić każdego człowieka, demona czy *yokai*, który stanąłby nam na drodze. O chłopaku nieświadomym, że cel jego misji znajduje się niecałe dziesięć stóp od niego. Gdyby odkrył, że od początku miałam ten zwój przy sobie...

Zadrżałam i nieco mocniej przytuliłam zawiniątko do piersi, wyraźnie czując twardość futerału. Wiedziałam, że powinnam się Tatsumiego bać; nie miałam wątpliwości, że za kłamstwo ukarze mnie śmiercią. A okłamałam go nie tylko w kwestii zwoju, lecz także swojej prawdziwej natury. Co prawda byłam *yokai* jedynie w połowie, ale nie spodziewałam się, że zabójca demonów z Klanu Cienia potraktuje litościwie *kitsune*, która przez tyle czasu udawała zwyczajną dziewczynę.

Mój towarzysz był niebezpieczny, rozumiałam to. Jednocześnie jednak było mi go po prostu... żal. Nie potrafił się cieszyć ani uśmiechać, nie wiedział, czym jest zabawa. Nie umiał czerpać radości z błahostek – ze śmiechu, tańca, urody świata. Miałam wrażenie, że wie dziebardzo nudny żywot. Nawet ta krótka chwila, którą spędziłam dzisiejszego wieczoru, płasając na placu, zdecydowanie poprawiła mi nastrój i byłam pewna, że mistrz Isao i pozostali nie chcieliby, abym wędrowała przygnębiona. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam pokazać Tatsumiemu radosnej

strony życia. Pomyślałam, że chyba nie musi być przez cały czas takim oschłym mrukiem. Jeden uśmiech na pewno by go nie zabił. Doszłam do wniosku, że coś takiego może się udać, choć tylko pod warunkiem, że będę działać ostrożnie.

Zauważyłam, że Tatsumi nie wyciągnął się na swoim futonie, a tylko przysiadł w kącie twarzą do drzwi, miecz opierając na udzie. Gdy rankiem otworzyłam oczy, ujrzałam go w tej samej pozycji.



NIEDŹWIEDŹ Z SUIMIN MORI

Nazajutrz okazało się, że magia Chochin Machi pryska wraz z odejściem nocy.

W drogę wyruszyliśmy bardzo wcześnie. *Ryokan* opuściliśmy, zanim jeszcze słońce wspięło się ponad grzbiety odległych wzgórz. Wszystkie zalane szarym światłem przedświtu ulice były niemal puste; czerwone latarnie kołysały się smętnie, ciemne i martwe. Ciemniały również witryny pozamykanych sklepów. Nocą wybrałem się na szybkie zakupy, dzięki czemu miałem teraz pełen woreczek ryżu i taką ilość suchego prowiantu, która powinna pozwolić nam przetrwać na szlaku kilka kolejnych dni. Kurczył się natomiast mój zapas gotówki, do czego wydatnie przyczynił się nasz nieplanowany nocleg w zajeździe. Gdybym wędrował sam, nawet nie pomyślałbym o spędzeniu tam nocy. Yumeko okazała się towarzyszką niespodziewanie kłopotliwą – trwoniłem przez nią nie tylko czas, ale też zapasy i pieniądze.

No to ją zabij.

Odruchowo stłumiłem uczucia i zamknąłem umysł przed mieczem. Żądza krwi osłabła, a wrogość, którą poczułem do dziewczyny, zniknęła; moje wnętrze na powrót stało się jałową, lodową pustynią.

Yumeko ziewnęła i przesłoniła usta dłonią. Szła obok mnie dzielnie, prawie nie utykając. Mój balsam, sekretna mieszanka rozmaitych składników kojących, sporządzona przez najlepszych wytwórców trucizn w Iwagoto, sprawował się bez zarzutu.

– Miasteczko wygląda teraz zupełnie inaczej – zauważyła dziewczyna, tocząc spojrzeniem po wyludnionej ulicy. – Pewnie ożyje dopiero po zmierzchu. Szkoda, że musimy już ruszać. Chętnie zwiedziłabym je dokładniej. Pod warunkiem że nie nękałyby mnie agresywne łasice. Tatsumi-san. – Spojrzała na mnie z uśmiechem. – Co lubią łasice?

– Słucham?

– No... jeżeli napatoczymy się na więcej łasic z sierpami, moglibyśmy im coś dać, żeby nas nie zaczepiały. Ty tak dużo wiesz o demonach i *yokai*. – Skinęła na mnie głową. – Co im smakuje? Może lubią smażone tofu? Ja przepadam za smażonym tofu.

– Nie wiem, co lubią.

– Chyba po prostu rzucę im kulkę ryżu – stwierdziła z westchnieniem dziewczyna.

„Ciebie nikt w życiu nie potraktował życzliwie, prawda?” – rozległo się w mojej głowie echo jej słów z wczorajszego wieczoru. Otrząsnąłem się. Życzliwie? Życzliwość to nic więcej jak słabość. Luksus dostępny wyłącznie tym, którzy nie polują na demony. Człowiek życzliwy nie może mieć się bez przerwy na baczności, a na to nie mogłem sobie pozwolić, zwłaszcza że Hakaimono czyhał na najdrobniejszy wyłom w mojej koncentracji. Rozumieli to wszyscy szkolący mnie *sensei*. Byłem bronią w rękach klanu, niczym więcej. Na życzliwość w moim życiu nie było miejsca.

Gdy opuszczaliśmy Chochin Machi i wkraczaliśmy właśnie na szlak wiodący ku stolicy, na zawieszanej ponad ulicą latarni

zauważyłem samotną wronę. Zastanowiłem się, czy ów tajemniczy obserwator i napaść na Yumeko mogą mieć ze sobą związek. A jeśli tak, to kiedy i gdzie stojąca za tym wszystkim osoba zdecyduje się uderzyć ponownie.

Wiedziałem, że bez względu na wszystko będę gotowy.

Gdy słońce ukazało się wreszcie nad horyzontem, Chochin Machi było już daleko za nami. Szliśmy wzdłuż wijącej się na północ rzeki Hotaru. Po kilku milach płaskie pola i trawiaste łąki przeszły w łagodne wzgórza, a ścieżka odbiła od brzegu, prowadząc w stronę gór.

Kiedy zbliżyliśmy się do lasu, Yumeko nagle przystanęła i zapatrzyła się we wbity w ziemię słup i wiszącą na nim starą, drewnianą tabliczkę.

– „Wchodźcie do lasu Kiba-samy” – odczytała powoli ledwie widoczne, spłowiałe znaki z popękanej deszczułki. – „Uważajcie na każdym kroku. Strzeżcie się Kiba-samy”. – Zamrugła i zwróciła się do mnie. – Och, to brzmi groźnie. Kim jest Kiba-sama? Wiesz może, Tatsumi?

Wiedziałem. Dzięki szkoleniu znałem opowieści i legendy o wszystkich demonach, *yokai* i duchach, jakie można było spotkać w każdym zakątku krainy.

– Kiba-sama – objaśniłem – to imię, jakie miejscowi nadali wielkiemu demonicznemu niedźwiedziowi onikuma, dla którego ten las jest domem. Podania głoszą, że Kiba-sama jest wyższy niż dwaj mężczyźni i tak silny, że może jedną łapą chwycić konia i zanieść go do swojej gawry.

– Porywająca historia. – Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i powiodła spojrzeniem wzdłuż linii drzew. – Ale ten niedźwiedź nie wydaje się sympatyczny. Co będzie, jeśli go spotkamy?

– Mało prawdopodobne. Od dawna nikt nie widział Kiba-samy. Będzie już prawie dwadzieścia lat. Ale tak, powinniśmy zachować ostrożność. – Raz jeszcze zerknąłem na tabliczkę. – Według niektórych opowieści głęboko w tym lesie można znaleźć jaskinię, do której nigdy nie zachodzą zwierzęta i w pobliżu której milkną

nawet ptaki. Właśnie tam od dwudziestu lat śpi Kiba-sama. Musimy więc iść lekkim krokiem, bo inaczej możemy zbudzić wielkiego demona, niedźwiedzia z Suimin Mori, który po tak długim poście byłby okrutnie głodny.

– Aha. – Yumeko popatrzyła na drzewa i skinęła głową. – Iść lekkim krokiem. Dam radę. Nawet trawa nie zorientuje się, że po niej stąpam.

Wkroczyliśmy do lasu i natychmiast otoczyły nas drzewa. Konary potężnych sosen i sekwoi przesłaniały niebo, zalewając wszystko poniżej chłodnym półmrokiem. Szliśmy po omszałych kamieniach, ponad powalonymi drzewami, pomiędzy prastarymi leśnymi gigantami i przez połacie lasu, w których słońce nigdy nie muskało ziemi. Wokół panował nienaturalny bezruch. Zgodnie z legendą milczały ptaki i owady, a w krzewach nie szeleściły kroki jeleni ani żadnych drobniejszych stworzeń. W powietrzu snuł się złowróźbny mrok, subtelna aura strachu sprawiająca, że cały las był jak oniemiały.

W pewnej chwili dotarliśmy nad wąwóz, którego strome ściany opadały ku niemal wyschniętej rzece poniżej. Oba brzegi spinał kołyszący się delikatnie most, zbudowany z lin i desek. Przy jednym z podtrzymujących sznury słupków zobaczyliśmy maleńką, przydrożną kapliczkę poświęconą Doroshinowi, *kami* dróg i podróży. U jej stóp spoczywało wiele pozostawionych w ofierze monet i zwiędłych już kwiatków. Yumeko podeszła na skraj urwiska i spojrzała w dół, a ja złożyłem przy kapliczce miedziane *kaeru*, po czym zamknąłem oczy i złożyłem dłonie, by zmówić szybką modlitwę o pomyślność w dalszej wędrówce. Nie byłem pewien, czy bogowie słuchają próśb prostych zabójców, zwłaszcza takich, których ręce zbrukane są krwią i brudem, lecz wiedziałem, że przezorność zawsze się opłaca. Lepiej, by *kami* moje prośby zignorował, niż się na nas rozgniewał.

Kiedy podniosłem powieki, ze zdumieniem stwierdziłem, że Yumeko stoi tuż obok. Dziewczyna również miała zamknięte oczy

i złożone dłonie. Po chwili opuściła ręce i popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Kiedyś modliłam się do Doroshina co noc – powiedziała, zerkając na kapliczkę. – Odkąd pamiętam, marzyłam o podróżach. Zawsze chciałam zobaczyć świat poza świątynią, mimo że strasznie się go bałam. Prosiłam Doroshina, by wskazał mi drogę.

Westchnęła, spoglądając na most i drugi brzeg rozpadliny. Blask w jej oczach zgasł, twarz zasnuł cień, lecz zaraz zamrugła i otrząsnęła się.

– Po prostu nie tak to sobie wyobrażałam – szepnęła. – Lecz cóż, jestem tutaj, na szlaku, tak jak przecież chciałam. Uznałam więc, że mu podziękuję. Na wszelki wypadek. – Znów spojrzała na mnie i zaintrygowana przechyliła głowę na bok. – Zaskoczyłeś mnie, Tatsumi-san. Modliłeś się, a myślałam, że ty nie z takich.

– *Kami* widzą każdego – odparłem zwięźle. – Nie ma powodu, by traktowały mnie ulgowo. Poza tym noszę miecz, którego imię brzmi Zabójca Bogów. Więc w miarę możliwości staram się ich nie obrażać.

Ruszyliśmy przez most. Stare, kruszące się deski skrzypiały pod ciężarem naszych ciał i kołysały się przy każdym kroku nad otchłanią. W wąwozie wiał dość silny wiatr, ale liny były grube i silne i nic nie zapowiadało, by mogły puścić.

Niemniej kiedy znaleźliśmy się mniej więcej w połowie przepaści, gwałtowny podmuch wściekle szarpnął mostem. Opadłem na kolana, by nie stracić równowagi, a Yumeko wrzasnęła i mocno chwyciła się sznura. Gdy wicher przycichł i liny znieruchomiały, jar wypełniło echo przenikliwego śmiechu. Podniosłem wzrok.

Po drugiej stronie mostu czekała kobieta. Wysoka i smukła, czarnowłosa, ubrana w drewniane chodaki *kega* i niebiesko-białe kimono, z najwyższym trudem przesłaniające jej wdzięki. Wpatrywała się w nas błękitnymi niczym lód, skrzącymi się zimno oczyma.

Przykucnąłem i sięgnąłem do rękojeści miecza. Kamigoroshi zapłonął zachwytem. Nieznajoma rozciągnęła wargi w uśmiechu.

– Straszliwy zabójca demonów z klanu Kage – zawołała, wciąż uśmiechnięta. – Powiernik niesławnego Kamigoroshi. Reputacja wyprzedza ciebie i twoje ostrze. Pozwól, że się przedstawię. – Zgięła się w płytkim, drwiącym ukłonie. – Nazywam się pani Kazekira. Jestem wiedźmą wiatru z Wyjących Gór. Czekałam na was.

Wiedźma wiatru. *Kamaitachi* były zapewne jej sługami. Zatem napaść na Yumeko nie była dziełem przypadku, lecz przeznaczoną dla mnie groźbą lub ostrzeżeniem.

Postąpiłem o krok w stronę czarownicy i mocniej zacisnąłem palce na mieczu.

– Skoro wiesz, kim jestem, wiesz też, co nastąpi, jeśli staniesz ze mną do walki – uprzedziłem. – Odejdź, zanim wyrąbuję sobie drogę przez twoje ciało.

Wiedźma zanosła się śmiechem.

– Niezbyt jesteś uprzejmy, Kage-san. – Jej głos poniósł się nad wąwozem. – Grozić dopiero co spotkanej kobiecie? Niewybaczalne to i grubiańskie. Czy w waszym klanie nie uczą dobrych manier?

Wokół czarownicy zawirował wiatr. Załopotwały jej rękawy, a włosy uniosły się za nią niczym proporzec. Most zakołysał się niebezpiecznie na boki. Yumeko zachłysnęła się i mocniej chwyciła za sznury. Ja tymczasem balansowałem na dygocących deskach niczym na pokładzie tańczącego na falach statku.

Wiedźma wzbiła się w powietrze i uśmiechnęła. Jej kimono dziko furkotało.

– Nie. Byłabym głupia, podejmując walkę z zabójcą demonów. Zresztą nie znoszę widoku krwi. Obawiam się jednak, że nie mogę pozwolić, byście poszli dalej. – Wyciągnęła rękę i pstryknęła palcami. Wicher jak na sygnał zawył jeszcze głośniejsze i przybrał na sile. – *Kamaitachi*, wysłuchajcie, co rozkazuję! Przetnijcie te sznury. Przekonajmy się, czy ci dwoje potrafią latać jak wy!

– Yumeko – rzuciłem, spoglądając na dziewczynę – biegiem! Uciekaj z mostu!

Do wtóru skowyczących podmuchów liny podtrzymujące most od naszej strony puściły. Deski drgnęły, rozległ się okrzyk Yumeko

i oboje runęliśmy w dół.

Dosłownie w ostatniej chwili zdążyłem się wyciągnąć i chwycić dziewczynę w pasie. Drugą ręką mocno przytrzymałem się sznura i oboje wraz z częścią mostu pomknęliśmy ku skalnej ścianie. Yumeko zakwiliła i przywarła do mojej piersi. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem pędzące na nas urwisko.

– Trzymaj się! – warknąłem i wykręciłem ciało tak, by osłonić dziewczynę.

Zaraz potem zderzyliśmy się ze ścianą. Na szczęście trafiliśmy nie w litą skałę, lecz w rosnące na zboczu krzaki. Wstrząs pozbawił mnie tchu, a ramię niemal wyskoczyło ze stawu. Z najwyższym trudem utrzymałem naraz Yumeko i powróż.

Zacisnąłem zęby i spojrzałem w górę, ku majaczącej jakieś trzydzieści stóp wyżej krawędzi wąwozu. Zakołysałem się lekko i zdołałem wcisnąć stopę pomiędzy deski mostu, co wydatnie ulżyło mojemu ramieniu.

– Yumeko – wychrypiałem, a dziewczyna wbiła we mnie wielkie, czarne oczy. Jedną ręką trzymała się mojej *haori*, drugą tuliła do piersi swoją *furoshiki*. – Będziemy musieli się wspiąć. Możesz chwycić linę?

Z malującym się na twarzy zacięciem skinęła głową. Wyciągnęła rękę ponad moją głowę i złapała za sznur, ale nie zdążyła się jeszcze podciągnąć, gdy nad nami rozległ się dźwięczny chichot, zaś mostem wstrząsnął silny podmuch powietrza.

Wiedźma wiatru podleciała na skraj rozpadliny i popatrzyła na nas z góry.

– Och, w jakże opłakanym położeniu się znalazłeś – drwiła. – Kage-san, gdybyś wypuścił dziewczynę, zapewne zdołałbyś się wydostać z tych tarapatów. Naturalnie ona spadnie i zginie, lecz dla ciebie to żaden kłopot, prawda? Jesteś w końcu słynnym zabójcą demonów. – Zachichotała ponownie, a na jej ramieniu zmaterializowała się spora, brązowa łośnica, świdrująca nas spojrzeniem małych jak paciorki, czerwonych ślepi. – Posłuchaj,

Kage-san, dobijmy targu. Oddaj mi zwój, a zabiorę swoje *kamaitachi* i zniknę.

Wyczułem, jak przyciśnięta do mnie Yumeko sztywnieje. Serce zabiło mi mocniej. Zmarszczyłem czoło. Zatem czarownica również chciała zdobyć smoczy zwój. Może to ona posłała na świątynię horde demonów?

– Nie mam zwoju – odparłem.

– Och, Kage-san, ani trochę nie potrafisz się bawić. – Wiedźma zaplotła ręce na piersi. – Zawiodłam się na tobie. Cóż, będziemy musieli załatwić tę sprawę bardziej bolesną metodą. Przekaż moje pozdrowienia Kiba-samie.

Wystrzępione liny puściły. Yumeko zakwiliła i skryła twarz w moim ramieniu. Most runął wzdłuż urwiska, zabierając nas ze sobą. Skuliłem się, przycisnąłem podbródek do piersi, myśląc tylko o tym, by zamortyzować uderzenie resztą ciała. Przez kilka sekund świat oszalał wirował. A potem, nagle, znieruchomiał.

Wstałem powoli i rozejrzałem się. Wylądowaliśmy na dnie wąwozu, w pobliskich zaroślach wały się potrzaskane resztki mostu. Wskutek zderzenia ze ścianą i późniejszego upadku byłem cały obolały, lecz nie złamałem ani jednej kości, a wiedziałem, że sińce się w końcu zagoją. Znacznie więcej niepokoju budził stan dziewczyny. Leżała na ziemi z zamkniętymi oczyma. Gdyby zginęła, musiałbym odnaleźć Świątynię Stalowego Pióra sam.

– Yumeko. – Odgarnąłem z jej twarzy kilka czarnych kosmyków i zauważyłem spływającą po skroni strużkę krwi. Żołądek zmienił mi się w lodowaty supeł. – Hej! – Potrząsnąłem ją za ramię. – Wstawaj!

Jęknęła i uniosła nieznacznie powiekę.

– Umarliśmy?

Przepełniła mnie osobliwa ulga, a chłód w trzewiach zniknął w jednej chwili.

– Nie – mruknąłem, z trudem wstając na nogi – ale Kazekira jest gdzieś w pobliżu. Musimy.. – Urwałem, bo nagle zrozumiałem, co znajduje się u wylotu wąwozu.

– Tatsumi? – Yumeko pozbierała się i podźwignęła z ziemi. – Widzisz ją? Gdzie...

Wyciągnąłem rękę za plecy i chwyciłem dziewczynę za ramię. Palec wolnej dłoni przyłożyłem do ust. Umilkła, spojrzała na mnie, a potem popatrzyła tam, gdzie ja, i również to zobaczyła.

Koryto wyschniętej rzeki kończyło się mniej więcej czterdzieści jardów od nas czarnym, ziejącym wylotem jaskini. Na kamieniach u wejścia połyskiwały bielejące kości, w środku kłębiły się dziwne, mroczne opary.

Yumeko zachłysnęła się i przycisnęła dłoń do usta, jakby przypomniawszy sobie właśnie przestrożę z tabliczki. „Strzeżcie się Kiba-samy”.

Melodyjny śmiech i powiew wichru oznajmiły przybycie wiedźmy. Zawisała nad nami, spowita furkocącymi włosami i połami szaty.

– Och, nie, nie, nie, Kage-san – zawołała przenikliwym głosem. – Dokąd się wybierasz? Nie odbyłam tak dalekiej podróży po to, by zobaczyć, jak odpełzasz w dal niczym złękniony gryzoń. – Przeniosła spojrzenie na pieczarę i zaczerpnęła głęboko powietrza. – Kiiiba-samooo! – zawołała tak donośnie, że aż się skrzywiłem. Okrzyk odbił się echem od ścian rozpadliny, falujące u wylotu jaskini tumany zawirowały żywiej. – Zbyt długo już śpisz! Zbudź się, zbudź! Przyprowadziłam przyjaciół, byś miał się z kim bawić!

Z czarnej otchłani popłynął niski, dudniący warkot. Yumeko aż się wzdrygnęła.

– Tak, właśnie tak! – podjęła Kazekira. – Kiba-samo, niedźwiedziu, wyjdź do nas! Spałeś tak długo, że na pewno umierasz z głodu! Chodź, zobaczysz, kto wpadł z wizytą!

Doleciał nas ochrypy ryk i odgłos ciężkich kroków, od których zadrżała ziemia. Zrezygnowany spojrzałem na wylot pieczary i wypełniający go olbrzymi, porośnięty sierścią kształt. Hakaimono warknął z uciechy. Ryk potężnego stworzenia poruszył ścianami rozpadliny.

– Kiba-sama – wyszeptała Yumeko, gdy demon zwrócił ku nam wygłodniałe, gorejące czerwonym ogniem ślepią. Niedźwiedź z Suimin Mori był dwukrotnie większy od swych zwyczajnych współbraci, miał szerokie barki i zakończone ostrymi pazurami łapy, pod którymi pękały kamienie. Ze skołtunionego futra sterczały połamane strzały i włócznie. Bestia uniosła się na tylne nogi.

– Yumeko – rzuciłem, nie odrywając wzroku od masywnej sylwetki przeciwnika – trzymaj się za mną. Znajdź sobie jakąś kryjówkę i nie wychodź, dopóki nie będzie bezpiecznie.

– Chyba nie chcesz walczyć z tym gigantem?

– Nic mi nie będzie. – Opuściłem dłoń na rękojeść miecza i natychmiast poczułem pulsującą ekscytację i żądzę mord. – To moja praca.

Dobylem Kamigoroshi. Gdy ostrze ujrzało światło dnia, zamknięty w nim demon błyskawicznie nabral sił. Yumeko zaczęła się cofać, a Kiba-sama ryknął i rzucił się do ataku, dopadając mnie dwoma zamaszystymi susami. Skoczył, lecz usunąłem się na bok i cios mocarnej łapy zmielił jedynie kilka kamińców. Niedźwiedź odwrócił się pospiesznie, zadziwiająco zwinnie jak na tak ciężką istotę, i ponownie wziął zamach. Uskoczyłem przed morderczymi pazurami i ciałem mieczem. Ostrze wgryzło się w sierść potwora głęboko, ale kiedy odskoczyłem, stwierdziłem, że na boku przeciwnika zostało jedynie zadrapanie. Hakaimono warknął z frustracji.

A niech to, futro jest zanadto zbite, zrozumiałem. Żeby zadać rozstrzygający cios, muszę podejść bliżej.

Kiba-sama zaniósł się rykiem i poderwał na tylne łapy. Gdy opadł, rzuciłem się szczupakiem w bok, unikając spadającego cielska i śmierci pod kilkoma tonami mięśni, kości i tłuszczu. Przeturlałem się, wstałem i sięgnąłem po jedyny *kunai*, jaki udało mi się zachować po stracie konia. Mgnienie później cisnąłem sztylet w demona. Trafiłem niedźwiedzia prosto w czoło, lecz stalowy czubek odbił się od grubej czaszki i nóż spadł na ziemię. Udało mi się jedynie bardziej rozżłościć bestię.

Monstrum znów ryknęło i przystąpiło do szarży. Spiąłem się, gotów do skoku. Kiedy jednak stwór zbliżył się na kilka kroków, do wąwozu wpadł potężny podmuch wiatru i poczułem uderzenie w plecy, po którym pozostał palący żywym ogniem ślad. Zachwiałem się i tylko cudem uniknąłem rozpedzonego Kiba-samy, który wbił się w zbocze, miażdżąc kamień, rośliny i pozostawiając po sobie okazałą dziurę.

Doleciał mnie śmiech czarownicy.

– Prawie cię dopadł, Kage-san – rzuciła drwiąco, gdy zerknąłem przelotnie w jej stronę. Kiba-sama tymczasem cofał się spod ściany, kręcąc z wolna łbem i otrząsając się ze żwiru i pyłu. Wiedźma ponownie parsknęła. – Lekceważ moje *kamaitachi*, a pokroją cię na plasterki. Lekceważ Kiba-samę, a pożre cię w całości. Bardzo jestem ciekawa, jak zamierzasz... *Ite!*

Kamień rozmiarów męskiej pięści śmignął w powietrzu i grzmotnął ją w skroń. Kazekira przycisnęła rękę do głowy i spojrzała na drugą stronę wąwozu, gdzie stała Yumeko z kolejnym gotowym do rzutu pociskiem w dłoni.

– Za dużo gadasz! – rzuciła gniewnie dziewczyna, gdy wiedźma zwróciła się ku niej. – A masz strasznie drażniący głos! *Kamaitachi!* – podjęła, gdy unosząca się w powietrzu postać zeszywniała z wściekłości. – Posłuchajcie! Wiem, że nie tego chcecie! Wiem, że ona wami manipuluje, że uczyniła was sługami wbrew waszej woli. Pomóżcie nam, a zrobię, co mogę, byście odzyskały wolność.

– Milcz, szkodniku! – Czarownica ostro machnęła ręką i w wąwozie rozszalał się wichur, który poderwał Yumeko z ziemi i trzasnął nią o skalną ścianę. Dziewczyna krzyknęła, osunęła się w dół i znieruchomiała na żwirze.

Yumeko! Zacisnąłem pięść, świadomy, że nie mogę do niej pobiec. Na mojej drodze stał demoniczny niedźwiedź. Wiedźma wzgardliwie pociągnęła nosem i odwróciła się od leżącej bezwładnie dziewczyny.

– Niech się wam nie wydaje, że rozumiecie, co nas łączy – stwierdziła. – *Kamaitachi* należą do mnie i to się nie zmieni, bez

względu na to, co sobie myślicie.

Kiba-sama przypuścił jeszcze jeden atak. Tym razem spróbował zapędzić mnie pod ścianę. Długi pazur świsnął nad moją głową. Odskokczyłem wzdłuż skały, lecz zauważyłem przy tym, że moje nogi poruszają się dziwnie wolno. Ogarnęła je niezwykła słabość, a kiedy upadłem, moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Niedźwiedź rozdziawił paszczę i skoczył. Ciąłem prosto w kwadratowy pysk. Demon zaskowyczał i cofnął się raptownie, a z nosa popłynęła mu krew.

– O-ho-ho! Widzę, że postanowiłeś nie sprzedać skóry za bezcen, Kage-san – skomentowała ze śmiechem Kazekira. – A przy okazji, jeśli czujesz się nieswojo, nie przejmuj się, proszę. To tylko trucizna moich łasic. Właśnie zaczęła cię paraliżować. Za kilka minut nie kiwniesz nawet palcem. Podziękuj Kiba-samie za to, że tak cudownie pomógł moim *kamaitachi*. Gdyby nie on, nie podeszłyby do ciebie tak blisko.

Trucizna. A niech to! Rzeczywiście traciłem czucie w nogach, przez co nie mogłem się swobodnie poruszać. Dziwne mrowienie ogarnęło też opuszki moich palców. Kiba-sama ruszył ku mnie czujnym krokiem, krew i wstęgi śliny ciągnęły się mu z pyska ku ziemi, w ślepiach płonął obłęd. Hakaimono szalał, co sił bijąc w barierę mej świadomości, domagał się, bym go wypuścił.

Pozwól! – wściekłe echo wypełniało mi czaszkę. Inaczej zginiesz. Otwórz umysł!

– Nie! – wymamrotałem przez zęby i uniosłem miecz. – Jeszcze nie.

Niedźwiedź skoczył z kolejnym kaleczącym uszy rykiem. Tym razem nie rzuciłem się w bok, lecz zacząłem się cofać, unikając pazurów i kłapiących szczęk, odgryzając się w miarę możliwości uderzeniami miecza. Śmiech czarownicy wciąż wypełniał wąwóz. Smagnięcie wiatru rozcięło mi nogę. Zachwiałem się i padłem na plecy. Demon rzucił się na mnie natychmiast, gotów przegryźć moje ciało na pół.

Teraz, Hakaimono!

Fioletowe płomienie trysnęły z ostrza, uwidaczniając wyryte w stali symbole. Zapłonęły przed ślepiami niedźwiedzia jaskrawą bielą i oślepienie stworzenie odskoczyło z pomrukiem niepokoju. Przepełniła mnie moc, wypalająca z mojego kruchego, ludzkiego ciała wszelką słabość. Warknąłem i skoczyłem na Kiba-samę. Wybiłem się z jego grubej łapy i wylądowałem pomiędzy łopatkami. Spojrzałem na zjeżone odłamkami strzał i włóczni futro, po czym wraziłem miecz prosto w masywny kark.

Kiba-sama wydał z siebie ryk i stanął na dwóch łapach, szamocąc łbem na wszystkie strony, by mnie strącić. Przytrzymałem się ułamanego drzewca włóczni i zanurzyłem ostrze jeszcze głębiej, krojąc ciało wierzgającego niedźwiedzia. Kątem oka zobaczyłem w pewnym momencie dziewczynę, wciąż leżąca w bezruchu na ziemi. Zaraz potem potwór odwrócił się i na oślep pobiegł w jej stronę.

Nie tkniesz jej! Naparłem po raz ostatni i czubek Kamigoroshi wynurzył się z przedniej ścianki gardła niedźwiedzia. Kiba-sama zabulgotał i padł naprzód, bijąc o ziemię z rumorem, który rozszedł się na cały wąwóz. Potężne cielsko kilka razy zadrżało, pazury wyryły w ziemi głębokie rowy, ale ostatecznie wielki niedźwiedź z Suimin Mori sapnął raz jeszcze i zastygł na dobre.

Uwolniłem miecz i wstałem, czując dziką radość karmiącego się walką, przemocą i rozlewem krwi demona. Moje żyły wypełniały moc i adrenalina, lecz jak zawsze czułem też widmowe szpony Hakaimono drapiące mój umysł, starające się znaleźć drogę do mej duszy. Po raz kolejny zamknąłem się przed demonem i wypchnąłem go ze świadomości w mrok, tam gdzie było jego miejsce.

Kiedy zeskoczyłem z masywnego demona, nogi ugięły się pod mną, jakby przecięto wszystkie ich mięśnie. Zachwiałem się, miecz wypadł mi z odrętwiałych palców i runąłem obok Kiba-samy. W rozpadlinie rozległo się powolne, miarowe klaskanie.

– Brawo, Kage-san, brawo! – Wiedźma wiatru podleciała tak, bym mógł ją zobaczyć, i uśmiechnęła się szeroko. Leżałem na plecach i starałem się wyrównać oddech. Moja ręka spoczywała

dosłownie na szerokość dłoni od Kamigoroshi. – Walczyłeś naprawdę imponująco. Nareszcie rozumiem, dlaczego demony tak bardzo się ciebie lękają.

A niech to, nie mogę się ruszyć. Spróbowałem podeprzeć się na łokciach i doczołgać do miecza, lecz miałem wrażenie, jakby moje ciało wykuto z kamienia. Dałem za wygraną już po kilku calach. Czarownica przyfrunęła bliżej, wyłowiła z szerokiego rękawa krótki nóż i wylądowała.

– Nie bierz tego do siebie, Kage-san – powiedziała, unosząc sztylet, który zmierzał prosto w moje serce. Raz jeszcze spróbowałem się szarpnąć, otworzyłem umysł na Hakaimono, lecz myśli płynęły bardzo ospale, a obecność demona stała się ledwie wyczuwalną iskierką. – Ale muszę cię zabić szybko, zanim ustanie działanie trucizny. Jakieś ostatnie słowa?

– Kto... kto cię przysłał? – wykrztusiłem.

– Ach, obawiam się, że tego się nie dowiesz, Kage-san. – Kazekira pokręciła głową. – Nie mogę wyjawić tożsamości klienta. Muszę dbać o reputację. Zresztą nawet gdybym odpowiedziała, nic ci po tym, ponieważ zaraz odprawię twą duszę do Meido. Lub do Jigoku. Sama nie wiem, jak ocenią cię bogowie. Cóż – podniosła sztylet jeszcze wyżej – już najwyższa pora. *Sayonara*, zabójco demonów...

Ujrzałem coś czerwono-białego, rozmytego w pędzie. Yumeko wpadła na wiedźmę z boku i chwyciła ją w pasie. Obie runęły na ziemię, a starsza kobieta wydała z siebie okrzyk gniewu. Kątem oka widziałem falującą tkaninę i wymachujące ramiona. Rywalki zaczęły się szamotać.

– Złaż ze mnie, ty obrzydliwy szkodniku! – Uderzenie wichru odrzuciło dziewczynę kilkanaście jardów dalej. Upadła z głośnym jękiem. Czarownica wstała i wściekłym ruchem otrzepała rękawy. Jej oczy tchnęły czystą nienawiścią. – Jak śmiesz mnie dotykać, brudna istoto! – warknęła z paskudnym grymasem. – Zapłacisz mi za tę zniewagę! Umrzesz, błagając wrzaskiem o litość, gdy moje sługi będą cię kroić na drobniutkie kawałki. Zaczną od kostek, a głowę

zachowają na koniec! *Kamaitachi!* – zawołała, wskazując Yumeko palcem. – Zabijcie ją! Potnijcie ją powolutku! Niech posmakuje kaźni tysiąca cięć!

Wstrzymałem oddech, spodziewając się wycia wiatru i wrzasków mordowanej przez łasice dziewczyny. W wąwozie wciąż jednak panowała cisza; najśłabszy powiew nie poruszał liśćmi pobliskich krzaków. Zbita z tropu Kazekira ściągnęła brwi.

– *Kamaitachi!* – krzyknęła raz jeszcze – Bezużyteczne, leniwe łajzy! Nie słyszałyście, co powiedziałam?

– Och, słyszały. – Yumeko usiadła na ziemi. Jedną ręką trzymała się za brzuch, drugą przyciskała coś do boku. – Ale wygląda na to, że służyły ci wyłącznie ze względu na to.

Uniosła dłoń, w której zakołysała się *netsuke*, rodzaj miniaturowej rzeźby na sznurku, którym przywiązywano do pasa *obi* podróżne woreczki. Ta konkretna wyobrażała zwiniętą do snu łasicę. Na figurce zatańczyły promienie słońca. Wiedźma wiatru pobladała.

– Ktoś mi powiedział, że *kamaitachi* zawsze żyją w trójkach – ciągnęła zdyszana Yumeko. – I że są wobec siebie bardzo lojalne. Uwięziłaś więc jedną, by zmusić dwie pozostałe do służby. Groziłaś im, że jeśli nie będą posłuszne, zabijesz ich siostrę, prawda?

– Ty mała złodziejko! – Czarownica podleciała do dziewczyny, choć jej twarz miała w tej chwili barwę popiołu, a w szeroko otwartych oczach majaczył strach. – Oddawaj to! Oddaj, a pozwolę ci żyć.

Yumeko pokręciła głową i rzuciła kobiecie ponury uśmiech.

– Nikogo nie powinno się zniewalać, nawet *yokai* – stwierdziła. – Zwrócę łasicom siostrę, a one dokonają własnego wyboru.

– Nie! – wrzasnęła przeraźliwie Kazekira, gdy dziewczyna cofnęła rękę. – Przestań! Nie wiesz, co robisz!

Yumeko cisnęła figurkę w powietrze. Rzeźbiona łasica zakreśliła w locie wdzięczny łuk, zamigotała w słońcu i moment później – gdy powiał wiatr, a na tle nieba przemknęła ledwie widoczna, ciemna smuga – rozpadła się na kawałki. Przez ułamek

sekundy widziałem unoszącą się, oszołomioną *kamaitachi*. Niemal natychmiast jednak otrząsnęła się i rozplynęła w powietrznym wirze.

Truczna nareszcie przestała działać. Podciągnąłem się, ukląknęłam i chwyciłam miecz. Wiedźma zawyła i zwróciła się ku dziewczynie.

– Wścibska kretynko! – syknęła, unosząc rękę. Ponownie otoczył ją wichur. Dźwignąłem się na nogi, lecz zadrżały mi kolana i prawie upadłem. – Straciłam przez ciebie *kamaitachi*, ale nie potrzebuję tych szkodników, by cię zabić. Poszatkuje cię na plasterki swoim... Aaach!

Z grymasem bólu gwałtownie opuściła rękę, ściskając swój przegub. Na jej szerokim rękawie pojawiło się rozcięcie. Tuż przed Yumeko zmaterializowały się trzy niewielkie, porośnięte sierścią stworzonka. Spojrzały na czarownicę. Słońce zagrało na zakrzywionych ostrzach. Drobne ślepia połyskiwały złowróżbną czerwienią, wyszczerzone pyski ukazywały ostre, żółte zęby. Kazekira zaczęła się cofać.

– Nie – powiedziała, gdy powiał silniejszy wiatr i *yokai* zniknęły.
– Nie zbliżajcie się do mnie! Nie!

W powietrzu poniosł się ogłuszający pisk i czarownicę ogarnął wściekły huragan, szarpiący jej włosy i kimono. Kobieta wrzasnęła, widząc rozrywane odzienie, frunące na wszystkie strony kawałki tkaniny. Jej ciało pokryły setki skaleczeń. Yumeko skrzywiła się, odwróciła i zamknęła oczy.

Czarownica krzyczała jeszcze przez jakiś czas, lecz wreszcie wir ustał, wiatr przeszedł w ledwie wyczuwalną bryzę, a wiedźma, albo to, co z niej zostało, zakołysała się w miejscu, patrząc przed siebie przerażonymi, niewidzącymi oczyma, i padła na żwir.

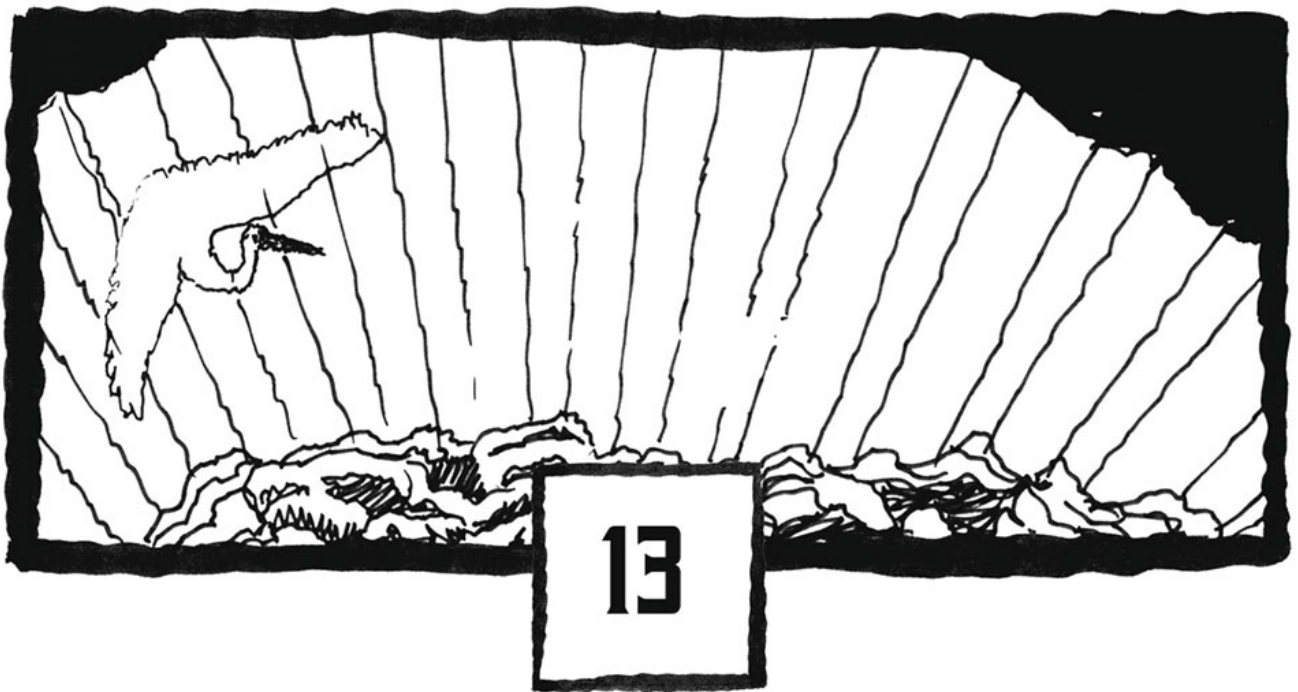
Przyglądałem się jej kilka chwil dłużej, by mieć pewność, że naprawdę nie żyje, a potem podniosłem spojrzenie na Yumeko. Dziewczyna siedziała pod ścianą wąwozu, a trzy łasice przycupnęły przed nią ze skierowanymi w tył ostrzami i bardzo poważnie się

w nią wpatrywały. Odruchowo sięgnąłem do miecza, lecz *yokai* sprawiały wrażenie spokojnych.

Yumeko rozpromieniła się i wstała, z wyraźnym rozmysłem nie patrząc na leżące w pyle, zmasakrowane ciało Kazekiry.

– Jesteście wolne – oświadczyła półgłosem i *kamaitachi* pochyliły ciekawie łebki, jakby naprawdę ją rozumiały. – Nie jesteście mi nic winne. Cieszę się, że mogłam wam pomóc.

Trójka *yokai* równocześnie złożyła mojej towarzyszce pokłon. Zaraz potem, przy wtórze podekscytowanych pisków i powarkiwania, wzbiły się spiralnie w powietrze, podrywając za sobą listki, po czym zniknęły w podmuchu wiatru.



PIEŚŃ KAMI

Wydostanie się z rozpadliny zabrało nam resztę popołudnia.

– Tatsumi, stój – rzuciłam, kiedy oddaliliśmy się kilka metrów od jaskini Kiba-samy, zostawiwszy ciała demonicznego niedźwiedzia i wiedźmy tam, gdzie padły.

Chłopak przystanął, odwrócił się i obrzucił mnie zimnym spojrzeniem fioletowych oczu. Podobnie jak przez cały czas od zakończenia walki, nie odezwał się słowem. Zignorowałam dreszcz strachu i wskazałam skinieniem jego podartą *haori*, na której poniżej łopatek rozlewała się z wolna ciemna plama.

– Krwawisz.

Zauważyłam, że łamie mi się głos. W dodatku dzwoniło mi w uszach i czułam się tak, jakbym miała zaraz zwrócić śniadanie. Wrażenie nasilało się, gdy zbyt usilnie zastanawiałam się nad pewnymi konkretnymi tematami. Spotkania z wiedźmą wiatru,

z *kamaitachi* oraz potężnym niedźwiedziem zdawały mi się nierzeczywiste, jakby to wszystko przydarzyło się komuś zupełnie innemu. Ze starcia pamiętałam jedynie przebłyski: grozę towarzyszącą upadkowi na dno wąwozu, drzenie ziemi miażdżonej łapami wyłaniającego się z pieczary Kiba-samy, chwile, gdy bezradnie przyglądałam się Tatsumiemu, odpierającemu jednoczesne ataki demona i łasic. Gniew, który poczułam, kiedy Kazekira wykorzystała moją nieprzytomność i poszczuła swe sługi na zabójcę demonów. Kamień podniosłam po to, by odwrócić jej uwagę, a wtedy przypomniałam sobie głos usłyszany poprzedniej nocy, słowa, które nieznajomy zostawił mi na pożegnanie.

„*Kamaitachi* zawsze pojawiają się trójkami. Łasice łączy niezłomna lojalność. Zapamiętaj to i zadaj sobie pytanie, dlaczego Kazekirze służą tylko dwie”.

Uświadomiłam sobie, że łasice wcale nie chcą jej służyć. Były wiedźmie posłuszne tylko dlatego, że je zmusiła, szantażując życiem jedynej na świecie istoty, o której dobro dbały.

Trzeciej *kamaitachi*.

Taką przynajmniej miałam nadzieję, bo pewności mieć nie mogłam. Ryzykowałam, lecz w jakiś sposób musiałam przecież pomóc – musiałam uwolnić łasice i ocalić Tatsumiego, który nie mógł wiecznie opierać się zarazem czarownicy i demonicznemu niedźwiedziowi. Wezwanie na pomoc łasic było jedynym, co przyszło mi do głowy. Kiedy pchnięta podmuchem zderzyłam się ze skalną ścianą rozpadliny i obolała starałam się nie zemdleć, cichutki głos, słaby i ochryply, odezwał się szeptem tuż przy moim uchu.

„Nasz brat. Wiedźma nosi go w swoim *obi*. Ocal go, a wyzwolisz całą naszą trójkę”.

Gdy podniosłam głowę, zobaczyłam rozplywającą się w powietrzu smugę brązowej sierści. Zobaczyłam też Kazekirę stojącą nad Tatsumim z wymierzonym prosto w jego serce sztyletem i groza wypełniła mi żyły. Nie miałam czasu na żadne podstępny, na lisią magię, *kitsune-bi* czy tworzenie iluzji. W głowie miałam tylko jedną jedyną myśl: muszę go uratować.

Wyłącznie dzięki szczęśliwemu przypadkowi, szamocząc się z czarownicą na ziemi, natrafiłam dłonią na niewielki, twardy przedmiot ukryty w jej pasie. I tylko przypadkiem zdołałam tę figurkę wyszarpnąć, kiedy mnie odrzuciła. A to, co wydarzyło się potem... Wspomnienie wciąż sprawiało, że żołądek podchodził mi do gardła. Nie żałowałam tego, co zrobiłam. Gdyby tylko mogła, Kazekira zabiłaby nas oboje, a dzięki mnie *kamaitachi* odzyskały wolność. Nie zmieniało to jednak faktu, że wiedźma teraz nie żyła, posiekana na drobne kawałki przez własne łasice, a stało się to za moją sprawą.

Usiłowałam o tym nie myśleć, gdy ruszyliśmy wzdłuż wąwozu, szukając dogodnego do wspinaczki miejsca. W miarę jak opadały uśmierzające ból emocje, dawały o sobie znać ranki i siniaki pokrywające całe moje ciało. Zauważyłam też rozcięcie czarnej *haori* towarzysza i rozlewającą się po jego plecach plamę.

– Tatsumi – powtórzyłam, próbując go dogonić – zaczekaj. Jesteś ranny. Powinniśmy się tym zająć, nim pójdziemy dalej.

W pierwszej chwili byłam pewna, że nie posłucha; twarz chłopaka nadal nie wyrażała niczego, przypominała wyciosaną z lodu maskę. On jednak skinął głową i podszedł do szemrzącej pośrodku rozpadliny strużki. Sięgnął do kieszeni, uklęknął i ostrożnie wyciągnął papierowe zawiniątko, w którym czekało kilka szczypt zielonego proszku.

Podobnie jak przedtem, zmieszał specyfik z paroma kroplami wody, dzięki czemu otrzymał znajomą mi już pastę. Wtem zamarł, jakby nagle coś zrozumiał.

– Yumeko – zaczął z wahaniem, ledwie słyszalnym szeptem. Podeszłam, żeby lepiej usłyszeć, i nachyliłam się. – Nie mogę... sam nie dosięgnę rany. Czy mogłabyś może...?

Dopiero po chwili dotarło do mnie, o co prosi.

– O... o... – zająknęłam się. – Oczywiście. – Nieśmiało sięgnęłam po balsam, starając się zignorować fakt, że kiedy zetknęliśmy się palcami, wszystkie mięśnie wojownika stężały. – Masz może bandaż?

Podał mi rolkę białej tkaniny, po czym odwrócił się i bezceremonialnie wyplątał ramiona z luźnej koszuli i bluzy, które opadły mu wokół pasa. Całe szczęście, że siedział tyłem do mnie i nie zauważył, że moje policzki rozgrzały się niczym zbyt długo stojący na piecu imbryk. Mnisi w świątyni często ćwiczyli bądź medytowali z obnażonymi torsami, więc widok męskiej piersi nie był dla mnie nowiną. Duchownych jednak znałam bardzo dobrze, tak dobrze, że nawet przez moment nie myślałam o ich nagości. Kage Tatsumi... To zupełnie inna sprawa. Promienie popołudniowego słońca muskały szerokie ramiona i plecy, podkreślając napiętą skórę i twarde, sprężyste mięśnie.

A także blizny. Dziesiątki starych szram, pokrywających gęstą siatką barki i grzbiet. Niektóre zdążyły zniknąć niemal bez śladu, inne były głębsze i widać je było wyraźniej. Ostatkiem sił powstrzymałam się i nie przeciągnęłam dłonią po trzech równoległych bliznach, zbiegających pionowo po jego prawej łopatce. Zadrżałam, kiedy dotarło do mnie, że musiały je zostawić czyjeś pazury.

Otrząsnęłam się i cofnęłam rękę. Łasica pozostawiła cienkie, proste rozcięcie sięgające od ramienia po dolne żebra. Z rany ciekła już krew, plamiąc koszulę.

Zwilżyłam w strumyku kawałek szmatki, zawahałam się i wstrzymując oddech, obmyłam krawędzie rozcięcia. Tatsumi pochylił się, wsparł dłonie na kolanach i skłonił głowę. Nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, nie drgnął mu żaden mięsień, nawet kiedy zaczęłam czyścić samą ranę i potem, gdy delikatnie wtarłam w nią zieloną maź. Muskuly miał napięte, niczym ze stali, jakby spodziewał się, że lada moment wbiję mu coś prosto w odsłonięte mięso. Choć może po prostu panował w ten sposób nad bólem. Przypomniałam sobie, co powiedział w zajeździe, i konsternację, z jaką zareagował na moje protesty. I to pytanie – czy nigdy nie karano mnie za okazywanie słabości.

Po skończonym zabiegu owinęłam mu pierś i ramię bandażem. Krzywiąc się, odruchowo zacisnęłam je mocno.

– No dobrze – stwierdziłam, siadając na piętach. – Myślę, że to wystarczy.

– *Arigatou* – mruknął po chwili zastanowienia, jakby wciąż czekał na coś mniej przyjemnego. Kiedy ból nie nadszedł, naciągnął koszulę i *haori*, nadal bez najdrobniejszego grymasu. Ponownie pomyślałam o pokrywających ciało chłopaka bliznach. Wiedźma nazwała go zabójcą demonów. Ciekawe, dlaczego tropił i zabijał tak niebezpieczne istoty?

– Tatsumi. – Wiedziałam, że wypytywanie tego wybuchowego, niebezpiecznego wojownika nie jest najlepszym pomysłem, ale nie umiałam się pohamować. – Z wieloma demonami walczyłeś?

– Tak.

– Robisz to z zemsty? – Moje myśli uleciały ku *oni*, masakrującemu mnichów, zostawiającemu po sobie jedynie śmierć i zniszczenie. Krew zawrzała mi w żyłach. – Polujesz na nie, bo wyrządziły ci krzywdę? Czy jakiś demon zamordował twoją rodzinę?

– Nie.

– Więc... dlaczego?

– Yumeko. – Głos chłopaka nie był surowy, gniewny ani groźny. Był za to tak beznamietny, że po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Tatsumi uklęknął przodem do mnie i przeszył fiołkowym spojrzeniem.

Miecz złożył obok siebie, zaciśnięte w pięści dłonie oparł na udach i pochylił głowę. Przyglądałam się temu w niemym zdumieniu.

– Wybacz mi – podjął z głęboką powagą, zupełnie jakby zwracał się do jakiegoś *daimyo*, a nie do prostej wieśniaczki. – Uratowałam mi życie, lecz nie mogę odpowiedzieć na twoje pytania. Złożyłem przysięgę tajemnicy, a gdybym ją złamał, klan ukarałby mnie za nieposłuszeństwo. Proszę, wybierz inny sposób, w jaki mógłbym spłacić swój dług.

– Tatsumi-san... – zaczęłam, czując budzące się w sercu wyrzuty sumienia. Czegoś takiego nie spodziewałam się zupełnie. – Ja... Nie

jesteś mi nic winien – rzuciłam, ale on wciąż trwał pochylony, z utkwionym w ziemi wzrokiem. – Przecież ratowałam nas oboje.

– Gdyby nie ty, wiedźma by mnie zabiła. – Beznamiętny głos, ani jednego ruchu. – Kodeks Klanu Cienia wymaga odpłaty. Życie za życie. Będę twoim dłużnikiem, dopóki nie ureguluję rachunku.

– Dobrze. – Skinęłam głową, kiedy dotarło do mnie, jak doniosła jest to deklaracja.

Mistrz Isao opowiadał mi o zwyczajach samurajów, o tym, że kodeks jest dla nich wszystkim, samą esencją życia. Lekceważenie bądź całkowite zignorowanie honorowego długu stanowiło niewybaczalną zbrodnię i mogło się skończyć śmiercią winowajcy albo samobójstwem okrytego niesławą wojownika.

– Przyjmuję twoją obietnicę, Tatsumi – dodałam. – Będziesz moim dłużnikiem, dopóki nie ocalisz mi życia.

Chłopak pokłonił mi się raz jeszcze, po czym poszliśmy dalej przez rozpadlinę, milcząc oboje.



Wieczorem, kiedy ostatecznie zostawiliśmy wawóz za sobą, rozpadał się deszcz. Skrzywiłam się i zacisnęłam zęby, czując uderzenia spadających z koron drzew kropli. Natychmiast zmokły mi włosy, nasiąkły ubrania. Tatsumi szedł dalej przed siebie, zupełnie niewzruszony chłodem i ulewą. Z żalem pomyślałam o swoim stożkowym kapeluszu i *mino*, przeciwdeszczowej pelerynie ze słomy, które zostały w zniszczonej świątyni.

Deszcz nie ustawał. Niekiedy słabł i z chmur sączyła się już tylko zimna mżawka, lecz padało bez przerwy. Gdy zaczęło się ściemniać, schroniliśmy się pod starym, łukowato sklepionym mostem. W pobliżu rosła para dębów i pod kamiennym przęsłem wilo się kilka krętych, sękatych korzeni. Przysiadłam na jednym z nich i patrzyłam na Tatsumiego, który wykopał w ziemi dziurę,

naniósł do niej gałęzi i w jakiś sposób zdołał rozniecić nieduży ogień. Trzaskające wesoło płomienie odpędziły ziąb i z westchnieniem ulgi powitałam falę ciepła, w której zaczęłam ogrzewać wilgotne dłonie.

– Masz – rzucił półgłosem chłopak i wcisnął mi do ręki ryżową kulkę.

Wymamrotałam podziękowanie, a on usiadł po drugiej stronie ogniska i zapatrzył się w żar.

W ciemności coś zalśniło i poczułam, jak włoski na karku stają mi dęba. Wyteżyłam wzrok i ujrzałam niewielką, bladozieloną postać rozmiarów mojego kciuka. Obserwowała mnie z oddalonego o kilka stóp korzenia. Stworzenie miało głowę nakrytą okrągłym kapeluszem grzyba, pod którym migotały czarne jak smoła oczy.

Tatsumi zauważył, na co patrzę, i sięgnął do miecza.

– Nie – powstrzymałam go gestem. – To *kodama*, *kami* drzewa. Nie robi nam krzywdy.

Wojownik odprężył się, cofnął dłoń z rękojeści.

– Dobry wieczór – przywitałam się z uśmiechem. Malutki *kami* pochylił głowę, nieprzerwanie się we mnie wpatrując. – Wybacz nam, proszę. Jesteśmy podróżnymi. Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy twojemu drzewu?

Kodama nawet nie mrugnął. Obserwował mnie jeszcze przez chwilę, po czym podszedł bliżej i wskoczył na kamień. Zauważyłam, że jego oczom brakuje źrenic. W powietrzu poniósł się cichy dźwięk, przypominający szelest listowia na wietrze.

– Rozumiem. – Skinęłam głową. – Dobrze. Będziemy trzymać się szlaku i nie zdepczemy żadnych młodych pędów. Masz moje słowo.

– Potrafisz rozmawiać z *kami*. – To nie było pytanie, aczkolwiek w głosie Tatsumiego pojawiła się nikła nuta zdumienia. – Jak to możliwe?

– Mnisi mnie nauczyli – wyjaśniłam. Naturalnie nie była to cała prawda. Widziałam świat duchów – *kami*, *yokai*, *yurei* i całą resztę nadnaturalnych istot – odkąd sięgałam pamięcią. Na tym polegała jedna z zalet, lub przekleństw, urodzenia się jako pół-*kitsune*. Mnisi

natomiast nauczyli mnie rozróżniać niezliczone rodzaje zamieszkujących Iwagoto duchów.

Istniało dziewięć Wielkich Kami, obdarzonych imionami bóstw, czczonych w całej krainie: Jinkei, bóg miłosierdzia, Doroshin, bóg podróźnych i tak dalej. *Kami* pomniejsze były duchami natury i żywiołów. Istniały dosłownie wszędzie, w ziemi, na niebie i w każdym miejscu pomiędzy. Nikt nie miał pojęcia, ile jest *kami* na świecie. Odnosząc się do nich wszystkich, niektórzy posługiwali się wyrażeniem „osiem milionów bóstw” i na tym poprzestańmy.

Poza *kami* istniało wiele innych dziwnych, magicznych stworzeń. Na przykład *yokai*, nazywane czasem potworami lub *bakemono*. Potrafiły zmieniać postać i posiadały nieco czarodziejskich zdolności. Tu najlepszymi przykładami są *tanuki*, *kamaitachi* i – rzecz jasna – *kitsune*. *Yurei* z kolei były niespokojnymi duchami wędrującymi po świecie śmiertelników. Zaliczały się do nich: *zashiki warashi*, *onryo*, *ubume* i jeszcze inne. Istniały nawet potworne, karmiące się ludzkim mięsem rośliny oraz garstka istot niepasujących do żadnej kategorii. Jak widać, lista bogów, duchów i potworów nie miała końca. Niemniej, mimo że część *yokai* była groźna, a niektóre *yurei* zachowywały się bardzo złośliwie, wszystkie te stworzenia pozostawały równoprawnymi mieszkańcami Ningen-kai, dziedziny śmiertelników, i z tego względu należał się im szacunek.

Inaczej niż demonom – *amanjaku* i straszliwym *oni*, takim jak Yaburama. Te przybywały z Jigoku, świata zła i zepsucia, i w dziedzinie ludzi nie było dla nich miejsca.

– Mistrz Isao i pozostali mnisi darzyli *kami* głęboką czcią – opowiadałam. – Starali się żyć w harmonii ze wszystkimi żywymi istotami. Najbardziej uduchowieni też byli w stanie zobaczyć *kami*, a nawet od czasu do czasu z nimi rozmawiali. Ja mam chyba po prostu wrodzony talent.

– Czy to dlatego posłuchały cię *kamaitachi*?

– No... niezupełnie. To ja posłuchałam ich.

Do pierwszego *kodama* dołączył przyjaciel. Po chwili między korzeniami pojawiła się następna trójka, a jeden zmaterializował się na skraju ognia. Wkrótce otoczyły nas dziesiątki maleńkich *kami*. Siedziały na gałęziach i kamieniach i wpatrywały się w nas poprzez strugi deszczu. Otoczył nas szmer, jakby wiatr poruszył naraz setkami zeschniętych liści.

Tatsumi, widząc coraz liczniejsze duchy, patrzył w bezruchu, lecz wyraźnie się spiął. Byłam pewna, że najchętniej znów sięgnąłby po miecz.

– Czego one chcą? – zapytał.

– Hmm... – Przymknęłam na moment oczy, próbując skupić się tylko na jednym głosie. Język *kami* drzew był trudny do zrozumienia, nawet gdy nie mówiły wszystkie jednocześnie. – Powoli. – Uniosłam rękę. – Wolniej i po kolei. Teraz nie rozumiem żadnego z was. Równie dobrze mogłabym starać się usłyszeć kroplę w wodospadzie.

Leśny szmer ustał. *Kodama* stojący na kamieniu podszedł i odezwał się, co brzmiało, jakby ktoś potarł listkiem o pień.

– Chcą wiedzieć, czy jesteś powiernikiem Kamigoroshi – przetłumaczyłam. – I czy to ty zabiłeś dzisiaj Kiba-samę.

Tatsumi pokiwał głową i powiódł wzrokiem po otaczającym nas, przyglądającym się z drzew tłumku.

– Nie miałem wyboru – odparł spokojnym głosem, nie chełpił się, nie tłumaczył. – Gdybym mógł, uniknąłbym tej walki, lecz Kiba-sama był gotów zabić nas oboje.

Kodama ponownie się rozgadały, jakby wiatr przeganiał po piaszczystej drodze tysiące liści. Co było dość dziwne, gdyż wiatru nie było. Wreszcie szelest ucichł i do ogniska podeszła trójka *kami*. Ten w środku niósł ze sobą liść, który trzymał za łodyżkę niczym flagę. Oblicza duchów były maleńkie i niewyraźne, czułam jednak, że sprawa jest niezwykle poważna. *Kodama* zbliżyły się do chłopaka i ukloniły, a ten w środku uniósł liść wysoko w kierunku zabójcy demonów.

– Co to ma być? – spytał nieufnie Tatsumi.

– Podarek – powiedziałam zaskoczona, nasłuchując paplaniny duchów. – Okazuje się, że Kiba-sama już dawno temu stracił duszę, oddając się zachłanności i głodowi – przekładałam opływające mnie, łaskoczące lekko uszy szepty opiekunów drzew. – Ostatecznie przestał być niedźwiedziem, a stał się nienaturalną, nieczystą istotą. Nawet gdy spał, bijące z jego cielska miazmaty grozy dawały się we znaki wszystkim żywym stworzeniom. W lesie Kiba-samy nie śpiewały ptaki, zwierzęta bez przerwy trwożnie kryły się w ostępach, a ludzie rzadko zapuszczali się w te strony. Strach dusił całą okolicę, lecz teraz, kiedy pozwoliłeś niedźwiedziowi odpocząć, las może rozkwitnąć ponownie. Ten liść oznacza, że stałeś się przyjacielem lasu – ciągnęłam, na co Tatsumi ostrożnie odebrał prezent i podniósł go do oczu. Listek zaświecił w półmroku zielonym, pulsującym blaskiem. – Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebować pomocy *kami*, wyszezcz swą prośbę na wiatr, który poniesie wiadomość do najbliższych *kodama*, a one wesprą cię, jak tylko będą potrafiły.

– Nie mogę tego przyjąć. – Oczy chłopaka zasnuł cień, pokręcił głową i opuścił rękę. *Kodama* zaszeleściły, wtórując mojemu pytaniu:

– Dlaczego?

– Zabijam demony. To mój fach. Nie zgładziłem niedźwiedzia z litości, a po to, by samemu nie zginąć. Gdyby Kiba-sama nas nie zaatakował, po prostu zostawiłbym go własnemu losowi.

– Niemniej – powiedziałam po chwili nasłuchiwania duchów – chcę, byś przyjął ten liść. Wyświadczyłeś dziś przysługę całemu lasowi, a *kami* zawsze spłacają długi. – Zauważyłam, że Tatsumi nadal się waha, więc dodałam, choć *kodama* milczały: – Naprawdę niemądrze jest odtrącać dary takich istot. Zawsze spłacają swe długi, ale też nigdy nie zapominają o zniewagach.

Chłopak ponuro pokiwał głową; ten argument zrozumiał.

– *Arigatou gozimasu* – rzekł, patrząc na najbliższego ducha, i uklonił się. – Nie jestem godzien takiego prezentu, lecz przyjmę go z wdzięcznością.

Małeńka istota również zgięła się w ukłonie, wyprostowała i odfrunęła niczym liść porwany przez wiatr. Pozostałe *kami* zniknęły między drzewami i ponownie zostaliśmy tylko we dwoje.

Tatsumi przyglądał się jaśniejącemu, mrugającemu w ciemności listkowi, po czym schował go do przytroczonej do *obi* sakiewki. Wciąż jednak siedział ze zmarszczonym nieznacznie czołem.

– Czy coś cię gryzie, Tatsumi-san? – spytałam.

– Nie. – Pokręcił głową. – Chociaż... ten liść należał się tobie. – Dopiero teraz spojrział mi w oczy. – To ty przemówiłaś do *kamaitachi*. Ty zrozumiałaś, jak można je uwolnić, by zwróciły się przeciwko wiedźmie. Gdyby nie to, oboje bylibyśmy już martwi.

– To nie była nagroda za zabicie czarownicy – przypomniałam łagodnie. – Nagroda spotkała cię za uwolnienie Kiba-samy od cierpienia i za przywrócenie w lesie naturalnej równowagi. *Kodama* nie dbają o ludzkie życie, one chcą po prostu, by ta knieja rosła zdrowo i pomyślnie. To ty zabiłeś demona, więc ich wdzięczność należy się tobie.

– Zabiłem w życiu dziesiątki demonów i *yokai* – mruknął Tatsumi ze ściągniętymi brwiami. – Możliwe, że kilka *kami* też. Ale aż do dzisiaj... nie miałem pojęcia, że z *yokai* można rozmawiać i negocjować.

– Nie wszystkie *yokai* są złe – stwierdziłam półgłosem, ze zdziwieniem czując w sercu iskierkę urazy. – Stanowią element naturalnego porządku rzeczy, podobnie jak *kami*. Czasami po prostu nie wiadomo, czego chcą, jeśli się z nimi nie porozmawia.

Przez kilka kolejnych chwil wojownik siedział w milczeniu i pogrążony w myślach wpatrywał się w ogień. Cisnęłam płomieniom kilka gałązek i przyglądając się, jak płoną, zastanowiłam się, jak by się wszystko potoczyło, gdyby Kazekira wyjawiała moją tożsamość. Czy Tatsumi siedziałby u mojego boku tak jak teraz? Czy fakt, iż ocaliłam mu życie, miałby jakiegokolwiek znaczenie, gdyby wiedział, że jestem *kitsune*? Czy może po prostu

sięgnąłby po ten swój przerażający, świecący miecz i spróbował odrąbać mi głowę?

Dopiero co przyznał, że zabił dziesiątki demonów i *yokai*. Czy to znaczyło, że mordował także *kitsune*? Według mnichów moi pełnokrwisci pobratymcy byli urodzonymi oszustami i oportunistami, lecz z rzadka tylko wyrządzali ludziom poważną krzywdę. Czy klan Tatsumiego wysłał go kiedyś, by zabił lisa? A jeśli tak, to czy sam chłopak uważał, że wszystkie *kitsune* są dzikimi, zdradzieckimi istotami, którym należy się wyłącznie śmierć?

– Jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć – podjął Tatsumi, wrywając mnie z zadumy. Podniosłam wzrok. Wciąż z chmurnym czołem patrzył zamyślony w ognisko. – Coś, co sprawi, że zanim ruszymy w dalszą drogę, będziesz musiała podjąć pewną decyzję.

Wyprostowałam się, zaskoczona, że sam z siebie chce mi coś wyznać. Od początku wędrówki unikał rozmów o sobie, swojej rodzinie i swoim klanie. Po wymęczonym wyznaniu, jakie wydobylam z niego wcześniej, obiecałam już sobie, że nie będę bardziej naciskać, że jego tajemnice powinny zostać tajemnicami na zawsze. Ostatecznie sama również co nieco przed nim ukrywałam.

– Mów śmiało – zachęciłam. – Nie spłoszysz mnie, obiecuję. No, chyba że tak naprawdę jesteś *yurei* i przez cały czas tylko udawałeś człowieka. Hmm, tylko wtedy sam nie wiedziałbyś, że jesteś duchem, prawda?

Mój towarzysz nadal patrzył w płomienie. Wyczułam, że toczy w tej chwili wewnętrzną walkę, zastanawia się – powiedzieć czy nie. Ostatecznie westchnął i pochylił się lekko naprzód.

– Za moją... za moją głowę wyznaczono pokaźną nagrodę – rzekł. – Nie zrobili tego sędziowie, żaden klan ani inna ludzka wspólnota. Nagrodę wyznaczyły demony. I *yokai*. Mieszkańcy świata duchów. Chcą mojej śmierci. Czy, ściśle rzecz biorąc, chcą śmierci powiernika Kamigoroshi.

– Dlaczego?

– Ponieważ Kamigoroshi został stworzony, by zabijać demony – odpowiedział Tatsumi. – To jedyny sens jego istnienia. Zresztą nie

tylko demony, jest też skuteczny przeciwko *yokai*, duchom, a nawet *kami*. Przeciwko wszelkim istotom, których nie można zgładzić zwyczajną bronią.

– Ach... – rzuciłam. Wiedziałam, że Kamigoroshi nie jest normalnym mieczem, lecz nie miałam pojęcia, że o nim i jego powierniku słyszeli wszyscy mieszkańcy nadnaturalnego świata. – Czy to znaczy, że gdyby nagle ze ściany wynurzył się duch i spróbował cię porwać, mógłbyś go usieć?

– Tak.

– A ogniste *yokai*? One przecież nie mają ciała. Czy Kamigoroshi zabiłby i je?

– Zabiłem kilkanaście takich.

– A *oni*?

– Tak, Yumeko. – Chłopak pokiwał głową. – Nawet *oni*, gdyby *oni* nie zabił mnie pierwszy. Ale nie o tym chciałem rozmawiać. W moim mieczu... zamknięty jest demon. Nazywa się Hakaimono i jest bardzo starym, potężnym i złym duchem. Człowiek noszący przy sobie Kamigoroshi znajduje się w nieustannym niebezpieczeństwie, gdyż Hakaimono może go opętać.

Zaczerpnęłam powoli powietrza, próbując przetrwać znaczenie słów towarzysza.

W jego mieczu mieszkał demon; to właśnie dlatego przy każdym spojrzeniu na ostrze dostawałam gęsiej skórki.

– A co by się stało, gdyby cię opętał? – spytałam cichutko.

Tatsumi zmierzył mnie lodowatym spojrzeniem.

– Jak myślisz?

Teraz to ja zapatrzyłam się w ogień, w trzaskające, rozkołysane płomienie. Przez chwilę myślałam o smutnej ironii tej sytuacji. Tatsumi nigdy jeszcze nie wyjawiał mi na swój temat tak wiele, lecz bez tych akurat informacji mogłabym się obejść.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Uratowałaś mi życie – przypomniał. – Chcę, żebyś wiedziała, z czym wiąże się wędrówka ze mną u boku. – Podniósł do światła ukryty w pochwie miecz. – Kamigoroshi jest przeklęty, Yumeko.

Podobnie jak jego powiernik. Demony i *yokai* tropią mnie nieustannie, a jeśli nas znajdą, zabiją też ciebie. A ja... nie jestem człowiekiem, któremu powinnaś ufać. Prawdę mówiąc, lepiej by było, gdybym nie składał ci tej przysięgi.

Podniosłam raptownie wzrok.

– Co ty chcesz właściwie powiedzieć, Tatsumi?

Zawahał się. Serce zaczęło mi głośno łomotać w piersi, żołądek skurczył się do rozmiarów pestki. Blask ogniska tańczył w oczach wojownika, pełgał mu na twarzy, na której odcisnął się niecodzienny wyraz rozterki.

– Przebywanie ze mną zawsze będzie niebezpieczne – rzekł wreszcie. – Zrobię, co mogę, by cię ochronić, tak jak przyrzekłem, lecz musisz wiedzieć, że zagrożą nam bardzo rozmaici wrogowie. Niektórzy z pewnością potężni. I wszyscy będą usiłowali mnie zabić. Poza tym wciąż będzie nam obojgu grozić Hakaimono. Chcę, byś była na to wszystko w pełni przygotowana.

– Tatsumi-san – zaczęłam i urwałam, świadoma tego, że muszę dobierać słowa bardzo uważnie. Nie mogłam choćby niejasno zasugerować, że mam smoczą modlitwę przy sobie. Prawdziwy cel poszukiwań demonów, czarownic i *yokai*. – Muszę odszukać mistrza Jiro – powiedziałam. – I muszę dotrzeć do Świątyni Stalowego Pióra, by ostrzec mnichów przed losem, jaki spotkał mistrza Isao i pozostałych. To mój obowiązek, a ponad wszystko... tak brzmiało ostatnie życzenie mistrza Isao. Przyrzekłam mu, że to zrobię. I mam tylko nadzieję, że demony nie dotrą do Świątyni Stalowego Pióra przede mną.

Tatsumi jakby przygasł; jako samuraj doskonale znał wagę obowiązku. A ten chłopak, zimny, twardy i niebezpieczny, nie wydawał się człowiekiem, który byłby skłonny złamać raz dane śluby.

– Złożyłam obietnicę – podjęłam. – Pójdę do tej świątyni z tobą, Tatsumi-san, lub bez ciebie. Możesz iść ze mną. Przyjemnie będzie mieć towarzysza i wcale się nie boję. Ale nie musisz z tego powodu popadać w tak posępny nastrój.

– Posępny? – Zdziwiony popatrzył mi w oczy.

Najwyraźniej o tym też nikt mu nigdy nie powiedział.

– Nie widziałam na twojej twarzy chyba nawet jednego uśmiechu – zauważyłam. – Mistrz Isao rzekłby, że masz minę jak mała, której wpadła do stawu ostatnia persymona. – Porównanie wywołało na obliczu chłopaka pełen zdumienia grymas. – Ufam ci, Tatsumi – dodałam z uśmiechem. – Moim zdaniem jesteś zbyt silny i nie pozwolisz, by opętał cię jakiś tam demon. A jeżeli martwisz się tymi demonami i *yokai*, które będą nas ścigać, to przestań. Nie jestem tak całkiem bezbronna. Na przykład wiedźmę dzisiaj udało mi się zaskoczyć.

– To prawda. – Przez twarz chłopaka przemknął cień uśmiechu.

– Czy twój mistrz Isao często przyrównywał ludzi do mała?

– Raczej rzadko. Za to ja bardzo często.

Tym razem naprawdę zachichotał, a jego śmiech zbudził w moich trzewiach motylki.

– Dobrze – podjął, niemal natychmiast poważniejąc. – Skoro tak, będziemy wędrować razem. Tak długo, jak długo będę w stanie cię chronić. Dopóki nie spłacę długu.

Kodama czuwały przy nas przez całą noc.



STRZEŻ SIĘ BEZPAŃSKICH PSÓW

Tatsumi, słyszysz? – zagaiła następnego ranka Yumeko. – Ptaki znowu śpiewają.

Zerknąłem na nią. Dziewczyna szła obok mnie z zadartą głową i wpatrywała się w korony drzew. Słońce posyłało między gałęziami ukośne promienie, kładące się na leśnym podszyciu jasnymi cętkami. Kilka niewielkich ptaków przemknęło nad ścieżką z furkotem skrzydeł. Co chwila rozlegał się świergot. Dopóki Yumeko o tym nie wspomniała, nie zwróciłem uwagi, lecz dzisiaj knieja rzeczywiście wydawała się mniej mroczna i przytłaczająca. Być może leśne duchy naprawdę miały rację, zabicie Kiba-samy okazało się dobrym uczynkiem.

Zatrzymałem spojrzenie na dziewczynie nieco dłużej niż zwykle. Śledziła ptasie wybryki z wdzięcznym uśmiechem na ustach. Spływające z nieba światło odbijało się od jej czarnych włosów i spływało po skórze. Z samego rana zostawiła u podnóża

jednego z dębów niewielką porcją ryżu, pożegnalny podarunek dla *kodama*. Choć teraz, w jasnym blasku dnia, aż trudno było uwierzyć, że jeszcze nocą las roił się od *kami*.

Otrząsnąłem się. Poprzedni wieczór był nierzeczywisty pod wieloma względami. Wciąż nie w pełni rozumiałem, co sprawiło, że opowiedziałem jej tak wiele o sobie i swoim mieczu. Kage nie byłiby zadowoleni, że dziewczyna poznała prawdę o Hakaimono, ale mieliśmy przecież razem wędrować i uznałem, że trzeba ją przynajmniej uprzedzić. Wczoraj mocno mnie zadziwiła, i to dwukrotnie – raz, ratując mi życie, i drugi, kiedy porozmawiała w moim imieniu z *kami*. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że stanę się dłużnikiem młodej wieśniaczki, która nie przeszła nawet podstawowego szkolenia w sztukach walki. W Yumeko kryło się jednak znacznie więcej, niż początkowo sądziłem. A kiedy okazało się, że prawda o Kamigoroshi jej nie odstraszyła, ogarnęło mnie coś przypominającego... ulgę.

Głęboko w sercu wyczułem zimne rozbawienie Hakaimono. „Tak” – zdawał się szeptać. „Trzymaj ją przy sobie. Wmawiaj jej, że nie ma się czego obawiać. Że zawsze ją obronisz. Tym słodsza będzie chwila, kiedy ją w końcu zgładzisz”.

Zmrożony natychmiast odciąłem się od demona, lecz nawet gdy zniknął, wciąż słyszałem echo jego śmiechu, wyraźne świadectwo popełnionego przeze mnie błędu. Opowiedziałem Yumeko o demonach, *yokai* i innych istotach, które marzą o mojej śmierci, ale prawdę mówiąc, najbardziej powinna drżeć przed tym, kogo ma tuż obok.

Po kilku godzinach marszu wyszliśmy z lasu i ponownie ruszyliśmy brzegiem rzeki, wijącej się tutaj leniwie dnem doliny na północ, w kierunku stolicy. Wedle moich szacunków od granicy klanowych terytoriów dzielił nas jeszcze dzień drogi, może dwa. A na granicy spodziewałem się problemów. Dokumenty podróżne straciłem wraz z koniem, a nowych zdobyć – legalnie bądź nie – nie mogłem. Wieśniakami nikt się nie przejmował, więc Yumeko mogła spać spokojnie, lecz samowolnie wędrujący samuraj innego klanu

stanowił powód do niepokoju. Bez odpowiednich dokumentów istniało spore prawdopodobieństwo, że zostanę zatrzymany na posterunku straży granicznej. I nie można było przewidzieć, jak długo będą się potem zastanawiać, co ze mną począć. Ponieważ nie mogłem do tego dopuścić, uznałem, że trzeba znaleźć okreśłą drogę. Przekradanie się w pobliżu punktu kontrolnego w towarzystwie Yumeko byłoby zbyt ryzykowne.

W pewnym momencie mignęło przed nami coś błękitnego. Spojrzałem uważniej i zobaczyłem przy szlaku przydrożne schronisko. Tego rodzaju przybytki, najczęściej nieduże i drewniane budynki, spotykało się na łączących większe miasta szlakach stosunkowo często. Podróżni mogli się w nich zatrzymać, kupić gorącą strawę lub nawet wynająć pokój i odpocząć przed dalszą drogą. Wejście przesłonięte było niebieskimi zasłonami, a z okna witała przyjezdnych miniaturowa figurka *tanuki* z dzbanem sake w ręku.

– Co to za miejsce? – Yumeko zatrzymała się na środku drogi i zaczęła intensywnie węszyć. – Cudownie pachnie.

– Schronisko – odparłem. – Kto ma pieniądze, może tu coś zjeść. Ale do miasta zostało nam ledwie kilka mil, więc chyba... – Urwałem, widząc jej wielkie, pełne nadziei oczy. – Domyślam się, że znowu zgłodniałaś? – spytałem z westchnieniem.

– Swoją porcję ryżu oddałam *kami* – przypomniała błagalnym tonem. – Od rana zjadłam tylko śliwkę.

Sięgnąłem do sakiewki i bez słowa wręczyłem dziewczynie kilka miedzianych *kaeru*. Uśmiechnęła się i popędziła do okienka schroniskowej kuchni. Po chwili wróciła z dwiema miskami pełnymi parującego makaronu *soba*. Zjeść poszliśmy na stojące pod ścianą budynku ławy. Było ich kilka i nie wszystkie były puste.

Kilka miejsc dalej siedział w niechlujnej pozie samotny wędrowiec. Przed nim stała butelka sake, a w ręku ścisnął kubek. Na oko był kilka lat starszy ode mnie; miał na sobie poszarpaną kamizelkę i spodnie. Ciemnorude włosy, mimo że związane w koński ogon, i tak sprawiały wrażenie rozczochranych. Za *obi* nieznanomego

tkwił krótki miecz, a na ławce obok niego spoczywał długi łuk z drewna i onyksu. Zauważył moje spojrzenie, lekko się uśmiechnął, po czym z drwiącą miną pozdrowił mnie, unosząc kubek, i wychylił zawartość jednym łykiem.

Zignorowałem go. Takich jak on widywałem nie raz. Ronin, samuraj, który wskutek popadnięcia w niesławę bądź śmierci pana stracił cały majątek oraz wszystkie tytuły i błąka się zhańbiony po świecie. Nielicznym udawało się rozpocząć służbę u innego arystokraty, lecz większość miała się dorywczych zajęć. Najmowali się jako gwardziści lub wiedli żywot bandytów i morderców. Powszechnie uważano roninów za ludzi nieokrzesanych i pozbawionych ogłady, przede wszystkim dlatego, że porzuciwszy kodeks *bushido*, wyrzekli się wszystkiego, co było dla nich ważne, a szczególnie głęboko gardzili nimi samurajowie. Dlatego że samym swoim istnieniem przypominali o tym, co mogło każdego samuraja spotkać w dowolnym momencie życia.

Przysiadłem na skraju ławki, a Yumeko umościła się wygodnie i oddała jedzeniu. Rozmyślnie nie spoglądałem w kierunku ronina, choć przez cały czas wyraźnie czułem na sobie jego wzrok. Pociągnął kolejny łyk alkoholu, tym razem prosto z butelki. W trakcie swoich podróży doszedłem do wniosku, że istnieją dwa główne typy ludzi, po których można się spodziewać kłopotów – ci, których drażniło, kiedy się na nich patrzy, i ci, którzy czuli się urażeni, jeżeli człowiek ich ignorował. Naturalnie zdarzali się też osobnicy, którzy po prostu szukali zwady za wszelką cenę, i takich nie sposób było uniknąć. Miałem wielką nadzieję, że ten ronin nie zalicza się do ostatniej z wymienionych kategorii.

– *Oi!* – prowokacyjny okrzyk doleciał mnie ponad ławkami i nadzieja w jednej chwili prysła. Ronin z szerokim uśmiechem na twarzy przyglądał się Yumeko. – Widzę, jak patrzysz, młoda damo. Nie wiesz, że niegrzecznie jest się tak gapić?

Dziewczyna zamrugała i podniosła wzrok znad miski. Kilka nitek makaronu zwisało jej z ust.

– Przepraszam – rzuciła, pospiesznie przełykając. – Nie gapiłam się na ciebie – dodała. – Chyba że miałeś na myśli mój makaron. Ale jestem przekonana, że makaron się nie obrazi.

– Nie zwracaj na niego uwagi – poradziłem półgłosem, skupiając się na własnym posiłku. – Chce sobie po prostu pogadać.

– Słyszałem! – Ronin usiadł prosto. – To też było bardzo niegrzeczne. Gdybym nadal był samurajem, musiałbym zażądać od twojego milczącego przyjaciela satysfakcji. – Podniósł się z miejsca i natychmiast pożałowałem, że nie mam już ani jednego *kunai*. Z drugiej strony, tak czy inaczej, gdyby nieznajomy wykonał choć jeden zagrażający nam ruch, zginąłby tak szybko, że nawet by tego nie zauważył.

Hakaimono wyczuł zmianę atmosfery i lekko się poruszył. Zepchnąłem go w głąb umysłu.

Ronin tymczasem zawiesił sobie łuk na ramieniu i podszedł do nas zamaszystym krokiem. Buńczuczny, wyzywający uśmiešek nie zniknął z jego twarzy nawet na chwilę.

– Na szczęście dla was – podjął – jestem tylko zawszonym kundlem, wyzutym z honoru roninem. Nie chcecie zszargać sobie reputacji, prowadząc ze mną kulturalną rozmowę, co?

– Ronin? A kto to taki? – Yumeko, zaintrygowana i zupełnie nieprzestraszona, przechyliła głowę na bok.

Nieznajomy uniósł brew. Wyraźnie nie takiej reakcji oczekiwał.

– Ach... cóż... Ronin to... Naprawdę nie wiesz?

– Nie – odparła dziewczyna. – Przez całe życie mieszkałam w świątyni. Bardzo niewiele wiem o świecie, ale naprawdę przepraszam, jeśli cię uraziłam. Może mógłbyś mi wyjaśnić, kim są ronini, żebym już w przyszłości żadnego nie obraziła.

Nieznajomy przez chwilę po prostu wpatrywał się w nią bez słowa. Ostatecznie zachichotał i pokręcił głową.

– Najmocniej przepraszam, moja pani – powiedział i zgiął się w przesadnie głębokim, kpiącym ukłonie. – Jak już wspomniałem, jestem roninem. To znaczy, że jestem brudnym, nieokrzesanym barbarzyńcą, który wraz z honorem postradał dobre maniere.

Musisz wybaczyć, od dawna nie obracam się w wyższych sferach – dodał z wyraźną dumą, którą podkreślał uśmiech, z jakim podniósł głowę. – Spróbujmy jednak, może sobie przypomnę, jak należy się zachować. Nazywam się Hino Okame. A z kim przypadł mi zaszczyt nawiązać znajomość tego pięknego popołudnia?

– Yumeko – przedstawiła się dziewczyna. – I żadna ze mnie pani, jestem zwykłą wieśniaczką z gór. Ja też nie obracałam się w wyższych sferach.

– Och? – Ronin, nikogo nie pytając, usiadł obok niej na ławce, przez co sięgnął do rękojeści miecza. Ani Okame, ani Yumeko nie zwrócili na mój gest uwagi. – Czyli pochodzisz z gór, tak? A skąd wzięłaś się tutaj?

– Podróżujemy. Razem z Tatsumim wędrujemy do stolicy.

– Byłaś już tam?

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – Nigdy. Świat poza świątynią wydaje mi się jak dotąd bardzo... dziwny. Ale też fascynujący. – Z uśmiechem spojrzała na drogę ciągnącą się ku odległemu szczytom. – Bardzo wiele się uczę. Nie mogę się wprost doczekać wszystkiego, co mnie czeka za każdym kolejnym zakrętem.

– Hmm – prychnął pod nosem Okame. – Obawiam się, Yumeko-san, że czeka cię rozczarowanie. Po świecie krąży wielu bandytów, morderców, kłamców i złodziei. Nikomu nie wolno ufać. Z pewnością nie roninom. Widziałaś kiedyś zdziczałe psy? – Na wargi chłopaka powrócił butny uśmieszek. – Jeżeli uznają, że masz przy sobie coś do jedzenia, przyłączą się do ciebie na pewien czas, ale gdy tylko spróbujesz takiego pogłaskać, skoczy ci prosto do gardła.

Nie byłem pewien, czy wychowana w bezpiecznej świątyni Yumeko zrozumie, co ronin ma na myśli, lecz dziewczyna opuściła miskę i spojrzała mu w oczy.

– A jednak – powiedziała – słyszałam opowieści o dzikich psach, które do ostatniego tchnienia broniły na drodze nieznanego tylko dlatego, że chwilę wcześniej zamiast kamieniem rzucił w nie okruchem jedzenia.

– Dziwnymi ścieżkami krążą twoje myśli, Yumeko-san – parsknął ronin i pokręcił głową. – Założę się, że twój posepny przyjaciel jest innego zdania niż ty. – Przeniósł wzrok na mnie i zmrużył oczy. Przyjrzał się mojemu ubraniu, mieczowi i nagle w jego oczach błysnęło zrozumienie. – Daleko wywiało cię od domu, prawda, Kage? – spytał podejrzliwie. – Co robisz aż tutaj? Na terytorium Klanu Ziemi?

– Pilnuję własnego nosa.

– Oho, tajemniczy nieznajomy – rzucił ronin szyderczo i zwrócił się z powrotem do Yumeko. – Zadając się z członkami Klanu Cienia, powinnaś mieć się na baczności, lady Yumeko. Powiada się, że Kage nigdy nie kłamia, lecz nigdy też nie mówią całej prawdy.

– To chyba bardzo trudne, Okame-san. Jak można kłamać i jednocześnie mówić prawdę?

– Oni potrafią, możesz mi wierzyć.

Odstawiłem miskę i podniosłem się z ławki. Stałem przodem do ronina, który z niepewną miną siedział po drugiej stronie dziewczyny.

– Myślę, że czas już, żebyś się pożegnał – stwierdziłem półgłosem.

– Owszem, coś mi mówi, że nie jestem tu dłużej mile widziany. – Ronin zachichotał i również wstał. – Choć, przyznaję, myślałem, że święto skończy się jeszcze szybciej. – Poprawił łuk na ramieniu i wyciągnął dłoń do Yumeko. – *Sayonara*, Yumeko-san. Może spotkamy się jeszcze kiedyś na szlaku.

– Okame-san. – Wyciągnęła rękę. Coś błysnęło między jej palcami. – Proszę.

Zaskoczony ronin otworzył dłoń i Yumeko włożyła w nią miedziaka *kaeru*. Obdarowany zmarszczył brwi, oderwał wzrok od monety i spojrzał na dziewczynę.

– Co to jest? – spytał.

Uśmiechnęła się i sięgnęła po swoją miskę.

– Okruch jedzenia.

– Dziwna z ciebie dziewczuszka. – Okame pokręcił głową, lecz pieniądz zniknął w jego kieszeni, zanim jeszcze to zdanie przebrzmiało. – Ale nic to, dają, więc trzeba brać. Powodzenia w podróży, dokądkolwiek zmierzasz. Szczęście na pewno ci się przyda.

Ronin rzucił mi na pożegnanie jeszcze jeden drwiący uśmieszek i odmaszerował. Patrzyłem za nim, dopóki samotna sylwetka nie zniknęła za zakrętem. Dopiero wtedy pozwoliłem sobie wrócić na ławkę.

– Bardzo ochoczo rozdajesz moje pieniądze.

– *Gomen*, Tatsumi. – Rzuciła mi przepaszające spojrzenie. – Zwrócę ci, kiedy tylko będę mogła, obiecuję.

Wydawało się to mało prawdopodobne, więc skwitowałem sprawę wzruszeniem ramion, pewien, że już nigdy nie ujrzę swojego *kaeru*.

– Nic się nie stało. – Sięgnąłem po miskę. – Mam tylko nadzieję, że nie planujesz rozdawać majątku wszystkim roninom, jakich napotkamy na drodze do Świątyni Stalowego Pióra.

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – Ja nawet tego nie planowałam. Po prostu... tak jakoś... poczułam, że tak będzie dobrze. – Z zamyśloną miną odgarnęła włosy do tyłu. – Mistrz Isao miał takie powiedzonko. Mówił, że nawet najmniejszy kamyk, jeśli wrzuci się go do stawu, zostawi po sobie fale, które urosną i rozejdą się w niepojęty dla nas sposób. – Zawiesiła głos i uśmiechnęła się do siebie. – Oczywiście czasami obracało się to przeciwko mnie, zwykle kiedy spłatałam jakiegoś drobnego psikusa Dendze lub Nitoru. Konsekwencje stopniowo się rozrastały, sprawa wymykała się spod kontroli, w sali modlitewnej pojawiało się stado małąp, a ja musiałam przez okrągły miesiąc szorować schody. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Teraz gdy mistrza już nie ma – dodała trzeźwym, rzeczowym tonem – chcę pamiętać wszystko, czego mnie uczył. A tutaj, wydaje mi się, łatwo jest stracić z oczu to, co naprawdę ważne. Nie chcę zapomnieć o rzeczach, które trzymają mnie... przy ziemi.

Odniosłem wrażenie, że Yumeko chce powiedzieć coś więcej, lecz nie nalegałem. Dojedliśmy makaron w milczeniu, po czym wróciliśmy na szlak. Kiedy weszliśmy na drogę, zauważyłem samotną wronę. Siedziała na dachu schroniska i wpatrywała się w nas czujnym spojrzeniem.



– Tatsumi? Dlaczego nie lubisz roninów?

Zdziwiony zerknąłem na nią z ukosa. Poza schroniskiem rozciągały się wzgórza, między którymi migotały gdzieś gospodarstwa i kryte strzechą chaty. Wzniesienia pokryte były dywanami tarasowych pól ryżowych, na których krzątały się miniaturowe sylwetki chłopów. Uprawa ziemi stanowiła prawdziwy fundament całej krainy. Na drodze było cicho jak makiem zasiał i między innymi z powodu tej ciszy pytanie dziewczyny tak bardzo mnie zaskoczyło.

– Ten ronin, Okame-san – podjęła, spoglądając na mnie. – Nie wydawał się taki zły, z pewnością nie był inny niż wszyscy, choć nie każdy nazywa się psem. Jak myślisz, dlaczego tak mówił? Może lubi uganiać się za królikami? Albo ma pchły?

– Roninowie nie mają panów – odpowiedziałem. – I nie mają też honoru. Żyją okryci niesławą, dlatego wędrują to tu, to tam, imając się każdego zajęcia, jakie tylko znajdą.

– Ja też nie mam pana – zauważyła dziewczyna. – I nie mam honoru. Czy to znaczy, że i ja jestem okryta niesławą?

– Nie. Ty jesteś chłopką.

– A chłopci to coś innego niż roninowie?

– Chłopi nie mają honoru od urodzenia – stwierdziłem. – Nikt nie oczekuje, że będą się zachowywać jak wyżej postawieni. Roninowie są byłymi samurajami, którzy stracili wcześniejszą pozycję.

– Ale pozostają tymi samymi ludźmi co przedtem, czyż nie? – W głosie Yumeko wychwyciłem konsternację. – Przecież stracili jedynie pana i tytuł. To chyba nie powinno wpływać na to, kim są w głębi serca.

– Czasami jednak wpływa.

– W jaki sposób?

– Kodeks jest dla samuraja całym życiem – odparłem. – Honor określa samuraja w pełni i bez reszty. Obowiązek wobec pana, rodziny i klanu pozostaje dla niego wszystkim. Bez tego samuraj staje się niczym, traci wartość. I tak właśnie postrzegają ich wszyscy dokoła.

– Mówisz ciągle o samurajach jak o kimś innym – spostrzegła dziewczyna. – Ale ty przecież też jesteś samurajem, prawda, Tatsumi?

Na to pytanie nie odpowiedziałem, a ona – na szczęście – nie domagała się wyjaśnień.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, opuściliśmy dolinę i zagłębiliśmy się w kolejny na trasie las, z każdą chwilą gęstniejący. Krzewy, pnie powalonych drzew i wijące się korzenie wylewały się na dukt, zmuszając nas do nieustannego kluczenia. Cedry, sosny i drzewa kamforowe wyciągały ponad naszymi głowami przesłaniające niebo gałęzie, powietrze stało się ciężkie i nieruchome.

W pewnym momencie, gdy wspinaliśmy się właśnie po omszałych, kamiennych schodkach, biegnących pomiędzy wielkimi, włóchatymi pniami, dziewczyna nagle przystanęła.

– Coś jest nie tak – szepnęła, omiatając las nieufnym spojrzeniem. – Jest zbyt cicho. Ptaki przestały...

Odchyliłem się gwałtownie do tyłu. Wypuszczona spomiędzy drzew strzała śmignęła w powietrzu i utkwiała w pniu kawałek dalej.

Otoczyły nas hałaśliwe śmiechy. Z zarośli wyłoniły się jakieś sylwetki i zablokowały schody powyżej i poniżej nas. Szóstka oprychów z łukami i szerokimi, radosnymi uśmiechami na twarzach. Na stopniu nad nami stanął potężny, łysy osiłek. Na

mięśnistym ramieniu dźwigał sporą drewnianą maczugę, a rozchylone wargi ukazywały krzywe, pożółkłe zęby.

– Kage-san – zagaił, gdy u jego boków wyrosło dwóch niższych mężczyzn, którzy wymierzyli do nas z łuków. – Jak miło, że wreszcie się zjawiasz – dodał ospałym, chropowatym głosem.

Przepełniła mnie żądza krwi. Hakaimono obudził się do życia, zachęcony bliskością tak wielu wrogów. Pragnienie zdobycia broni stało się niemal przemożne. Potężnym wysiłkiem woli odsunąłem dłoń od miecza i popatrzyłem na herszta bandy.

– Czy my się znamy? – spytałem, z trudem panując nad głosem.

– Nie. – Wielkolud zachwiał się lekko, jakby był podпиты, i skinął na kogoś za naszymi plecami. – Ale Okame opowiedział nam o was wszystko, mój przyjacielu. Czuję się jak na rodzinnym spotkaniu.

– Okame? – Zdumiona Yumeko zerknęła przez ramię i ujrzała u podnóża schodów ronina. Strzałę trzymał opartą o cięciwę. Oblicze miał ponure, nie spojrzał jej w oczy. – Co robisz?

– Krążył po trakcie, wyszukując dogodnej ofiary – odpowiedziałem dziewczynie, jednocześnie oceniając nasze położenie. Dwóch łuczników powyżej, trzech innych bandytów za nami, w tym ten zdradziecki ronin. – Kiedy się rozstaliśmy, pobiegł prosto do swoich kamratów i dał im znać, dokąd wędrujemy.

– Czy to prawda, Okame-san? – spytała cicho Yumeko, nadal wpatrując się w ronina.

Mgnienie ciszy, po którym ronin uniósł głowę i rozciągnął usta w butnym uśmiechu.

– Nie wolno ufać brudnym psom roninom, Yumeko-chan. – Wyszczrzył zęby, a jego towarzysze zarechotali. – Ci ludzie nie mają nawet odrobiny honoru. Następnym razem pozwól, by twój niecierpliwy samuraj uciął mi głowę i zostawił na słońcu, żeby zgniła.

– Dobrześ to ujął, psie – zaśmiał się wielkolud. – Cóż, wszyscy wiemy, jak wygląda sytuacja. – Spojrzał na mnie i poklepał się potężną maczugą w dłoń. – Samuraju, daj nam wszystko, co macie przy sobie, a pozwolimy wam żyć. Jeśli odmówisz, zabijemy was,

a łup i tak wpadnie w nasze ręce. Aha, kobietę też zostaw. Dotrzyma mi nocą towarzystwa.

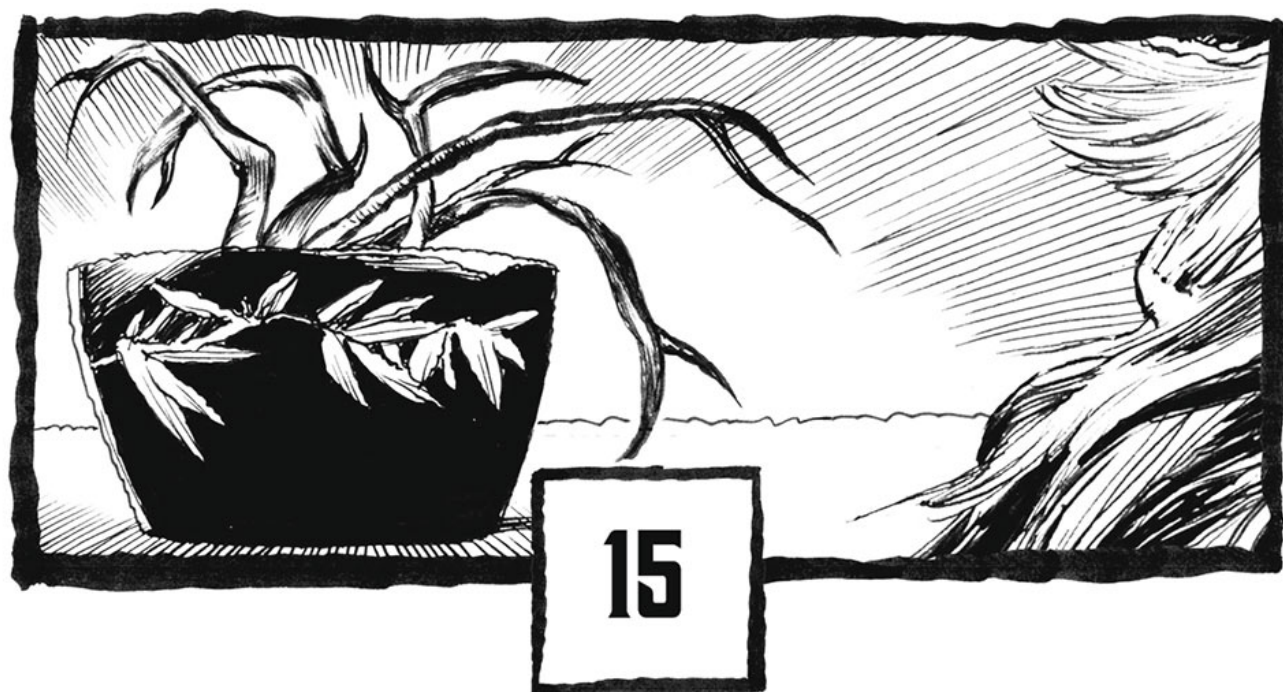
– Co? – Stojący za nami Okame zrobił krok naprzód i zmierzył osiłka niechętnym spojrzeniem. – Tego nie było w planie, Noboru! – zawołał ponad schodami. – Mówiłeś, że zabierzemy im pieniądze i puścimy wolno.

– Zmieniłem zdanie. – Herszt oprychów przeciągnął mięsistym językiem po zębach. – Wcześniej nie wiedziałem, jaka urocza służka z nim podróżuje. A baby nie miałem już od bardzo, bardzo dawna.

– Pewnie dlatego, że wyczuwają twój zapach na milę. – W głosie ronina pojawiła się nuta odrazy. – Nie, na to się nie pisałem. Jestem brudnym kundlem, ale na pewno nie wieprzem w rui.

Przez twarz wielkoluda przebiegł nieprzyjemny grymas.

– Jeśli dobrze pamiętam – wycedził – to ja jestem przywódcą tej grupy, a ty jesteś zawszonym zerem, któremu z czystej litości pozwoliliśmy do nas dołączyć. Jeśli nie podoba ci się ta robota, Okame, droga wolna. Ale kobieta zostaje. Chłopcy... – Rozejrzał się po kamratach, po czym skinął na mnie. – Samuraja zabijcie, a dziewczkę dajcie mnie.



CO POTRAFIĄ OKRUSZKI

Gdy wszystkie strzały skierowały się na Tatsumiego, przestraszyłam się nie na żarty. Wojownik przykucnął, a jego dłoń zawisała nad rękojeścią miecza. Czekał na ich ruch. Poczułam w palcach łaskotanie lisiej magii i zacisnęłam pięści. Na ułamek sekundy świat wstrzymał oddech, cisza rozciągała się niczym napinana cięciwa.

– A, mam to gdzieś.

Okame obrócił się i wbił strzałę prosto w gardło stojącego obok bandyty. Niemal natychmiast wyszarpnął ją i ułożył palce na cięciwie.

Kiedy zaskoczony mężczyzna upadał z głośnym bulgotem, ronin poderwał broń i posłał pierzasty pocisk w powietrze. Jeden ze stojących nad nami, mierzących do Tatsumiego łuczników runął na plecy. Strzała utkwiała mu w brzuchu.

– Okame! – ryknął herszt zbójców. – Ty brudny zdrajco! Jak śmiesz zwracać się przeciwko nam?

– Zapomniałeś już? Jestem przecież roninem, psem bez krztyny honoru! – zawołał w odpowiedzi Okame i z dzikim uśmiechem na twarzy strzelił, celując w swojego niedawnego przywódcę. Noboru błyskawicznie poderwał maczugę i grot stuknął głucho o drewno. – Takim nie wolno ufać!

– Zabić go! – zagrział Noboru, spoglądając na swojego ostatniego łucznika, po czym ruszył w dół schodów. – Zabij ich obu!

Zaszemrało uwalniane z pochwy ostrze Tatsumiego. Chłopak skoczył naprzeciw pędzącemu ku nam oprychowi. Przestraszyłam się, widząc, jak Noboru bierze potężny zamach, unosząc maczugę oburącz. Uderzył, mierząc w głowę mojego towarzysza. Tatsumi uchylił się, a maczuga z głośnym trzaskiem gruchnęła o drzewo, pozostawiając w nim widoczne wgłębienie. Kamigoroshi błysnął mi w oczach i rozciął wydatny brzuch Noboru, bandyta zawył z wściekłości i bólu.

Ktoś za mną przeklął i odwróciłam się. Okame leżał prawie na samym dole i desperacko osłaniał się uniesionym łukiem przed uderzeniami miecza. Stojący nad nim bandzior ciął i rąbał niemal na oślep. Tatsumi wciąż był zajęty hersztem, a poza nim nie było w pobliżu nikogo. Zrozumiałam, że jeśli ja nie pomogę roninowi, może skończyć martwy.

Wyciągnęłam *tanto* i przez chwilę wpatrywałam się w drżące mi w dłoni ostrze. Jeszcze nigdy nie użyłam tego noża przeciwko żywej istocie, lecz teraz lisia magia ani *kitsune-bi* nie mogły mi pomóc. Zbiegłam cicho po schodach, uniosłam sztylet i cięłam atakującego Okame bandytę w ramię. Zawył i odskoczył, przesywając mnie przy tym gniewnym spojrzeniem. Ronin zdążył w tym czasie usiąść na stopniu, wyszarpnąć zza pasa miecz i przebić przeciwnikowi pierś.

– *Arigatou*, Yumeko-san – wydyszał i wstał na równe nogi. Na policzku miał głębokie rozcięcie, a z rany na piersi sączyła się krew,

ale mimo wszystko zdobył się na szeroki uśmiech. – Taki okruch to ja... Aaach!

Drgnął i skrzywił się. Wypuszczona z góry strzała trafiła go w plecy. Runął naprzód, lecz złapałam go w locie i zachwiałam się pod jego ciężarem. Ronin uchwycił się mnie kurczowo, poluzowując przy tym moją *furoshiki*. Z chusty coś wypadło – błyszczący, lakowany futerał stuknął o stopień i zaczął powoli toczyć się w dół.

Moje serce zmieniło się w sople lodu. Błyskawicznie przydepnęłam zgubę, by nie stracić zwoju. W ramionach miałam ciężkiego, posapującego ronina. Oboje chwialiśmy się niebezpiecznie na krawędzi schodów.

– Okame-san – wykrztusiłam, próbując uchronić nas przed upadkiem i jednocześnie starając się nie wypuścić futerału. – Dobrze się czujesz? Możesz stanąć sam?

Ronin uniósł głowę i zadrżał.

– *Kuso* – zaklął i cofnął się o krok. – Niech to licho! Powinienem być być mądrzejszy... Po co się odwróciłem...

Zawirował, podrywając jednocześnie łuk, i strzelił. Ostatni przeciwnik, mierzący właśnie w Tatsumiego, drgnął. Pocisk przeszył mu krtań i bandyta runął tyłem między krzewy. Ja tymczasem pochyliłam się i poderwałam ze schodów zwój, który natychmiast schowałam za pazuchę. Chyba się udało! – pomyślałam, prostując grzbiet. Mam nadzieję, że Tatsumi był zbyt zajęty i nie zauważył.

Usłyszałam donośny hałas. Noboru padł na twarz, uderzył o stopnie i poturlał się na sam dół. Jego puste, szkliste oczy patrzyły prosto na nas. Szkarłatna linia przecinała mu twarz dokładnie na dwie połowy. Przebiegł mnie dreszcz i odwróciłam wzrok.

Okame znowu cicho zaklął.

– Tak... – dodał z westchnieniem i zatoczył się. – To było... niesamowicie głupie.

Upadł na kamienie.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Tatsumiego. Zabójca demonów stał u szczytu schodów i z niebywałym spokojem strzepywał krew z ostrza. Kiedy na mnie spojrzał, ujrzałam smugi

czerwieni plamiące mu twarz i przedramiona. W gasnącym świetle dnia jego fiołkowe oczy zdawały się świecić. Spięłam się, niepewna, czy powie coś na temat zwoju bądź tego, co spotkało ronina, lecz on po prostu wsunął broń do pochwy i odwrócił się.

– Nic tu po nas – stwierdził półgłosem. – Chodźmy, zanim na dobre się ściemni.

Obejrzałam się na leżące u stóp schodów ciało ronina i poczułam skurcz żołądka.

– Tatsumi, zaczekaj – zawołałam. Gdy rzucił na mnie okiem, skinęłam na zakrwawioną, bezwładną sylwetkę. – Co z Okame?

– A co ma być? – Zdziwiony wojownik przechylił głowę na bok.

– Nie możemy go tak zostawić. Jest ranny.

– Próbował nas zabić – przypomniał zwięźle Tatsumi. – Pomógł zorganizować na nas zasadzkę. Ci bandyci nie okazaliby nam litości.

– Ale ostatecznie przecież nam pomógł – zauważyłam. – Nie jest taki jak tamci. Myślę, że nie powinniśmy porzucać go na pewną śmierć. – Widząc, że mój towarzysz wciąż nie zamierza nic zrobić, zmarszczyłam czoło. – Dobrze. Idź dalej sam. Potem spróbuję cię dogonić.

Wróciłam do leżącego ronina, uklękłam i obejrzałam ranę. Strzała sterczała pod lewą łopatką, w samym środku ciemnego kręgu krwi, rozlewającej się z wolna po jego kamizelce.

– Jeśli chcesz ją wyciągnąć, zrób to szybko – doleciał mnie słaby głos. Potrząsnęłam głową i spojrzałam Okame w twarz. Miał otwarte oczy, patrzył na mnie. – Złap jak najbliżej grotu i pociągnij zdecydowanie, z całej siły.

– Nie zaboli?

– Nie, skąd. Bez przerwy wyciągam sobie takie strzały i nic. Czasami nawet sam do siebie strzelam, tylko po to, by móc je wyjąć.

– Naprawdę? – Otworzyłam szeroko oczy. – To w ogóle możliwe? Czy to jakiś rodzaj ćwiczenia? A próbujesz też unikać strzał lub chwytac je w locie?

– Yumeko-san, to była ironia. – Ronin rzucił mi zboląły uśmiech. – Oczywiście, że zaboli. Ale jakoś trzeba ją wyjąć. Nie mogę

paradować po świecie ze strzałą w plecach. Wyjmij ją i zostaw mnie tu. Poradzę sobie.

Spojrzałam na długą, sterczącą z jego ciała strzałę i zawahałam się. Przez chwilę zbierałam się na odwagę. Wreszcie kiedy wzięłam głębszy oddech i wyciągnęłam rękę, padł na nas cień. Podniosłam wzrok w tym samym momencie, w którym Tatsumi nachylił się, zacisnął dłoń na strzale i płynnie ją wyszarpnął.

– Aaach! – zaskowyczał ronin i poderwał się na kamiennym podłożu. – *Kuso!* Au! – Ciężko dysząc, obrzucił nas wściekłym wzrokiem. – Kage, no niech cię przeczyści. Jeśli chcesz mnie zabić, to po prostu obetnij mi łeb. Nie musisz mnie dręczyć fałszywą nadzieją.

Tatsumi cisnął zakrwawioną strzałę na ziemię.

– Gdybym chciał cię zabić, byłbyś martwy już teraz – oświadczył beznamiętnie. – Gdzie wasza kryjówka?

– Nasza kryjówka? A co? – Okame usiadł z jękiem i rozmasował sobie szczękę. – Ci tutaj to już cała szajka. Nie zarzniesz dziś nikogo więcej.

– Pytam, bo zaraz zemdlejesz, a nie chcę dźwigać twojego krwawiącego cielska aż do miasta. – Tatsumi zaplótł ramiona na piersi i popatrzył w górę schodów. – I dlatego, że Yumeko nie chce, byś umarł tutaj. Jeśli obozowaliście niedaleko, lepiej chodźmy tam. Domyślam się, że macie podstawowy sprzęt. Wodę, bandaże...

– Wodę tak. Bandaże... Hm, na pewno coś się znajdzie.

– To ty zostajesz? – Zaskoczona spojrzałam na wojownika.

– Przecież obiecałem, prawda? – odrzekł, patrząc na mnie nieodgadnionymi, zimnymi oczyma barwy fiołków. – Powiedziałem, że zaprowadzę cię do stolicy, a poza tym nie spłaciłem jeszcze długu. Więc... – Pochylił się raz jeszcze, płynnym ruchem poderwał ronina z ziemi i zarzucił sobie jego rękę na barki. Okame zaskomlał i zaklął, po czym powiedział coś o tym, że umarli mają znacznie lepiej. Tatsumi puścił uwagę mimo uszu. – Idziemy. Miejmy to z głowy.



YOKAI W BLASKU KSIĘŻYCA

Gdyby zobaczył cię w tej chwili mistrz Ichiro, pobiłby cię do nieprzytomności.

Zignorowałem tę myśl i skupiłem się na utrzymywaniu w pionie siebie i broczącego krwią ronina. Przeszliśmy przez las i w końcu dotarliśmy do kryjówki bandy. Rozbójnicy urządzili się w opuszczonej chacie drwali, całkiem niedaleko miejsca, w którym nas napadli. Domek był stary i w opłakanym stanie; ganek się zapadał, barierki zbutwiały, a strzecha straszyla dziurami. Wnętrze prezentowało się jeszcze gorzej. Podłoga zarzucona była cienkimi materacami, brudnymi miseczkami, pałeczkami do jedzenia, kośćmi do gry, kocami i pustymi butelczynami po sake. W powietrzu dało się wyczuć pot, mocz i specyficzną woń zbyt wielu niemytych istot ludzkich, przebywających w tym samym ciasnym pomieszczeniu. Rzuciłem ronina na jedno z obskurnych posłań i wyszedłem na ganek, kwestię opatrzenia rannego pozostawiając dziewczynie.

Oparłem się o niepewnie wyglądający słupek i spojrzałem w niebo. Poza drzewami migotało zachodzące słońce, a w mojej głowie wirowały ponure myśli.

Co ty wyprawiasz, Tatsumi? Trzeba go było zabić. Pozwoliłeś wmieszać się w sprawę kolejnemu już postronnemu, a jeżeli dowie się o tym klan, prawdopodobnie i tak każą ci pozbawić go życia.

W normalnych okolicznościach taki rozkaz nie wzbudziłby we mnie najmniejszego oporu. Śmierć samotnego ronina, człowieka pozbawionego honoru, nie znaczyła nic dla nikogo na całym świecie. Z wyjątkiem, być może, Yumeko. Z niepojętych dla mnie powodów dziewczyna poczuła do pohańbionego bandyty sympatię. Ewentualnie po prostu była niezdolna nie wtrącać się w nie swoje sprawy. Gdyby klan polecił mi zabić ronina, wykonałbym rozkaz tak samo jak zawsze. Jego śmierć jednak mogła dziewczynę przestraszyć, Yumeko mogła zrezygnować z mojego towarzystwa, a na to również nie mogłem sobie pozwolić.

Westchnąłem. Misja z każdym dniem stawała się coraz bardziej skomplikowana. Najpierw ona, teraz ten ronin. Właśnie dlatego – uświadomiłem sobie – klan zawsze przestrzegał cię przed przywiązaniem. Jesteś bronią; inni sprawią jedynie, że zaczniesz działać ospale i wątpić w słuszność poleceń. Pamiętaj, twoja lojalność należy się Kage, nikomu innemu.

W chacie rozległ się zbolący okrzyk, po którym nastąpiły pospieszne przeprosiny Yumeko. Pokręciłem głową. To bez znaczenia. Ronin stanowi jedynie tymczasowy kłopot. Już wkrótce wrócimy na szlak i ruszymy do stolicy, a potem do Świątyni Stalowego Pióra. Musiałem tylko uzbroić się w nieco cierpliwości i wytrzymać.

Zafurkotały skrzydła i na barierce przysiadła wielka, czarna wrona. Ptak opuścił łeb i ciekawie przyjrzał się przegniłemu drewnu, po czym obrzucił mnie spojrzeniem czarnych, okrągłych jak koraliki oczu. Wpatrywaliśmy się w siebie, nieruchomi w gęstniejących cieniach wieczoru. Odniosłem wrażenie, że za

niemrugającymi ślepiami ptaszyska kryje się ktoś inny, że wyszedł mnie tutaj wzrok zupełnie innej istoty.

Wziąłem do ręki swój ostatni *kunai* i rzuciłem. Nóż wbił się w barierkę tuż pod wroną, która zakrakała z oburzeniem i wzbiła się w powietrze. Popatrzyłem za nią, kiedy odleciała ponad dach, a później poszedłem po sztylet.

– Tatsumi.

Na ganku pojawiła się Yumeko, stare deski zaskrzypiały cicho pod jej krokami. Wsunąłem *kunai* z powrotem do rękawa.

– Oczyszczałam już i opatrzyłam ranę – powiedziała. – Możemy ruszać, ale Okame mówi, że do najbliższego miasta mamy stąd pół dnia marszu. Nie wiem, czy nie powinniśmy przenocować tutaj i pójść dalej dopiero jutro rano.

Stłumiłem w sobie westchnienie i zerknąłem na blady krąg księżycy, który pokazał się właśnie między gałęziami.

– Skoro tak chcesz.

Dziewczyna pokiwała głową. Minę miała taką, jakby spodziewała się z mojej strony protestów.

– I nie spróbujesz zabić Okame-sana? – spytała.

– Nie.

– Ani nie znikniesz w środku nocy?

– Nie.

– A nie przywiążesz go do drzewa ze słodkimi ziemniakami na uszach, żeby oblaży go wiewiórki?

– ...nie.

– Och, no to mi ulżyło. Chociaż to ostatnie byłoby nawet zabawne. Pewnego razu Denga zagroził, że tak mnie ukarze. Raczej nie mówił poważnie, ale Denga-san był zagadkowym człowiekiem.

– Oi, Kage. – Ronin wysunął głowę z chaty, uśmiechnął się i zakołysał w powietrzu niedużą białą butelką. – Napijesz się? – spytał. Nie wydawało się, by rany w czymkolwiek mu przeszkadzały. – Parę dni temu zwinęliśmy z wozu dwie pełne beczki, a nie cierpię, kiedy porządna sake idzie na zmarnowanie. No chodź, naleję ci. – Rozciągnął usta w wilczym uśmiechu, delikatnie spiczaste kły

załśniły w mroku. – Przynajmniej tak odwdzięczę ci się, że nie odrąbałeś mi łba i nie zostawiłeś go na słońcu, by zgnił.

– Podziękuję. – Odwróciłem wzrok. Picie sake, *shochu* i innych trunków było zwyczajem, na który moi mistrzowie patrzyli niechętnie. Zmysły musiałem mieć bez przerwy czujne i w pogotowiu, nieprzytępione wskutek pijaństwa.

– Jak sobie życzysz. – Ronin wzruszył ramionami. – Twoja strata. Ale picie w samotności przynosi pecha. Chodź, Yumeko-chan, okazuje się, że będziemy musieli to wypić we dwoje.

– Nigdy wcześniej nie piłam sake – przyznała Yumeko, kiedy ich kroki rozległy się w chacie. – Mnisi raczyli się nią przy wyjątkowych okazjach, ale mnie nie poczęstowali ani razu. Denga mówił, że prędzej podpali swój pokój, niż da mi choć kroplę.

– Oho, alkoholowa dziewczyna – rzucił radośnie ronin. – Cóż, nie masz nawet pojęcia, co dotąd traciłaś, Yumeko-chan. Ci twoi mnisi to jacyś straszni nudziarze. Nie pozwalają kobiecie pić sake. Toż to zbrodnia. Trzeba temu koniecznie zaradzić.

Skryłem twarz w dłoniach i pożałowałem, że obiecałem Yumeko, że go nie zamorduję. Chronienie tej dziewczyny stawało się stopniowo coraz większym wyzwaniem. Nie żebym się tym przejmował, ale była piękna i naiwna, a ronin, co sam skwapliwie przyznawał, nie miał krztyny honoru. Nagle oczyma wyobraźni ujrzałem przerażającą scenę: oni razem, sami we dwoje, upojeni sake.

Zacisnąłem zęby, odepchnąłem się od barierki i ruszyłem do chaty.

Kątem oka wychwyciłem jakiś ruch. Po ganku toczyła się w moją stronę mała, biała piłeczka.

Nie cofnąłem się, choć opuściłem dłoń ku rękojeści miecza. Nie byliśmy sami. Być może w domku zagnieździł się *yurei* lub inny nieukojonny duch, aczkolwiek nie byłem pewien, jak to możliwe, by nie spotkali się z nim bandyci, którzy raczej nie zamieszkali tu wczoraj. Piłka turlała się bezszelestnie po deskach, a potem skręciła

i spadła w trawę. Podskoczyła i potoczyła się dalej, aż wreszcie uderzyła o sąg narąbanego na opał drewna i zatrzymała się.

Zza pni wyszło dziecko. Podniosło z ziemi piłeczkę i uśmiechnęło się do mnie. Chłopiec, pięcio- lub sześćioletni. W czarnej szacie o zbyt długich rękawach, ze stopami wsuniętymi w drewniane sandały *geta* i z głową nakrytą wystrzępionym, słomianym kapeluszem. Na czole miał tylko jeden kosmyk włosów, poza tym czaszka sprawiała wrażenie wygolonej na łyso, a dominującą cechą twarzy było jedyne, wpatrzone we mnie, olbrzymie oko.

Poczułem, że budzi się Hakaimono. To nie było dziecko. Chłopiec nie był nawet człowiekiem. *Yokai*, choć nieszczególnie groźny. Wyczułem rozczarowanie demona; istota nie była niebezpieczna, więc nie istniał powód do walki. Z drugiej strony nie mogłem przecież tak po prostu zignorować niespodziewanie pojawiającego się *yokai*. Tym bardziej że przysiadł właśnie na pieńku, jakby czekał specjalnie na mnie.

– *K-konbanwa*, Kage-san – przywitał się *yokai* i uklonił, kiedy podszedłem bliżej. Samotne, jasno połyskujące oko wciąż obserwowało mnie spod runda starego kapelusza. – Prawda, jaki przyjemny wieczór?

– Kim jesteś?

Jednooki chłopiec skrzywił się, słysząc mój beznamiętny ton. Odchylił się lekko i wyjął z kieszeni niewielkie, pociągnięte laką pudełko. Uniósł wieczko i zobaczyłem wewnątrz białą kostkę tofu. Wyciągnął puzderko w moją stronę.

– Podarek – powiedział, ponownie się kłaniając. – Dar pokoju. Na dowód, że nie mam niecnych zamiarów. Jestem nic nieznaczącym okruchem, marną drobiną, niewartą uwagi i czasu wielkiego zabójcy demonów. Proszę więc, nie każ Kamigoroshi ucinać mi głowy.

Hakaimono prychnął z odrazą; najwyraźniej i on nie sądził, by *yokai* wart był zabijania.

– Jeśli naprawdę nie przychodzisz w złych zamiarach, nie musisz się mnie obawiać – oświadczyłem, nawet nie patrząc na tofu.
– Niemniej pokazałeś się dopiero, kiedy zostałem sam, więc domyślałam się, że masz ku temu jakiś powód. Czego chcesz?

– Kage-san jest zaprawdę miłosierny. – *Yokai* usiadł prosto. Spomiędzy jego warg wysunął się tłusty, czerwony język, owinał się wokół tofu i wciągnął je do ust. Chłopiec osuszył twarz rękawem i podniósł na mnie to samotne, wielkie oko, w którego spojrzeniu nie było nic z dziecięcej niewinności. – Mój pan przysłał mnie z wiadomością dla wielkiego zabójcy demonów z klanu Kage – rzekł.
– On wie, czego poszukujesz, i uprzedza, że Kage-san powinien postępować bardzo ostrożnie, gdyż nie jest jedynym, który tej rzeczy pragnie. Złodzieje, mistycy, *daimyo*... wielu zna legendę o smoczej modlitwie i wielu przeczesuje właśnie całą krainę w poszukiwaniu fragmentów zwoju.

Smocza modlitwa? Czy to właśnie ją kazała mi odnaleźć lady Hanshou? Od początku rozumiałem, że zwój musi być ważny. Skoro *daimyo* Klanu Cienia wysłała mnie po ten pergamin, musiała się spodziewać kłopotów nadprzyrodzonej natury. Podejrzanie to potwierdzała obecność hordy demonów, na którą natknąłem się pod świątynią. To jednak nie mówiło mi nic na temat samego zwoju. Smocza modlitwa, pomyślałem. Starożytny relikwiarz o niezmiernej mocy? Bezcenna, zaginiona od niepamiętnych czasów święta księga? Ciekawe, czym jest w istocie i dlaczego ktoś wysłał po nią horde pomniejszych demonów, a wedle Yumeko nawet i *oni*, najstraszliwszy koszmar Jigoku.

Napomniałem się w duchu. Nie moja sprawa. Moją misją było zdobyć zwój bez względu na to, czym jest i kto inny go szuka.

– Posłuchaj przestrogi mojego pana, Kage-san – podjął *yokai* poważniejszym tonem. – Większość śmiertelników, którzy wędrują w poszukiwaniu smoczej modlitwy, wie zbyt mało, by stanowić zagrożenie. Znają fragmenty legendy, może nawet dosyć, by zebrać kawałki zwoju, lecz ich wiedza pozostaje niekompletna. Są jak dzieci wśród nocy, nieświadome i zbłąkane. Jest jednak ktoś, przed kim

winien mieć się na baczności nawet zabójca demonów. Ktoś, kto mocą dorównuje potężze Kamigoroshi. – Chłopczyk zerknął na mój miecz, jakby bał się, że go obrazi, po czym obniżył głos do szeptu. – Dawno temu krążyła po świecie istota będąca prawdziwym przekleństwem na kartach historii Iwagoto. Jego imię po dziś dzień budzi strach i pogardę. W ciągu wieków nazywano go rozmaicie, większość jednak wspomina go jako Genno, Władcę Demonów.

Uniosłem głowę, zainteresował się również Hakaimono. Obaj słyszeliśmy już to imię. Władca Demonów był powszechnie znaną, przerażającą postacią z najciemniejszej epoki naszej krainy. Przed czterema wiekami, w samym środku najbardziej brutalnej wojny domowej, jaka kiedykolwiek przetoczyła się przez Iwagoto, czarnoksiężnik zwany Genno stworzył armię demonów i nieumarłych, na której czele zamierzał wziąć szturmem stolicę i obalić cesarza. Ponieważ Iwagoto było wówczas krajem na skraju rozpadu, strategia Genno niemal przyniosła owoce. Cesarz zginął, a jego miasto prawie upadło. Wtedy jednak klany nareszcie odłożyły swe waśnie na bok i wystąpiły zjednoczone, by stawić czoła większemu niebezpieczeństwu. Niezliczone rzesze ludzi straciły życie, mało brakowało, by Iwagoto przestało istnieć, lecz połączona siła wielkich rodów mimo wszystko przeważała. W wielkiej, decydującej bitwie Genno został zabity, hordy nieumarłych spotkała klęska, a demony uciekły i rozpiezchły się na wietrze. Ale na tym historia się nie kończy. Nowy cesarz nie zadowolili się zgładzeniem Władcy Demonów. Kazał jego zwłoki skrócić o głowę, tułów i kończyny spalić, a czerep zapieczętować głęboko w świętym grobowcu, by czarnoksiężnik nie mógł nigdy powrócić i ponownie zagrozić krainie.

Tak przynajmniej głosiła teoria.

Spojrzałem na *yokai* i zmarszczyłem brwi, przez co aż się skulił.

– Władca Demonów został zabity czterysta lat temu – powiedziałem powoli, chcąc mieć pewność, że dobrze zrozumiałem sugestię jednookiej istoty. – Czy próbujesz mi powiedzieć, iż zdołał w jakiś sposób powrócić?

– Tak uważa mój pan. – Chłopiec pokiwał głową. – Wiedźma wiatru, ta, która napadła was wcześniej, służyła właśnie jemu. To znaczy Genno-samie, nie mojemu panu. Mój pan nie zadaje się z takimi jak ona. – Malec zmrużył oko, jakby sama myśl o tego rodzaju znajomości wzbudziła w nim odrazę. – Lecz Genno ma na swoich usługach wiele demonów, *yokai*, a nawet ludzi, a teraz kiedy szuka zwoju, zechce wyeliminować wszystkich konkurentów. Czyli ciebie, zabójco demonów. Oraz tych, którzy będą przy tobie.

Pomyślałem o Yumeko, o jej promiennym spojrzeniu i radosnym uśmiechu, o świetle gasnącym w jej oczach, gdy demon rozszarpie ją na strzępy. To dziwne, ale ta wizja poruszyła mnie w sposób, jakiego nie doznałem jeszcze nigdy wcześniej.

– Po co mi o tym mówisz? – spytałem. – Skoro zwój ma tak wielką moc, dlaczego twój pan nie chce go dla siebie?

– Nigdy nie kwestionuję rozkazów pana – odparła jednooka istota, nieco przy tym błędąc. – Jedyne celem mojego istnienia jest służyć mu najlepiej jak potrafię. Przykazał mi ostrzec zabójcę demonów z klanu Kage, że Genno poszukuje smoczyczej modlitwy i że zamierza cię zabić. Tak też uczyniłem. Wykonałem zadanie. – Zamrugnął swoim gigantycznym okiem i spojrzał na mnie nerwowo. – A teraz... mogę odejść, prawda? Nie zabijesz mnie, kiedy się odwrócę?

Czuwający w moim umyśle demon zaczął mnie kusić. Namawiał, bym rozplątał tego żalostnego stwora, ledwie stanie do mnie plecami, tłumaczył, że byłby to stosowny koniec dla tego słabeusza. Zdławiłem te żądze i skinąłem głową w stronę linii drzew.

– Idź – powiedziałem, na co *yokai* natychmiast poderwał się z pieńka i zaczął się cofać, nie pokazując mi pleców. – Lecz przekaz swemu panu, by nie wchodził mi w drogę. Jeżeli zagrozi mi lub moim towarzyszom podróży, zabiję go. To jedyne ostrzeżenie, jakie ode mnie dostanie. Jeśli spotkamy się na szlaku jako wrogowie, użyję miecza bez chwili wahania.

Wielkie oko otworzyło się jeszcze szerzej i zajaśniało na dziecięcej twarzy niczym maleńki księżyc.

– O-oczywiście, Kage-san – wydukał *yokai*, wciąż cofając się krok za krokiem. – Z pewnością przekażę. – Zerknął w stronę lasu i zrozumiałem, że ten jego „pan” jest gdzieś blisko i z pewnością słyszał całą naszą rozmowę. – Więc cóż – dokończył, szykując się, by czmychnąć pod osłonę zarośli. – Do-dobranoc, Kage-san. Mam nadzieję, że już nigdy się nie spotkamy.

Uciekł – smuga bieli w blasku księżyca – i rozplynął się w cieniu między drzewami. Wyczułem rozzalenie Hakaimono, który wolałby, bym przeciął chłopcu kręgosłup, lecz zignorowałem je i uważnie zapatrzyłem się w mrok. Tak, była tam jakaś istota. Ów tajemniczy pan, który uznał za stosowne dać mi znać, że czarnoksiężnik Genno powrócił do Ningen-kai, z pewnością nie uczynił tego z wrodzonego altruizmu. Kimkolwiek był, uczestniczył w grze, której i ja stawałem się często elementem. Lady Hanshou, cesarz, klanowi *daimyo* – oni byli generałami, głównymi graczami, którzy posiadali pełnię informacji. My zaś byliśmy jedynie rozstawionymi na planszy bierkami. Ja byłem pionkiem w partii *shogi*, przesuwany przez niewidzialne siły; szedłem tam, dokąd mnie kierowano, nie mając pojęcia dlaczego. Tak było od zawsze.

A teraz wszystko wskazywało na to, że do gry zasiadł jeszcze jeden generał. Genno, Władca Demonów, powrócił i z pewnością zamierzał się zemścić. Lady Hanshou powinna się o tym dowiedzieć. Pozostali *daimyo* i cesarz także, lecz obowiązek kazał mi dbać przede wszystkim o pomyślność własnego klanu. Postanowiłem, że gdy tylko zdobędę zwój, powrócę i przekażę jej wszystko, czego się dowiedziałem. Mogłem również opowiedzieć o tym Jomei bądź innemu słudze Klanu Cienia, gdyby spotkał się ze mną po drodze i wypytał o postępy. Na razie jednak musiałem kontynuować misję, a demonami martwić się tylko, jeżeli spróbują mnie zatrzymać.

Odwróciłem się i cały czas czując na sobie obce spojrzenie, wróciłem do chaty.

Zajrzałem przez uchylone drzwi do wewnątrz. Ronin siedział sam na środku izby, otoczony rupieciami i opróżnionymi butelkami. Yumeko leżała w kącie na kocu, tuląc do siebie wypchaną słomą

poduszkę. Obok dziewczyny spoczywała do góry dnem zapomniana czararka. Ronin zauważył, na co patrzę, i pokręcił głową.

– Pół butelki i przysnęła z nosem w czarce – westchnął z pełnym żalu uśmiechem. – Naprawdę wielka szkoda. Miałem nadzieję, że po pijaku okaże się przymilna. Cóż, chyba przyjdzie mi pić dzisiaj samemu. A może się jednak przyłączysz, Kage-san?

– Nie. – Wysunąłem Kamigoroshi zza pasa, usiadłem w drzwiach i oparłem się plecami o futrynę, blokując wejście własnym ciałem. Gdyby jakiś *yokai* spróbował wdrzeć się do chaty, musiałyby przejść przeze mnie.

– Zmuszasz mnie, bym polewał sam sobie jak prostak. – Ronin pociągnął nosem, napełnił swoją czarękę, po czym napił się wprost z butelki. – Tyle dobrego, że po psach takich jak ja nikt nie oczekuje wykwinnych manier. No dobrze, Kage-san... – Sięgnął drugą ręką po czarękę i zmierzył mnie uważniejszym spojrzeniem. – To jak to jest z tobą i Yumeko? Należysz do Klanu Cienia, nie jesteś roninem, dlaczego więc wędrujesz z jakąś chłopką aż do stolicy? Bo widzę, że nie jest twoją służącą. Żaden członek wielkiego klanu nie pozwoliłby tak sobą rządzić wieśniaczce. – Uniósł naczynko do ust, przechylił i przełknął zawartość. – A może dziewczyna jest tak naprawdę księżniczką w przebraniu, a ty jej strażnikiem? – Uśmiechnął się szeroko. – To by sporo tłumaczyło. Na przykład fakt, że rozstawia cię po kątach, a ty spełniasz wszystkie jej kaprysy, na przykład pomagając przypadkowo poznanym bandziorom. – Urwał, a kiedy nie odpowiedziałem, uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Wiesz, Kage-san, jeśli nic nie powiesz, założę po prostu najgorsze.

Oparłem głowę o futrynę, pozwoliłem, by jego paplanina spływała po mnie jak woda i znikła niczym poranna mgła.

– Twoje założenia są dla mnie niczym – odparłem, na co prychnął. – Myśl sobie, co chcesz.

– Och, tak? Czyli nie będziesz mieć nic przeciwko, jeśli się z tą chłopką trochę zabawię? – Ronin odstawił butelkę i rzucił łakome spojrzenie w róg izby. – Pod tymi łachmanami kryje się całkiem ładne ciało, a postawię ostatnie złote *ryu*, że wciąż jest nietknięta.

Ty nie chcesz z nią nic robić, prawda, Kage-san? Ostatecznie jest tylko wieśniaczką...

Umilkł, a jego wzrok padł na Kamigoroshi, na którego rękojeści zacisnąłem właśnie palce. Moje ciało zastygło, gotowe w dowolnym momencie eksplodować ruchem. Gdzieś tuż pod powierzchnią mojej świadomości pojawiło się nowe uczucie, emocja, jakiej wcześniej nie znałem. Podobna do łaknienia krwi i przemocy Hakaimono, lecz jednocześnie odmienna. Dopiero po chwili zdołałem ją rozpoznać, gdyż jej źródłem nie był wcale demon. Po raz pierwszy od lat poczułem coś sam.

Gniew.

– Ach... – Ronin rzucił mi wymowny uśmiezek i sięgnął po sake.
– Tak właśnie podejrzewałem. Spokojnie, Kage-san. Nie mam zwyczaju sypiać z przypadkowymi chłopkami, szczególnie takimi, które chroni gotowy na wszystko zabójca, skory strącić mi głowę jednym cięciem wielkiego miecza. – Przechylił butelkę nad czarką, by wylać resztki, a kiedy z szyjki pociekła zaledwie mizerna strużka, zmarszczył brwi. – *Kuso*. Jak pech, to pech. Nie zdążyłem się nawet porządnie upić. Cóż, pozostało mi tylko jedno. – Dopił alkohol do końca, po czym sięgnął po butelkę i wstał. – Noboru, ty bydlaku, wiem, że miałeś tu gdzieś zapas na czarną godzinę.

Zatoczył się lekko i ruszył w głąb izby, lecz już po kroku zatrzymał się i obejrzał na mnie z tym swoim wilczym uśmiechem.

– Wiesz, skoro zmierzacie do stolicy, to kawałek chyba pójdę z wami – obwieścił. – Na drogach w tej okolicy czyha masa niebezpieczeństw. Bandyty, szumowiny i tacy tam tylko wypatrują uczciwych wędrowców. W towarzystwie będzie bezpieczniej. Ty będziesz gwardzistą, a ja psem wartowniczym. Rozumiesz, w kupie siła i tak dalej, nie? – Zachichotał, w pełni świadomy ironii. Po chwili spojrział w kąt, na śpiącą jak zabita dziewczynę. – Yumeko chyba nie będzie miała nic przeciwko, prawda? Zresztą nieważne. Zapytam ją jutro, gdy wstanie. A teraz... – Chwiejnym krokiem ruszył w kierunku sąsiedniej izby. – Noboru, gdzie masz tę sake? – mrucał

pod nosem. – Nie myśl, że ją przede mną ukryjesz. Do alkoholu mam nosa.

Siedziałem, słuchając grzechotu przerzucanych drobiazgów i padających od czasu do czasu przekleństw. Kilka minut później doleciał mnie triumfalny okrzyk, po którym rozległo się już tylko ciche pobrzękiwanie butelek. Wreszcie i ten dźwięk ustał, a zza ściany popłynęło gardłowe chrapanie. Ułożyłem sobie Kamigoroshi na kolanach i zacząłem wyczekiwać wschodu, planując zbudzić dziewczynę, ledwie słońce muśnie horyzont. Przy odrobinie szczęścia, myślałem, zanim ronin otrząśnie się ze snu i wywołanego przez sake kaca, będziemy już daleko.

Bo gdyby poszedł za nami, musiałbym być może złamać daną Yumeko obietnicę i go zabić.



GOŚCINNOŚĆ

M *abushii* – wymamrotałam, osłaniając dłonią twarz przed oślepiającymi promieniami słońca, które brutalnie przedzierały się pomiędzy gałęziami sosen i dźgały mnie w oczy. – Dlaczego słońce świeci dzisiaj tak jasno? Byłabym też wdzięczna, gdyby ktoś powiedział ptakom, żeby nie śpiewały aż tak głośno.

Tatsumi, idący kilka kroków przede mną, nie wydawał się przejęty owym tajemniczym wzmożeniem intensywności światła i dźwięków, z jakim zmagalam się od samego rana. Milczał, lecz wyczuwałam, że w głębi ducha świetnie się bawi.

– Tatsumi, słyszę twój śmiech aż tutaj – ostrzegłam z groźną miną. – Czy moje nieszczęście naprawdę sprawia ci aż taką przyjemność?

Wciąż nie odpowiadał. Jęknęłam i przetałam oczy, by choć trochę uspokoić młot, który miarowo tłukł gdzieś tuż za nimi.

– Nie przechorowałam w życiu ani jednego dnia – burknęłam. – Nie rozumiem, dlaczego zaniemogłam akurat dzisiaj.

– Twoje ciało nie wytworzyło jeszcze odporności na alkohol. – Chłopak zerknął na mnie przez ramię. – Na nowicjuszy sake działa bardzo mocno. Niestety, tak wyglądają skutki uboczne.

– Chcesz powiedzieć, że to normalne?

Wróciłam myślami do wczorajszego wieczoru, to znaczy do tej jego części, którą potrafiłam sobie przypomnieć. Dziwny, mocny napój, który Okame raz po raz nalewał mi do czarki, palił przełyk, a po chwili rozniecał w brzuchu przyjemne ciepło. Przypomniałam sobie szum i lekkie zawroty głowy, a potem nie pamiętałam już nic.

– Czuję się tak, jakbym miała w głowie stado rozszalałych małą, obrzucających mi oczy sosnowymi szyszkami – przyznałam z jękiem. – Po co ludzie w ogóle piją sake, skoro rankiem jest tak strasznie? Myślisz, że Okame-san też tak cierpi? Nie mogę sobie przypomnieć połowy tego, o czym mówiliśmy...

Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz. Naprawdę nie pamiętałam wczorajszych rozmów. Co jeszcze zapomniałam? Co mogłam zrobić? A jeśli wyjawiałam coś, czego nie powinnam? Na przykład kim naprawdę jestem? Gdyby mi się to wymknęło, gdyby Tatsumi dowiedział się, że jestem *kitsune*...

Zadygotałam w jaskrawym blasku dnia. Postanowiłam postępować odtąd bardziej rozważnie. Zabójca demonów był skłonny wędrować po smoczą modlitwę w towarzystwie ludzkiej dziewczyny, ale z pewnością nie chciałby iść z *yokai*. Byłam święcie przekonana, że kiedy tylko dowie się o moim kłamstwie, Kamigoroshi błysnie i zetnie mi głowę.

– Yumeko?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że wojownik wciąż mi się przygląda. Na jego twarzy nie malowało się co prawda współczucie, lecz coś w rodzaju niepewności.

– Dobrze się czujesz? – dopytał. – Czy musimy się zatrzymać?

– Nie, Tatsumi-san. – Słyszac w jego głosie nieklamana troskę, uśmiechnęłam się szeroko i pokręciłam głową. – Nie trzeba, jestem tylko...

– *Oiiiiiiii!*

Cichy okrzyk doleciał zza naszych pleców. Odwróciłam się i ujrzałam ciemną, niewyraźną sylwetkę, pędzącą ku nam z podniesioną ręką. Po chwili plama przybrała kształt ronina, zasapanego i stękającego po długim biegu.

– Nareszcie... was znalazłem – wypluł z siebie Okame, opierając dłonie na kolanach. – Myślałaś, że się mnie pozbędziesz, co? – spytał ochryple, spoglądając na mnie z cierpkim uśmiechem. – Czy Kagesan nie powiedział ci, że idę z wami do stolicy?

Rzuciłam okiem na Tatsumiego, który nie patrzył wcale na nas, tylko na odległy łańcuch górski.

– Nie. – Zmarszczyłam czoło. – O tym nie wspomniał.

– Cóż, macie sporo szczęścia, że nie sypiam zbyt mocno. – Okame wyprostował się i poprawił zawieszony na plecach łuk. – I że zdecydowałem już, że wam pomogę. Bo tak się składa, że wiem, że wybraliście złą drogę.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Nieprawda – zaprotestował Tatsumi. – Ten szlak prowadzi do traktu cesarskiego, a stamtąd prosto do stolicy. Idziemy właściwą trasą.

– Tak, o ile chcecie okrążyć po drodze te góry – odparł Okame, wskazując ruchem głowy mgliste wierzchołki, wciąż jeszcze skryte w nocnym cieniu. – To zajmie przynajmniej kilka dni. Ja znam te okolice, a w szczególności znam górskie szlaki i ukryte ścieżki. – Uniósł rękę i wskazał kciukiem siebie. – Jeśli pójdziecie ze mną, dotrzecie do celu znacznie szybciej, niż trzymając się głównych dróg. Poza tym, kierując się przez góry, unikniemy cesarskiego posterunku na granicy.

Nie byłam pewna, ale wydało mi się, że przy ostatnich słowach ronina Tatsumi zastrzygł uszami. No dobrze, może „zastrzygł

uszami” jest niewłaściwym opisem rzeczywistości, z pewnością jednak zwrócił uwagę.

– Miło byłoby znaleźć się w stolicy już niedługo – przyznałam w zadumie.

– Pomyśl tylko, Kage-san – podjął Okame. – Im szybciej znajdziemy się w Kin Heigen Toshi, tym szybciej będziesz mnie mieć z głowy. Dla każdego coś miłego.

Tatsumi patrzył na nas, milcząc jak głaz. Po chwili wzruszył ramionami i odwrócił się.

– To akurat nie ma znaczenia – rzucił, stojąc plecami do nas. – Ważne, żebyśmy dotarli do stolicy. I żebyś nie pobłądził w tych górach.

– Świetnie! – zawołał ronin i zatarł dłonie z zadowolenia. – Chodźcie za mną. Ani się obejrzyście, a będziemy na terytorium Klanu Słońca.



– Hmm – mruknął Okame po południu. – Byłem pewien, że tu jest ścieżka.

Zapuściliśmy się już głęboko w góry. Od głównego szlaku odbiliśmy przed kilkoma godzinami i od tamtej pory szliśmy na przełaj. Ronin bardzo szybko odszukał wydeptaną przez dzikie zwierzęta ścieżynę i weszliśmy za nim w mroczny cedrowo-sosnowy las. Wędrowaliśmy po grubych kobiercach zbitego mchu, porastających kamienie, korzenie i przewrócone drzewa. Zauważyłam, że ronin porusza się w gęstwinie bardzo zwinnie, sunął wśród zarośli z takim wdziękiem, jakby sam stanowił część kniei. Tatsumi szedł za mną w absolutnym milczeniu, a stąpał przy tym tak cicho, że co chwila musiałam oglądać się za siebie, by mieć pewność, że nie zniknął.

Kiedy jednak ścieżka urwała się nad wąskim, górskim strumieniem, Okame stanął z założonymi na piersi rękoma i zapatrzył się w ziemię, jakby oczekiwał, że wśród mchu lada moment pojawi się nowa dróżka.

– Cóż, to bardzo dziwne – burknął, rozglądając się wzdłuż strumienia. – Zupełnie tej strugi nie pamiętam.

– Zgubiłeś się – oświadczył Tatsumi głosem tak lodowatym, że mógłby nim zmrozić przynajmniej dwa podobne strumienie.

– Wcale nie – zaprotestował ronin, rzucając chłopakowi urażone spojrzenie. – Po prostu... widok strumyczka chwilowo zbił mnie z tropu, ale to jedynie tymczasowe utrudnienie. Doskonale wiem, gdzie jesteśmy – zakończył, podrapał się po karku i głęboko zamyślił.

Po drugiej stronie strumienia wyszedł zza drzewa eleganckim krokiem mały, cętkowany jelen. Zwierzę stanęło i spojrzało na nas, poruszając wielkimi uszami.

– Może przegapiliśmy odnogę ścieżki – podjął w zadumie Okame – ale jeżeli skierujemy się na północ, powinniśmy ją znaleźć. Czyli tak... – Potoczył wzrokiem po lesie. Jelonek dał susa w gąszcz. – Skoro słońce mamy tutaj, a cienie kładą się w tamtą stronę...

– Hmm, Okame-san. Północ jest tam. – Wskazałam palcem.

– No właśnie! – Ronin się rozpromienił. – I po kłopotcie, Yumeko-chan. Raz-dwa i będziemy w Kin Heigen Toshi.

Po kilku kolejnych godzinach, gdy słońce zaczęło się kryć za odległymi szczytami, a w krzewach zapłonęły pierwsze świetliki, Okame przystanął, oparł się o omszały głaz i pokręcił głową.

– No dobrze – rzucił wesoło i bezradnie rozłożył ręce. – Teraz naprawdę się zgubiłem.

Miecz Tatsumiego opuścił pochwę z mrozącym krew w żyłach szelestem. Okame w jednej chwili czmychnął za kamień, a ja zawirowałam w miejscu i błyskawicznie ustawiłam się między roninem a zabójcą demonów.

– Tatsumi, nie. – Zamachałam rękoma, gdy uniósł swe zimne, fiołkowe oczy, beznamiętne i mordercze. – Zabijając go, nikomu nie

pomożesz.

– Ale przynajmniej naprawię swój wcześniejszy błąd. – Oczy Tatsumiego zmieniły się w wąskie, fioletowe szparki.

– Nie pomożesz – powtórzyłam z naciskiem.

Towarzysz przeniósł wzrok na mnie i kiedy poczułam na sobie jego śmiertcionośne spojrzenie, moje serce zabiło mocniej. Kamigoroshi jaśniał w mroku słabym, mdlącym blaskiem, migocącym niczym puls człowieka. Nie były to może upiorne, fioletowe płomienie, które widziałam w noc, kiedy się poznaliśmy, lecz doznanie nie należało do przyjemnych. Samo przebywanie w tak niewielkiej odległości od obnażonego ostrza przyprawiało mnie o gęsią skórkę. Nie cofnęłam się jednak nawet o krok. – Tatsumi-san, co się stało, to się nie odstanie. Zgubiliśmy się, to trudno. Spróbujmy odnaleźć drogę powrotną i dojść do stolicy bez rozlewu krwi.

– Chcesz powiedzieć, że nie martwi cię fakt, że on mierzy ci właśnie w plecy?

– Nie w nią celuję – rzucił zza głazu Okame. – Celuję w wyrostka z przerażającym, świecącym mieczem w ręku. Prawdę mówiąc, byłbym ci wdzięczny, Yumeko, gdybyś ustąpiła kawałek w prawo.

– Uważasz, że jesteś dość szybki, by mnie zastrzelić, roninie? – Tatsumi uniósł kącik warg w chłodnym uśmiechu.

– Cóż, skoro druga możliwość to stać beczynnym i z uśmiechem czekać, aż mnie rozpołowisz, wolę zaryzykować – odparł Okame. Zerknęłam przelotnie za siebie i ujrzałam groźny uśmieszek także na jego ustach. Spojrzenie miał harde, zacięte. – Nie jestem arystokratą. Nie podsunę ci głowy dobrowolnie z powodu jakiejś głupiej pomyłki. Jeśli chcesz ją strącić, będziesz to musiał zrobić w staroświecki sposób.

– Nikt nikomu tu głowy nie strąci – podjęłam. – To paskudne i obrzydliwe. Spróbujmy wszyscy po prostu wydostać się z tych gór. Niedługo zrobi się ciemno i... – Urwałam, strzygąc uszami, czego obaj ludzie nie zauważyli. W dole zbocza, w niewielkiej niecce

pośród szczytów, dostrzegłam kilka niewyraźnych, migocących światełek. – Chwileczkę, tam chyba jest wioska.

Moi towarzysze wyprostowali się i również popatrzyli w dolinę.

– O! No właśnie! Tam jest! – rzucił z zadowoleniem Okame. – Wiedziałem, że gdzieś tu będzie. – Zignorował posępne spojrzenie Tatsumiego i rozluźnił cięciwę, a strzałę schował do kołczanu. – No? To na co jeszcze czekamy?

Gdy tylko zaczęliśmy schodzić, stok okazał się zdradziecko stromy. Kamienie oblepiał śliski mech, przez co należało uważać przy każdym kroku. Szliśmy powoli, ale ponieważ miałam sporo doświadczenia zebranego w podobnych zabawach z leśnymi małpami, stosunkowo swobodnie przeskakiwałam ze skały na skałę. Okame przewrócił się raz, przy czym zdarł sobie skórę z dłoni, co skomentował imponującą wiązką wulgaryzmów. Tatsumi, rzecz jasna, szedł po zdradliwym podłożu z gracją jelenia, zupełnie jakby podobne spacery odbywał codziennie.

Kiedy dotarliśmy na skraj doliny, słońce zniknęło już za górami, a wokół kładły się długie cienie. Pokonaliśmy most nad wąskim strumieniem i ruszyliśmy krętą ścieżką ku grupce krytych strzechą chat. Powietrze było tutaj gęste i wilgotne; w gałęziach drzew brzęczały cykady, a ponad ryżowymi polami rozbłyskiwały ogniki świetlików, odbijające się refleksami w ciemnej, błotnistej wodzie. Wszędzie widać było równiutko zasadzone, niziutkie jeszcze sadzonki, które niebawem miały się przeistoczyć w falujące morze zieleni. Na brzegach leniwie płynącej rzeki wypatrzyłam rozwieszane do wyschnięcia sieci rybackie i czekające w pobliżu łodzie. Cała dolina tchnęła aurą odosobnienia, jakby świat zapomniał o tym miejscu na dobre.

Po drugiej stronie pól nasza kręta ścieżyna skrzyżowała się z większą i szerszą drogą, wiodącą na wskroś wioski. Na rozstajach stała tabliczka, na której widniały ręcznie wymalowane czarnym atramentem znaki alfabetu *kanji*. „Witamy w Yamatori” – głosił napis. „Podróżni zawsze są tu mile widziani”.

– Bardzo sympatyczni ludzie – zauważył Okame. – A przynajmniej na to się zanosi. Wiem, że w niektórych takich zapadłych dziurach gości przyjmuje się niechętnie. Górale nie lubią wędrowców, nie lubią samurajów, a szczególnie nie lubią roninów.

– Dlaczego? – zainteresowałam się.

– Dlatego że roninowie zazwyczaj rabują z wiosek, co im się żywnie spodoba – odpowiedział beznamiętnie Tatsumi. – A chłopci nie są ich w stanie powstrzymać.

– Ejże! Samuraje wcale nie są lepsi! – odgryzł się Okame. – Myślisz, że wszyscy dochowują zasad tego bzdurnego *bushido*? – Prychnął pod nosem. – Widziałem, jak samuraj wziął cudzą żonę, a jej męża, który odważył się zaprotestować, po prostu zarżnął. Widziałem też takiego, który uciął głowę małemu dziecku za to, że spłoszyło mu konia. Jestem brudnym psem, nie przeczę, ale ja przynajmniej nie zasłaniam się kodeksem po to, żeby robić wszystko, na co tylko przyjdzie mi ochota.

– Wszystko? – powtórzył cichym głosem Tatsumi i pokręcił głową jakby ze współczuciem. – Człowiek pozbawiony godności – dodał sentencjonalnie – nigdy nie zrozumie postępowania ludzi honorowych.

– Tako rzecze człowiek z paskudnym, świecącym mieczem.

– Miecz nie ma z tym nic wspólnego.

– Jasne, bo paskudne, świecące miecze służą wyłącznie szlachetnym sprawom.

– To jest takich więcej? – wtrąciłam, zaskoczona. – Okame-san, ja widziałam tylko jeden paskudny, świecący miecz. Czy są bardzo pospolite?

– Yumeko-chan. – Roninowi wyrwało się ciężkie westchnienie. – Będę ci kiedyś musiał wyjaśnić, na czym polega sarkazm. Ale nie teraz, bo i tak wzbudziliśmy już sensację.

Popatrzyłam ku wiosce. Na drodze zebrała się grupa mężczyzn i kobiet, wieśniaków, jeśli sądzić po prostych strojach i ogorzałej na słońcu skórze. Wszyscy mierzyli nas uważnymi, przenikliwymi spojrzeniami.

– No cóż – rzucił Okame z uśmiechem. – Jak widać, wszyscy już wiedzą o naszej wizycie. Chodźmy się przywitać – powiedział i ruszył w stronę tłumku.

Chłopi wciąż się nam przyglądali. Kiedy podeszliśmy i mijaliśmy ich, większość się uśmiechała, pozdrawiali nas skinieniami bądź ukłonami, unikając przy tym naszego wzroku. Nikt nie patrzył nam prosto w oczy. Zauważyłam kilku szepczących między sobą mężczyzn, byli wyraźnie rozemocjonowani, lecz zarazem spięci. Pewna siwowłosa, siedząca na progu chaty staruszka obdarzyła nas bezzębnym uśmiechem, przy którym jej oczy niemal zginęły w fałdach pomarszczonej skóry. Dziewuszka w żółtym kimonie podskoczyła w miejscu i pomachała do Tatsumiego, który szedł kilka kroków za mną i roninem. Chłopak nie poświęcił małej nawet spojrzenia, co wcale nie ostudziło jej entuzjazmu. Wszyscy sprawiali wrażenie ogromnie podekscytowanych naszym przybyciem.

Choć z drugiej strony...

– Witajcie, wędrowcy!

Wyszedł do nas uśmiechnięty mężczyzna. Na jego wyłysiałym czole połyskiwał pot, ciemne kosmyki z boków głowy zebrał w koczek. Odziany był nieco lepiej niż pozostali wieśniacy: w niebiesko-szarą bluzę i czarne spodnie *hakama*. Zbliżył się i ukłonił w pas.

– Witajcie w Yamatori, czcigodni goście – podjął, prostując grzbiet. – Nazywam się Manzo i jestem naczelnikiem tej wioski. Zatrzymacie się u nas na długo czy bawicie tu przejazdem?

– Przejazdem – odpowiedziałam, na co Manzo zareagował zdumionym spojrzeniem, jakby oczekiwał odpowiedzi z ust Okame lub Tatsumiego. – Wkrótce ruszamy w dalszą drogę. Nie chcemy robić kłopotu...

– Ale gdyby znalazł się wolny pokój i kilka łóżek na jedną noc, bylibyśmy niezwykle zobowiązani – dodał ronin, podchodząc do mojego boku. Rzucił naczelnikowi rozbrajający uśmiech i sięgnął do *obi*. – Mogę zapłacić.

– Zapłacić? Och, nie, nie nie! – Manzo energicznie potrząsnął głową i machnął ręką. – Nie chcę o tym słyszeć. Jesteście w Yamatori czcigodnymi gośćmi. To naprawdę żaden kłopot. Zapraszam, chodźcie.

– Naprawdę szalenie sympatyczni ludzie – mruknął lekko zdziwiony Okame, kiedy ruszyliśmy za naczelnikiem w głąb wioski.

Wszyscy wokoło uśmiechali się i kiwali głowami, twarze wyglądały ku nam z zaułków i z drzwi. Ronin pomachał do chłopca, który stał przed jednym z domów, a dzieciak uciekł za węgiew.

– Ciekawe, co takiego sprawiło, że tak uprzejmie goszczą samurajów?

– Nie podoba mi się to – szepnął Tatsumi. – Coś tu jest... nie tak.

– Nie tak? Bo ktoś potraktował cię życzliwie? Rozumiem, coś takiego faktycznie może zrujnować człowiekowi nerwy.

Manzo poprowadził nas na niewysokie wzgórze, na którym wznosił się większy od innych budynek. Tutaj dach również był słomiany, lecz dom wyposażony został w ganek i miał dwa boczne skrzydła, w odróżnieniu od jednoizbowych chat, w których gnieździł się wieśniacy. Chwilę wcześniej zauważyłam starego mnicha w czarnej szacie. Siedział pod drzewem przy drodze z opartą o ramię metalową laską. Uśmiechnął się i pozdrowił mnie skinieniem, na co złożyłam mu ukłon i pobiegłam za towarzyszami. Okame rzucił mi dziwne spojrzenie, ale nie skomentował.

Przeszliśmy przez bambusową bramę i znaleźliśmy się w niewielkim ogrodzie. Pokryta mchem latarnia stała nad maciupkim stawem, ocienionym gałęziami sosny. Przypomniałam sobie staw w Świątyni Milczącego Wiatru i zajrzałam do wody, spodziewając się zobaczyć otwarte pyski kilku karpia lub tłustych złotych rybek. Niestety, w stawie pływało jedynie parę gnijących liści. Woda ukazała jednak także moje obicie – dziewczynę o porośniętych sierścią uszach i żółtych, świecących oczach. Poczułam nerwowy skurcz żołądka.

– *Kitsune* – odezwał się naczelnik i moje serce stanęło jak wryte. Czując falę mdłości, odwróciłam się do mężczyzny, który obdarzył

mnie nerwowym uśmiechem. – Mamy ostatnio sporo kłopotów z lisami – wyjaśnił, wskazując na staw. – Wszędzie się dostaną. Biedne ryby nie miały żadnej szansy.

– Ach... – Wypuściłam wstrzymywane powietrze i czym prędzej odeszłam znad wody z nadzieją, że nikt poza mną nie zauważył lisiego odbicia. – Bardzo mi przykro.

Głupi błąd, Yumeko, skarciłam się w duchu. Bądź ostrożniejsza. To nie pora na igraszki z rybami.

Manzo otworzył frontowe drzwi. Zwróciłam uwagę, że nie są wykonane z rozpiętego na ramie ryżowego papieru, lecz z ciężkiego drewna.

– Asami! – zawołał, gdy zostawiliśmy już sandały na drewnianej posadzce za progiem i weszliśmy za nim do środka. – Mamy gości! Przygotuj trzy dodatkowe nakrycia.

– Naprawdę nie trzeba – zapewniłam gospodarza, kiedy w drzwiach pojawiła się ubrana w granatowe kimono kobieta w średnim wieku, która tylko jęknęła i zniknęła z powrotem. – Mamy własny prowiant.

Przypomniałam sobie maleńką osadę, która leżała u podnóża gór w pobliżu Świątyni Milczącego Wiatru. Zdarzało się, że jakiś chłop pojawiał się u nas i prosił, by ktoś pomodlił się za urodzaj na jego polach bądź w intencji odpędzenia złych duchów lub przegnania pecha prześladowającego jego domowników. Mnisi podobne prośby spełniali, a w zamian przyjmowali najwyżej drobne dowody wdzięczności: worek jęczmienia czy pęk cienkich marchewek. Od mistrza Isao wiedziałam, że tamtejsi wieśniacy ledwie wiązali koniec z końcem. Uprawa roli jest zadaniem trudnym i niewdzięcznym, w wioskach nierzadko panoszył się głód, tym bardziej że ponad połowa zbiorów ryżu regularnie trafiała w ramach rocznego podatku do *daimyo* Klanu Ziemi. Właśnie dlatego nie chciałam odbierać góralom jedzenia, zwłaszcza że naprawdę nie musiałam.

Naczelnik jednak nie chciał nawet słyszeć o podobnym rozwiązaniu. Ponownie oświadczył, że jesteśmy honorowymi gośćmi

Yamatori i byłoby niewybaczalnym nietaktem, gdyby potraktowali nas inaczej. Zasiadliśmy więc na grubych *tatami* przed lakowanymi stołami i patrzyliśmy na żonę i córki Manzo, wnoszące jedno danie za drugim. Strawa była prosta i sycąca: kiszona kapusta, gotowane rzeczne węgorze w paście *miso*, suszone śliwki i nieprzebrane ilości czyściutkiego ryżu. Naczelnik ugościł nas też własnej roboty – jak zapewniał – sake, którą z wielkim ukontentowaniem raczył się Okame. Tatsumi i ja pozostaliśmy przy herbacie. Nieważne jednak, ile miseczek ryżu pochłonęłam, stawała przede mną kolejna, zupełnie jak za sprawą magii. Ronin opychał się ile wlezie, a ja ostatecznie przestałam sobie radzić z tymi ilościami. Tatsumi jadł niewiele i odzywał się wyłącznie wtedy, kiedy musiał odmówić dokładki. Przypuszczam, że gdyby Manzo nie jadł razem z nami, mój ponury towarzysz nie tknąłby poczęstunku w ogóle.

Wreszcie kiedy naprawdę nie byłam w stanie wepchnąć w siebie ani ziarna więcej, naczelnik wstał od stołu i z uśmiechem zatarł ręce.

– Musicie być zmęczeni po tak długiej wędrówce – zauważył, wyglądając przez okno, za którym opasły, żółty księżyc wznosił się właśnie ponad wierzchołki drzew. – Proszę serdecznie za mną, pokażę wam, gdzie dzisiaj przenocujecie.

Dźwignęłam się na równe nogi, wyraźnie przy tym czując, jak żołądek napiera mi na żebra.

– Jesteś naprawdę bardzo uprzejmy – powiedziałam, tłumiąc ziewnięcie, na co Manzo zareagował kolejnym spojrzeniem, wyrażającym zdziwienie, że to ja wypowiadam się w imieniu grupy, a nie ten milczący, odziany w czerń samuraj. – Ale nie chcemy narzucać się temu uroczemu domostwu ani jego mieszkańcom.

– Żaden kłopot, moja... pani – odparł naczelnik. – Specjalnie z myślą o takich sytuacjach mamy domek gościnny. Cichy i oddalony od reszty wioski. Zapewniam, że nikt i nic nie zakłóci tam waszego spokoju. – Obdarzył mnie niepewnym uśmiechem. Zauważyłam, że tuż za drzwiami stoją jego obie córki. Przysłuchiwały się rozmowie

z szeroko otwartymi oczyma, w których majaczył... strach? – Proszę za mną.

Dom Manzo opuściliśmy tylnymi drzwiami, lecz po drugiej stronie bambusowego ogrodzenia i tak zebrał się już niewielki tłumek. Młoda kobieta podbiegła do mnie z uśmiechem i wiązka białej rzodkwi. Ukłoniła się, wcisnęła mi warzywa do rąk i cofnęła, zanim zdążyłam powiedzieć choć słowo.

– Hmm... dziękuję. – Ledwie zamknęłam usta, inna wieśniaczka wręczyła mi całą główkę kapusty. A trzecia dorzuciła do rosnącego naręcza trzy ogórki, które z najwyższym trudem udało mi się uratować przed upadkiem w błoto. Obie kobiety pokłoniły się i szybko cofnęły, całkowicie nieprzejęte moimi protestami.

Zerknęłam na Okame. Jego również oblegli górale. Siwobrody, uśmiechnięty od ucha do ucha mężczyzna zawiesił na szyi ronina tykwę sake, a jakaś staruszka, możliwe, że żona brodacza, przekazała mu pleciony z trzciny koszyk pełen suszonych ryb. Naczelnik nawet nie próbował ukrócić tego procederu i nie ganił sąsiadów, a stopy jedzenia rosły wśród ukłonów i uśmiechów. Wszyscy sprawiali wrażenie przeszczęśliwych, że mogą się pozbyć zapasów.

Zwróciłam uwagę, że nikt nie napastuje Tatsumiego. Przypuszczalnym powodem była otaczająca chłopaka, widoczna niemal gołym okiem aura wrogości i spojrzenie zimnych, fioletowych oczu wyraźnie mówiące „nawet nie próbujcie mnie dotknąć”. Niemniej kiedy przydreptała ku niemu małeńka dziewczuszka w postrzępionym kimonie i podała mu lekko zgniecioną persymonę, przyjął prezent z poważnym ukłonem. Moment później małą zabrała spłoszona matka, żarliwie przepraszając.

Kiedy wreszcie zostawiliśmy tłum za sobą, Okame i ja uginaliśmy się pod ciężarem jedzenia, a moja góra warzyw była tak wysoka, że prawie nie widziałam drogi. Miałam jedynie nadzieję, że do domku dla gości nie jest daleko. Ruszyliśmy za Manzo wąską ścieżką, minęliśmy kilka pól i magazynów, w których przechowywano ryż. Ciężkie, drewniane budynki stały na palach,

dzięki czemu do środka nie dostawała się wilgoć. Wokół wioski majaczył pierścień gór, czarne sylwetki na tle oprószonego gwiazdami nieba. W ciemności rozległ się żałobny zew nocnego ptaka, z wysokiej trawy śpiewały do nas świerszcze, a świetliki migotały ponad polami niczym miniaturowa galaktyka. Tak urokliwe miejsce powinno napawać spokojem.

Dlaczego więc czułam się tak... odsłonięta?

Zerknęłam przez ramię i okazało się, że wieśniacy zniknęli.

Z wyjątkiem jednego.

Mnich powrócił. Stał na poboczu drogi nieruchomy jak posąg. Czarny strój zlewał się z mrokiem, lecz kostur i szerokoskrzydły kapelusz połyskiwały w słabym świetle księżyca. Twarz skrywał cień, ale wyczułam, że uważnie się nam przygląda, zwłaszcza mnie.

Odwróciłam się i niemal wpadłam na Okame, który wraz z naczelnikiem przystanął na środku ścieżki. Rzuciłam pospiesznie „gomen”, cofnęłam się i mało brakowało, a zderzyłabym się z Tatsumim, który uniknął kolizji, zwinnie ustępując na bok. Złapał nawet ogórek, który odłączył się od reszty i runął ku ziemi.

– Jak już mówiłem. – Manzo obrzucił mnie lekko zirytowanym wzrokiem i wskazał grubym palcem naprzód. – Dom gościnny widać już teraz. Wystarczy trzymać się drogi.

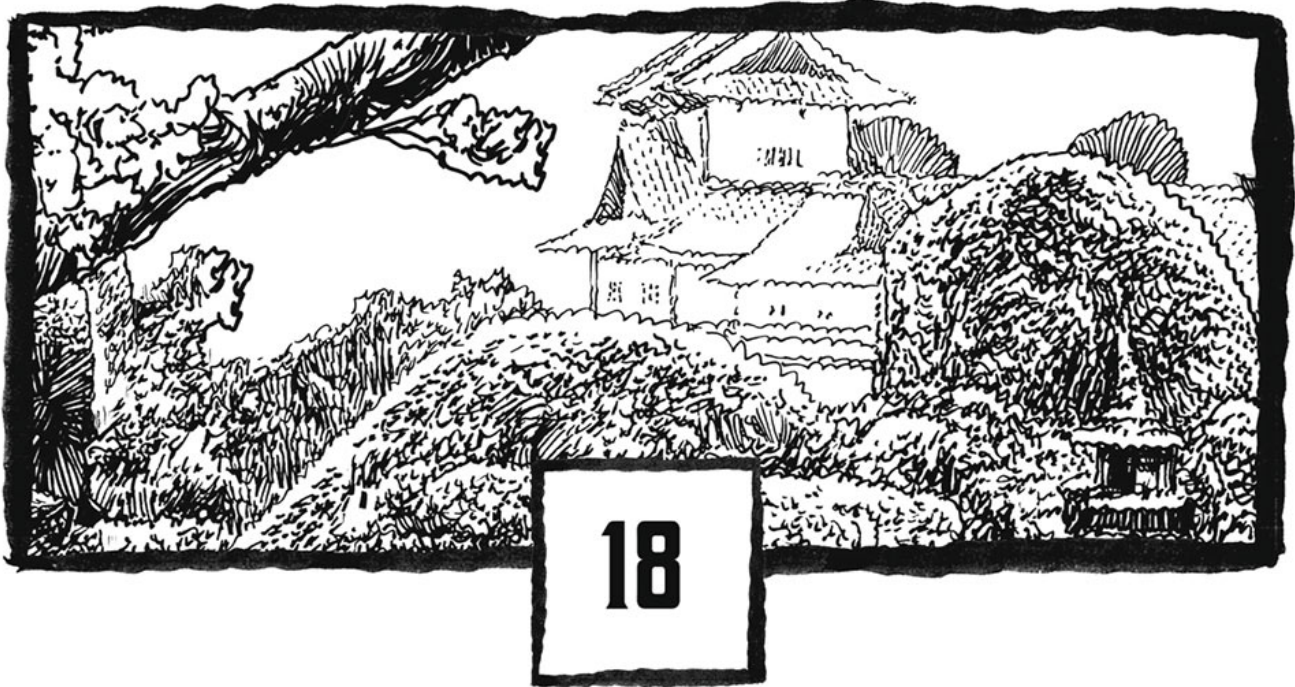
Wyjrzałam ponad liśćmi kapusty i dostrzegłam niewyraźny kształt niskiego, odosobnionego domu stojącego na skraju pól. Wyglądał jak wszystkie inne wioskowe chaty. Drewniane ściany i spadzisty, kryty strzechą dach. Z okien i otwartych drzwi wylewało się miękkie, pomarańczowe światło. Zauważyłam też migocący w palenisku wewnątrz ogień. Ścieżka obiegała domek łukiem i znikła dalej na zboczu.

– Wszystko zostało już przygotowane – ciągnął Manzo. Tym razem zwracał się do Okame, mnie ignorując. – Ogień rozpalony, świeże posłania czekają. Wodę możecie czerpać z płynącego za domem strumyka, a nad paleniskiem jest kociołek, jeśli w środku nocy najdzie was głód.

Nie sądziłam, by coś takiego było w ogóle możliwe. O jedzeniu nie chciałam nawet myśleć, przynajmniej do rana. Niemniej Okame podziękował naczelnikowi, który uśmiechnął się dziwnie słabo i ukłonił.

– Zaszczyciliście nas swoją wizytą – powiedział, nie odrywając wzroku od ziemi. – Mam nadzieję, że pobyt w Yamatori był dla was przyjemnością. *Oyasuminasai*.

– Dobranoc – powtórzyłam i Manzo odszedł żywym krokiem w kierunku wioski. Niemal pobiegł. Kiedy patrzyłam za jego malejącą sylwetką, uświadomiłam sobie, że zniknął też gdzieś odziany w czerń mnich.



KLĄTWY I GAKI

W tej wiosce coś było nie w porządku.

Czułem to ja, wyczuwał to Hakaimono, a byłem przeświadczony, że czuje to również Yumeko. Jedyne ronin pozostawał nieporuszony. Nie chodziło wyłącznie o dziwną, unoszącą się nad osadą niczym gęsta mgła atmosferę lękliwej ekscytacji. Nie chodziło też o gorączkowość, z jaką górale wyzbywali się swoich zapasów, mimo że wieśniacy często padali zimą z głodu, a ryż był dla nich cenniejszy niż złoto. Tego rodzaju nadgorliwość w zaspokajaniu naszych potrzeb była podejrzana, aczkolwiek mogła mieć przyczynę w przeszłości. Kto wie? Być może górale zachowali złe wspomnienia z wizyty innych samurajów. Tyle dobrego, że nie zaprawili kolacji trucizną. Częścią mojego szkolenia były wykłady dotyczące najrozmaitszych toksyn i nauka rozpoznawania ich smaków. Byłem pewien, że nasz posiłek był zdrowy.

Mój instynkt zareagował jednak na inne, bardziej subtelne wskazówki. Pola ryżowe otoczone były płotami z zaostrzonych niczym włócznie bambusowych palików. Drzwi wielu chat i domów były grube i dodatkowo wzmocnione. Poza tym nie zobaczyłem w tej wiosce ani jednego zwierzęcia, brakowało psów, kotów, kur. Yamatori bez cienia wątpliwości skrywała jakiś sekret. Nie wiedziałem jedynie, czy była to tajemnica, którą powinniśmy się przejmować.

W domku dla gości nie było nikogo. Blask węgla w palenisku rzucał długie cienie na nagie, drewniane ściany. Yumeko weszła do środka, przyklękła i z westchnieniem cisnęła swoje warzywa w kąt. Ronin poszedł za jej przykładem, lecz zachował sake. Upił z tykwy solidny łyk, po czym schował ją za pazuchę.

– Nie wiem jak wam, ale mnie się tu bardzo podoba – oznajmił i wyciągnął się przed ogniem. – Tak dobrze nie zjadłem od wielu tygodni, a górale częstują nas bardzo chętnie. – Z leniwym uśmiechem poklepał się po brzuchu. – Coś mi mówi, że w drodze do stolicy będziemy jeść jak książęta.

– *Baka* – rzuciłem półgłosem. Idioto. – Wieśniacy coś przed nami ukrywają. Nie karmili nas z uprzejmości. I nie przyprowadzili nas tu bez powodu.

– Czyli i ty to wyczułeś. – W oczach Yumeko zamajaczyła ulga, na co skinąłem głową. – To bardzo dziwne – ciągnęła, spoglądając w kierunku wsi. – Odniosłam wrażenie, że chcieliby, żebyśmy zniknęli, a jednocześnie rozpaczliwie starali się nas zatrzymać. Wszyscy byli przerażeni, a przecież robili wszystko, byśmy czuli się tu jak najlepiej. – Urwała i popatrzyła na mnie z niepokojem. – Może chcą nas obrabować albo pozabijać we śnie, co? To byłoby z ich strony okropnie nieuczciwe.

Z podłogi doleciało nas lekceważące parsknięcie.

– Chłopi to tchórzliwy gatunek – stwierdził Okame, leżący wygodnie na boku z głową opartą na dłoni. Zabrzmiało to tak, jakby mówił z własnego doświadczenia. – Rzeczywiście tylko we śnie mogliby spróbować poderżnąć nam gardła, ale to, co dzisiaj

widziałem, wskazuje, że i na to są zbyt strachliwi. – Ziewnął, podrapał się w kark i wyjrzał na zewnątrz. – Myślę natomiast, że dobrze będzie trzymać straż. Na wszelki wypadek.

Podszedłem do drzwi, żeby je zamknąć, lecz okazało się, że żadnych drzwi nie ma. Zmarszczyłem czoło i popatrzyłem ku wiosce oraz za chatę, tam gdzie ścieżka znikła w dole zbocza. Nie spodobała mi się myśl, że za plecami możemy mieć dalszą część osady, więc wyszedłem, obszedłem chatę i stanąłem na skraju wzniesienia, skąd spojrzałem w dolinę.

U stóp wzgórza rozciągało się otoczone prostym, bambusowym płotkiem pole nagrobków. Prymitywnie ciosane skałki sterczały wprost z ziemi w nierównych rzędach, przemieszane z kamiennymi latarniami i przystrojonymi w śliniaki posągami Jinkei, *kami* miłosierdzia i zbłąkanych wędrowców. Latarnie i kamienie nagrobne porośnięte były mchem, a oblicza rzeźb nosiły ślady niszczycielskiego działania czasu i żywiołów. Kilka grobów jednak, zwłaszcza te położone najbliżej chaty, wyglądało na znacznie nowsze.

Yumeko podeszła do mnie. Stanęła obok i również spojrzała na cmentarz. Co zadziwiające, kiedy poczułem jej obecność, bliskość ciała innego człowieka, nie ogarnęła mnie ochota, by się odsunąć.

– Cóż – stwierdziła po chwili. – Intrygujące. Czy to powszechny zwyczaj, by lokować honorowych gości rzut kamieniem od cmentarza?

– Raczej nie – burknąłem.

– Myślisz, że mogą tu być *yurei*? – spytała, omiatając wzrokiem nagrobki. Nie sprawiała wrażenia przesadnie przejętej, jakby myśl o spotkaniu z duchem budziła w niej więcej ciekawości niż strachu. Ja tej fascynacji nie podzielałem. Większość *yurei* była nieszkodliwa, zadowolony się nawiedzaniem miejsc, w których rozstały się z życiem; istoty żałosne i tragiczne, lecz niegroźne. Istniały też jednak inne – szczególnie należało się obawiać *onryo* i *goryo* – duchy ludzi, którzy odeszli w zaświaty z sercem pełnym nienawiści bądź zazdrości i wracali w poszukiwaniu zemsty na tych, którzy

wyrządzili im krzywdę. Niekiedy potrafiły żywić urazę przez całe lata lub stulecia, a ich klątwy szkodziły nie tylko winowajcom, ale również ich potomkom.

– To zależy – odparłem, nie chcąc wdawać się w zawile tłumaczenia.

– Od czego?

– Od tego, w jaki sposób zmarli zostali pochowani. Od tego, czy otrzymali stosowny pogrzeb i czy odprawiono niezbędne rytuały. Od tego, czy umarli, żywiąc silne emocje albo mając niezakończone sprawy, które mogły zatrzymać ich w świecie śmiertelnych. – Spojrzałem na cmentarz. – Tak więc... owszem. Całkiem możliwe, że zobaczymy dzisiaj *yurei*.

– Na szczęście we wsi jest mnich – zauważyła Yumeko. – Ktoś taki na pewno dba, by umarłych grzebano jak trzeba, prawda?

– Jaki mnich? – Popatrzyłem na dziewczynę ze ściągniętymi brwiami.

– No, mnich – powtórzyła, wskazując w kierunku Yamatori. – Najpierw mijaliśmy go pod domem naczelnika, a potem ponownie, kiedy szliśmy już tutaj. Przegapiłeś go?

– Nikogo takiego nie widziałem. – Nie żebym wątpił w jej relację. Podobnie jak w przypadku *kamaitachi* i leśnych duchów, Yumeko wykazywała spory talent w dostrzeganiu rzeczywistości nadnaturalnej. Była w tym wyraźnie lepsza ode mnie. Ja sam wyczuwałem bliskość demonów i *yokai*, aczkolwiek zazwyczaj dzięki pomocy miecza. To budząca się nagle, nienasycona żądza krwi Hakaimono dawała mi znać, że tego rodzaju istota jest blisko. A ponieważ *yurei* nie były dla demona istotne, na obecność duchów zmarłych nie byłem aż tak wyczulony, o ile nie były wyjątkowo potężne bądź nie chciały mej krzywdy.

– A ja widziałam mnicha – podjęła z przekonaniem Yumeko. – Był ubrany na czarno, miał słomiany kapelusz i nosił laskę z metalowymi, pobrzękującymi pierścieniami. – Urwała na moment i zamyśliła się. – Och, czyżbyś myślał, że to on jest *yurei*? Że jego

duch nawiedza tę wioskę i dlatego wszyscy tak dziwnie się zachowują?

– Możliwe. – Zachowanie duchów było znacznie trudniejsze w interpretacji niż zachowanie demonów. Zazwyczaj zajmowali się nimi kapłani lub *onmyoji*, którzy zjawy egzorcyzmowali bądź uspokajali i nakłaniali do odejścia. Klan nigdy nie posyłał mnie na łowy na *yurei*. Nikt nie miał pewności, jaki los spotyka istoty zabite przez Kamigoroshi – nie było wiadomo, czy czeka je odrodzenie, czy po prostu przestają istnieć na dobre. Myśl o tym, że ludzka dusza mogłaby zostać przeze mnie zgaszona ostatecznie, bez szans na dalszą wędrówkę, była zbyt przerażająca i bluźniercza nawet dla Kage. Demony i *yokai* mogłem mordować stadami, lecz ducha zmarłego byłoby mi wolno zgładzić jedynie, gdyby była to kwestia życia i śmierci.

– Coś mi mówi, że znowu się dzisiaj nie wyśpię – westchnęła Yumeko.

Zawróciliśmy i poszliśmy z powrotem do chaty. Za progiem powitało nas donośne chrapanie. Ronin zasnął na drewnianej podłodze przed paleniskiem. W rękę trzymał butelkę sake. Dziewczyna pokręciła głową, przeszła nad śpiącym i ruszyła do jednego z ułożonych w kącie sienników. Ja usadowiłem się w wejściu, wysunąłem miecz z za pasa i ułożyłem go sobie na kolanach. Yumeko zwinęła się na posłaniu i naciągnęła sobie cieniutką kołdrę aż na głowę. Zaraz potem poczułem na sobie jej wzrok.

– Tatsumi-san? – spytała po kilku minutach nasłuchiwania chrapięć Okame, który zakaszłał, przekręcił się na plecy i na moment ucichł.

– Hm? – mruknąłem.

– Wiesz... cieszę się, że tu jesteś. – Oczy dziewczyny, lśniące i czarne, zabłysły pod narzutką. – Wiem, że szlak jest niebezpieczny, ale kiedy jesteś blisko, czuję się bezpieczniej. Sama w życiu bym nie zasnęła w nawiedzanej wiosce. Dlatego dziękuję ci. Dziękuję, że... zostałeś.

Z jakiegoś powodu jej słowa przyprawiły mnie o skurcz żołądka. Zupełnie nie rozumiałem dlaczego.

– Oboje coś sobie obiecaliśmy – przypomniałem. – Ty zaprowadzisz mnie do Świątyni Stalowego Pióra, a ja będę cię chronić po drodze. Jestem tu ze względu na zwój i tylko dlatego.

– Rozumiem. – Jej ledwie słyszalny szept poniósł się w ciemnej izbie. – Ale i tak cieszę się, że zostałeś. Może... – Przerwało jej ziewnięcie, zasłoniła usta dłonią. – Może nawet uda mi się zmrużyć oko. Bo wiem, że tu jesteś. – Spod paleniska znów rozległo się chrapanie i dziewczyna zmarszczyła nos. – No, chyba że przeszkodzi mi *baka-Okame*. Dobranoc, Tatsumi-san.

Nie odpowiedziałem. Po chwili usłyszałem miarowy, powolny i głęboki oddech dziewczyny. Usnęła.

Wolny od oceniających ludzkich oczu, uległem na moment fascynacji i pozwoliłem sobie na nią spojrzeć. Błada skóra Yumeko zdawała się lśnić we wpadającym przez okienną kratkę blasku księżyca. Włosy dziewczyny kładły się na ramionach i plecach atramentową zasłoną. Oddychała spokojnie, a na rozluźnionej twarzy nie malowała się rezerwa, stale obecna na jawie. Zbłąkany, kruczoczarny kosmyk opadł jej na oczy i ogarnęła mnie niezrozumiała potrzeba, by go odgarnąć.

Przepełniła mnie odraza i odwróciłem się, mocno wpijając palce w udo. Dlaczego ostatnio tak łatwo się rozpraszam? Wiedziałem, na czym polega misja – miałem za wszelką cenę zdobyć zwój, a następnie wrócić z nim do lady Hanshou. Tymczasem znalazłem się tutaj, z tą dziewczyną i nieokrzesanym roninem. Co więcej, wiązało mnie przyrzeczenie.

Na mgnienie zacząłem się wahać. Na jedno uderzenie serca straciłem czujność i odraza rozpalila się, przechodząc w gorący gniew. Zdjęła mnie przemożna ochota, by poderwać się i zamordować bezużytecznych towarzyszy, ściąć ich we śnie i patrzeć, jak krew zalewa podłogę i syczy na węglach paleniska.

Bezszelestnie wstałem i wszedłem głębiej do izby z dłonią na rękojeści miecza. Mój cień padł na śpiącą spokojnie na sienniku

Yumeko. To byłoby takie łatwe, pomyślałem, spoglądając na jej odsłonięty kark, blady w księżycowej poświacie. O tym, że zostali zabici, dowiedzieliby się dopiero, gdyby ocknęli się jako *yurei* lub w następnej krainie, a ja mógłbym swobodnie wznowić poszukiwania zwoju. Wcale nie musiałem dotrzymywać obietnic. Byłem zabójcą demonów z klanu Kage, najlepszym *shinobi* Klanu Cienia. Honor i ludzkie życie nie miały dla mnie żadnej wartości.

Chwyciłem miecz mocniej i zacząłem wysuwać go z pochwy.

Nie, Hakaimono! Dosyć!

Odebrałem kontrolę demonowi, wcisnąłem ostrze z powrotem i odszedłem od śpiącej Yumeko. Słaniając się, wyszedłem przed chatę. Skryłem twarz w dłoniach i spróbowałem głębokimi oddechami oczyścić umysł z wściekłości i pragnienia mordy. Hakaimono walczył, za nic nie chciał skapitulować, furia i przemoc wciąż śpiewały w mym sercu swe pieśni. Zamknąłem oczy, przywołałem z pamięci mantrę, której nauczył mnie *sensei*, i zacząłem ją w duchu powtarzać niczym sutrę.

Bądź niczym. Nie jesteś człowiekiem, jesteś bronią. Broń nie czuje. Broń jest wolna od emocji, które mogłyby stępić lub powstrzymać jej ostrze. Nie czuj niczego. Niczego nie żałuj. Jesteś zaledwie cieniem, pustym i bezdusznym. Jesteś niczym.

– Jestem niczym – powtórzyłem szeptem i Hakaimono zaczął się cofać. – Jestem orężem w rękach Kage. Nie zdradzę klanu, nie zawiodę i wypełnię tę misję do końca.

Kiedy znowu podniosłem powieki, panowałem już nad sobą w pełni. Gniew, niepewność i zwątpienie zniknęły z mojego ciała, pozostawiając po sobie zimną świadomość, że nie wolno mi nawet na moment tracić czujności, że nie mogę pozwolić, by ktokolwiek lub cokolwiek zmąciło moją koncentrację. Tym razem Hakaimono zrezygnował z dalszej walki, ale wydarzenia sprzed chwili dobitnie mi przypomniały, o jaką stawkę toczy się ta gra. Udało mi się w porę pohamować, lecz gdyby miecz posmakował krwi, mógłbym wymordować całą wieś, zanim demon poczułby się nasycony. A zacząłbym od Yumeko, dziewczyny, którą przyrzekłem chronić.

Yumeko. Zmrużyłem oczy. To Yumeko wytrącała mnie z równowagi: intrygująca, zaskakująca, niebezpieczna. Nie rozumiałem, dlaczego ta chłopka tak silnie na mnie działa, ale to nie mogło trwać dłużej. Hakaimono czyhał, chciał, bym popadł w fałszywe poczucie bezpieczeństwa, pozwalając mu na podjęcie kolejnej próby przejęcia kontroli. Dzisiejszej nocy niemal dopiął swego. Nie mogłem pozwolić, aby coś podobnego się powtórzyło.

Ciszę zmaćło ciche dzwonięcie.

Podniosłem wzrok. Na wijącej się obok chaty drodze stał mnich – mglista, rozmyta w księżycowym blasku sylwetka. Odziany był w czerń, miał szerokoskrzydły słomiany kapelusz i ścisnął w dłoni laskę, do której wierzchołka przymocowane były cztery metalowe pierścienie. Wszystko zgodnie z opisem Yumeko. Nie odrywając ode mnie oczu, uniósł swój kij, wskazał nim wzdłuż ścieżki i... zniknął.

Nieufny, lecz świadomy, że znaków, jakie ukazują umarli, nie wolno ignorować, obszedłem ostrożnie dom i spojrzałem w dół na cmentarz.

Cmentarz, który nie był już pusty.

Wszystko skąpane było w przedziwnym, chorobliwie zielonym blasku, oświetlającym dziesiątki snujących się między nagrobkami sylwetek. Były to nagie, zasuszone istoty o patykowatych kończynach i rozdętych brzuchach. Przypominające z grubsza ludzi, mocno zgarbione stworzenia poruszały się na dwóch nogach bądź pełzały po ziemi niczym zwierzęta. W rozdziawionych ustach pobłyskiwały rzędy nierównych, nadkruszonych zębów.

Gaki.

Przykucnąłem w cieniu chaty. Dotarło do mnie, jak bardzo się wcześniej pomyliłem. Wioska faktycznie była nawiedzona, ale nie przez samotnego *yurei*. *Gaki* były upiornymi duchami chciwych lub niktzemnych ludzi, którzy powracali z grobu obciążeni klątwą wiecznego głodu. Nieważne, ile zjadły, straszliwie cierpiały i nic nie mogło uśmierzyć ich bólu. Istotom tego rodzaju należało się współczucie, a pojedynczy *gaki* nie stanowił zazwyczaj żadnego zagrożenia, lecz przy braku dostępnego pożywienia potrafiły

uciekać się do przemocy, łaknąć czegokolwiek, jedzenia żywego albo martwego, którym mogły wypełnić trawione głodem brzuchy.

Kiedy tak obserwowałem człapiące pośród grobów *gaki*, uświadomiłem sobie coś, co przy pewnej pomocy Hakaimono przepełniło moje serce lodowatą furją. Wieśniacy o tym wiedzieli. Teraz przyczyna ich lęklivego wyczekiwania stała się dla mnie jasna. Nie byliśmy tu wcale „honorowymi gośćmi”, jak wmawiał nam naczelnik. Byliśmy złożonymi *gaki* ofiarami.

Wycofałem się ostrożnie i nagle zrozumiałem, że nie jestem sam. Obok mnie stał mnich i również przyglądał się upiorom oczyma skrytymi w cieniu kapelusza. Zanim zdążyłem zareagować, uniósł kij i mocno uderzył nim o ziemię. Pierścienie zabłyśły w ciemności i zabrzęczały. Metaliczny odgłos rozległ się w nocnej ciszy donośnie niczym dźwięk gongu. *Gaki* jak jeden mąż zwróciły się w moją stronę i skupiły na mnie spojrzenia gorejących oczu.

Puściłem się biegiem dokładnie w chwili, w której rozległy się wycia i przeraźliwe wrzaski, a upiory ruszyły naprzód, przesadzając bambusowy płotek i wlewając się falą na wzgórze. Wpadłem do chaty, zignorowałem chrapiącego ronina i chwyciłem dziewczynę za ramię.

– Yumeko! – Gdy poderwałem ją z siennika, otworzyła oczy i przyjrzała mi się zdumiona, sennie mrugając. – Wstawaj! – warknąłem, stawiając ją do pionu.

– Tatsumi? Co ty ro...?

Przerwał jej donośny skrzek. W otwartych drzwiach pojawiła się wychudła, skręcona z bólu postać. *Gaki* rozdziawił usta, zaskrzeczał i rzucił się prosto ku nam, próbując nas chwycić zakrzywionymi jak ptasie szpony paznokciami. Yumeko cicho pisnęła. Wskoczyłem między nich, błysnął uwolniony z pochwy Kamigoroshi. Ostrze rozorało kościstą pierś i udreńczony duch zawył, zamieniając się w kilka smug czarno-zielonej mgły.

– Obudź ronina! – zawołałem, widząc w wejściu chaty kolejne upiory, połyskujące przepełnionymi obłędem i głodem oczyma. Zająłem pozycję w drzwiach i powitałem je, blokując drogę

mieczem. Hakaimono zapomniał już o gniewie. Płonął radością na myśl o zabijaniu i zalał potworną ciżbę fioletową poświatą.

Gaki zawyły i zaatakowały. Szczrzyły zęby, drapały pazurami. Ciąłem kolejno nacierające duchy, rąbałem kończyny i głowy, kroilem wychudłe ciała na pół. Przeciwnicy nie okazywali strachu ani instynktu samozachowawczego. Upiory rzucały się na stal w bezmyślnym zapamiętaniu, obłąkane wskutek przemożnego głodu. Kiedy ucinałem ramię, okaleczony stwór parł dalej, wyciągając ku mnie drugie bądź, po stracie obu, próbując kąsać. Niszczony rozplątywał się w nieziemskiej mgiełce, lecz bez przerwy zjawiały się następne. Wokół maleńkiej chaty zgromadził się nieprzebrany tłum. W pewnym momencie haczykowaty paznokiec sięgnął poza moją gardę i zadrapał mnie w szyję. Woń świeżej krwi pchnęła upiory jeszcze głębiej w objęcia szalu.

Coś zabrzęczało mi przy uchu, dosłownie o cal od policzka. Wypuszczona z łuku strzała wbiła się w czoło *gaki*, który natychmiast przeobraził się w mgłę. Gdy szykowałem się, by ciąć kolejnego, następny pierzasty pocisk przemknął mi między uniesionymi ramionami. Zjawa zawyła i zniknęła. W chaosie i bitewnej gorączce zdałem sobie sprawę, że ronin, szyjący z łuku przez niemal zasłonięte przede mną drzwi, albo jest naprawdę wybornym strzelcem, albo ma niesamowite wręcz szczęście.

– Co to za potwory? – zawołała gdzieś z tyłu Yumeko. – Czego chcą?

– *Gaki!* – odpowiedział równie głośno ronin. I znów strzała śmignęła niebezpiecznie blisko moich żeber, po czym ugodziła upiora w pękaty brzuch. – Wiecznie głodne dusze! Takich nie udobruchasz. Biedne bydlaki spróbują zjeść wszystko, co znajdą na swej drodze. Nas też.

Dosięgnął mnie jeszcze jeden pazur. Ten zaczepił się o mój rękaw, rozdzierając tkaninę i pozbawiając mnie kawałka skóry. Hakaimono gniewnie warknął i szarpnął się, żądając, bym go uwolnił, bym wyzwolił jego moc i rozniósł całą tę żalosalną horde.

Zignorowałem go, zdusiłem jego namowy. W tej chwili nie ufałem już ani sobie, ani mieczowi.

Wtem przy mojej głowie świsnęło coś większego od strzały i ugodziło *gaki* w twarz. Upiór zatoczył się do tyłu, a tuż przed nim spadła na ziemię okazała rzodkiew. Duch warknął, zignorował warzywo i ponownie rzucił się na mnie. Hakaimono cmoknął z zadowolenia, kiedy miecz rozplątał kościstą szyję. Głowa spadła, odbiła się od podłogi tuż przy rzodkwi i rozpląnęła we mgle.

Jeszcze kilka takich jadalnych darów przefrunęło między moimi wymachującymi ramionami, lecz tłoczące się w drzwiach *gaki* albo nie zwracały na ostrzał uwagi, albo po prostu odbijały warzywa w locie.

– Tradycyjne jedzenie chyba ich nie interesuje – wywnioskowała Yumeko, gdy zaciskając zęby, marzyłem już tylko o tym, by towarzysze nie rzucali niczego więcej przy mojej głowie. – Wydaje mi się, że mają ochotę wyłącznie na nas.

Coś skrzypnęło tuż nad nami.

– Okame! – zakrzyknęła dziewczyna. – Wchodzą przez dach!

– Cholera! – Zaśpiewała cięciwa, usłyszałem stuknięcie i wrzask. Upiór szczeł. – Sporo ich – zawołał ostrzegawczo ronin i doleciał nas szelest niszczonej strzechy, a wokół mnie sypnął słomiany deszcz. – Hej, Kage, jak tam na twoim froncie?

Ściąłem dwa następne nacierające *gaki* i spojrzałem ponad padającymi ciałami.

– Został mi jakiś tuzin – wysapałem, odskakując w tył, poza zasięg pazurów kolejnego przeciwnika, który umyślił sobie rozorać mi twarz. – Daj mi jeszcze kilka chwil. I chroń Yumeko.

Za moimi plecami znów rozległ się syk i wrzaski. Nie mogłem jednak odwrócić się od duchów szturmujących chatę od frontu. Usłyszałem tupot, przekleństwo ronina i mrozący krew w żyłach krzyk dziewczyny. Skróciłem ostatniego *gaki* o głowę i odwróciłem się, gotów ruszyć jej z odsieczą, mając nadzieję, że nie ujrzę jedynie rozszarpywanego przez potwory na podłodze, martwego ciała.

Ronin leżał na plecach w pobliżu paleniska. Łuk trzymał wyciągnięty przed siebie, jakby się przed czymś osłaniał. Obok niego stała Yumeko. W wyprostowanej wciąż dłoni ścisnęła *tanto*. Wokół niej snuły się ostatnie smużki zielonej mgły. Dziewczyna miała poszarpany, rozdarty pazurami upiora rękaw, lecz nie zauważyłem ani kropli krwi.

– Czy to... już wszystkie? – Popatrzyła na mnie, z trudem łapiąc oddech.

Skinąłem głową i wsunąłem Kamigoroshi do pochwy. W mojej piersi pojawiła się osobliwa iskra emocji. Dziewczyna przeżyła, była cała i zdrowa... Czy naprawdę poczułem właśnie ulgę?

– Tatsumi. – Yumeko podeszła i z troską obejrzała moją zadrapaną przez *gaki* szyję. Wyraźnie czułem, że sącząca się z rany krew moczy mi kołnierz. Także z ramienia szkarłatne krople kapały na drewnianą podłogę. – Zanim zastanowimy się, co dalej, trzeba cię opatrzyć. Masz jeszcze to swoje lekarstwo?

Zbliżyła się o kolejny krok i przypomniałem sobie jej dotyk na skórze, chłodny i miękki. Tak odmienny od poszturchiwań medyków Klanu Cienia. Tamci opiekowali się moimi obrażeniami szybko, brutalnie i skutecznie, nie szczędząc mi cierpienia. I jak we wszystkich sferach życia nauczyłem się traktować ból towarzyszący ich zabiegom jako coś normalnego. Jak zwykł powtarzać Ichiro-sensei: ból jest dobry. Oznacza, że wciąż żyjesz. Ale z Yumeko... był to, odkąd sięgam pamięcią, pierwszy raz, kiedy inny człowiek mnie dotknął i nie wyrządził mi krzywdy.

Zesztywniałem i cofnąłem się. Nie wolno mi się rozpraszać, napomniałem się w duchu. Żadnych uczuć, żadnych słabości. Gdybym dał się zauroczyć tej dziewczynie, gdybym zapragnął dotyku, któremu nie towarzyszy ból, Hakaimono skorzystałby z tej furtki i przeobraził mnie w demona.

– Nie – ostrzegłem zimnym tonem i Yumeko zamarła w zdumieniu. – Nie zbliżaj się do mnie. – Cofnąłem się jeszcze bardziej. – Nie potrzebuję twojej pomocy. Sam się sobą zajmę.

Wyraźnie zadziwiona zmarszczyła brwi, a w jej oczach zamajaczyło jeszcze inne uczucie. Zignorowałem to spojrzenie wraz z niejasnym doznaniem, które rozlało mi się w piersi, ominąłem dziewczynę i podszedłem do stojącego w kącie wiadra z wodą. Miałem misję i nie mogłem zawieść. Nie liczyło się nic poza zdobyciem zwoju i przekazaniem go lady Hanshou. Broń nie pyta swego właściciela o zamiary, nie kwestionuje celu, w jakim została stworzona. Broń istnieje po to, by słuchać rozkazów... i aby zabijać.

– *Oi* – rzucił ronin, wskazując na swoją twarz pokrytą płytkimi zadrapaniami. – A ze mną co? Wiesz, to nie jest makijaż z teatru kabuki.

– Dlaczego miałabym pomyśleć, że to makijaż, Okame-san?

– Nieważne – westchnął.

Yumeko wyciągnęła zza pasa szmatkę, podeszła do ronina, kucnęła i obejrzała skaleczenia.

– A co z *gaki*? – spytała, łagodnymi ruchami ocierając krew z jego policzków. – Myślicie, że może być ich więcej?

– Mam szczerą nadzieję, że nie. *Ite*. – Ronin wzdrygnął się, przez co dziewczyna ściągnęła czoło. – Przeklęte upiory. Cóż, niech się tylko rozjaśni. Przewiduję, że kilku chłopów umrze, błagając wrzaskami o litość.

– Dlaczego? – Yumeko opuściła ściereczkę i otworzyła szeroko oczy.

– Yumeko-chan. – Ronin westchnął i pokręcił głową. – Przecież to była oczywista pułapka. Naczelnik wiedział o *gaki*. Ba, cała wioska wiedziała. Byliśmy tutaj przynętą. Równie dobrze mogli przywiązać nam dzwonki do szyj. Dla mnie to jasne i myślę, że Kage-san tylko mnie poprze, prawda, samuraju?

– Spodziewali się, że zginiemy – przytaknąłem, nakładając balsam na ranę. – Dlatego tak im zależało, byśmy zgodzili się tu przenocować. Chcieli, by duchy najadły się nami i zostawiły wieś w spokoju.

– Otóż to. – Ronin pokiwał ponuro głową. – Ale teraz jestem bardzo żywy i bardzo wściekły. – Odebrał dziewczynie szmatkę,

wstał i podszedł do mnie. – Więc, Kage-san – spojrzał na mnie z góry – moim zdaniem tym chłopom należy się odpłata. Co ty na to, byśmy włamali się do domu naczelnika, zatknęli jego łeb na kiju dla *gaki*, a całą tę dziurę puścili z dymem?



ROZMOWA Z YUREI

On chyba nie mówi poważnie? Wpatrywałam się w ronina, który z malującym się na twarzy wyczekiwaniem stał nad Tatsumim. Wprawdzie na jego ustach majaczył posępny uśmiech, lecz oczy miał zimne i groźne, żądne zemsty.

Mówił najzupełniej poważnie.

– Okame-san, nie możesz – sprzeciwiłam się. – Przecież ci górale nie mają nawet broni. Nie możemy wymordować ludzi w ich własnych domach.

– Może ty nie możesz. – Złowróżbny uśmiech ronina opromienił całą jego twarz, a uniesione wargi odsłoniły spiczaste końcówki kłów. – Ja natomiast nie reaguję życzliwie, kiedy ktoś chce mną wykarmić stado upiorów. Zwłaszcza jeśli robią to zdradzieckie, zakłamane kmioty. Moim zdaniem trzeba zrównać z ziemią przynajmniej dom Manzo, a jego głowę najlepiej zawiesić na tej

tabliczce przed wsią, ku przestrodze dla innych podróżnych. Co ty na to, Kage?

Tatsumi oplótł ranne ramię paskiem materiału i mocno zacisnął opatrunek zębami.

– Nie.

– Nie? – Ronin niepomnie się zdziwił, a mnie zalała obezwładniająca ulga. – Dlaczego nie, do cholery? Jesteś przecież samurajem. Ci górale próbowali nas zabić.

– Moja misja nie wymaga palenia wiosek. – Tatsumi nawet nie podniósł wzroku. – To byłaby jedynie strata czasu. Jeśli chcesz, zostań i mścij się, mnie nic do tego. Yumeko i ja wyruszamy stąd o świcie.

– Jak sobie chcesz – prychnął z odrazą Okame. – Choć, przyznaję, dostrzegam w tym pewną poetycką sprawiedliwość. Niech tych chłopów pożrą ich własne upiory. Założę się, że za parę lat nie będzie w tej wiosce żywej duszy, zostanie tylko cmentarz pełen głodnych duchów.

– A właściwie dlaczego tyle tu *gaki*? – spytałam. – Skąd one się biorą? Wychodzą po prostu spod ziemi, głodne i rozjuszone?

– *Gaki* to dusze ludzi, którzy za życia mieli pazerne serca i których egoizm wyrządził wiele złego – odpowiedział Tatsumi. – Cierpią za karę. Ich głód nie ustanie nigdy. Aby przejść do kolejnej dziedziny, muszą wycierpieć tyle, ile trzeba.

– Przecież ci górale wcale nie byli pazerni. Wręcz przeciwnie – przypomniałam. – Sami widzieliście. Prawie przemocą wciskali nam swoje zapasy.

– Może mają nadzieję, że dzięki temu gdy zostaną w końcu pożarci, nie powrócą jako *gaki*. – Okame wzruszył ramionami. – Mam wrażenie, że można z tego jakoś niewybrednie zadrwić, ale jestem na to zbyt zmęczony.

– Coś się tu nie zgadza. – Pokręciłam głową, podeszłam do drzwi i popatrzyłam na ścieżkę. – W tej wiosce kryje się coś poza *gaki*. I jestem przekonana, że mnich ma z tym jakiś związek.

– Mnich? – W głosie Okame zabrzmiało zdziwienie. – Jaki mnich?

– *Yurei*, który... nieważne. Trzeba pomówić z naczelnikiem. – Odwróciłam się z powrotem w głąb chaty. Ronin wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem, lecz ja spojrzałam w oczy Tatsumiemu. – Myślę, że on nam wytłumaczy, co się tu dzieje. Przeżyliśmy atak upiorów. Nie spodziewają się, że znów pojawimy się w wiosce. Będzie tak zdziwiony, że wszystko nam powie.

Tatsumi nie skomentował.

– Naprawdę nie chcesz się przekonać, o co tu chodzi? – Zmarszczyłam czoło. – Nie jesteś nawet troszeczkę ciekaw?

– Nie.

– Cóż, ja jestem.

– Ja też – oświadczył ku mojemu zaskoczeniu Okame. – Z przyjemnością utnę sobie pogawędkę z naszym przesympatycznym naczelnikiem i zapytam, dlaczego karmi miejscowe *gaki* niewinnymi podróżnymi. Co więcej, uważam, że powinniśmy odwiedzić go od razu. – Podszedł do wyjścia, wyjrzał i ostrożnie rozejrzał się dokoła. – Duchów nie widzę – mruknął. – A jeśli nawet jakiegoś spotkamy, to wiemy już, że można je zabić... odpędzić, czy jak to się mówi. No, to co? – Zerknął z wyzywającym uśmiechem przez ramię do izby. – Idziemy złożyć wizytę Manzo. Dołączysz, Kage-san?

Tatsumi wciąż nie odzywał się słowem. Obserwował nas z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Ostatecznie wstał zwinnie z podłogi, wsunął Kamigoroshi za pas i ruszył przed siebie. Kiedy się zbliżył, poczułam dziwne ssanie w dołku, a serce zabiło mi żywiej.

– Załatwmy to szybko.



Do domu naczelnika szliśmy uważnie obserwowani przez górali. Wyglądało na to, że dzisiejszej nocy nikt we wsi nie zmrzął oka. Na zewnątrz nie było nikogo, lecz widziałam, jak zerkają przez szczeliny w oknach, widziałam szeroko otwarte, zdumione i wylęknione oczy. Nie spodziewali się, że wyjdziemy cało ze starcia z hordą *gaki*, i rozsądnie trzymali się na dystans. Po drodze nikt nas nie niepokoił. Wreszcie przeszliśmy przez bramę, wspięliśmy się na schodki i zatrzymaliśmy przed wejściem do domu naczelnika. Dopiero teraz zauważyłam, że drzwi wykonane są z ciężkiego, wzmacnianego drewna, a na ich powierzchni widnieje kilkanaście podłużnych zadrapań.

Drzwi były zaryglowane od środka, co akurat zupełnie nas nie zdziwiło. Okame kilka razy szarpnął za klamkę, po czym cofnął się z chmurnym uśmiechem.

– Kage-san? – Ronin rzucił okiem na Tatsumiego i skinął na drzwi. – Zechcesz z łaski swojej?

Błysnął wysuwany z pochwy miecz. Ostrze rozcięło grube drewno równie łatwo jak ryżowy papier. Okame podszedł bliżej i stuknął w drzwi palcem. Jęknęły i nie stawiając oporu, uchyliły się do środka.

Ostrożnie weszliśmy za próg. W przedsionku nie było nikogo, ale z jednego z dalszych pomieszczeń płynęło nagle światło, pełgające na podłodze i ścianach. Otworzyliśmy drzwi i ujraliśmy klęczącego na środku pokoju naczelnika. Blask żarzących się w koksowniku węgli kładł mu się na twarzy czerwoną poświatą.

Ledwie nas zobaczył, padł na twarz i z całej siły przycisnął czoło do parkietu.

– Zmiłujcie się! – doleciał nas stłumiony głos, przerażony Manzo dygotał na całym ciele. – Litości, o wielcy panowie! Zabijcie mnie, jeśli musicie, lecz oszczędźcie wioskę! Ci ludzie niczym nie zasłużyli na wasz gniew.

– Czyżby? – Ronin zaplótł ręce na piersi. – Chcesz mi wmówić, że nie próbowali zaserwować nas *gaki* na kolację? Że nikt nie miał pojęcia, co się tutaj dzieje? – Prychnął z niedowierzaniem. – O ja

niemądry, o ja głupi. Sam nie wiem, czemu pomyślałem, że cała wieś próbowała rzucić nas duchom na pożarcie.

– Ale oni naprawdę próbowali. Przecież właśnie po to... – Ściągnęłam niepewnie brwi. – Ach... znów ten sarkazm. Rozumiem.

– Błagam. – Naczelnik nie odrywał twarzy od podłogi. – Mieście litość. Byliśmy zdesperowani. Widzieliście, co się tu dzieje. Nie macie pojęcia, jak wygląda życie z tymi potworami. Nie wiedzieliśmy, co innego począć.

– *Gaki* nie są nieśmiertelne. Można je zabić – zauważył Tatsumi głosem surowym i nieprzejednanym. – Gdyby twoi ludzie spróbowali przeciwko nim wystąpić, upiorów nie byłoby aż tyle.

– Próbowaliśmy! Próbowaliśmy je zabijać. Paliliśmy, obcinaliśmy im ręce i nogi. Wabiliśmy w podziemne pułapki. Ale czego byśmy nie obmyślili, ilu byśmy się nie pozbyli, zawsze i tak wracają. – Wylęknięty, skulony Manzo zacisnął pięści. – To część klątwy! Przekleństwa, jakim obłożył nas ten cholerny mnich. To przez niego *gaki* będą nas dręczyć po kres naszych dni i jeszcze potem.

Ach, teraz wszystko zaczęło się układać w sensowną całość.

– O jakiej klątwie mówisz? – Podeszłam bliżej. – Widzieliśmy tego mnicha. To on sprowadził tu upiory?

– Pokazał się wam? Litościwy Jinkei, czy jego nic nie zaspokoi? – Naczelnik raz jeszcze gwałtownie zadrżał, usiadł prosto i zamknął oczy. – Cóż, chyba nie ma już sensu niczego ukrywać – szepnął. – Usiądźcie, proszę, a wyjawię wam największy sekret Yamatori i opowiem wam o naszym największym wstydzie.

Okame i ja uklękliśmy na matach *tatami*. Tatsumi został w drzwiach, lecz Manzo nie zwrócił na niego większej uwagi.

– Ta wieś – zaczął naczelnik – zawsze była szczęśliwa. Powiada się, że kiedy naczelnikiem był mój prapradziadek, zawarł umowę z Ojinari, *kami* urodzaju, dzięki której ziemia zawsze pozostawała urodzajna, pod warunkiem że chłopci należycie o nią dbali. Jedzenia zawsze było tu pod dostatkiem, nawet pod koniec roku, gdy należało spłacić podatek i *daimyo* odbierał swoją część ryżu. Tutejszych pól

nie miały się choroby ani susze. W strumieniach i jeziorach pleniły się ryby, a w ogródkach, mimo że niewielkie, rosły piękne warzywa. Nigdy nie byliśmy bogaczami, lecz nigdy też głód nie zaglądał nam w oczy. Rozumieliśmy, że to olbrzymie szczęście, że wiedzie się nam lepiej niż innym wsiom, w których co zimę ludziom groziła śmierć z powodu braku jedzenia. I zawsze za to błogosławieństwo gorąco dziękowaliśmy *kami*. Niemniej – mówił dalej – w miarę jak mijały dziesięciolecia, w sercach naszych chłopów zagościł strach. Obawiali się, że inni mogą odkryć bogactwa i spichlerze Yamatori i spróbują wszystko odebrać. Jesteśmy niewielką osadą, odciętą od całego świata. Gdyby wieść o naszej pomyślności się rozeszła, mogli nam spaść na karki ronini lub bandyci, którzy pozbawiliby nas jedzenia. I w wiosce już nigdy nie zagościłby spokój. Tak właśnie myśleliśmy. Błędnie, przyznaję. Mimo że zbiory wciąż były udane, zaczęliśmy gromadzić olbrzymie zapasy, ukrywaliśmy jedzenie jak wiewiórki zakopujące orzechy. Nielicznym zagląającym w te strony wędrowcom tłumaczyliśmy, że jesteśmy ubogimi chłopami, którzy z trudem napełniają własne żołądki, i odprawialiśmy wszystkich z niczym. Aż wreszcie, pewnej nocy w środku najbardziej mroźnego z zimowych miesięcy, w Yamatori pojawił się mnich. Krążył od chaty do chaty i prosił. O miskę ryżu, o jednego ziemniaka, o cokolwiek. Wioska go odtrąciła. Mój pradziadek rozkazał sąsiadom pozamykać drzwi i zaczekać, aż mnich odejdzie. Duchowny zatrzymał się w wiosce na trzy dni. Siedział na śniegu, ubrany jedynie w cienką szatę i kapelusz. Proponował, że w zamian za kęs strawy pomodli się w intencji naszych bliskich, że pobłogosławi pola. Nie wsparł go nikt. Nikt nie dał mu choćby okrucha. Wieśniacy udawali, że go nie słyszą i że nie widzą, jak marnieje z głodu, aczkolwiek nikomu nie poskarżył się nawet słowem. W końcu, trzeciego dnia, znaleziono mnicha przed drzwiami naczelnika. Był zamarznięty na kość. W zeszywniałych palcach ścisnął skrawek papieru. Własną krwią spisał na nim klątwę, która miała ukarać nas za pazerność. Po trzech miesiącach, odkąd pochowano go na pobliskim cmentarzu, córka jednego z wieśniaków przewróciła się prosto na sierp i umarła. Ją

również pogrzebano na tym cmentarzu, razem ze wszystkimi umarłymi. Nocą jednak powróciła gniewna i brutalna. Włamała się do rodzinnego domu i rozszarpała wszystkich na kawałki. Miesiąc później powróciła cała ta rodzina. Snuli się wygłodniali, poszukując ciepłych ciał do pożarcia. Ich straszliwy głód pochłaniał coraz to kolejne istnienia. W ten sposób rozpoczął się cykl – dokończył Manzo, wpatrując się w nas ponurymi, nawiedzonymi oczyma. – Co miesiąc w każdą z trzech ostatnich nocy, na pamiątkę trzech nocy, które spędził w Yamatori głodujący mnich, wygłodniałe duchy wstają z grobów i przychodzą do wioski. Nie interesuje ich zwyczajne jedzenie. Ofiary z ryżu, warzyw czy sake zostawiają nietknięte. Zjadać chcą wyłącznie ciało żywych ludzi, swych dawnych krewnych. *Gaki*, które ukazały się wam dzisiaj... wszystko to nasi zmarli bliscy, nasi krewni, którzy odeszli dlatego, że mnich wyzionał ducha przed drzwiami tego domu. Mnich stał się *onryo*, mściwym upiorem, którego klątwa wciąż karze nas za chciwość przodków.

– Dlaczego się po prostu nie przeniesiecie? – zapytał Okame, kiedy naczelnik umilkł. – Tak byłoby chyba najprościej. Moglibyście się spakować i poszukać nowej wioski. Cmentarz i głodne upiory zostałyby po prostu tutaj.

– To nie takie proste. – Manzo pokręcił głową. – Oczywiście, że niektórzy próbowali umykać. Lecz klątwa podążała za nimi. *Gaki*, duchy krewnych, nękały ich wszędzie, z tym że nie pojawiały się już tylko w trzy ostatnie noce miesiąca, a codziennie. Wszyscy, którzy z Yamatori uciekli, albo wrócili do wioski z sercami pełnymi grozy, albo zginęli i sami stali się upiorami. – Naczelnik spojrział na zewnątrz martwym, pustym wzrokiem. – Nie ma ucieczki. Jesteśmy w pułapce i klątwa będzie nas dręczyć, dopóki nie zostanie już nikt, dopóki wszyscy nie przemienimy się w głodne duchy.

– Ha! – Okame raptownie wstał z klęczek. – Widzisz, rzeczywiście chciałem cię zabić za to, że rzuciłeś nas *gaki* na pożarcie, ale widzę, że życie was tu nie rozpieszcza, więc... – Zerknął

na mnie i uśmiechnął się pod nosem. – Co wy na to, żebyśmy się stąd wynieśli, zanim klątwa przejdzie i na nas?

– Możemy? – zastanowił się chmurnie Tatsumi. – Czy jeżeli spróbujemy opuścić wioskę, *gaki* zaczną dręczyć i nas?

– Nie – odparł przygnębiony naczelnik. – Wasi przodkowie nie wyrządzili mnichowi żadnej krzywdy. Klątwa was nie obejmie. Możecie stąd odejść, nie oglądając się za siebie. Naturalnie nie mógłbym mieć wam tego za złe. To nam należy się kara, nikomu innemu.

– A czy ktokolwiek spróbował z nim porozmawiać? – zainteresowałam się i martwe oczy Manzo skupiły się na mnie. – Z tym mnichem? Jego duch wciąż krąży po okolicy.

– Z mnichem... – Oblicze naczelnika zasnuł cień szczerzej grozy. – Od czasu do czasu rzeczywiście pokazuje się w wiosce – przyznał – ale zawsze szybko znika i nie mamy szansy się z nim rozmówić. Doszliśmy do wniosku, że to widmo to raczej skutek działania klątwy, rodzaj echa, a nie jego prawdziwy duch. – Zadrżał. – *Onryo*... Widywaliśmy go na cmentarzu. Spacerujący między grobami, świetlisty duch w bieli. Nikt jednak nie śmiał się zbliżyć. *Gaki* rozszarpałyby na strzępy każdego, kto by się odważył.

– A mnich pokazuje się tylko wtedy, kiedy upiory wychodzą na żer? – spytałam.

– Tak. Zupełnie jakby przybywał po to, by napawać się naszym strachem i nieszczęściem, jakby chciał się upewnić, że nadal cierpimy – stwierdził Manzo z westchnieniem. – Nie dziwi mnie jego gniew. Nasi przodkowie wyrządzili mu ogromną krzywdę. Boli mnie jednak świadomość, że moim losem jest stać się nikczemnym upiorem, żerującym na ciałach własnej rodziny. Nie mogę nawet odebrać sobie życia. Tak czy inaczej, powróciłbym jako jeden z nich.

– Yumeko... – rzucił ostrzegawczo stojący w korytarzu Tatsumi, jakby odczytał moje myśli. Udałam, że nie słyszę. Podniosłam się i zwróciłam do towarzyszy.

– Musimy im pomóc.

– Co? – Okame spojrział na mnie z niedowierzaniem. – Mamy wparadować na cmentarz, na którym roi się od *gaki*, żeby pogawędzić z duchem? Nie wiem, czy zauważyłaś, ale całkiem niedawno cudem uniknąłem pożarcia. Naprawdę z przyjemnością spędzę resztę życia, nie powtarzając tego fantastycznego doświadczenia.

Zignorowałam ronina i popatrzyłam w oczy Tatsumiemu, który oparł się o framugę i splótł ręce na piersi.

– Musimy, Tatsumi-san. Teraz kiedy poznaliśmy całą historię, nie możemy tak po prostu odejść, prawda? Ci ludzie dość już wycierpieli, a przecież nie oni byli celem jego gniewu. Może jeżeli zdołamy porozmawiać z mnichem, przekonamy go, by zdjął klątwę z mieszkańców wsi.

– Yumeko. – Tatsumi pokręcił głową z nieprzejeđnanym spojrzeniem. – Z mściwymi duchami nie sposób negocjować – stwierdził poważnie. – Gniew zepsuł im dusze, a żądy zemsty nie da się zaspokoić. Jeżeli mnich naprawdę stał się *onryo*, nie ma nadziei na przekonanie go, a jedyne, co możesz osiągnąć, to skupić jego złość na sobie.

Poczułam w brzuchu ukłucie strachu.

– Ale... chcę zaryzykować – powiedziałam. – To nie zajmie wiele czasu. Potrzebuję tylko, by ktoś odwrócił uwagę *gaki*, a ja pomówię z mnichem sama. Dzisiaj wypada ostatnia noc miesiąca – przypomniałam wojownikowi, który słuchał mnie ze zmrużonymi oczyma. – Jedyne moment, kiedy możemy to zrobić. Wraz z nadejściem świtu mnich zniknie razem z upiorami i możliwość zdjęcia klątwy przepadnie.

Tatsumi wpatrywał się we mnie jeszcze przez chwilę, po czym wypuścił wstrzymywane powietrze.

– Pójdiesz z nim pomówić ze mną lub beze mnie, mam rację? – mruknął.

Skinęłam głową.

– Nie władam co prawda mieczem i nie potrafię strzelać z łuku, lecz umiem rozmawiać z duchami i *kami*. Chcę pomóc i myślę, że do

tego akurat się nadaję.

Chłopak ponownie westchnął i rzucił okiem za drzwi.

– Nie mamy wiele czasu – stwierdził, na co moje serce zabiło żywiej. – Zjawy znikają zazwyczaj, kiedy na niebie pojawiają się pierwsze promienie słońca. Skoro mamy z tym mnichem porozmawiać, trzeba się za to zabrać od razu.

– Chwileczkę – warknął Okame, gdy ruszyliśmy do wyjścia. Wyciągnął zza pasa tykwę z sake, wyszarpnął korek, przytknął szyjkę do ust i wychylił duszkiem całą zawartość. Następnie otarł wargi, cisnął butelkę naczelnikowi i obdarzył nas szerokim uśmiechem. – Dobra, teraz i ja jestem gotowy.

Kiedy wyszliśmy z domu Manzo, w wiosce panowała grobowa cisza. Nad naszymi głowami przyświecał jasno księżyc, którego blask srebrzył chaty i rzucał mglistą aurę na majaczące w dali pola ryżowe. Nie zauważyłam ani jednego *gaki*, ale gdy zbliżyliśmy się do cmentarza, dostrzegłam bijące z dołu wzniesienia nikłe, zielonkawe światło.

Obeszliśmy domek dla gości i spojrzeliśmy wzdłuż zbocza.

Upiory wróciły. To znaczy ich część. Było ich zdecydowanie mniej, niż kiedy przypuściły na nas atak, lecz więcej, niż się spodziewałam, zważywszy na to, że Tatsumi wykończył wszystkie. Niestety, wtedy zabójca demonów walczył w chacie, gdzie miał luksus rozprawiania się z nimi jeden po drugim. Tutaj, na otwartym terenie, zmagania z wieloma przeciwnikami jednocześnie musiały być znacznie trudniejsze.

– I wy chcecie tam zejść... – Okame westchnął i skrzywił się, patrząc na błędzące między nagrobkami sylwetki. – Przyjemne to to nie będzie, ale cóż, prowadźcie.

– Zaczekaj. – Tatsumi zatrzymał nas gestem. – Może wcale nie będziemy musieli się bić.

Zerknęłam na niego. Chłopak zawahał się, jakby próbował rozstrzygnąć jakiś wewnętrzny spór, po czym wypuścił powietrze z płuc.

– Jeżeli zejdziemy tak po prostu, *gaki* rzucą się na nas od razu. Być może jednak uda mi się zastosować technikę, która na niedługi czas uczyni nas niewidzialnymi.

– Ha! – Ronin zaplótł ramiona na piersi. – Czyli jednak jesteś dotknięty przez *kami*. Tak myślałem. Zdradził cię między innymi ten upiorny, świecący miecz. – Zerknął przez ramię na stojącego za nami samuraja, po czym nachylił się ku mnie i podjął teatralnym szeptem: – Niektórzy opowiadają, że jeśli w klanie Kage przychodzi na świat dziecko dotknięte przez *kami*, odbiera się je rodzicom i wychowuje na *shinobi*.

Zmarszczyłam brwi.

– Kim są *shinobi*?

– To wojownicy cienia. Działający w ukryciu zabójcy. Atakują zawsze pod osłoną ciemności i podrzynają ofiarom gardła od tyłu lub we śnie. – Okame prychnął. – Wszystkie klany korzystają z ich usług, niech cię nie zwiodą bujdy o samurajskim honorze. Są jednak tacy, którzy twierdzą, że *shinobi* klanu Kage zdolni są przenikać przez ściany, stawać się cieniami, no i... bywają niewidzialni.

– A jeszcze inni mówią – doleciał nas złowróżbny szept Tatsumiego – że ludzie, którzy rozprowadzają plotki na temat *shinobi*, znikają w niewyjaśnionych okolicznościach i nigdy się nie odnajdują.

– O, w takim razie dobrze, że ja nie wierzę ludzkiej gadaninie.

W powietrzu poniosło się delikatne dzwonięcie.

Wszyscy popatrzyliśmy w dół zbocza. Przez cmentarz sunęła widmowa postać w bieli. Słomiany kapelusz i laska podskakiwały miarowo między kamiennymi nagrobkami. *Gaki* nie zwracały na mnicha uwagi. Kroczył powoli, z determinacją, zostawiając za sobą rozwiewające się na wietrze smugi mgły, aż wreszcie wszedł za pień potężnego cedru i straciliśmy go z oczu.

– Jest – szepnęłam i obejrzałam się za siebie. – Tatsumi, mówiłeś, że potrafisz sprowadzić nas na dół, nie alarmując upiórów?

Odziany w czerń wojownik cofnął się o krok i spojrzał na cmentarz ponuro.

– Tak, ale pod kilkoma warunkami. Czar działa tylko wtedy, jeśli sami zachowamy ciszę i nie będziemy rzucać się w oczy. Iluzja pryśnie przy najcichszym nawet szepcie i przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Podobnie skończy się, jeżeli zwrócimy uwagę *gaki* lub spojrzemy któremuś prosto w oczy. Tak więc bądź cicho, patrz w ziemię i trzymaj się blisko mnie. Poradzisz sobie?

– Ona? A co ze mną? – obruszył się Okame.

Tatsumi obrzucił ronina lodowatym spojrzeniem.

– Im więcej ludzi zabiorę, tym trudniej będzie mi podtrzymać zaklęcie. Już z jedną dodatkową osobą otrę się o kres możliwości. Dwoje oznaczałoby pewną klęskę. Dla wszystkich będzie lepiej, jeżeli zostaniesz tutaj.

– Chcesz się mnie pozbyć, Kage-san? Czuję się dotknięty. Byłoby mi strasznie przykro, gdyby pożarł mnie upiór.

– Marnie walczysz mieczem – rzucił bez ogródek Tatsumi, mrużąc oczy. – Jeśli *gaki* mimo wszystko nas wypatrzą, na nic byś się nie przydał. Sam nie ochroniłbyś Yumeko, a jedynie naraziłbyś was oboje.

Ronin pociągnął nosem.

– Naprawdę nie musisz od razu mnie obrażać, Kage-san. Nie mam prawa żądać od ciebie satysfakcji, ale mogę poczuć się urażony. I chyba tak właśnie się czuję.

– Znacznie lepiej radzisz sobie z łukiem – ciągnął Tatsumi, jakby nie słyszał. – Jeżeli czar zawiedzie i upiory zaatakują, chciałbym, żebyś osłaniał naszą ucieczkę z dystansu. Dzięki temu zabijesz *gaki*, zanim nas dopadną, a ja, jeśli stanie się najgorsze, nie będę musiał bronić naraz ciebie i dziewczyny.

– No... no chyba rzeczywiście masz trochę racji. Co przyznaję z niechęcią. – Okame westchnął i założył ręce na piersi. – Zgoda. Niezbyt mi się ten pomysł podoba, ale na magii znam się mniej więcej tak dobrze, jak na aranżacjach kwiatowych. Zostanę więc tutaj i przestrzelę łeb każdej paskudzie, która zanadto zbliży się do

Yumeko-chan... – Uśmiechnął się do mnie i skinął głową. – Powodzenia. Nie daj się zjeść. Dzięki tobie moje życie powoli zaczyna robić się ciekawe.

– Ty też na siebie uważaj – odpowiedziałam i spojrzałam na samuraja. – Dobrze, Tatsumi. Jestem gotowa. Co mam zrobić?

Chłopak ponownie się zawahał, lecz po chwili podał mi dłoń.

– Musimy się przez cały czas dotykać – oświadczył i z jakiegoś powodu w moim żołądku coś zatrzepotało niczym stado oszalałych ciem. – Zakłęcie obejmie nas oboje, ale nie powstało dla ochrony grup ludzi. Jeśli się rozłączymy, *gaki* cię zobaczą, więc bez względu na wszystko nie puszczaj.

Potaknęłam skinieniem, zaczerpnęłam po cichu głęboki oddech i wzięłam wojownika za rękę. Jego dłoń okazała się szorstka i pokryta odciskami, lecz palce miał długie i smukłe, prawie eleganckie. Serce zabiło mi żywiej, a ćmy w moim brzuchu natychmiast rozszalały się jeszcze bardziej.

Zapatrzony w nasze splecione dłonie Tatsumi zastygł, jakby walczył z odruchem ucieczki. Zerknęłam na niego ukradkiem i zobaczyłam w jego fiołkowych oczach iskrę emocji, nikłą sugestię niepewności i delikatny cień lęku. Trwało to jednak tylko przez mgnienie, zaraz potem oblicze chłopaka przesłoniła zwykła, zimna maska. Uniósł do twarzy dwa palce drugiej dłoni, przymknął oczy i zaczął coś melodyjnie deklamować, posługując się niezrozumiałymi dla mnie słowami.

W powietrzu zaszepotała moc, skupiająca się na Tatsumim energia. Zawirowała wokół nas chłodną pieśczęcią, wygaszając dźwięki i sprawiając, że cienie stały się jeszcze ciemniejsze. Gdzieś z boku Okame bezgłośnie zaklął, a ja poczułam się nagle bardzo dziwnie, jakby moje ciało straciło konkretność, a spływające spod nieba promienie księżycy przenikały mnie na wskroś.

Tatsumi otworzył oczy. Skrzące się, fioletowe kule zwróciły się w moją stronę, lecz nie ujrzałam w nich swojego odbicia.

– Idziemy – szepnął. – Pamiętaj, trzymaj się blisko, nie patrz na upiory i nie puszczaj mojej ręki. Gotowa?

Skinęłam głową, mocniej zaciskając palce na jego dłoni. Odwrócił się i ruszyliśmy w dół krętą, wąską ścieżką.

Między grobami rosło kilka sędziwych drzew. Strzeliste sosny i wielkie jak wieże cedry. Ledwie dotarliśmy na skraj cmentarza, mój przewodnik zszedł ze ścieżki i weszliśmy w cień rzucany przez leśne olbrzymy. *Gaki* wciąż pałętały się pośród nagrobnych kamieni. Patrzyłam w dół, lecz widziałam je kątem oka. Nagie, rozdęte ciała groteskowo lśniły w blasku księżyca. Serce kołatało mi przeraźliwie głośno, ale zgodnie z obietnicą Tatsumiego upiory nie zwracały na nas większej uwagi niż na spadające liście, i to mimo że kilka minęło nas w przerażająco niewielkiej odległości. W pewnym momencie chłopak przycisnął mnie mocno do pnia i wtulił się w korę tuż obok, a idący chwiejnym krokiem *gaki* przeszedł dosłownie o włos od niego. Przez kilka koszmarnych chwil duch stał niemal na wyciągnięcie ręki od nas. Słyszałam jego chrapliwy oddech, widziałam, jak się rozgląda, jakby przeczuwając, że coś lub ktoś jest w pobliżu. Zacisnęłam dłoń na rękojeści *tanto* i zamknęłam oczy, nie ważąc się poruszyć ani nawet oddychać. Trzymałam się tak daleko od Tatsumiego, jak tylko mogłam, z nadzieją, że nie wyczuje ukrytego w mojej *furoshiki* futerału. Gdyby teraz znalazł smoczy zwój, cmentarz i krążące po nim wygłodniały zjawy byłyby najmniejszym z mych zmartwień.

Wreszcie *gaki* odszedł, a kiedy kroki upiora ucichły, poczułam, że Tatsumi nieco się rozluźnił.

– Dalej – polecił szeptem. Oderwaliśmy się od pnia i weszliśmy głębiej w labirynt nagrobków.

Gdy przechodziliśmy skuleni między dwiema sosnami, dostrzegłam jakiś błysk. Zatrzymałam się i chwyciłam samuraja za rękaw.

– Tatsumi-san – szepnęłam – chyba widzę mnicha. O, tam.

Chłopak spojrzał za moim wyciągniętym palcem. W najdalszej części cmentarza, w cieniu trzech gigantycznych cedrów stał samotny kamień nagrobny. Ukośny promień księżycowego światła

spływał pomiędzy konarami, oświetlając pomnik i leżącą na nim laskę z metalowymi pierścieniami.

– Grób mnicha – wyszeptałam, kiedy część promienia widmowo zafalowała, oderwała się od nagrobka i podeszła nieco bliżej. *Yurei* w słomianym kapeluszu i z metalowym kosturem w ręku spojrział poprzez cmentarz prosto na mnie i uniósł eteryczną brew w zdziwieniu.

– Zobaczył nas – warknął *Tatsumi*.

Przeraźliwy wrzask zmroził mi krew w żyłach. Atakujący *gaki* rozdziawił usta niczym wściekły wilk i rzucił się na nas ponad nagrobkiem. *Tatsumi* zawirował w miejscu. *Kamigoroshi* opuścił pochwę i błyskawicznie ciął patykowate ciało od góry. Jednocześnie jednak chłopak wypuścił moją dłoń i poczułam wyraźnie, jak zakłęcie pryska, a skrywająca mnie magiczna zasłona pęka niczym pajęczyna, gdy ktoś rzuci w nią kamieniem. Upiory z całego cmentarza zwróciły się w naszym kierunku, w jaśniejących oczach płonął głód. Syki i wycie poniosły się pod samo niebo.

Tatsumi stanął przede mną. Zimny, fioletowy blask miecza zalał nagrobki. Identycznej barwy światłem zajaśniały chłodne oczy wojownika.

– Idź – ponaglił, kołysząc przed sobą ostrzem. – Porozmawiaj z mnichem. Zatrzymam je tak długo, jak tylko zdołam.

Spojrzałam na nadciągające *gaki*, rozdarta między ochotą, by pobiec do mnicha, a pokusą złapania za *tanto* i stanięcia u boku samuraja. Poczułam w dłoniach łaskotanie lisiej magii i zastanowiłam się, czy dobrze wymierzona kula *kitsune-bi* nie spowolniłaby upiorów. Wiedziałam oczywiście, że w ten sposób ujawniłabym swoją prawdziwą naturę.

Kiedy pierwszy *gaki* znalazł się blisko, coś świsnęło w powietrzu i uderzyło go w plecy. Duch zaskrzeczał i padł na twarz. Strzała utkwiała mu w karku i po chwili obrócił się w kłęb zielonej mgły. Zaraz potem drugi potwór drgnął i zawisł bezwładnie na nagrobku. Trzeci padł, wymachując ramionami, a wkrótce pochłonęła go nicość.

– Okame – wyszeptałam, ryzykując przelotne zerknięcie na szczyt wzgórza. Niewyraźna sylwetka ronina majaczyła na dachu domku dla gości. Jeszcze jeden upiór wrzasnął i runął w kępę chwastów. Tatsumi cierpliwie czekał na pierwszą falę przeciwników. Stał z mieczem luźno opuszczonym przy boku.

– Yumeko – odezwał się z nieziemskim spokojem, aczkolwiek wyłowiłam w jego tonie ukrytą, przerażającą nutę, ledwie hamowaną żądzę krwi, od której przebiegł mnie dreszcz. – Biegnij.

Pobiegłam.

Mknęłam wśród grobów, gnałam między rzędami kamieni, wypatrując upiornej bieli. Duch czekał na mnie w cieniu drzew, stał cierpliwie przy własnym grobie, z malującym się na bladej, jaśniejącej twarzy zadziwieniem. Uskoczyłam za jeden z kamiennych pomników i pazury upiора wyryły na jego powierzchni cztery jasne rysy. *Gaki* przeskoczył przez grób i sięgnął po mnie, szczerząc zęby. Pierzasty pocisk zafurkotał wśród nocy i ugodził głodną zjawę prosto w szyję. Duch zawył żałośnie i zniknął, a ja pomknęłam dalej.

Zdyszana zostawiłam wreszcie groby za sobą, obiegłam drzewo i nagle stanęłam tuż przed obliczem przezroczystej postaci w bieli.

– Cóż. – Głos mnicha przypominał drzenie lodowatego wichru, był jak echo dawno zapomnianego uczucia. Jego twarz to nabierała wyrazu, to zanikała, falowała jak odbicie w stawie, do którego ktoś wrzucił kamyk. – Niespodziankom tej nocy nie ma końca. Witaj, mała lisiczko. Co takiego sprowadza cię w mój samotny zakątek wioski?

Nabrałam powietrza. Nie zaskoczyło mnie, że duch zna moją tożsamość. Co więcej, nie mówił jak *onryo*, straszliwy duch zemsty, o jakim opowiadał Tatsumi. Głos mnicha tchnął spokojem, był nawet przyjemny dla ucha, choć nieco zbyt smutny.

– *Konbanwa, yurei-san* – zaczęłam, a gdzieś za mną rozległ się wrzask i błysnęło fioletowe światło. Tatsumi zgodnie z obietnicą trzymał *gaki* na dystans. – Och – zafrasowałam się – czy *yurei-san* to właściwa forma? Jesteś pierwszym duchem, z jakim rozmawiam.

Mgliste czoło przecięła zmarszczka, lecz mnich wydawał się raczej zakłopotany niż zły.

– Proszę, panie mnichu – podjęłam czym prędzej, na wypadek gdyby jednak się obraził. Ukłoniłam się i złożyłam dłonie. – Mieszkańcy tej wsi wiele już wycierpieli z rąk swoich bliskich. Przychodzę prosić, byś zdjął z nich klątwę. Wiele lat temu potraktowano cię okrutnie i niesprawiedliwie, ale żaden z żyjących dziś ludzi nie odpowiada za twoją śmierć. Poza tym snucie się pod postacią ducha musi być okropnie nudne. Jestem pewna, że twoje pragnienie zemsty zostało już dawno zaspokojone.

– Ach, mała lisiczko. – Duch pochylił głowę. – Chciałbym spełnić twą prośbę. Nie miałem zamiaru nakładać na wioskę aż tak strasznej klątwy. Byłem po prostu... zły. A czas zlewa się i miesza. Nie mam pojęcia, ile go upłynęło, odkąd przekląłem chciwość górali i zmarłem z zemstą na ustach. Chcę jedynie przejść dalej, dokończyć podróż do Meido, czy innego miejsca, które jest przeznaczeniem mej duszy.

Kilka kolejnych rozwrzeszczanych *gaki* zakończyło swój żywot na ostrzu miecza Tatsumiego. Złowieszcze zielone światła zajaśniały jednak nad kilkoma innymi grobami, z wolna przyjmując określone kształty. Materializowały się nowe upiory. Poczułam, że włoski na karku stają mi dęba, lecz *yurei* nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

– Niestety, klątwa przykuła mnie do tego świata – tłumaczył mnich. – Nie mogę odejść, dopóki nie zostanie zdjeta, a sam nie potrafię tego uczynić. Albo i potrafię, tylko zapomniałem jak. – Jego ramiona opadły. Uniósł widmową dłoń do twarzy. – Jestem zmęczony – wyszeptał. – Zmęczony trwaniem, krążeniem po tej maleńkiej osadzie w otoczeniu potworów, które sam sprowadziłem na świat. Bez przerwy obserwuję chłopów z nadzieją, że któryś znajdzie w sobie odwagę i spróbuje zdjąć klątwę, lecz zanedo się boją przychodzić na cmentarz. Czemu się zresztą nie dziwię. – Rzucił okiem na niebo. Ponad wierzchołkami drzew pojawiła się nikła, różowa luna. – Już niemal świta – zauważył duch. – *Gaki* znikną na kolejny miesiąc, a ja nadal będę tu krążyć.

– Naprawdę nie możesz nic zrobić? – spytałam, czując w sercu płomyk desperacji.

Zjawa pokręciła głową i rzuciła mi smętne, zrezygnowane spojrzenie.

– Przychodząc tu, wykazałaś się niemałą odwagą, *kitsune*. – Mnich zaczął się cofać. – Ale nie pochodzisz z tej wsi i nie możesz zdjąć z niej klątwy. O ile tę klątwę w ogóle można zdjąć...

– *Omachi kudasai!* – okrzyk rozległ się gdzieś za mną, wysoki i przepełniony strachem.

Odwróciłam się i zobaczyłam kogoś biegnącego co sił w nogach przez cmentarz. W wyciągniętych rękach mocno coś ścisnął.

– Zaczekaj, proszę! – powtórzył wołanie i aż zamrugałam ze zdumienia.

Naczelnik? Co on tu robi?

– Proszę! – krzyknął Manzo, zwracając uwagę wszystkich *gaki* w okolicy. – Panie mnichu, wysłuchaj mnie! Błagam!

Upiory z warkotem rzuciły się wielkimi susami za naczelnikiem. Jeden z nich wskoczył na nagrobek i przyczaił się, lecz celnie wymierzona strzała strąciła go z powrotem na ziemię. Gdy Manzo mijał Tatsumiego, inny głodny duch odwrócił się i spróbował chwycić biegnącego. Miecz samuraja rozciął z sykiem powietrze i rozpołowił potwora, ale ostre pazury zdążyły pozostawić na szyi naczelnika krwawą szramę. Ranny zachwiał się i niemal upadł, jakimś cudem odzyskał jednak równowagę i pognął dalej.

Wreszcie dobiegł do nas i natychmiast rzucił się twarzą w trawę.

– Wybacz nam, panie mnichu! – zawołał, unosząc przed siebie to, co przyniósł z takim poświęceniem. Miskę pełną ryżu. – Źle postąpiliśmy, skazując cię na cierpienie. Już nigdy nie pozwolimy, by choć jeden podróżny zaznał w naszej wiosce głodu. Proszę... – Podniósł miskę jeszcze wyżej, wciąż wciskając czoło w ziemię. – Przyjmij ten dar, symbol naszego żalu i skruchy. A jeśli tego wymaga twoja zemsta, zabierz i moje życie. Oddam je w zamian za życie pozostałych. Zmień mnie w *gaki*, zaciągnij prosto do Jigoku, to nie

ma znaczenia. Zrób, cokolwiek musisz, byś mógł ruszyć dalej i zostawić nas w spokoju.

Z sercem w gardle popatrzyłam na mnicha. Duch przyglądał się wyciągniętemu przed nim Manzo z malującym się na twarzy oszołomieniem. Za nami wciąż wyły i skrzeczały rzucające się na Tatsumiego upiory, słyhać też było świst strzał Okame, który zabijał je jeden po drugim. Naczelnik wioski i zjawa zapomnieli jednak o całym świecie.

Wtem twarz ducha rozświetlił uśmiech, a z oka spłynęła mu samotna, srebrna łza, która kapnęła na ziemię i natychmiast przeobraziła się w pasemko mgły.

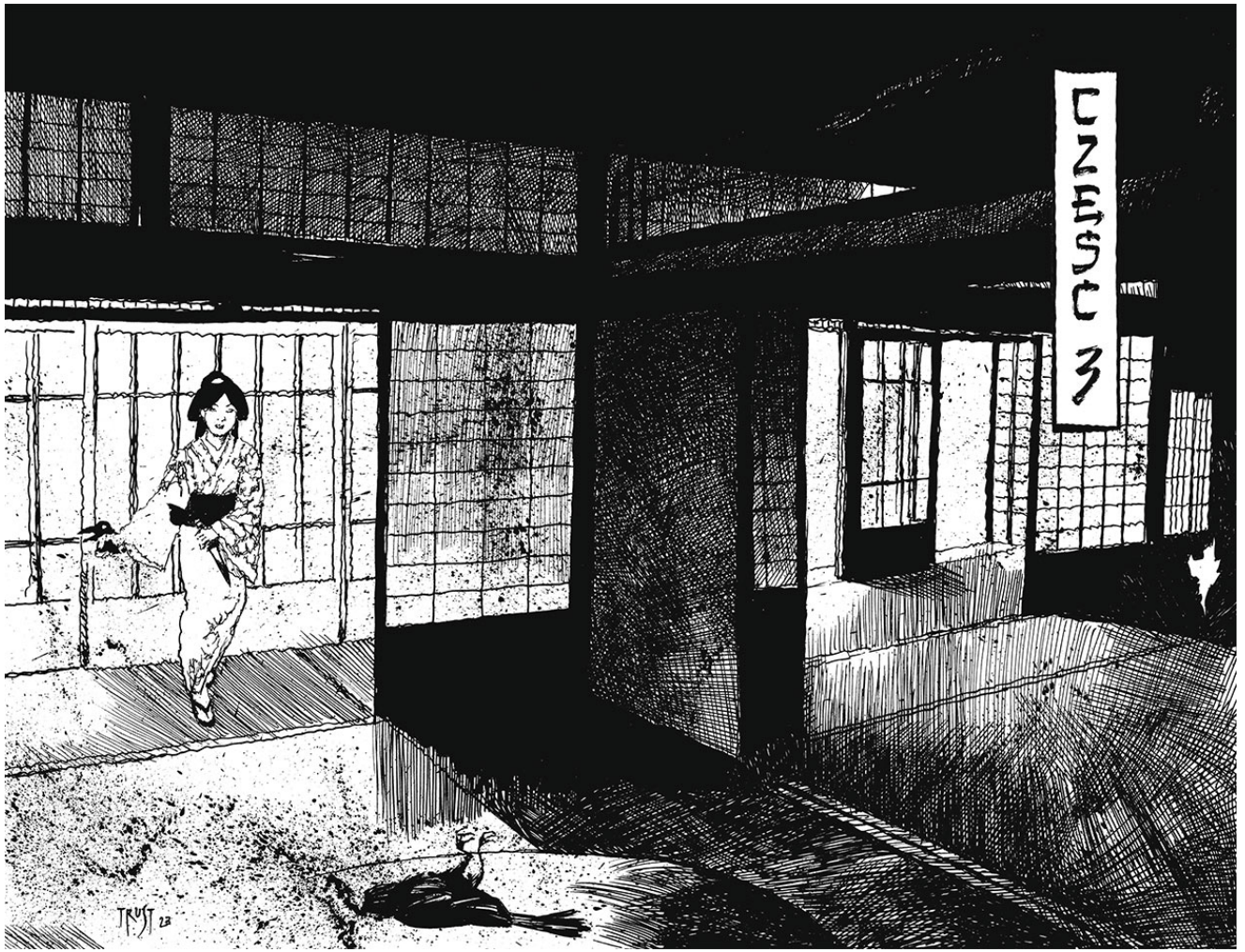
– Niczego więcej nie chciałem – wyszeptał. – Niczego ponad miseczkę ryżu. Zwyczajny, dobry gest. Ale przecież nawet w obliczu okrucieństwa nie powinienem był tak bardzo dać się ponieść gniewowi. Ta klątwa była również karą dla mnie. – W spojrzeniu mnicha zagościł łagodny spokój. – Myślę, że wszyscy dość już wycierpieliśmy. – Ukłonił się.

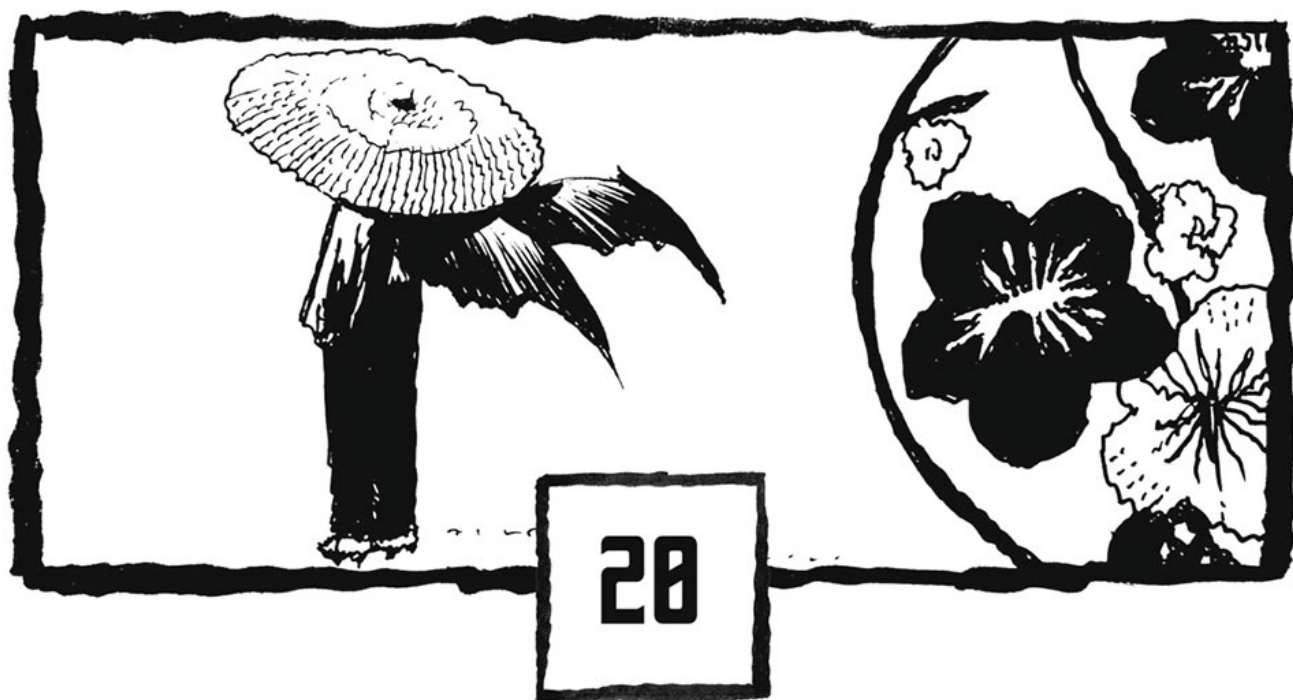
Skowyt ucichł. Rozejrzałam się po cmentarzu. Głodne upiory stanęły w bezruchu, wyraźnie zagubione. Zastygły nawet te, które walczyły właśnie z Tatsumim. Ramiona opadły im do boków, oblicza zwiotczały. Na moich oczach zafalowały, ich ciała stały się przezroczyście i powoli zaczęły zanikać. Z każdego upiora wystrzeliła ku górze świetlista kula biało-niebieskiego światła i wkrótce ich nieziemski blask zalał całą okolicę. Puste skorupy *gaki* przeobraziły się w mleczone opary, które niemal od razu porwał wiatr.

– *Arigatou* – wyszeptał mnich i ponownie na niego spojrzałam. On również znikał. Widmowa postać gasła coraz bardziej i bardziej. – Dziękuję – powtórzył z uśmiechem. – Sama nie mogłaś zdjąć tej klątwy, lecz twoja odwaga oświetliła drogę komu innemu. Niech *kami* mają cię w swej opiece. Obyś nigdy nie straciła ognia, który ogrzewa twą duszę.

– Bezpiecznej podróży, panie mnichu – pożegnałam się. – Niech twoja wędrówka na drugą stronę będzie szybka i łatwa, niech Jinkei oświetla twój szlak, byś nigdy nie musiał się potykać.

Duch ukłonił mi się raz jeszcze i chwilę później przeobraził w świetlistą kulę, która wzbiła się w powietrze, gdzie dołączyła do pozostałych. Przez moment szybowały w miejscu, niemal zbyt jasne, by można na nie patrzeć. Zaraz potem rozpierzchły się, frunąc we wszystkie zakątki niebios. Stopniowo malały i gasły, stały się odległymi gwiazdami, aż wreszcie zniknęły na dobre.





MAGIA KRWI

Lady Satomi wróciła.

I na ile Suki potrafiła to ocenić, nie była w najlepszym nastroju.

– Bezwartościowe sługi – złorzeczyła pod nosem, stojąc pośrodku niewielkiego pokoju. Na niskim stole migotała samotna świeca, a w kącie stało spękane, wysokie lustro, w którym odbijał się makabryczny widok. Ściany pokryte były smugami starej krwi, na podłodze ciemniały niezidentyfikowane plamy. Arystokratka stała wśród tego koszmaru, oszałamiająca w swej niebieskiej szacie, ozdobionej deseniem żurawi i ważek. Włosy miała perfekcyjnie ufryzowane i spięte kilkoma grzebieniami z kości słoniowej. W tak krwawym otoczeniu byłaby całkowicie nie na miejscu, gdyby nie jeden szczegół – coś, co trzymała w ręku. Na otwartej dłoni kobiety spoczywała głowa wielkiej wrony. Ptasia krew kapiała między palcami, zostawiając ślady na rąbku kimona. Tułów wrony leżał na

stole, w szkarłatnej kałuży, obok niedużego sztyletu. Suki ledwo mogła patrzeć na podrygujący wciąż korpus. Tuż zanim dokonał się ostateczny akt, musiała opuścić pokój. Na szczęście mogła to zrobić bez trudu, po prostu przenikając przez ścianę.

Lady Satomi miała opuszczone powieki, a jej pełne usta składały się w taki grymas, jakby oglądała właśnie coś szczególnie niepokojącego. Po chwili głęboko odetchnęła i otworzyła oczy.

– Dwa *kamaitachi*, wiedźma wiatru i demoniczny niedźwiedź – mruknęła i cisnęła ptasi łeb na stół, gdzie padł obok stygnącego ciała. – Kazekira nie zdołała ich zabić i odebrać im zwoju. Poszatkowana przez własne sługi, jakież to upokarzające. – Kobieta pokręciła głową, sięgnęła po zawieszoną na lustrze ściereczkę i oczyściła dłonie z krwi. – Cóż, tak to jest, kiedy człowiek polega na innych. Jak to mówią? Jeśli chcesz, żeby coś było zrobione jak trzeba...

Podniosła ze stołu nóż i przyjrzała się swojemu odbiciu w ostrzu. Na oczach zadziwionej Suki arystokratka przyłożyła sztylet do wewnętrznej strony ramienia i nacięła sobie skórę. Krótkie, równe cięcie. Z rany popłynęła krew, a Satomi zaczęła śpiewać cichym, hipnotyzującym głosem.

Suki wyłowiła w powietrzu szept straszliwej mocy i zadrżała. Pozostanie w pokoju wymagało od niej całej siły woli. Krew zbierała się na uniesionym ramieniu Satomi, gęstniała i wreszcie zestaliła się na dobre. W powietrzu zadrgały dziesiątki odnóży i z krwawego kokonu wyłoniło się długie ciało stonogi, która wspięła się na bark arystokratki.

Satomi z uśmiechem sięgnęła po potworne stworzenie i chwyciła je, wijące się na wszystkie strony, dwoma palcami.

– Idź – wyszeptała. – Odszukaj zabójcę demonów i lisicę. Zabij oboje, naciesz się ich wnętrzościami i wróć do mnie ze zwojem. Będę czekać.

Odrzuciła stonogę na podłogę. Gdy tylko potworek stuknął o deski, ruszył przed siebie, rażno przebierając hakowato wygiętymi, żółtymi kończynami. Po chwili wcisnął się w szczelinę i zniknął.

Satomi opuściła rękę i nie zwracając uwagi na wciąż kapiącą z rany krew, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Cóż, to powinno wystarczyć – szepnęła do siebie. – Ten zabójca demonów przysporzył mi nieco kłopotów, lecz kiedy zginie, fragment zwoju będzie mój. – Urwała i westchnęła, jakby przytłoczona czekającą ją ilością pracy. – A teraz muszę napisać zaproszenie do pałacu i znaleźć kogoś w miarę kompetentnego, by dostarczył je do kaplicy Hayate. Być może ta moja nowa niedojda poradzi sobie przynajmniej z tym.

Arystokratka popatrzyła po sobie, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że cały jej przepyszny strój uwalany jest krwią, przez cały czas sączącą się z rany.

– Okrutnie niewdzięczne zajęcie – westchnęła raz jeszcze. – Nie dość, że brudne, to wcale niełatwe, i to bez asysty szpiegów. Napatrzyłaś się, mały duszku? Czuję, że mnie obserwujesz. Mistrzynią subtelności to ty nie jesteś.

Złękciona Suki drgnęła i zmaterializowała się.

– Ach, tu jesteś. – Lady Satomi zwróciła się do niej z uśmiechem. – Proszę, proszę. Wciąż się tu kręcisz, Suki-chan... – rzuciła kpiąco w stronę unoszącej się w powietrzu dziewczyny, po czym zachichotała i pokręciła głową. – Biedna, zagubiona duszyczka. Za słaba i zbyt przestraszona, by powrócić jako duch zemsty. Doprawdy żalosne. Lecz ty już nie masz dla mnie żadnego znaczenia.

Suki zacisnęła widmowe pięści, żałując, że nie może czegoś zrobić. Naprawdę zadowoliliby się czymkolwiek. Ot, mogłaby na przykład rzucić w to okropne babsko głową wrony. Satomi tymczasem zaśmiała się raz jeszcze i podniosła ze stołu zakrwawioną szmatkę.

– Jeśli chcesz mnie nawiedzać, duszyczko – podjęła słodkim głosem, czyszcząc sobie rękę – proszę bardzo. Ale jeśli zaczniesz mnie drażnić bądź wchodzić mi w paradę, to wiedz, że znam kilka kapłanek krwi i *onmyoji*, którzy z przyjemnością uwiężą twojego ducha w kawałku pergaminu. Albo w zwierciadle. Albo w ciele

małpy. – Rozciągnęła wargi jeszcze szerzej, ukazując w uśmiechu zęby. – Chciałabyś zostać małpką, Suki-chan? Moim zdaniem lepiej byś na tym wyszła, wiesz? Łap!

Cisnęła krwawą szmatką prosto w twarz dziewczyny. Suki odruchowo cofnęła się i poderwała dłonie, by się osłonić. Ściereczka przefrunęła przez jej ciało na wylot i uderzyła w ścianę, a dziewczyna poczuła, że faluje niczym poruszona mgła. Zrozpaczona zjawa zanosła się bezdźwięcznym szlochem, odwróciła się i czmychnęła, przenikając zamkowe ściany, gnana okrutnym śmiechem Satomi.



LEGENDA O ONI NO MIKOTO

Granicę mamy już chyba za sobą, Kage-san – ogłosił ronin, który osłaniając oczy dłonią, spoglądał ze wzniesienia w dół. Yumeko stała obok niego. – Jestem prawie pewien, że to już terytorium Taiyo. Stolica powinna być niedaleko.

Rozkoszując się rzucanym przez stary miłorząb cieniem, popatrzyłem w rozciągającą się przed nami dolinę i doszedłem do wniosku, że towarzysz ma rację. Dotarliśmy na ziemię Klanu Słońca. Taiyo, choć nie tak potężni militarnie jak Klan Ognia ani nie dorównujący liczebnością Klanowi Ziemi, byli prawdopodobnie najbardziej wpływowym ze wszystkich Wielkich Klanów, gdyż to oni byli rodem panującym. To oni władali stołecznym miastem Kin Heigen Toshi i odkąd zaczęto spisywać historię Iwagoto, cesarze i cesarzowe tej krainy wywodzili się właśnie z Klanu Słońca.

Moją uwagę zwróciły srebrzyste rozbłyski rzeki, wijącej się dnem doliny w kierunku odległych szczytów.

– Oto Hotaru Kawa – powiedziałem. – Jeżeli ruszymy na północ wzdłuż jej brzegów, dojdziemy prosto do stolicy.

– Tak. A po drodze uniknęliśmy kłopotów z kontrolą na granicy, co byłoby, prawdę mówiąc, upierdliwe. – Ronin wyszczerzył się do mnie w uśmiechu. – Widzisz, Kage-san? Wszystko się udało. Pies zawsze wywęszy właściwą drogę.

Nie odpowiedziałem. Ronin rzeczywiście dotrzymał słowa i przeprowadził nas przez góry, lecz to również przez niego pobłądziliśmy. Niemniej musiałem przyznać, że w nawiedzanej wiosce okazał się pomocny. W ostatniej bitwie jego talent bardzo się przydał, mimo że mieczem walczy mizernie. Co więcej, faktycznie ominęliśmy posterunek graniczny, choć i tak musiałem mieć baczenie na cesarskich urzędników i gwardzistów, którzy mogli zażądać ode mnie dokumentów podróжных. Gdyby do tego doszło, w najlepszym wypadku musiałbym zapłacić pokaźną karę za przemieszczanie się po terytorium obcego klanu bez wymaganych papierów. W najgorszym zaś zostałbym wtrącony do więzienia i stracony, co okryłoby wstydem cały mój klan i rodzinę. Yumeko nie groziło nic; na proste dziewczyny ze wsi nikt nie zwracał uwagi, a roninom rzadko ktokolwiek poświęcał więcej niż jedno spojrzenie. Ja jednak byłem samurajem Kage – to znaczy na takiego wyglądałem – a samurajów przebywających na obcej ziemi zawsze traktowano z większą rezerwą. Zwłaszcza jeśli byli to samuraje z Klanu Cienia.

– Sporo czasu minęło, odkąd bawiłem ostatnio w stolicy. – Spojrzenie ronina popłynęło wraz z rzeką przez dolinę. – Przyjemnie będzie móc się wreszcie odprężyć i zjeść coś znośnego. A potem może zdołam cię przekonać, byś dla odmiany trochę się zabawił, Kage-san. – Ponownie rzucił mi ten buńczuczny uśmieszek. – Zakładam, że nie grałeś nigdy w *cho-han*?

Cho-han było grą w kości, popularną w jaskiniach hazardu całego Iwagoto, czyli w lokalach o szemranej reputacji, odwiedzanych przez wszelkiej maści bandytów, roninów, członków gangów i podejrzanych watażków. Misje, jakie wykonywałem dla Klanu Cienia, wymagały ode mnie niekiedy kontaktów

z półświatkiem, zwłaszcza gdy ścigałem demony ukrywające się pośród zabójców. Porządni samurajowie jednak rzadko bywali w przybytkach odwiedzanych przez takich ludzi, a nawet jeżeli, to nigdy się do tego nie przyznawali.

– Nie – powiedziałem.

– Nie, nie grałeś, czy nie, nie zdołam cię przekonać do zabawy?

– Wybierz sobie.

– Ach, cóż. Twoja strata, samuraju. – Ronin pokręcił głową i zerknął na dziewczynę, która spokojnie siedziała pod miłorzębem. – Może Yumeko-chan zechce wypróbować swoje szczęście. Umie rozmawiać z *kami*, prawda? Czy mogłaby poprosić Tamafuku, boga szczęścia, by na kolejkę czy dwie pobłogosławił moje kości?

Próbował mnie sprowokować i w pełni zdawałem sobie z tego sprawę, lecz nie powstrzymało to mojego gniewu. Wiedziałem, jakiego rodzaju ludzie uczęszczają do domów gry: drapieżcy o wygłodniałych oczach i krwiożerczych uśmiechach. Myśl o Yumeko otoczonej przez te wilki w ludzkiej skórze, o ich pożądlivych oczach śledzących każdy jej ruch, przepełniła mnie zimną furią, której zupełnie nie potrafiłem zrozumieć.

– Tamafuku? – Dziewczyna przechyliła głowę na bok i świerszcz, który spacerował po jej łokciu, odskoczył prosto w trawę. – Mogłabym spróbować – oświadczyła. – Nigdy jeszcze nie rozmawiałam z żadnym Wielkim Kami. Czy wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

– Hmm. W domu gry mają jego wielki posąg – rzekł ronin.

– Tak? Czy to znaczy, że Tamafuku mieszka w tej figurze? Myślisz, że kiedy nikt nie patrzy, rzeźba wstaje i chodzi? W Świątyni Milczącego Wiatru mieliśmy imbryczek, który tak robił, ale pewnego dnia Nitoru za mocno go kopnął...

– Wiesz? Nieważne – westchnął ronin. – Zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

Dziewczyna ziewnęła, wstała i przeciągnęła się.

– Tyle dobrego, że do stolicy już blisko – stwierdziła w zadumie, patrząc w dolinę. – Ja największą nadzieję mam na gospodę

z porządnym jedzeniem i miękkimi futonami. Miło będzie przespać się dla odmiany w łóżku, a nie pod gołym niebem czy w chacie z ciekącym dachem. Czy w jaskini, gdzie trzeba leżeć na niewygodnej, twardej skale. – Czarne oczy Yumeko skupiły się na mnie i uśmiechnęła się szerzej. – W odróżnieniu od niektórych samurajów, których imiona niech pozostaną tajemnicą, większość ludzi nie potrafi bez trudu zasnąć byle gdzie.

Nie pokazałem po sobie zdziwienia. Za nic nie mógłbym sypiać jak ona – wyciągnięty, leżący prosto w pozycji, w której każdy chętny bez trudu mógłby ściąć mi głowę lub wypatroszyć. Mój sen przychodził krótkimi porcjami, zawsze kiedy siedziałem oparty plecami o ścianę, z Kamigoroshi na kolanach. Wygoda nie miała z tym nic wspólnego.

Ronin przysunął sobie tykwę z sake.

– Gdybym miał zgadywać, do stolicy zostało nam kilka dni drogi. – Wyciągnął korek. – A zanim dotrzemy do Kin Heigen Toshi, natkniemy się jeszcze na parę miejscowości. Wydaje mi się, że kawałek w górę rzeki leży Yashigi. – Podniósł szyjkę do ust, lecz nagle krzyknął i raptownie odsunął butelkę. – *Kuso!*

Moja dłoń natychmiast opadła na rękojeść miecza.

– Okame-san? – Yumeko otworzyła szeroko oczy. – Co się stało?

– W mojej... sake... jest... żaba! – wydukał ronin, naraz przerażony i głęboko oburzony. Odwrócił tykwę do góry dnem, potrząsnął i wraz z resztką alkoholu na trawę wypadło małe zielone stworzenie.

Yumeko wybuchnęła śmiechem. Jej głos skojarzył mi się ze śpiewem małego ptaszka. Poczułem na skórze dziwaczne mrowienie.

– Och, nie martw się, Okame-san – powiedziała, spoglądając na ronina, który wbijał w pustą tykwę żalosne spojrzenie, jakby z nadzieją, że znów się napełni. – Żaby przecież przynoszą szczęście. To znak, że *kami* mają cię w opiece.

– Kwestia punktu widzenia. Chyba że postanowiły obdarzyć mnie trzeźwością, ale za taki prezent dziękuję.

Zerknąłem na miejsce, w którym upadła żaba, lecz płaz zdążył już zniknąć. Zobaczyłem tylko jasnozielony liść jałowca, przeganiany podmuchami wiatru po trawie. Ronin ciężko westchnął i zawiesił sobie tykwę na szyi.

– No cóż, idziemy? – zaproponował szeptem. – Jeśli mam z wami dalej wędrować, muszę uzupełnić zapas sake.



Do Yashigi dotarliśmy równo z zachodem słońca, kiedy dolinę przecięły długie cienie, a rzeka przybrała barwę krwi. Na długim, drewnianym moście spinającym brzegi Hotaru Kawa roiło się od ludzi. Jedni właśnie do miasta przybywali, inni je opuszczali; wszyscy tłoczyli się razem: handlarze ze swoimi wózkami, ronini, chłopci, kilku konnych samurajów; kopyta, koła i obute w sandały stopy stukotały o skrzypiące deski.

– Tylu ludzi. – Yumeko rozejrzała się z szeroko otwartymi oczyma. – Jeszcze więcej niż w Chochin Machi. Nigdy nie widziałam takiego tłumu.

– To jeszcze nic, Yumeko-chan – zapewnił idący obok niej ronin. – Poczekaj tylko, aż zobaczysz stolicę.

Jakiś cesarski urzędnik w asyście dwóch konnych strażników wjechał na most. Ciżba rozstała się przed nim jak morskie fale. Dyskretnie stanąłem na uboczu, starając się na niego nie patrzeć i wmieszać w tłum przechodniów. Urzędnik i jego eskorta minęli mnie, nie zwalniając, i pojechali dalej przed siebie, kiedy jednak zniknęli, poczułem na sobie podejrzliwy wzrok ronina.

Na drugim brzegu zaczynała się szeroka ulica, przecinająca centrum miasta i rozgałęziająca się na dziesiątki węższych alei. Przy chodnikach stały rzędami drewniane budynki z krytymi niebieską dachówką okapami, wiatr targał sztyldami wymalowanymi na prostokątnych płachtach. Mimo że światło dzienne gasło coraz

szybciej, po ulicach wciąż krążyło wielu ludzi: kobiety w kimonach, samurajowie maszerujący dumnym krokiem wśród pospólstwa, kupcy wystający przed drzwiami swych przybytków, zachęcający klientów do wejścia. Obok nas przetruchtał sprzedawca tofu, dźwigający na zarzuconym na barki koromyśle dwa duże drewniane wiadra. Wokół straganu, z którego sprzedawano pieczone węgorze, stała trójka chłopców, wpatrujących się w handlarza, który wyciągał żywe ryby z beczki, po czym przebijał im gwoździem skrzela, filetował i układał na ruszcie.

Podobnie jak wcześniej w Chochin Machi, Yumeko chłonęła to wszystko wielkimi oczyma, jej spojrzenie nie zatrzymywało się nawet na chwilę. Ronin z kolei z wyraźnym zadowoleniem wskazywał dziewczynie coraz to kolejne nowości i odpowiadał wyczerpująco na wszelkie pytania. Ja przedzierałem się przez tłum bez słowa, z dłonią mocno zaciśniętą na Kamigoroshi, nieustannie wypatrując ewentualnego niebezpieczeństwa. Dziewczyna i ronin nie mieli o tym pojęcia, lecz ja wyczułem obce spojrzenia tuż po przekroczeniu mostu. Nie miałem wątpliwości, byliśmy śledzeni.

– Niech to, umieram z głodu – oświadczył ronin, zatrzymując się przed wejściem do restauracji. Nad drzwiami wisiała niebieska zasłona. Tuż obok stał namawiający do skosztowania przysmaków posąg przedstawiający grubego *tanuki* w słomianym kapeluszu i z butelką sake w garści. – Co ty na to, Yumeko-chan?

Dziewczyna przyjrzała się posązkowi i skrzyżowała ręce na piersi.

– To nie jest najlepsza podobizna – stwierdziła z pełną powagą. – Nie widziałam nigdy *tanuki* z tak wielką moszną.

Ronin zakrztusił się głośno, odwrócił, zakaszłał i kilka razy uderzył w mostek.

– Yumeko, on miał na myśli jedzenie – wyjaśniłem, a oparty o ścianę budynku ronin potwierdził mój domysł sapaniem i machaniem ręki. – To restauracja. Może chciałabyś coś zjeść.

– Ach. – Dziewczyna ściągnęła brwi. – No tak, rzeczywiście jestem dość głodna. Ale i tak uważam, że posąg jest fatalny. –

Zmarszczyła nos i przemaszerowała obok figury. – Jak miałyby chodzić, ciągnąc coś takiego po ziemi? Przecież o wszystko by się obijały.

Ruszyłem za nią do środka. Tylko jakimś cudem udało mi się nie skrzywić.

– Witaj, panie, witaj! – rzucił gospodarz, ledwo znaleźliśmy się w sali. Mimo że stałem na końcu, patrzył wyłącznie na mnie, Yumeko i ronina ignorując zupełnie. – Czy zechcesz spożyć u nas kolację?

– Jest nas troje – zwróciłem mu uwagę, na co zareagował, obrzucając moich towarzyszy zdziwionym spojrzeniem. Samuraj zasiadający do posiłku z roninem i wieśniaczką stanowił nieczęsty widok. Niemniej, czując na sobie mój hardy wzrok, mężczyzna pospiesznie zgiął się w ukłonie i zaprowadził nas do niskiego stolika w rogu. Zapowiedział, że zaraz podejdzie kelnerka, pokłonił się raz jeszcze i zniknął.

Rzeczywiście, niedługo potem podeszła do nas młoda kobieta. Yumeko i ronin z wielkim zapalem złożyli zamówienia, a ja tymczasem starałem się nie myśleć o tym, że uczta pochłonie moje ostatnie pieniądze. Kiedy kelnerka się oddaliła, nalałem sobie czarbkę herbaty i w milczeniu otuliłem naczynie dłońmi, wsłuchując się w szmer głosów pozostałych gości.

– Mówią, że Oni no Mikoto powrócił – stwierdził półgłosem mężczyzna siedzący przy stoliku za nami.

– Księżę Demonów? – powtórzył jego towarzysz. – Niech *kami* mają nas w opiece. Gdzie go widziano tym razem?

– W Omachi, na moście pod miastem. Ukazał się dwóm podróżującym razem roninom i wyzwiał na pojedynek silniejszego. – Na moment zapadła cisza, po czym mężczyzna podjął ściszym głosem: – Ocalały twierdzi, że nigdy nie widział, by ktokolwiek poruszał się tak szybko.

– To dlatego, że Oni no Mikoto nie jest człowiekiem – powiedział poważnie drugi z rozmówców. – Cóż, coś takiego to jak wsadzić kij w gniazdo szerszeni. Zaraz zlecą się tu wszyscy durnie mający się za

wojowników w nadziei, że Księżę Demonów uzna ich za godnych wyzwania. *Baka* – prychnął pod nosem. – Raczej godnych usieczenia.

Wróciła kelnerka i postawiła przed nami tacę z gotowanym mięsem, warzywami i trzema miseczkami ryżu.

– Czy mogę podać coś jeszcze? – spytała, uprzejmie nie zwracając uwagi na Okame, który nie czekając na nikogo i na nic, chwycił palcami pasek kurczaka i wcisnął go sobie do ust.

– Mam pytanie – odezwała się Yumeko. – Kim jest Oni no Mikoto? – spytała, zagłuszając odgłosy wydawane przez jedzącego ronina. – Czy naprawdę jest Księciem Demonów? Trudno uwierzyć, że po waszej dolinie mógłby krążyć prawdziwy *oni*, wyzywający na pojedynki kolejnych śmiałków. Ktoś by to chyba zauważył?

A więc i ona usłyszała rozmowę sąsiadów. Z jakiegoś powodu wcale mnie to nie zdziwiło. Kelnerka otworzyła nieco szerzej oczy.

– Oni no Mikoto? – szepnęła z teatralnym przejęciem, jakby opowiadała tę historię nie pierwszy i nie drugi już raz. – Stał się naszą najsłynniejszą miejscową legendą. Ludzie gadają, że w księżycowe noce na okolicznych mostach pojawia się samotny wojownik z mieczem, blokując drogę na drugi brzeg. Ciało ma anioła, oblicze demona i nie pozwala przejść nikomu, kto nie pokona go w pojedynku. Ukazuje się jednak tylko tym, których uzna za godnych siebie. Wybiera wojowników najsilniejszych i najbardziej sprawnych. Wygląda na to, że legenda przekroczyła ostatnio granice doliny, ponieważ odwiedzają nas szermierze ze wszystkich zakątków krainy. Przybywają właśnie w nadziei na spotkanie z Oni no Mikoto. Odkąd jednak Księżę Demonów pojawił się tu po raz pierwszy, a było to trzy lata temu, nikt jeszcze nie zdołał go pokonać. Tak więc – dokończyła kelnerka, spoglądając na zafascynowaną, słuchającą z zapartym tchem Yumeko – jeśli wędrując przez tę dolinę, natkniecie się w księżycową noc na samotnego, strzegącego mostu szermierza, możecie się uznać jednocześnie za przeklętych, jak i szczęśliwych. Albowiem Oni no Mikoto ukazuje się naprawdę nielicznym. Ale zawróćcie wtedy i odejdźcie. Oni no Mikoto nie jest człowiekiem. To demon, który zetnie wam głowy i uczyni z nich

trofea, podobnie jak postąpił z niezliczonymi wojownikami wcześniej.

– Ha! – prychnął ronin z pełnymi ustami. – Jeśli padnie na mnie, po prostu zastrzelę go z łuku.

– Co? – Na twarzy kelnerki pojawił się wyraz świętego oburzenia. – Oni no Mikoto nie można po prostu zastrzelić!

– *Nande?* Dlaczego nie?

– Dlatego, że to... – dziewczyna się zająknęła – niehonorowe!

– Ba! Nie jestem już samurajem i nie żyję w zgodzie z zasadami kodeksu. – Ronin sięgnął po ośmiorniczkę i wpakował sobie do ust całą na raz. – Więc kiedy jakiś nieznajomy próbuje mnie zabić za to, że chcę przejść spokojnie przez rzekę, rozwiązuję sprawę, posyłając mu strzałę między oczy.

Sięgnąłem po miseczkę z ryżem, lecz nagle zamarłem i przebiegł mnie nikły dreszcz. Na brzegu tacy czekał złożony z czarnego papieru żuraw, ledwie widoczny na tle lakowanej powierzchni. Spochmurniałem, ale nie mogłem go tam zostawić. Korzystając z tego, że kelnerka zaprzątnięta była roninem, błyskawicznym ruchem zgarnąłem ptaka i ukryłem go w rękawie.

– Tak nie wolno... – Dziewczyna wciąż nie była w stanie wyjść z szoku. – To byłoby... Co za barbarzyństwo! – Cofnęła się i zmierzyła ronina zniesmaczonym wzrokiem. – Cóż, na szczęście akurat ty Oni no Mikoto nie zobaczysz nawet z daleka – rzuciła wyniosłym tonem. – Ktoś taki nie jest wart jego uwagi.

– Taką mam nadzieję – padła odpowiedź. – Straciłbym do Księcia Demonów cały szacunek, gdyby zechciał wyzwać na pojedynek takiego brudnego psa jak ja.

– Wybaczcie, muszę się oddalić. – Wstałem od stołu, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich trojga.

– Dokąd się wybierasz, Kage? – Ronin ściągnął brwi, jeden policzek miał wyдутy niczym wiewiórka.

– Muszę załatwić drobną sprawę. Niedługo wrócę – rzuciłem i odszedłem, nie czekając na odpowiedź. Wychodząc, czułem na

plecach wzrok Yumeko. Kiedy opadała za mną niebieska zasłona, ronin burknął, mruknął coś o „toaletach” i sięgnął po kolejny kęs.

Na zewnątrz panował mrok. Wiele sklepów zamknęło już drzwi, choć kilku najbardziej upartych kupców prowadziło interesy także po zmierzchu. Podszedłem na skraj głównej ulicy i poczułem, że papierowy żuraw budzi się do życia. Ptak wyplątał się z mojego rękawa i pofrunął prosto w boczną alejkę, gdzie rozpląnął się w ciemności. Zacisnąłem zęby i ruszyłem jego śladem.

Jomei czekał na mnie w cieniu magazynu. Jego pomalowana twarz zdawała się szybować w mroku. Żuraw przysiadł mu na kolanie i zamachał z wolna skrzydłami, zupełnie jak żywy.

– Spóźniasz się.

Ukloniłem się, by nie wyczuł mej niechęci. Skąd we mnie to nagłe wahanie? Dlaczego akurat dzisiaj? Ostatecznie to takie samo spotkanie jak wszystkie pozostałe.

– Wybacz, mistrzu Jomei. Coś mnie zatrzymało. Pojawiły się... komplikacje.

– Tak, zauważyłem. – W głosie maga zabrzmiała nuta rozbawienia. – Zebrałeś liczną drużynę, Tatsumi-san. Już nie tylko dziewczyna, lecz także ten nieokrzesany kundel ronin. Czy zechcesz wytłumaczyć, dlaczego go jeszcze nie zabiłeś, a przynajmniej nie zostawiłeś gdzieś po drodze?

– Należał do bandy rabusiów, która zastawiła na nas zasadzkę – odparłem. – Ostatecznie jednak zwrócił się przeciwko kamratom. A po walce.... Yumeko nalegała, byśmy mu pomogli.

– Chłopka zabroniła ci zabić bandytę – skwitował Jomei – a ty jej posłuchałeś?

– Ona stanowi mój jedyny trop do mistrza Jiro i Świątyni Stalowego Pióra – wyjaśniłem. – Zabijając ronina, mógłbym ją spłoszyć lub rozgniewać. Nie mogłem ryzykować, że odejdzie.

Jomei ścisnął palcami grzbiet nosa i na chwilę przymknął oczy.

– Ta dziewczyna z każdym dniem staje się większym problemem – mruknął, a ja poczułem na plecach dreszcz niepokoju. Jeżeli Jomei uzna, że Yumeko zagraża klanowi bądź nie jest już

kluczowa dla realizacji mojej misji, bez wahania wyda rozkaz zabicia jej i ronina. Poleci, bym pozbył się obojga na jakimś podmiejskim odludziu. Zniknięcia ronina i wieśniaczki nikt by nie zauważył i nikt by się nim nie przejął. Oboje zdawali się niebezpiecznie naiwni i zanadto ufali wędrującemu u ich boku demonowi. Oni no Mikoto był zapewne jedynie legendą, lecz tym dwojgu towarzyszył prawdziwy potwór, głodny ich krwi, spragniony ich dusz. Nie podejrzewaliby niczego do ostatniej chwili. Gdyby Jomei wydał taki rozkaz, zabicie towarzyszy nie przysporzyłoby mi nawet odrobiny trudu.

Ale... nie chciałem tego robić. Ta myśl mocno mną wstrząsnęła. Jeszcze nigdy nie kwestionowałem dyspozycji klanu, nigdy nie zawahałem się, wypełniając zadanie. Jeśli kazano mi „oczyścić” wioskę, ponieważ jej mieszkańcy przywoływali za pomocą magii krwi demony, mordowałem wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci, jakich tam zastałem. Gdyby rozkazano mi udać się do Jigoku i zabić O-Hakumona, władcę piekła, skoczyłbym w otchłań bez zastanowienia. Moje życie nie należało do mnie. Obowiązek wobec Klanu Cienia był dla mnie wszystkim.

– Czy każesz mi ją zabić, mistrzu Jomei? – spytałem półgłosem. Poczulem ucisk w trzewiach; znienacka opadła mnie duszność. Jeżeli usłyszę rozkaz zgładzenia Yumeko, trudno. Wypełnię obowiązek, jak wypełniałem zawsze. Z nadzieją, że jej twarz mimo wszystko nie będzie nawiedzać mnie w snach po kres życia.

– Nie – westchnął Jomei, a ja poczułem w sercu nagły i niespodziewany płomień ulgi. – Skoro dziewczyna rzeczywiście może zaprowadzić cię do zwoju, nie widzę powodu zabijać jej w tej chwili. Jest naiwna i na razie nieszkodliwa, a ronin wydaje się najwyżej niewydarzonym głupcem. Wędruj z nimi dalej, jeśli musisz. O ile nie zaczną zagrażać tajemnicom klanu.

– Wedle życzenia, mistrzu Jomei. – Pokłoniłem się.

– Kiedy dotrzesz do stolicy, koniecznie spotkaj się z Kage Masao. Będzie na ciebie czekać w dzielnicy Klanu Cienia.

– Rozumiem.

– Ach, jeszcze jedno. – Mag rzucił coś w moją stronę. Schwyciłem przedmiot w locie. Zabrzącało. Sznurek, na który nanizane były miedziane *kaeru* i kilka srebrnych *tora*. – Uposażenie na następny miesiąc. Masz teraz ludzi na utrzymaniu. Nie roztrwoń.

– Dziękuję, mistrzu Jomei.

– Idź już. – Odprawił mnie machnięciem. – Wracaj do swoich... towarzyszy, zanim zaczną coś podejrzewać. I pamiętaj – dodał, gdy pochylałem głowę po raz kolejny i odwróciłem się – klan obserwuje ich i ciebie, zabójco demonów. Nie spraw, byśmy musieli wkroczyć.

Kiedy wróciłem na swoje miejsce przy narożnym stoliku, większość jedzenia zdążyła już zniknąć. Na talerzach pozostały zaledwie kości i drobne skrawki. Tylko moja miska ryżu czekała nietknięta na skraju blatu, choć ronin raz po raz zerkał ku niej, jakby zastanawiał się, czy nie pożreć i tego.

– Przepraszam, Tatsumi-san – odezwała się Yumeko, gdy ukląknęłam na poduszce naprzeciwko niej. – Próbowałam powstrzymać *baka-Okame* przed zjedzeniem wszystkiego, ale nie chciał się dzielić. Jeśli chcesz, możemy zamówić coś jeszcze.

– Psy się nie dzielą, Yumeko-chan. – Ronin wyszczerzył się w uśmiechu i zaczął sobie dłubać ością w zębach. – Jesteśmy strasznymi obżartuchami. Poza tym kto sam jeden wtrząchnął tuzin kulek smażonego tofu?

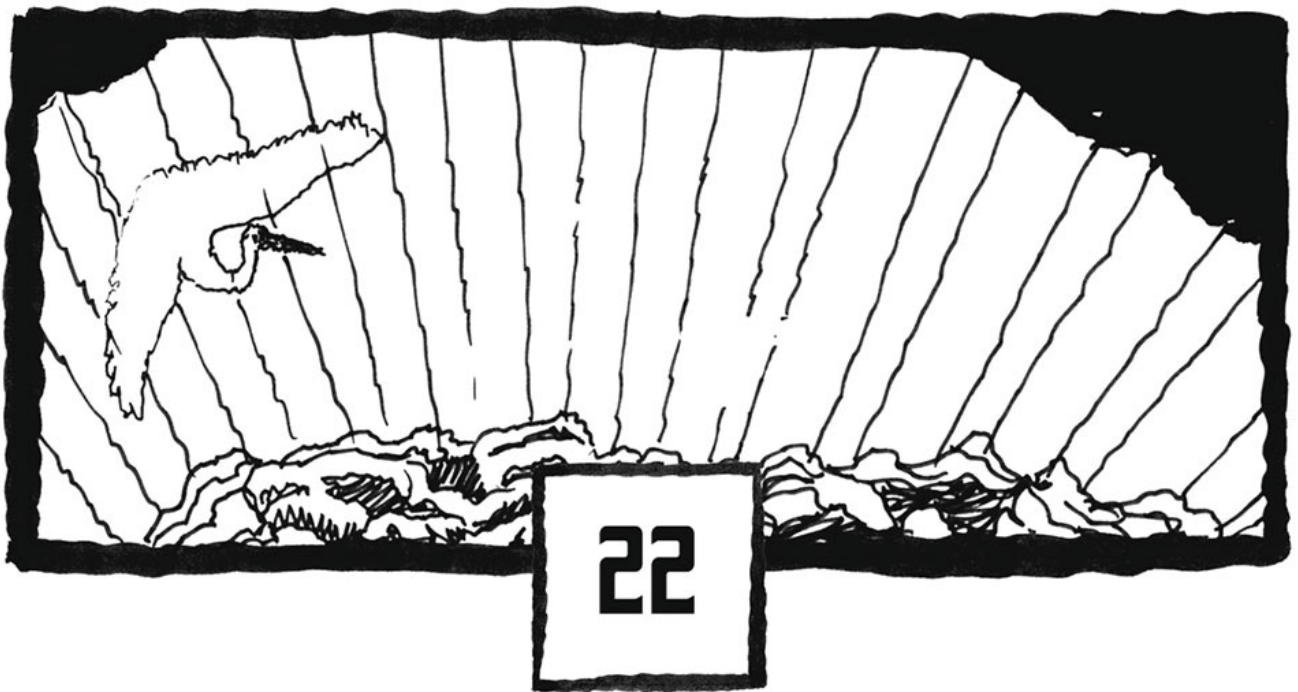
– Tylko dlatego, że zżarłeś wszystkie ryby, kurczaka i większość ośmiorniczek. Musiałam reagować, bo i ja zostałabym z niczym.

– To akurat nieprawda. Zostawiłem ci marynowaną rzodkiew.

– Nie znoszę marynowanej rzodkwi.

– Cóż, następnym razem po prostu się pospiesz. Musisz wiedzieć, Yumeko-chan, że złodziejski honor nie obejmuje kwestii wyżywienia. Każdy je tyle, ile uda mu się złapać.

Zjadłem swój ryż bez słowa.



SPOJRZENIE MARTWEJ WRONY

Głodnego lisa drażnić nie warto” – mistrz Isao darzył to powiedzonko szczególnym sentymentem. I nigdy nie rozumiałam, z jakiego powodu. Aż do teraz.

Z Yashigi wyruszyliśmy następnego ranka i przez kilka następnych mil szliśmy krętą drogą, prowadzącą przez żyzną dolinę Klanu Słońca. Góry wciąż trzymały się horyzontu, a my kierowaliśmy się wzdłuż rzeki, mijając uprawy, świątynie i kaplice, rozległe łąki i gęste lasy. Pejzaże były prześliczne, zaś pogoda idealna pod każdym względem. Rozkoszowałam się widokami i ciepłymi muśnięciami słońca na skórze.

Mniej entuzjazmu wykazywał natomiast ronin.

– *Ite* – rzucił zrzędliwie, rozcierając sobie kark, kiedy przystanęliśmy w cieniu bambusowego zagajnika. – *Kuso*, ależ mnie plecy bolą! Dostałem chyba najbardziej niewygodny futon świata.

Bez przerwy coś mnie piło, jakby ktoś wcisnął mi szyszkę pod materac. Zajrzałem nawet, ale niczego nie znalazłem.

– To rzeczywiście nieprzyjemne, Okame-san – powiedziałam. – A mój futon był tak mięciutki, że spałam smacznie jak na chmurce. Może jednak zaszkodziło ci coś, co zjadłeś?

– Aha! Właśnie sobie przypomniałem, że zanim posnęliśmy, kręciłaś się w mojej części pokoju. – Obrzucił mnie mrocznym spojrzeniem, w którym zapłonęła iskra podejrzliwości. – Nie masz przypadkiem nic wspólnego z moim nocnym dyskomfortem, Yumeko-chan?

– Ja? Okame-san, jak możesz wysuwać tak paskudne oskarżenia. Zerkałeś przecież pod futon, prawda? A ja przecież nie potrafię sprawić, by szyszka zmieniła się w drobinę kurzu. – Obdarzyłam ronina słodziutkim uśmiechem i wrzuciłam sobie do ust marynowaną śliwkę. Powoli zaczynałam rozumieć zasady, na jakich opiera się sarkazm. – Naprawdę sędzę, że to coś z żołądkiem. Ciekawe, może od tych wszystkich ośmiorniczek?

– Cisza – warknął Tatsumi. – Ktoś nas obserwuje.

Umilkliśmy. Las dokoła trwał w bezruchu, ukośne promienie słońca spływały z nieba między łądygami bambusa. Cykady przygrywały w tle, a wśród listowia szemrał lekki wietrzyk. Osobiście nie wyczułam żadnego zagrożenia, lecz wojownik posiadał niemal nadnaturalny talent do wykrywania wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw i spragnionych naszej krzywdy istot. Skoro on twierdził, że jakieś stworzenie nas śledzi, tak musiało być.

– Niczego nie widzę – mruknął Okame dokładnie w chwili, w której zauważyłam to samo co Tatsumi. Na gałęzi rosnącego po drugiej stronie drogi drzewa siedziała wielka, czarna wrona. Nastroszone pióra ptaszyska sterczały lekko uniesione, a paciorki niemrugających oczu wpatrywały się prosto w nas.

Ronin spojrział tam, gdzie ja.

– Och! – zawołał prześmiewczo. – Ptak na nas patrzy! Ratuuj się kto może! – dodał, łapiąc się dłonią za serce. – Ostrożnie, Yumeko-

chan, na pierwszy rzut oka widać, że ta wrona jest gotowa nafałdować ci na włosy!

Ptaka nawet nie drgnął. Świdrował nas wzrokiem z ponurą, intensywną wrogością.

– Nie podobają mi się jej oczy – przyznałam, czując ciarki na plecach. – Wygląda na... rozgniewaną.

– Naprawdę? – zdziwił się ronin. – Mnie tam wygląda na zwykłego ptaka. – Zamilkł, a kiedy nie odpowiedziałam, wzruszył ramionami i zsunął z ramienia łuk. – No dobrze, zaraz to załatwimy.

Płynnym ruchem uniósł łuk i posłał strzałę w kierunku drzewa. Moment później doleciało nas głucho stuknięcie trafiającego w cel pocisku. Wrona zakrakała słabo i runęła z gałęzi w kłębie furkocących skrzydeł i czarnego pierza.

Gdy padła na ziemię, w powietrzu rozeszło się szczególnego rodzaju drżenie, subtelny impuls wyzwolonej nagle mocy, od której zjeżyły mi się włoski na przedramionach. Już jakiś czas temu dokonałam odkrycia, że każdy rodzaj magii wywołuje odmienne doznania. Lisia magia migotała i pulsowała jak zimny ogień. *Ki*, energia, którą posługiwali się mnisi, łaskotała niczym powietrze przed burzą. Stosowana przez Tatsumiego magia cienia była niemal zupełnie niewidoczna dla wszystkich z wyjątkiem ludzi najbardziej spostrzegawczych i przypominała osiadającą na skórze chłodną, ciemną mgiełkę.

To natomiast doznanie przypominało coś, co poczułabym zapewne, gdyby ktoś wrzucił mi za koszulę milion pajaków, czerwi i stonóg. Zadrżałam, lecz mrowienie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, uniesione wraz z magią przez wiatr.

– No i proszę. – Ronin założył łuk na ramię; on nie wyczuł dziwnego impulsu energii. – Kłopot z głowy. Upiorny ptak zlikwidowany. Możemy iść dalej, prawda?

– Obawiam się, że jedynie nam zaszkodziłeś – westchnął Tatsumi.

Zduśliłam pokusę zamachania ramionami, by mieć pewność, że żaden owad nie łązi mi pod rękawami. Wstałam i przeszłam na

drugą stronę gościńca do miejsca, w którym upadła wrona. Okrążyłam drzewo, wypatrzyłam sterczącą wśród chwastów strzałę i spojrzałam w dół, pewna, że ujrzę truchło dużego, czarnego ptaka.

Lód w jednej chwili wypełnił mi żołądek. Truchła nie było, nie w ścisłym sensie. Wbita w ziemię strzała tkwiła między żebrami zbielełego szkieletu. W trawie walały się delikatne kostki i pióra. Czaszka leżała oparta o korzeń. Dziób zastygł rozchylony do ostatniego, pełnego oburzenia skrzeku. Nie został nawet płatek skóry. Wrona wyglądała, jakby padła kilka miesięcy wcześniej, a nie dopiero co.

Przełknęłam ślinę i poczułam obecność towarzyszy. Podeszli i spoglądali mi przez ramię. Okame zmełł w ustach przekleństwo, a ja przysunęłam się do Tatsumiego i podniosłam wzrok.

– To nie jest normalne, prawda? – spytałam bardzo cicho. – Jestem całkiem pewna, że to nie jest normalne.

– Nie jest – przytaknął wojownik, którego oczy zmieniły się w fioletowe szparki. – Tak działa magia krwi.

Przebiegł mnie silny dreszcz. Magia krwi. Mistrz Isao opowiedział mi kiedyś o niej w ramach przestrogi. W odróżnieniu od zwyczajnej magii, której praktyków, ludzi dotkniętych przez *kami*, uznawano za boskich wybrańców, magią krwi mógł się posłużyć praktycznie każdy, od najzwyczajniejszego wieśniaka po najwyższych urzędników cesarza. Jak łatwo się było domyślić z samej nazwy, paliwo tej magii stanowiła krew. Im więcej przelanej krwi, tym silniejsze zaklęcie. Czary krwi potrafiły wskrzeszać umarłych, wpływać na ludzkie uczucia bądź przyzywać z Jigoku demony. Władanie taką potęgą miało jednak ukrytą, straszliwą cenę. Magia krwi była bowiem magią śmierci i zepsucia, magią Jigoku. Im częściej człowiek się nią posługiwał, tym więcej musiał oddać fragmentów swej duszy i tak, kawałek po kawałku, z dawniej ludzkiej istoty zostawała jedynie skorupa. Praktyków magii krwi ostatecznie pochłaniała sprowadzona przez nich sama ciemność i stawali się częścią Jigoku, *oni* lub innymi demonami, skazanymi aż po kres czasu na błąkanie się w otchłani.

– Magia krwi. – Ronin wydał wargę, patrząc na spoczywającą pod drzewem kupkę kości i piór. – No, to cudownie. Zabiłem czyjegoś ukochanego potworka. Jakiś rozjuszony mag krwi z pewnością już robi podobną do mnie *wara ningyo*.

– Mało prawdopodobne – skwitował Tatsumi. *Wara ningyo*, słomiane laleczki przypominające upatrzoną ofiarę, stanowiły częsty rekwizyt wspomagający rzucanie klątw. Do ich sporządzenia należało jednak posiadać kawałek ciała wspomnianej ofiary, włos, kroplę krwi, paznokiec. Inaczej rytuał nie miał szansy zadziałać. Kiedyś, kiedy byłam młodsza i rozzłościłam się, ponieważ mnisi kazali mi drugi raz wyszorować podłogę w głównej sali, posłużyłam się lisią magią i przemieniłam wiązkę słomy w przeklętą laleczkę, którą zawiesiłam przed drzwiami Dengi. Na wspomnienie tego, co wydarzyło się później, mimowolnie się skrzywiłam. Był to jedyny raz, kiedy mistrz Isao naprawdę się na mnie wściekł.

Zaraz potem przyszła mi do głowy inna myśl, która sprawiła, że moje wnętrze skulił zimny lód.

– Ktoś na nas nasłał tę wronę. – Spojrzałam Tatsumiemu w oczy. – Śledziła nas. Z powodu zwoju – rzuciłam i dodałam czym prędzej: – Pewnie ktoś podejrzewa, że go mamy. Albo że przynajmniej wiemy, gdzie jest.

– Zaraz, co? – Ronin obrzucił mnie takim wzrokiem, jakby nagle zobaczył moje prawdziwe uszy. – Widzę, że ominęła mnie pierwsza część tej bajki. Zacznijmy od początku. Kto nas śledzi? I o jakim zwoju bez przerwy wspominać?

Tatsumi nie skomentował, ale zauważyłam, że zeszywniał. Było ewidentne, że nie ma ochoty rozmawiać na temat zwoju, zwłaszcza w towarzystwie ronina. Ja też nie miałam. Wciąż wyraźnie czułam ukryty w *furoshiki* futerał, mój wielki, straszliwy sekret. Moja koncepcja nie była jednak pozbawiona sensu. Mistrz Isao uprzedzał, że smoczej modlitwy będzie szukać wielu chętnych, całe armie ludzi, *yokai* i demonów. Ostrzegał przed pozbawionymi skrupułów śmiertelnikami, którzy nie cofną się przed niczym, byle tylko osiąść zawartą w pergaminie moc. A jeżeli rzeczywiście tak było, to...

– Ten, kto szpieguje nas przy pomocy martwych wron – podjęłam, rozwijając swoją teorię niczym zapisany zwój – mógł też stać za atakiem demonów na moją świątynię. – Wbiłam wzrok w Tatsumiego, który nie zmienił miny ani pozycji. – To przecież możliwe, prawda? – dopytałam. – Demonom ten zwój nie jest potrzebny. Komuś więc służyły. Jakiemuś magowi krwi.

– Tak – przyznał wreszcie chłopak. – Demony nie pojawiają się w świecie śmiertelnych ot tak, bez powodu – dodał z wyraźną niechęcią. – Można je tu spotkać albo kiedy jakiś człowiek zostaje pożarty przez mrok i zamienia się w demona, albo gdy ktoś przyzywa je z Jigoku za pomocą magii krwi. Zwłaszcza *oni*, ponieważ są bardzo silne, nie można ujarzmić i zmusić do posłuszeństwa na długo. Może tego dokonać tylko utalentowany mag krwi.

– Aha, więc na dokładkę mamy jeszcze *oni* – wtrącił Okame. – *Oni*, magia krwi i demony. Czy mam zacząć wrzeszczeć już teraz, czy zaczekać? Może zaraz usłyszę, że tropi nas jakiś gigantyczny kościotrup? – Popatrzył mi w oczy i pokręcił głową. – A ja myślałem, że jesteś zwyczajną, niewinną dziewczuchą ze wsi, Yumeko-chan. Jakim cudem wmieszałaś się w sprawy demonów i zaklęć?

– No więc zaczęło się...

– Potem opowiesz – uciszył mnie szorstko Tatsumi. – Musimy ruszać. – Zmrużył oczy, zbadał spojrzeniem szlak i przydrożne drzewa. Popatrzyłam tam, gdzie on i zauważyłam kolejną wronę. Ta również wpatrywała się w nas z nienawiścią w ślepiach. – Nasz przeciwnik wie, że domyśliliśmy się jego udziału. Na otwartym terenie nie będziemy bezpieczni. Żywo.

Dalej poszliśmy nieco bardziej energicznym krokiem. Wróciłam myślami do martwej wrony i zagadkowego maga krwi, który prawdopodobnie śledził nasze poczynania. Strach i gniew zmieniły moje kiszki w zbity węzeł. Nieznajomy, który przysłał *amanjaku* i straszliwego Yaburamę, wiedział, że to ja mam smoczy zwój. I to na nim spoczywała odpowiedzialność za śmierć mistrza Isao oraz pozostałych mnichów ze Świątyni Milczącego Wiatru. Moja

obecność zagrażała towarzyszom. Nie miałam żadnych wątpliwości, iż mag krwi już wkrótce ponownie spróbuje odebrać mi zwój. Ale przy każdej takiej próbie mogłam dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Kim jest, czego chce, a najważniejsze, gdzie się ukrywa. Mistrz Isao nie raz i nie dwa przestrzegał mnie przed pragnieniem zemsty, zwłaszcza że *yokai* mogły się w tym uczuciu obsesyjnie zatracić, bez reszty i nieodwracalnie. Byłam jednak pewna, że ten, kto zniszczył moją świątynię, powinien drżeć z lęku przed gniewem wściekłej *kitsune*.

– Yumeko-chan. – Głos Okame wyrwał mnie z mrocznych rozważań. Ronin zrównał krok z moim i szedł obok z dłońmi splecionymi na karku. – Naprawdę nie lubię wściubiać nosa w nie swoje sprawy – podjął – lecz przed chwilą usłyszałem słowa „demon”, „*oni*” i „mag krwi” w jednym zdaniu, a możesz mi wierzyć, dowolne z nich wystarczyłoby, żebym nabawił się bezsenności. Poza tym, popraw mnie, jeśli czegoś nie pojąłem, dopiero co widziałem, jak świeżo ustrzelony ptak zmienił się w szkielet. Dlatego że interesuje się nami ktoś, kto potrafi ożywiać zdechłe wrony. Z powodu jakiegoś zwoju. Czy dobrze rozumiem?

– Mniej więcej. – Nieznacznie zmarszczyłam brwi. – Chociaż podejrzewam, że jego umiejętności nie ograniczają się do ożywiania wron. To byłby bardzo wyjątkowy talent. No, chyba że jest akurat zagorzałym wielbicielem ptaków.

– Właśnie. Więc wydaje mi się, że zasługuję na jakieś wyjaśnienia, a nie jestem aż tak głupi, by pytać Tego, Który Nosi Straszny, Świecący Miecz. – Skinął na idącego kilkanaście kroków przed nami Tatsumiego. – Podejrzewam, że skróciłby mnie o głowę, zanim otworzyłbym usta. Zatem byłbym ogromnie zobowiązany, gdybyś mi powiedziała, co tu się dzieje, Yumeko-chan. Walczyłem już z *gaki* i *yurei*, a teraz te martwe wrony. Czy istnieje możliwość, że w bliższej lub dalszej przyszłości zetnę się też z demonami?

– To... możliwe – stwierdziłam, po czym w skrócie opowiedziałam o nocnym ataku na świątynię, powtarzając wersję wydarzeń, którą usłyszał już Tatsumi. Że mistrz Isao przeczuł

nadciągające zło i odesłał zwój jeszcze przed przybyciem demonów. Opowiedziałam o *oni*, *amanjaku* i złożonej mistrzowi Isao obietnicy, w myśl której miałam ostrzec mieszkańców innej świątyni. I o tym, że muszę znaleźć mistrza Jiro w kaplicy Hayate, który wskaże mi położenie Świątyni Stalowego Pióra. Kiedy wreszcie umilkłam, Okame obdarzył mnie lekko nieufnym spojrzeniem, jakby moja opowieść wydała mu się nieco absurdalna.

– Czyli twoją świątynię ni stąd, ni zowąd zaatakowała horda demonów, a jeszcze tej samej nocy pojawił się tam Kage-san ze swoim potężnym mieczem – powiedział z nutą zadumy. – Zaiste ciekawy zbieg okoliczności. Domyślam się, że nie wybrał się w tamte strony, by podziwiać liście.

– Nie sądzę, by Tatsumi kochał przyrodę aż tak bardzo, Okame-san.

– Otóż to – westchnął ronin. – Więc z jakiego powodu ten zwój jest tak wyjątkowy, że poszukuje go zabójca demonów z klanu Kage oraz stado potworów z Jigoku?

– Nie... nie wiem – wydukałam. – Mistrz Isao mi tego nie wyjaśnił.

Kłamiąc, poczułam się źle, lecz uznałam, że lepiej będzie, jeżeli Okame dowie się o zwoju tak niewiele, jak to tylko możliwe. Ostatnie, czego w tej chwili potrzebowałam, to kolejny chętny do wezwania Smoka. Tłumek zainteresowanych już i tak za bardzo się rozrósł.

– Hmm. – Ronin splótł ręce na piersi, a jego oczy zasnuł nietypowo ponury cień. – Więc twój mistrz Isao odesłał zwój, prawdopodobnie do innej świątyni, a Kage-san tak po prostu postanowił cię tam zaprowadzić?

– Niezupełnie. Sama go o to poprosiłam.

– A on na to przystał. Ten aspołeczny, grożący na lewo i prawo użyciem miecza samuraj z Klanu Cienia zgodził się eskortować młodą chłopkę przez kilka granic, aż do tajemniczej świątyni, zagubionej bogowie wiedzą gdzie po drugiej stronie krainy.

– No... tak. A co?

Ronin pokręcił głową, nachylił się i podjął szeptem:

– Ty wciąż nie rozumiesz, o co tu chodzi, prawda? On nie prowadzi cię do tej świątyni z dobroci serca. Yumeko-chan, on chce zdobyć ten zwój.

– Oczywiście, że tak. Wszyscy chcą zdobyć ten zwój, Okame-san. – Ponownie poczułam kształt lakowanego futerału i musiałam się powstrzymać, by nie sięgnąć do chusty i go nie dotknąć. – Ale przyrzekłam mistrzowi Isao, że ostrzegę przed demonami mnichów ze Świątyni Stalowego Pióra, a nie sądzę, bym dotarła do niej w pojedynkę, zwłaszcza że tropi nas mag krwi. Widziałeś przecież, jak Tatsumi walczy. Jego miecz został stworzony właśnie po to, by mordować demony. Lepszej szansy na dotarcie do celu nie znajdę.

– A jeżeli tam dotrzesz, a on zażąda od mnichów, by wydali mu zwój?

– Wtedy... Tego jeszcze nie przemyślałam.

Ronin pokręcił głową.

– Cóż, powodzenia, Yumeko-chan. Osobiście nie wiem, czego bałbym się bardziej: wściekłego *oni* czy wściekłego zabójcy demonów. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Żywiłam bardzo zbliżoną nadzieję.



Kiedy słońce zaczęło zachodzić, od najbliższego miasta dzieliło nas jeszcze kilka mil. Widząc wydłużające się cienie i migocące na niebie pierwsze gwiazdy, przyspieszyłam kroku i podeszłam do samuraja.

– Robi się późno, Tatsumi-san. Czy nie powinniśmy rozejrzeć się za noclegiem?

– Do Sagimury nie jest daleko – odparł. – Jeśli się nie zatrzymamy, dojdziemy tam jeszcze przed godziną dzika. – Urwał na moment, po czym dodał: – Dzisiaj wolałbym nie nocować w polu.

Zadrżałam. A więc on również to poczuł. Atmosferę zagrożenia, wrażenie, iż nieustannie towarzyszą nam ukryte spojrzenia. Prawdę mówiąc, im bliżej Sagimury byliśmy, tym większy ogarniał mnie niepokój. I wcale nie obawiałam się jedynie ukrytych oczu. Miałam też wrażenie, że coś się zbliża. Śledzi nas. Ściga.

A skoro sam Tatsumi nie chciał nocować pod chmurką, to znaczyło, że i ja nie powinnam mieć ochoty na spotkanie z tą istotą.

Kiedy trakt doprowadził nas do przerzuconego nad rzeką Hotaru mostu, pełen dysk księżyca wisiał już wysoko nad naszymi głowami. Na drugim brzegu, ponad odległymi polami ryżowymi, widziałam w mroku migoczącą aurę. Światła Sagimury. Był tylko jeden problem.

Pośrodku mostu ktoś stał. Srebrzysty blask księżyca igrał na obnażonym ostrzu katany, którą nieznajomy trzymał swobodnie przy boku.



DEMON NA MOŚCIE

Oni no Mikoto – wyszeptała Yumeko.
Uzbrojony w miecz wojownik czekał na nas, stojąc nieruchomo jak posąg. Nie byłem pewien, jak sobie Księcia Demonów wyobrażałem wcześniej, ale z pewnością nie spodziewałem się ujrzeć tej wysokiej, pełnej wdzięku postaci, jaką zobaczyłem na moście. Ubrany był w ciemnoniebieskie spodnie *hakama* i sandały, lecz tors miał obnażony, a pięknie rzeźbione mięśnie lśniły w blasku księżyca. Długie, białe włosy, widok na ziemiach Taiyo nierzadki, spływały rozpuszczone w dół i kończyły się poniżej pasa. Twarz ukrył za biało-czerwoną maską wykrzywionego w szerokim uśmiechu *oni*. Z malowanych ust sterczały kły dzika, a z czoła wyrastały zakrzywione rogi. U boku miecznika raz po raz pobłyskiwało ostrze, łagodnie wygięte, śmiercionośne.

– Kurza dupa – mruknął pod nosem Okame. – Albo to prawdziwy Oni no Mikoto, albo facet ma naprawdę zagorzałych wielbicieli. Dobrze, że legendy nie robią na mnie wrażenia. Ani legendy, ani ten durnowaty kodeks honorowy. Nie przejmuj się, Kage-san – rzucił, uśmiechając się do mnie. – Zaraz to załatwię.

Gładkim ruchem napiął cięciwę i wypuścił strzałę, mierząc w grodzącą most postać. Podniosłem wzrok. Wiedziałem już, że ronin niemal nigdy nie chybia, i zastanowiłem się, czy zaraz zobaczę, jak nieznajomy pada na plecy z przestrzeloną pierśią.

Oni no Mikoto nawet nie drgnął. Nie uskoczył w bok, nie cofnął się. Poruszył się jedynie jego miecz. Błysnął w ciemności niczym srebrzysta nić i strącił strzałę w powietrzu. Pocisk zagrzechotał o balustradę i plusnął do rzeki.

– *Sugoi* – powiedziała z przejęciem i zachwytem dziewczyna. – To było... szybkie.

Ronin powoli odetchnął.

– Fakt – przyznał na poły zirytowanym, na poły zaleknionym głosem. – Czyli wszystko jasne. Musimy znaleźć inny most.

– Innego mostu nie ma. – Niecierpliwie przyglądałem się Oni no Mikoto. Książę Demonów obserwował nas w milczeniu, zupełnie nieporuszony faktem, że dopiero co ktoś chciał go zastrzelić. Czulem jego namysł, wagę jego spojrzenia, którym omiatał kolejno nas wszystkich. Po dłuższej chwili ten jego błyszczący miecz uniósł się i wskazał z rozmysłem prosto na mnie. Zaraz potem opadł z powrotem do boku wojownika.

– Cóż, Kage-san – prychnął Okame. – Odnoszę nieodparte wrażenie, że zostałeś właśnie wyzwany. Lepiej ty niż ja, choć jak powiedziałem, mnie nie ograniczają honorowe reguły pojedynków. Ale cóż, myślę, że przyjmiesz wyzwanie. Nie zechcesz okryć niesławą... no wiesz, wszystkich i wszystkiego. Siebie, swojego klanu, swoich dzieciaków, zwierząt gospodarskich, drogi, którą wędrujesz, sandałów, które masz na stopach, kulek ryżowych z torby...

– Naprawdę kulek ryżowych też? – Dziewczyna zmarszczyła czoło. – Nie miałam pojęcia, że można okryć niesławą jedzenie.

– Niesława grozi wszystkiemu pod słońcem, Yumeko-chan. Zapytaj pierwszego lepszego samuraja. Oczywiście zagadnięty ściałby ci natychmiast głowę, bo przecież nie uchodzi zadawać takich niehonorowych pytań.

– Dość – przemówił Oni no Mikoto.

Głos miał spokojny i gładki, a jego wymowa, co zwróciło moją uwagę, świadczyła o niezwykle starannym wychowaniu. Zdecydowanie nie był to wędrowny ronin ani szeregowy bandyta. Mówił niemal tak wykwinicie jak Kage Masao, doradca i dworzanin lady Hanshou.

– Kage-san – podjął Książę Demonów – jeśli nie dałem tego dostatecznie jasno do zrozumienia, wiedz, że wyzywam cię na pojedynek, który rozstrzygnie, kto lepiej włada mieczem. Ty czy ja. Jeśli chcesz przejść na drugi brzeg, musisz mnie pokonać. Możesz, rzecz jasna, zawrócić i odejść bez żadnych konsekwencji. Tchórze mnie nie interesują.

Kamigoroshi zapłonął entuzjazmem i czymś bliskim rozkoszy. Zignorowałem pulsowanie podeksycytowanego miecza i skinąłem na stojących kilka kroków za mną Yumeko i ronina.

– A co z moimi towarzyszami?

– Dziewczyna może przejść, jeśli chce. Ronin... – Wyczułem zmianę wyrazu zamaskowanej twarzy, a w głosie pojawił się cień emocji. – Wolałbym nie tracić go z oczu. Nie chciałbym, żeby po przejściu na drugą stronę strzelił mi w plecy.

Dla każdego szanującego się samuraja tego rodzaju sugestia stanowiłaby niewybaczalną zniewagę, ronin jednak tylko wzruszył ramionami.

– Mną się nie kłopotcie. – Schował łuk i oparł się o balustradę. – Za nic nie przegapiłbym takiego widowiska. Żał jedynie, że nikt tu nie przyjmuje zakładów. Zostałbym tej nocy bogaczem.

Niemal namacalnie poczułem bijącą od wojownika pogardę. Hazard, a szczególnie obstawianie wyników walk na śmierć i życie, był zajęciem, którym kalali się przestępcy, kupcy i prości gapie. Nie szacowni samurajowie.

– Yumeko. – Spojrzałem na stojącą przy balustradzie dziewczynę. – Powinnaś iść dalej. Sagimura jest niedaleko. Znajdź gospodę i zaczekaj tam na nas. To nie zajmie wiele czasu.

– Co? Nigdzie nie idę. – Yumeko popatrzyła hardo na Oni no Mikoto, po czym zwróciła się ku mnie. – Ten pojedynek... – zapytała – skończy się, gdy jeden z was zginie, prawda? – Zauważyłem w jej oczach wewnętrzny konflikt.

Skierowałem wzrok na rywala. Istniało kilka odmian pojedynku. W niektórych orężem były *bokken*, ćwiczebne miecze z drewna, a ich wynik wskazywał, kto jest górą, bez rozlewu krwi. Inne toczono do pierwszej krwi i choć mogły skończyć się śmiercią, zazwyczaj odbywały się bez ofiar. Utalentowani samurajowie chętnie decydowali się na typ pojedynku zwany *iaijutsu*, polegający na tym, że wojownicy stawali przed sobą na wyciągnięcie ręki z mieczami ukrytymi w pochwach, a zwycięzcą okazywał się ten, który jako pierwszy dobył broni i ranił przeciwnika. Tutaj także można było stracić życie, lecz była to jedynie ewentualność, nie pewnik.

– Tak – oświadczył ze spokojem Oni no Mikoto. – Jako że to ja wyzwałem ciebie, pozwolę ci wybrać rodzaj pojedynku. Możesz się zdecydować na *iaijutsu* bądź inny. Nie zgodzę się jednak na zasadę pierwszej krwi ani na prawo łaski czy kapitulacji. Walczyć będziemy do śmierci. Tylko jeden z nas zejdzie dzisiaj z tego mostu, chyba że wolisz zawrócić.

– Dlaczego? – odezwała się Yumeko. – Co ci przychodzi z zabijania ludzi? Naprawdę jesteś demonem?

– Demonem? – Zamaskowany wojownik poczuł się wyraźnie zaskoczony. Popatrzył na dziewczynę, a następnie pokręcił głową. – Nie pojdziesz tego – ocenił łagodnie. – Ludzie pozbawieni pasji nie są w stanie zrozumieć pogoni za doskonałością. Nie jestem demonem. Jestem zaledwie artystą, któremu przez długie lata brakowało płótna, na którym mógłby się wprawiać. Poświęciłem życie szermierce, doskonaleniu harmonii między własnym ja i ostrzem. A pojedynkowanie się drewnianym orężem bądź konieczność zaprzestania po pierwszej ranie... to jak malować obraz tylko połową

palety kolorów. Owe „bezpieczne” pojedynki, w jakich brałem udział, wyłącznie mnie upośledziły i nie nauczyły niczego. Jedyną metodą pozwalającą mi sprawdzić umiejętności jest starcie bez ograniczeń. Tylko w ten sposób mogę się przekonać, czy zdołałem osiągnąć ideał.

– Ale przecież... zabijasz ludzi – zauważyła Yumeko. – Czaisz się na mostach i zaskakujesz podróżnych jedynie po to, by dowieść, że jesteś lepszym szermierzem. Dlaczego?

– Czaję się? – powtórzył nieznajomy z nutą wesołości. – Co za niesmaczna wizja. Gdybyś była mężczyzną, poprosiłbym, byś poparła tę insynuację stałą. Oni no Mikoto nigdy się nie czai i nikogo nie zaskakuje. Wyzywam rywali na pojedynki, oferując im możliwość wyboru. Każdy może odmówić walki. Było kilku takich, którzy dostrzegli we mnie silniejszego i wycofali się, nie tracąc przy tym honoru. Nie chcę potykać się z tymi, którzy są tego niewarci. Jeżeli sami dochodzą do wniosku, że są słabsi, tym lepiej. Oszczędzam w ten sposób cenny czas i jestem im za to wdzięczny. Nazbyt często spotykam konkurentów, którzy pełni są nadmiernej wiary w siebie i uwielbiają się chełpić, mając o swoim talencie zbyt wysokie mniemanie. Mam nadzieję, że dzisiaj będzie inaczej. Tak więc, Kage-san. – Błada maska *oni* zwróciła się w moją stronę. – Pokornie czekam na twoją odpowiedź. Czy jak kilku innych wcześniej zawrócisz i odejdziesz? Czy zmierzysz się z Oni no Mikoto i skrzyżujesz z nim miecze w honorowej walce?

– Nie uczynię żadnej z tych rzeczy.

Wyczułem jego zdumienie, mimo że maska nie zdradzała niczego. Ronin nie miał racji; szczytne ideały honoru i chwały znaczyły dla mnie bardzo niewiele. Nie miałem dumy, którą mogłem się podeprzeć, ani twarzy, którą mógłbym utracić. Wbrew pozorom nie byłem samurajem. Byłem *shinobi* klanu Kage, kimś, kto atakuje z cienia, kto w walce z przeciwnikami posługuje się oszustwem i podstępem. *Shinobi* postrzegano jako zabójców bez honoru, ponieważ prawdziwi *bushi* mierzyli się z przeciwnikami z otwartą przyłbicą i nie zniżali do skradania w mroku. Miałem swą osobistą

czeń i żyłem wedle zasad klanu, lecz *bushido* nie było dla mnie tak ważne, jak pragnienie ukończenia misji za wszelką cenę.

Gdybym mógł tego starcia uniknąć, tak bym właśnie postąpił. Oni no Mikoto jednak stanowił przeszkodę, której obejście kosztowałoby mnie zbyt wiele czasu.

– Wolałbym nie walczyć – powiedziałem, czując, że Hakaimono budzi się we mnie na podobieństwo krwawego tajfunu – ale stanąłeś na mojej drodze, a mam obowiązek wykonania misji. Nie skrzyżuję z tobą mieczy. Po prostu wyrąbię sobie drogę na drugi brzeg przez twoje ciało.

– Znakomicie! – Oni no Mikoto wyraźnie się ucieszył. – Twoja zgoda jest dla mnie zaszczytem. Chodź więc, Kage-san. Przekonajmy się, kto więcej potrafi.

– Yumeko – rzekłem, nie odrywając wzroku od rywala – cofnij się. To moja walka, rozumiesz? Nie próbuj się wtrącać.

Kątem oka zauważyłem, że dziewczyna podchodzi o krok.

– Nie zgin, Tatsumi-san – poleciła mi półgłosem. – Obiecałeś zaprowadzić mnie do Świątyni Stalowego Pióra. Jeżeli padniesz, nie dotrzymasz słowa, a to bardzo niegrzecznie.

– Nie zginę – zapewniłem. Hakaimono z każdą chwilą rósł w siłę, przypominał wzbierającą falę przemocy i żądzy krwi. – Idź – dodałem. – Znajdź bezpieczne miejsce. Niedługo będzie po wszystkim.

– Zapowiada się ciekawie. – Ronin odepchnął się od balustrady i wycofał o kilkanaście kroków, zapewniając nam mnóstwo miejsca na moście. Wkrótce jego śladem poszła dziewczyna.

Stanąłem przed Oni no Mikoto na środku przeprawy, w świetle opromieniającego nas obu księżycy. Na deskach zagrał zimny powiew znad wody, szarpiąc moje ubranie i igrając z jego długimi włosami.

– Czy twój miecz nosi jakieś imię, Kage-san? – zainteresował się Oni no Mikoto.

– Dlaczego pytasz?

– Jestem uczonym. – Wzruszył ramionami. – Zajmują mnie dzieje szermierki w Iwagoto. Historia największych wojowników i wytwórców oręża. W ciągu lat badań natykałem się często na imiona kilku bardzo wyjątkowych mieczy. Na przykład Chwała Świtu, ostrze samego cesarza. A także imiona bliźniaczych ostrzy słynnego szermierza Mizu Sasakiego. Jeżeli twój miecz również posiada imię, bardzo chciałbym je usłyszeć. Będzie dla mnie szczególnym zaszczytem potykać się z kimś władającym bronią pojawiającą się na zwojach historyków.

– Imię tego miecza nikomu nie przynosi zaszczytu.

Oni no Mikoto drgnął, jakby dopiero teraz ujrzał mnie w pełnej krasie.

– Jesteś... należysz do Klanu Cienia – powiedział powoli. – Kage stworzyli jedynie dwa godne wzmianki miecze. Sasori, oręż klanowych *daimyo*... i to drugie ostrze, to, które sprowadziło na wasze ziemie przekleństwo i doprowadziło niemal do wymazania Kage z kart dziejów.

Wypowiadając następne słowa, które nie były w pełni moimi, poczułem, że na usta wypływa mi nieproszony uśmiech.

– Prawdziwy *oni* wiedziałyby, że nie należy krzyżować ostrzy z Kamigoroshi.

– Zatem to prawda – wyszeptał Oni no Mikoto, a w jego głosie pojawiła się nikła nuta podziwu. – Jesteś powiernikiem Zabójcy Bogów, przeklętego miecza Kage.

Zaczerpnąłem głębszy oddech, stłumiłem budzącą się we mnie istotę i odzyskałem własny głos.

– Możesz zawrócić – oświadczyłem cicho, słysząc w umyśle powarkiwanie rozzłoszczonego Hakaimono. – Kamigoroshi nie dba o to, czyją duszę pożera, człowieka czy demona. Masz czas się wycofać. Sam mówiłeś, że nie traci honoru ten, kto w porę uznaje wyższość przeciwnika.

– Kage-san. – Oni no Mikoto zbliżył się o krok. Drżał, lecz zdałem sobie sprawę, że nie trzęsie się ze strachu, a z ekscytacji. – Oto walka, jakiej wyglądałem przez całe życie. Od dawna czekałem

na godnego rywala, kogoś, przy kim musiałbym wzbić się na wyżyny talentu. Jak wielu wojowników może powiedzieć, że potykali się z legendą? Ilu szermierzy może się pochwalić, że skrzyżowali ostrza z mieczem, który sam doprowadził na skraj upadku jeden z Wielkich Klanów? Nie, Kage-san, od tej walki nie odstąpię – rzekł i uniósł swoje długie, lekko zakrzywione ostrze, które rozbłysło pomiędzy nami niczym promień księżyca. – Jestem Oni no Mikoto, niepokonany oręż Taiyo, i stanąć z tobą do pojedynku będzie dla mnie zaszczytem.

Wahałem się jeszcze przez chwilę, po czym z wolna dobyłem Kamigoroshi. Miecz zawył niecierpliwie, a na deski pod naszymi stopami spłynął złowróżbny, fioletowy blask.

Patrzyliśmy sobie w oczy, nieruchomi. Wiatr ciągnął nas za włosy, furkotał w połach ubrań. Miecz trzymałem swobodnie u boku, Oni no Mikoto swoje ostrze skierował ku górze. Wydawało się, że czas zwolnił bieg, obaj ocenialiśmy przeciwnika, szacowaliśmy wzajemnie swoje atuty i słabości, czekając na moment, w którym obaj eksplodujemy i rozpocznie się starcie.

Jeszcze nie, pomyślałem, kiedy Oni no Mikoto nieznacznie zmienił postawę, cofając jedną stopę. Mocniej chwyciłem Kamigoroshi. Poczułem, jak spinają się moje mięśnie, dotarła do mnie fala niecierpliwości złąknionego krwi Hakaimono. On zaatakuj szybko. Bądź gotów...

Rozległ się huk, trzasnęły pękające deski i spod mostu wystrzeliła wielka, przypominająca węża istota, która wzniosła się między nami na piętnaście stóp. Białe światło zagrało na twardym pancerzu i dziesiątkach żółtych odnóży, które zadudniły o most. Pękaty, szkarłatny łeb obrócił się w moją stronę i ujrzałem dwie przypominające sierpy, ociekające zielonym śluzem żuwaczki. *Omukade*, olbrzymia stonoga ludojad, uniosła się i z przenikliwym sykiem zaatakowała.



WIELKA OMUKADE

Miałam wrażenie, że żołądek ucieknie mi piętami. Potworna stonoga uniosła się w powietrzu, górując ponad Tatsumim i Oni no Mikoto, którzy przy niej sami wyglądali jak nędzne robaki. Podzielony na niezliczone segmenty pancerz bestii był czarny niczym smoła, łeb szkarłatny i obdarzony dwiema kłapiącymi niczym ostrza żuwaczkami. Monstrum rzuciło się na Tatsumiego.

Wojownik uskoczył na bok i przeciągnął ostrzem Kamigoroshi po grzbiecie stonogi. Błysnęło fioletem, lecz miecz zaledwie zarysował twardy, chitynowy pancerz. Pozostawił po sobie głęboką szramę, ale do środka się nie przebił.

– *Kuso!* – Okame zaczął się cofać, patrząc na potwora, który przebiegł po moście, zawrócił i ponownie rzucił się na Tatsumiego. Zabójca demonów raz jeszcze uskoczył w bok i żuwaczki zacisnęły się na balustradzie, rozcinając drewniane słupki jak ryżowy papier.

Tatsumi uderzył w potężnego *yokai*, tym razem mierząc w jasnożółte odnóża. Trysnęła zielona maź i o deski zagrzechotały trzy odcięte, podrygujące spazmatycznie kończyny. *Omukade* odwinęła się jednak i pomknęła za chłopakiem, nie zwalniając nawet na chwilę.

O lśniący pancerz stuknęła strzała. Uderzyła i odbiła się nieszkodliwie. Podobnie stało się z drugą i trzecią.

– Jasna cholera – warknął Okame, wypuszczając czwarty pocisk w potworny łeb. Grot ześliznął się po szczycie czaszki, a stonoga nawet nie podniosła wzroku. – *Kuso* – syknął ronin, sięgając po kolejną strzałę. – Twarda paskuda. Pancerz ma dosłownie wszędzie. Jak nic się nie zmieni, pożre Kage-sana, a potem rzuci się na nas.

Wtem pojawił się Oni no Mikoto. Wyskoczył ponad długie, wijące się cielsko stonogi i zamachnął się mieczem zza głowy. *Omukade*, wciąż zajęta Tatsumim, nie zauważyła zamaskowanego szermierza aż do chwili, kiedy uderzył. Podobnie jak Kamigoroshi, miecz Księcia Demonów zgrzytnął o pancerz, a potwór odwrócił się z sykiem do nowego przeciwnika.

Pancerz ma dosłownie wszędzie... – powtórzyłam w duchu i skojarzyłam.

– Okame! – rzuciłam, patrząc na ronina, który opierał właśnie na cięciwie kolejną strzałę. – Ślepie! Pancerz nie chroni oczu! Celuj w oczy!

– Co? – Okame opuścił łuk, spojrzał na mnie i znów na stonogę. Wielki *yokai* szamotał się na środku mostu, kłapiąc to na Tatsumiego, to na Oni no Mikoto, coraz bardziej rozpaczliwie starających się uniknąć potężnych żuwaczek. Tatsumi uderzył mieczem w łeb potwora, który cofnął się gwałtownie, wściekle tryskając śluzem.

– Niech to, za bardzo się wierci – burknął Okame, spoglądając wzdłuż strzały. – W dodatku oczy ma wielkości persymony, więc niełatwo będzie trafić. No niechże się to bydlę uspokoi... Wystarczy mi dosłownie chwila...

– Celuj – syknęłam, przełykając ślinę. – Ja ją zatrzymam.

Podeszłam na skraj mostu, obserwując trwające na jego środku starcie. Obaj szermierze wciąż bezskutecznie próbowali przebić twarde pancerz bestii. Stonoga straciła już kilka kolejnych odnóży, które leżały na moście, słabo podrygując. Brak kończyn zupełnie jednak nie osłabił jej zapału. Z rozkołatanim sercem wsunęłam do ust kciuk z palcem wskazującym i zrobiłam to, co nieodmiennie drażniło Dengę-sana.

Okolicę przeszył długi, przenikliwy świst. *Omukade* znieruchomiała, podniosła łeb i zmierzyła mnie zimnym, czarnym spojrzeniem. Zaraz potem nad moją głowę przeleciała strzała i ugodziła w sam środek jednego z wyłupiastych ślepi.

Yokai zawył. Wielkie cielsko zaczęło się wściekle szamotać, bijąc o słupki i balustradę, przełamując belki w deszczu drzazg. Tatsumi i Oni no Mikoto błyskawicznie odskoczyli na bok, lecz długi, wijący się ogon uderzył Księcia Demonów i posłał go prosto w nurt rzeki. Zobaczyłam jeszcze spadającą, smukłą sylwetkę i rozwiane długie, białe włosy. Mgnienie później wojownik zniknął pod powierzchnią.

Kiedy spojrzałam ponownie na most, zobaczyłam *omukade* wpatrującą się we mnie zdrowym okiem. Żuwaczki trzęsły się z wściekłości.

Cóż, z pewnością udało mi się zwrócić jej uwagę.

Odwróciłam się i pobiegłam przed siebie. Potwór zaskrzeczał i rzucił się za mną, bębniąc odnóżami o deski. Nie miałam odwagi zerknąć za plecy, ale gniewny grzechot kłapiących szczęk wyraźnie dawał do zrozumienia, że stwór błyskawicznie się zbliża.

Drzewo, drzewo, byle znaleźć drzewo!

Zauważyłam rosnącą tuż nad wodą poskręcaną sosnę. Skręciłam i pomknęłam w tamtą stronę, podrywając po drodze leżący na piachu listek. Zbliżając się do drzewa, wyszeptałam zaklęcie lisiej magii, wypuściłam liść i wskoczyłam za pień. Mogłam mieć jedynie nadzieję, że nikt nie zauważy pojawienia się drugiej, kulącej się pod drzewem Yumeko.

Ukryta za sosną wstrzymałam oddech i zaczęłam się modlić, by *omukade* nie odkryła podstęp. Niepotrzebnie się martwiłam, gdyż

wielka stonoga z sykiem, od którego rozdzwoniło mi się w uszach, grzmotnęła łbem o pień. Wyczułam chrupnięcie, z jakim żuwaczki przecięły fałszywą Yumeko i wgryzły się w drzewo. Pień zadygotał.

Kiedy szamoczące się monstrum zaczęło mozolnie uwalniać szczęki, podskoczyłam, chwyciłam najniższą gałąź, podciągnęłam się i natychmiast sięgnęłam ku kolejnej. Lata spędzone na łażeniu po starym klonie w świątynnym ogrodzie sprawiły, że wspinaczka nie była dla mnie żadnym wyzwaniem, a strach dodawał mi skrzydeł.

Omukade wyzwoliła się, gdy byłam mniej więcej w połowie wysokości sosny. Usłyszałam trzask kory i spojrzałam w dół, prosto w bezduszne oko syczącej bestii. Nieprzerwanie pracując żuwaczkami, zaczęła pięć się ku górze. Dziesiątki żółtych kończyn pozwalały jej sunąć naprzód z zatrważającą szybkością.

Ruszyłam wyżej, ścigana przez posykiwanie i grzechot. Kiedy grube konary ustąpiły gałęziom cieńszym i słabszym, stonoga zwolniła. Jej cielsko było jednak na tyle długie, że bez większego wysiłku sięgała najwyższych gałęzi, mimo iż cała sosna obciążona nadmiernym ciężarem zaczęła się niebezpiecznie kołysać.

Wreszcie nie miałam już dokąd uciekać. Dotarłam na wierzchołek drzewa, a stonoga wciąż ku mnie pełzła. Dobyłam *tanto* i odsunęłam się od potwora najdalej, jak tylko mogłam, obserwując pękaty, szkarłatny łeb roztrącający iglaste gałązki tuż pod moimi stopami. Drzewo jęknęło i zaskrzypiało, pień nachylił się jeszcze bardziej, lecz wytrzymał.

Z tak niewielkiej odległości widziałam dokładnie całe obrzydliwe cielsko stonogi. Zauważyłam też coś ciekawego. Górną połowę wielkiego potwora pokrywał ów lśniący, czarny pancerz, od którego odbijały się groty strzał i ostrza mieczy. Poniżej jednak migające między kończynami podbrzusze wyglądało na niemal miękkie. Z pewnością nie była to nieprzenikniona zbroja. Problem tylko, jak się tam dostać.

Uniosłam trzymającą sztylet dłoń, a w drugiej zaczęłam zbierać magię z nadzieją, że desperacki rozbłysk lisiego ognia oszołomi stonogę na dość długo, bym mogła... coś zrobić.

– Yumeko! – Znajomy głos rozległ się blisko, tuż pode mną.

Zerknęłam w dół i zobaczyłam stojącego na jednej z niższych gałęzi Tatsumiego. Spowity fioletowymi płomieniami Kamigoroshi zalewał zabójcę demonów upiornym blaskiem. Oczy chłopaka zdawały się jarzyć szkarłatem.

– Skacz! – rzucił, wyciągając ku mnie wolną rękę. – Natychmiast!

– Ziemia jest okropnie daleko, Tatsumi-san – odparłam, czując mdłości na samą myśl.

– Złapię cię – zapewnił. – Obiecuję. Prędeż!

Cóż, mając do wyboru pożarcie przez olbrzymią stonogę i śmierć wskutek upadku z dużej wysokości, doszłam do wniosku, że wolę to drugie. Gdy *omukade* syknęła i zaatakowała, zebrałam się w sobie i oderwałam od pnia. Wrzask uwiązał mi gdzieś w połowie gardła. Runęłam jak kamień, lecz nie zdążyłam nawet porządnie się przestraszyć, gdy coś chwyciło mnie w pasie i przytrzymało. Tatsumi wciągnął mnie na konar i pomógł stanąć, a wszystko to zrobił jedną ręką, gdyż drugą miał zajęętą mieczem. Chłopak był szokująco silny. Utrzymał mój rozperdzony ciężar i nawet się nie zachwiał.

Kiedy popatrzyłam mu w oczy, po plecach przebiegł mi dreszcz. Oczy wojownika naprawdę jaśniały, gdzieś w ich głębi lśniły nikłe, szkarłatne iskry. Wyglądał w tej chwili nieludzko.

– Jesteś ranna? – zapytał głosem, który też zabrzmiał inaczej niż zwykle. Był niższy, w pewien sposób bardziej mroczny i spięty. Jakby Tatsumi toczył w głębi duszy jakąś niełatwą walkę.

– Podbrzusze nie jest opancerzone – powiedziałam, na co chłopak zmrużył oczy w konsternacji. – No, pancerz... Pod spodem go nie ma. Musisz uderzyć od dołu.

Otworzył szerzej oczy i skinął głową. Wisząca nad nami *omukade* odwróciła się, spojrzała na nas z sykiem i grzechotem żuwaczek. Tatsumi niespodziewanie, nie wypuszczając mnie z objęć, zeskoczył gałąź niżej. Zdławiłam w sobie okrzyk, a kiedy mnie odstawił, oparłam się pokusie i nie chwyciłam kurczowo jego bluzy.

Chłopak podniósł wzrok na długie cielsko stonogi, przeciskającej się między gałęziami. Zdrowe ślepie mierzyło nas złowrogo.

– Dasz radę ją odciągnąć? – spytał półgłosem Tatsumi. – Nakłonić, żeby ruszyła za tobą?

Domyśliłam się, o co mu chodzi, i roztrzęsiona potwierdziłam ruchem głowy.

– To chyba nie będzie bardzo trudne – jęknęłam, patrząc na kłapiącego szczękami, uparcie schodzącego za nami po pniu potwora.

– Biegnij – rzucił Tatsumi i ruszyliśmy w dół, skacząc po kolejnych gałęziach, by prześcignąć pełznącą wężowym ruchem bestię. Mniej więcej w połowie sosny zauważyłam, że chłopak gdzieś zniknął.

Coś zabrzęczało mi tuż przy policzku. Drgnęłam, a strzała odbiła się od pancerza stonogi. Stwór zasyczał gniewnie i zatrzymał się, by rozejrzeć za nowym przeciwnikiem. Być może przypomniał sobie, co spotkało jedno z jego ślepi.

– Okame, zaczekaj! – krzyknęłam, spoglądając na stojącego pod drzewem ronina. Z ponurą miną mierzył w potwora. Usłyszał mnie jednak i opuścił broń. W tej samej chwili, rozkojarzona, źle chwyciłam gałąź i spadłam kilka dobrych stóp. Mój puls gwałtownie przyspieszył, zamachałam dziko ramieniem i poczułam pod palcami gruby konar. Zawisłam, słysząc okrzyk ronina. Zakołysałam nogami w powietrzu i rozpaczliwie spróbowałam pochwycić gałąź drugą ręką.

Coś ciepłego kapnęło mi na palce. Wzdrygnęłam się i podniosłam wzrok. Dosłownie parę stóp ode mnie rozchyłały się właśnie lśniące, czarne szczęki, gotowe odgryźć mi głowę. W tym samym momencie przemknęła nade mną niewyraźna, czarna smuga. Tatsumi przebiegł po gałęzi i ciął ostrzem Kamigoroshi prosto w odsłonięte podbrzusze *omukade*.

Potwór wrzasnął i wierzgnął, rozpadając się na dwie tryskające zielonożółtą mazią połowy. Górna spadła między gałęziami i upadła

na grzbiet, wywijając odnóżami w desperackiej próbie powrotu do właściwej pozycji.

– Okame! Głowa! – zawołałam, przekrzykując obłąkańcze posykiwanie wijącego się *yokai*, który nawet teraz nie chciał rozstać się z życiem. – Obetnij jej łeb! To powinno ją zabić na dobre!

W spojrzeniu ronina zajaśniało zrozumienie i odwrócił się ku powalonemu potworowi. Zanim jednak zdążył zrobić cokolwiek, do szamocącego się korpusu podszedł dziarskim krokiem Oni no Mikoto, poderwał miecz i uderzył tuż poniżej wciąż kłapiących żuwaczek. Pękata, szkarłatna głowa potoczyła się po ziemi, a drgające spazmatycznie kończyny i zabójcze szczęki nareszcie zastygły. Wielki *yokai* uznał się za pokonanego.

Odetchnęłam z ulgą, po czym spróbowałam podciągnąć się wyżej, gdyż moje dłonie zaczęły ześlizgiwać się po korze, a skrócić sobie kark po tym, jak przeżyłam atak olbrzymiej *omukade*, byłoby naprawdę bardzo pechowo.

Konar zadrżał i tuż przy moich palcach pojawiły się buty *tabi*. Spojrzałam w górę i zobaczyłam stojącego nade mną Tatsumiego. Trzymany swobodnie Kamigoroshi kołysał się u jego boku. Wyraz twarzy chłopaka zmroził mi krew w żyłach. Na wargach majaczył nieznacznym, zaintrygowany uśmiezek, jakby cała ta sytuacja wydała mu się niezwykle zabawna i zastanawiał się właśnie, co dalej.

– Tatsumi? – wysapałam, widząc, że nadal obserwuje mnie bez ruchu. – Co... co robisz? Pomóż mi.

Chłopak jeszcze przez chwilę stał jak posąg i świdrował mnie budzącym dreszcze wzrokiem. Kamigoroshi migotał miarowo, a w jego nieziemskiej poświacie oczy wojownika jaśniały czerwienią, w której otwierały się pionowe jak u kota źrenice.

Wtem palce jednej dłoni puściły. Wrzasnęłam i spadłam z gałęzi.

Mocna ręka zacisnęła się na moim nadgarstku żelaznym uściskiem, uniosła mnie i postawiła z powrotem na konarze. Jęknęłam słabo i chwyciłam za czarną *haori*. W uszach dudniło mi serce, czekałam, by puls wrócił do normy, a ramiona przestały drżeć.

– Yumeko. – W głosie Tatsumiego ponownie pojawiło się napięcie, lecz teraz brzmiał już normalnie. Stał bardzo sztywno, ręce trzymał tuż przy bokach, a przez bluzę czułam jego rozkołataną serce. Uświadomiłam sobie zniechęcająco, że stoimy bardzo blisko siebie. Niemal stykaliśmy się piersiami, a nasze twarze dzieliły zaledwie cale. Futerał boleśnie gniótł mi żebra.

– *Gomen!* – Spłoniona puściłam go i cofnęłam się, stając na wąskiej gałęzi o własnych siłach. Chłopak rozluźnił się nieco, ale nadal mierzył mnie ponurym spojrzeniem zwyczajnych już oczu. Mimo wstydu poczułam też nikły płomyk ulgi. Nie został w nim nawet ślad tego przerażającego, czerwonoookiego wojownika, którego widziałam jeszcze kilka chwil temu. A może nic podobnego się nie wydarzyło? Może w tym upiornym blasku Kamigoroshi po prostu wszystko sobie wyobraziłam?

– *Oiii!* – doleciało nas z dołu. – Yumeko-chan? Kage-san? Wszystko tam u was w porządku?

– *Hai, Okame!* – odkrzyknęłam. – Cali i zdrowi. Zaraz schodzimy.

Kilka minut później staliśmy już wszyscy pod drzewem, spoglądając na potężne cielsko stonogi. Część wisiała nad nami, część spoczywała na ziemi. Zastanawiałam się, co pomyślą sobie podróżni, kiedy podniosą wzrok i zobaczą wplątany w gałęzie sosny przecięty korpus ogromnej bestii.

– Obrzydlistwo – rzucił ronin, gdy podeszliśmy. – Patrzcie tylko na tego potwora. Nie dbam o to, czy był sędziwy, czy może wyjątkowo rzadki. Nie istnieje żaden logiczny powód, by tak wielkie robale chodziły po świecie.

– Sędziwy był na pewno – stwierdziłam, wpatrzona w gigantyczne zwłoki. – Tylko... dlaczego nas zaatakował? Pojawił się, jakby dokładnie wiedział, gdzie nas szukać.

– To nieważne. – Książę Demonów zwrócił się do Tatsumiego. – Bestia została pokonana – podjął takim tonem, jakby boje z przerośniętymi stonogami toczył codziennie, tuż przed wieczorną herbatą. – Zwyciężyliśmy, a noc wciąż jest młoda. Czy teraz, skoro

przeszkoda zniknęła, możemy kontynuować nasz pojedynek, Kagasan?



PROPOZYCJA DLA KSIĘCIA DEMONÓW

Nani? – Yumeko spojrzała na niego. – Teraz? – Machnęła ręką na wielki korpus, z którego zielonkawy płyn wciąż sączył się na zdeptaną trawę. – O mały włos nie pożarła nas wielka stonoga. Czy to naprawdę dobra pora na kolejną walkę?

– Pojedynek został zaproponowany uczciwie, a wyzwanie przyjęte – odparł rzeczowym tonem Oni no Mikoto. – Honor wymaga, byśmy kontynuowali do momentu rozstrzygnięcia. Kagesan. – Ukłonił się przede mną. – Czy wrócimy na most? Jestem gotów.

Potaknąłem zmęczonym skinieniem. Skoro tylko w ten sposób mogliśmy przejść przez rzekę, trzeba go było zasieć. Niekoniecznie mi na tym zależało. Wojownik dowiódł swej wartości w walce z *omukade* i nie umknął w sytuacji, kiedy byłby to najbardziej rozsądny wybór. A z tego, co zdążyłem zaobserwować, wynikało, iż jest niebywale sprawnym i szybkim szermierzem, niewykluczone, że

najlepszym, jakiego spotkałem. Wiedziałem, że będzie śmiertelnie niebezpiecznym rywalem.

Niestety, nie chciał odpuścić, a ja musiałem wypełnić misję. Skoro tak bardzo mu na tym pojedynku zależało, musiałem zapewnić mu honorową śmierć.

– Zaczekajcie. – Kiedy ruszyliśmy w stronę mostu, podbiegła za nami Yumeko. – Oni no Mikoto, stój.

– Wieśniaczko. – Wojownik odwrócił się ku dziewczynie, a jego głos, choć uprzejmy, zabrzmiał lodowato. – Podróżujesz z Kagesanem, domyślam się więc, że jesteś jego służką bądź pozostajesz pod jego opieką. Ale słudzy nie rozkazują samurajom. Ostrzegam cię kulturalnie, gdyż następny wojownik, jakiego spotkasz na swej drodze, może poczuć się takim zachowaniem urażony.

Yumeko kilka razy zamrugnęła, lecz nie cofnęła się ani nie drgnęła.

– *Sumimasen* – powiedziała. – Czy powinnam się była uklonić? O to chodzi, prawda?

Ronin prychnął.

– Myślę raczej, że chciał, byś padła przed nim na twarz. Tak zwykle wyglądają spotkania samurajów z chłopami.

– Przepraszam – podjęła dziewczyna. – Nie chciałam cię urazić. Wychowałam się w świątyni i nigdy dotąd nie musiałam rozmawiać z samurajami. To znaczy z wyjątkiem Tatsumi-sana, ale on się takimi sprawami nie przejmuje. – Słyszając te słowa, uniosłem brew w zdziwieniu, lecz nikt na mnie nie patrzył. – Nie jestem znawczynią zasad dobrego wychowania – ciągnęła Yumeko. – Niemniej naprawdę nie chciałam nikogo obrazić. Oni-sama, czy powinnam teraz wyciągnąć się na ziemi?

– Nie – westchnął Oni no Mikoto. – Po prostu... mów, czego chcesz, dziewczucho.

– Gdyby Oni-sama zechciał spełnić drobną prośbę – kontynuowała dziewczyna – i spojrzeć w prawe ślepie *omukade*. Co w nim widać?

Książę Demonów przyjrzał się martwej stonodze. Łeb znieruchomiał ze szczękami rozchylonymi we wściekłym syku, kilka odnóży wciąż leciutko drżało.

– Strzałę – odrzekł, patrząc na wyraźnie widoczny w blasku księżycyca, sterczący z oka pocisk. Nagle drgnął, skojarzył fakty i nabrał powoli powietrza. – Czyli... – zwrócił się do ronina – to ty strzeliłeś do potwora. Na moście, kiedy ani ja, ani Kage-san nie mogliśmy nic zrobić. Nasze miecze nie mogły się przebić, lecz... – znów zerknął na bestię – coś ją odciągnęło. Ty tego dokonałeś.

– Może i strzeliłem – Okame wzruszył ramionami i wskazał ruchem głowy dziewczynę – ale to Yumeko-chan powiedziała, w co mam mierzyć, i to ona zwróciła uwagę stonogi. Jeśli chcesz komuś dziękować, że nie skończyłeś jako przekąska, jej dziękuj.

– Rozumiem. – Oni no Mikoto ponownie spojrzął na Yumeko. – Wygląda na to, że jestem ci winien wdzięczność. – Mimo że wciąż stał bardzo sztywno, mówił uprzejmie. – Tego właśnie chcesz, prawda, dziewczyno? Łaski samuraja. Znakomicie. – Wyprostował się. – Spełnię twą prośbę, lecz jedno musisz zrozumieć. Nie zrezygnuję z pojedynku z Kage-sanem. – Przeniósł wzrok na mnie. – Czekam na to starcie, odkąd po raz pierwszy wziąłem miecz do ręki, i nie zamierzam go stracić. Proś o wszystko z tym jednym wyjątkiem.

– Cieszę się, Oni-sama – oświadczyła dziewczyna. – Skoro nie możesz zrezygnować z walki, po prostu ją przełóż. Odroczy pojedynek.

– Odroczyć? – Książę Demonów sprawiał wrażenie mocno poruszonego.

– Tak – potwierdziła. – Rozumiem, że to dla ciebie ważne, lecz ja muszę wykonać równie ważną misję, a Tatsumi obiecał mi towarzyszyć, dopóki jej nie zrealizuję. Prowadzi mnie do stolicy i nie mogę pozwolić, by zginął, zanim dopnę swego.

– Nie możesz... pozwolić. – Ukryte za maską oczy wojownika zamrugały. Przemknął w nich cień niepewności, potem pojawiło się skrajne zdumienie. Niespodziewanie zgiął się w głębokim ukłonie. – Wybacz, moja pani – podjął zmienionym tonem. – Nie miałem

pojęcia, kim jesteś. Uznałem cię za prostą chłopkę, ale jeżeli Kage-san jest twoim *yojimbo*, to popełniłem srogi błąd. Uniżenie błagam, byś mi ten błąd w ocenie zechciała przebaczyć.

Ściągnąłem brwi, nieco urażony jego domysłami. Nie byłem niczym ochroniarzem. Nie przyjmowałem rozkazów od nikogo poza Kage. Niemniej nie miałem zamiaru wyprowadzać wojownika z błędu. Skoro uznał, że Yumeko jest wielką damą, a ja jej *yojimbo*, najętym, by chronić ją na szlaku, niech i tak będzie. Mogliśmy dzięki temu uniknąć paru niewygodnych pytań.

– Powinieneś się wstydzić – wtrącił ronin, wskazując palcem dziewczynę. – Przecież to oczywiste, że prosta chłopka nie mogła pozostawać pod ochroną zabójcy demonów z klanu Kage, z tego oto powodu, że chłopki nie mają w życiu celów, misji ani niczego innego, z wyjątkiem usługiwania samurajom. Z pewnością rozumiesz już, że masz do czynienia ze świątynną dziewicą bądź wędrowną *onmyoji*. To jedyne wyjaśnienie tej przebieranki, czy tak, Oni-san?

Gdyby słowa te wypowiedział ktokolwiek inny, wyjaśnienie brzmiałoby wielce sensownie. Yumeko wychowała się w świątyni i bez przerwy opowiadała o swoim mistrzu Isao. Mnisi, świątynne dziewice i *onmyoji* zajmowały w Iwagoto odmienną pozycję: ludzie ci nie należeli do kasty wojowników i, ściśle rzecz biorąc, uznawano ich za równych chłopom, lecz zarazem otaczano szacunkiem ze względu na ich oświeconą mądrość. Byli poważanymi nauczycielami, mistrzami rozmaitych dziedzin lub duchowymi doradcami. Samurajowie i wieśniacy szczególną estymą darzyli *onmyoji* – wróżów, egzorcystów, przepowiadaczy przyszłości i specjalistów od świata duchowego. Ponieważ po drogach krainy wędrowało bardzo wielu *onmyoji* i ponieważ z uwagi na fach zadawali się z najrozmaitszymi widmami, *yokai* i nieukojonymi duszami, moje ścieżki nierzadko przecinały się ze ścieżkami któregoś z nich.

Było więc mało prawdopodobne, lecz nie niemożliwe, aby uwierzyć, że Yumeko jest wędrowną *onmyoji*, która poprosiła Klan Cienia o ochronę zabójcy demonów. Ja jednak znałem już tego

pozbawionego szacunku ronina zbyt długo, by nie wychwycić w jego wypowiedzi zawołanego sarkazmu i pogardy dla całej kasty wojowników.

– Ale, Okame-san – zaczęła dziewczyna – ja nie jestem...

– Poza tym – ciągnął donośnie ronin – czy to naprawdę stosowna pora, by kontynuować walkę? Sam przed chwilą wpadłeś do rzeki, a Kage-san wygląda na wyczerpanego. Skoro czekałeś na to starcie przez całe życie, to czy naprawdę chcesz je odbyć teraz, kiedy żaden z was nie jest w pełni sił?

– Hmm. – Książę Demonów założył ręce na piersi. – Celna uwaga – przyznał z niechęcią w głosie. – Gdybyśmy stoczyli walkę teraz, nie dowiedziałbym się, czy zwycięzca przeważył dzięki swemu talentowi, czy raczej skutek zrządzenia przypadku i pecha przeciwnika. Ten pojedynek musi się odbyć wówczas, gdy obaj będziemy przygotowani i niczego nie pozostawimy wyrokowi losu. Dobrze zatem. – Z malującym się na twarzy przekonaniem spojrzał na Yumeko i skinął głową. – Moja pani, czy pozwolisz mi towarzyszyć sobie i swoim kompanom do stolicy i dokądkolwiek zaprowadzi cię droga potem?

Drgnąłem zaskoczony i zmrużyłem oczy. Dziewczyna wyprostowała plecy.

– Dlaczego? – spytała. Ewidentnie ona również nie spodziewała się takiego obrotu spraw.

– Dobrze znam Kin Heigen Toshi – podjął Oni no Mikoto. – Mieszkałem w tym mieście przez długie lata i moje nazwisko wiele tam znaczy. Z przyjemnością pomogę ci załatwić wszelkie sprawy, jakie wiodą cię do stolicy.

– Nie potrzebujemy pomocy – wtrąciłem. – Dziękuję, ale poradzimy sobie o własnych siłach.

– Wybacz, Kage-san – Oni no Mikoto popatrzył na mnie z rozbawieniem – ale dopiero co zaatakowała nas olbrzymia stonoga. Przyznaję, iż niewiele wiem o demonach, lecz muszę założyć, że napaść ta nie była przypadkowa. Życie zabójcy demonów jest zapewne życiem niebezpiecznym – mówił dalej, a we mnie

zapłonęła iskra niepokoju. Oto kolejny człowiek, który wie zdecydowanie zbyt wiele na temat Klanu Cienia i Kamigoroshi. Następny, którego być może będę musiał zgładzić. – Zwłaszcza jeżeli zabójca ów jest zarazem osobistym strażnikiem *onmyoji*. Szlak może być pełen niebezpieczeństw i groźnych istot. Chronienie zarówno jej, jak i siebie może się niebawem okazać problematyczne, zwłaszcza jeżeli wciąż będą was nękać podobne demony. – Umilkł i zerknął na drzewo, w którego gałęziach wisiała martwa *omukade*. – Nie mogę dopuścić, byś zginął, zanim stoczymy pojedynek. W takiej sytuacji obaj okrylibyśmy się niesławą. Właśnie dlatego wyruszę z wami i pomogę w miarę swych możliwości. A kiedy wypełnicie zadanie i Yumeko-san nie będzie już potrzebować twych usług, dokończymy, co zaczęliśmy.

Ronin odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

– Naprawdę bardzo mi się podoba sposób myślenia samurajów – oznajmił, szczerząc się od ucha do ucha. – Mówiąc w skrócie, chcesz z nami iść, by przypilnować, aby Kage-san nie zginął, po to tylko, żebyś sam mógł go potem zarąbać. – Zachichotał. – Och, bardzo jestem ciekaw, jak się to wszystko skończy.

– Nie wiedziałam, że Oni-sama jest w stolicy tak znaną postacią – stwierdziła Yumeko, widząc, że Księżę Demonów uprzejmie i z premedytacją ignoruje słowa ronina. – Czy ludzie nie boją się aby twojej maski?

– Ach, naturalnie – rzucił Oni no Mikoto. – Wybacz, proszę, moje nieokrzesanie. Nie zdążyłem się nawet przedstawić. – Zdjął z głowy demoniczną maskę, odsłaniając gładkie, pozbawione zarostu oblicze młodzieńca tylko o kilka lat starszego ode mnie. Natychmiast zwróciłem uwagę na pewne detale: wydatne kości policzkowe, lekko spiczasta broda i blada, elegancka aparycja wskazywały szlachetnie urodzonego dworzanina. Wąska twarz, niemal kobiece rysy i podkreślone kredką, bystre czarne oczy. Widywałem już arystokratów, nawet mężczyzn, którzy stosowali znacznie mniej subtelny makijaż, lecz żadną miarą nie można go było uznać za człowieka nisko urodzonego.

– Jestem Taiyo Daisuke – przedstawił się dotychczasowy Oni no Mikoto, uroczyście kłaniając się dziewczynie. – To wielka przyjemność móc cię poznać, Yumeko-san. Ponownie dziękuję za zaszczyt, jaki mi wyświadczyłaś, zgadzając się na mój udział w swej misji. Jako wędrowna *onmyoji* widziałaś zapewne niejedno.

– Taiyo – powtórzył ronin z niedowierzaniem. – Jesteś członkiem cesarskiej rodziny?

– Czwartym synem jednego z rozlicznych kuzynów cesarza – odparł z raczej cierpkim uśmiechem Taiyo Daisuke. – Szczęśliwie dla mnie dwaj moi bracia dobrze się ożenili i piastują na dworze ważne urzędy, a trzeci jest cesarskim sędzią pokoju. W tej sytuacji nie muszę się troszczyć o zaspokajanie rodowych ambicji.

– Bardzo nietypowe podejście jak na samuraja, Taiyo-san – zauważył z kpiącym uśmieszkiem ronin. – Czy nie będziesz musiał za takie niehonorowe myśli popełnić *seppuku*?

– Mój klan wie, że zrobię wszystko, co konieczne, by obronić honor Taiyo – odrzekł bez zająknięcia niedawny Książę Demonów. – W tej chwili jednak niczego się ode mnie nie wymaga. Mogę więc realizować własne cele.

– Czyli zasadzać się na mostach i wyzywać co silniejszych wojowników na pojedynki – skwitował ronin.

– A od teraz również eskortować lady Yumeko i jej towarzyszy w drodze do stolicy – dopowiedział arystokrata. – Yumeko-san? – Rzucił dziewczynie uśmiech i skinął na majaczące za rzeką, odległe światła. – Sugeruję, byśmy noc spędzili w Sagimurze. Tamtejsza gospoda jest prosta, lecz przyjemnie urządzona, a obsługa bardzo usługowa i troskliwa. Każdy swój pobyt w tym miejscu wspominam przyjemnie, a nocuję tam zawsze, kiedy pielgrzymuję poza stolicę.

– Pielgrzymujesz... – prychnął ronin. – Więc tak to sobie nazwałś.

Daisuke nie zareagował. Nawet ja musiałem przyznać, że wybiórczość słuchu byłego Księcia Demonów budziła podziw.

– Czy zatem ruszymy, lady Yumeko? – zapytał dziewczynę arystokrata. – Jeśli się pospieszymy, być może zdążymy dotrzeć do

gospody jeszcze przed kolacją.

Yumeko odwzajemniła uśmiech, na co zareagowałem przelotnie, strosząc się w duchu.

– Brzmi cudownie – odpowiedziała, wyraźnie ożywiona myślą o jedzeniu. – Dziękuję, Taiyo-sama.

– Yumeko-san, bardzo proszę. – Samuraj uniósł rękę. – Taiyo-sama to mój ojciec. A my czworo dopiero co wspólnym wysiłkiem pokonaliśmy olbrzymią stonogę. Uważam, że zasłużyliśmy na przywilej zwracania się do siebie po imieniu. Mów mi Daisuke.

– Daisuke-san – powtórzyła z niegasnącym uśmiechem dziewczyna. – Dziękuję.

– Cóż. – Taiyo Daisuke cofnął się i popatrzył na przeciwległy brzeg. – To pierwszy raz, kiedy ktoś spotkał na moście Oni no Mikoto i dotarł bezpiecznie na drugą stronę. – Spojrzenie arystokraty padło na maskę *oni*, którą wciąż trzymał w dłoni. Na jego wargi wypłynął zaprawiony smutkiem uśmiech. – Przypuszczam, że to nie będzie mi dłużej potrzebne – stwierdził półgłosem. – Bez względu na wynik i to, czy następny pojedynek Oni no Mikoto skończy się zwycięstwem, czy porażką, mam przecucie, że będzie ostatni. Tak więc...

Wziął szeroki zamach i cisnął maskę w powietrze. Zawirowała, kreśląc czerwono-biały łuk, po czym leniwie plusnęła do rzeki. Jeszcze przez chwilę unosiła się na powierzchni, drobny blady owal na czarnym tle. Zaraz potem wykrzywiona twarz demona zniknęła na dobre, wciągnięta przez nurt w głębinę.



STOLICA

Oczy bolały mnie od ciągłego wytrzeszczania. Kin Heigen Toshi, Miasto na Złotej Równinie, ukazało się nam na długo, zanim stanęliśmy przed jego imponującą bramą. Wzniesione u zbiegu dwóch rzek – Hotaru i Kin no Kawa, Złotej Rzeki – rozciąga się na wiele mil we wszystkich kierunkach. Ciasno zabudowane miasto wewnętrzne otoczone jest korytem rzeki i chronione przez mocne, kamienne mury. Rozrastająca się metropolia dawno już przekroczyła swe naturalne fosy i wypełzła na okoliczne równiny. Nigdy w życiu nie widziałam tak wielu budynków; z dala wyglądało to jak przesłaniający dolinę, pofałdowany koc utkany z dachów, murów, mostów i ulic.

Mniej więcej w samym środku, na stromym wzgórzu, otoczony przez niezdobyte kamienne umocnienia, wznosił się wspaniały, górujący nad miastem zamek. Dolne mury lśniły bielą i drewnianymi elementami, lecz dachy i ściany wyższych pięter

pokryte były materiałem, który zdawał się szczerym złotem. Pod bezchmurnym niebem błyszcząły światłem tak jaskrawym, że trudno było patrzeć.

– Oto i Pałac Słońca – poinformował Daisuke z taką dumą w głosie, jakby co najmniej osobiście zaprojektował budowlę. – Dom cesarza, serce całego Iwagoto.

– Nigdy nie widziałam nic podobnego – przyznałam, osłaniając oczy przed blaskiem. – Czy to naprawdę złoto?

– Złote płatki, moja pani – wyjaśnił arystokrata. – Ściany i dach są pozłacane. Niestety, nie wymyśliliśmy jeszcze praktycznego sposobu budowania zamków z czystego kruszcu. Aczkolwiek cesarz Taiyo no Ryosei próbował tej sztuki. Przeszkodziło mu dopiero chłopskie powstanie.

– Najwyraźniej wieśniacy poczuli się dotknięci faktem, że kiedy oni mrą z głodu, ich władca buduje sobie złoty pałac – odezwał się stojący za nami Okame. – Niewdzięczna hołota.

Daisuke nie zwrócił na komentarz uwagi. Dzisiaj ubrany był inaczej niż nocą na moście. Miał na sobie parę siwych jak gołąb spodni *hakama* i błękitną niczym niebo bluzę *haori*, ozdobioną wzdłuż szwów i na szerokich rękawach wzorem srebrnych obłoków. Na ramionach bluzy widniał herb rodu Taiyo, gorejące słońce wpisane w okrąg. W dziennym świetle, z wsuniętymi za *obi* dwoma mieczami i spływającymi na plecy, związanymi w koński ogon białymi włosami, stanowił istne ucieleśnienie ideału szlachetnie urodzonego wojownika.

Co mocno odróżniało go od Okame, opartego za nami o drzewo i niedbale żującego wsuniętą do ust trzcinę. A także od Tatsumiego, który trzymał się nieco na uboczu i przypominał cień, zlewający się z cieniem rzucanym przez gałęzie. Czułam, że obaj chłopcy bacznie się nam przyglądają. Jeden z chłodną uwagą, drugi z naznaczonym drwiną rozbawieniem. Zadałam sobie w duchu pytanie, czy któryś z nich poczuł kiedykolwiek coś przynajmniej zbliżonego do zachwyty.

– Kiedy pałac powstawał – mówił dalej Daisuke, nieświadomy świdrujących nasze plecy intensywnych spojrzeń – ówczesny cesarz Taiyo no Kintaro zażądał siedziby, która lśniłaby jaśniej niż samo słońce, by wszyscy w promieniu wielu mil wiedzieli, jak wpływowa jest nasza rodzina. Od momentu powstania pałac spłonął doszczętnie co najmniej cztery razy, lecz zawsze przywracano mu pełnię urody. Taiyo władają z tego miejsca już ponad siedemset lat.

– Piękny – pochwaliłam, mrużąc oczy rażone oślepiającymi refleksami. – Jestem jednak ciekawa, czy w szczególnie pogodne dni wiele osób traci wzrok od tego blasku?

Arystokrata zachichotał.

– Latem nie patrzymy prosto na pałac. Można się tego nauczyć.

Droga doprowadziła nas do szerokiej arterii, którą całe tłumy ciągnęły do stolicy bądź właśnie ją opuszczały. Kiedy pokonaliśmy most i przeszliśmy pod olbrzymią bramą, serce zabiło mi z emocji. Wszystko tu było tak wspaniałe! Tak wielkie, hałaśliwe i szybkie. Mijając dziesiątki sklepów i straganów, poczułam się bardzo mała, lecz nie mogłam się powstrzymać – gapiłam się to w lewo, to w prawo.

Poczułam mocne szarpnięcie za rękaw. Tatsumi odciągnął mnie na bok, chroniąc przed kolizją z mężczyzną, który pędził przed siebie niemal na oślep, ciągnąc dwukołowy wózek. Krzyknął coś, co mogło być przeprosinami lub wyzwiskiem, i nie zwalniając, pognał dalej.

– *Oi*, czy to było naprawdę konieczne? – zawołałam za nim, po czym spojrzałam na Tatsumiego, który uniósł wymownie brew. – *Gomen* – przeprosiłam. – Chyba powinnam bardziej uważać.

– Tak byłoby zapewne roztropnie.

Podszedł do nas Okame.

– Och, rozchmurz się wreszcie, Kage-san – rzekł. – Dziewczyna pierwszy raz widzi stolicę. To normalne, że widoki ją pochłaniają. Ale, ale, Yumeko-chan... – zwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem. – Dotarliśmy nareszcie do stolicy. Czy jest jakieś miejsce, które chcesz odwiedzić szczególnie? Coś, co chcesz zobaczyć? Jeżeli

masz ochotę zabawić się w turystkę, chętnie wskażę kilka popularnych atrakcji. Możemy też poczekać do zachodu słońca. Po zmroku Kin Heigen Toshi robi się wyjątkowo interesujące.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Nie przyszliśmy tu podziwiać widoków – rzucił beznamiętnie Tatsumi. – Nie możemy krążyć po mieście bez planu. Mamy zadanie do wykonania. Poza tym – odwrócił się do ronina – sam mówiłeś, że masz w stolicy jakąś sprawę. Nie powinieneś się nią zająć?

– Nie mam nic ważnego. – Okame wzruszył ramionami. – Zająć się czymś tak nudnym i odpowiedzialnym jak szukanie pracy mogę w dowolnym momencie. Zawsze znajdzie się jakiś kupiec do chronienia czy jaskinia hazardu, w której potrzeba wykidajły. A z wami podróżuje mi się tak ciekawie, że chyba jeszcze trochę się przy was pokręcę. Ale, Kage-san, dlaczego pytasz? – Posłał wilczy uśmiech Tatsumiemu, który natychmiast zmrużył oczy. – Czyżbyś chciał się mnie pozbyć?

– Yumeko-san. – Na całe szczęście Daisuke wkroczył, zanim Tatsumi zdążył zrealizować malującą się na jego twarzy groźbę zabójstwa. – Mam pytanie odnośnie do twojej misji. Dokąd winniśmy się udać, byś ją wykonała? Spędziłem w tym mieście całe życie. Wiem o nim niemal wszystko. Jeśli obdarzysz mnie zaufaniem, prawdopodobnie będę mógł zaprowadzić cię prosto do celu.

– Ja... Tak, tak. Muszę znaleźć kaplicę Hayate – odpowiedziałam, przypominając sobie wskazówki mistrza Isao. – Muszę pilnie porozmawiać z jej wysokim kapłanem. On posiada informacje, dzięki którym dowiem się, dokąd iść dalej.

– Kaplica Hayate – powtórzył z wolna Daisuke i skinął głową. – Tak. Wiem, gdzie się znajduje, lecz to aż po drugiej stronie miasta. W Dzielnicy Wiatru. Droga zajmie nam resztę wieczoru. Kin Heigen Toshi jest dosyć rozległe.

– Nie szkodzi – odparłam. – Naprawdę muszę tam dotrzeć. I ja, i Tatsumi. I to jak najszybciej. Zechcesz wskazać nam drogę, Daisuke-san?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się.

Ruszyliśmy za przewodem Taiyo-sana przez czasami proste, czasami kręte ulice. Kin Heigen Toshi nie przestawało zadziwiać. Wokół nas wznosiły się budynki: herbaciarnie i świątynie, łaźnie i kaplice, eleganckie w swej prostocie gospody i wystawne rezydencje możnych bogaczy. Mijaliśmy sklepy i targowiska, na których można było kupić wszystko, od słomianych sandałów i parasoli po egzotyczne przyprawy i błyskotki z za Spalonego Morza. Daisuke opowiadał o kolejnych miejscach, wskazując interesujące cechy budynków, przybliżając nam dzieje świątyń i innych bardziej istotnych atrakcji. Okazało się, iż rzeczywiście posiada szeroką wiedzę na temat swojego miasta. Słuchałam go z zapartym tchem. W pewnym momencie Okame zauważył, że moglibyśmy pójść na skrót przez coś, co nazwał „dzielnicą czerwonych latarni”, gdzie to on będzie mógł przytoczyć wiele ciekawych anegdot. Zanim jednak zdążyłam dopytać o szczegóły, Daisuke odwrócił się i zmierzył ronina tak morderczym wzrokiem, że oferta wygasła natychmiast.

Tatsumi, swoim zwyczajem, siedł nieco z tyłu, bezszelestnie jak cień. Nawet nie próbował nawiązać rozmowy. Kiedy skręciliśmy w wąską, biegnącą brzegiem kanału alejkę, zwolniłam i zrównałam się z nim.

Obrzucił mnie spojrzeniem, które nie było może nieufne, lecz z pewnością wyczekujące.

– Czy to nie niezwykle, Tatsumi? – szepnęłam, patrząc na zimorodka, który wystrzelił z tafla wody jasnoniebieską smugą. – Nie miałam pojęcia, że na świecie istnieją miejsca takie jak to.

– Hm.

– Mistrz Isao niewiele opowiadał o życiu poza świątynią – ciągnęłam. – Moim zdaniem mnisi się bali, że zewnętrzny świat może mnie skusić. I być może mieli rację.

Chłopak wciąż nie odpowiadał.

– Jesteś dziś bardzo milczący, Tatsumi-san. – Ściągnęłam brwi.

– Zawsze jestem milczący.

– Tak, ale ostatnio bardziej niż zwykle. Milczący i ponury – nie rezygnowałam. – Czy coś się stało? Nadepnąłeś może na coś ostrego?

– Powinniśmy być skupieni na misji – odparł nieco zbyt ostro – a nie bawić się z arystokratami w turystów czy włóczyć się z roninami po jaskiniach hazardu i dzielnicach czerwonych latarni. Nie jesteśmy na wycieczce.

– Wiem o tym. – Rzuciłam okiem na idących z przodu Okame i Daisuke, po czym podjęłam nieco ciszej: – Ale Daisuke-san prowadzi nas właśnie do kaplicy Hayate. Nie byłoby uprzejmie mu uciec.

– Ci dwaj nie są nam do niczego potrzebni. – Chłopak odwrócił wzrok. – Będą jedynie przeszkadzać i spowalniać marsz. Moim zdaniem, kiedy dowiemy się już, gdzie jest świątynia, powinniśmy ich porzucić.

– Ależ, Tatsumi, on nam pomaga. Okame też przecież pomógł, w wiosce *gaki*. Nie możemy ich tak bezceremonialnie zostawić. Poza tym co z twoim pojedyńkiem?

– Naprawdę chcesz zobaczyć, jak jeden z nas ginie? – Przyjrzał mi się uważnie. – A może w ogóle nie życzysz sobie mojego towarzystwa? – dodał dziwnie kruchym tonem. – Może wolałabyś, żeby do świątyni zaprowadzili cię oni? Ronin z arystokratą?

– Oczywiście, że nie. – Zmarszczyłam brwi, zdziwiona jego niecodzienną, nagłą wrogością. – Nie to chciałam powiedzieć, Tatsumi-san.

– Nie? A może powinnaś – rzucił głosem jeszcze cichszym niż dotąd, niemal niedosłyszalnym.

– *Oi*, wy tam – zawołał Okame. – Nie mam pojęcia, o czym tak zawzięcie szepczecie, ale to chyba może poczekać? Nasz przewodnik twierdzi, że jesteśmy pod kaplicą.

Przyspieszyłam kroku, wyminęłam dwóch chłopców z wędkami i stanęłam na skraju ulicy z Daisuke i roninem. Dokładnie przede mną, po drugiej stronie, wznosiła się czerwona brama *torii*, za którą strome kamienne schody prowadziły na szczyt zalesionego wzgórza.

– Oto wejście do kaplicy Hayate – oznajmił arystokrata, patrząc na stopnie. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że myśl o wspinaczce nie jest mu ani trochę przykra. – Niemniej godzina jest

dość późna jak na składanie wizyt – dodał, zerkając na niebo. Kilka minut temu zaszło słońce i na ciemniejącym błękitnie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. – Czy kapłan się ciebie spodziewa, Yumeko-san?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekłam, czując, że podchodzi do mnie Tatsumi. – Ale muszę z nim porozmawiać jak najszybciej. Najchętniej jeszcze dzisiaj.

– No dobra – westchnął Okame, z rezygnacją przyglądając się schodom. – Skoro tak, to kapłan najpierw, dom gry potem. A na deser może odrobina rozrywki w dzielnicy czerwonych latarni. Czeka nas noc pełna wrażeń, mam nadzieję, że dacie radę. – Mówiąc to, spojrzał znacząco na Daisuke, jakby chciał się przekonać, jak towarzysz zareaguje. Arystokrata zignorował go po raz kolejny i wskazał ręką kamienne stopnie.

– To twoja misja, Yumeko-san. Pójdziemy wszyscy za tobą.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Ogarnęła mnie ulga, lecz jednocześnie czułam niepokój. Cel był na wyciągnięcie ręki. Jeszcze tylko kilka kroków i pierwszą część zadania będę mieć za sobą. Odnajdę mistrza Jiro, który być może zdradzi mi położenie Świątyni Stalowego Pióra. To jednak nie koniec moich wędrówek. Do świątyni trzeba było jeszcze dotrzeć, a podejrzewałam, że przyjdzie nam przemierzyć kilka nieprzyjaznych terytoriów, podróżując w trudnym, niebezpiecznym terenie, przez cały czas starając się unikać magów krwi i demonów. Ponadto musiałam też chronić zwój, zarówno przed zakusami potworów, jak i własnych towarzyszy. Przed niebezpiecznym, zdeterminowanym zabójcą demonów, który zapewne zabiłby mnie, gdyby tylko dowiedział się, że wystrychnęłam go na dudka. Tak, to nie był koniec. Wręcz przeciwnie. Cekał mnie nowy początek, a w tej konkretnej chwili na myśl o tym, co dalej, czułam jedynie zawroty głowy.

„Powoli, lisiczko, krok po kroku” – przypomniałam sobie słowa mistrza Isao, jakimi raczył mnie zawsze, kiedy mierzyłam się z górą nudnych obowiązków bądź wyjątkowo trudnym wyzwaniem. „Pająk tka swoją sieć, zaczynając od jednej jedynej nici, a albatros nie

pokonuje oceanu dwoma machnięciami skrzydeł. Wielu uznałoby osiągnięcia tych stworzeń za niewykonalne, a przecież oba niezawodnie dopinają swego. Dlatego że po prostu... zaczynają”.

Krok po kroku. Wykonałam pierwszy krok, zaraz potem następny. Moment później stałam już po drugiej stronie ulicy, tuż przed bramą *torii*. Za nią rozpoczynała się święta ziemia, królestwo *kami*. Złożyłam więc duchom pełen szacunku ukłon i weszłam na schody.

Stopnie pięły się ku górze stromo i było ich wiele. Starannie trzymałam się ich skraju, ponieważ wiedziałam, że środek drogi zarezerwowany jest dla *kami*. Obrzeża schodów były mocno wyślizgane i nadgryzione zębem czasu, przez co należało uważać, gdzie stawia się nogi. Wchodząc na ostatni stopień, ujrzałam posąg *komainu*, porośniętego grzywą stwora przypominającego skrzyżowanie lwa z psem, strzegącego kaplicy przed złymi mocami. Stał na wznoszącym się przy schodach cokole, z paszczą rozwartą do budzącego przestach ryku. Naprzeciwko znajdował się jeszcze jeden kamienny słup, lecz ten był pusty, jakby drugi strażnik postanowił opuścić posterunek.

Wydało mi się to dziwne. Pamiętałam przecież, że *komainu* zawsze występują parami. Szybko jednak zapomniałam o sprawie. Przeszłam pod drugą *torii* i zobaczyłam niewielką, lecz elegancką kaplicę, od której dzielił mnie już tylko maleńki dziedziniec. *Haiden*, sala modlitewna, umieszczona na podwyższeniu, na które wiodły cztery kamienne stopnie, pomalowana była, identycznie jak brama, cynobrową czerwienią. Dalej wypatrzyłam *honden*, główny budynek kaplicy i mieszkanie *kami*, do którego wstęp miał jedynie kapłan oraz świątynne dziewice.

– Pusto i głucho – zauważył Okame. Rzeczywiście, w pobliżu *haiden* nie było nikogo, podobnie jak na dziedzińcu i przy fontannie. Ale w miejscach takich jak to, gdzie słyhać tylko szmer wiatru w gałęziach sosen i plusk wody, wyraźnie odczuwało się obecność *kami* i nawet hałaśliwy, arogancki ronin nie miał większej ochoty

mącić ciszy. – Może powinniśmy sprawdzić gdzie indziej? – spytał półgłosem. – Domy kapłanów muszą być niedaleko, prawda?

Daisuke popatrzył ponad dziedzińcem na *haiden*. Czoło zadumanego arystokraty przecięła zmarszczka.

– Przede wszystkim należy złożyć wyrazy szacunku *kami* – oświadczył z niezwykłą powagą. – Jesteśmy tu gośćmi, a nie mam zamiaru ściągać na swój ród ich gniewu. Duchów nie warto obrażać.

– Pewnie masz rację – przyznał Okame. – Chociaż ja i tak najczęściej obrażam wszystkich samym swoim istnieniem. Cóż, taki talent.

Przygotowując się do rozmowy z *kami*, zebraliśmy się wokół fontanny, kamiennej misy z zawieszonymi na krawędziach drewnianymi chochlami. Daisuke zanurzył jedną z nich w wodzie i obmył sobie kolejno lewą i prawą dłoń, po czym przeciągnął palcem po wargach i ostrożnie odwiesił łyżkę na miejsce. Poszłam za jego przykładem i zauważyłam, że to samo robi Okame, choć gdy ronin poczuł na rękach lodowatą wodę, mocno się skrzywił, a po zwilżeniu ust splunął w krzaki. Oczyszczającego rytuału dopełnił nawet Tatsumi. Starannie, z metodycznym spokojem opłukał dłonie i zmoczył usta.

Po wszystkim weszliśmy po schodach do sali. Była to pełna wdzięku konstrukcja, z krytym zieloną dachówką dachem, uniesionym na rogach ku górze i wspartym na jasnoczerwonych słupach. Pod zakratowanym oknem stała drewniana skrzynka na ofiary. Zafascynowana patrzyłam na Daisuke, który wrzucił do skrzynki srebrne *tora*, a następnie pociągnął za wiszącą obok linę.

Zawieszony nad nami dzwon odpowiedział biciem i natychmiast poczułam wokół raptowne ożywienie, jakby spoczęły na nas nagle dziesiątki spojrzeń. Zamieszkujące kaplicę *kami* wiedziały już, że tu jesteśmy. Miałam nadzieję, że nie obrażą się na niegrzeczną pół-*kitsune* za niezapowiedziane najście.

Daisuke, nieświadomy uwagi duchów, uklonił się raz i drugi. Złożył dłonie przed twarzą, klasnął, a potem zamknął oczy i oddał się milczącej modlitwie. Kiedy skończył, rytuał powtórzył Okame,

który wrzucił do skrzynki miedzianego *kaeru*, zadzwonił dzwonem i dwukrotnie klasnął, po czym pogrążył się w modłach.

Czekając cierpliwie na swoją kolej, zauważyłam, że Tatsumi wciąż stoi pod schodkami. Ręce miał splecione na piersi i spoglądał ponad dziedzińcem na bramę. Wydawał się spięty – surowe spojrzenie, zaciśnięte zęby – jakby nie czuł się w tym miejscu swobodnie. Podeszłam do niego.

– Czy wszystko w porządku, Tatsumi-san? Jesteś jakiś blady.

– W porządku.

– Poprosisz *kami*, by spełniły jakieś twoje życzenie? Może chciałbyś się pomodlić o powodzenie naszej misji?

Pokręcił głową.

– *Kami* nie wysłuchają kogoś takiego jak ja.

– Dlaczego?

– Dlatego że ktoś, kto wzywa bogów, musi mieć czyste nie tylko ciało, ale i serce – odpowiedział wojownik. Popatrzył na swoją dłoń i przez twarz przemknął mu cień. – Nawet gdybym obmył się w tej fontannie tysiąc razy, moja dusza pozostałaby zbrukana. *Kami* nie zechcą mieć ze mną nic wspólnego.

– Och... – Zastanowiłam się przez chwilę nad tymi słowami. Zabrzmiały tak smutno. – Może więc mnie powiedz – podsunęłam.

Wyraźnie skonsternowany chłopak potrząsnął głową i spojrzał mi w oczy. Uśmiechnęłam się.

– Przekaż swoje życzenie mnie, Tatsumi. Gdybyś mógł się o coś pomodlić teraz, konkretnie w tej chwili, co by to było? Poproszę o to *kami* w twoim imieniu.

– Yumeko... – Oblicze samuraja złagodniało i przez mgnienie widziałam, co kryje się poza lodem, cieniami i pustymi spojrzeniami. Na widok tej bezbronnej, wrażliwej istoty poczułam silny skurcz żołądka.

– Najmocniej przepraszam.

Odwróciliśmy się i to, co ujrzałam w Tatsumim, błyskawicznie zniknęło, jakby za zatrzaśniętymi drzwiami. Przeniosłam wzrok na dziedzińiec i okazało się, że nie jesteśmy już sami.

Kawałek od nas stała dziewczyna. W dłoniach ścisnęła miotłę i przyglądała się nam z surową miną. Mogła być starsza ode mnie o rok, najwyżej dwa. Ubrana była w czerwone spodnie *hakama* i nieskazitelnie białą bluzę *haori*. Tradycyjny strój *miko* – świątynnych dziewczyc. Proste, czarne włosy, dłuższe nawet od moich, przewiązała z tyłu skromną, czerwoną kokardą, a w ciemnych oczach skrzyła się dezaprobata.

– Przepraszam – powtórzyła, zerkając na schodzących po schodkach Daisuke i Okame – ale kaplica jest już dziś zamknięta. Kończymy zawsze równo z zachodem słońca. Jeśli chcecie się pomodlić lub zwrócić o pomoc *kami*, wróćcie proszę... jutro.

Na mój widok zająknęła się i umilkła. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, poczułam kolejny skurcz żołądka. Przez moment byłam przeświadczona, że kapłanka widzi mnie prawdziwą. Moją naturę, to, kim jestem. Wstrzymałam oddech i z dudniącym w piersi sercem czekałam, niemal pewna, że dziewczyna wykrzyknie „*kitsune!*” i wszyscy poznają prawdę.

– Wybacz nam, proszę. – Daisuke wystąpił naprzód. *Miko* oderwała ode mnie wzrok i zwróciła się do uśmiechniętego arystokraty. – Nie mieliśmy zamiaru łamać zasad – podjął, a ja wciąż stałam jak sparaliżowana, nie mając pojęcia, co robi nieznajoma. – Szukamy wysokiego kapłana tej kaplicy. Czy możesz nam powiedzieć, gdzie jest?

– A kto pyta?

Zaczerpnęłam głębszy haust powietrza.

– Ja – rzuciłam, odsuwając się od Tatsumiego. Kapłanka zmierzyła mnie spokojnym, oceniającym spojrzeniem czarnych oczu. Nie krzyknęła jednak „lisi demon”, przez co ożyła we mnie nadzieja, że się co do niej pomyliłam. – Przybywam ze Świątyni Milczącego Wiatru – dodałam, nie widząc na twarzy dziewczyny żadnej reakcji. – By tutaj dotrzeć, odbyłam bardzo daleką podróż. Proszę, chcę z nim pomówić w bardzo ważnej sprawie. Czy mogłabyś powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć?

Nieznajoma jeszcze przez chwilę wpatrywała się w moje oczy, po czym się odwróciła.

– Za mną – zadysponowała zwięźle i ruszyła przez dziedziniec. Pospieszaliśmy więc za nią i wkrótce doprowadziła nas ku szeregowi stojących za salą modlitewną mniejszych, niepozornych budynków. Przystanęła pod schodkami na taras okalający najbliższy dom, zatrzymała nas i wymierzyła we mnie palcem. – Ty. Za mną. Tylko ty... Reszta musi zostać tutaj. – Zerknęła na moich towarzyszy spod przymrużonych powiek, jakby spodziewała się oporu. – Mistrz Jiro jest w tym momencie bardzo zajęty. Nie trzeba, by przeszkadzało mu aż tylu gości jednocześnie. Dziewczyna pójdzie ze mną, a wy zaczekajcie tu, proszę, na nasz powrót.

– Och... – Popatrzyłam na nich, ciekawa, co o tym myślą.

Okame wzruszył ramionami, a Daisuke skinął na schody, dając mi znać, że powinnam pójść. Rzuciłam też okiem na Tatsumiego, który nieznacznie pochylił głowę. Domyśliłam się, że nie uznał drobnej świątynnej dziewczicy za niebezpieczną. A może po prostu nic go to nie obchodziło?

– No dobrze.

Weszłam za kapłanką po schodach, przemierzyłam drewnianą galeryjkę, mijając wejścia do kilku pomieszczeń, z których dolatywały stłumione głosy. U końca tarasu *miko* odsunęła drzwi i gestem zaprosiła mnie do środka. Znalazłam się w niewielkim, prawie całkiem pustym pokoju. Poza leżącą na podłodze matą był tu jedynie niski stolik i stojący w alkowie, samotny kwiat. Kapłana nie było.

Stuknęły zamykane drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam, że dziewczyna wyciąga z *haori* skrawek białego papieru i przyciska go do framugi. Na kartce czarnym atramentem wypisany był znak oznaczający barierę.

Ofuda? Poczułam emanującą od kartki duchową energię, która rozlała się po ścianach. Całe pomieszczenie otoczyła migotliwa warstewka mocy, od której stanęły mi dęba włoski na rękach.

Bariera przypominała tę, jaką z *ki* tworzyli mnisi, lecz ta powstała wyłącznie dzięki magii *kami* i energii świata.

Świątynna dziewica obrzuciła mnie ostrym spojrzeniem czarnych oczu.

– Otoczyłam pokój ochronnym zaklęciem – oświadczyła. – Nie wejdzie tu ani stąd nie wyjdzie żaden duch, demon czy *yokai*. Nikt też nas nie usłyszy. Twoi przyjaciele, o ile są w ogóle twoimi przyjaciółmi, nie przyjdą ci na ratunek, *kitsune*.

Cofnęłam się i położyłam uszy po sobie. Poczułam, jak wzbiera we mnie lisia magia. A więc jednak. Wiedziała, kim jestem.

– Przychodzę tylko porozmawiać z mistrzem Jiro – powiedziała tonem, który miał zabrzmieć uspokajająco. – Nie szukam kłopotów i nie chcę ich nikomu przysporzyć.

– Nie? – *Miko* zmrużyła oczy. – Myślałaś, że tak po prostu tu sobie wparadujesz, a ja się nie zorientuję, że mam do czynienia z *yokai*? Rozmawiam z *kami* codziennie i widzę ich świat równie wyraźnie jak własny. – Wskazała za drzwi. – Żaden z twoich towarzyszy nie wie, kim naprawdę jesteś, zgadza się, lisico? Mamisz ich wszystkich. – Rozciągnęła usta w groźnym uśmiechu. – Ale mnie tak łatwo nie zwiedziesz.

– Przychodzę po pomoc – podjęłam z naciskiem. – Prosto ze Świątyni Milczącego Wiatru. Mistrz wysłał mnie, bym odnalazła wysokiego kapłana kaplicy Hayate.

– Po co?

– No bo... – Zamknęłam oczy.

Nie chciałam problemów, lecz było jasne, iż *miko* nie ufa w ani jedno moje słowo. Widziała we mnie wyłącznie *kitsune* i skoncentrowała się na otaczającej nas reputacji podstępnych stworzeń. Zrozumiałam, że aby porozmawiać z mistrzem Jiro, muszę najpierw przejść przez jego kapłankę.

– Bo... – Raz jeszcze westchnęłam i sięgnęłam do chusty. – Niosę ze sobą to.

Kiedy wyjęłam lakowany futerał, dziewczyna zrobiła wielkie oczy. Policzki jej pobladyły, cofnęła się o krok. Wpatrywała się

w cylindryczny pojemnik tak, jakbym pokazała jej jadowitego węża.

– *Kami* miłosierne – wyszeptała. – Przecież to... Masz fragment zwoju. – Zamarła na moment, po czym nachyliła się i nieznacznie opuściła powieki. – Kto jeszcze o tym wie? – warknęła. – Twój towarzysz? Czy którykolwiek ma pojęcie, że posiadasz smoczą modlitwę?

– Nie. Nikt o tym nie wie. – Pokręciłam głową. – Aczkolwiek – podjęłam niepewnie po chwili wahania – jeden z nich go szuka... Został po ten zwój wysłany do mojej świątyni.

– Masz na myśli samuraja w czerni? – domyśliła się *miko*. – Wojownika Klanu Cienia? Kim on jest?

– Nazywa się Kage Tatsumi – odpowiedziałam. – A jego miecz nosi imię Kamigoroshi.

– Zabójca demonów – szepnęła dziewczyna i przymknęła oczy. – Tak. Czułam, że zbliża się do nas zło. Cóż, to zrozumiałe, że Hanshou wyprawiała w tę misję właśnie jego. – Podniosła powieki i przeszła mnie pełnym gniewu i lęku wzrokiem. – Jak mogłaś sprowadzić do naszej kaplicy kogoś takiego? – syknęła. – Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo jest niebezpieczny i co może uczynić duchom, które tutaj mieszkają?

– Potrzebowałam go – przyznałam. – Zgodził się pomóc, a...

– Zrobił to, bo zależy mu na zwoju – przerwała mi. – To jedyny powód, dla którego wciąż żyjesz, *kitsune*. Jedyny powód, dla którego jeszcze cię nie zabił. Jeżeli odkryje, że masz zwój...

– Moja świątynia została napadnięta – rzuciłam. – Zaatakował nas *oni*, zamordował wszystkich i próbował zabrać zwój. Ledwie uciekłam. – Zadrżałam na wspomnienie grozy tamtej nocy. Przypomniałam sobie chwilę, gdy olbrzymi demon wdarł się do sali i wszystko, co nastąpiło później. Poczułam, jak coś chwyta mnie za gardło, i głośno przełknęłam. – Mistrz Isao zlecił mi tę misję tuż przed śmiercią. Powiedział, że wasz wysoki kapłan będzie wiedział, gdzie szukać Świątyni Stalowego Pióra.

– Miejsca, w którym ukryty jest drugi fragment smoczej modlitwy – dokończyła z powagą *miko* i westchnęła. – Tak,

dostrzegam prawdę twych słów. – Cofnęła się o krok i potarła sobie oczy, jakby nagle ją rozboleły. – Choć nie w pełni pojmuję, dlaczego mnisi powierzyli tak cenny przedmiot akurat *kitsune*. Cóż, zapewne nie mieli innego wyjścia.

Puściłam kąśliwą uwagę mimo uszu i wsunęłam futerał z powrotem do chusty.

– Nazywam się Yumeko – wyjaśniłam. – Mistrz Isao i pozostali mnisi wychowali mnie od dziecka. Spędziłam w ich świątyni całe życie. Dopiero niedawno poznałam legendę o Smoku, ale przyrzekłam, że zaopiekuję się zwojem. Nie mam zamiaru pozwolić, by wpadł w łapy demonów czy złych ludzi. Mam za sobą daleką podróż, walczyłam z bandytami, *gaki* i *omukade*, a wszystko po to, by porozmawiać z wysokim kapłanem tej kaplicy. – Postawiłam uszy na sztorc, czując wzbierające w sercu desperację i gniew. – Gdybym była zwyczajnym pełnokrwistym *yokai*, już dawno cisnęłabym ten zwój do rzeki i pozwoliła, aby spłynął do morza.

– Masz rację. Przepraszam cię, *kitsune*. – Kapłanka wyprostowała się i kontynuowała bardziej uroczyście: – Wybacz moją szorstkość. Na imię mam Reika i jestem przełożoną świątynnych dziewczek kaplicy Hayate. Jestem także jedyną poza mistrzem Jiro osobą, która zna historię smoczego zwoju.

– Zatem wiesz również o życzeniu.

– Owszem – potaknęła Reika. – Mistrz Jiro opowiedział mi o zwoju, smoczej modlitwie i tym, co się stanie, jeśli Smok zostanie przywołany. Nie wyjawiał mi tylko jednego, a mianowicie położenia Świątyni Stalowego Pióra. Zapewne, jak sądzę, ze względu na moje bezpieczeństwo. – Na usta dziewczyny wypłynął nikły, gorzki uśmiech.

– Muszę tam dotrzeć – powiedziałam. – Obiecałam zanieść zwój tamtejszym mnichom. Czy pozwolisz mi spotkać się z mistrzem Jiro?

– Pozwoliłabym – odparła *miko* – gdybym wiedziała, gdzie jest.

– Jak to? – zdumiałam się. – Nie ma go tutaj?

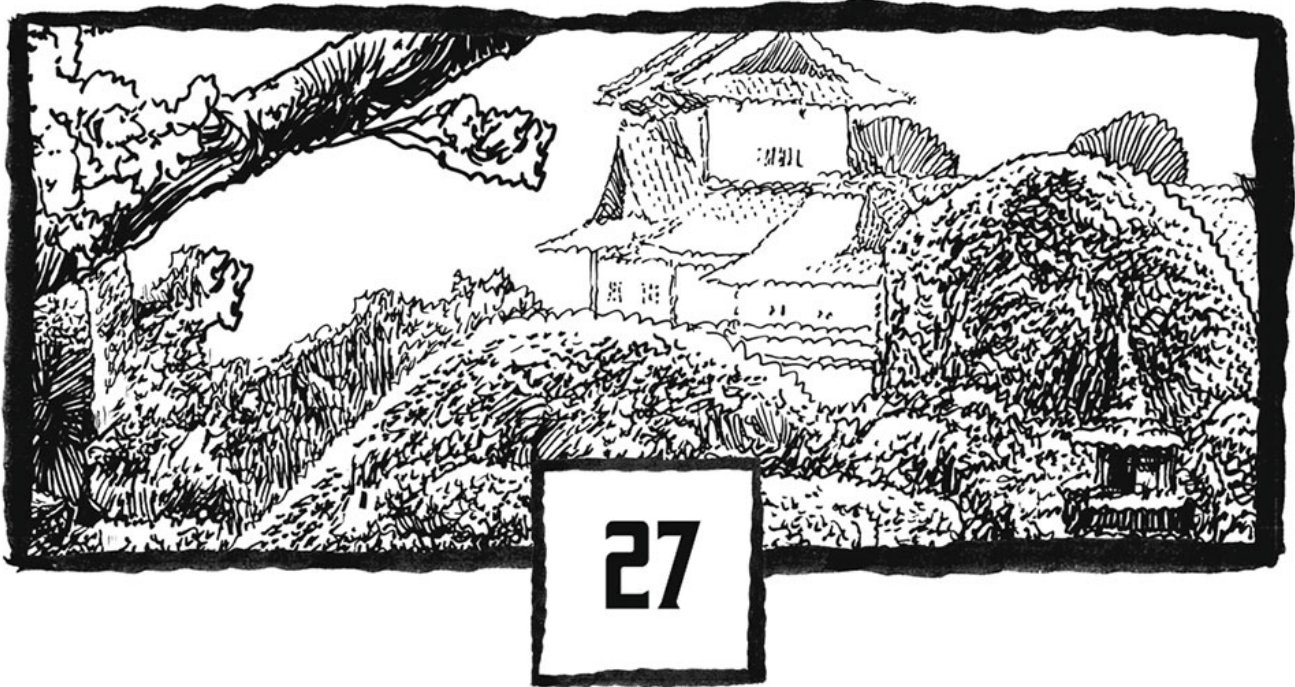
Reika pokręciła głową.

– Trzy dni temu – wytłumaczyła – pojawił się tu kurier i wręczył mistrzowi Jiro zaproszenie do cesarskiego pałacu. Mistrz wybrał się na to spotkanie, zostawiając kaplicę pod moją opieką. Wtedy widziałam go po raz ostatni. – Ściągnęła wargi i potrząsnęła głową. – Nie powinnam była go puścić. Sam przyznał, że ma co do tego spotkania bardzo złe przeczucia, i polecił, bym miała się na baczności. Trzeba go było zatrzymać. A teraz zaginął. Nie mam pojęcia, co go spotkało.

– Szukałaś może w pałacu?

– Próbowałam – stwierdziła, mierząc mnie rozbawionym spojrzeniem – ale do cesarskiego pałacu nie można przyjść bez zaproszenia. Strażnicy odprawili mnie spod bramy. Powiedzieli też, że mistrza Jiro nikt tam nie widział ani o nim nie słyszał. – Machnęła poirytowana ręką. – Ale ja wiem, że on tam jest. Miał się spotkać z niejaką lady Satomi. Tylko że nie wrócił. – Westchnęła i obrzuciła mnie nieufnym wzrokiem. – A zaraz potem pojawia się w mojej kaplicy *kitsune* z fragmentem smoczego zwoju i pyta o drogę do Świątyni Stalowego Pióra. Jak mogłabym nie dostrzec związku?

Już miałam odpowiedzieć, lecz w powietrzu rozeszło się drżenie, od którego dreszcz przebiegł mi po plecach. Reika się odwróciła i szeroko otwartymi oczyma popatrzyła na ostrze miecza, które rozcięło drzwi na pół. Panele upadły z grzechotem na podłogę, odsłaniając smukłą, mroczną sylwetkę Tatsumiego. Obnażony Kamigoroshi rozbłysnął w przyćmionym świetle wieczoru.



NA WEZWANIE CIENIA

Cóś było nie tak. Odprowadzając wzrokiem odchodzącą Yumeko, wyraźnie czułem niepokój Hakaimono. Demon ocknął się, ledwie przeszliśmy pod bramą u podnóża schodów. Za *torii* rozciągała się święta ziemia, chroniona przed złem kapłańską mocą. Istoty takie jak on nie były w tym miejscu mile widzianymi gośćmi. Mimo że miecz ukrywał obecność Hakaimono, sam również czułem się w kaplicy bardzo niekomfortowo. Co gorsza, demon darzył wszelkiej maści kapłanów, świątynne dziewice i inne uduchowione postacie szczególnie zjadliwą nienawiścią. Kiedy przyszła do nas *miko*, musiałem niemal przemocą zdusić w sobie pragnienie, by czym prędzej oderwać jej głowę od reszty ciała gołymi rękami.

Niemniej nie wyczułem w dziewczynie niczego złego, więc gdy zapowiedziała, że będziemy musieli poczekać, mimo ostrożności uznałem, że protesty i dyskusje jedynie opóźnią realizację zadania.

Tym bardziej że znałem sposób na podsłuchanie ich rozmowy niewymagający fizycznej obecności.

Wszedłem na taras budynku i oparłem się skrzyżowanymi rękoma o balustradę, markując swobodną cierpliwość. Ronin przysiadł ociężale na schodku i wyciągnął swoją sake, a arystokrata stanął w milczeniu na skraju kamiennego ogrodu. Ukradkowym gestem przytknąłem do ust dwa palce i wyszeptałem bezgłośnie kilka słów.

Wszystko wokół ucichło. Dźwięki przygasły i straciły wyrazistość, jakby cały świat nagle znalazł się pod wodą. Opuściłem powieki, pochyliłem nieznacznie głowę i skupiłem się na budynku za moimi plecami.

Posłałem swoją świadomość do środka i badając kolejne pokoje, poszukiwałem wśród innych szeptów głosu Yumeko. Była to wyjątkowa technika Klanu Cienia, wykorzystywana przez niektórych naszych *shinobi* do potajemnego zapoznawania się z treścią rozmów prowadzonych w innym pomieszczeniu, odległej części dziedzińca bądź gwarnej restauracji. Ponieważ moje misje najczęściej sprowadzały się do zabijania i nie wymagały zdobywania informacji, korzystałem z tej metody rzadko, zwłaszcza że koncentracja na oddalonych miejscach wymagała pozostawienia własnego ciała samopas. Kaplica jednak sprawiała wrażenie bezpiecznej. Z wyjątkiem istoty zamieszkującej mój miecz nie było tu demonów. W podsłuchaniu konwersacji Yumeko z kapłanką mógł mi przeszkodzić co najwyżej znudzony ronin.

Ale kiedy wniknąłem głębiej w budynek i krążyłem, słuchając głosów innych *miko*, rozprawiających o zupełnie codziennych sprawach, w pewnej chwili niespodziewanie zderzyłem się ze ścianą. Bariera nie była fizyczna; przez drewno, kamień lub papier ryżowy mogłem przechodzić z łatwością. Zatrzymała mnie zaporą magiczną, nabrzmiała duchową energią.

Bariera?

Otworzyłem oczy i magia rozpiezchła się na cztery wiatry. Rozparty na schodkach ronin wciąż raczył się alkoholem,

a arystokrata podziwiał starannie zagrabiony, ocieniony konarami sosny, kamienny ogród.

Odepchnąłem się od barierki. Wszedłem na stopnie i poszedłem przez taras, mijając przy tym ronina, który podniósł na mnie zdziwione spojrzenie.

– *Oi*, dokąd to, Kage-san? Mieliśmy przecież zaczekać.

Zignorowałem go i wszedłem do środka, sięgając po drodze po miecz. Ronin zakrzyknął i ruszył za mną, dopytując natrętnie, co robię. Nawet nie zwolniłem. Zlekceważyłem tę świątynną dziewicę, błędnie uznałem, że nie stanowi zagrożenia. Bariera, na jaką się natknąłem, nie była dziełem prostego zaklęcia. Była to wyrafinowana zaporą, tamująca wszelkie dźwięki i magię. Gdyby *miko* postanowiła pod jej osłoną napaść Yumeko, żaden z nas nie miałby o tym pojęcia.

Zbliżając się do ostatniego pokoju, wyraźnie czułem gęstniejącą, starającą się mnie zatrzymać energię. Przed drzwiami wypatrzyłem niemal niewidzialną, opalizującą błonę zaklęcia i zmrużyłem oczy. Podniosłem Kamigoroshi, wymierzyłem i ciąłem, czując, jak ostrze rozrywa blokadę, która rozpadła się na tysiąc kawałków.

Drzwi upadły z grzechotem na podłogę. Zajrzałem do pokoju i zobaczyłem zwracające się ku mnie z szeroko otwartymi oczami dziewczęta.

– Ty! – Młoda kapłanka wystąpiła naprzód. Nie wydawała się ani trochę złękciona i na ten widok Hakaimono rozszalał się na dobre, żądając, bym przepołowił ją tak samo jak przed chwilą drzwi. – Kamigoroshi! Nikt cię tu nie chce! Wynoś się precz i zabierz swojego nosiciela ze sobą!

– Coś mi mówi, że nie zastaliśmy wysokiego kapłana. – Stałem na progu i *miko* cofnęła się o krok. Zerknąłem ponad jej ramieniem, by się upewnić, czy moja towarzyszka jest cała i zdrowa. – Zwiodłaś nas, by znaleźć się sam na sam z Yumeko. – Ponownie spojrzałem na świątynną dziewicę. – Sądziłaś, że twoja bariera zdoła mnie powstrzymać?

Dziewczyna skrzywiła się, po czym wyciągnęła z rękawa kartkę *ofuda* i zamachała nią przed sobą niczym mieczem. Na papierku widniał znak oznaczający „lojalność”.

– Opuść natychmiast kaplicę, plugawa istoto – rzuciła rozkazującym tonem. – Jeśli zbliżysz się jeszcze o krok, wezwę strażnika, który cię wypędzi!

– Zrób to – zachęciłem, czując narastające emocje Hakaimono – a będziesz miała jednego strażnika mniej.

– Tatsumi, zaczekaj! – Yumeko wkroczyła między nas. – Wszystko w porządku – zapewniła w chwili, w której za moimi plecami pojawili się ronin z arystokratą.

Wyczułem szok, jaki wywołała w nich zastana scena: ja z obnażonym mieczem stojący naprzeciwko kapłanki, osłaniającej się kartką *ofuda*. A między nami chudziutka dziewczyna.

– Tatsumi, nic mi się nie stało. Nic nam nie grozi. Reika-san opowiadała mi właśnie o zaginięciu mistrza Jiro i poprosiła o pomoc. Musimy go odnaleźć.

– Co?! – zawołała *miko*, zdumiona równie głęboko jak wszyscy pozostali.

Yumeko odwróciła się nieznacznie i zerknęła ku niej przez ramię. Świątynna dziewica zmarszczyła czoło i opuściła rękę.

– Przecież właśnie tego chciałaś, czyż nie, Reika-san? – Dziewczyna pochyliła głowę z taką miną, jakby rozwiązała właśnie wszystkie problemy świata. – Chcesz odnaleźć mistrza Jiro. A my bez niego nie znajdziemy świątyni. Właśnie dlatego powinniśmy pomóc sobie nawzajem. Przecież to oczywiste, prawda? – Yumeko, z odcisniętym na twarzy błaganiem, powiodła wzrokiem po całej naszej trójce. – Daisuke-san? Okame-san? Chyba pomożecie?

– Oczywiście! – wykrzyknął bez wahania ronin. – Zawsze z przyjemnością pomagamy przyjacielom Yumeko-chan. Możesz na nas polegać. – Urwał na moment i podrapał się w kark. – Chociaż przyjemnie byłoby wiedzieć, o co tu, u licha, chodzi.

Westchnąłem i opuściłem miecz. Świątynne dziewice, ronini, wieśniacy, *yurei*. Czy istnieje ktokolwiek, komu Yumeko nie

zaufałyby już przy pierwszym spotkaniu?

– Powiedziałaś, że wysoki kapłan zaginął? – Spojrzałem na *miko*, która zmierzyła mnie nieufnym wzrokiem, lecz potaknęła skinieniem. – Jak dawno?

– Trzy dni temu – odpowiedziała dziewczyna i cofnęła się, zerkając z westchnieniem na zniszczone drzwi. – Cóż, wejdźcie, proszę. – Zaprosiła nas gestem. – Usiądźcie, a ja przedstawię wam sytuację.

Ostrożnie przeszliśmy ponad przepołowionymi drzwiami i usiedliśmy przy niskim stoliku. *Miko* zajęła miejsce naprzeciwko i zrelacjonowała nam niedawne wypadki. Usłyszeliśmy o kapłanie, tajemniczym zaproszeniu do pałacu i planowanym spotkaniu z niejaką lady Satomi.

Na wzmiankę o niej Taiyo-san nieco się wyprostował, a w jego oczach pojawił się błysk. Yumeko również wychwyciła tę iskrę.

– Znasz ją, Daisuke-san? – spytała.

– Owszem. – Oblicze arystokraty przybrało cierpki wyraz. – Nie osobiście, ale wiem, kim ona jest. Znają ją wszyscy mieszkańcy pałacu. To ulubiona konkubina cesarza. Przybyła do miasta niecały rok temu i od tamtej pory nieustannie poszerza swe wpływy. Niektórzy uważają, że cesarz nazbyt jej folguje, twierdzą, iż prosta konkubina nie powinna cieszyć się tak wysoką pozycją, lecz każdy, kto zbyt głośno krytykuje tę kobietę, kończy zniesławiony, przegnany z miasta lub jeszcze gorzej. A... – Urwał, nie kończąc zdania.

– A? – zachęciłem łagodnie.

– Nic takiego – mruknął z westchnieniem Taiyo. – Chłopskie gadanie, do którego żaden szanujący się *bushi* nie powinien przykładać wagi. Lecz cóż, ostatnio pojawiły się na temat lady Satomi pewne... plotki. Służba panicznie się jej boi, a ona sama wymienia swoje osobiste służki praktycznie co miesiąc, najwyżej dwa. Ostatnio była taka... Na imię miała Suki, jeśli się nie mylę... Wpadłem na nią przypadkiem pierwszego dnia jej pracy w pałacu. –

Zabębnił palcami o ramię i ściągnął brwi. – Potem nie widziałem jej już nigdy.

– Co się z nią stało? – spytała zaintrygowana Yumeko.

– Nie wiem. – Arystokrata pokręcił głową. – Nie śledzę losów służek lady Satomi. Jestem jednak prawie pewien, że ma już nową dziewczynę. Jeśli to, co mówicie, jest prawdą i wysoki kapłan zaginął, sprawa jest zaiste podejrzana. Czego cesarska konkubina mogła chcieć od mistrza Jiro?

– Mam zamiar ją o to zapytać – odparła kapłanka. – O ile uda mi się dostać do pałacu.

– Na twoim miejscu byłbym bardzo ostrożny – przestrzegł arystokrata, zaciskając szczękę. – Lady Satomi nie jest wprawdzie wojownikiem, lecz jest faworytą cesarza i damą dworu. W pałacu jej władza i wpływy są naprawdę znaczne. Jeśli zaatakujesz otwarcie, znajdziesz w niej niebezpiecznego przeciwnika. Możesz też ściągnąć na siebie gniew samego władcy.

– Daisuke-san – wtrąciła Yumeko, jakby właśnie wpadła na jakiś pomysł. – Jesteś przecież arystokratą i członkiem panującej dynastii. Zdołałbyś nas chyba wprowadzić do pałacu, prawda?

– Ja... – Zdumiony Daisuke wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym skinął głową. – Tak – przyznał. – To rzeczywiście wykonalne. Należy obmyślić plan, ale sądzę, że dam radę.

Ja też bym dał, stwierdziłem w duchu, nieracjonalnie rozzłoszczony z powodu uśmiechu, jakim obdarzyła arystokratę Yumeko. Hakaimono ponownie ożył, zaciekawiony moją irytacją. Zepchnąłem go daleko w głąb umysłu.

– Niemniej – podjął Daisuke – istnieją pewne stosowne kanały, z których musimy skorzystać. Nie mogę tak po prostu przeprowadzić was przez bramę cesarskiego pałacu i zażądać od lady Satomi, by się z wami spotkała. Tak niegodne zachowanie zrujnowałoby honor mojej rodziny i uczyniło z nas dworskie pośmiewisko. Niewykluczone, iż ojciec ze wstydu popełniłby *seppuku*. A jeśli lady Satomi dojdzie do wniosku, że jej zagrożenie, może obrócić dwór przeciwko wam, każe was aresztować albo i stracić. W tej sprawie

nie wolno działać pochopnie. Na dworze cesarza jeden niewłaściwy krok mógłby się skończyć katastrofalnie dla nas wszystkich. Ale... – Urwał i zadumał się na chwilę, a potem skinął głową i dokończył: – Tak, oczywiście. To się może powieść. Chyba znam sposób.

– Jaki to sposób, Daisuke-san? – zapytała Yumeko.

– Jutrzejszego wieczoru – odpowiedział arystokrata – cesarz urzęduje w pałacowym ogrodzie doroczny bankiet poświęcony oglądaniu księżyca. To bardzo prestiżowe wydarzenie, a bycie na nie zaproszonym uznawane jest za olbrzymi zaszczyt. Pojawią się tam wszyscy możni i przedstawiciele najważniejszych rodów.

– Między innymi lady Satomi – domyśliła się *miko*.

– Naturalnie. Moja rodzina też, oczywiście, została zaproszona. Najwięcej kłopotu sprawi przeprowadzenie was przez bramę. To zaiste niełatwe, ale jestem przekonany, że sobie poradzę.

– Dlaczego właściwie chcesz to zrobić? – Świątynna dziewczica wbiła w Daisuke podejrzliwe spojrzenie. – Wybacz mi, Taiyo-san – dodała, kiedy uniósł brew – ale jesteś przecież... arystokratą. Co więcej, należysz do cesarskiego rodu. Z jakiego powodu miałbyś pomagać prostej *miko*, roninowi i wojownikowi z Klanu Cienia?

– Lady Reiko. – Daisuke popatrzył na dziewczynę z wielką powagą. – Z Suki-san rozmawiałem zaledwie raz w życiu. Zazwyczaj nie zwracam uwagi na zatrudnione w pałacu służące i nie znam ich losów. Jednak to spotkanie, mimo iż krótkie, było inne. Odkryłem, że owa dziewczyna jest córką znanego rzemieślnika i ma ucho do pięknej muzyki. Była... prawdziwa, a to za murami cesarskiego pałacu ogromna rzadkość. – Czoło arystokraty przecięła zmarszczka, a na twarzy zamajaczył cień odrazy. – Dwór nieustannie tańczy jeden i ten sam taniec. Tam nigdy nic się nie zmienia. Jedwabiste słowa i wyrefinowane komplementy to jedynie maska, pod którą skrywają się zatrute sztylety. Każdy uśmiech może się okazać niebezpiecznym mieczem, a niewłaściwie dobrane sformułowanie może stanowić różnicę między wielkimi łaskami a wiecznym wstydem. Rozmowa z tą dziewczyną była wielce odświeżającym przeżyciem. Przyjemnie było pomówić z kimś, kto nie dba o pozory

i nie próbuje przymilnie wkraść się w moje łaski. To właśnie ze względu na Suki i jej ojca uważam, że jest moim obowiązkiem sprawdzić, czy pogłoski dotyczące lady Satomi są częścią gadaniną wieśniaków, czy jednak zawierają jakąś część prawdy.

– Rany – wtrącił ronin. – Arystokrata, który zdał sobie sprawę, że chłopka też człowiek. Uważaj, Taiyo-san, jak tak dalej pójdzie, niedługo zaczniesz zalecać się do psów i gawędzić z małpami. – Słyszac to, Yumeko ściągnęła brwi i spojrzała z zainteresowaniem, lecz ronin nie dał jej dojść do słowa. – Wciąż za to nie wiemy, w jaki sposób zdołasz przemycić do pałacu ronina, kapłankę i... ją. – Zerknął na Yumeko.

– Sugerujesz, że miałbym wprowadzić was na cesarski bankiet podstępem? – Na twarzy arystokraty zagościło szczere przerażenie. – Cóż za niegodna myśl. Okame-san, przyznaję, iż uważam dworskie przyjęcia za nieco monotonne, lecz nie nudzę się na nich aż tak, by rozważać zdradę stanu – stwierdził, mocno pociągnął nosem, by dać wszystkim obecnym znać, że czuje się urażony, a potem podjął: – Niemniej wizyta dystyngowanej *onmyoji* i jej wiernego *yojimbo* to inna historia. Osoby praktykujące *onmyodo*, starożytną sztukę *yin* i *yang*, cieszą się w pałacu wielką estymą. Sam cesarz nierzadko zasięga rady *onmyoji* w sprawach polityki oraz losu własnego i całego kraju. Jestem pewien, że z przyjemnością ugości Yumeko-san i jej towarzyszy.

Zauważyłem, że *miko* zerknęła na dziewczynę i zmrużyła oczy. Być może wiedziała, że Yumeko nie jest *onmyoji* i nie posiada żadnych magicznych talentów. Nie wyprowadziła jednak arystokraty z błędu, podobnie zresztą jak sama zainteresowana. Tylko na twarzy ronina na myśl o spotkaniu z cesarzem zagościła niepewność.

– A więc postanowione – oświadczyła kapłanka. – Jutro wieczorem udamy się na księżycowy bankiet, znajdziemy lady Satomi i odkryjemy prawdę o losie mistrza Jiro. Czy wszyscy zgadzają się, że tak właśnie należy postąpić?

– Tak – odparła natychmiast Yumeko. – A kiedy znajdziemy mistrza Jiro, będziemy mogli wyruszyć do Świątyni Stalowego Pióra.

– Znosi się na niezłą zabawę. – Ronin zatarł ręce. – Jeszcze nigdy nie zostałem zaproszony do pałacu. Nie mogę się doczekać.

– Ja również się zgadzam – powiedział arystokrata. – Aczkolwiek, jeśli wolno... – rzucił okiem na Yumeko i ronina. – Na ten bankiet ściągają możni z całego Iwagoto. Każdy chce zrobić wrażenie, zostać zauważonym i przyjrzeć się konkurencji. Najważniejsze, byście nie wyróżniali się z tłumu. Być może roztropnie byłoby rozważyć zmianę waszego odzienia.

– Znaczy nie powinniśmy wyglądać jak zafajdane wsiury? – zachnął się ronin.

– Jeśli to możliwe.

– Panno Reiko?

Odwróciłem się, ignorując nagłą falę krwiożerczej żądz. Hakaimono wściekał się, że spotkanie z *miko* nie znalazło brutalnego końca, i przelewał frustrację na wszystkich dokoła. Z tarasu zaglądały niepewnie do pokoju dwie inne świątynne dziewczęta. Być może te, których rozmowę słyszałem wcześniej.

– Panno Reiko – powtórzyła jedna z nich. – Przepraszam, że przeszkadzamy, ale przy bramie są jacyś samurajowie. Tłumaczyłyśmy, lecz za nic nie chcą odejść. Powiadają, że szukają krewnego.

– Dziękuję, Minako-san – odrzekła Reika, a ja poczułem w żołądku zimny węzeł. – Przekaż im, że niedługo przyjdę.

Dziewczyny skłoniły się i odeszły, a kapłanka rzuciła nam niezadowolone spojrzenie.

– Spokój kaplicy został zburzony na dobre – mruknęła. – Najpierw wy, a teraz jacyś wojownicy denerwują *kami* i straszą moje *miko*. Ciekawe, kto z was jest za to odpowiedzialny?

– Ej, na mnie nie patrz. – Ronin podniósł ręce, widząc znaczący wzrok Reiki. – Ja również nie mam zwyczaju zadawać się z samurajami. Z wyjątkiem tu obecnych. Podejrzewam, że to

szlachetni Taiyo chcą wiedzieć, dlaczego członek ich rodu przestaje z taką hołotą.

– Nie – odezwałem się cicho i wstałem od stołu, zwracając na siebie uwagę wszystkich. – To Kage. Przyszli po mnie.

Wyszedłem z pokoju, stąpając ponad zniszczonymi drzwiami. Trudno powiedzieć skąd, lecz byłem pewien, że to ludzie Klanu Cienia, i nie chciałem, by poznali twarze moich towarzyszy podróży. Nie zdołałem jednak zejść zbyt daleko. Już po chwili rozległy się za mną leciutkie kroki, a wiatr przyniósł ze sobą dźwięk jej głosu.

– Tatsumi, zaczekaj.

Odwróciłem się. Yumeko wyszła za mną na taras. Patrzyła na mnie wzrokiem świadczącym o wewnętrznym rozdarciu.

– A co z twoją obietnicą? – zapytała półgłosem. – Musimy znaleźć mistrza Jiro. Przyrzekłeś, że razem wybierzemy się do Świątyni Stalowego Pióra.

– Nie zapomniałem o tym – odparłem, czując przedziwny opór przed rozstaniem; z jakiegoś niezrozumiałego powodu naprawdę nie chciałem odchodzić. – Spotkamy się w pałacu – dodałem. – Nie szukaj mnie. Sam cię znajdę, kiedy nadejdzie pora. – Widząc, że dziewczyna wciąż spogląda niepewnie, posłałem jej słaby uśmiech. – Przyrzekam.



Przy bramie kaplicy rzeczywiście czekali Kage; czterech samurajów w czarno-fioletowych barwach Klanu Cienia. Ich obecność ani trochę mnie nie zaskoczyła. Agenci Kage działali wszędzie i zapewne zauważyli mnie, ledwie tylko postawiłem nogę w stolicy.

– Kage Tatsumi – ukłonił się jeden z nich – mistrz Masao chce z tobą pomówić. Pójdź z nami.

Ruszyłem za wojownikami przez zalane gasnącym światłem ulice Kin Heigen Toshi. Gdy zapadł wieczorny mrok, ocknęły się do

życia latarnie. Szliśmy w milczeniu pośród schodzących nam z drogi tłumów. Grupka samurajów zawsze stanowiła widok, na który większość przeciętnych cywilów uprzejmie usuwała się na bok, a pojawienie się samurajów z Klanu Cienia skłaniało do jeszcze większej ostrożności. Członkowie rodziny Hino słynęli z porywczosci i wybuchowych charakterów, Taiyo znani byli jako ród ludzi równie dumnych, co urodziwych. Kage tymczasem otaczała reputacja wojowników niegodnych zaufania, ponurych i niebezpiecznych. A my sami niewiele robiliśmy, by tę opinię zmienić. Klan Cienia skrywał liczne tajemnice i byliśmy zadowoleni, że reszta cesarstwa myśli o nas to, co myśli. Dzięki temu nikt nie próbował wściubiać nosa zbyt głęboko w nasze sprawy i nie dowiadywał się, że rzeczywiście należy mieć się przed nami na baczności.

Dzielnica Cienia, w której znajdowała się stołeczna rezydencja rodziny Kage, leżała na przedmieściu, na zachód od pałacu. Będąc enklawą najmniejszego z Wielkich Klanów, trwała z dala od zgiełku centralnych rejonów miasta, wciśnięta pod same mury obronne. Takie położenie wielce Kage odpowiadało. Zgodnie z nazwą uliczki były tam wąskie i mroczne, oświetlone niezbyt licznymi latarniami. Krocząc przez znajome alejki i zaułki, nieprzerwanie czułem na sobie spojrzenia niewidocznych oczu, lecz Hakaimono nie przebudził się nawet na moment. Po dachach krążyli *shinobi*, cisi i śmiertelnie niebezpieczni, obserwujący wszystko, co działo się na terytorium Klanu Cienia. Zakrawa to na ironię, ale ich obecność czyniła z dzielnicy Kage jeden z bardziej bezpiecznych rejonów Kin Heigen Toshi. Żaden porywacz, złodziej czy morderca nie miał ochoty działać w miejscu, którego strzegli wojownicy znający tajniki ciemności lepiej niż siebie samych.

Rezydencja Kage wznosiła się na samym końcu Dzielnicy Cienia, nad kanałem, w którego czarnych, leniwych wodach żył podobno złośliwy *kappa*, odmiana ludożerczego rzecznoego *yokai*. Biorąc pod uwagę liczbę krążących w pobliżu *shinobi* oraz fakt, że Hakaimono nie wyczuł nigdy nad kanałem złowrogiej obecności, mocno w te plotki wątpiłem. Przypuszczałem, że mogli je rozpuścić

sami Kage, by zniechęcić ciekawskich cywilów do spacerów w pobliżu posiadłości.

Siedzibę klanu otaczał wysoki, kamienny mur i strzegli jej odziani w czerń samuraje. Wiedziałem, że wspierają ich ukryci w ciemnych zakamarkach *shinobi*. Kiedy przeszliśmy przez wysoką, wzmocnioną żelaznymi okuciami bramę, członkowie mojej eskorty pokłonili mi się i odeszli wszyscy z wyjątkiem jednego. Ruszyłem za nim do środka budynku, mniejszego może niż Hakumei-jo, najważniejszy zamek Klanu Cienia, lecz wcale nie mniej eleganckiego.

I nie mniej zawiłego. Wnętrza obu gmachów zostały zaprojektowane w taki sposób, by mącić w głowach intruzom, i każdy gość nieznający na wylot rozkładu korytarzy już po chwili beznadziejnie się w nich gubił. Do tego należy wspomnieć o rozlicznych ukrytych pokojach, zapadniach, tajnych tunelach i skrytkach między ścianami i podłogami, z których *shinobi* mógł zaatakować z zaskoczenia i zniknąć bez śladu. Niektórzy powiadali, że w Hakumei-jo znajdują się sekretne pomieszczenia i korytarze, o których nie mają pojęcia nawet *shinobi*, a jedyną osobą znającą wszystkie tajemnice pałaców Klanu Cienia była architektka, która je zaprojektowała. Kobieta ta jednak nie pozostawiła po sobie żadnej dokumentacji, ani jednego planu czy dziennika, a całość swej wiedzy zabrała ze sobą do grobu.

Ja na szczęście odwiedziłem tę rezydencję już kilka razy wcześniej i znałem jej wnętrze. W przeciwieństwie do zamku Hakumei wnętrze tego pałacu nie zmieniało rozkładu ani wyglądu kilka razy do roku, więc przemierzając za przewodnikiem labirynt długich, krętych korytarzy, nie straciłem orientacji.

W pewnym momencie za kolejnym zakrętem wyłoniło się z cienia trzech mężczyzn, którzy zastąpili nam drogę. Mieli na sobie czarne szaty, a czoła i policzki pokrywały im czarno-białe malunki. *Majutsushi*, magowie Klanu Cienia.

– Możesz odejść – stojący na czele grupy zwrócił się do prowadzącego mnie samuraja. – Wracaj na posterunek. Zabójca

demonów pójdzie dalej pod naszą opieką.

Wojownik skłonił się nisko, odwrócił na pięcie i odszedł, nie patrząc za siebie. Czarownik odczekał, by odgłos kroków zgasł w ciemności, po czym skierował swe czarne jak noc oczy prosto na mnie.

– Kage Tatsumi – zaczął, gdy jego towarzysze podeszli i otoczyli mnie. Czekałem z kamienną twarzą i spuszczonej rękoma, choć umysł wypełniały mi wizje, w których rozcinałem ich ciała na kawałki, a korytarz spływał krwią. Pomalowane na czarno usta maga wygięły się w nikłym uśmiechu, jakby zdołał przeniknąć me myśli. – Wyraźnie czuję twoją nienawiść, zabójco demonów – podjął ochrypłym szeptem. – Wiesz, co cię czeka, i rozpaczliwie pragniesz nas zabić, mam rację?

– Żądze Hakaimono nie są moimi żądzami, mistrzu Iemon – odpowiedziałem z rezerwą. – W pełni panuję zarówno nad sobą, jak i swoją bronią.

– Doprawdy? – Kąciki warg *majutsushi* uniosły się jeszcze wyżej. – Mistrz Jomei jest odmiennego zdania. Widziano cię w towarzystwie dziewczyny, ronina, a ostatnio także samuraja. Będącego w dodatku arystokratą z rodu Taiyo. Czyś myślał, że nie zwrócimy uwagi na tak niezwykłe zachowanie? Czyżbyś zapomniał o zasadach? – spytał, mrużąc czarne oczy. – Co ci mówiliśmy o zadawaniu się z osobami spoza klanu? Odpowiedz mi.

– Z ludźmi spoza Kage mam zadawać się jak najrzadziej – odparłem posłusznie. – W miarę możliwości winienem unikać wszelkich kontaktów. A jeżeli to nie jest możliwe, mam postępować zgodnie z przyjętymi w społeczeństwie zasadami i jak najszybciej zostać ponownie sam.

– A dlaczego tak jest, zabójco demonów?

– Ponieważ moje istnienie stanowi dla nich zagrożenie – wyrecytowałem. – Ponieważ towarzystwo ludzi budzi emocje, a Hakaimono może wykorzystać uczucia do osłabienia mojej woli.

– I co się stanie, kiedy do tego dojdzie?

– Stracę nad sobą panowanie i Kage będą zmuszeni mnie zgładzić.

Mistrz Iemon pokiwał głową.

– Wiesz o tym – rzucił surowo. – Wiesz, że zawsze musisz działać w pojedynkę. Inni ludzie będą cię jedynie kusić, rozpraszać, a co gorsza, obudzą w tobie emocje, nad których stłumieniem pracujemy przez całe twoje życie. Zabójca demonów nie może nigdy i pod żadnym pozorem ulec gniewowi, strachowi, frustracji czy żalowi. Każde uczucie pozwala Hakaimono zbliżyć się ku powierzchni, a jeżeli utracisz kontrolę nad mieczem, okryjesz Kage wstydem i niesławą, ponieważ to my będziemy musieli po tobie posprzątać.

– Rozumiem, mistrzu Iemon. Ale...

– Ale? – syknął mag. – Nie ma żadnych ale, żadnych wymówek. Jesteś niczym, zabójco demonów. Istniejesz wyłącznie po to, by służyć klanowi. Twe osobiste emocje nie mają znaczenia, ponieważ nie powinny w ogóle się pojawić. – Uniósł głowę, cofnął się i obrzucił mnie oceniającym spojrzeniem. – Wygląda na to, że determinacja zabójcy demonów słabnie. Być może konieczne będzie ponowne zbadanie stanu jego ducha.

Przepełniła mnie wściekłość. Z całej siły zwalczyłem pokusę, by dobyć Kamigoroshi i wyrąbać sobie drogę na wolność. Wiedziałem, że Iemon nadal mnie obserwuje. Ponowne badanie stanu ducha oznaczało poddanie mojego umysłu i ciała wielodniowym próbom, mającym rozstrzygnąć, czy nadal panuję nad sobą w dostatecznym stopniu. Zostałbym przykuty do kamiennych słupów i wychłostany bambusowymi prętami po to tylko, by sprawdzić, czy ulegnę demonowi. Kazano by mi wcisnąć rękę do koksownika pełnego żaru, abym dowiódł, że gotów jestem wykonać każdy rozkaz. Musiałbym zapewne klęczeć w bezruchu przed drewnianą tarczą, w którą inni *shinobi* ciskaliby *shuriken* i *kunai*.

Ale ponieważ moje reakcje obserwowali bacznie Iemon i pozostali *majutsushi*, istniała tylko jedna akceptowalna odpowiedź. Ukłoniłem się nisko i utkwilem wzrok w posadzce.

– Moje życie i ciało należą do Klanu Cienia – wyszeptałem, czując w głębi ducha odrazę i furję rozczarowanego Hakaimono. – Jeżeli tego oczekują ode mnie Kage, poddam się ponownej ocenie z pokorą.

– Nie, Tatsumi-kun – za moimi plecami rozległ się nowy głos. – Jeszcze nie tym razem.

– Masao-san! – wykrzyknął Iemon na widok nadchodzącego dworzanina. Odziany w zwiewne kimono z fioletowego jedwabiu, ozdobione na bokach delikatnym wzorem złotego bambusa, mocno odróżniał się od ubranych w czarne szaty magów. Towarzysze Iemona cofnęli się, lecz on sam bez jednego ruchu patrzył na Kage Masao, który wypełnił sobą korytarz niczym rozpościerający skrzydła łabędź.

– Dobry wieczór, mistrzu Iemon – rzekł Masao. – Wybacz, proszę, że przeszkadzam, obawiam się jednak, iż muszę ci przerwać. Zabójca demonów uda się ze mną.

Iemon zacisnął czarne usta.

– Zabójca demonów pozostaje pod naszą kuratelą – odparł, podczas gdy Masao obserwował czarownika leniwym spojrzeniem znad krawędzi białego, jedwabnego wachlarza. – Spoczywa na nas obowiązek ustalenia, czy stanowi zagrożenie dla siebie samego oraz mieszkańców Iwagoto.

– Tatsumi-kun wykonuje bardzo ważną misję, zleconą mu osobiście przez lady Hanshou. – Masao zamknął z trzaskiem wachlarz i uśmiechnął się do ciskającego gromy z oczu maga. – Nie ma czasu, by poddać się mękom, jakie chciałbyś zgotować mu ty i twoja zgraja upiorów. – Na te słowa Iemon zeszywniał, lecz dworzanin ciągnął z niegasnącym uśmiechem: – Nie martw się, Iemon-san. Jeżeli chłopak straci nad sobą panowanie i kogoś pożre, wezmę pełną odpowiedzialność na siebie.

– Dobrze więc. – *Majutsushi* cofnął się z kwaśną miną. Widząc, że zwycięstwo przypadło dworzaninowi, odetchnąłem z ulgą. – Zostawimy go w twoich, jakże zwinnych rękach, Masao-san. Jestem pewien, że będziesz wiedział, co robić, kiedy Hakaimono znienacka

wydostanie się na wolność. – Czarownik uśmiechnął się z miną wskazującą, że w istocie ma wielką ochotę, bym stracił panowanie i rozszarpał dworzanina na kawałki.

– Och, pochlebiasz mi, mistrzu Iemon. – Masao skinął łagodnie głową i ponownie zatrzepotał wachlarzem. Na jego policzki wystąpił ledwie widoczny rumieniec. – Nie jestem godzien takich komplementów. Poza tym jestem pewien, iż dzięki waszym światłym radom i szkoleniu chłopak jest całkowicie niegroźny. Wszak Tatsumi-kun odebrał u was wyśmienite wychowanie. A jeżeli nawet ulegnie demonowi, lady Hanshou z pewnością nie was obwini o śmierć swego najbardziej zaufanego doradcy. Jest przecież najłagodniejszą i najbardziej dobrotliwą z *daimyo*, a kary wymierza jedynie tym, którzy zasłużą na nie najpoważniejszymi wykroczeniami.

– Tak. – Pokryta czarno-białym makijażem twarz Iemona lekko pobladła. – Cóż... – Cofnął się i odniosłem wrażenie, że nagle zapragnął znaleźć się gdzie indziej. – W takim razie nic tu po nas. Dobrej nocy, Masao-san.

– I tobie również, Iemon-san.

Czarownicy odwrócili się i odeszli w głąb korytarza. Uprzejmy uśmiech Masao przybrał tymczasem nieco dziki wyraz.

– Zajmij się lepiej swoją magią i konszachtami z *kami*, Iemon-san – rzucił półgłosem, zamykając wachlarz. – Nie próbuj iść w zawody z mistrzem dworskich rozgrywek – zakończył, wcisnął wachlarz za *obi* i zwrócił się do mnie. – Tatsumi-san – podjął promiennie, a zjadłość w jednej chwili zniknęła z jego twarzy. – Przepraszam, że tak długo kazałem ci czekać. Zechcesz się ze mną przespacerować?

Poszliśmy przed siebie, w kierunku przeciwnym do tego, w którym oddalili się magowie. Cieszyłem się, że Iemon i jego *majutsushi* zniknęli, lecz o dziwo obecność Kage Masao również wzbudziła we mnie osobliwy niepokój, zupełnie jakby w fałdach jego kimona skrywały się żywe żmije. Nie miałem pojęcia, co jest przyczyną takiego wrażenia.

– Domyślam się, że kiedy dotarłeś na miejsce, Świątynia Milczącego Wiatru była już zniszczona? – zagaił Masao po mniej więcej minucie.

– Tak, mistrzu Masao – potwierdziłem. – *Amanjaku* zabiły wszystkich, a zwoju nie było. Podobno w ataku brał udział także *oni*, ale ja go nie widziałem.

– Demony – zasępił się dworzanin. – Więc Jomei miał rację. Jakiś śmiertelnik przyzywa je z Jigoku, a to oznacza, że też chce przejąć zwój. Lady Hanshou nie będzie zadowolona. – Westchnął i zerknął na mnie z ukosa. – Dziewczyna, którą ze sobą prowadzisz, ta, która tak działa na nerwy Iemonowi. Co to za jedna?

– Jedyna ocalała mieszkanka świątyni – wyjaśniłem. – Twierdzi, że jej mistrz powiedział jej, dokąd odesłał zwój, lecz nie wyjawiał drogi. Dlatego właśnie przybywamy do stolicy. Jest tu ktoś, kto wie, gdzie szukać ukrytej świątyni. Obiecałem, że kiedy już zdobędziemy tę informację, udam się tam razem z nią.

– Rozumiem. – Masao nawet mrugnięciem nie zdradził, co o tym sądzi. – Ufasz tej dziewczynie?

– Ja... – Urwałem. „Nie ufaj nikomu”. Tak brzmiała podstawowa zasada mistrza Ichiro. „Dowierzaj jedynie własnym zmysłom” – przestrzegał przy każdej okazji. „Ludzie mają skłonność do manipulacji. *Yokai* oszukują. Wszystkie istoty kierują się ukrytymi motywami i gdy tylko stracisz czujność, ktoś poderżnie ci gardło od tyłu”.

Naturalnie wziąłem jego ostrzeżenie do serca. Wszyscy, których spotykałem, chcieli mnie zabić, zaszkodzić mi albo w jakiś sposób mnie wykorzystać. To założenie nie raz i nie dwa uratowało mi życie. Na przykład wtedy, gdy stojące nad rzeką zapłakane dziecko rzuciło się na mnie z wyszczerzonymi kłami, i potem, kiedy przerażona kobieta w ciemnej alejce próbowała udusić mnie własnym warkoczem.

Ale Yumeko... Dziwne to było i prawdopodobnie niebezpieczne, lecz przy niej czułem się prawie... swobodnie. A w każdym razie nie sądziłem, że zechce mnie zadźgać przy pierwszej lepszej okazji.

Gdyby mistrz Ichiro dowiedział się, że takie myśli chodzą mi po głowie, żywcem zdarłby ze mnie skórę, ale Yumeko była naprawdę inna, szczerze ciekawa świata, skromna i bezpretensjonalna. Ocaliła mi życie, niczego się ode mnie nie domagała i była pierwszym człowiekiem, którego dotyk nie sprawił mi bólu.

– Ufam, że zaprowadzi mnie do zwoju – odpowiedziałem. – A także że zrobi wszystko, co w jej mocy, by tam dotrzeć.

– To dobrze. – Masao pokiwał głową. – Pomagaj jej dalej. Chron dziewczynę przed demonami, magami krwi i wszystkimi, którzy spróbują was zatrzymać. Ty również rób wszystko, by misję zwieńczył sukces. A gdy tylko zdobędziesz zwój, zabij ją.

Lodowata włócznia przeszła mi trzewia. Skinąłem jednak głową.

– Rozumiem – potwierdziłem bez cienia emocji w głosie.

– Doskonale. – Na twarz dworzanina wypłynął radosny uśmiech. – Nie pojmuję, czym tak bardzo przejmuje się Iemon. To oczywiste, że zrobisz wszystko, co konieczne, by wypełnić zadanie dla lady Hanshou. A zatem, Tatsumi-kun, jaki planujesz następny krok? Gdzie jest ów człowiek znający drogę do zwoju?

– Nie wiemy – przyznałem i w oczach Masao zagościło zdziwienie. – Powinien być w kaplicy Hayate, lecz trzy dni temu został zaproszony do pałacu i zaginął.

– Do pałacu? Kto go zaprosił?

– Lady Satomi.

– Ach tak. Cesarska konkubina? – Dworzanin ściągnął usta i zamyślił się. – Znam pogłoski o jej rzekomym okrucieństwie, ale nie wydaje się w tej dziedzinie gorsza od pozostałych członków wewnętrznego kręgu władzy. Hmm. Czyli i ty grasz w tę grę, lady Satomi? Jakież to... zajmujące. – Przez jego oblicze przemknęła chytra minka. Otrząsnął się i ponownie spojrzał na mnie. – Do tak wysoko postawionej osobistości niełatwo będzie dotrzeć – zauważył. – Zakładam, że przejdiesz przez mur, lecz co potem? W jaki sposób zamierzasz się dowiedzieć, co ta kobieta wie?

– Jutro wieczorem odbędzie się w pałacu bankiet... – zacząłem, ale Masao nie pozwolił mi dokończyć.

– Oczywiście! – Pstryknął palcami. – Cesarskie oglądanie księżyca! Jak mogłem zapomnieć? – Przez moment przyglądał mi się z uśmiechem na ustach. – Żał, że nie będziesz mógł wybrać się tam jako jeden z gości, Tatsumi-kun. Wyobrażam sobie, że dwórki pożerałyby cię wzrokiem niczym sfora głodnych wilków.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, mistrzu Masao.

– Rzecz jasna, że nie rozumiesz. – Dworzanin nagle zwrócił się przodem do mnie i uniósł moją twarz wachlarzem. Zmuszony spojrzeć prosto w jego przenikliwe oczy zeszywniałem. – Ichiro i Iemon zapewne ci tego nie powiedzieli – szepnął – ale czy wiesz, że jesteś niezwykle przystojny, Tatsumi-kun? Wielka szkoda, że uczynili z ciebie powiernika tego przekłętogo miecza. Zmarnowany potencjał. Oczywiście odpowiedni strój wiele by zmienił, niemniej... – Z błyskiem oczu opuścił wachlarz i cofnął się z uśmiechem, od którego poczułem niespokojny skurcz żołądka. – Cóż, przyłóż się, zabójco demonów. I powodzenia z lady Satomi. Obawiam się, że cesarski dwór okaże się dla ciebie większym wyzwaniem, niż myślisz.



BANKIET POD KSIĘŻYCEM

Dziewczyna w lustrze wydała mi się nieznajoma.

Rozpoznawałam jej twarz. I to by było na tyle. Cała reszta – włosy, makijaż, strój – wyglądała dziwnie i obco.

Stałam w pokoju świątynnej dziewczycy, starannie zamkniętym i obwarowanym surowym zakazem wstępu, i wpatrywałam się w *kitsune* wyglądającą ku mnie z zawieszzonego nad komodą, niewielkiego zwierciadła w owalnej ramie. Wielowarstwowe, czerwono-białe kimono, ozdobione złotą lamówką i przepięknymi deseniami, było bez wątpienia najbardziej eleganckim strojem, jaki kiedykolwiek na siebie włożyłam. Było również ciężkie, sięgało niemal do ziemi i koszmarne utrudniało ruchy, zwłaszcza za sprawą szerokich rękawów. Starannie uczesane włosy spływały mi na plecy grubym warkoczem, w którym błyskały czerwone i złote jedwabne wstążki. Na czubku głowy sterczała strasznie wysoka

czapka. Zniesmaczona zastrzygłam uszami i czapka upadła na podłogę.

– W pałacu nie możesz zachowywać się w ten sposób – zauważyła z westchnieniem Reika, po czym sięgnęła po czapkę i z powrotem wcisnęła mi ją na głowę. – Jeżeli naprawdę chcesz omamić wszystkich na tyle, by uznali cię za szacowną *onmyoji*, nie możesz się wiercić z byle powodu.

– Ale to ubranie jest makabrycznie ciężkie – odparłam, marszcząc nos.

Wyraźnie czułam, jak tkanina przyciska mi ogon do ud i łydek. Poruszyłam się. Tyle dobrego, że niewygodna szata świetnie maskowała wciąż owinięty w *furoshiki* zwój.

– Jestem pewna, że co drugi krok będę się potykać o własne nogi. Czy nie mogłabym po prostu sprawić, by moje zwykłe ubranie jawiło się im jak to?

– Lisia magia to nic więcej jak ułuda i mamienie niewinnych – skwitowała *miko* z pogardą, która przypomniała mi Dengę. – Gdyby ktoś w pałacu odkrył, że jesteś pół-*yokai*, zostałabyś stracona, a i na tym nie koniec. Kara spotkałaby również wszystkich twoich towarzyszy. Naraziłabyś na śmierć ronina, arystokratę i zabójcę demonów, a wszystko dlatego, że nie miałaś ochoty znosić lekkiej niewygody przez jeden wieczór. Naprawdę tego chcesz?

– A nie mogłabym dostać przynajmniej sandałów *geta*? – Pociągnęłam nosem. – Może w nich nie wyrznię nosem o ziemię na oczach całego dworu?

– Mogę nieco tę szatę skrócić – stwierdziła z pewną dozą niechęci kapłanka. – Daj mi chwilę.

Uklęknęła i zaczęła mocować się z tkaniną, co rusz mamrocąc, bym przestała się wiercić. Ponownie zapatrzyłam się w lustro i zamyśliłam. Wczoraj, kiedy Tatsumi zniknął w towarzystwie wojowników ze swego klanu, Reika uprzejmie przygotowała kwatery dla mnie i Okame. Daisuke też opuścił kaplicę. Wrócił do swojej rodowej rezydencji w Dzielnicy Słońca, aczkolwiek obiecał, że pojawi się wieczorem i zaprowadzi nas do pałacu. Dzisiejszego

popołudnia Reika wysłała kilka swoich *miko*, by znalazły odzienie stosowne dla „cieszącej się znakomitą opinią *onmyoji*”, przy czym z wyraźnym naciskiem zasugerowała, by także Okame wybrał się na rynek i zakupił strój, który nie wskazywałby całemu światu z odległości mili, że oto zbliża się „brudny pies”. Początkowo ronin mocno się opierał, lecz dziewczyna powiedziała, że nie pozwoli, by jego głupia duma zaprzepaściła szanse na powodzenie naszej misji, i ni mniej, ni więcej tylko wypędziła go z kaplicy, grożąc wezwaniem na pomoc świątynnej straży. Gdy chłopak ostatecznie uległ, całą uwagę poświęciła już mnie.

– Wymień imiona pięciu ostatnich cesarzy – poleciła kapłanka, nie odrywając wzroku od rąbka mojej szaty. Zdusiłam w sobie jęk.

Reika przez cały poranek wyłuszczała mi tajniki dworskiego życia: opowiadała o obyczajach i rodzajach zachowań, zarówno akceptowalnych, jak i tych, które natychmiast dałyby całemu towarzystwu znać, że jestem nieokrzesaną chłopką. Ilość szczegółów, jakie musiałam zapamiętać, by należycie wykonać taki choćby drobiazg jak zwykły ukłon, przyprawiała o zawroty głowy, podobnie jak lista tematów, których o tej porze roku nie wolno było poruszać pod żadnym pozorem. Dowiedziałam się, że jeśli ktoś zada mi pytanie, niegrzecznie byłoby odpowiedzieć prostym „tak” lub „nie”; najlepiej wypadłaby odpowiedź wierszowana, zawierająca jak najwięcej porównań i kwiecistych fraz.

– Hmm... – mruknełam asekuracyjnie, wiedząc, że Reika czeka na imiona. *Onmyoji* ciesząca się znakomitą opinią, wyjaśniła mi wcześniej kapłanka, musi znać dzieje panującej w Iwagoto dynastii. – Taiyo no Genjiro, Taiyo no Eiichi, Taiyo no Fujikata, Taiyo no... eee... Kintaro?

– Nie zgaduj, tylko odpowiadaj – zwróciła mi uwagę. – Poza tym na cesarskim dworze nie możesz wydawać żadnych odgłosów w rodzaju „hmm” czy „eee”. Jąkają się jedynie wieśniacy i miejskie pospólstwo. Arystokraci nigdy.

Westchnełam i przeniosłam ciężar na drugą nogę, za co *miko* skarciła mnie niezadowolonym cmoknięciem. Niespodziewanie

zatęskniłam za Tatsumim. Wojownik mówił wprawdzie niewiele, lecz jego milcząca obecność zawsze była wyraźnie wyczuwalna. Zastanowiłam się, gdzie jest i co robi. Miałam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, że dotrzyma słowa i spotka się z nami w pałacu. Miałam też nadzieję, że na bankiecie nie popełnię żadnej towarzyskiej gafy i nie zdekonspiruję nas wszystkich.

– I proszę bardzo. – Reika wstała i otrzepała kolana. – Bardziej gotowa nie będziesz. – Cofnęła się, zaplotła ręce na piersi i obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem. – Uda się. – Skinęła głową. – Wykapana z ciebie *onmyoji*. Przynajmniej z wyglądu. Cóż, już prawie zachód, a ja też muszę się wyszykować. Sprawdzisz może, czy ronin już wrócił? Tylko proszę, nie ubrudź się, zanim dotrzemy do pałacu.

Usiłując nie deptać falujących rąbków szaty, wyszłam na zewnątrz.

Okame stał na werandzie, oparty o barierkę. Na mój widok jego brwi wystrzeliły wysoko ku górze.

– *Sugoi* – rzucił półgłosem i wyprostował się. – Yumeko-chan, wyglądasz... inaczej. Nie poznałem cię.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– I wzajemnie, Okame.

Chłopak był ogolony, bródkę miał starannie przystrzyżoną i wyczesaną, a kasztanowo-rude włosy związał w ciasny kucyk. Miał na sobie białe spodnie *hakama* i brązową bluzę *haori*, które może nie olśniewały jakością, lecz były nowe, czyste i porządnie leżały. Nie przypominał arystokraty, ale nie wyglądał też na wałęsającego się bez celu po świecie ronina.

– Prezentujesz się niemal elegancko.

– Uważaj, co mówisz – odparł i uciekł wzrokiem. Zauważyłam, że szyję oblał mu różowawy rumieniec. – Nadal nie wierzę, że będę musiał paradować po cesarskim pałacu, udając samuraja wśród zgrai nadętych arystokratów.

– Dlaczego tak bardzo nienawidzisz samurajów, Okame-san? – spytałam, przechylając głowę na bok. – Tatsumi tłumaczył mi, że

każdy ronin sam był kiedyś samurajem, tyle że potem utracił pana. Co spotkało twojego?

– To długa historia, którą usłyszysz kiedy indziej, Yumeko-chan – odpowiedział z krzywym uśmiechem ronin. – Powiedzmy, że był kiedyś czas, gdy całym sobą wierzyłem w honor, obowiązek i kodeks *bushido*. Od tamtej pory minęły jednak całe lata. Młody byłem, głupi i bardzo chciałem się wykazać.

– I co się stało?

– Okrutna rzeczywistość wymierzyła mi siarczysty policzek – prychnął ronin pod nosem. – Uświadomiłem sobie, że cały ten szacowny kodeks to wierutna bujda. Nie ma na świecie honoru, zwłaszcza wśród samurajów ze świecą go szukać. Ale by w pełni to pojąć, musiałem stać się roninem.

Słyszając zawartą w tych słowach gorycz, aż potrząsnęłam głową i zastanowiłam się, jakież to wydarzenie mogło doprowadzić do tak głębokiej przemiany.

– Pewnego dnia będziesz musiał opowiedzieć mi całą tę historię.

– Zgoda. Teraz jednak mamy na głowie poważniejsze zmartwienia. Na przykład przeżycie bankietu u cesarza. Nie zapominaj – podjął, łagodnie trącając palcem mój rękaw, niemal zamiatający podłogę. – Taki sam ze mnie *yojimbo*, jak z ciebie *onmyoji*. A podszywanie się pod postacie wyższej rangi karane jest śmiercią. Dobrze by było, gdyby nikt nie domyślił się prawdy.

– Wiem – przyznałam. Reika wytłumaczyła mi to wszystko rano, z przytłaczającą ilością detali. Gdy tylko ronin opuścił kaplicę, zaciągnęła mnie do pokoju, zatrzasnęła drzwi i zrugła za to, że tak beztrosko kłamię. Daisuke wmówiłam, że jestem *onmyoji*, Okame był przekonany, że ma do czynienia z wieśniaczką, a zabójca demonów myślał, że wędruje z najzwyklejszym człowiekiem pod słońcem.

– Dotąd udawało ci się wyłącznie dzięki szczęściu – fukała na mnie *miko* niczym rozzłoszczona kotka. – Zwłaszcza że podróżujesz z tak niebezpiecznym wojownikiem jak Kage. Dzisiejszego wieczoru jednak – ciągnęła – znajdziemy się w pałacu, otoczeni przez

możnych, samurajów, arystokratów, w towarzystwie samego władcy. I jeżeli tam ktokolwiek odkryje, że nie jesteśmy tym, za kogo się podajemy, skończy się to śmiercią nas wszystkich.

Następnie kapłanka przestrzegła, że tym razem nie jest to zwykły psikus *kitsune*. Stawką tej gry były, najzupełniej dosłownie, życie i śmierć. I dlatego powinnam potraktować ją niezwykle poważnie.

Przygryzłam wargę. Kapłanka miała rację. Wciągnęłam w tę szaloną maskaradę już bardzo wielu ludzi, a kłamstwa nawarstwiały się jedno na drugim. Wcześniej czy później złożona z nich konstrukcja musiała się rozsypać niczym padająca wieża.

– Jesteś pewien, że chcesz nam towarzyszyć, Okame-san? – Podniosłam wzrok na ronina. – Wiesz, że nie jesteś mi niczego winien, prawda? Jeśli wolisz, możesz po prostu odejść.

– Kpisz sobie? – Ronin rzucił mi wilczy uśmiech, a w jego oczach pojawił się błysk. – Tu nie chodzi o żadne zobowiązania. Od lat nie bawiłem się tak wyśmienicie jak z wami. Jako samuraj nigdy nie osiągnąłem odpowiednio znacznej pozycji, by otrzymywać zaproszenia na przyjęcia w cesarskim pałacu. Kiedy wejść tam u boku Taiyo, dopełni się swego rodzaju ironiczna sprawiedliwość. Ja, z najdumniejszym wśród dumnych. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę miny tych zarozumiałych dupków.

– Ale to niebezpieczne. Co, jeśli wpadniemy?

– To właśnie niebezpieczeństwo sprawia, że ta zabawa jest tak przednia, Yumeko-chan – zauważył Okame. – Przecież żaden arystokrata nie zapyta wprost, czy naprawdę jesteś *onmyoji*. Byłby to szczyt nieuprzejmości. O ile nie spróbujesz nikomu wróżyć, przepowiadać przyszłości tudzież egzorcyzmować jakiegoś demona, niewiele nam grozi. – Ronin wzruszył ramionami i ponownie oparł się o barierkę. Sprawiał wrażenie całkiem spokojnego. – Dlatego się nie martwię. Wszystkie dworskie małpki będą zanadto zajęte chełpieniem się własną wspaniałością, podlizywaniem się cesarzowi i wzajemnym podkładaniem sobie świni, żeby zwracać uwagę akurat na nas.

– To będą tam małpki? – Zdumiona zatrzepotałam powiekami. – Och, czyli nie będzie tak nudno. Ale mały strasznie brudzą, czy nikt o tym nie pomyślał?

– Okrutna to była ocena, Okame-san. – Na werandzie rozległ się nowy głos i zza rogu wyszedł Taiyo Daisuke. Miał na sobie wspaniałe kimono z granatowego jedwabiu. Rękawy i przód pokrywał wzór przedstawiający maleńkie złote słońca. W ręku trzymał kolorowy wachlarz, również jedwabny. Zaczesane do tyłu długie, białe włosy mieniły się w słońcu, wyraziście kontrastując z ciemną tonacją szaty. – Nie powinienesz kłaść Yumeko-san do głowy tyłu kłamstw. Przynajmniej kilkoro gości będzie się zajmować również rozsiewaniem szkodzących konkurentom plotek oraz aranżowaniem korzystnych związków małżeńskich. Na chętnie się nikt nie będzie mieć czasu. – Urwał, przeniósł spojrzenie na mnie i ukłonił się z uśmiechem. – Lady Yumeko – podjął poważnym tonem – czuję, że muszę cię raz jeszcze przeprosić za grubiaństwo, z jakim potraktowałam cię pierwszej nocy naszej znajomości. To wielce fortunny zbieg okoliczności, że wiśnie już przekwitły i ich kwiaty opadły, gdyż na widok twej urody niewątpliwie załkałyby z obawą o wynik tak trudnej rywalizacji.

– Eee... – Nie byłam pewna, jak odpowiedzieć, by nie wypaść za mało arystokratycznie; nikt jeszcze nie uraczył mnie podobnym komplementem. Na szczęście w tej samej chwili rozsunęły się drzwi i na werandzie pojawiła się Reika. Kapłanka, jak wcześniej, ubrana była w czerwone *hakama* i białą *haori* świątynnej dziewczycy, lecz włosy upięła wysoko i ozdobiła je wstążkami oraz maciupkami dzwoneczkami. Za jej plecami pojawiły się dwie inne *miko*. Obie odziane były niemal identycznie i obie rozchyliły usta w niemym podziwieniu na widok olśniewającego arystokraty. Daisuke, zapewne nawykły do takich reakcji, uprzejmie je zignorował.

– Opanujcie się! – Reika smagnęła rękawem jedną z dziewczyn, która aż podskoczyła. – Co się tak rozdziawiacie jak dwa zdychające karpie? Nie przynoście mi wstydu! Taiyo-san – zwróciła się z ukłonem do Daisuke, przez co złote dzwoneczki w jej włosach

wesoło zabręczwały – wybacz, że zajmujemy ci cenny czas. Nie znajduję słów, jakimi mogłabym wyrazić wdzięczność.

– Ależ drobiazg, Reika-san – odpowiedział arystokrata. – Cieszę się, że mogę pomóc. A zmiana na dworze wszystkim może wyjść na dobre. Gotowi? Słońce zachodzi, a droga do pałacu daleka.

– Chwileczkę – zatrzymała nas kapłanka. – Dołączy do nas jeszcze ktoś.

Sięgnęła do rękawa i wyłowiła *ofuda*, biały papierek wykorzystywany do skupiania świętej magii. Na kartce widniał znak oznaczający „lojalność”. Tą samą kartką *ofuda* osłaniała się wczoraj przede mną. Przymknęła oczy, zanuciła coś bezgłośnie i poczułam, jak powietrze wokół nas przenika rozwibrowana moc.

– Strażniku kaplicy Hayate – doleciał mnie jej szept – najbardziej lojalny z obrońców, przyjdź na moje wezwanie.

Nagle zerwał się wiatr i powiał na wszystkie strony, grzechocąc gałęziami pobliskich drzew. Wstrzymaliśmy oddech.

Zza kaplicy wybiegło truchtem kosmate stworzenie i przystanęło tuż pod schodami. Pies, mały i wychudzony. Trójkątne uszy, czerwono-pomarańczowa sierść, biały brzuch i puszysty ogon. Szyję oplatała mu obroża z czerwonego sznura, na której kołysał się złoty dzwonek.

Inu! Opanowałam się i nie odskoczyłam, nie zbiegłam, nie ukryłam się za drzwiami któregoś z pokojów. Za psami nigdy nie przepadałam i uczucie to było najczęściej wzajemne. Pewnego razu, gdy włóczyłam się pod świątynią, dwa wiejskie kundły, chude i głodne już na pierwszy rzut oka, zauważyły mnie i ruszyły w pościg. Nie skutkowało żadna z lisich sztuczek: bestie nie zwróciły uwagi na wizje ryczących niedźwiedzi ani uciekających królików, jakby od początku wiedziały, że to jedynie ułuda. Ostatecznie ocaliła mnie ucieczka na drzewo, gdzie przesiedziałam aż do zmroku, kiedy to odnalazł mnie Denga i przepędził psiska.

– *Kit-kitsune?* – wykrzyknął Okame, przez co drgnęłam i spojrzałam na niego. Ronin z malującym się na twarzy

zdumieniem patrzył jednak na psa. – Strażnikiem kaplicy jest *kitsune*?

– To nie jest lis – sprostowałam z ulgą i pewną dozą irytacji. – To pies, Okame. Naprawdę trudno pomylić.

– Poznajcie Chu – przedstawiła go spokojnie Reika. Pies spojrzał na nią i zamierdał ogonem. – Strażnik kaplicy Hayate. To znaczy jeden ze strażników. – Oczy dziewczyny przesłonił cień, a jej gładkie czoło zmąciły zmarszczki. – Ko, drugi z naszych stróżów, zniknął tej samej nocy co mistrz Jiro. Albo został przez niego wezwany, albo wyczuł grożące wysokiemu kapłanowi niebezpieczeństwo i sam za nim podążył.

– Nieduży jak na swoją rasę – skomentował Daisuke tonem świadczącym o tym, że stara się być uprzejmy.

– Nieduży? – prychnął Okame. – Przecież to chuchro, nie pies. Jak niby ta kudłata kuleczka może czegokolwiek strzec? No, chyba że chroni kaplicę przed wróblami i gryzoniami?

Chu położył uszy po sobie i warknął na ronina, demonstrując przy tym ostre, białe zęby.

– To postać, w której może towarzyszyć mi w mieście – westchnęła Reika, patrząc na ronina. – Kiedy wygląda jak teraz, praktycznie nikt go nie zauważa. Myślę, że bez większego trudu przedostałby się przez bramę cesarskiego pałacu. To jeden z jego licznych talentów. Chu zazwyczaj się nie obraża – dodała z lekko demonicznym uśmiechem na ustach – ale na twoim miejscu uważałabym od tej chwili na słowa. Kiedy przybiera swą naturalną postać, wygląda znacznie bardziej... imponująco.

Okame uniósł z powątpiewaniem brew, lecz nie skomentował. Chu wdzięcznie wstał i pobiegł ku bramie, jakby chciał zająć miejsce na czele pochodu. Ruszyliśmy więc za nim i zeszliśmy po kamiennych schodach. Gdy przechodziliśmy pod *torii*, zauważyłam, że puste są już oba kamienne cokoły.

– Och, Yumeko-san, byłbym zapomniał... – Daisuke zwrócił się do mnie z uśmiechem, kiedy wyszliśmy na ulicę. – Rozmawiałem

o tobie z jednym ze swoich wujów. Gdy usłyszał, że na dzisiejszym bankiecie pojawi się *onmyoji*, wielce się zaciekał.

– Tak? To miło. Wuj musi być bardzo uprzejmym człowiekiem.

– Tak, i z przyjemnością cię pozna. Widzisz, kilka miesięcy temu wybuchł potężny skandal związany z osobą ostatniego cesarskiego *onmyoji*. Pojawiły się plotki o zdradzie, o magii krwi, szeptano nawet o próbach zamachu. Słowem, straszliwy zamęt. Ostatecznie samego *onmyoji* i jego pomocników stracono, lecz od tamtej pory stanowisko nadwornego wróża pozostaje nieobsadzone. Wuj jest przekonany, że władca będzie zachwycony, jeżeli *onmyoji* opowie mu o przyszłości.

– Świetlisty uśmiech Daisuke zajaśniał jeszcze bardziej. Ja jednak, kiedy zrozumiałam, co arystokrata sugeruje, drgnęłam i musiałam się niemal przemocą powstrzymać przed postawieniem uszu na sztorc. – Yumeko-san, jeżeli dziś wieczorem wszystko potoczy się pomyślnie, możesz dostąpić audiencji u samego cesarza Iwagoto.



Pomimo zdenerwowania nie mogłam nie poczuć zachwyty na widok splendoru cesarskiej rezydencji. Złoty pałac chwycił ostatnie promienie gasnącego dnia i sam migotał niczym miniaturowe słońce. Gdy podeszliśmy bliżej, dostrzegłam pozłacane ozdoby dachów: ryby, smoki i feniksy prężyły się na swoich wyżynach i dumnie spoglądały w dół na nas, zwykłych śmiertelników.

Zbliżając się do olbrzymiej bramy, zauważyłam dwóch pilnujących jej samurajów. Ubrani w zbroje sztywno ściskali w dłoniach *yari*. Przestraszyłam się, że na nasz widok skrzyżują te włócznie i zablokują nam przejście. Nic podobnego się jednak nie stało, choć starszy gwardzista zwrócił głowę ku Daisuke, a pod jego wąsami zajaśniał szeroki uśmiech.

– Och, Daisuke-sama – zawołał żołnierz rubasznym, niemal czułym tonem. – Kiedy wróciłeś? Jak twoja pielgrzymka do

Sagimury?

– Znakomicie, Fujio-san – odpowiedział arystokrata. – Jestem z tej podróży bardzo zadowolony. Doznałem w jej trakcie swego rodzaju... oświecenia.

– Ta, jasne – prychnął idący za nim Okame, za co Reika natychmiast pacnęła go w ramię. Strażnik zwrócił na to uwagę i spojrzał na grupkę świątynnych dziewczyc.

– Ach. – Skinął głową. – Artystki mające uświetnić bankiet, czy tak? Już od dawna nie widzieliśmy w pałacu tancerok *kagura* – stwierdził, po czym jego wzrok padł na mnie. Spojrzał na moją szatę, wysoką czapkę i uniósł brew. – Daisuke-sama, czy to... *onmyoji*? Los ci sprzyja, czyż nie? Jego wysokość będzie wniebowzięty.

Arystokrata odpowiedział uśmiechem i moment później przekroczyliśmy cesarską bramę. Moje serce, które po wyjściu z kaplicy zdążyło się uspokoić, ponownie zabiło żywiej. Za wrotami rozciągał się wielki dziedziniec, po którym przechadzali się wojownicy. Jeszcze dalej, widoczny ponad koronami drzew oraz labiryntem murów, bram i fortyfikacji, majaczył na tle nieba gmach pałacu. Istna złota góra.

Niewiele myśląc, ruszyłam w tamtą stronę, lecz powstrzymało mnie wołanie Daisuke. Obejrzałam się i zobaczyłam, że wszyscy idą zupełnie gdzie indziej, ku jednej z bram otwierających się w przeciwległej ścianie dziedzińca.

– Nie idziemy do pałacu, Yumeko-san – wyjaśnił arystokrata, kiedy zrozumiał, co chciałam zrobić. – Bankiet odbywa się w ogrodzie, o tam. – Skinął dłonią i poza linią bujnych drzew ujrzałam nikłą łunę. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Na myśl o tym, że nie obejrzę pałacowych wnętrz, poczułam ukłucie rozczarowania, ale kiedy tylko znalazłam się w cesarskim ogrodzie, wszelki żal prysł bez śladu.

W pierwszej chwili pomyślałam, że jestem w niesłychanie starannie wypielęgnowanym lesie. Po bliższym zbadaniu sprawy uświadomiłam sobie, iż to niedopowiedzenie. Każde drzewo, krzew, kamień, kwiat i drobinka żwiru sprawiały wrażenie

umiejscowionych ze z pedantyczną premedytacją. Krzaki pieczołowicie przystrzyżono, nadając im symetryczne kształty, drzewa rosły wysokie i proste, a ich gałęzie odbijały od pni pod idealnymi, harmonijnymi kątami. Wiatr nie przeganiał po trawie ani jednego zbędnego listka, płatka czy kawałka kory. Na moich oczach jakiś mężczyzna, zapewne ogrodnik, przystanął przy krzewie chryzantem, zerwał niepasujący do kompozycji kwiat, wcisnął go sobie do torby i poszedł dalej.

Ogród był piękny. Nie mogłam zaprzeczyć, że oszałamiał i budził najwyższy podziw. Był też jednak równie martwy jak *sakura* wymalowana na ściennym zwoju. Nic tu nie rosło zgodnie z naturą, brakowało radosnego chaosu prawdziwych lasów. W cesarskim ogrodzie panowała atmosfera bardzo podobna do tej, która zapanowała w moim sercu, kiedy tak szłam wciśnięta w elegancki, lecz niewygodny strój, by zachwycać wyglądem wszystkich dokoła, marząc zarazem o tym, aby tę szmatę zrzucić i wreszcie zacząć zachowywać się swobodnie.

– Przepięknie, czyż nie? – szepnął Daisuke, rozglądając się wokół z błogim uśmiechem. – Wszystko tu zostało zaprojektowane z niedościgłą dbałością o detale. W zamku pracuje setka służących i pięćdziesięciu ogrodników, którzy dbają o to, by ogród był czysty i idealny.

– Ładnie – zgodziłam się. – Ale życie leśnych stworzeń byłoby tutaj bardzo trudne. Gdyby w te kwiaty wpadł choć jeden królik, ogrodnicy doznaliby załamania nerwowego.

Naszą ścieżkę oświetlały girlandy latarni *chochin*. Idąc wytyczonym przez nie śladem, dotarliśmy pod kolejną bramę, gdzie srogo spoglądający samuraj zmierzył wzrokiem mnie i Okame, po czym zwrócił się do arystokraty z głębokim ukłonem:

– Taiyo-sama. Wybacz, proszę, lecz na cesarski bankiet wstęp mają jedynie zaproszeni goście. Wiem, że członkowie twojej rodziny już weszli, ale twoich towarzyszy nie rozpoznaję. Muszę więc prosić, by okazali zaproszenia. W przeciwnym wypadku nie będę mógł pozwolić im pójść dalej.

– Ja im pozwalam – odparł z wielką swobodą Daisuke. – Oto Yumeko-san, szacowna *onmyoji* z terytoriów Klanu Ziemi, oraz jej przyboczny *yojimbo*, Hino Okame. Oboje są moimi osobistymi gośćmi.

Samuraj burknął pod nosem, zerknął ponad ramieniem arystokraty na mnie, po czym spojrział na Reikę i dwie stojące za nami *miko*.

– A one?

Cała trójka świątynnych dziewczyc pochyliła głowy w oficjalnym ukłonie.

– Wybacz nam, proszę – odezwała się Reika. – Przybywamy z kaplicy Hayate, by uświetnić cesarski wieczór tańcem *kagura*.

– Nic mi nie wiadomo, że miała się dzisiaj pojawić *onmyoji* – rzucił z uporem strażnik. Zmarszczył brwi i ponownie zmierzył mnie srogim spojrzeniem. – Jest okropnie młoda. A przede wszystkim nigdy o niej nie słyszałem. Skąd pewność, że jest na tyle doświadczona, by spotkać się z cesarzem? – Zacisnął zęby i wskazał mnie ruchem brody. – Komu służyłaś wcześniej, dziewczyno? U jakich panów pracowałaś?

– Przepraszam bardzo. – Czyjś głos wybawił mnie od odpowiedzi. Podszedł do nas mężczyzna, chudy i niechlujny z pozoru. Miał sterczące na wszystkie strony włosy i wymięte odzienie. Nie był samurajem ani arystokratą. Jego strój, choć nie tak obszarpany i dziurawy jak u niektórych chłopów, był stosunkowo prosty i przykurzony. Poczułam od niego zapach trocin i drewna.

Na widok przybysza samuraj natychmiast drgnął i zastąpił mu drogę, o nas chwilowo zapominając.

– Stać! Jak się tu dostałeś? Mów natychmiast, czego tu szukasz?

Nieznajomy pociągnął nosem i wyprostował się.

– Szukam kogoś – odparł cichym, lecz pewnym siebie głosem. – Otrzymałem stosowną zgodę, by tu przyjść. Muszę natychmiast pomówić z sędzią pokoju.

Daisuke trącił mnie w ramię.

– Chodź – szepnął, kiedy strażnik po raz kolejny oświadczył, że wstęp jest surowo wzbroniony. Na twarzy arystokraty odmalował się lekki niepokój, wyglądał, jakby chciał porozmawiać z nowo przybyłym, ale przywołał nas skinieniem. – Nie musimy tego słuchać, a ja nie mam ochoty zawstydząć samuraja, który wypełnia jedynie swój obowiązek. Zostawmy go w spokoju i oddalmy się.

Chcąc nie chcąc, odwróciłam się od nieznanego, który piskliwym głosem sprzeczał się ze strażnikiem, wymachując chudymi jak patyki rękoma. Wojownik nawet na nas nie spojrzał. Przeszliśmy pod bramą i wtopiliśmy się w mrok. Okame pochwycił mój wzrok i uśmiechnął się szelmowsko, lecz ja nie byłam w podobnie dobrym nastroju.

Poszliśmy wzdłuż bambusowego ogrodzenia, skręciliśmy i znaleźliśmy się na rozległym, otwartym terenie, położonym na skraju przepięknego, malowniczego jeziora. Na wyspie pośrodku niego wznosiła się czerwono-złota pagoda, do której można było dotrzeć poprzez wdzięcznie sklepiony mostek. W powietrzu snuły się dźwięki *shamisen*. Grała na nim starsza już, klęcząca na dywaniku kobieta. Jej palce trącały struny instrumentu z niezwykłą wprawą. Sznury latarni tworzyły nad naszymi głowami prawdziwy sufit szybujących świateł, oblewający jasnym, łagodnym blaskiem kłębiący się poniżej tłum. Przez chwilę mogłam jedynie gapić się w zachwycie na to morze wielobarwnych szat. Kimona prześcigały się jaskrawością kolorów i ekstrawagancją kroju. Stroje kobiet były tak wymyślne i zapewne ciężkie, że dziwiłam się, jak owe damy mogą się w nich poruszać. Niektórzy mężczyźni mieli na sobie spodnie *hakama* i bluzy o sztywnych, uniesionych ramionach, lecz wielu innych założyło na wieczór szaty nieco tylko mniej wykwintne niż odzienie ich towarzyszek.

Ktoś trącił mnie łokciem. Spojrzałam i Okame pokazał mi stojącą po drugiej stronie trawnika platformę, osłoniętą z jednej strony składanym parawanem. Na owym podwyższeniu, na poduszce złożonej przed lakowanym stołem, w otoczeniu atrakcyjnych kobiet i olśniewających samurajów, siedział przystojny

mężczyzna w przepysznej, żółto-białej szacie. Siedział i raczył się jakimś trunkiem ze złotego pucharu. Głośno przełknęłam ślinę.

– Czy to jest...? – szepnęłam z gruntu niepotrzebnie.

– Taiyo no Genjiro sto czterdziesty trzeci – mruknął mi na ucho ronin. – Syn Niebios i cesarz Iwagoto.

– Daisuke-san!

Spomiędzy stojących grupkami i pojedynczo gości władcy wyszedł ku nam jakiś mężczyzna. Miał białe włosy i bardzo spiczastą kozią bródkę. Podchodząc, pozdrowił arystokratę machaniem.

– Wuj Morimasa – rzucił Daisuke, po czym zwrócił się do mnie i lekko uklonił. – Wybacz, Yumeko-san. Zaraz wrócę.

Skinęłam głową i Daisuke ruszył z uśmiechem do krewniaka. Ledwie jednak wykonał kilka kroków, podpłynęła ku niemu para dziewcząt. Mimo że zastąpiły mu drogę, uśmiech młodzieńca nie zgasł nawet na sekundę, a na twarzy miał minę świadcząca o ogromnym zainteresowaniu ich osobami. Kiedy moment później wywinął się zwinnie, zatarasowała mu drogę kolejna kobieta. Sądząc po skali osaczającego go tłumu arystokratek, uznałam, że „zaraz” potrwa dobrą chwilę.

Przeszłam na skraj trawnika, stanęłam pod ślicznie utrzymanym drzewem azalii i rozejrzałam się, dumając, która z tych eleganckich, rozfurkotanych osób może być naszą lady Satomi. Przyszło mi też do głowy, że gdzieś w tym morzu jedwabiu może się kryć zamaskowany zakłębem lub przebraniem Tatsumi. Wyobraziłam go sobie w eleganckim, czarnym kimonie z fioletowo-złotym deseniem. Pomyślałam o fiołkowych oczach chwytających z błyskiem moje spojrzenie wśród tłumu...

– Rumienisz się, Yumeko-chan. – Okame pochylił się z uśmiechem i popatrzył mi w oczy. – O czym to myśleliśmy?

– O... o niczym! – Odwróciłam się, czując żar policzków i słysząc chichot ronina. – Po prostu myślałam o... *ano*... o tych strojach. Bo w tym moim jest okropnie gorąco i chciałabym już to z siebie zdjąć. I o tym, że... to wszystko wcale nie wygląda tak, jak chciałam. No,

przestań się śmiać, Okame-san! – Brakowało mi odwagi, by stanąć przodem do niego. – *Baka!* Bądź poważny. Mieliśmy znaleźć lady Satomi...

Ledwie to powiedziałam, jedna z siedzących najbliżej cesarza kobiet zadarła głowę i spojrzała prosto na mnie.

Ukryty w mojej szacie, zapomniany przez wszystkich i niezauważony przez nikogo Chu zaczął powarkiwac. Nagle poczułam swędzenie, zupełnie jakby w rękawach załęgły mi się hordy owadów. Kobieta nie odrywała ode mnie wzroku, a na jej pełnych, pomalowanych wargach zamajaczył uśmiech. Była niezwykle piękna, wyróżniała się spośród sąsiadek, a jej szkarłatno-czarne kimono w pewnych miejscach zwisało nieco luźniej niż w innych. Nie było to może niesmaczne ani nachalne, za to bardzo sugestywne.

Poczułam, że coś długiego i cienkiego przemyka mi we włosach na karku. Zmarszczyłam brwi, sięgnęłam i chwyciłam.

Trzymałam w palcach wijącą się, czerwono-czarną stonogę, wyginającą korpus w rozpaczliwych próbach ukąszenia mej ręki. Cudem powstrzymałam się od krzyku i natychmiast cisnęłam paskudztwo jak najdalej od siebie. Owad wylądował w trawie, gdzie skoczył na niego Chu, który złapał go zębami i zaczął tarmosić jak szczura. Okame, któremu nie było już do śmiechu, zmeł pod nosem przekleństwo.

Z rozkołatanim sercem wpatrywałam się w kobietę. Uśmiechnęła się w odpowiedzi na jakiś żarcik cesarza i patrzyła już zupełnie gdzie indziej. Nie miałam jednak wątpliwości, że to ona przysłała nieproszonego gościa. Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz, gdyż nagle i niespodziewanie wszystko stało się jasne. To ona była odpowiedzialna za wszystko. Za wielką stonogę, nieumarłe wrony i demony, które zniszczyły moją świątynię; to wszystko stało się z jej winy. To ona wszystkim sterowała, sama pozostając niewidoczna. Wiedźma krwi z cesarskiego dworu.

Zadrżałam, sama nie wiedząc, ze strachu czy z wściekłości. Wyczułam obecność stojącej przy mnie Reiki, która również

przyglądała się kobiecie w czerwonym stroju. Obok Chu cicho powarkiwał, aczkolwiek wciąż wydawało się, że poza nami nie widzi go nikt.

– Cóż – powiedziała półgłosem kapłanka – gdybym miała zgadywać po zachowaniu Chu i bladości twoich policzków, uznałabym, że znaleźliśmy właśnie lady Satomi.

Potaknęłam skinieniem. Kobieta ponownie zerknęła w moim kierunku i dostrzegłam w jej oczach triumfalny błysk. Zacisnęłam pięści. Skoro to była lady Satomi, nie zanosilo się na to, że w czymkolwiek nam pomoże.

– Yumeko-san. – Powrócił Daisuke, prowadząc ze sobą krewnego. Na twarzach obu malowały się uprzejme uśmiechy.

Oderwałam wzrok od lady Satomi i zwróciłam się do arystokratów.

– Yumeko-san – powtórzył Daisuke. – Poznaj mojego wuja, Taiyo Morimase.

– Dobry wieczór – rzuciłam do starszego Taiyo, po czym przypomniałam sobie, gdzie jestem, i zgięłam się w niskim ukłonie. – To zaszczyt móc cię poznać – dodałam.

– Zaszczycem jest poznać ciebie, Yumeko-san – odparł Morimasa. Był bardzo podobny do Daisuke, z tym że włosy upiął na czubku głowy w samurajski koczek i miał schludnie przystrzyżoną bródkę. – Sama twoja obecność jest dla nas czymś niezwykłym. Nie mieliśmy na dworze *onmyoji* już od dłuższego czasu. Wybacz moje zuchwalstwo, lecz twoje nazwisko nie jest mi znane. U którego z mistrzów pobierałaś nauki? Doszły mnie ostatnio słuchy, że wielki Tsuki no Seimei organizuje konkurs na nowego ucznia.

– Ja... nie terminowałam u żadnego mistrza – wypaliłam, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. – Po prostu... no... od urodzenia mam jakby talent i sama wszystkiego się nauczyłam.

– Niesamowite – zachwycił się starszy Taiyo. – I to w tak młodym wieku. Naprawdę niebywałe. Cóż, teraz mam już pewność. Musisz dzisiaj zaprezentować się przed Jego Wysokością. To będzie zaszczyt, jeżeli tak genialna *onmyoji* wystąpi przed całym dworem.

Co ty na to, Yumeko-san? Zechcesz zademonstrować nam swój talent?

Poczułam, że wpadłam w pułapkę. Niczym króliczek zapędzony w kozi róg przez wilki. Okame i Reika mieli równie nietęgą minę co ja, lecz żadne nie próbowało przyjść mi z pomocą. To nie była prośba. Nawet ja, ze swoją ograniczoną wiedzą o polityce i społeczeństwie Iwagoto, wiedziałam, że okazja na usłużenie cesarzowi jest najwyższym zaszczytem, jaki można sobie wymarzyć, a odrzucenie jej stanowiłoby najbardziej niewybaczalną zniewagę. Nawet gdyby moja odmowa nie poskutkowała egzekucją bądź uwięzieniem, nasza misja dobiegłaby końca. Chcąc odnaleźć mistrza Jiro, musiałam ciągnąć tę maskaradę.

Mimo że nie miałam bladego pojęcia, co zrobię.

– Naturalnie, Taiyo-san – odpowiedziałam Morimasie, na co Okame drgnął i wbił we mnie zdumione spojrzenie. – Czynisz mi wielki zaszczyt.

– Yumeko-chan! – wyrwało się roninowi, który jednak zdążył się pohamować. – Ee, proszę wybaczyć. – Skłonił się lekko starszemu Taiyo. – Jako jej *yojimbo* martwię się o nią zawodowo. Chwilami po prostu zaskakuje nas wszystkich. Yumeko-chan – obniżył głos, przyglądając mi się wielkimi oczami – czy jesteś pewna, że sobie poradzisz? – Pytanie zabrzmiało jak „co ty, do cholery, wyprawiasz?”. – Jeśli powinie ci się noga na oczach cesarza, ucierpimy na tym wszyscy.

– Twój *yojimbo* ma rację – wtrąciła Reika tonem zrezygnowanej dezaprobaty. – Aczkolwiek nie sądzę, byś mogła tej prośbie odmówić.

– Oczywiście, że musisz się zgodzić – odezwał się Daisuke, który sprawiał wrażenie skonsternowanego i nieco urażonego. – Poznać cesarza, wystąpić dla niego przed całym dworem. Nie ma większego zaszczytu.

– Otóż to. – Posłałam roninowi wymuszony uśmiech. – Słyszałeś, co powiedział Daisuke-san. Czy kiedykolwiek będę mieć drugą

okazję na spotkanie z cesarzem? Nie przejmuj się. Wiem, co robię. – Mam nadzieję, dodałam już tylko w myślach.

Na twarzy Okame wciąż malowało się powątpiewanie, lecz zignorowałam go i spojrzałam na Morimasa.

– Wybacz nam tę krótką dyskusję, Taiyo-san – powiedziałam, widząc, że arystokrata mocno marszczy czoło. – Jak już mówiłam, możliwość wystąpienia dla Jego Wysokości będzie dla mnie zaszczytem.

– Cudownie! – rozpromienił się. – Jego Wysokość będzie zachwycony. Zechciej, proszę, udać się za mną.

Rzuciłam roninowi i świątynnej dziewicy pożegnalny uśmiech, po czym ruszyłam w ślad za Morimasa.

Arystokraci obserwowali mnie. Patrzyli z rozbawieniem, ciekawością i podejrzliwością. Kilku uśmiechało się złośliwie za wachlarzami, które nie kryły jednak pogardy. Może widzieli, że nie jestem wcale *onmyoji*. A może nie byłam wystarczająco szykownie ubrana? Starłam się nie zwracać na nich uwagi i próbowałam wymyślić, co powiem cesarzowi, mimo że dudnienie serca i lękliwy wir w żołądku wydatnie utrudniały mi skupienie.

– Zaczekaj tu chwilę – poprosił Morimasa, gdy stanęliśmy w cieniu kępy drzew, nieopodal cesarskiego podwyższenia. – Zapowiem cię w odpowiednim momencie. Kiedy usłyszysz swoje imię, podejdź i przedstaw się Jego Wysokości. Nie zbliżaj się jednak do platformy bardziej niż na dwadzieścia stóp. Zrozumiałaś?

– Tak.

Morimasa skinął głową i odszedł w kierunku zgromadzonych przed platformą ludzi. Lady Satomi, siedzącej po drugiej stronie władcy, nie widziałam, lecz szczęśliwie ona również nie mogła zobaczyć mnie.

Zmagając się z nerwami, wzięłam głębszy wdech i w tej samej chwili czyjaś dłoń zatkała mi usta i wciągnęła tyłem między drzewa.

– To ja – rozległ się cichy, znajomy głos, który wygasił rozpalające się w moich palcach *kitsune-bi*. – Puszczę cię, więc nie krzycz.

– Tatsumi! – szepnęłam, odwracając się na pięcie. – Aleś mnie wystraszył! Dlaczego jesteś...?

Zatrzepotałam powiekami i umilkłam. Stojący przede mną Tatsumi nie był samurajem Kage, z którym przyszedłam tutaj ze Świątyni Milczącego Wiatru. Miał na sobie jednolicie czarne ubranie, z wyjątkiem falującej na wietrze, wystrzępionej szkarłatnej szarfy. Zamiast sandałów założył sięgające niemal kolan, dwupalczaste buty. Na przedramionach miał ochraniacze, a w miejsce zwykłej *haori* wcisnął się w pozbawioną rękawów, obcisłą bluzę. Dolną połowę twarzy chłopaka przesłaniała maska. Tylko oczy były takie jak przedtem: zimne, przenikliwe i fiołkowe.

– Co ty robisz, Yumeko? – spytał Tatsumi cicho, lecz z naciskiem. Jego spojrzenie zdawało się płonąć w ciemności.

– No... – Rozejrzałam się, by sprawdzić, czy nikt nas nie widzi. Powietrze zafalowało i nagle poczułam mroczny, chłodny dotyk otaczającej nas magii cienia. – Wystąpię przed obliczem cesarza Iwagoto?

– Nie jesteś *onmyoji*. – Tatsumi zmrużył oczy. – Nie władasz magią. Rozmawianie z *kami* to nie to samo co wróżby i przepowiadanie przyszłości, a tego zechce od ciebie cesarz. Jeśli odkryją, że jesteś szarlatanką, zostaniesz stracona.

– Wiem, ale co innego mogę zrobić, Tatsumi? – spytałam szeptem. – Cesarzowi odmówić nie mogę.

– Mógłbym cię stąd zabrać. – Chłopak przysunął się bliżej. – W tej chwili. Nikt nas nie zauważy. Posłużymy się tym samym zaklęciem co w wiosce *gaki*. A kiedy będzie bezpiecznie, sam tu wrócę i poszukam mistrza Jiro. Nie musimy rozmawiać z tą Satomi. Potrafię odwiedzać miejsca niedostępne dla innych.

– A reszta?

– Nie dbam o nich – stwierdził bez emocji Tatsumi. – Moje zadanie polega na dotarciu do Świątyni Stalowego Pióra. Nic innego się nie liczy. Jeżeli cię schwytają i zabiją, ta misja skończy się tutaj. – Umilkł i uniósł rękę. Grzbiet jego dłoni zawisł bardzo blisko mojego

policzka. Zajrzałam mu głęboko w oczy i dostrzegłam w nich konflikt.

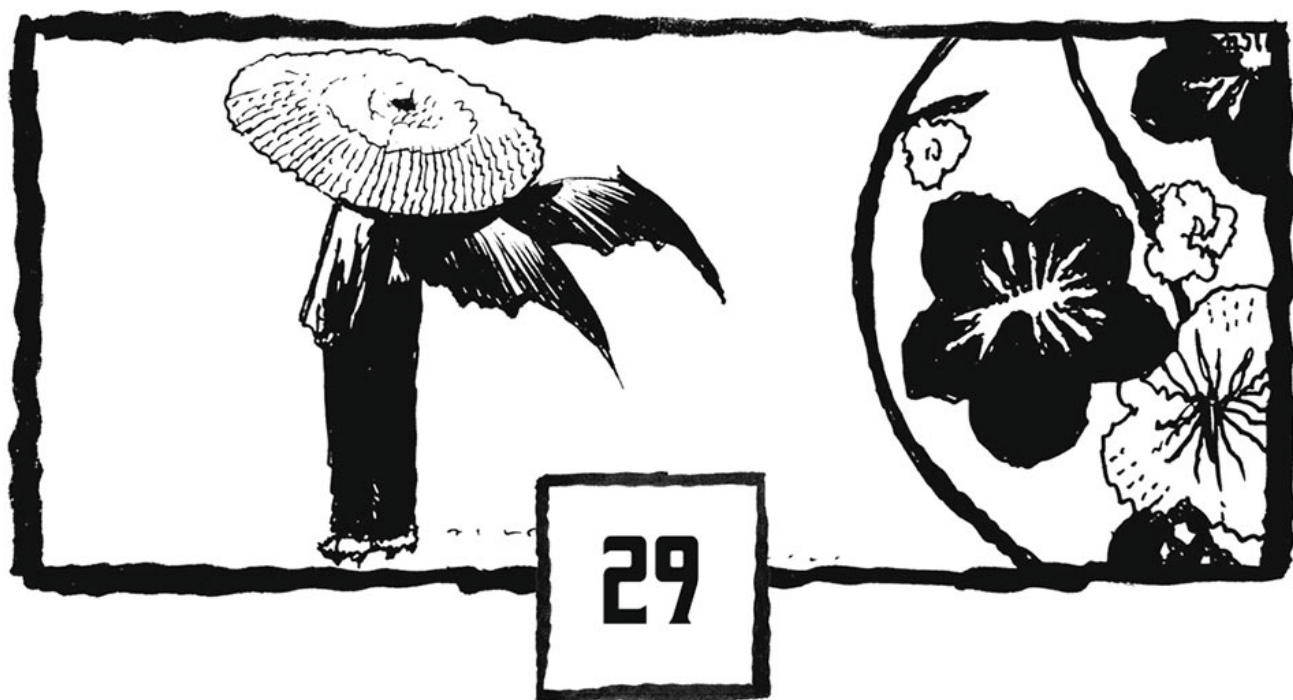
– Tatsumi...

– Nie możesz umrzeć, Yumeko. – Nie przysunął ręki bliżej, lecz zarazem jej nie cofnął. – Oboje przyrzekliśmy odszukać Świątynię Stalowego Pióra – mówił bardzo cicho. – Musisz pokazać mi drogę. Możemy wypełnić tę misję.

– Poradzę sobie. – Ostrożnie ujęłam dłoń chłopaka. Kiedy się zetknęliśmy, drgnął, lecz po chwili, bardzo nieśmiało, jego palce zamknęły się wokół moich. Popatrzyłam mu w oczy z uśmiechem. – Wiem, co zrobić, Tatsumi. Zaufaj mi.

Przyglądał mi się jeszcze przez jakiś czas. Ściągnięte brwi, skryte w cieniu oczy. Ostatecznie jednak skinął głową. Wyszłam spod drzew, czując, jak zrywam oplatające mnie delikatne nici magii. Ruszyłam w stronę cesarskiego podwyższenia.

Taiyo Morimasa zauważył mnie i odetchnął z ulgą, jakby szukał mnie od dłuższego czasu. Machnął niecierpliwie ręką, kierując mnie w odpowiednią stronę. Walcząc z pokusą, by zerknąć za siebie między drzewa, zaczerpnęłam głęboki haust powietrza, zadarłam brodę i poszłam na spotkanie cesarza całego Iwagoto.



CESARSKA WRÓŻBA

Śledziłem odchodzącą dziewczynę wzrokiem. Szła pewnie ku złotemu cesarzowi, czekającemu na podium wśród samurajów i możnych. Patrzył na nią cały dwór, oczy wszystkich spoczęły na tej drobnej postaci w czerwono-białej szacie, na której plecach kołysał się długi warkocz. Nie sprawiała wrażenia zléknionej, nie wydawała się nawet spięta, lecz ja czułem w żołądku dziwny niepokój i pragnienie uczynienia jej niewidzialną. Miałem ochotę okryć nas oboje ciemnością i uciec. Albo, gdyby to okazało się niemożliwe, dobyć Kamigoroshi i wysiec wszystkich stanowiących dla nas zagrożenie: arystokratów, wojowników i samego cesarza. Wszystko, byle tylko ocalić dziewczynę tak dzielnie maszerującą ku człowiekowi mogącemu jednym gestem skazać ją na śmierć.

Wciąż czułem dotyk jej dłoni, jej miękkie palce na swoich. Mocno chwyciłem się za udo. Yumeko nie mogła dziś umrzeć. Głupio postąpiłem, pozwalając jej tam pójść. Nie miałem pojęcia, co

zaplanowała. Nie wiedziałem nawet, czy ma jakikolwiek plan. A mimo to zaufałem jej. Prostej chłopce, dziewczynie nieposiadającej choćby najslabszego magicznego talentu, wychowanej w odciętej od reszty świata świątyni – owszem, mężnej, skromnej i sprytnej, lecz niebędącej przecież *onmyoji*. Zaufałem jej i pozwoliłem stanąć twarzą w twarz z najpotężniejszym człowiekiem w Iwagoto, za jedyną gwarancję mając tylko zapewnienie, że wszystko będzie dobrze.

Zauważyłem ronina, świątynną dziewicę i arystokratę. Ruszyli naprzd i wraz z ciżbą gości otoczyli Yumeko ciasnym półkolem. Coś chwyciło mnie za serce. Po raz pierwszy zacząłem żałować, że nie mogę być w tej chwili tam, w tłumie, zamiast kryć się w cieniu.

Wielkie Kami, pomyślałem, zaskakując sam siebie, miejcie ją w opiece. Tamafuku, boże szczęścia, jeśli zechciałbyś pomóc dziś jakiemuś śmiertelnikowi, niech to będzie właśnie ona.

Dziewczyna przystanęła mniej więcej piętnaście stóp od cesarskiego podwyższenia, opadła na kolana i pokłoniła się nisko, przywierając czołem i dłońmi do ziemi. Zrobiła to niedbale, sylwetce brakowało wymaganej sztywności i niestosownie ułożyła palce, ale dowiodła, że ma przynajmniej blade pojęcie o tym, jak należy się zachować w obliczu władcy. Co więcej, ukłon najwyraźniej zadowolił cesarza, który uśmiechnął się i wielkopańsko zamachał wielkim, rozdętym, złotym rękawem.

– *Onmyoji* Yumeko – odezwał się wyraźnym, dźwięcznym głosem – witam cię w Pałacu Słońca.

– Wasza Wysokość czyni mi ogromny zaszczyt – odpowiedziała dziewczyna, prostując z wolna plecy. – Nie jestem godna tu przebywać, lecz uczynię wszystko, co w mej mocy, by cię zadowolić.

Wyczułem emanującą z tłumy gapiów dezaprobatę, a nawet pogardę. Biły szczególnie od strony możnych. Pospolite pochodzenie Yumeko stało się nagle boleśnie widoczne. Słysząc je było w akcencie i w sposobie, w jaki się wysławiała, pozbawionym niuansów, kwiecistych figur dworskiej retoryki i należytej dawki przymilności. Oczyma ducha ujrzałem nagle samego siebie,

wpadającego między arystokratów, szatkującego ciała ich wszystkich na krwawe wstęgi. Nie miałem pewności, czy wizję tę podesłał mi Hakaimono, czy były to moje własne marzenia.

– Mój doradca twierdzi, że uczyłaś się *onmyodo* bez mistrza – podjął władca, na co wśród zebranych rozeszło się szemranie. – Czy to prawda? Rzeczywiście sama jedna, własnym staraniem posiadałaś tajniki tej starożytnej wiedzy?

– Tak, Wasza Wysokość. To prawda – powiedziała dziewczyna i mimo że tłum wyraźnie czekał na ciąg dalszy, nie dodała ani słowa wytłumaczenia.

– Niesłychane! – zawołał cesarz i odchylił się nieco. – Zaiste niesamowite! Naturalnie musisz nam zademonstrować swoje umiejętności, Yumeko-san. – Uniósł ramiona, przez co oba jego szerokie rękawy wyduły się niczym żagle. – Zezwalam ci przepowiedzieć moje losy – obwieścił wspaniałomyślnie. – Co takiego przyniesie czas największemu imperium na świecie? Zajrzyj w przyszłość i powiedz całemu mojemu dworowi, co widzisz.

W ogrodzie zaległa cisza. Yumeko zawahała się, po czym teatralnie wolno wstała i wyprostowała się przed cesarskim obliczem.

– Przyszłość – zaczęła, zadzierając głowę, a jej głos poniósł się ponad głowami zebranych – jest wiecznozmiennym strumieniem. Każdy wybór, jakiego dokonujemy, każda z naszych decyzji sprawia, że jego bieg nieco się zmienia. Ujrzeć przyszłość innego człowieka to zobaczyć jednocześnie setkę ewentualności. Do takiego zadania nigdy nie należy podchodzić beztrąsko ani w pośpiechu. – Rozłożyła ręce szeroko, jakby przywołując moc *kami*. Wtem zerwał się wiatr, którego powiew zagrał w jej włosach i rozwiął szatę. – Wasza Wysokość, zobaczmy więc, jaka czeka cię przyszłość.

Cesarscy goście stali jak skamieniali, zasłuchani w każde słowo dziewczyny. Sam monarcha pochylił się naprzód i złożył dłonie na kolanach, zapatrzony w drobną sylwetkę Yumeko. Na moment zapomniałem, że oglądam wieśniaczkę, którą uratowałem ze zniszczonej Świątyni Milczącego Wiatru. Stojąc tam,

z wyprostowanymi ramionami, zalana jasnym światłem podkreślającym szkarłat szaty, naprawdę wyglądała jak czcigodna *onmyoji*, drżąca od zgromadzonej w sobie mocy, szykująca się do ogłoszenia przyszłości władcy Iwagoto.

Yumeko złożyła dłonie i uniosła je pod brodę, wyciągając w znany sposób dwa złączone palce ku górze. Zamknęła oczy i odniosłem wrażenie, że cały dwór wstrzymuje oddech. Dziewczyna milczała. Nikt już w ogrodzie nie szemrał, nie oddychał. Uwaga wszystkich skupiona była na niej.

– Taiyo no Genjiro. – Głos Yumeko, mimo iż cichy, sprawił, że kilkoro arystokratów podskoczyło. – Panie i władco Pałacu Słońca. – Znowu urwała na moment, po czym podjęła, kolejne słowa wypowiadając bardzo wyraźnie: – W twoim ogrodzie kryje się intruz.

Cesarz wyprostował się, podobnie jak wielu możliwych i samurajów. Niektórzy *bushi* zaczęli rozglądać się dokoła z dłońmi na rękojeściach mieczy. Część zgromadzonych zaczęła szeptać. Przykucnąłem w cieniu i poczułem, że budzi się Hakaimono, który natychmiast zaczął namawiać, bym ją zgładził, nim będzie za późno.

Czy naprawdę mnie zdradzi? Przypomniałem sobie pytanie o zaufanie, które zadał mi Kage Masao, i krew zastygła mi w żyłach. Czyżbyś zamierzała mnie sprzedać, Yumeko? Po to, by ocalić własną skórę?

– Jest bardzo blisko – ciągnęła dziewczyna, cicho i z powagą. – Skrywa się w ciemności. Nawet w tej chwili obserwuje ciebie i twoich gości. – Kilka kobiet cicho zakrzyknęło, niektóre zaczęły się do siebie tulić. Jeden samuraj obnażył miecz do połowy. Także moja dłoń opadła ku Kamigoroshi, palce zawisły nad rękojeścią. – Intruz jest niezwykle przebiegły – mówiła dalej Yumeko. – Milczący, przez nikogo niezauważony, poczynił już wielkie szkody i jeśli będzie mu wolno działać dalej, wciąż będzie niszczyć wszystko, czego się tknie.

– Gdzie? – Cesarz podniósł się z miejsca. – Gdzie jest ów intruz?

– Bardzo blisko – powtórzyła dziewczyna, nieznacznie się odwracając. Spiałem się, kiedy spojrzała w moim kierunku, lecz

obróciła się dalej. – Jest... – Zamarła i wskazała dłonią kępę krzewów, której ledwie sięgał blask latarni. – Tam.

Wszyscy dworzanie zwrócili się we wskazaną stronę i zaczęli wyteżać wzrok. Przez moment nikt nie ważył się drgnąć czy choćby odetchnąć. Goście monarchy stęzeli zafascynowani, niezdolni oderwać wzroku. A tam, u podnóża wiśniowego drzewa, kilka gałęzi krzewu głośno zaszleściło. Stojący najbliżej gapie krzyknęli w przestraszu.

Z zarośli wyskoczył na trawę niewielki, brązowy królik.

Wszyscy westchnęli z ulgą, choć parę kobiet na widok intruza pisnęło, zanim zrozumiały, na co właściwie patrzą. Królik usiadł, zastrzygł uszami i spojrzał na ludzi, którzy odpowiedzieli mu spojrzeniami własnymi, niepewnymi i poruszonymi.

W ogrodzie poniósł się krzyk. Jakiś mężczyzna w prostym odzieniu, z ubrudzonymi dłońmi i plamami na kolanach, wybiegł na trawnik i na widok królika otworzył szeroko oczy.

– *Usagi!*

Ignorując zebranych arystokratów, mężczyzna – prawdopodobnie ogrodnik – rzucił się na stworzenie szczupakiem, wyciągając przed siebie ręce. *Usagi* w mig odwinął się i błyskając ogonem, kicnął między krzaki, a człowiek wylądował brzuchem na trawie i wcisnął ramiona między gałęzie. Pogrzebał przez moment w wielkim popłochu, po czym nagle uświadomił sobie, że jest obserwowany.

Odwrócił się poblady i zamrugał, wpatrując się w równie zaskoczony rozwojem wypadków tłum. Moment później przywarł czołem do ziemi w najbardziej uniżonym z możliwych ukłonów.

– Wybacz, proszę! – zawołał, lecz w tej samej chwili królik wystrzelił spod krzewu i pomknął naprzód niczym beżowa smuga.

Ogrodnik zawył, zerwał się na równe nogi i z patykiem w rękę pognał za stworzeniem między drzewa, gdzie obaj zniknęli w ciemności.

Zrobiło się cicho. Dworzanie nieruchomo wpatrywali się w cień, jakby nie wiedzieli, co innego zrobić. Rzuciłem okiem na

Yumeko. Dziewczyna wciąż stała spokojnie przed podwyższeniem, a na jej twarzy majaczył nikły uśmieszek triumfu.

Ciszę zmaciło klaskanie, powolne, miarowe. Kilku możliwych drgnęło. Cesarz wstał i zaczął bić brawo jeszcze głośniej, a jego gładko ogoloną twarz rozświetlił promienny uśmiech.

Cały dwór eksplodował oklaskami. Ich odgłos wzbił się ponad wierzchołki drzew, zaś wszyscy obecni patrzyli na stojącą pośrodku ogrodu Yumeko. Ukłoniła się, skromnie dziękując za uznanie, a wiatr poniósł dźwięk sukcesu na cztery strony świata.



ŻMIJA W JEDWABIACH

Poddałam się fali oklasków, słuchałam, jak narasta, i pozwoliłam sobie na cichutkie westchnienie ulgi. Któż mógł przewidzieć, że taka drobnostka, stworzona w odpowiednim momencie iluzja królika, może oczarować cesarza do tego stopnia? Interwencja ogrodnika nie była naturalnie zaplanowana, lecz jego reakcja bez wątpienia pomogła przekonać dworzan, że widzą najprawdziwsze, żywe stworzenie. Miałam nadzieję, że biedaka nie spotka nic złego, że pojawienie się samotnego króliczka w nieskazitelnym ogrodzie nie wpędzi go w tarapaty, ale w tej chwili na podobne żale było już za późno.

Denga, gdybyś tylko mógł mnie teraz zobaczyć, pomyślałam, spoglądając z uśmiechem na stojących w tłumie towarzyszy. Daisuke, Okame i Reika klaskali wraz ze wszystkimi. Moja zupełnie nieprzydatna lisia magia omamiła najpotężniejszego człowieka

w Iwagoto oraz cały jego dwór. Daleko zaszłam od czasów, kiedy kazałam imbryczkom tańczyć na podłodze.

– Genialne! – Gdy oklaski przycichły, monarcha zszedł ze swej platformy i uśmiechnął się do mnie. – Zdumiewające. Co za wyjątkowy talent, Yumeko-san. Czy zechciałabyś może wykorzystać go dla dobra całej krainy?

Uniosłam brwi, a władca uśmiechnął się i skinął ponad drzewami w stronę pałacu, połyskującego złotem na tle nocnego nieba.

– Brakuje mi nadwornego *onmyoji*. Osoba o twoich zdolnościach niezwykle by mi się przydała.

Oho. No tak, czyli jednak czasami można coś zrobić aż za dobrze, stwierdziłam w duchu, świadoma, że odmawiając cesarzowi, nawet po takim sukcesie, naraziłabym się na straszliwe reperkusje.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość – odparłam, kłaniając się w pas. – I jestem wdzięczna za tę propozycję, lecz zanim ją przyjmę, muszę... wypełnić niesłychanie ważne zadanie. Zobowiązuje mnie do tego honorowa przysięga.

– Ach, oczywiście. – Cesarz skinął głową. Nawet on nie ważył się zasugerować, że ktokolwiek mógłby złamać dane słowo i narazić się na dyshonor. – Kiedy zatem zrobisz już, co musisz, zastanów się nad powrotem do pałacu, Yumeko-san. Na moim dworze zawsze będziesz mile widziana.

– Wasza Wysokość jest nazbyt uprzejmy.

– Mój ostatni *onmyoji* zapowiadał zbliżający się powrót Wielkiego Smoka – podjął cesarz, a jego słowa sprawiły, że żołądek podszedł mi do gardła. – Byłem przekonany, że ta opowieść to jeden z wielu starożytnych mitów, lecz on był pewien, że w jednym ze swoich snów ujrzał unoszącego łeb Smoka. Niestety – władca zmarszczył brwi – wkrótce okazało się, że człowiek ten praktykował magię krwi, za co został stracony. Słowa magów krwi są nieczyste i nie można im dowierzać. Chciałbym jednak znowu mieć na dworze

onmyoji, by powiedział mi, czy Zwiastun zaiste jest blisko i co mogę uczynić, aby osiąść jego moc.

Poczułam pod szatą swędzenie. Spojrzałam w czarne oczy lady Satomi, pobłyskujące wrogo ponad cesarskim ramieniem. Niemal natychmiast odwróciła twarz i popatrzyła na monarchę, a wszelkie ślady niechęci zniknęły pod przepiękną, porcelanową maską.

– Mój panie – rzuciła melodyjnie, wpatrując się we władcę spojrzeniem ocienionym długimi, gęstymi rzęsami – księżyc już wschodzi. Czy nie chciałbyś obejrzeć go z pawilonu na wodzie? Staw wygląda dziś na wyjątkowo przejrzysty. Znakomicie będzie widać odbicie.

– Ach, oczywiście. Drodzy goście! – Cesarz zaklaskał w dłonie, zwracając na siebie uwagę zebranych. – Pan Księżyc rozpoczął właśnie wędrówkę przez niebiosy. Przejdźmy wszyscy na brzeg stawu, skąd będziemy mogli życzyć mu szczęśliwej podróży. Nie mogę się doczekać, aż usłyszę wszystkie wspaniałe poezje, jakie ułożyliście, by uświetnić tę okazję.

Tłum się rozproszył, arystokraci ruszyli nad wodę. Odszedł także cesarz w asyście swego *yojimbo* i odniosłam wrażenie, że w jednej chwili całkowicie o mnie zapomniał. Lady Satomi jednakże została i wciąż wpatrywała się we mnie z nikłym uśmiechem na ustach. Nie towarzyszył jej nikt, pozostali możni, strażnicy i samuraje jak jeden mąż udali się nad staw. Byłyśmy same.

– Cóż. – Okrutne spojrzenie kobiety omiotło mnie od stóp do głów, kalecząc niczym pazury drapieżnika. – Bardzo to było zabawne.

Zdławiłam rodzącą się w moim sercu falę paniki. Czując ciężar ukrytego w szacie zwoju, zastanowiłam się, czy Satomi jest w stanie go w jakiś sposób wyczuć. Przyszło mi do głowy, że mogłaby tu i teraz wezwać kolejnego *oni*, który zmiażdżyłby mnie jak owada. Zadrżałam, a kiedy lodowaty ucisk w moim żołądku nieco osłabł, popatrzyłam jej w oczy.

– Ce...cesarzowi też się podobało.

– Cesarz jest dzieckiem, które z łatwością można otumanić iluzją i tanimi sztuczkami. Nie zna różnicy między zwykłą szarlatanerią a prawdziwą mocą. – Kącik wydętych, czerwonych ust uniósł się łagodnie. – Ja, jak się wkrótce przekonasz, nie jestem aż tak naiwna.

Poczułam, że budzi się we mnie lisia magia. Zacisnęłam dłonie, by *kitsune-bi* nie zajaśniały mi na palcach.

– Śledziłaś nas – rzuciłam oskarżycielskim szeptem. – Te martwe ptaki były twoje, prawda?

Satomi uniosła elegancką brew i obrzuciła mnie drwiącym spojrzeniem.

Zacisnęłam zęby, świadoma, że nie mogę się na nią rzucić i siłą wycisnąć prawdy z tych pełnych, czerwonych ust.

– Obserwujesz mnie i Tatsumiego, odkąd tylko wyszliśmy z lasu – podjęłam półgłosem. – Czy również ty nasłałaś demony na świątynię?

– Cóż za okropna sugestia. – Lady Satomi w geście świętego oburzenia złożyła dłoń na sercu. – Nie sądzisz chyba, że osoba z moją pozycją parłałaby się podobnymi rzeczami. Martwe ptactwo? Demony? – Ponownie wykrzywiła usta ku górze i obniżyła ton do groźnego szeptu. – Praktykowanie magii krwi karze się śmiercią, mała lisiczko. Podobna kara grozi za okłamywanie władcy Iwagoto. Twoje przedstawienie odniosło sukces jedynie dlatego, że ja na to pozwoliłam. Ten dwór zaludniają same marionetki, a to ja pociągam za wszystkie ich sznurki. Jak sądzisz, komu uwierzą, gdy pewne sprawy wyjdą na jaw?

– Satomi-san.

Głos Daisuke rozległ się za moimi plecami w chwili, w której rozpaczliwie usiłowałam nie cofnąć się nawet o krok, nie ulec tej złej kobiecie. Złowróźbna mina Satomi zniknęła i przeszła w uśmiech, z jakim powitała podchodzącego arystokratę. Zmiana nastąpiła tak szybko, jakby po prostu zmieniła maskę. Tuż obok pojawili się także Okame i Reika. Moment później w dole rozległo się ledwie słyszalne

warknięcie. Chu spojrział na kobietę i wyszczerzył zęby. Lady Satomi nawet nie zerknęła na psa.

– Dobry wieczór, Taiyo-san. – Ukłoniła się Daisuke, który w odpowiedzi pochylił lekko głowę. – Czy miałeś okazję obejrzeć zadziwiający pokaz naszej utalentowanej *onmyoji*? – Zwróciła się ku mnie z uśmiechem sprawiającym wrażenie najzupełniej szczerego. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio coś zachwyciło mnie do tego stopnia. Ledwie mogłam uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Lady Yumeko jest zaiste ogromnie utalentowana – przytaknął Daisuke, rzucając mi przelotny uśmiech. – To zaszczyt móc ją gościć na dworze – dodał, po czym zwrócił się z powrotem do Satomi i podjął z wymuszoną uprzejmością: – Satomi-san, czy moglibyśmy może zabrać ci dwie chwile? To naprawdę nie potrwa długo.

– Oczywiście, Taiyo-san – odpowiedziała kobieta. – Cała przyjemność po mojej stronie. Cóż mogę uczynić dla syna czcigodnego Hironobu?

Reika wystąpiła naprzód, a malująca się na jej twarzy niechęć jasno dawała do zrozumienia, że nikomu nie pozwoli się zwieść.

– Mistrz Jiro, wysoki kapłan z kaplicy Hayate – rzuciła bez zbędnych wstępów. – Czy to imię cokolwiek ci mówi?

– Hmm... A czy powinno?

– Wezwałaś go tutaj – powiedziała Reika, a ja poczułam w sercu płomień gniewu. Satomi po prostu się z nas naigrawała. – Trzy dni temu otrzymałam z pałacu zaproszenie na spotkanie z tobą. Wyszedł i już nie wrócił. Wtedy widziano go po raz ostatni.

– Mistrz Jiro – powtórzyła lady Satomi z namysłem, jakby próbując sobie przypomnieć. – Mistrz Jiro. Ach tak, już pamiętam. Zaprosiłam go do pałacu na herbatę, gdyż chciałam, aby odpowiedział mi na kilka pytań. Straszny człowiek, wyjątkowo niegrzeczny. Bardzo niemile mnie potraktował. – Posłała dziewczynie blady uśmiech. – Czy kapłan nie powinien być wzorem pokory i mądrości? Jiro, prawdę mówiąc, okazał się niebywale męczący i odstręczający.

Miko przyjrzała się kobiecie nieodgadnionym spojrzeniem, nie dała się sprowokować.

– Gdzie on jest? – zapytała zdumiewająco spokojnym tonem.

Wargi lady Satomi wygięły się jeszcze bardziej.

– Och, jest bezpieczny – odrzekła, od niechcienia poruszając wachlarzem. – Przebywa bardzo niedaleko stąd. Obawiam się wszak, że beze mnie nigdy go nie znajdziecie. Nawet wasz mały *shinobi*, który obserwuje nas z cienia, nie zdoła go odszukać.

Zaczerpnęłam gwałtownie powietrza, co sprawiło, że uśmiech arystokratki padł na mnie.

– Myślałaś, że nie jestem świadoma, iż zabójca demonów zakradł się na teren pałacu? – zamruczała jak kotka. – Na dworze nic nie dzieje się bez mojej wiedzy. Wiem, że słucha naszej rozmowy. Wiedźcie, że jeżeli mnie zabije, nigdy nie znajdziecie mistrza Jiro, a *shinobi* nie zrealizuje swej misji.

– W takim razie sama zaprowadź nas do kapłana – zasugerował Okame, a kiedy Satomi spojrzała na niego zdziwiona, dodał: – Natychmiast.

– Interesujące. – Kobieta przyjrzała się roninowi, tak jak mogłaby patrzeć na wyjątkowo parszywego kundla. – Czy wolno mi spytać, co takiego zrobicie, jeśli odmówię? Napadniecie mnie? Tutaj, w cesarskim ogrodzie? – Zachichotała. – Z wyjątkiem Taiyo, który musiałby się liczyć z utratą rodowego honoru i reputacji, wszyscy zostalibyście straceni jeszcze przed świtem.

– Istnieją inne sposoby – odparła Reika. – Jestem pewna, że cesarz z zapartym tchem wysłucha, kiedy mu powiemy o...

– Och, bądź bardzo ostrożna, wysuwając wobec mnie jakiegokolwiek oskarżenia, dziewczyno. – Głos arystokratki kojarzył mi się w tej chwili z jedwabną nicią zdolną poderżnąć ludzkie gardło. – Nie chcielibyśmy przecież, by nagle wypłynęły na światło dzienne również inne tajemnice. – Wymownie popatrzyła na mnie. – Prawda? Poza tym – ciągnęła, wydymając usta – nie zdążyłam dokończyć. Otóż widzicie, mogłabym odmówić i patrzeć, jak podskakujecie i straszycie mnie niczym rozjuszonymi wróbelkami. Ale

choć byłoby to szalenie zabawne, wiem, że będę nękana przez resztę wieczoru. Jeśli nie przez was, to przez Kage, który z pewnością nadal nas słucha. Nie chcę prowokować gniewu nieśmiertelnej *daimyo* Klanu Cienia ani nie chcę oglądać się na każdym kroku za siebie. To byłoby bardzo męczące. – Westchnęła. – Zatem tak, zaprowadzę was do kapłana. Stary dureń i tak nie jest mi już potrzebny. Szczerze mówiąc, zabierając go ode mnie, wyświadczycie mi przysługę. – Uniosła białą, elegancką dłoń, wskazując ogród. – Nie macie nic przeciwko krótkiemu spacerowi, prawda? W księżycowe noce jest tu tak cudownie...

Daisuke zmrużył oczy i zerknął na zebranych nad stawem cesarza i jego gości.

– Cesarskim konkubinom nie wolno oddalać się nocami – zauważył uprzejmie chłodnym tonem. – Zwłaszcza z grupą nieznanym. Zaczną się plotki, szemrania. Czy nie potrzebujesz kogoś do towarzystwa, lady Satomi?

– Jesteś przeuroczy – mruknęła arystokratka. – Taki miły chłopiec, martwi się o kobiecie honor. – Zachichotała, przez co na twarzy Reiki odcisnęła się jeszcze głębsza niechęć. – Nie martw się, Taiyo-san. Nasz władca i jego goście nie będą za mną tęsknić. Moja nieobecność nie zostanie nawet zauważona. A jeśli nawet, to serwowana dzisiaj sake jest szczególnie mocna. Do jutra zapomną o wszystkim. Tak więc – ciągnęła – idziemy? Domyślam się, że chcecie jak najszybciej sprawdzić, czy kapłan jest zdrow i cały. Za mną, proszę, kochane kaczątka. Pokażę wam drogę.

Nieufnie ruszyliśmy brzegiem jeziora. Oddalając się od monarchy i dworzan, poszliśmy w głąb ogrodu. Gdy wokół naszej grupki zamknęły się cienie, przyłapałam się na obserwacji krzaków, w których wypatrywałam ruchu, nienaturalnego falowania mroku. Byłam ciekawa, czy Tatsumi idzie za nami, śledząc swoją ofiarę między drzewami, coraz dalej od tłumu i wszystkiego, co znajome.

Zastanawiałam się też, czy tutaj, poza zasięgiem spojrzeń strażników i innych świadków, Satomi nie spróbuje nas uśmiercić jakimś zaklęciem magii krwi. Wydawało się to mało

prawdopodobne; ostatecznie było nas czworo, nawet sześcioro, jeśli liczyć Tatsumiego i Chu. Z pozoru kobieta była więc słabszą stroną, choć nie miałam pojęcia o magii krwi ani o tym, jak potężną Satomi jest czarownicą. Niewykluczone, że mogłaby sprowadzić nam na głowę całe stada martwych wron bądź sprawić, że z ziemi wyjdą nieumarłe szkielety. Uznałam, że doza ostrożności nie zawadzi.

Nieopodal narożnika zewnętrznego muru stał budynek, który musiał być jakiegoś rodzaju starym magazynem. Wysoka, kwadratowa konstrukcja o spadzistym dachu, z jednym wejściem od frontu. Przypominał magazyny, jakie widywałam po wsiach, z tą różnicą, że tamte były mniejsze i stały na palach dla ochrony przed deszczem i szkodnikami. Aura nieokreślonego zagrożenia spowijała tę część ogrodu niczym żałobny całun. Groza chwyciła mój żołądek w kleszcze.

– Magazyn? – Kapłanka wbiła wzrok w budynek, po czym zgromiła nim podchodzącą spokojnie do drzwi arystokratkę. – Zamknęłaś mistrza Jiro w magazynie?

– Prostacki zarzut. Czuję się wielce urażona. – Lady Satomi nawet nie przystanęła. Pchnięciem otworzyła drzwi i zwróciła się do nas. Jej szkarłatna szata mocno odcinała się od panującej wewnątrz ciemności. – Mistrza Jiro tu nie ma – oświadczyła z okrutnym uśmiechem – lecz tu zaczyna się prowadząca do niego ścieżka. Chodźcie, jeśli nie brak wam odwagi, kaczuszki. Zanurzymy się w noc. – Wykonała krok wstecz i rozplynęła się w czerni.

– Prędko! – rzuciła Reika i ruszyła naprzód. – Nie możemy jej zgubić.

– Zaczekaj.

O dziwo, to Okame ją powstrzymał. Ronin przyglądał się magazynowi z przymrużonymi oczyma i zaplecionymi na piersi rękoma.

– Niewiele wiem o czarownicach krwi i dworskiej polityce – rzekł – ale pułapki rozpoznaję na pierwszy rzut oka.

– Nie możemy się teraz zatrzymać! – ofuknęła go Reika. – Nie pozwolę, by coś takiego uszło tej babie na sucho. Jeśli strach cię

obleciał, zostań. Znajdę mistrza Jiro z twoją pomocą lub bez niej.

– Nie mówiłem, że się boję – syknął w odpowiedzi Okame. – Oczywiście, że musimy za nią pójść. Uważam jedynie, że nie warto wchodzić w zasadzkę z pieśnią na ustach. A ten budynek może być pełen demonów, potworów i olbrzymich stonóg, czekających tylko, by wyzrecić nam twarz.

– Nie jest – zapewnił ktoś z góry.

Zadarliśmy głowy. Na dachu magazynu przycupnęła oblana księżycowym blaskiem, czarna sylwetka. Szkarłatna szarfa falowała łagodnie na wietrze. Serce natychmiast zabiło mi mocniej. Chu warknął i położył uszy po sobie, Okame prychnął pod nosem.

– Ach, tu jesteś – skwitował ronin, gdy Tatsumi zeskoczył wdzięcznie na ziemię. Chu zawarczał jeszcze głośniejsze, lecz *miko* powiedziała coś szeptem i umilkł. – Nareszcie postanowiłeś się pokazać, co, Kage-san? – mówił dalej Okame. – Nie będę taki i nie przypomnę, że kiedy kilka dni temu poczyniłem drobną uwagę, w której padło słowo *shinobi*, o mało nie przypląciłem tego życiem. Po prostu postoję sobie w milczeniu, z głębokim poczuciem wewnętrznej satysfakcji.

– Kage-san. – Daisuke wbił w chłopaka zaskoczone spojrzenie. – Jesteś... *shinobi*?

– To zabójca demonów z klanu Kage – wtrąciła beznamytnie Reika. – Oczywiście, że jest *shinobi*. Jak możesz się dziwić? Niemniej... – Zwróciła się ku Tatsumiemu. – Kage-san, powiedziałeś, że w magazynie nie czekają demony ani inne stworzenia, czy to prawda?

Wojownik słuchał tego wszystkiego w milczeniu, patrząc bez słowa na mnie. Kiedy jednak doleciało go pytanie dziewczyny, zamrugał i spojrzał na nią, a na jego twarz powróciła lodowata maska zabójcy demonów.

– Niczego takiego nie wyczułem – oświadczył. – Demonów nie ma, ale... – Zerknął na otwarte drzwi, a jego oczy zmieniły się w wąskie, fioletowe szparki. – Jest coś innego. Nie żywa istota, lecz

bardzo... potężna. Cuchnie śmiercią i magią krwi. Cokolwiek kryje się na naszej drodze, nie pochodzi z tego świata.

Rozległ się metaliczny szmer. Daisuke dobył miecza. Ostra jak brzytwa klinga błysnęła w blasku księżyca.

– Skoro tak, stoczmy z tą istotą zaszczytną walkę.

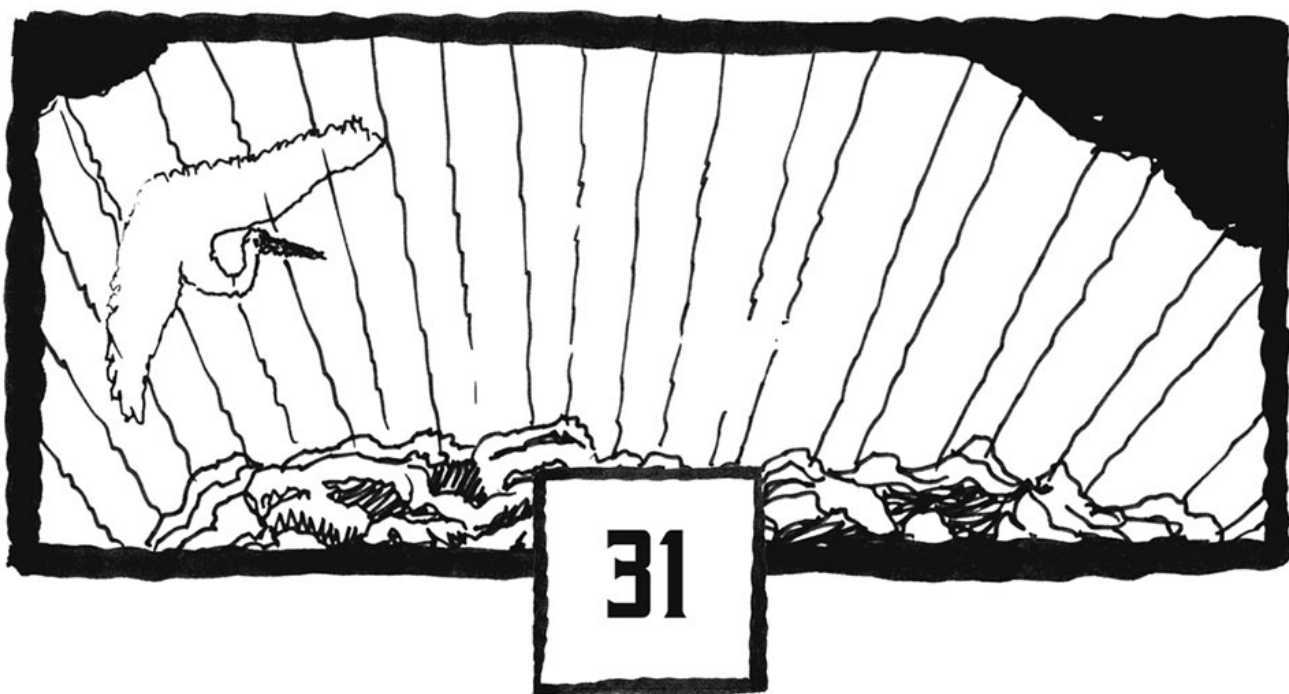
– Właśnie takiej reakcji się obawiałem – burknął Okame i zsunął łuk z ramienia. – A więc znów prosto w objęcia śmierci. Mam tylko nadzieję, że to nie będzie kolejna stonoga.

– Raczej mało prawdopodobne – zapewniłam go, kiedy ruszyliśmy przed siebie. – Tak olbrzymie paskudztwo nie przeszłoby tymi drzwiami. No, chyba że Satomi przywołała stonogę ze środka, tylko jak by się wtedy ta bestia poruszała?

Tatsumi podszedł do mnie.

– Trzymaj się blisko, Yumeko – rzekł delikatnie. – Jeżeli to właśnie ta wiedźma nękała nas przez całą podróż, nas dwoje zaatakuje w pierwszej kolejności.

Potaknęłam skinieniem. Z osłaniającą się kartką z zaklęciem Reiką na czele i krocącym u jej boku Chu weszliśmy prosto w ciemność magazynu.



LUSTRO, KTÓRE NIE ODBIJA

Wiedzma krwi była blisko.

Ledwie przekroczyliśmy próg, wyraźnie poczułem pulsowanie mrocznej energii i mocniej zdusiłem Hakaimono. Demon stawiał opór. Wiedział, że coś jest w pobliżu, chciał posmakować bólu rozcinanych stalowym ostrzem ciał. Żądza krwi wypełniła mi żyły i serce maniakałnym pragnieniem mordy, lecz przez cały czas czułem też obecność idącej obok Yumeko. Widziałem ją kątem oka i doznałem niemal bolesnego rozdarcia. Z jednej strony chciałem tę dziewczynę chronić, z drugiej oderwać jej głowę od tułowia.

Skup się, przykazałem naraz sobie i Hakaimono. Celem jest odnalezienie kapłana.

Powietrze za drzwiami było ciepłe i zatechłe. W pomieszczeniu stały rzędy pudeł, worków i drewnianych beczek. Pod ścianami i na skrzyniach czekały ogrodnicze narzędzia. Pod sufitem wisiała

samotna latarnia, zalewająca centralną część magazynu słabym światłem, wszędzie indziej jednak panował mrok.

– Gdzie się schowała ta czarownica? – ciszę zmącił głos ronina.

Odpowiedział mu stłumiony, płynący z cienia chichot.

– Dlaczego tak nieuprzejmie? Tutaj jestem. Tędy, moje kaczątko. Chodźcie za moim głosem.

Ostrożnie ruszyliśmy za nią, mijając sterty pakunków i antałów. Krok za krokiem zbliżaliśmy się do tylnej ściany, pod którą, w rogu, dostrzegliśmy nikłą, szkarłatną łunę.

Lady Satomi czekała na samym końcu. Na jej twarzy kładła się czerwona poświata bijąca z ustawionego w narożniku wysokiego zwierciadła. W szkle widniało odbicie uśmiechniętej kobiety. Na podłodze leżała zmięta płachta, zapewne jeszcze przed chwilą przesłaniająca lustro. W powietrzu zdawało się wibrować ledwie wyczuwalne zło.

Kiedy Yumeko to zobaczyła, gwałtownie odskoczyła w tył i schowała się za moimi plecami. Zmysły natychmiast mi się wyostrzyły. Spojrzałem na dziewczynę, lekko zaskoczony. Wtuliła się w moje plecy jakby w obawie przed lustrem. Cóż, zapewne i ona wyczuła promieniującą ze szklanej tafli, nienaturalną ciemność.

– Co to za sztuczki, więdźmo? – rzuciła świątynna dziewczica, unosząc swoją *ofuda* niczym miecz.

– To? Nazywamy to lustrem – powiedziała teatralnie Satomi. – Najczęściej służy do upiększania własnej osoby przed publicznymi wystąpieniami. Może chciałabyś takie cacko na własność?

– Nie o tym mówię! Gdzie mistrz Jiro? Obiecałaś, że nas do niego zaprowadzisz.

– Czyżby? Cóż, chyba rzeczywiście. A więc... – Arystokratka sięgnęła do włosów i wysunęła z nich długą szpilkę, ostrą i zakończoną po jednej stronie kulką z kości słoniowej. Przez chwilę trzymała połyskujący szpikulec przed sobą, po czym podniosła drugą rękę i z niezmaconym spokojem ukłuła się w palec. Nie drgnęła jej nawet powieka.

Z ranki pociekła kropla krwi, puchnąca miarowo na opuszcze jak pasący się kleszcz. Lady Satomi uniosła dłoń i delikatnie przytknęła palec do lustra. Szklana tafla zafalowała niczym toń jeziora, do którego ktoś cisnął kamyk.

– Twój wspaniały mistrz czeka po drugiej stronie – obwieściła z uśmiechem, spoglądając na kapłankę. – Ocalcie go, jeśli zdołacie – dodała tonem wyzwania, podnosząc wzrok na nas wszystkich. Zaraz potem weszła w zwierciadło i zniknęła.

Ronin malowniczo zaklął pod nosem.

– Ej, co? Co się tu, do cholery, stało? Widzieliście to samo co ja, prawda? To lustro normalnie ją wessało! Jak to?

– Magia krwi – mruknąłem ponuro, czując, że Yumeko wygląda ostrożnie zza moich pleców. Odbicie w zwierciadle było w tej chwili mocno zniekształcone, przedmioty wyglądały jak za mgłą. Na szkle wciąż znać było drobną plamkę czerwieni. – Lady Satomi praktykuje magię krwi – potwierdziłem, patrząc w nasze groteskowo wykrzywione, wirujące w lustrze podobizny. – I gdybym miał zgadywać, posiada wielką moc. To zwierciadło stanowi bramę prowadzącą zupełnie gdzie indziej. Takich czarów nie rzucają nowicjusze.

– Bramę? – spytała zza mnie Yumeko. – Ale dokąd?

– To nieistotne. – Świątynna dziewica ponownie ruszyła jako pierwsza. Na jej twarzy malowała się determinacja. – Skoro po drugiej stronie czeka mistrz Jiro, muszę go znaleźć. I nieważne, co stanie mi na drodze.

– Zaraz, zaraz – zaprotestował ronin. – Ja pasjami uwielbiam wskakiwać w dziwaczne lustra i w ogóle, ale co, jeśli po drugiej stronie znajdziemy gniazdo demonów? Albo stonóg?

Chu przenikliwie pisnął, po czym rzucił się z impetem naprzód, skoczył w szklaną taflę i zniknął w rozbłysku pomarańczowo-białego światła. Gdy moment później powrócił, wciąż jeszcze staliśmy z wstrząśniętymi minami. Pies wyszedł ze zwierciadła, obrzucił nas zniecierpliwionym spojrzeniem i znów zniknął po drugiej stronie.

– No dobrze. – Okame wzruszył ramionami. – Czuję się przekonany.

Zamknąłem oczy i przekroczyłem bramę, czując na skórze zimne, kleiste muśnięcia magii. Doznanie przypominało przebijanie się przez wielką pajęczynę w samym sercu zimy. Kiedy podniosłem z powrotem powieki i rozejrzałem się, poczułem, że budzi się Kamigoroshi.

– Och, *kami*... – szepnęła Reika.

Całą szóstką – pięcioro ludzi i pies – staliśmy pod starożytną bramą *torii*, dawniej zapewne kolorową, lecz teraz na połę zbutwiałą, miejscami spaloną niemal na popiół. A przed nami rozciągały się zniszczone, potrzaskane ruiny miasta bądź miasteczka. Zrujnowane, obrócone w sterty drewna domy, sypiące się mury i zapadnięte dachy. Z licznych budowli nie zostało nic z wyjątkiem kilku zwęglonych patyków. Wszędzie walał się gruz, powietrze cuchnęło śmiercią, a wśród cieni nie zauważyłem najdrobniejszego nawet ruchu. Brakowało wszelkich oznak życia, ludzkiego czy innego. Miejscowość ta, czymkolwiek była wcześniej, teraz stała się jedynie wioską *yurei*.

– Gdzie ona jest? – mruknęła *miko*, sunąc dokoła spojrzeniem przymrużonych oczu. – Dokąd ta wiedźma popełzła?

– Dokąd żeśmy, cholera, zaleźli? – Oddech ronina wypłynął z ust białym obłoczkiem, który po chwili odfrunął na ostrym, mroźnym wietrze. – Poza tym niepokoi mnie nieco, że nigdzie tu nie widzę nawet małego lusterka. Jak stąd wrócimy?

Po czarownicy nie było śladu. Rzeczywiście brakowało też lustra. Ruiny milczały opustoszałe; nie błyskała wśród nich biała twarz, niemego zniszczenia nie mącił szelest kimona. Tylko nadpalony proporzec posepnie łopotał na belce. Poza tym cisza i bezruch, nic więcej.

– To herb rodu Yotaka – zauważył arystokrata, spoglądając na poszarpaną chorągiew. – Są wasalami rodziny Sora. A to znaczy, że jesteśmy... na terytorium Klanu Nieba? – powiedział, kręcąc

z niedowierzaniem głową. – Ale to niemożliwe. Ich ziemie leżą setki mil od stolicy.

To wyjaśniało nagłą zmianę temperatury. Włości Klanu Nieba znajdowały się na północnych rubieżach Iwagoto, wśród mroźnych wierzchołków Kori no Hari. Sądząc po widoku wznoszących się za ruinami ośnieżonych gór, uznałem, że jesteśmy prawdopodobnie w pobliżu granicy terenów rodziny Sora.

– Satomi jest wiedźmą krwi – przypomniałem ponuro. – Przypuszczam, że ma wiele takich bram rozmieszczonych w różnych miejscach pałacu, na wypadek gdyby musiała szybko uciekać bądź przenieść się gdzieś, gdzie może w spokoju rzucać zaklęcia.

– Och, to cudownie – rzucił drwiąco ronin. – Prędko, chodźmy za czarownicą na drugą stronę zwierciadła śmierci, bez względu na to, co nas spotka. O, patrzcie, pusta, zniszczona wioska na środku pustkowia. Ciekawe, co możemy tu zastać? Z pewnością nie demony, *gaki* lub...

– *Yurei* – szepnęła Yumeko.

– Lub duchy. – Ronin pokiwał głową. – Właśnie. Na pewno nie natkniemy się na żadne rozeźlone widma.

– Nie – podjęła dziewczyna i wskazała palcem wzdłuż drogi. – Spójrzcie.

Spojrzeliśmy. Jaśniejąca, niebiesko-biała kula szybowiała bezszelestnie nad traktem, tam gdzie jeszcze przed chwilą nie było zupełnie nic. Świetlista sfera podskoczyła w miejscu, po czym odleciała, ciągnąc za sobą długi, jasny ogon. Moment później powróciła i zawisa kilka stóp nad ziemią.

– *Hitodama* – wyszeptała kapłanka. – Ludzka dusza, która pozostała w tym świecie.

– Duch? – zastanowił się na głos arystokrata.

– Tak i nie – odparła *miko* nabrzmiałym od współczucia głosem. – *Yurei* są duszami wszystkich zmarłych. Tu mamy przed sobą ducha człowieka, który z jakiegoś powodu nie mógł odejść po śmierci w zaświaty.

– Ona chyba chce, byśmy za nią poszli – zauważyła Yumeko, gdy światełko ponownie podskoczyło i wróciło, miękko pulsując w mroku.

– No cóż – stwierdził ronin, wypuszczając z ust kolejny obłok – tutaj i tak nic nie ma. Zobaczmy, dokąd zabierze nas świecący umarłak.

Ostrożnie ruszyliśmy za podskakującą kulą światła. Przechodziliśmy chyłkiem pod nagimi belkami i między zwęglonymi słupami. Wymijaliśmy szkielety powalonych wieżyczek strażniczych. Wszędzie dokoła, nie licząc naszych oddechów i kroków, panowała grobowa cisza i bezruch. Prowadząca nas dusza sunęła naprzód niezmiennym tempem, trzymając się na tyle blisko, byśmy nie stracili jej z oczu, lecz nigdy nie zbliżając się za blisko. Ostatecznie dotarliśmy na skraj lasu. Świetlista kula popłynęła między drzewa i zatrzymała się u stóp wzniesienia. Wśród zarośli dostrzegłem kamienne stopnie, spękane i porośnięte korzeniami. Schody wiły się ku górze i znikły po drugiej stronie wzgórza. Dusza zaczekała, aż podejdziemy, po czym odfrunęła i skryła się za grzbietem.

– Prędej – ponagliła kapłanka, wraz z psem idąca na czele. – Czuję, że mistrz Jiro jest już blisko. Nie możemy zgubić *hitodama*.

– Rusz się, Tatsumi-san – rzuciła Yumeko, widząc moje wahanie. – Trzeba się spieszyć.

Wchodząc po kruszących się stopniach, stwierdziłem w duchu, iż znalazłem się w naprawdę osobliwym towarzystwie. Byłem nawykły do tropienia demonów, magów krwi i niebezpiecznych *yokai*, ale zawsze robiłem to w pojedynkę. Nie w towarzystwie ronina, kapłanki, arystokraty i psa. Oraz młodej wieśniaczki, która bez przerwy nawiedzała me myśli i której obecność stale czułem przy sobie.

Przez chwilę, idąc tym ciemnym, nieznanym lasem, zadałem sobie pytanie, czy choć jedno z nich również uważa tę sytuację za co najmniej niecodzienną. Szybko jednak oczyściłem umysł z tego rodzaju rozważań. Nieważne, co myśleli. Nieważne nawet, czy

przeżyją ten pościg za niebezpieczną czarownicą. Nie byłem za nich odpowiedzialny. Moim celem było odnalezienie kapłana znajdującego położenie Świątyni Stalowego Pióra i zwoju. Poza tym nie liczyło się nic.

Zwłaszcza że i tak otrzymałem już rozkaz zabicia dziewczyny.

Schody doprowadziły nas pod bramę starożytnego zamku. Spadziste dachy strzelały wysoko pod okrągły księżyc. Podwójne wrota stały otworem, cicho skrzypiąc na wietrze. Po drugiej stronie zobaczyłem dziedziniec, równie ciemny i głuchy jak osada poniżej.

– Pusto – zauważyła Yumeko. – Ciekawe, co się tu stało?

– Tutaj i w tej osadzie na dole – dodał ronin.

Nie skomentowałem, choć podejrzewałem, że znam odpowiedź. Do skutecznego przywołania z Jigoku *oni* i hordy pomniejszych demonów wiedźma potrzebowała olbrzymich ilości ofiarnej krwi, znacznie więcej, niż nosiła we własnym ciele.

Tyle, ile miała w sobie cała wieś.

W bramie zajaśniała *hitodama*.

– Widzicie? Czeka na nas. – Kapłanka ruszyła naprzód. – Chodźmy. Mistrz Jiro jest tutaj.

– Odradzam frontalny atak – rzuciłem półgłosem, przez co *miko* stanęła w pół kroku i obrzuciła mnie nieprzyjemnym spojrzeniem. – Pamiętaj, że to kryjówka czarownicy. – Wskazałem zamczysko ruchem głowy. – Wątpię, by czekała na nas sama jedna. Poza tym spodziewa się naszej wizyty. Jeśli wejdziemy od razu, mogą nas zniecka zaatakować demony albo coś jeszcze gorszego.

– Więc co proponujesz, zabójco demonów?

– Pójdę tam sam. Do takich zadań mnie szkolono. Znajdę kapłana i wrócę, nim strażnicy zamku się zorientują. Wy nie jesteście mi potrzebni – stwierdziłem. I nie będę się musiał martwić o Yumeko, dodałem już w duchu.

– Czyli chcesz, byśmy zawierzili życie mistrza tobie, a sami czekali bezczynnie? – prychnęła Reika. – Bez urazy, Kage-san. Wiem, że jesteś wytrawnym zabójcą, lecz jako powiernik Kamigoroshi nie budzisz we mnie wielkiego zaufania. Nie zostawię mistrza Jiro

w rękach człowieka, któremu zależy jedynie na wyciągnięciu z niego informacji. Obawiam się, że muszę nalegać, byś zabrał mnie ze sobą.

– Choć przepelnia mnie to głębokim smutkiem, muszę się z nią zgodzić. – Ronin rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. – Poza tym komenda „waruj” nigdy nie należała do moich ulubionych. Wiecie, jak to mówią: starego psa nowych sztuczek nauczyć nie sposób.

– Wiedźma spróbuje cię powstrzymać za wszelką cenę – wtrącił arystokrata, mierząc mnie poważnym spojrzeniem. – Może wezwać demony, potwory i kto wie jakie jeszcze bestie. A wciąż jesteś mi winien pojedynek, Kage-san. Wybacz, ale nie mogę pozwolić, byś zginął przedwcześnie.

Popatrzyłem na Yumeko, kącik ust dziewczyny wygiął się nieznacznie ku górze.

– Ja też pójdę z tobą – oświadczyła ze spokojem. – Przeszliśmy taki szmat drogi. Nie musisz mierzyć się z nią sam jeden.

Wolałbym, rzekłem w duchu. Samotny nikogo bym nie narażał.

Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Skąd we mnie takie myśli? Nigdy w życiu nie troszczyłem się o bezpieczeństwo innych ludzi. Może mistrz Iemon miał rację. To koniec, niepokój o towarzyszy stanowił niebezpieczną wskazówkę, iż tracę panowanie nad emocjami. Postanowiłem, że po wszystkim poddam się „ponownej ocenie” *majutsushi* z nadzieją, że w jej trakcie ulegną zerwaniu wszelkie moje zbędne więzi z obcymi. Zabiegi magów były wprawdzie nieprzyjemne i istniało ryzyko, że ich nie przetrwam, lecz innego wyjścia po prostu nie widziałem.

Yumeko wciąż mi się przyglądała, w jej ciemnych oczach lśnił niepokój. Nie zasługiwałem na jej troskę, ale nie powiedziałem tego na głos. Powiedziałem za to coś innego.

– Róbcie, co chcecie – rzuciłem, po czym ruszyłem ku bramie.

Pokonaliśmy wielkie drewniane wrota i znaleźliśmy się na dziedzińcu. Wiedźmy nie było i tutaj. Wokół walał się gruz i śmiecie, spękane kamienie, przewrócone beczki, kilka potrzaskanych wózków. Wypatrzyłem też parę kompletów zbroi i błysk bielejących wśród nich kości, który potwierdził moje przypuszczenia co do losu

tutejszych samurajów. Z ziemi sterczały połamane włócznie, w belkach i słupach tkwiły strzały, a gdzieś tam leżały rdzewiejące katany, migocące ponuro w blasku księżyca.

– Rozegrała się tu jakaś bitwa – stwierdził arystokrata.

– Bitwa albo masakra – skomentował ronin, trącając łukiem porzuconą zbroję. Z pancerza wypadły żebra, wciąż trzymające się z uporem fragmentu kręgosłupa. Okame skrzywił się i podjął: – Mam nadzieję, że bardzo się mylę, ale wygląda to tak, jakby ktoś tego drania rozerwał na pół.

Hakaimono, którego niecierpliwość i żądza krwi narastały, odkąd weszliśmy do zamku, nagle zamarł. Zmroził mnie dreszcz. Zastygłem i rozejrzałem się dokoła.

„W górę” – usłyszałem w umyśle. „Spójrz w górę”.

Podniosłem wzrok na spadzisty dach zamku.

Na tle dysku księżyca poruszyło się tam coś ciemnego i wielkiego. Olbrzymi cień w srebrzystej poświacie. Mocarne barki i czarne, wykrzywione rogi. Nawet z tej odległości dostrzegłem oczy, gorejące wśród nocy niczym węgle. Zobaczyłem też czarną, opadającą na plecy grzywę. Demon zarzucił sobie na ramię wysadzaną żelaznymi ćwiekami *tetsubo*, a kiedy spotkaliśmy się wzrokiem, powoli się uśmiechnął. Zaraz potem przykucnął, wybił się i skoczył.

– *Oni!* – wrzasnąłem, dobywając miecza, gdy potężna bestia wylądowała na dziedzińcu z hukiem, od którego zadrżała ziemia i pękło kilka kamiennych płyt. W powietrze wystrzelił tuman kurzu, sypnęło żwirem. Wszyscy się cofnęli, patrząc na prostującego się z wolna potwora, wysokiego na przynajmniej piętnaście stóp.

– Zabójca demonów z klanu Kage – uśmiechnął się olbrzym, świdrując mnie szkarłatnym spojrzeniem rozpalonych ślepi. – Czekałem na ciebie.

Wokół nas zapanowało wielkie poruszenie. Dziesiątki mniejszych demonów pojawiły się na murach, wylaniały się z cienia. *Amanjaku* powarkiwaly, rechotały, wymachiwały prymitywną bronią, a ich czerwone ślepia zdawały się szybować w ciemności

niczym szkarłatne świetliki. Niektóre miały na sobie elementy samurajskiej zbroi – zauważyłem między innymi stanowczo za duże hełmy i naramienniki – lub ścisnęły w łapach odebrane umarłym *wakizashi*.

Pies kapłanki zaszczekał i skoczył naprzód, mknąc przez pobożowisko ku górującemu nad całym dziedzińcem *oni*.

– Chu! – wykrzyknęła *miko*, a demon od niechcenia machnął maczugą. *Tetsubo* grzmotnęła o ziemię, krusząc kamień i wybijając w nawierzchni dziedzińca spory otwór. Jakimś cudem jednak nie trafiła psa, który przemknął dalej, wbiegł po schodach do zamku i zniknął wewnątrz.

– Chu, zaczekaj! – Reika ruszyła w ślad za nim, lecz zaraz przystanąła, jakby przypomniała sobie o zastępującym drogę potworze. *Oni* prychnął i ponownie zarzucił sobie maczugę na ramię.

– Żałosny zwierzak. Wystarczyłyby najwyżej na jeden kęs. Ale psy mnie nie interesują. – Gorejący wzrok znów padł na mnie, a moje żyły wypełnił płomień dzikiej ekscytacji. – No dalej, zabójco demonów – zagrzmiał *oni*. – To twojej krwi chcę, twoje wnętrze zamierzam rozwłóczyć po ziemi. Stań ze mną do walki sam bądź ramię w ramię z tymi śmiesznymi śmiertelnikami. Nieważne. Zmiażdżę was wszystkich, a wasze kości rzucę na pożarcie swoim *amanjaku*.

– Idźcie – zwróciłem się do towarzyszy, z wysiłkiem zmuszając się do zachowania spokoju. Nie chciałem wybuchnąć przy nich radosnym, opętańczym śmiechem, który wzbierał mi już w gardle. – Idźcie za psem, odszukajcie mistrza Jiro. Ja zajmę się *oni*.

– Co? Mowy nie ma. – Ronin wystąpił naprzód. Łuk miał już naprężony, a na jego ustach majaczył butny uśmiezek. – Widzę tu więcej potworów. Ten brzydal nie przyszedł sam. Ty zetnij łeb dużemu, a ja zabawię się z jego sługusami.

– Słusznie – wtrącił arystokrata, powoli kołysząc przed sobą ostrzem miecza. – Nie wolno ci dzisiaj umrzeć, Kage Tatsumi. Lady Yumeko – dodał, nie odrywając wzroku od wielkiego *oni* – nie martw

się niczym. Nie pozwolę, by Kage-san poległ. Klnę się na honor, będę bronić jego żywota jak swego własnego.

– Świetnie – zachichotał demon i zbliżył się o krok. Pod ciężarem bestii pękały kamienie, a powietrze falowało od bijącego z jej cielska żaru. – Świetnie! Zapraszam, śmiertelnicy. Nudzę się już od wielu dni. Niech ta walka okaże się przynajmniej ciekawa.

– Tatsumi – szepnęła Yumeko i napięcie w jej głosie ukoło na chwilę targający mą duszą gniew, zdławiło żądzę krwi i brutalną radość – to właśnie ten *oni* zniszczył moją świątynię i zabił mnichów. Bądź bardzo ostrożny, proszę. Ale gdybyś mógł... posiekaj go dla mnie.

Demon zaniósł się śmiechem, przepelniony furią dźwięk wstrząsnął całą okolicą, wywołując wśród *amanjaku* obłąkańczą wrzawę.

– Tak, zabójco demonów. Posiekaj mnie, gdybyś mógł – zadrwił *oni*, a Hakaimono przesłonił mi oczy czerwono-czarną mgiełką.

– Tak ci spieszno do śmierci, Yaburamo? – Obnażyłem zęby w dzikim uśmiechu. W oczach potwora na mgnienie pojawił się przestach. – Zawsze byłeś przebiegłym draniem, nawet w Jigoku. Z przyjemnością odeślę cię z powrotem.

Furia wykrzywiła oblicze olbrzyma, który rzucił się na mnie z rykiem, kreśląc szeroki łuk maczugą. Wrzasnąłem wściekle niczym setka demonów i skoczyłem mu na spotkanie.



LISIA MAGIA W PRAKTYCE

Zadrzałam. Tatsumi wydał z siebie warkot niepodobny do niczego, co słyszałam wcześniej, i popędził na spotkanie *oni*, którego potężna maczuga opadała już, by wbić przeciwnika w ziemię. W ostatniej sekundzie wojownik odbił w lewo i wysadzany żelazem kij minął go o centymetry. Kamigoroshi błysnął w ciemności fioletem i rozciął ramię demona. Trysnęła krew, która zasyczała na kamieniach i zebrała się w dymiących kałużach. *Oni* zaskowyczał.

Amanjaku, do wtóru przeraźliwych wrzasków i krzyków, ruszyły do ataku. Kiedy ich fala rozlała się na pół dziedzińca, Daisuke i Okame podnieśli broń. Zabrzęczała cięciwa. Ronin wypuszczał z łuku strzałę za strzałą, prosto w ginące z piskiem demony. Daisuke podszedł kilka kroków naprzód, ustawiając się między nami a szarżującą hordą. Przez chwilę trwał w całkowitym bezruchu, jedynie jego białe włosy falowały na wietrze. A kiedy

dopadł go pierwszy *amanjaku*, zamienił się w wir stali. Szedł od jednego demona do następnego, wszystkie tnąc bezlitośnie. Zabijał tak sprawnie, że gdy zwracał się do nowego przeciwnika, poprzedni nie miał jeszcze świadomości, iż właśnie spotkała go śmierć.

– Yumeko! – Ostre wołanie Reiki odwróciło moją uwagę od starcia. – Tędy! Zanim będzie za późno. Musimy znaleźć mistrza Jiro!

Nad dziedzińcem poniosło się szczenie. Chu wysunął łeb z zamkowego przedsionka i obrzucił nas zniecierpliwionym spojrzeniem. Kapłanka pomknęła naprzód i przeskoczyła nad stertą gruzu, częstując po drodze kopniakiem *amanjaku*, który wydał z siebie zboląły skowyt. Raz jeszcze popatrzyłam na trójkę ludzi walczących w cieniu potężnego *oni* z całym stadem małych demonów i ruszyłam za nią.

Amanjaku gnały za nami krok w krok. Zeskakiwały ze ścian, wypełzały spod werand, pędząc ku nam rojem mieniącym się czerwienią, błękitem i zielenią. Uniknęłam włóczy bladoniebieskiego demona i przeskoczyłam nad ramionami kolejnego, który zamierzył się na moje nogi sierpem *kama*. Poczułam przypływ lisiej magii, lecz zanim zdążyłam pomyśleć o rozrzuceniu dokoła *kitsune-bi*, Reika zakrzyknęła „światło” i rzuciła *ofuda* prosto w zagradzającą nam drogę grupkę potworków. Papier eksplodował oślepiającym rozbłyskiem, a *amanjaku* odskoczyły z wrzaskiem, osłaniając pyski dłońmi. Przemknęłyśmy między nimi, wbiegłyśmy po schodach i wpadłyśmy przez wrota do zamku.

– Zamykamy! – krzyknęła *miko*, po czym odwróciła się w miejscu i napała ramieniem na jedno z dwojga ciężkich, drewnianych skrzydeł. Chu ujadał i tańczył wokół jej stóp.

Tak mocno jak potrafiłam, pchnęłam drugą połowę wrót i drzwi, do wtóru okropnego zgrzytania, z wyraźną niechęcią zaczęły się zamykać. Kiedy oba skrzydła wreszcie się spotkały, Reika wsunęła w uchwyty splekaną deskę, blokując wejście. W samą porę, gdyż dosłownie moment później rozległ się huk, deska zadrżała, a sprzed zamku doleciały nas gniewne głosy demonów.

– Gotowe – rzuciła zdyszana dziewczyna, cofając się od wrót. – To na jakiś czas powinno je zatrzymać.

Potoczyłam wzrokiem dokoła. Stałyśmy w mrocznym korytarzu, którego środkiem ciągnął się szereg drewnianych kolumn. Wszystko tutaj – parawany *shoji*, przesuwane drzwi *fusuma*, półki i ceramiczne naczynia – potrzaskane było w drobny mak i pokryte solidną warstwą łajna.

– Ktoś tu nie zadbał o porządek – zauważyłam. – Demony nie są chyba najbardziej schludnymi istotami. Myślisz, że jest ich więcej?

– Gdzie? W zamku? Litościwy Jinkei, mam nadzieję, że nie. – Reika otrzepała dłonie. – Ważniejsze pytanie brzmi, gdzie jest mistrz Jiro. To zamczysko jest wielkie. Jak mamy go znaleźć?

Jakby w odpowiedzi, przez jedną ze ścian wpłynęło do korytarza jaśniejące światełko. *Hitodama* okrążyła nas w powietrzu i popłynęła naprzód.

– Chodźmy za światłem. – Skinęłam głową, lecz w tej samej chwili po drugiej stronie sali pojawił się *amanjaku* dzierżący w garści pokaźnych rozmiarów gnat. Zauważył nas, wycelował w nas kością i wydał z siebie przeraźliwe wycie, które wstrząsnęło całym gmachem.

Zastrzygłam uszami. Demonowi odpowiedziały dolatujące z ciemności wrzaski i posykiwania.

– Cóż, na jedno pytanie odpowiedź już znamy – rzuciłam.

– Biegiem! – ponagliła *miko*, gdy Chu pomknął za *hitodama*, a wokół rozległo się drapanie pazurów.

Pognałyśmy za świetlistą kulą, przemierzając długie korytarze, pokonując opustoszałe komnaty o wysokich sufitach, wyłożone lśniącymi, drewnianymi parkietami. Na podłogach słały się podarte, zapaskudzone maty *tatami*, a pod ścianami ciągnęły się rzędy stojaków na broń. Obecnie były puste, ale domyśliłam się, że w tej części zamku trenowali dawniej wojownicy.

Niestety, tutaj nasz bieg się zakończył. Z przeciwnej strony sali wyszczerzył się ku nam wyjątkowo rosły *amanjaku* w samurajskim hełmie, a z ziejącej w ścianie dziury wylały się inne demony,

warczące i skrzeczące, zajmując niemal całą przestrzeń. Rozejrzałyśmy się na wszystkie strony, lecz okazało się, że potwory nas otoczyły, odcinając drogę ucieczki. Rozciągnąwszy pyski w triumfalnych uśmiechach, *amanjaku* zaczęły ostrożnie zacieśniać krąg, mierząc w nas ostrzami mieczy, grotami włóczy i pazurami.

Z rozkołatanim sercem sięgnęłam po *tanto*. Kapłanka zaczęła się cofać, a Chu zawarczał i pokazał zęby zbliżającym się stworom. Te tylko zarechotały. W szkarłatnych oczach lśniła żądza krwi. Wiedziały, że utkwiliśmy w potrzasku.

– Co teraz? – szepnęłam i nagle przypomniałam sobie swoje pierwsze spotkanie z hordą demonów. Tym razem Tatsumi nie mógł mi przyjść z odsieczą; byliśmy zdane wyłącznie na siebie.

– Jak to co? – Reika wyciągnęła *ofuda* i rzuciła mi zniecierpliwione spojrzenie. – Zabójcy demonów tu nie ma, *kitsune!*

Och.

Na moją twarz wypłynął szeroki, łobuzerski uśmiech. Nie zdołałam się powstrzymać. Nie było z nami Tatsumiego ani innych głupiutkich ludzi, którzy trwali w przekonaniu, że jestem kimś innym, niż byłam naprawdę.

– Chu! – zawołała *miko*, machając swoją kartką, która nagle zaczęła świecić. – Postać strażnika!

Wyrzuciła *ofuda* w powietrze. Papierek pofrunął w stronę zwierzaka i zmienił się w snop światła. Mały, pomarańczowy piesek zadarł łeb i zawył, rozrastając się jednocześnie przynajmniej dziesięciokrotnie. Zmieniła się także barwa jego sierści, która pyszniła się teraz wspaniałą czerwienią, a z karku spłynęła mu złocista grzywa. Chu dorównywał wielkością przeciętnemu wołu, miał szerokie ramiona, długi, zakręcony ogon i potężny, kwadratowy łeb, łączący w sobie cechy psa i lwa. *Komainu*, uświadomiłam sobie w niemym zachwycie, żywe wcielenie posągu stojącego przy bramie kaplicy. Chu, czy też opiekuńczy duch, w którego właśnie się przeobraził, zaryczał tak potężnie, że zadrżały ściany, i jednym machnięciem ogromnej łapy posłał w powietrze kilka najbliższych demonów.

Rozskrzeczane *amanjaku* załwały komnatę, koncentrując ataki na majestatycznej, stojącej pośrodku bestii. Cofnęłam się o krok i poczułam w palcach znajome mrowienie lisiej magii. Tym razem nawet nie próbowałam jej tamować. Gdy horda zbliżyła się ku mnie jeszcze bardziej, poderwałam ramiona, a na palcach zatańczyły mi języki niebieskiego ognia. Fala *kitsune-bi* uderzyła prosto w szkaradne pyski.

Demony wrzasnęły i cofnęły się z przestachem przed nadnaturalnymi płomieniami. Zasłaniały oczy przed blaskiem bijącym od kolumny lisiego ognia, która wyrosła z parkietu, pokrywając wszystko bladoniebieską poświatą. Ten pożar nikogo nie parzył, nie istniało ryzyko, że podpale zamek, lecz na kilka sekund rozpełtało się wokół istne pandemonium. Wykorzystałam okazję, poderwałam z podłogi garść suchej trzciny i podrzuciłam ją w powietrze, posyłając za nią swą magię.

Gdy trzcina spłynęła na ziemię, w komnacie zaroilo się od dziesiątek Yumeko i Reik. Pojawiały się w kłębach dymu, prowokując *amanjaku* do lękliwych okrzyków. Kiedy sobowtóry rozpierchły się na wszystkie strony, a ogarnięte paniką demony zaczęły zadawać im ciosy, chwyciłam kamyk i rzuciłam nim w demona w hełmie. Tuż przed potworkiem zmaterializował się drugi Chu. *Amanjaku* zawył, zamachał nieporadnie mieczem i przewrócił się na plecy. Hełm spadł mu z łba, potoczył się po deskach i znieruchomiał pod jedną z kolumn.

Przemknęłam obrzeżem chaosu i rozejrzałam się za prawdziwymi Chu i Reiką z wielką nadzieją, że są cali. Kapłanka stała na środku sali, w obu dłoniach ścisnęła *ofuda* i miotała nimi w podchodzące bliżej demony. Kiedy kartki dotykały potworków, następowała eksplozja mocy i poddane rytualnemu egzorcyzmowi nieczyste stworzenia znikwały w obłoczku dymu. Chu szalał wokół swej pani, odtrącając zbyt natrętnych przeciwników pazurzastymi łapami. Niektórych po prostu miażdżył w zębach. Wyglądało na to, że nie potrzebują pomocy. Spojrzałam na kulę *hitodama*, która wciąż czekała w powietrzu, otoczona mglistą, jasną aurą.

Podbiegłam do zapomnianego pod kolumną hełmu, chwyciłam go i wsunęłam sobie na głowę. Zapłonęła lisia magia, buchnęła chmura białego oparu i nagle wyglądałam inaczej. Kiedy popatrzyłam po sobie, nie widziałam już eleganckiego, białego stroju *onmyoji*. Ujrzałam przysadziste, brzydkie ciało, czerwoną, pokrytą ropiejącymi pęcherzami skórę, obszarpane łachmany i krzywe pazury. Zachichotałam i z moich ust popłynął ochrypły skrzek.

Podbiegł do mnie zielony *amanjaku* i warcząc, bełkocąc, zaczął wskazywać gwałtownymi gestami na tył komnaty. Nie rozumiałam ani słowa, nie byłam nawet pewna, czy stwór w ogóle posługuje się jakimkolwiek językiem. W oczywisty sposób jednak uznał mnie za dowódcę hordy. Na własne nieszczęście. Dźgnęłam go w pierś swym *tanto*. Demon obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem, po czym rozwiął się na strzępki dymu i zniknął.

No proszę, przydatna ta sztuczka.

Z powrotem wskoczyłam w sam środek zamieszania i zaczęłam ciąć zaskoczone potworki, zajęte walką z ostatnią dziesiątką płasających po sali replik moich i kapłanki. Kolejne stwory obracały się w nicość. Na moją korzyść przemawiał fakt, iż *amanjaku* nie sprawiały wrażenia nadmiernie rozgarniętych i wciąż ganiały sobowtóry, które pod ich ciosami zamieniały się w jasny obłoczek i opadającą na parkiet trzcinę. Uradowane każdym takim zwycięstwem stwory podskakiwały radośnie w miejscu i wygrażały pięściami sufitowi, po czym rzucały się w pogoń za kolejnym widziadłem. A ja tymczasem, zadowolona z zamieszania, odsyłałam do Jigoku jednego demona za drugim.

Wtem usłyszałam gniewny okrzyk. Zamarłam i podniosłam wzrok. Zrobiłam to dosłownie w ostatniej chwili, by uniknąć ostrza *wakizashi* dowódcy *amanjaku*, któremu podwędziłam hełm. Stwór syknął i zaczął mi złorzeczyć, szczerząc kły i wściekle kreśląc mieczem krótkie łuki w powietrzu. Uchyliłam się, sparowałam sztyletem i zaczęłam się cofać. Po paru krokach wpadłam plecami na jeden ze słupów. Natychmiast przykucnęłam, ponieważ *amanjaku* ciął na wysokości mej głowy. Ostrze uderzyło w kolumnę i na

moment wgrzyzło się w drewno. Odturlałam się na bok i poderwałam z podłogi mały listek. Oficer demonów uwolnił miecz szarpnięciem, zawirował w miejscu i spojrzał prosto w oczy pary własnych sobowtórów. Jeden miał na głowie hełm, drugi nie.

Skonsternowany potwór zmrużył ślepią, starając się rozstrzygnąć, który przeciwnik jest tym właściwym. Wreszcie zawył i skoczył na mnie, czyli demona w hełmie, któremu wraził miecz głęboko w pierś.

Tak mu się w każdym razie zdawało. Ugodzony śmiertelnie sobowtór zawył i zacisnął palce na ostrzu, a mgnienie później eksplodował w kłębie białego dymu. Pozbawiony podparcia hełm brzęknął o podłogę. Osłupiały dowódca *amanjaku* ledwie zdążył mrugnąć. Wyskoczyłam z oparów i dźgnęłam go w serce.

Kiedy demon, krzywiąc się niemiłosiernie, powrócił do ciemności, uświadomiłam sobie, że w sali panuje cisza. Poczulałam na plecach wrogie spojrzenie, odwróciłam się i padł na mnie cień warczącego złowrogo Chu. Wargi bestii uniosły się, odsłaniając gigantyczne kły; opiekun kaplicy spał się, gotując się do skoku.

– Chu, stój! To ja! – Błyskawicznie wygasiałam iluzję, przy czym stwierdziłam, że z bliska psisko jest naprawdę wielkie. Gdy mgła się rozproszyła, straciłam z głowy listek i podsunęłam mu pod nos. – To ja, nie demon – dodałam, patrząc na drgające nozdrza. – Zwykła *kitsune*, ta sama, która odkąd poznała cię jako małego pieseczka, myśli o tobie same dobre rzeczy. Widzisz?

Moje słowa nie zrobiły na *komainu* większego wrażenia; prychnął, odwrócił się i podreptał do Reiki, wciąż stojącej na środku komnaty. Kapłanka trzymała w dwóch palcach *ofuda*. Zrozumiałam, że przygotowała ją dla mnie. Z *amanjaku* nie zostało nic poza walającą się wokół skradzioną bronią i elementami zbroi. Zniknęły również repliki, tylko gdzieś na parkiecie leżały źdźbła trzciny.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i odetchnęłam.

– Uff, to było... emocjonujące – stwierdziłam. Reika opuściła rękę, a kartka z zaklęciem zniknęła w zakamarkach jej szaty.

Chu otrząsnął się i skurczył do normalnych psych rozmiarów. Drżałam na całym ciele, lecz nie ze strachu, a z rozkoszy, jakiej dostarczyło mi nieposkromione szafowanie lisią magią. Jeszcze ani razu przez długie szesnaście lat życia nie było mi wolno skorzystać z pełni mocy i przekonać się, co tak naprawdę potrafię. Byłam podekscytowana, kręciło mi się w głowie i troszkę się bałam, bo okazało się, że umiem wcale niemało. Czy to właśnie przed tą mocą ostrzegał mnie mistrz Isao? To jej obawiali się wszyscy w klasztorze?

„Magia *kitsune* jest sztuką iluzji. Ktoś mógłby pomyśleć, że nadaje się jedynie do płatania niemądrych psikusów, lecz ukazywanie czegoś, co nie istnieje naprawdę, lub przekonywanie innych, że jest się kimś zupełnie innym niż w rzeczywistości, może być przerażająco niebezpieczną mocą. Siłą, którą należy stosować z rozwagą, gdyż inaczej można stać się narzędziem chaosu”.

– Uszy ci widać – zauważyła bezbarwnym tonem Reika, wrywając mnie z zadumy. – Normalnie znać jedynie słaby zarys, ale teraz pokazały się w pełnej krasie. To zapewne skutek uboczny korzystania z dużych ilości mocy.

Przełknęłam ślinę i powstrzymałam impuls kładący mi wygładzić uszy rękoma.

– Myślisz, że z czasem znikną? – spytałam, wiedząc, że skoro widać uszy, to zapewne i ogon. A to stanowiłoby poważny problem, gdyby w pobliżu pojawił się Tatsumi lub ktokolwiek inny z towarzyszy. – Co zrobimy, jeśli nie zbledną, kiedy będzie trzeba wrócić na dziedziniec?

– Pomartwimy się, kiedy zajdzie taka potrzeba – odparła świątynna dziewica. – Teraz musimy iść dalej. – Podniosła wzrok na szybującą pod sufitem *hitodama*. – Jeżeli naprawdę chcesz nam pomóc – zwróciła się do świecącej kulki – prowadź. I miejmy nadzieję, że nie spotkają nas już kolejne niespodzianki.

Hitodama przez chwilę delikatnie drżała, po czym obniżyła lot, przefrunęła wokół sali i wyleciała innymi drzwiami.

Wędrując przez zniszczony zamek, nie wpadłyśmy już w ani jedną zasadzkę. Demony albo uciekły, albo zabiłyśmy je wszystkie.

Światelko pewnie wiodło nas wąskimi korytarzami i przez całe serie pustych, zrujnowanych komnat. Ostatecznie stanęliśmy u szczytu wiodących w dół schodów. Poniżej widać było jedynie ciemność.

– Jest blisko – szepnęła Reika, na co Chu poruszył łbem i zamerdał ogonkiem. – Czuję jego obecność. Szybko!

Zeszliśmy po kamiennych stopniach i trafiłyśmy do przestronnego pomieszczenia. W rogach stały pochodnie, płonące złowieszczo czerwonym ogniem. W ścianach otwierały się cele zabezpieczone grubymi, drewnianymi kratami. Wszystkie jednak były puste.

Pośrodku pokoju siedział ze skrzyżowanymi nogami na twardej, kamiennej podłodze starzec w obszarpanym, dawniej białym stroju. Dłonie złożył na podołku jak do medytacji. Zwieszona głowa, skulone ramiona. Nie zareagował, kiedy Reika zawołała go po imieniu. Ręce krępowały mu kajdany, przymocowane do podłoża czarnym, rdzewiejącym łańcuchem. Obok niego leżał w bezruchu mały, biały piesek, prawie identyczny jak Chu.

I człowiek, i zwierzę spowici byli migotliwą, niemal niewidoczną kopułą mocy, barierą bardzo przypominającą tę, którą zobaczyłam w noc ataku na Świątynię Milczącego Wiatru. Ta zaporę jednak tchnęła grozą, emanowało z niej zło i zepsucie, od którego dostałam gęsiej skórki.

– Magia krwi. – W szepcie młodej kapłanki dał się słyszeć gniew i przerażenie.

Wzięła do ręki kolejną *ofuda* i uniosła ją przed sobą. Odczekała moment, a gdy papier zajaśniał magiczną energią, rzuciła nim w barierę. Kartka, opatrzona znakiem oznaczającym „oczyszczenie”, uderzyła w kopułę, która rozbłysła raz i drugi, a następnie rozpadła się na kawałki, przypominające osy opuszczające w panice rodzime gniazdo.

– Mistrzu Jiro! – Pobieglyśmy z Reiką naprzód. Kiedy się zbliżyłyśmy, zauważyłam, że czarny łańcuch roztopił się niczym lód, pozostawiając po sobie na podłodze tylko smugę ciemnej, rdzawej mazi. – Mistrzu Jiro – powtórzyła *miko*, klękając przed kapłanem.

Chu zaskomlał i trącił nosem leżącego bezwładnie białego psa. – Mistrzu, słyszysz mnie? Czy jesteś zdrowy?

Przygarbiony starzec wydał z siebie rozedrgany, świszczący oddech i z wysiłkiem podźwignął głowę. Twarz miał wychudzoną, policzki zapadłe, a oczy przypominały głębokie jamy. Widok skojarzył mi się z trupią czaszką. Jiro spojrział na Reikę i zmarszczył czoło z niedowierzaniem.

– R-reika-chan? – szepnął. – To... to naprawdę ty?

– Tak, mistrzu Jiro – potwierdziła półgłosem *miko*. – To ja. Kiedy nie wróciłeś, zrozumiałam, że stało się coś złego. Przychodzimy ci na ratunek. Możesz wstać?

– Nie... nie wiem. – Kapłan spróbował się podnieść, lecz tylko jęknął i opadł z powrotem. – Słaby jestem – szepnął. – Ta kobieta... więziła mnie tutaj za pomocą magii krwi. Zadawała wiele pytań, a kiedy nie dostała tego, czego chciała, zaczęła stopniowo pozbawiać mnie siły życiowej. Mnie i moją Ko. – Zerknął na wciąż nieruchomego psa. Chu zrezygnował już z wszelkich wysiłków, siedział tylko ze zbolaną miną i cicho skamlał. – Próbowałem ją nakłonić, by mnie zostawiła i wróciła do kaplicy – mówił słabym głosem kapłan – ale nie chciała. Gdyby nie Ko... demony dręczyłyby mnie jeszcze bardziej.

Znów zerknęłam na białego pieska i aż mi dech zaparło. Bok Ko miarowo unosił się i opadał. Oddech był ledwie dostrzegalny, ale był.

– Ona żyje. – Popatrzyłam na kapłana, wychodząc z za pleców Reiki. – Jeszcze nie wszystko stracone. Możemy ocalić was oboje.

– *Kit-kitsune?* – Starzec spojrział na mnie i jego twarz zasnuł cień niepewności. – Czyli to chyba jednak omamy... – Pokręcił głową.

Chu niespodziewanie poderwał się na cztery łapy i zamerdał ogonem. Biały pies, równie niespodziewanie, drgnął. Ko uniosła łebek, rozejrzała się oszołomiona, a kiedy mnie zauważyła, natychmiast się wyszczerzyła, pokazując drobniutkie zęby. Nie spuszczając ze mnie nieufnego wzroku, kołysząc się z boku na bok, podeszła do kapłana, którego twarz pojaśniała z radości.

– Chodźmy, mistrzu Jiro. – Reika zarzuciła sobie rękę kapłana na ramię i delikatnie pomogła mu wstać. Sędziwy mężczyzna zachwiał się i zatoczył, lecz po chwili złapał równowagę. – Musimy się stąd wydostać. Miejmy nadzieję, że pozostali przeżyli i nie będziemy musieli przejmować się tym *oni*.

– *Oni*? – Kapłan aż się zachłysnął. – Yaburama wciąż tu jest?

– Znasz jego imię? – spytałam, czując silny ucisk w brzuchu.

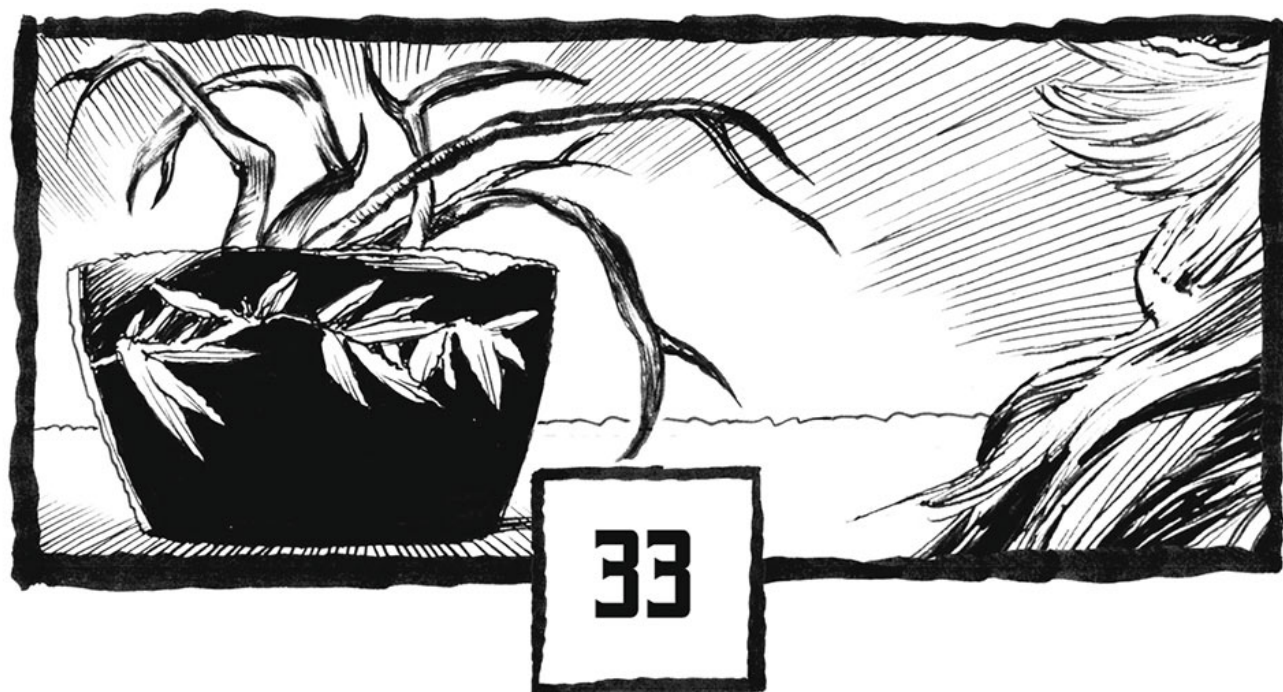
– Znam, niestety. – Jiro zwrócił ku mnie wylęknione spojrzenie.

– Yaburama to... potwór. Jest jednym z czterech wielkich demonów Jigoku, generałów samego O-Hakumona. – Na twarz kapłana wypłynęły groza i obrzydzenie. – Nie rozumiem, w jaki sposób ta kobieta, nawet za pomocą magii krwi, zdołała przywołać istotę tak silną jak Yaburama i sprawić, że nie zgładził jej przy pierwszym spotkaniu. Nawet mniejsze demony jest niezwykle trudno okiełznać. *Oni* taki jak Yaburama... Jedynie niesłychanie potężni magowie mogą mieć nadzieję na podporządkowanie go swej woli.

– Trzeba iść. – Spojrzałam na Reikę, która potaknęła skinieniem.

– Tatsumi i reszta walczą z nim w tej chwili. Musimy im pomóc. Mistrzu Jiro, jesteś wysokim kapłanem. Czy znasz jakiś sposób na powstrzymanie Yaburamy?

– Przykro mi, *kitsune* – odparł starzec, w którego oczach pojawiło się szczere współczucie. – Jestem ci wdzięczny za pomoc, ale nie możemy zmierzyć się z tak potężnym *oni*. Generałowie demonów są niemal nieśmiertelni. Jeżeli twoi przyjaciele naprawdę stanęli z nim do walki, prawdopodobnie już nie żyją.



SZALEŃSTWO YABURAMY

Nie zanosiło się na łatwą walkę.

Rzuciłem się szczupakiem w bok, unikając spadającej *tetsubo*, która uderzyła w ziemię, podrywając z niej mnóstwo żwiru. Przetoczyłem się i poderwałem, lecz natychmiast zostałem zmuszony odskoczyć do tyłu, gdyż wielka maczuga przemknęła tuż nad ziemią. Uniknąłem zmiżdżenia dosłownie o włos, w przeciwieństwie do kilku *amanjaku*, które pędziły właśnie w moim kierunku. Ciałka demonów wzbiły się w powietrze, gdzie obróciły się w rozedrgane smużki dymu i powróciły do Jigoku. Doleciał mnie pomruk *oni*.

– Długo tak będziesz skakać jak świerszcz w trawie, zabójco? – rzucił z drwiną w głosie i zaatakował ponownie. Wzmocniony żelaznymi ćwiekami kij przy każdym zderzeniu z nawierzchnią dziedzińca zostawiał po sobie głębokie dziury. – Czy może zechcesz wreszcie stanąć do walki?

Obnażyłem zęby. Gdy *tetsubo* po raz kolejny zaczęła opadać, skoczyłem naprzód, pomiędzy mocarnymi, przypominającymi pniaki nogami Yaburamy i ciałem go od tyłu w łydkę. Demon warknął, odwrócił się i raz jeszcze grzmotnął maczugą w ziemię, a ja raz jeszcze uskoczyłem. W tym samym momencie arystokrata, rozprawiwszy się z kilkoma *amanjaku*, podbiegł do Yaburamy od tyłu i ranił jego drugą nogę.

Oni zawył. Zawirował w miejscu i wściekle kopnął, niemal trafiając przemykającego obok wojownika. Kolejne *amanjaku* wyfrunęły pod niebo. Za nic mając sobie rany, potwór wybił się w powietrze i wylądował między nami tak ciężko, że grunt zadrżał jak w czasie trzęsienia ziemi. Ja zachowałem równowagę, lecz arystokrata zachwiał się i padł na jedno kolano. Olbrzym momentalnie poderwał maczugę, szykując się, by rozsmarować przeciwnika na kamiennych płytach dziedzińca.

W powietrzu świsnęła strzała. Trafione w czoło monstrum uniosło głowę i zawarczało. Zerknąłem za siebie i ujrzałem ronina, który wdrapał się na strzegącą bramy wieżyczkę. Ponownie wystrzelił w krzywiącego się *oni*. Demon prychnął i osłonił się ręką, zatrzymując pocisk przedramieniem.

Wykorzystałem chwilową nieuwagę Yaburamy, wyszeptałem pospiesznie słowa inkantacji i skoczyłem, a obok mnie pojawił się widmowy Tatsumi. Demon dostrzegł nas w ostatnim momencie i machnął kijem – celując nie w tego, w którego powinien. Skoczyłem, odbiłem się od masywnego kolana, a kiedy znalazłem się na wysokości paskudnej twarzy, przeciągnąłem ostrzem Kamigoroshi po gardle bestii, otwierając w nim szeroką ranę.

Z otworu buchnęła struga ciemnej, parującej posoki. Odruchowo osłoniłem twarz, lecz gęsta ciecz i tak przeżarła moje ubranie, parząc ciało niczym płynny ogień. Opadłem na ziemię, zatoczyłem się do tyłu i zaciskając z bólu zęby, czekałem, aż *oni* upadnie.

Poszło niemal zbyt łatwo.

Wtem Yaburama wybuchnął śmiechem.

Demoniczny rechot poniósł się po zamkowym dziedzińcu, głęboki i kpiący.

– To wszystko? – Olbrzym wyszczerzył zęby i wyrwał sobie z czoła strzałę ronina. Tej w ramieniu jakby w ogóle nie zauważył. – Na nic więcej was nie stać? Czy naprawdę sądziliście, że pokonacie generała armii Jigoku tak mizernym wysiłkiem? – Zaśmiał się ponownie, potrząsnął rogatą głową, a następnie pochylił się, podniósł z ziemi fragment muru większy od dorosłego mężczyzny i zważył go w dłoni. – Pozwólcie, że dowiodę, jak bardzo się myliliście – dodał uśmiechnięty, z błyskiem w oku.

Obaj z arystokratą zebraliśmy się w sobie, szykując się do kolejnego skoku, lecz Yaburama wyprostował się, wziął zamach i cisnął głaz na drugą stronę dziedzińca. Kamień przekoziółkował w powietrzu i ugodził w podstawę wieżyczki strażniczej, która ustąpiła, tak że cała konstrukcja runęła z hukiem, wzbijając chmurę pyłu.

– Okame-san! – wykrzyknął białowłosy wojownik. *Oni* zaryczał triumfalnie i poderwał maczugę w powietrze. *Amanjaku* wydały z siebie radosny skrzek.

Kiedy szczątki wieży znieruchomiały, grzebiąc pod sobą prawdopodobnie martwego ronina, potężny demon zwrócił gorejące ślepia ku nam.

– Nudzicie mnie – zagrzemiał. – Męczy mnie walka z mało znaczącymi ludźmi. *Amanjaku!* – warknął. – Zabijcie arystokratę! Obedrzyjcie go ze skóry, pożryjcie mięso, a ze skóry uszyjcie sobie odzienie. Nie dbam o to! Ale pozbądźcie się go! Nie chcę na niego patrzeć. Chcę spokojnie stanąć do walki z zabójcą demonów.

Podeksytowane potworki zawyły i ruszyły naprzód, otaczając wojownika niczym mrówki opadające konika polnego. Pierwsze zginęły praktycznie od razu pod ciosami byłego *Oni* no Mikoto, którego miecz pracował tak błyskawicznie, że niemal niktął mi z oczu. *Amanjaku* były jednak dziesiątki, horda sprawiała wrażenie nieprzebranej i ostatecznie przewaga liczebna dała o sobie znać.

Ruszyłem naprzód, by nieco ten rój przerzedzić, lecz Yaburama zagroził mi drogę, bijąc maczugą o ziemię.

– A ty dokąd, zabójco demonów? – zadudnił, stając między mną a stadem swych sług. – Twój przeciwnik jest tutaj. Nie zapomniałeś chyba?

Uderzył *tetsubo* z potworną siłą. Usunąłem się i ciałem ściskającą broń łapę, pozbawiając ją jednego z palców. Rozdrażniony olbrzym prychnął i zamiast poderwać swój kij, przejechał nim po ziemi. Zdołałem odskoczyć, ale niespodziewany manewr rywala wytrącił mnie z równowagi i powracająca maczuga dosięgła mego ramienia. Eksplozja bólu ogarnęła całe moje ciało. Przeleciałem w powietrzu kilkanaście jardów, trzasnąłem o ziemię i poturlałem się jeszcze kawałek dalej. Kamigoroshi wypadł mi z ręki, pofrunął w przeciwnym kierunku i brzęknął o kamień.

Oszołomiony spróbowałem się podnieść, lecz ziemia zadygotała, a zakończona ostrymi pazurami stopa opadła mi na pierś, przyciskając do twardego podłoża. Powietrze ze świstem opuściło moje płuca, żebra ugięły się niebezpiecznie, zaś nade mną pojawiła się uśmiechnięta gęba wielkiego *oni*.

– Cóż za niegodna śmierć, zabójco demonów – stwierdził refleksyjnie Yaburama, a ja zacisnąłem zęby, starając się nie dyszeć. W moim wnętrzu wzbierała powodziowa fala emocji. Desperacji, gniewu i nienawiści. – Zdeptany jak zwykły karaluch, mokra plama na moim paluchu. Jakiż wstyd! – zachichotał demon i naparł na moją pierś całym sobą. Kości zaczęły pękać, przeszył mnie oślepiający ból. Nie zdołałem powstrzymać skowytu, który wydarł się z mojej krtani. – Nie martw się jednak – ciągnął *oni*, gdy ja umierałem. – Niebawem wszystko się skończy. A kiedy już cię zabiję, rozszarpię twoich przyjaciół. Szczególnie smakowicie prezentuje się ta mała dziewczyna. Oderwę jej głowę, zmiażdżę ciało tak, by wnętrzności zmieniły się w miękką papkę, i wyszę ją jak dojrzałą brzoskwinie.

Yumeko. Wszelkie racjonalne myśli zniknęły. Coś we mnie pękło, ustępując zalewowi skowyczącej ciemności. Poczulem

przelotne ukłucie zmieszanej z rozpaczą grozy, a potem już nic.

– Boli, zabójco demonów? – *Oni* opuścił ramię i *tetsubo* zawisła tuż nad moją twarzą. – Zawrę z tobą umowę. Błagaj o litość, a zamiast zdeptać cię jak robaka, rozłupię ci głowę. Co ty na to? Gotów do błagania?

– Mam błagać? – Spojrzałem demonowi w oczy i uśmiechnąłem się. – Mam lepszy pomysł. Odeślę cię do Jigoku. W kawałkach.

– Ty przodem. – Yaburama wyszczerzył kły.

Poderwał stopę i z całej siły nadepnął. Świat zniknął niczym zdmuchnięty płomyk świecy.



NISZCZYCIEL

Byłem wolny.

Kiedy stopa Yaburamy pędziła ku mojej głowie, poderwałem ramiona i chwyciłem ten odrażający organ oburącz. Usłyszałem pomruk zaskoczenia i poczułem, że *oni* napiera jeszcze mocniej, próbując wbić mnie w ziemię. Zdawał się przekonany, że wciąż jestem tym cherlawym śmiertelnikiem.

Zawsze byłeś głupcem, Yaburamo.

Usiadłem, odepchnąłem go i wstałem na równe nogi. Yaburama zachwiał się i zatoczył kilkanaście kroków do tyłu. Kiedy się wreszcie zatrzymał, obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Nareszcie czułem na skórze muśnięcia powietrza, nareszcie oglądałem świat własnymi oczyma, nie słabymi, żalonymi oczyma mojego ludzkiego gospodarza. Odetchnąłem pełną piersią, pozwalając, by woń krwi, przemocy

i śmierci wypełniła mi płuca po brzegi. Ostatecznie podniosłem wzrok na potężnego *oni*.

– Co się stało, Yaburamo? Spodziewałeś się kogoś innego?

Demon zaniósł się śmiechem i pokręcił rogatym łbem.

– Nareszcie jesteś – zadudnił, podchodząc do mnie. – Już myślałem, że będę musiał rozgnieść twojego nosiciela na papkę, zanim straci nad sobą panowanie. – Zachichotał i przymrużył szkarłatne ślepia. – Ile to czasu minęło... Hakaimono?

– Zbyt dużo. Ponad czterysta lat.

Yaburama prychnął pod nosem, po czym przykucnął, by spojrzeć mi prosto w oczy.

– Jesteś nieco... drobniejszy, niż zapamiętałem.

Uśmiechnąłem się i popatrzyłem na swoje odbicie w źrenicach olbrzyma. Rzeczywiście, miałem mało imponujące rozmiary, nadal dzieliłem żalosne ciało ze swoim gospodarzem, a Kage Tatsumi był niższy od przeciętnego ludzkiego samca. Na szczęście jednak mogłem nareszcie zobaczyć sam siebie. Po czterech wiekach istnienia pod postacią zamkniętego w mieczu bezcielesnego głosu przyjemnie było ponownie ujrzeć prawdziwe, namacalne ciało. Czarna jak onyks skóra, biała grzywa, rogi, pazury, kły; niemal zapomniałem, jak wyglądam.

To jednak nie było ważne. Byłem wolny. Wyrwałem się i mogłem wyrzucić zemstę na całej tej krainie. Czekало mnie tyle zniszczenia, tyle śmierci i krwi. Przyszłość rysowała się pięknie. Przekonajmy się, czy ci głupcy zdołają ponownie zamknąć mnie w stali, pomyślałem.

Ale najpierw...

Yaburama nadal kucał i patrzył mi w oczy z lekko drwiącym uśmiechem na twarzy. Zacisnąłem prawą pięść, wzięłem zamach i zdzieliłem go prosto w szczękę.

Olbrzym odleciał w tył i padł na kamienie z hukiem, od którego zadrżała ziemia. Roześmiałem się, czując moc wypełniającą me mięśnie. Odzyskiwałem siły. Do ideału trochę jeszcze brakowało, lecz naprawdę niewiele.

– Zapomniałeś, z kim rozmawiasz, Yaburamo? – zawołałem, kiedy ogłuszony *oni* podźwignął się na nogi. Wyciągnąłem rękę, otworzyłem dłoń i Kamigoroshi sam przyfrunął mi między palce. – Zapomniałeś, że byłem dowódcą Czterech Generałów? Że nie bez powodu drżały przede mną najpotężniejsze demony, jakie kiedykolwiek zrodziło Jigoku?

– Niech cię! – warknął Yaburama. Krew z rozciętej wargi spływała mu na podbródek. Otarł ją grzbietem dłoni. – Te czasy odeszły już w przeszłość, Hakaimono. Zbyt długo cię nie było. Nadciąga wojna i nowy Władca Demonów, który sprowadzi na te ziemie chaos i zniszczenie. – Uniósł *tetsubo* i wyszczerzył wilgotne od krwi zęby. – Szkoda, że tego nie zobaczysz.

Rzucił się na mnie z rykiem, wściekle bijąc maczugą. Przy pierwszym ataku ustąpiłem w bok, przy drugim kucnąłem, a potem, gdy zamachnął się z góry prosto ku mojej głowie, przygotowałem się i wyprostowałem wolną rękę, chwytając w nią koniec kija.

Yaburama wybałuszył oczy. Nacisnął mocniej, próbując doprowadzić cios do końca, lecz nie drgnąłem ani ja, ani *tetsubo*. Czując na sobie cień maczugi, uśmiechnąłem się tylko i wbiłem pazury w drewno.

– Jestem Hakaimono Niszczyciel – warknąłem. – Najsilniejszy demon, jakiego oglądało Jigoku. I wkrótce cały świat przypomni sobie, dlaczego noszę ten tytuł!

Pchnąłem maczugę, a gdy Yaburama zatoczył się w tył, wyskoczyłem w powietrze. Kiedy olbrzym odzyskał równowagę i podniósł *tetsubo* do kolejnego ciosu, błysnęło ostrze Kamigoroshi. Miecz trafił w przedramię, krojąc ciało, mięśnie i kość. Stał przesła na wylot. Maczuga i odrąbany fragment kończyny stuknęły o ziemię, a ryk Yaburamy przeszedł w zboląły skowyt.

Wylądowałem, obróciłem się i pomknąłem ku słaniającemu się przeciwnikowi. Oszalały z bólu i gniewu, chlapiąc dokoła parującą krwią tryskającą z kikuta, Yaburama zawył i zamachnął się na mnie zdrową ręką. Przetoczyłem się pod nią i poderwałem, tnąc nogę przeciwnika. Zachwiał się niczym dąb szarpany burzowym wichrem

i padł. Ciało poleciało na bok, a ucięta w kolanie noga została na miejscu. Yaburama upadł na plecy i na moment znieruchomiał, zdyszany. Krew bryzgała z odciętych kończyn i rozlewała się na kamieniach.

Uśmiechnięty podszedłem swobodnym krokiem do sapiącego rywala i wskoczyłem mu na pierś.

– Cóż, zabawa była przednia – powiedziałem spokojnie, mierząc ostrzem miecza w jego twarz. – Nic tak nie rozgrzewa krwi jak porządna, staroświecka masakra. Tatsumiemu brakowało dzikości. Och, przepraszam, chciałeś coś rzec, tak? Co mówisz? Że chciałbyś, żebym gnił w tym mieczu jeszcze kolejne cztery stulecia?

– Bądź przeklęty, Hakaimono – wychrypiał Yaburama. – Za długo przebywałeś w zamknięciu. Nie masz pojęcia, co się przez te wieki wydarzyło.

– Jestem pewien, że wkrótce się dowiem. – Z niegasnącym uśmiechem podniosłem miecz nad głowę.

Ranny warknął i spróbował się unieść. Błysnęła stal, Kamigoroshi uderzył, gładko rozcinając masywny kark. Czerep olbrzyma poturlał się po dziedzińcu i znieruchomiał. Na ustach zastygł wściekły grymas.

Odrzuciłem głowę do tyłu, zaczerpnąłem powietrza i triumfalnie ryknąłem. Mój głos wzbił się w powietrze, niosąc wysoko ponad zamkiem. Wolność! Miałem tak wiele do zrobienia, tyle istnień do skrócenia. Całą tę nędzną krainę czekało tak wiele zniszczenia, strachu, chaosu i śmierci. Powróciłem i świat musiał drogo zapłacić za stulecia mojej niewoli.

Z zamkowych wrót doleciał mnie cichy okrzyk przestrawu. Uśmiechnąłem się.

Nie schodząc z piersi Yaburamy, obróciłem się i spojrzałem na stojących na schodach dziewczynę, świątynną dziewicę, dwa psy i starego kapłana.



DEMON MIECZA

Jinkei, miej nas w swojej opiece – stojąca za mną Reika szepnęła takim tonem, że poczułam na plecach zimny dreszcz.

Nie mogłam wykrztusić ani słowa. Wpatrywałam się w dziedziniec, na którym stała zalana księżycową poświatą postać. Czarna jak noc skóra, zmierzwiona biała grzywa, rogi, kły i pazury. Spoglądałam na demona, który wciąż miał twarz Tatsumiego. Wojownik, albo istota, w którą się zmienił, obrócił się ku nam na parującym, bezgłowym cielsku Yaburamy. Kamigoroshi lśnił mu w dłoni, ostrze było czerwone od krwi. Głowa *oni* leżała kilkanaście stóp dalej i po chwili zaczęła znikać, powracając w obłoku dymu do Jigoku. Widok zabitego olbrzyma powinien mnie ucieszyć, ten demon zniszczył przecież Świątynię Milczącego Wiatru i zabił wszystkich mnichów. Powinnam czuć mściwą satysfakcję, a przynajmniej jakiś rodzaj ulgi.

Ale w tym momencie, patrząc na stojącą na trupie postać, czułam jedynie grozę. Dlatego że *oni*, który zastąpił Yaburamę, uśmiechający się do mnie twarzą Tatsumiego, był stokroć bardziej przerażający.

– Ach, jesteś wreszcie, Yumeko-chan. – Drgnęłam, słysząc w ustach demona swoje imię. – Zaczynałam się już martwić.

Wyskoczył w powietrze, tak wysoko, że zdawało się niemal, iż frunie w naszą stronę. Chu warknął i przybrał swą prawdziwą postać. Spięty, szykował się do skoku na demona, lecz powstrzymał go ostry głos mistrza Jiro.

– Chu, nie! Jest zbyt silny. Nie oddalajmy się od siebie.

Gdy Tatsumi wylądował u podnóża schodów, starzec wyciągnął wymiętą *ofuda*, na której widniał znak oznaczający „ochronę przed złem”. Trzymając kartkę dwoma palcami, uniósł ją do twarzy i zamknął oczy. Uśmiechnięty demon ruszył w górę, znacząc stopnie za sobą krwawymi plamami.

Przypominająca klosz niebiesko-biała bariera, ledwie widoczna w ciemności, otoczyła mnie, *miko*, mistrza Jiro i oba psy. Chu błyskawicznie się skurczył, lecz i tak zmieścił się pod czaszą z niejakim trudem. Skupiony kapłan drżał na całym ciele, czoło zrosił mu perlisty pot. Straszliwy Tatsumi tymczasem zatrzymał się kilka stóp od nas i uśmiechnął.

– Och, nie potrzebujecie tej tarczy – powiedział głosem będącym głębszą, mrozącą krew w żyłach wersją głosu Tatsumiego. – Chcę po prostu zamienić kilka słów z Yumeko-chan. – Lodowate, czerwone oczy patrzyły na mnie zza magicznej zapory. – Czyli jesteś tylko zwykłym liskiem w ludzkim przebraniu – zachichotał. – Nędznym mieszańcem. Nic dziwnego, że nie wyczułem. Przebiegła dziewczynka. Ciekawe, jakimi jeszcze kłamstwami karmiłaś Tatsumiego?

– Gdzie on jest? – Zadrżałam, lecz zmusiłam się, by spojrzeć prosto w straszne oczy potwora.

– Tatsumi? Och, nadal jest z nami. Gdzieś tutaj. – Demon postukał się w skroń czarnym, haczykowatym pazurem. – Jestem

przekonany, że słyszy i widzi wszystko, co się dzieje. Tak samo jak ja wszystko widziałem i słyszałem. Niestety, teraz kiedy przejąłem kontrolę, brak mu sił, by mnie przepędzić. Tej sztuki nie dokonał jeszcze żaden człowiek. – Potwór popatrzył wprost na mnie i uśmiechnął się złośliwie. – Tobie, mała lisiczko, chcę podziękować w szczególny sposób – podjął. – Ostatecznie bez ciebie nie wy dostałbym się na wolność.

Mój żołądek zmienił się w bryłę lodu; zadrżałam.

– Jak to? – szepnęłam.

– Cóż, normalnie nie byłem w stanie przebić się przez mur, jaki stawiał przede mną Tatsumi. Pieczołowicie chronił swą jaźń i uczucia, odbierając mi wszelką możliwość zakradnięcia się do jego umysłu. Przy tobie jednak z dnia na dzień stawał się mniej ostrożny. Wytrąciłaś go z równowagi, sprawiłaś, że w jego sercu pojawiły się emocje. Przez ciebie zaczął się zastanawiać, kim jest i czego pragnie. A mnie niczego więcej nie trzeba. Także dzisiejszej nocy ostatnią myśl przed zatraceniem Tatsumi poświęcił tobie.

Osunęłam się i uderzyłam kolanami o twardey kamień. Groza i ból, równie ciężkie jak szata *onmyoji*, przygniotły mnie i pchnęły na klęczki. Nie, pomyślałam zrozpaczona. Tatsumi, to niemożliwe, że odszedłeś... przeze mnie.

Oni przykucnął i nachylił się tak, że nasze twarze znalazły się na jednym poziomie.

– Być może pocieszy cię świadomość – rzekł szyderczym szeptem – że Tatsumi słyszy każde nasze słowo, lecz nie jest w stanie nic zrobić. Muszę też przyznać, że po tak długim pobycie w niewoli tego chłopaka jego ból i nieszczęście smakują naprawdę wybornie. Ach, chcesz się dowiedzieć jeszcze czegoś? – Przysunął twarz bliżej i podjął jeszcze ciszej niż dotąd: – On naprawdę zaczynał ci ufać, lisiczko. A Tatsumi nie zaufał jeszcze nikomu w życiu. Jego klan ma zwyczaj karać za każdy przejaw przywiązania i słabości. – Uniósł rękę i wymierzył zakrzywionym pazurem w moje czoło. – Ale tobie naprawdę zaczynał ufać. Zaufał kłamliwej *kitsune*, która zwodziła go

od pierwszego dnia znajomości. I w tej chwili wie już dokładnie, kim jesteś, i rozumie, że został przez ciebie zdradzony.

Zamknęłam oczy, coś chwyciło mnie za gardło, ledwie zdołałam wykrztusić kolejne słowa.

– Uwolnij go – szepnęłam, czując na sobie okrutne, rozbawione spojrzenie demona.

– Słucham? – Drwinę usłyszałam wyraźnie nawet przez magiczną barierę kapłana. – Możesz powtórzyć?

Uniosłam powieki i popatrzyłam prosto w szkarłatne oczy *oni*.

– Wypuść Tatsumiego – powiedziałam głosem, który tym razem nawet nie zadrżał. – Wracaj do miecza, bo inaczej przekonasz się, na co stać *kitsune*.

Demon parsknął śmiechem. Wstał, wyprostował się na pełną wysokość i spojrzał na mnie z góry. Cofnął się, ukazując kły w przypominającym lśniący półksiężyc uśmiechu.

– Zabawna jesteś, lisiczko – stwierdził. – Dlatego właśnie pozwolę ci na razie żyć. Ale nie martw się, i ciebie, i wszystkich twoich przyjaciół zabiję już niedługo. Najpierw, kiedy zupełnie nie będziesz się tego spodziewać, zginie ktoś tobie bliski. Ronin, arystokrata, kapłan, świątynna dziewica i oba szczeniaki. Zabiję was wszystkich, a Tatsumi będzie musiał patrzeć, jak odrywam ci wszystkie kończyny, jedną po drugiej. Taką karę poniesie za to, że od tak dawna więził mnie w tej swojej upartej głowie. – Oczy *oni* rozbłyły i przez chwilę widziałam w ich głębi mrozący krew w żyłach bezkres gniewu i pogardy. – Nie lękaj się więc. Obiecuję, że gdy spotkamy się ponownie, umrzesz długą i bolesną śmiercią.

Nachylił się, powolnym ruchem wyciągnął rękę i przytknął ją do bariery, która zasyczała i sypnęła iskrami. Z palców demona podniosły się w powietrze kręte smużki dymu, lecz nawet nie mrugnął. Potworny Tatsumi uśmiechnął się, pochylił raz jeszcze i szepnął ochryple:

– Jeśli sądzisz, że zdołasz mnie powstrzymać, Yumeko-chan, to zachęcam, byś naprawdę się postarała. Ta gra dopiero się zaczyna.

Cofnął się, ugiął nogi w kolanach i wybił się w powietrze, po czym wylądował na zamkowym dachu. Kolejny skok poniósł go jeszcze wyżej. Czarny cień oddalał się coraz bardziej i bardziej. Znieruchomiał na moment na najbardziej strzelistej wieży – rogata sylwetka na tle tarczy księżyca. Zaraz potem zeskoczył na drugą stronę i zniknął.



Po kilku minutach poszukiwań znaleźliśmy pozostałych towarzyszy. Ronin leżał pogrzebany pod szczątkami wieżyczki strażniczej, przygnieciony drewnianymi belkami, spod których próbował się niezgrabnie wydostać. Jakimś cudem, poza wielkim, fioletowym sińcem, który znaczył mu czoło, i kilkoma skaleczeniami na rękach i nogach, nie odniósł poważniejszych obrażeń.

– *Kami* obdarzyły cię szczęściem – skwitowała pod nosem Reika tonem niechętnego podziwu. – Chyba że po prostu masz łeb twardy jak armatnia kula – dodała i wróciła do owijania ran chłopaka pasmami tkaniny.

– Ha, mój twardy łeb w wielu kręgach otacza zasłużona zła sława – oznajmił z dumą Okame, stukając się kostkami pięści w głowę. – Masz całkowitą rację, ta czaszka jest jak nieprzenikniona tarcza. Nic nie ma prawa dostać się do środka.

– Nie jestem pewna, czy powinieneś się tym chwalić.

Inaczej miała się sprawa z Taiyo Daisuke. Chu przeczesał pobojuwisko i po chwili powiódł nas do odległego zakątka dziedzińca. Arystokrata klęczał na kamiennych, zbryzganych krwią płytach z pochyloną na pierś głową. Otaczała go połamana broń i części pancerzy. Miecz wciąż ścisnął w dłoni.

Obok wojownika stała widmowa postać, dziewczyna w skromnym ubraniu, ze spiętymi z tyłu włosami. Uniosła dłoń i ze smutnym uśmiechem na wargach pogładziła go po policzku.

Moment później zafalowała i zniknęła. Z miejsca, w którym stała, uniosła się kula białego światła, ta sama, która przyprowadziła nas do mistrza Jiro, i uleciała ponad murem w dal.

– Daisuke-san. – Pociągnęłam nosem, gdy Chu podszedł do arystokraty, strzygąc uszami z nadzieją. – Słyszysz mnie? Żyjesz?

Samuraj ani drgnął. Przełknęłam, próbując rozluźnić zaciśnięte gardło, i już miałam odwrócić się do pozostałych, kiedy Chu zaskomlał i wcisnął nos pod wolną dłoń Daisuke.

Drżąca ręka, jakby pociągnięta sznurkiem lalkarza, uniosła się i poklepała psa między uszami. Zachłysnęłam się z przejęcia. Wojownik wyprostował kark i zmrużył oczy, by lepiej widzieć w mroku.

– Yu...meko-san – wymamrotał, a ja odetchnęłam z niepewną ulgą. – Żyjesz. Czy znalazłaś... mistrza Jiro?

Potaknęłam w milczeniu skinieniem i Daisuke wyraźnie się rozluźnił.

– *Yokatta* – wyszeptał z malującą się na twarzy ulgą. – Ale... co z demonem? Gdzie jest... Kage-san?

Gniotący mi pierś ciężar raptownie przybrał na wadze.

– Odszedł – powiedziałam cicho. – Yaburama nie żyje, lecz Tatsumiego... już z nami nie ma.

– A więc... zawiodłem. – Arystokrata pochylił głowę. – Nie zdołałem go ochronić.

– Nie – odparłam, na co Daisuke gwałtownie podniósł wzrok. – Tatsumi nie zginął. Yaburama go nie pokonał. Nie to jest naszym zmartwieniem. Tatsumi jest...

Demonem, przemknęło mi przez myśl. Gorszym nawet niż Yaburama. I stał się nim z mojej winy.

– Wybacz, Yumeko-san – rzekł wojownik, wpatrując się we mnie spod przymkniętych powiek. – Widocznie albo przyjąłem zbyt mocny cios w głowę, albo skutek utraty krwi cierpię na halucynacje, ale czy to są... przepraszam za obcesowość... uszy?

– Tak, Yumeko jest *kitsune* – rozległ się zniecierpliwiony głos i zza moich pleców wyszła Reika, za którą pojawił się opatrzony

ronin. – I była *kitsune* przez cały czas. Żadna to nowość, a w tym momencie naprawdę mamy poważniejsze kłopoty. Taiyo-san... – Popatrzyła na Daisuke i jej spojrzenie złagodniało, hardość zniknęła, zastąpiona odrobiną współczucia. – Trzeba opatrzyć twoje rany. Dasz radę wstać?

– Tak. – Daisuke, nie odrywając wzroku od moich uszu, przytaknął i skrzywił się z bólu. – Potrzebuję tylko chwili.

Okame podszedł do arystokraty energicznym krokiem, zarzucił sobie jego rękę na bark i podciągnął do góry. Ranny wojownik zacisnął zęby, syknął i podniósł się, przez cały czas podtrzymywany przez ronina.

– Okame-san – mruknął, kiedy złapał równowagę. – Cieszę się, widząc, że jesteś cały i zdrow. Wybacz moją słabość. Wstyd mi, że ani ty, ani Tatsumi-san nie doczekaliście się mojej pomocy.

– Odkąd ten bydlak *oni* zburzył moją wieżę, widziałem raczej niewiele – prychnął ronin – lecz wygląda na to, że sam jeden rozprawiłeś się z całą hordą tych skundlonych potworków. Nie mam pojęcia, w jaki sposób tego dokonałeś, ale pewien jestem, że słabości w tym nie ma.

– *Arigatou gozaimasu.* – Na usta arystokraty wypłynął blady uśmiech.

Okame westchnął, po czym spojrzał na mnie i *miko*.

– Więc – podjął, siląc się na wesołość – Yumeko-chan jest *kitsune*, kapłan został uratowany, a Kage-san oszalał, porąbał *oni* na drobne kawałeczki i uciekł. Noc pełna emocji. Przegapiłem coś może?

– Lady Satomi – zwróciła uwagę Reika. – Nie zapominajmy o niej. Nadal nie mamy pojęcia, gdzie jest ani co knuje. Z pewnością zwabiła nas tu, żeby nas zabić, a teraz gdy uwolniliśmy mistrza Jiro, zaatakuje ponownie. Musimy się stąd wydostać. I to jak najprędzej.

– Pełna zgoda – rozległ się nowy głos. Mistrz Jiro podszedł ku nam między okruchami gruzu i porzuconą bronią. Obok idącego z powagą na twarzy starca truchtała Ko. – Nie ma czasu. Trzeba... –

Wtem ugięły się pod nim nogi i niemal upadł, lecz w ostatniej chwili podtrzymała go Reika.

Podniosłam leżący nieopodal, zapomniany cebrzyk i postawiłam przed kapłanem do góry dnem. Jiro przysiadł z cichym jękiem. Przez moment po prostu dyszał, wreszcie jednak zadarł głowę ku nam.

– Czas działa przeciwko nam – podjął zasapany kapłan. Potoczył spojrzeniem po wszystkich i zatrzymał je na mnie. – *Kitsune...* – Urwał na moment. – Yumeko-san... czy niesiesz ze sobą smoczy zwój?

– Tak, mistrzu Jiro. – Skinęłam głową, nagle odrętwiała.

– Wiedz zatem, że on musi trafić do Świątyni Stalowego Pióra. Tamtejsi mnisi zadbają o jego bezpieczeństwo. Od tego zadania nic nie jest ważniejsze, musisz to dobrze zrozumieć. Nie wolno dopuścić, by ktoś wezwał ponownie Smoka i pozwolił mu powrócić do tego świata. Reika-chan – odwrócił wzrok i *miko* się wyprostowała – udamy się z tą dziewczyną. Będziemy jej strzec w podróży. Nie możemy pozwolić, by zwój dostał się w ręce człowieka tak złego jak lady Satomi.

– Tak, mistrzu Jiro. – Świątynna dziewica pochyliła głowę. – Rozumiem.

– Ej, nie zapominajcie o nas – wtrącił ronin. – Przemierzyłem szmat drogi, walczyłem z demonami i magami krwi, a dopiero co wielki *oni* skopał mi dupsko. Mam poczucie, że zasłużyłem na prawo towarzyszenia Yumeko-chan w dalszej wędrówce. Przynajmniej dopóki nie znajdziemy tej Kapliczki Żelaznych Ptaków, czy jak jej tam.

– To prawda. – Głos Daisuke był w równej mierze zboląły, jak pełen determinacji. – Ja także wyruszę u boku Yumeko-san. Chcę wynagrodzić jej to, że nie upilnowałem jej przyjaciela. Może liczyć na mój miecz, dopóki nie spłacę długu. Uroczyście przysięgam.

– Zaniosę zwój do świątyni – odpowiedziałam staremu kapłanowi. – Już przecież obiecałam. Ale... – Zatkanęło mnie i dopiero głęboki oddech pozwolił rozluźnić krtań. – Tatsumi – podjęłam

szeptem. – Czy możemy go uratować? Czy tego demona można przegnać?

– Bym mógł na to pytanie odpowiedzieć – mistrz Jiro pochylił głowę – musisz najpierw zrozumieć, z kim masz do czynienia, i poznać całą związaną z tym krwawą historię. – Zerknął na wspartego o ronina Daisuke i ściągnął usta. – Należy zaopiekować się rannymi – stwierdził. – A w pobliżu może się kręcić lady Satomi. O Hakaimono nie wspomnę. Musimy uciekać. Kiedy jednak będziemy bezpieczni, opowiem wam o Klanie Cienia, smoczej modlitwie, o kobiecie zwanej lady Hanshou i przeklętym mieczu imieniem Kamigoroshi.



W złotym pałacu cesarza panowała cisza. Bankiet wypadł wspaniale i wszyscy goście wrócili do kwater z poczuciem głębokiego zadowolenia. A jeśli nie, to przynajmniej w oparach przyjemnej, alkoholowej mgiełki. Zwłaszcza władca, który zasnął na futonie wzmocnionym przez sake snem. Snem bez marzeń, a co ważniejsze, wolnym od koszmarów, jakie ostatnio nie dawały mu spokoju.

W wystawnie urządzonej komnatach skrzydła królewskiego, w spowitej cieniem sypialni, zamigotała tafla wysokiego lustra, z którego wyszła uśmiechnięta lady Satomi. Arystokratka strzepnęła z szaty wyimaginowany kurz, podeszła rażno do biurka, zasiadła na stołku i zapaliła świecę. Wysunęła szufladę, wyjęła z niej jakiś owinięty w tkaninę przedmiot, położyła go na blacie i rozwinęła.

Na kobietę spojrzały puste, ślepe oczodoły ludzkiej czaszki. Satomi odczekała krótką chwilę i spojrzenie czerepu ożyło

złowróbnym, fioletowym blaskiem, który rzucił na papierowe ściany pokoju upiorne cienie. Arystokratka pochyliła głowę w ukłonie.

– Wszystko przebiega zgodnie z planem, panie – powiedziała półgłosem. – Yaburama zapewne zabił już chłopca i przejął zwój. Kapłan wyjawi ocalałym położenie Świątyni Stalowego Pióra, a my po prostu ruszymy ich tropem. W ten sposób otrzymasz także drugi fragment.

Płomienie w oczodołach czaszki zafalowały, a spomiędzy poźółkłych zębów dobył się szeleszczący szept.

– Obawiam się, że lekceważysz zabójcę demonów, lady Satomi. Yaburama należy do najpotężniejszych *oni* w Jigoku i dlatego go dla ciebie wezwałem. Ale Hakaimono to prawdziwy potwór. Jeśli się pojawi, jeżeli Yaburama nie zgładzi chłopca odpowiednio szybko, możesz mieć poważny problem.

– Niepotrzebnie się zamartwiasz, panie – zapewniła Satomi z uśmiechem. – Wszystko jest pod kontrolą. Wkrótce dostaniesz dwa ostatnie fragmenty smoczej modlitwy, a potem przywołamy bestię i przejmiesz należną ci władzę nad tą krainą.

– A ty nie zwrócisz się przeciwko mnie? Nie zdradzisz, jak zdradziłaś wszystkich dotąd?

– Naturalnie, że nie, panie! – Arystokratka z przerażeniem w głosie złożyła rękę na sercu. – Jestem twoją lojalną służką. Wszystko, co robię, robię po to, by przybliżyć twój chwalebny powrót.

Blask w oczach czaszki przygasł, pozostały jedynie nikłe ogniki, pełgające słabo na tle ciemności.

– Nie zapominaj, komu służysz, lady Satomi – wychrypiął głos, słabnący wraz z płomykami. – Jesteś utalentowaną czarownicą, lecz jak każdego śmiertelnika można cię zastąpić. Mam do dyspozycji całą armię *yokai* i demonów, gotowych wykonać każdy mój rozkaz. Nie zawieź mnie. Czekaam na wieści o twoim sukcesie.

Satomi uśmiechnęła się, nieznacznie skłoniła głowę, a kiedy się wyprostowała, blask w oczodołach zniknął na dobre. Została sama.

Zaraz potem, za przykładem światła, zgasł też uśmiech kobiety, która cała zatrzęsała się z gniewu.

– Myślisz, że jesteś taki sprytny, mój panie – szepnęła, wpatrując się w czaszkę. – Lecz przecież tylko śmiertelnik może przywołać Smoka i nie wyręczy cię w tym nawet armia demonów. Kiedy nadejdzie pora, by wypowiedzieć życzenie, nikt nie zażyczy sobie twego chwalebego powrotu. Tego możesz być pewien.

Znów uśmiechnięta wstała zza biurka, odwróciła się i spojrzała na swoją pokojówkę.

– Ty? – Cień zniecierpliwienia natychmiast zasnuł jej oblicze. Spróbowała sobie przypomnieć imię tej najnowszej dziewczyny. Bez powodzenia. – Nie wzywałam cię. Co tu robisz, bezużyteczna dziewucho?

Służka podniosła wzrok. Jej oczy rozbłysły w mroku złotymi iskrami. Chwilę później przebiła mieczem pierś lady Satomi.

Arystokratka otworzyła usta. Oszołomiona spuściła wzrok na przeszywające jej pierś lśniące, stalowe ostrze. Patrzyła na wypływającą krew. Szkarłatny strumyk pociekł jej z ust, zrosił szyję. Ponownie popatrzyła na służkę.

Dziewczyna uśmiechnęła się kącikiem ust. Buchnął kłęb białego dymu, a gdy się rozwiął, przed arystokratką stał mężczyzna, wciąż trzymający rękojeść. Był piękny, jego długie włosy miały barwę najbielszego srebra, niczym oszlifowany metal. Oczy lśniły leniwie złotem.

– Dobranoc, lady Satomi – rzekł piękny nieznajomy cichym, zimnym głosem. – Dość już zrobiłaś jak na jedną epokę.

– Ty... – Satomi nareszcie go rozpoznała. – Ty jesteś...

Srebrnowłosy wyszarpnął miecz i jednym gładkim uderzeniem ściął jej głowę. Krew bryznęła na ścianę i stadko czekających na biurku papierowych żurawi. Głowa Satomi stuknęła głucho o podłogę i potoczyła się powoli na bok. W oczach zastygł szok.

Nieznajomy, stojąc w sypialni zamordowanej, czując na plecach lodowate spojrzenie trupiej czaszki, uśmiechnął się szeroko.

– Obawiam się, że nie mogę jeszcze pozwolić, by chłopak zginął – szepnął, patrząc na rozlewającą się po podłodze, spływającą w szczeliny między deskami krew Satomi. – A ta mała lisiczka jest... intrygująca. Ciekawe, czy wystarczy jej siły, żeby sprowadzić zabójcę demonów z powrotem? – Zachichotał rozbawiony. – Kto wie, być może Hakaimono trafi w tej grze na godnego partnera. Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

– Panie?

Seigetsu opuścił wzrok na niewielkiego *yokai*, który wszedł właśnie do pokoju. Duch przypominał ludzkie dziecko, którego środek twarzy zajmowało wielkie, pojedyncze oko. Przybysz zerknął z niesmakiem na bezgłowy korpus, zmarszczył nos i ponownie popatrzył ku górze.

– Strażnicy są coraz bliżej, panie. Powinniśmy uciekać, póki jeszcze możemy.

– Idź więc – rzucił Seigetsu. – Nie czekaj na mnie. Dołączę do ciebie, kiedy skończę tutaj.

Mały *yokai* uklonił się i zniknął za drzwiami, zostawiając Seigetsu samego.

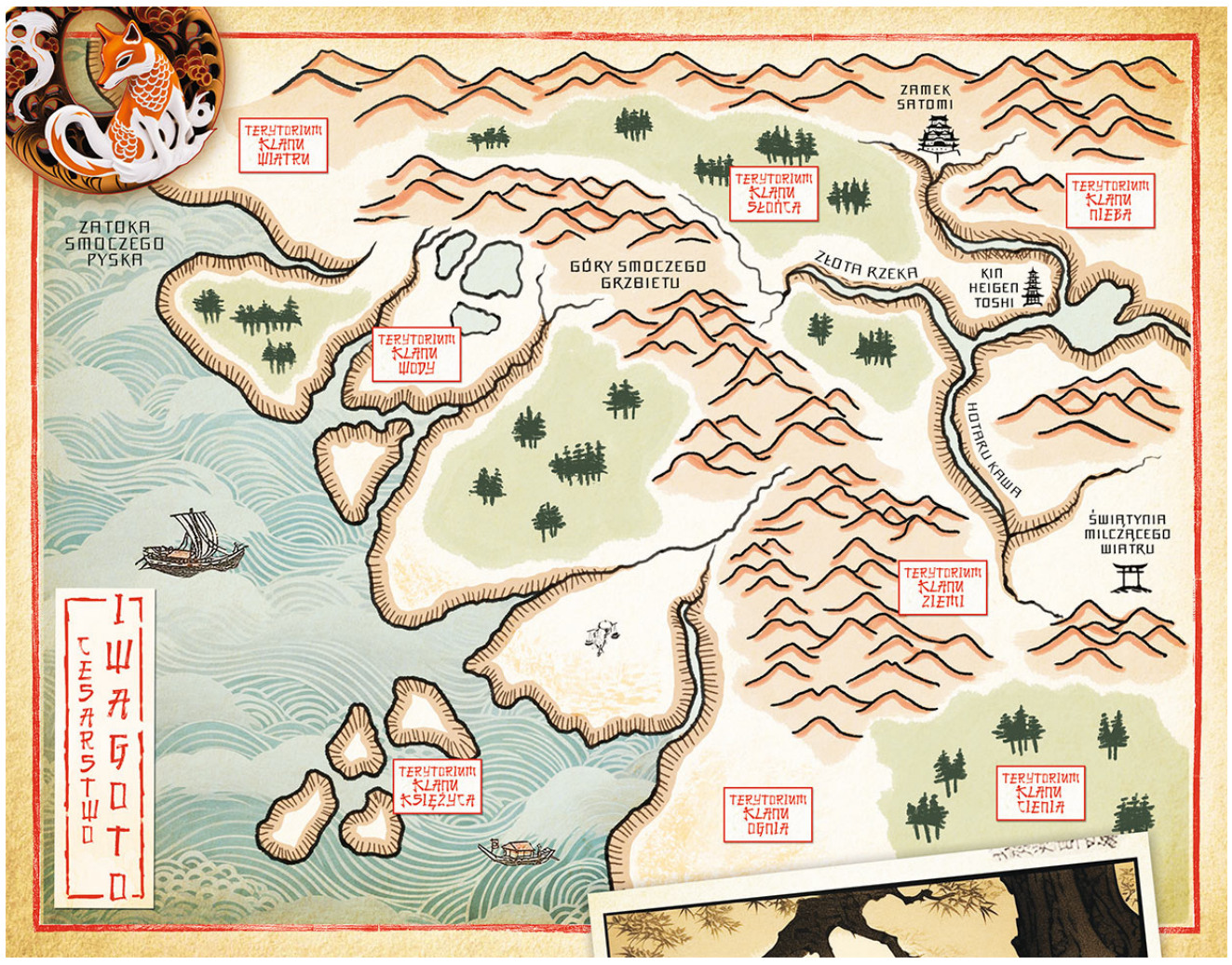
Przeniósł spojrzenie w kąt pokoju, tam gdzie stało wysokie lustro, przed którym unosiła się w powietrzu widmowa sylwetka dziewczyny. Podniósł srebrną brew i powoli się uśmiechnął.

– Satomi nie żyje – powiedział zjawie, która wpatrywała się w niego wielkimi, jasnymi oczyma. – Jeśli szukałaś zemsty, możesz iść dalej. Moje dzieło dobiegło końca. – Strzepnął krew z miecza, wsunął ostrze do pochwy i odwrócił się. – Kimkolwiek byłaś – dodał, podchodząc do drzwi – mam nadzieję, że zaznasz wreszcie spokoju. *Sayonara*. – Zniknął w korytarzu.

Duch Suki zamigotał i przeobraził się w kulę jasnego światła. Przez moment unosiła się w bezruchu nad uciętą głową lady Satomi, zalewając przerażoną, wstrząśniętą twarz zabitej bladą poświatą. Po chwili wzbiła się wyżej, uleciała przez drzwi i podobnie jak przepiękny młodzieniec rozplynęła się wśród nocy.

KONIEC
TOMU PIERWSZEGO





SŁOWNICZEK



A

amanjaku – pomniejsze demony z Jigoku

arigatou – dziękuję

ayame – irys

B

baba – zwrot stosowany wraz z imionami starszych kobiet, zbliżony znaczeniem do identycznego, polskiego wyrazu

baka/bakamono – głupiec, idiota

C

chan – grzecznościowy zwrot używany najczęściej w odniesieniu do kobiet lub dzieci, rodzaj czułego zdrobnienia

chochin – tradycyjna japońska papierowa latarnia

D

daikon – biała rzodkiew

daimyo – pan feudalny

dotknięci przez *kami* – ludzie posiadający magiczne zdolności

Doroshin – *kami*, bóg podróży i dróg

F

furoshiki – chusta używana do przenoszenia drobnych przedmiotów

G

gaki – głodne duchy

getta – drewniane chodaki

gomen – przepraszam

H

hai – potwierdzenie, tak

hakama – plisowane spodnie

hannya – rodzaj demona, zazwyczaj w kobiecej postaci

haori – bluza

hitodama – ludzka dusza

I

inu – pies

ite – au, aj

J

Jigoku – piekło, Królestwo Zła

Jinkei – *kami*, bóg miłosierdzia

jorogumo – *yokai* w postaci pająka

K

kaeru – miedziana żaba, waluta Iwagoto

kago – palankin

kama – sierp

kamaitachi – *yokai*, łasica obdarzona nożami zamiast łap

kami – pomniejsi bogowie

Kami – wielcy bogowie, dziewiątka głównych bóstw Iwagoto

karasu – wrona

katana – samurajski miecz

kawauso – wydra

kitsune – lis
kitsune-bi – lisi ogień
kodama – *kami*, duch drzew
konbanwa – dobry wieczór
kunai – nóż do rzucania
kuso – popularne przekleństwo, cholera

M

mabushii – wyrażenie oznaczające coś bardzo jasnego, rażącego
majutsushi – mag, czarownik
Meido – Królestwo Oczekiwania; miejsce, do którego przed ponownym wcieleniem trafiają dusze zmarłych
miko – świątynna dziewczica
mino – rodzaj słomianego płaszcza przeciwdeszczowego
mon – herb rodowy

N

nande? – dlaczego?
nani? – co?
netsuke – mała rzeźba zdobiąca sznurek, za pomocą którego przywiązuje się sakiewkę do pasa *obi*
nezumi – *yokai* pod postacią szczura
Ningen-kai – świat śmiertelnych ludzi
nogitsune – zły, dziki lis

O

obi – tradycyjny japoński pas
ofuda – papierowy talizman posiadający magiczne właściwości
ohayou gozaimasu – dzień dobry
Ojinari – *kami*, bóg zbiorów
omachi kudasai – zaczekaj, proszę
omukade – wielka stonoga
onikuma – demoniczny niedźwiedź

oni – przypominające ogry demony z Jigoku
onmyodo – dział wiedzy tajemnej koncentrujący się wokół
przepowiadania przyszłości
onmyoji – osoby praktykujące *onmyodo*
onryo – *yurei*, rodzaj mściwego ducha, prześladowający swych
winowajców klątwami i pechem
oyasuminasai – dobranoc

R

ryokan – gospoda, zajazd
ryu – złoty smok, waluta Iwagoto

S

sake – alkohol ryżowy
sama – grzecznościowy zwrot używany w odniesieniu do osób
o wysokiej pozycji społecznej
san – grzecznościowy zwrot używany w rozmowach ludzi równych
pozycją
sansai – dzika jadalna roślina
sensei – nauczyciel
seppuku – rytualne samobójstwo
shinobi – ninja
shogi – gra planszowa nieco przypominająca szachy
shuriken – rodzaj broni, metalowa gwiazdka do rzucania
sumimasen – przepraszam, proszę o wybaczenie

T

tabi – rodzaj dwupalczastego obuwia
Tamafuku – *kami*, bóg pomyślności
tanto – krótki sztylet
tanuki – *yokai* w postaci japońskiego jenota
tatami – pleciona mata
tetsubo – maczuga

tora – srebrny tygrys, waluta Iwagoto

U

ubume – *yurei*, duch kobiety, która zmarła w czasie porodu

usagi – królik

W

wakizashi – krótki miecz noszony zwykle razem z kataną

Y

yamabushi – górski kapłan

yojimbo – osobisty gwardzista, ochroniarz

yokai – istota obdarzona nadprzyrodzoną mocą

yurei – duch

Z

zashiki warashi – *yurei*, rodzaj ducha sprowadzający na nawiedzony przez siebie dom pomyślność

TRYLOGIA
PŁONĄCE 1
KRÓLESTWA

PRZEŁOŻYŁ
PIOTR KUCHARSKI

Bezwzględna księżniczka i potężna kapłanka spotykają się, aby napisać na nowo losy imperium. To zaciekle i bezkompromisowa feministyczna opowieść o przetrwaniu i rewolucji, osadzona w przepięknym, wyjątkowym magicznym świecie.

**S.A. CHAKRABORTY,
AUTORKA „MIASTA MOSIĄDZU”**

Niezwykłe osiągnięcie – każde zdanie zapierało mi dech w piersiach swoim artyzmem, a Malini i Priya skradły moje serce.

SAMANTHA SHANNON

Przejmująca i wstrząsająca od samego początku.

R.F. KUANG

Kameralne, złożone, magiczne studium imperium i ludzi miażdżonych przez jego krwawe tryby. Uwielbiałam ją.

ALIX E. HARROW

Osierocona służąca i uwięziona księżniczka. Różni je wszystko: pochodzenie, bogactwo, wiedza. Łączy jeszcze więcej: dojmująca samotność, całkowite odrzucenie i nowe życie, w które obie weszły, uciekając z objęć śmiercionośnego ognia. Okradzione ze wszystkiego, w sobie nawzajem odnajdą całą siłę, której potrzebują, by przeżyć.

Za murami przerażającej świątyni zmienionej w pełne duchów więzienie przetacza się czas wielkich zmian. Zaraza zbiera okrutne żniwo, wieloletnie zniewolenie nieuchronnie prowadzi do wybuchu krwawej rewolucji, walka o władzę sprowadza na cesarstwo widmo upadku, a dawne wierzenia domagają się powrotu z zapomnienia i nowego życia.

Nadchodzi czas zmian. Czas, w którym odrzucone, nieme dotąd kobiety ośmielą się sięgnąć po własny los.

TASHA SURI JASMINOWY TRON



NAZYWAM SIĘ WEN OLCHA.
NAZYWAM SIĘ TEŻ GŁUPI KUNDEL.

Od dziecka żyję rozdarty między spuścizną mojego ojca, który wśród przodków miał popieczników samego cesarza, oraz dziedzictwem rodziny mojej matki, która odrzuciła imperium i dołączyła do ruchu oporu.

Mogę dokonać wyboru – mogę chronić swoją rodzinę albo swoich rodaków. Mogę też spróbować znaleźć inną ścieżkę – ścieżkę magii, pełną sekretów, wolną od wpływów imperium bądź ruchu oporu. Ścieżkę magii, która wstrząśnie całym moim światem.

Jednakże poszukiwanie wolności wmiecha mnie w wojnę między samymi bogami.



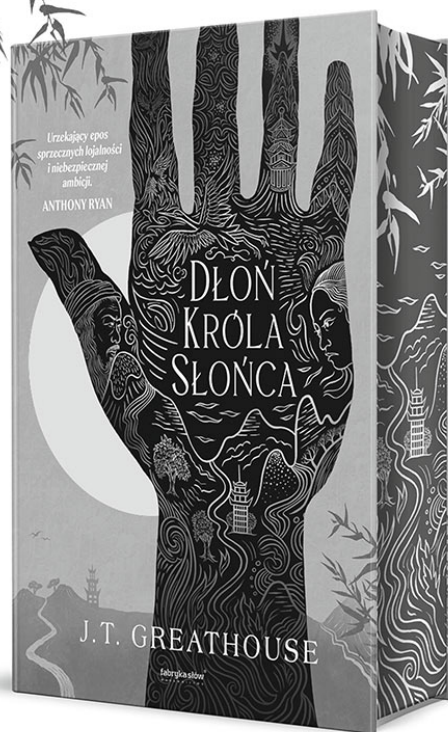
Ta debiutancka powieść rozpoczyna fantastyczną trylogię „Kroniki Olchy”, łącząc zawily system magiczny jak w książkach Brenta Weeks’a i emocjonalny ciężar książek Robin Hobb.

Jest to powieść o rodzinie, o dojrzwaniu z magicznym darem, o lojalności w obliczu przeciwności losu i o poczuciu samotności. Greathouse wykonał wyjątkową pracę, jeśli chodzi o budowanie świata i systemu magicznego. Z niezwykłą finezją podjął też temat polityki, ekonomii i trudności współpracy między ludźmi o różnym statusie społeczno-kulturowym. Wpływ na to z pewnością miało ukończenie przez Greathouse’a fakultetu z kultury azjatyckiej oraz pobyt na Uniwersytecie Minzu w Pekinie.

• • •

Ujmująca epicka opowieść o konflikcie lojalności i niebezpiecznych ambicjach.

ANTHONY RYAN





*Zemsta nic nie zmienia.
To, co utracone, pozostanie stracone na zawsze.*

1345 ROK. Przepowiedziano jej nicość. Miała umrzeć z głodu w pyłe rolniczej prowincji, zapomnianej przez bogów i ludzi. Jednak żar przepelniający jej duszę, niepowstrzymane pragnienie życia, pchnął ją do walki. Skryła się za imieniem zmarłego brata i mając nadzieję, że niebiosy nie zauważyły oszustwa, ruszyła spełniać jego przeznaczenie. Przeznaczenie pełne bólu i wielkości. I choć wielkość przypadnie imieniu Zhu Chongba, to cały ból będzie musiała znieść osoba ukryta w skórze młodego mężczyzny.

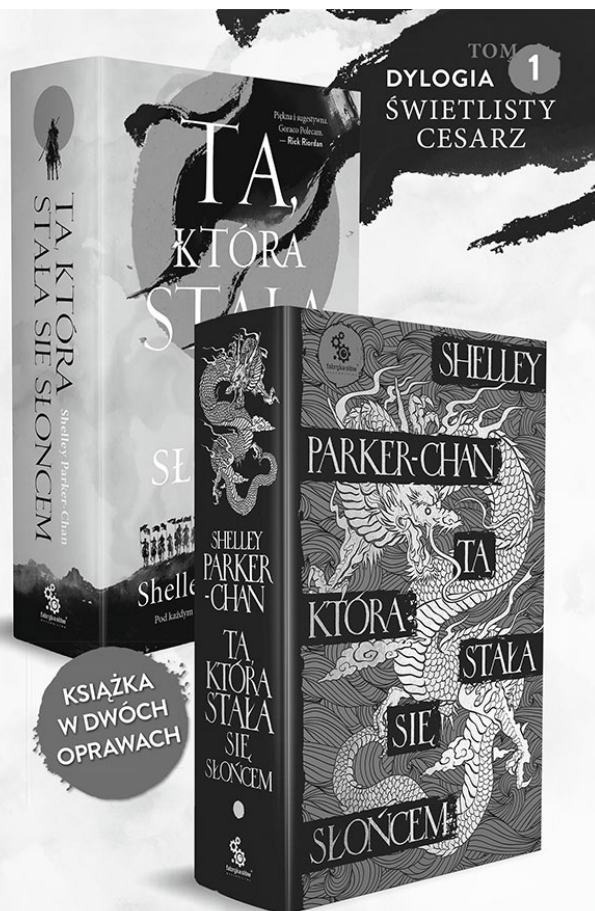
Oto historia, w której „wielkość” może oznaczać cokolwiek, a drogi do niej pełne są cierpienia, złamanych ślubów i wyborów, jakich nikt nie powinien dokonywać. Nie ma jednak ceny, której Zhu nie zapłaci za nakarmienie płonącego w niej ognia – dzikiej, nieokiełznanej żądzy życia.

Książka wspaniała pod każdym względem. Wojna, pożądanie, zemsta, polityka – Shelley Parker-Chan z wielką precyzją i znanstwem stworzyła mieszankę wszystkich tych elementów, kreując queerową epopeję historyczną. *Ta, która stała się słońcem* jest powieścią, której, podobnie jak Zhu, przeznaczona jest wielkość.

Samantha Shannon

Działający na wyobraźnię, niezwykle sugestywny i rozziewający serce debiut literacki Parker-Chan jest arcydziełem opowiadającym o wojnie, miłości i tożsamości... Ta powieść dźgnęła mnie sztyletem w pierś, a następnie posypała ranę solą i podpałiła.

S.A. Chakraborty



COPYRIGHT © 2018 BY Julie Kagawa
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-977-8

TYTUŁ ORYGINAŁU
Shadow of the Fox

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka została opublikowana w porozumieniu z Garlequin Enterprises ULC

To jest fikcja literacka. Imiona, postacie, miejsca i zdarzenia są albo wytworem wyobraźni autora, albo zostały użyte fikcyjne, a wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących lub zmarłych, firm, wydarzeń lub lokalizacji jest całkowicie przypadkowe.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

TŁUMACZENIE
Grzegorz Komerski

ILUSTRACJE
Przemysław Truściński

MAPA, GRAFIKA NA OKŁADCE ORAZ PROJEKT
Szymon Wójciak

REDAKCJA
Miroslaw Ruszkiewicz

KOREKTA
Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)



Być lisem jest znacznie
prościej, niż być człowiekiem.

Dla młodej Yumeko, magicznej istoty zwanej *kitsune*, jeszcze nie jest to oczywiste. Żyjąc na granicy świata duchów i śmiertelników, szuka swojej drogi ku przeznaczeniu.

Ono jednak znajdzie ją samo w dniu, w którym horda demonów odbierze jej to, co uważała za dom, i wszystkich, których uważała za rodzinę. Zrozpaczona, przerażona i bezbronna wie jedno: musi ochronić skarb, który został jej powierzony. Ukryć go w jedynym bezpiecznym miejscu – świątyni z legendy, zrodzonej z mitu i plotki.

Na drodze do celu stoją krwiożercze demony, potężna magia i morze zwykłej, ludzkiej podłości. A młoda, niedoświadczona *kitsune* ma tylko swoją lisią magię i spryt. I rozpalający jej duszę coraz mocniej błękitny, zimny płomień gniewu.

